

WPROWADZENIE

Prawdziwe opowieści o wojnie

\V lipcu w centrum Kurska nie ma cienia. Znalezienie go wymaga wysiłku, ponieważ Kursk wybudowano na najżyźniejszej glebie w Rosji, na czarnoziemach, które ciągną się na południe i zachód, bi Ukrainie. Wszędzie, gdzie jest woda, pojawiają się topole, wzdłuż dróg wiodących do miasta rosną firletki i sięgająca ramienia purpurowa wyka. Ziemię tę lubią również warzywa — ogórki, które Rosjanie marynują w occie z koprem, kapusta, ziemniaki i kabaczki. W piątkowe popołudnia miasto raptem pustoszeje. Ludzie wyjeżdżają io swoich daczy, ulubionych przez Rosjan drewnianych domków, i na pola wylęgają kobiety z konewkami. W tygodniu następuje jrzyptływ. Wieś s'ciąga do miasta. Wystarczy wyjść poza centrum, iby zobaczyć ulicznych sprzedawców borowików, domowych ciast, ajek, ogórków i brzoskwiń. Za soborem, wybudowanym w XIX wieku dla upamiętnienia rosyjskiego zwycięstwa nad Napoleonem, izieci kucają na trawniku obok stada chudych brązowych kóz.

Całe to towarzystwo nie ma wstępu na główny plac. Sto lat temu aiajdowały się tam budynki i dziedzińce porośnięte dzikim winem, de obecnie zalany jest asfaltem. Kiedy tam byłam, panował upał, więc nie miałam nastroju na liczenie kroków — dwa, trzy boiska do >iłki nożnej? - lecz plac jest naprawdę ogromny. Jego wielkość ma ię nijak do budynków, które go otaczają, i do stylu życia mieszkań-:ów. Na skraju, przy hotelu, stoją taksówki - zdezelowane radzieckie nodele upiększone ikonami, koralikami i pokrowcami ze sztuczne-

go futra. Co pół godziny stary, dławiący się własnym ciężarem autobus telepie się do położonej kilka kilometrów dalej stacji kolejowej. Jednak żywe istoty unikają pustej, niegościnniej przestrzeni. Tylko z jednej strony, gdzie zaczyna się miejski park, rosną drzewa, ale i one nie dają cienia. To błękitnoszare sosny, symetryczne i kłujące, a przy tym tak sztywne, że wyglądają jak zrobione z plastiku. Stoją niczym żołnierze w szeregu, ponieważ to radzieckie rośliny, takie same jak te posadzone w innych miejscach publicznych wszystkich rosyjskich miast. Znajdują się obok pomnika Lenina i koło pomni-^ua bohaterów wojennych. W Moskwie można zobaczyć ich rząd wzdłuż złowrogich murów Łubianki.

Główny plac - wciąż nosi nazwę plac Czerwony - zyskał aktualny kształt po II wojnie światowej. Kursk wpadł w ręce postępującej armii niemieckiej jesienią 1941 roku. Budynki, których nie zniszczono podczas okupacji, zostały zaminowane lub pokierszowane pociskami w czasie walk o odzyskanie miasta w lutym 1943 roku. Wiele rozebrano, gdy pewnej surowej zimy zabrakło paliwa i drewna na opał. Stary Kursk, centrum obwodu i dom dla około 120 000 osób w 1939 roku, uległ niemal całkowitemu zniszczeniu. Planiści, którzy go odbudowywali, nie mieli zamiaru zachowywać jego historycznego uroku. Nowy plac Czerwony nie miał służyć wypoczynkowi mieszkańców - tych zostało zresztą niewielu - ale być miejscem defilad dla armii, która zawsze była większa niż populacja miasta. Latem 1943 roku ponad milion Rosjan, mężczyzn i kobiet, uczestniczyło w walkach w obwodzie kurskim. Faliste pola, biegnące w stronę Ukrainy, były świadkami bitew, które zadecydowały nie tylko o losie Rosji, czy nawet Związku Radzieckiego, ale o wyniku wojny w Europie. Kiedy wojna ta się skończyła, serce stolicy obwodu przekształcono w scenę dla równie monstrualnych ceremonii.

Bez względu na miarę, jaką się przyjmie, ta wojna wykraczała poza ludzkie pojęcie skali. Liczby

same w sobie są przytłaczające. W czerwcu 1941 roku, kiedy zaczął się konflikt, około sześciu milionów żołnierzy, niemieckich i rosyjskich, szykowało się do walki wzdłuż frontu, który ciągnął się przez ponad 1600 kilometrów bagien i lasów, nabrzeżnych wydm i stepu¹. Sowieci mieli już kolejne dwa miliony ludzi pod bronią na Dalekim Wschodzie. W ciągu

paru tygodni stali się oni potrzebni na froncie wschodnim. Gdy przez następne dwa lata konflikt się pogłębiał, obie strony mobilizowały więcej wojsk, by rzucić je do lądowych kampanii wymagających mięsa armatniego. Nie było niczym niezwykłym, że do 1943 roku liczba ludzi zaangażowanych w walkę na froncie wschodnim sięgnęła 11 milionów².

Wielkość strat była również duża. Do grudnia 1941 roku, w ciągu sześciu miesięcy wojny, Armia Czerwona straciła 4,5 miliona ludzi³. Rzeź przechodziła wszelkie wyobrażenia. Świadkowie opisują pola bitwy jako pejzaże osmalonej stali i popiołów. Okrągłe kształty martwych głów w słońcu późnego lata wyglądały jak ziemniaki wykopane ze świeżo zaoranej ziemi. Jeńcy maszerowali kolumnami. Nawet Niemcy nie mieli dość strażników, nie mówiąc o drucie kolczastym, i aby dopilnować 2,5 miliona czerwonoarmistów schwytanych przez pierwsze pięć miesięcy⁴. Jedna tylko kampania, obrona Kijowa, kosztowała Sowieców niemal 700 tysięcy zabitych lub zaginionych w ciągu zaledwie kilku tygodni⁵. Prawie wszyscy żołnierze z okresu przedwojennego, ludzie, którzy dzielili panikę tych pierwszych nocy w czerwcu, zginęli lub trafili do niewoli do końca 1941 roku. Proces ten powtórzył się, gdy kolejne pokolenie zostało powołane, wciśnięte w mundury i zabite, schwytane lub poranione. W każdym razie Armia Czerwona była w toku tej wojny niszczone i odbudowywana x) najmniej dwa razy. Oficerowie — wśród których straty sięgały 35 procent, czyli były czternastokrotnie większe niż w armii carskiej podczas I wojny — musieli być uzupełniani równie szybko jak ich jodwładni⁶. Amerykański program w ramach Lend-Lease Act zaopatrywał Rosjan w żyłki do 1945 roku, ale większość nastolatków i ostatnich rezerw Armii Czerwonej ich nie potrzebowała.

Kapitulacji nigdy nie rozważano. Chociaż bombardy amerykańskie i brytyjskie ciągle bombardowały Niemcy, czerwonoarmiści nie mieli gorzką świadomość, że są ostatnią wielką siłą walczącą z armią Hitlera na lądzie. Tęsknili do wieści, że ich sojusznicy otworzyli drugi front we Francji, ale walczyli, wiedząc, iż nie mają wyboru. Ta wojna nie toczyła się o wpływy handlowe czy terytorium. Jej siłą napędową była ideologia, a celem unicestwienie sposobu życia. flęska oznaczała koniec radzieckiej potęgi, unicestwienie Słowian

i Żydów. Upór miał straszliwą cenę: wojna pochłonęła łącznie 27 milionów mieszkańców Związku Radzieckiego. Większość stanowili cywile, nieszczęsne ofiary deportacji, głodu, chorób lub bezpośredniej przemocy. Jednak straty Armii Czerwonej - w zabitych - sięgnęły ośmiu milionów z całej tej ponurej liczby⁷. Przekracza to łączną liczbę zabitych żołnierzy po obu stronach, alianckiej i niemieckiej, podczas I wojny światowej i stanowi rażący kontrast ze stratami brytyjskich i amerykańskich sił zbrojnych między 1939 a 1945 rokiem, które w obu wypadkach sięgnęły niecałej ćwierci miliona. Armia Czerwona, jak ujął to pewien rekrut, była „maszynką do mięsa

„Wyszkolili nas, wysłali i zabili” - wspominał inny żołnierz⁸. Niemcy porównywali to z

lekceważeniem do masowej produkcji⁹, jednak pułki wymaszerowywały na front, nawet gdy jedna trzecia radzieckiego terytorium znajdowała się w niemieckich rękach. W 1945 roku całkowita liczba powołanych do Armii Czerwonej od 1939 roku przekroczyła 30 milionów¹⁰.

Epopėja tej wojny była opowiadana wielokrotnie, ale opowieści owych 30 milionów żołnierzy wciąż są niewykorzystane. Wiemy wiele o brytyjskich i amerykańskich żołnierzach, ich relacje stały się bowiem podstawą studiów nad sztuką wojenną, szkoleniem, traumatycznymi przeżyciami i przetrwaniem na wojnie¹¹. Gdy jednak dochodzimy do wojny na froncie wschodnim, okazuje się, że — przewrotnie — większość tego, co wiemy, dotyczy żołnierzy armii Hitlera¹². Sześćdziesiąt lat upłynęło od triumfu Armii Czerwonej i przeminęło państwo, za które walczyli radzieccy żołnierze, jednak Iwan, rosyjski strzelec - odpowiednik brytyjskiego Tommy'ego czy niemieckiego Fritza — pozostaje tajemniczy. Te miliony poborowych wydają się nam, którzy korzystamy z ich zwycięstwa, pozbawione cech indywidualnych. Nie wiemy, na przykład, skąd pochodzili, nie mówiąc już o tym, w co wierzyli czy dlaczego walczyli. Nie wiemy też, czy wojenne doświadczenie zmieniło ich, jak nieludzka przemoc ukształtowała ich poglądy na życie i śmierć. Nie wiemy, o czym rozmawiali żołnierze, jakie nauki, żarty czy ludowe mądrości słyszeli. I nie mamy pojęcia, jakie azyle skrywali w swych umysłach, o jakich domach marzyli, kogo i jak kochali.

Ich pokolenie nie było zwyczajne. Do 1941 roku Związek Radziecki, państwo, które zaczęło istnieć w roku 1918, doświadczył już przemocy na bezprecedensową skalę. Siedem lat po roku 1914 to niesłabnący kryzys; już sama wojna domowa 1918-1921 doprowadziła do brutalnych walk, rozpaczliwych braków wszystkiego, od opału do chleba i koców, epidemii i nowej plagi nazywanej przez Lenina wojną klasową. Głód, który pojawił się w jej następstwie, również przewyższył wszystko swą okropnością, jednak dziesięć lat później, w latach 1932-1933, kiedy z wygłodzenia zmarło kolejne siedem milionów ludzi, wielki głód z 1921 roku wydawał się, jak to ujął pewien świadek "dziecinną zabawką". Wtedy również ra-

dzieckie społeczeństwo zostało rozdarte przez wstrząsy pierwszych pięciolatek rozwoju gospodarczego, siłą skłaniających chłopów do kolektywizacji, niszczących przeciwników politycznych, zmuszających część obywateli do niewolniczej pracy. Mężczyźni i kobiety powołani w 1941 roku do wojska, byli niedobitkami epoki zamętu, która przez dwa dziesięciolecia pochłonęła ponad 15 milionów istnień

„Ludzie byli szczególni” - mówią starzy żołnierze. Słyszałam ten pogląd w Rosji wiele razy, a wniosek jest z tego taki, że męczarnie, niczym oczyszczający ogień, stworzyły wyjątkowe pokolenie. Historycy zwykle akceptują ten pogląd, a co najmniej szanują jako dowód na stoicką wytrzymałość i zdolność całego narodu do poświęceń. „Materialne wyjaśnienia dotyczące radzieckiego zwycięstwa

nie są całkowicie przekonujące — pisze Richard Overly w swej miarodajnej historii rosyjskiej wojny. - Trudno napisać historię wojny, nie uznając, że dla zwykłych ludzi idea rosyjskiej »duszy« czy »ducha« znaczyła zbyt wiele, aby potraktować ją jako zwykły sentymentalizm"¹⁵. „Patriotyzm - wykrzykiwali przy mnie weterani. - Nie ma go już wśród młodych". Może to i prawda, ale niewielu zastanawiało się nad motywacją żołnierzy, których istnienia zostały zatrute przez to samo państwo, za które mieli walczyć. Nieliczni zastanawiają się też, jakie poglądy przyszli żołnierze mogli przejąć od rodziców czy starszych towarzyszy, którzy przeżyli inne wojny, widzieli inne rosyjskie rządy lub nauczyli się sztuki przetrwania, obserwując, jak giną inni. Żołnierskie opowieści to sieć paradoksów, a sześćdziesiąt lat jedynie pogłębiło zamieszanie.

Istnieje, rzecz jasna, dawno już ustalona oficjalna wersja tego wszystkiego, mit bohatera Związku Radzieckiego. Wryta jest w kamieniu każdego radzieckiego pomnika wojennego, opisana w niezliczonych wojennych pieśniach. Jednym z jego klasycznych przykładów jest długi poemat, epos o fikcyjnym żołnierzu Wasiliju Tiorcinie, który zapewnił jego autorowi, Aleksandrowi Twardowskiemu, Nagrodę Stalinowską w 1944 roku. W tej wersji, jak we wszystkich pieśniach i obrazach z epoki, żołnierz to idealny szary człowiek¹⁶. Był prosty, zdrowy, silny i uprzejmy, dalekowzroczny, bezinteresowny i nie bał się śmierci. Niemal nigdy nie rozpamiętywał ciemnej strony woj-

ny. Jego wzrok kierował się ku przyszłości, jasnej utopii, dla której gotów był poświęcić życie. Jeśli w ogóle ulegał emocjom - a był człowiekiem, więc jakieś musiał odczuwać - to były one rzewne i sentymentalne. Lubił rymowane wiersze, srebrzyste *brzozy*, rosyjskie dziewczęta i stałość prostej miłości. Gdyby zginął, jak miliony innych, jego najbliżsi i towarzysze zasmuciliby się, ale nie byłoby w opisach przeklinania, palenia, smrodu czy flaków. Przed wszystkim zaś nie pojawiłyby się oznaki paniki, klęski lub wątpliwości, które zaciemniłyby opowieść, nie wspominając o tym, że nie mogłyby być człowiekiem plądrującym miasta, które miała wyzwolić jego armia.

Wiersz o Tiorcinie zyskał popularność wśród *żołnierzy*. Lubili nieskomplikowane rymy i łagodny rytm, prosty język i patriotyczny temat. Bawiło ich też eufemistyczne traktowanie wojny, gdyż sami starali się je utrwalić. Przez dziesięciolecia, aż do lat dziewięćdziesiątych, weterani mówili i pisali jednym językiem. Wiedzieli, jaką wojnę chcą widzieć - czy raczej, jak sprawić, by wspomnienia były bezpieczne, jak rozbroić grozę — i w cywilu trzymali się uzgodnionego scenariusza. Ich ulubionymi autorami byli piszący o wojnie, ale żadna radziecka powieść wojenna nie wspominała choćby słowem o panice, samookaleczeniach, tchórzostwie czy gwałtach. Oficjalna *cezura*, *zakazująca* publikowania dzieł pisarzy w rodzaju Wasilija Grossrnana za opisywanie strachu żołnierzy, *działała* ramię w ramię z ocalonymi, którzy pragnęli zagłuszyć zgiełk swej przeszłości¹⁷. Zbiorowa pamięć miała łagodzić, nie przypominać; pokolenie wojenne wspominało swą młodość jak harcerze wspominający przygody z obozów. W święta państwowe weterani wznosili kieliszki, przywoływali przyjaciół, a potem chórem śpiewali ulubione wojenne pieśni, odgłosy bólu i katastrofy zaś zmieniały się w patos.

Przystąpiłam do pisania tej książki z założeniem, że sięgnę poza mity w poszukiwaniu tego, co inny autor z okresu innej wojny nazwał „prawdziwymi opowieściami o wojnie"¹⁸. Pomysł narodził się, gdy kończyłam poprzednią pracę, studium śmierci i żałoby na przykładzie ofiar Stalina. Rozmawiałam podczas realizacji tego projektu z weteranami i chciałam dowiedzieć się więcej o przemilczeniach w ich opowieściach. Pragnęłam też zgłębić dwuznaczność ich poczucia własnej wartości jako żołnierzy, gdyż poza tym, że weterani

Armii Czerwonej zawsze byli przedstawiani jako zwycięzcy i wciąż się za takich uważają, większość stała się również ofiarami najokrutniejszego reżimu współczesności. Nosili karabiny i mieli prawo ich używać, ale dorastali w świecie, w którym obywatele żyli w cieniu arbitralnej i upokarzającej przemocy państwowej, a kiedy wojna dobiegła końca, wrócili do niego. Ich wkład, jako grupy, został uznany, ale większość z tego, o co walczyli — bardziej otwarty rząd, na przykład, i koniec strachu - nigdy nie nadeszła. Jak na ironię, to państwo natchnęło ich poczuciem dumy tak potężnym, iż niewielu dostrzegło, jak całkowicie ich wyziedziło.

Projekt wypływał w sposób naturalny z mojej wcześniejszej pracy, ale ponieważ dotyczył wojny, nie mogłam go aż dotąd zrealizować. Rozpad państwa monopartyjnego wraz z upadkiem radzieckiego komunizmu rozluźnił w umysłach okowy oficjalnych opowieści, pozwalając na pojawienie się odmiennych wspomnień. Teraz można powiedzieć — i pomyśleć — to, co w dniach władzy radzieckiej było tabu. Cały czas znoszone są też ograniczenia narzucane badaczom. Dokumenty niegdyś ukrywane przed naukowcami — a tym samym niedostępne radzieckiej pamięci zbiorowej - zostały masowo odtajnione. Tej książki nie dałoby się napisać bez paczek żołnierskich listów, raportów żandarmerii wojskowej i tajnej policji, raportów armii na temat morale. Na froncie zakazywano żołnierzom prowadzenia dzienników, ale część z nich ignorowała ten zakaz, a ja mogłam przeczytać dziesiątki ocalałych tekstów, wiele w oryginalnych, sporządzonych ołówkiem wersjach. *Znalazłam* też i przestudiowałam doniesienia świadków, ponieważ wojna ta toczyła się, niemal do ostatnich miesięcy, wyłącznie na radzieckiej ziemi, we wsiach i gospodarstwach zaś cywile wciąż próbowali żyć. Podróżowałam na pola bitew, do Kurska na przykład, a także do Sewastopola, Kerczu, Kijowa, Istry, Wiązmy i Smoleńska, i w każdym z tych miejsc próbowałam się dowiedzieć, kto walczył, co zrobił, co widzieli mieszkańcy. W czasach władzy radzieckiej byłoby to niemożliwe.

Jednak zmieniło się coś jeszcze, coś bardziej subtelne i istotne niż możliwość podróżowania i regulaminy archiwalne. W czasach radzieckich wojna nie była tematem dla prawomyślnych badaczy. Moi przyjaciele z Uniwersytetu Moskiewskiego patrzyli na nią w la-

tach osiemdziesiątych z mieszaniną nudy - gdyż słyszeli o niej za często - i zgrozy, głównie z powodu sposobu, w jaki prawdziwe wspomnienia śmierci i walki zmieniły się w patriotyczny mit. Wojna, zdawało się, należała do skorumpowanego i ideologicznie zbankrutowanego państwa. Niczym niezgrabnie używane meble w naszych ciasnych studenckich pokojach, była zbyt świeża, by stać się historią, a zbyt wielka, żeby jej unikać. Jednak pokolenia się zmieniały i młodzi, którzy dorastają obecnie w Rosji, nie poznali radzieckiej potęgi. Niewielu pamięta drętwe parady i wymuszony szacunek dla nacjonalistycznych mitów wojny, a to oznacza, że mogą oni swobodnie zadawać nowe pytania. Odrodzone zainteresowanie wojną Związku Radzieckiego, pozbawione większości obłudnych frazesów ostatniego półwiecza, przynosi nowe badania, nowe dyskusje i nowe teksty¹⁹. W pewnych wypadkach sami weterani, uwolnieni od narzuconych ograniczeń, również zaczęli na nowo analizować swą wojnę. Większość ludzi, których spotkałam, ma półki uginające się pod ciężkimi tomami, nowymi historiami, nowymi wspomnieniami i wydaniem tajnych dokumentów²⁰.

W 2001 roku, na samym początku pracy nad tą książką, zgłosiłam się do przeprowadzenia kilku lekcji historii w rosyjskich szkołach. W każdym wypadku pytałam uczniów, nastolatków, który z tematów najbardziej chcieliby ożywić i zbadać. Bez wahania wszyscy mówili o II wojnie światowej. „Ci starzy ludzie - powiedziała pewna dziewczyna — naprawdę

mają w sobie coś szczególnego. Żałuję, że nie słuchałam uważniej opowieści mojej babci, kiedy jeszcze żyła". Jednak krewni innych dzieci, niekiedy pradziadkowie, żyją. Uczniowie zgodzili się pomóc mi poznać ich i zebrali też trochę opowieści dla siebie. Część świadectw, które pomogły ukształtować tę książkę, jest efektem tej współpracy. Energia i zainteresowania innych uczniów znalazły wyraz w pracach na konkursy, które od lat organizuje moskiewskie stowarzyszenie Memoriał. Wiele nagrodzonych esejów czerpało z wywiadów, inne z prywatnych zbiorów listów. Razem tworzą one nieformalne archiwum ludzkiego doświadczenia czasów wojny²¹.

Łącznie wywiadów na potrzeby tej książki udzieliło około dwustu weteranów. Większość rozmawiała bezpośrednio ze mną, w cztery

oczy lub w towarzystwie jednego z asystentów, którzy pomagali mi ich odnaleźć i przekonać²². Niekiedy miałem świadomość skrepowania czy powściągliwości wywoływanych zapewne przez fakt, że byłam cudzoziemką lub że brakowało mi doświadczenia wojskowego. To, że jestem kobietą, też nie zawsze pomagało. By to przezwyciężyć, poprosiłam kolegę, rosyjskiego weterana i dziennikarza, o przeprowadzenie niektórych wywiadów. Aleksiej wrócił do swego domu w Kałudze i spędził lato na rozmowach ze starymi żołnierzami, z których wielu znał od dzieciństwa. Odkryliśmy, że pewne ograniczenia istnieją nadal, choćby tabu seksu i śmierci, które dzieli pokolenie wojenne od naszego. Dowiedzieliśmy się też — wszyscy — że brzemień lat i patriotycznych mitów, wizerunku, jaki został przygotowany dla żołnierzy w czasie wojny, niezmiennie trudno jest usunąć teraz, gdy są oni bardzo starzy. Mimo to kilka wywiadów zaowocowało przyjaźnią, dialogiem trwającym po kilka lat. Problemy, na które odpowiedzi nie dawały żadne pisane źródła archiwalne, rozwiązywały się lub przekształcały przy herbacie, wódce lub gruzińskim winie. Ale chociaż weterani rozprawiali żywo o miłości, jedzeniu, podróżach, wsi i pogodzie i chociaż z radością wspominali zawarte przyjaźnie, niewielu chciało wrócić do samej walki.

Ta blokada, dowiedziałam się, nie jest typowa tylko dla Rosjan. John Steinbeck, który odwiedził ZSRR zaraz po wojnie, sam widział bitwę. Ale nawet on — jak niemal każdy żołnierz, który się skupia na walce - był świadomy, że pewne rzeczy, a przede wszystkim bitwa, wymykają się opisowi. Gdy żołnierze zostają wycofani z boju, wyjaśnia Steinbeck, są fizycznie i emocjonalnie wyczerpani i zwykle uciekają w sen. „Kiedy budzisz się i myślisz o tym, co się działo - ciągnie - wydarzenia już stają się snem. Próbujesz zapamiętać, jak to było, i nie możesz. Zarysy w twojej pamięci są mgliste. Następnego dnia wspomnienie jeszcze bardziej blaknie, aż wreszcie niewiele zostaje. (...) Ludzie podczas przedłużającej się bitwy nie są normalnymi ludźmi. A jeśli potem wydają się małomówni, może po prostu niewiele pamiętają”²³. Listy radzieckich żołnierzy i wspomnienia ocalałych niemal za każdym razem przedstawiają tę samą historię. Być może są aspekty przemocy, w wypadku których brak wspomnień jest dobrodziejstwem. Wykorzystałam każde źródło, jakie

znalazłam, od relacji do wierszy, od raportów policyjnych do opisów okaleczonych pociskami lasów, by zrekonstruować kosmos wojny. Użyłam także materiałów niemieckich, gdyż niekiedy wróg dostrzega więcej niż żołnierze drugiej strony. Jednak ostatecznie odrobina przemilczeń ukazuje prawdę dokładniej niż całe strony prozy.

Inni weterani wszakże są po prostu sfrustrowani. W Rosji ponowne interpretowanie wojny wciąż napotyka duży opór (w większości byłych republik radzieckich jest on mniejszy). Rocznicowe obchody to niemal przemysł i wielu jego beneficjentów odrzuca rewidowanie faktów i szczegółów podczas przygotowań do wielkich parad i uroczystych ceremonii²⁴.

Również rząd rosyjski pragnie zachować pozytywny obraz wojny, ponieważ zwycięstwo nad faszyzmem pozostaje największym osiągnięciem i dumą współczesnej Rosji. Dlatego też badania nad konfliktem nie zyskują poparcia. Istnieją obawy przed żądaniami reparacji i zwrotu zagrabionych w Europie dzieł sztuki, nie one jednak stanowią jądro problemu. Sęk w tym, że obchody pocieszają ocalałych i podnoszą narodowe morale. Pomagają też podsyć wiarę w siły zbrojne w czasach, gdy wszystkie dowody wskazują na ich moralny upadek i kryzys finansowy. Wojskowym w krew weszło także utrzymywanie tajemnicy. Ministerstwo Obrony wciąż strzeże swojego olbrzymiego miasta-archiwum w Podolsku koło Moskwy. Główną przyczyną jest prawdopodobnie obawa przed ujawnieniem systematycznie ewidencjonowanej oficjalnej brutalności, tchórzostwa czy nawet zorganizowanego buntu. Ale nie ma powodu szukać rozsądnych przyczyn. Dla państwa, którego władza opiera się na niedostępności, tajemnica jest również celem samym w sobie.

Inne archiwa, jak zawsze, pozostają prawdziwymi skarbnicami. Mimo to nadal wielu dokumentów nie pozwolono mi obejrzeć. Niekiedy cenzura była prymitywna. W niektórych wypadkach zakazane karty po prostu opieczętowywano w szarej kopercie umocowanej spinaczami. Czasem utajniano całe partie akt. Zasady wydawały się dowolne. W jednym archiwum pozwolono notować przypadki dezercji, ale nie nazwiska żołnierzy kryminalistów (i zabitych). W innym ukrywano statystyki pijaństwa. W trzecim zaś wolno było czytać o pijaństwie i dezercji całego pułku, z nazwiskami i szczegółami, a personel siorbał herbatę i zajadał ciasteczka, podczas gdy ja

robiłam notatki. Ministerstwo Obrony ma monitorować wszystkie dokumenty z czasów wojny i z pewnością dokładnie pilnuje własnych zbiorów, ale jego reguły często są sprzeczne z ogólnymi zasadami dostępu, które obowiązują w archiwach Federacji Rosyjskiej. Co więcej, nawet ministerstwo nie ma bezpośredniej kontroli nad polityką na byłych terytoriach radzieckich, które nie stanowią już części Rosji.

Poszukiwania Iwana, żołnierza Armii Czerwonej, wiązały się zatem z niejedną podróżą, a czasem najbardziej oczywiste ścieżki świadomie blokowano. Przedsięwzięcie wymagało wysiłku i wyobraźni. Nim zdołałam znaleźć prawdziwego Iwana, musiałam się upewnić, że nie szukam własnego o nim wyobrażenia. Młody rekrut stalinowskiej armii dorastał w świecie tak odmiennym od mojego, że należało zacząć od pejzażu, języka, rodziny, wykształcenia, obaw i nadziei. Państwo, które rości sobie prawo do przekształcania ludzkich dusz, jak robiło to za Stalina, nieuchronnie wyciskało swoje piętno na każdym młodym człowieku; ich wewnętrzny świat został przez nie naruszony, jeśli nie wręcz całkowicie przebudowany. Ta armia liczyła miliony, a w jej szeregach znaleźli się rekruci i ochotnicy, zwykli mężczyźni i kobiety, jak również zawodowi żołnierze. Na wiele sposobów armia uosabiała społeczeństwo, z którego wyrosła, a jej losy odzwierciedlają mocne i słabe punkty tego utraconego świata. Książka ta musi uwzględnić zapiski, tabele oraz coś, co można by nazwać konkurującymi fabułami, opowieściami, które wylaniają się, gdy dym opada. Ale powinna też objąć kilka setek indywidualnych historii autorów dzienników, listów i pamiętników, wdów i sierot, tych, którzy przeżyli. Mój przyjaciel, archiwista z Moskwy, chichotał na widok mojej zniechęconej miny. Jak zwykle potrafił dostrzec humorystyczną stronę ambitnego planu. „Napisałaś *Życie i śmierć*, czy jak to tam było - skomentował - a teraz chcesz napisać *Wojnę i pokój*”.

Sowieci to nie jedyny naród, który stworzył mit Iwana. Naziści, ze swoją namiętnością do przyklejania etykietek rasowych, mieli własne poglądy na temat Słowian w mundurze. Według

są radzieccy żołnierze byli „czerwoną hordą”, na poły azjatyckimi dzikusami, którzy zagrażali europejskiemu stylowi życia. W okresie wojny wywiad korzystał z bardziej naukowych metod. Nazistowscy obserwatorzy wojskowi gromadzili informacje, obserwując walkę, rozmawiając z własnymi ludźmi i przepytując jeńców²⁵. Chociaż jednak podziwiali załogi rosyjskich czołgów, pocieszali się brakiem wyszkolenia piechoty i zazdrościli przeciwnikowi gotowości na śmierć, nawet pragmatycznie myślący szpiedzy nie potrafili uniknąć języka biologii. „Dwie największe grupy [w Armii Czerwonej, Wiel-korusów i Ukraińców] wchłonęły te same cechy rasowe, których produkt dziś reprezentują - napisał niemiecki oficer. -W tej rasowej mieszaninie można się doszukać słabych germańskich naleciałości z okresu gockiego i średniowiecza. Szczególne znaczenie ma jednak według mnie zastryk krwi mongolskiej”²⁶.

Może się wydawać, że te opinie mają jedynie antykwaryczne znaczenie, ale znalazły one odbiorców. Wkrótce po upadku Trzeciej Rzeszy, w marcu 1947 roku, niektóre analizy Armii Czerwonej autorstwa oficerów niemieckich zostały przekazane agentom amerykańskiego wywiadu. Wówczas Sowieci nie byli już sojusznikami demokracji. „Zimna wojna” zacieśniła swój uchwyt, a decydenci w Stanach Zjednoczonych pragnęli się dowiedzieć więcej o mocarstwie, z którym mieli się zmierzyć. Nawet najskromniejsi żołnierze amerykańscy potrzebowali informacji o mocnych i słabych stronach wroga. Aby wspomóc ten proces edukacyjny, amerykański Departament Armii przygotował broszurę *Rosyjskie sposoby walki podczas II wojny światowej*, opisujący w drugiej części „szczególne cechy rosyjskiego żołnierza”.

„Cechy tych pół-Azjatów - zaczynała się broszura - są dziwne i sprzeczne”. Wzięci do niewoli nazistowscy oficerowie wykonali swoje zadanie. „Rosjanie - pisano dalej - ulegają nastrojom, które dla człowieka Zachodu są niezrozumiałe; działają, kierując się instynktem. Jako żołnierz Rosjanin jest prymitywny i skromny, wykazuje się wrodzoną odwagą, ale w grupie jest przygnębiająco bierny”. Jednocześnie „emocje ciągną Rosjanina do stada, które daje mu siłę i odwagę”. Trudności nie odstraszały tych prymitywów. Odporność Armii Czerwonej pod Stalingradem tłumaczono kulturą i azjaty-

kimi genami. „Nie ma przesady w twierdzeniu, że na rosyjskiego żołnierza nie wpływa pora roku i ukształtowanie terenu. (...) Żołnierz rosyjski potrzebuje tylko niewielkich zapasów”. Wreszcie, nie można zakładać, że Armia Czerwona będzie postępowała zgodnie z jakimikolwiek zasadami prowadzenia wojny. „Niemcy zorientowali się — podsumowuje streszczenie — że muszą się strzec nieuczciwości i podstępów pojedynczych rosyjskich żołnierzy i małych oddziałów. (...) Chwila nieuwagi często kosztowała Niemców życie”²⁷. Tego typu komentarze z czasów „zimnej wojny”, między innymi

O charakterze rasistowskim i pozostałe, pomogły pod koniec XX wieku ukształtować w świecie anglojęzycznym wizerunek żołnierzy Armii Czerwonej. Większość kombatantów odczułowiecza swojego wroga. Łatwiej zabić kogoś, kogo uważa się za całkowicie obcego, pozbawionego osobowości. A Rosja zawsze wydawała się bardzo odmienna, nawet w tym krótkim, czteroletnim okresie, kiedy Stalin był sojusznikiem demokracji. Żołnierze Armii Czerwonej może i byli dzielni, „prawdopodobnie stanowią najlepszy na świecie materiał, z którego można stworzyć armię”, jak zauważył pewien brytyjski ob

serwator, ale ich „niezwykła siła i wytrzymałość” oraz „umiejętność przetrwania w nędzy” niepokoiły nawet sprzymierzeńca²⁸.

Pomijając elementy rasistowskie, jest prawdą, że radzieccy żołnierze służyli jednej z najbardziej ambitnych dyktatur w historii

I że większość z nich została wychowana w duchu jej zasad. W tym sensie wielu nasiąkło ideologią reżimu bardziej niż żołnierze Wehrmachtu, radziecka propaganda bowiem pracowała nad świadomością narodową już od piętnastu lat, kiedy Hitler doszedł do władzy w Berlinie. Obywatele radzieccy byli też bardziej odizolowani od wpływów zewnętrznych i jedynie nieliczni (może z wyjątkiem weteranów z I wojny światowej) mieli okazję być za granicą. Mówili wspólnym językiem, który przekształcono po to, żeby pokazać świat w barwach marksizmu-leninizmu. Natomiast pogląd, że żołnierze Armii Czerwonej byli niezróżnicowaną hordą, czy nawet potomkami jednej rasy, jest mylny.

Podczas wojny Rosjanie stanowili większość w radzieckich siłach zbrojnych. Drugą co do wielkości narodowością byli Ukraińcy, lecz w Armii Czerwonej służyli także członkowie innych grup etnicz-

nych, od Ormian do Jakutów, jak również wielka liczba osób, które wolały się nazywać „Sowietami”, unikając tradycyjnych kategorii na rzecz nowego typu obywatelstwa²⁹. Wśród rekrutów znajdowali się wykwalifikowani robotnicy, młodzi ludzie, którzy zamienili obsługę maszyn przemysłowych na sztukę kierowania czołgami. Jednak chociaż armia uwielbiała takich poborowych, w jej szeregach trafili także chłopcy ze wsi, którzy nigdy wcześniej nie widzieli żarówki, nie mówiąc już o silniku. Rekruci z pustyń i stepów nie widzieli szerokich rzek, nie wspominając o pływaniu. To właśnie oni najszybciej tonęli, gdy padł rozkaz pokonania krymskich bagien lub sforsowania lodowatego Dniepru.

Panowała też duża rozbieżność w wieku żołnierzy. Większość poborowych urodziła się między 1919 a 1925 rokiem, ale powoływano również starszych, w tym dziesiątki tysięcy mężczyzn po czterdzieście - weteranów I wojny światowej, którzy wiedzieli, jak wyglądało życie za cara. Mentalność i oczekiwania tych ostatnich różniły się całkowicie od poglądów młodych chłopców prosto po radzieckich szkołach. Niektórzy pamiętali nawet inne typy armii. Za cara w wojsku panowała hierarchia i surowa dyscyplina, ale w latach dwudziestych przeprowadzono krótki eksperyment z odejściem od podziałów klasowych, próbę zbudowania armii ludowej, wolnej od patosu, oficjalności i złotych galonów³⁰. Ludzie pamiętający ten eksperyment odnosili się podejrzliwie do musztry, byli czujni i skłonni do potępienia (czy nawet zastrzelenia) niedoświadczonych młodych oficerów. Nie istniał nigdy jeden typ armii. Po kilku miesiącach w drodze z byłymi wieśniakami, drobnymi oszustami, zawodowymi żołnierzami, młodzikami i niedoszłymi poetami, jak on sam, jeden z poborowych, Dawid Samojłow, podsumował, że „ludzie to nie przemielony farsz do wypychania kiełbasy historii. (...) Wspólne język, kultura i los pozwoliły ukształtować się cechom, które przejęło wiele osób, a które nazywamy charakterem narodowym. Ale w rzeczywistości ludzie to mnogość charakterów”³¹.

Gdyby radziecka kultura nie była zdolna wytworzyć jednego typu człowieka, istniałyby podstawy do podejrzeń, że mogłaby to zrobić sama wojna. Trudno dojrzeć indywidualność na tle rzezi na masową skalę lub choćby wyobrazić sobie wrażliwość, kiedy niemal wszystko

przesłaniają dym, smród i ogłuszający hałas. Brutalizacja - czy, jak to ujął Omer Bartoy, barbaryzacja - to słowo, które przychodzi tu na myśl³². A mimo to ci żołnierze, jak wszyscy inni, mieli marzenia i aspiracje, ambicje, które sięgały od awansu czy członkostwa w partii komunistycznej do krótkiej przepustki, nowych butów lub niemieckiego zegarka. Nieustannie pisali listy do domu, żeby donieść o zmianie pogody, otaczającym *pejzażu*, zdrowiu czy rasie miejscowych świń. Zawierali również przyjaźnie i snuli opowieści o powrocie do domu, skręcali papierosy, kradli wódkę, opanowywali nowe umiejętności. Front nie był tylko teatrem żyjących zmarłych. Paradoksalnie tym, którzy przeżyli, wojna pozwoliła *ujrzeć* nowy świat, krajobraz, jakiego nigdy by nie zobaczyli, gdyby zostali w swoich gospodarstwach. Armia niemiecka przechodziła odwrotny proces, maszerując przez tereny, które uderzały byłych robotników z Bawarii czy Saksonii swym prymitywizmem, barbarzyństwem, brakiem prądu, ogrzewania i bieżącej wody. Podczas gdy oddziały Wehrmachtu przyjeżdżały na front, początkowo z Paryża, pojazdami mechanicznymi, najlepsi żołnierze Armii Czerwonej pochodzili z wiosek, w których za podróż uważano pięciodniowy marsz do miasteczka. Niektórzy strzelcy plądrujący Berlin, popijający stary koniak z miśnieńskich filiżanek, przed wstąpieniem do armii i wybuchem wojny nie postawili stopy w pociągu.

Porównania z innymi armiami dają więcej niż tylko sugestie dotyczące cech charakterystycznych dla Armii Czerwonej; wskazują również tematy, których radzieckie źródła same nie oświetlają. Podstawowe pytanie, którego nie ośmieliłyby się zadać żaden pisarz urodzony w stalinowskim świecie, brzmi: Co sprawiało, że żołnierz radziecki walczył? Motywacja do walki, podobnie jak charakter narodowy, zajmowała ekspertów wojskowych Stanów Zjednoczonych w latach pięćdziesiątych. W rezultacie powstała teoria o lojalności małych grup, twierdzenie, że ludzie dają z siebie wszystko w boju, jeśli mają „kumpli”, „grupy pierwotne”, które — w przeciwieństwie do ideologii czy religii - naprawdę zyskują ich miłość³³. Teza ta zainspirowała nowy kierunek w szkoleniu i wykorzystywaniu rezerw

I stała się obiegową opinią psychologów społecznych i polityków. Jednak Armia Czerwona nie całkiem pasuje do tego wzorca. Na

pewno bataliony szkoliły się razem na tyłach, gdzie dołączały do nich rezerwy. Albo taki, w każdym razie, był plan. Kiedy wszakże straty były wysokie, kiedy średni czas pobytu piechura na froncie, zanim wyeliminowała go śmierć lub poważna niedyspozycja, wynosił trzy tygodnie, małe grupki rzadko istniały dłużej.

Wysokie straty ponosił też Wehrmacht i sugerowano, że w szeregach niemieckich miejsce grup pierwotnych zajęła ideologia z jednej, a strach z drugiej strony³⁴. Strach odgrywał rolę również w Armii Czerwonej, chociaż początkowo żołnierze bardziej obawiali się niemieckich działań niż własnych oficerów, co paraliżowało ich zdolność do walki³⁵. Ideologia także zajmowała centralne miejsce w życiu radzieckich żołnierzy. Ukształtowano ich tak, by postrzegali siebie nie jako obywateli w mundurach, ale jako świadomą awangardę rewolucji, ostrze wojny sprawiedliwej. Otwarta pozostaje kwestia, jak skuteczna mogła być ideologia w motywowaniu ich i jak kłóciła się ze starszymi poglądami, włącznie z religią i tradycją

nacjonalistyczną. Komunistyczna retoryka mogła wywoływać niejaki zapal, ale nie była powszechnie akceptowana, podobnie jak niemal boski status Stalina. W latach trzydziestych nazwisko przywódcy, pisane wersalikami, pojawiało się w broszurach, gazetach i na plakatach wszędzie tam, gdzie żyli Sowieci. Jego twarz spoglądała również z wojennych gazet i broszur, a nazwisko widniało na transparentach rozwieszanych między brzożami, by uświęcać miejsca zbiórek żołnierzy pod gołym niebem. Inną sprawą jest jednak uznawanie wszechobecności Stalina za dowód lojalności, przynajmniej wśród żołnierzy na froncie. „Szczerze mówiąc — napisał później poeta Jurij Bielasz — ostatnią rzeczą, o jakiej myśleliśmy w okopach, był Stalin”³⁶.

Do pewnego stopnia wyszkolenie budowało u ludzi pewność siebie, kiedy ideologia nie mogła ich przekonać i pocieszyć. W 1941 roku radzieccy rekruci stanęli przed najbardziej profesjonalną siłą bojową, jaką kiedykolwiek widziała Europa. W 1945 roku pokonali ją. Między tymi datami nastąpiła rewolucja w sposobie przygotowywania żołnierzy Armii Czerwonej, w myśleniu strategicznym, w użyciu i rozmieszczeniu sprzętu i w stosunku armii do polityki. Zmiany te, jeden z kluczy do radzieckiego zwycięstwa, wpływały na życie każdego żołnierza, a wielu pisało i mówiło o nich. Niektórych

cała sprawa denerwowała, zwłaszcza gdy, w związku z radzieckim zafascynowaniem amerykańskim stylem zarządzania, wykorzystywane metody przypominały przygotowanie linii produkcyjnej. Jednak nastąpił odpyływ, Stalingrad się oparł, a postępy w kolejnych dwóch latach wskazywały, że metody szkoleniowe Armii Czerwonej są coraz skuteczniejsze. Inną kwestią jest, jak bardzo przypominały one metody niemieckie i jak bardzo obie strony uczyły się od siebie. Pozostaje też pytanie o miejsce retoryki partyjnej, komunistycznych poglądów, w tej zdecydowanie technicznej dziedzinie.

Wreszcie istnieje problem, o którym milczą niemal wszystkie radzieckie źródła. Trauma w Armii Czerwonej była niemal niewidzialna. Rzadko omawiano nawet wpływ wojny na życie rodzin żołnierzy³⁷, ale cierpienie, jakie wszyscy ci ludzie widzieli na froncie, stanowiło temat tabu. Niewiele pól bitewnych dorównywało Stalingradowi, Kerczowi czy Prochorowce, a nieliczne obrazy masowej eksterminacji przewyższały Babi Jar, Majdanek czy Auschwitz. Jednak oficjalne dokumenty nie mówią nic o traumie, stresie bitewnym czy choćby depresji. Ówczesne raporty medyczne rzadko wspominają o chorobach psychicznych, nawet wśród żołnierzy. Pod postacią chorób serca, nadciśnienia czy schorzeń gastrycznych pojawiają się często w powojennych aktach szpitalnych, nie wzbudzając wszakże szczególnego zainteresowania. Pytanie brzmi nie tyle, czy czerwonoarmiści cierpieli z powodu stresu, ile — jak go postrzegali i jak sobie z nim radzili.

Wiąże się z tym długofalowy problem ich adaptacji do warunków pokoju. W ciągu czterech krótkich lat poborowi Armii Czerwonej zmienili się w zawodowców, wyszkolonych żołnierzy, zdobywców. Za życia Stalina nie było dużego zapotrzebowania na takie umiejętności. Powrót do domu mógł być równie kłopotliwy jak pierwsze tygodnie w mundurze. Dla wielu zamieszanie trwało przez następne dziesięciolecia. Proces dostosowania obejmował problemy rodzinne, ubóstwo, depresję, nadużywanie alkoholu, przestępstwa. Być może ostateczne zwycięstwo ocalałych należałoby mierzyć stopniem osiągnięcia normalności na starość, upodobaniem do herbaty i słodczy, zdjęciami wnucząt, grządkami pomidorów na daczce. Ten triumf — mało spektakularny, ale najbardziej długotrwały — to część

wyjątkowości tego pokolenia, aspekt tej szczególnej cechy, którą uczniowie, współtwórcy mojej książki, mogli wyczuć, ale nie potrafili

nazwać.

Jest piątkowy wieczór w połowie lipca. Moja asystentka Masza Bielowa i ja zostałyśmy zaproszone na herbatę. Pracowałyśmy w kur-skim archiwum i czytałyśmy o chaosie, jaki zapanował w obwodzie wraz ze zbliżaniem się frontu w 1943 roku. Dokumenty opowiadają zadziwiającą historię. Postępy Armii Czerwonej zapowiadały wyzwolenie, ale nie wszyscy cieszyli się z przybycia żołnierzy, gdyż ci plądrowali domy w poszukiwaniu żywności i żądali koni do ciągnięcia dział. Pojawilo się też zagrożenie na ulicach: nie tylko ostrzał, ale włamania, napady i nierozbrojone miny. Po dziewięciu godzinach czytania takich dokumentów wojna wydaje się realna, a ciche popołudnie jest jak sen; przedstawienie się zawsze zabiera chwilę. Trudno jednak było nam dłużej zachować powagę, kiedy już opuściłyśmy plac. Budynek, który odwiedzamy, stoi na dziedzińcu ocienionym przez platany. Na każdym piętrze otwarte okna, niektóre przesłonięte suszącym się praniem, inne pełne sadzonek pomidorów lub nagietków w plastikowych doniczkach. Mężczyzna w kombinezonie naprawia samochód. Inny przygląda nam się, wypływając łuski słonecznika. Kobieta, do której przyszłyśmy, czeka na schodach. *Zdejmujemy* buty przed jej drzwiami i wchodzimy do pokoju.

Waleria Michajłowna urodziła się pod Kurskiem w 1932 roku. Pochodzi ze wsi, jest córką chłopca, a kiedy mówi, jej akcent jest gardłowy, spółgłoski zaś niewyraźne — połączenie rosyjskiego i ukraińskiego. „To było straszne - powtarza. - Przeróżające. Boże uchwaj! Dziewczeta kochane, miłe, co ja wam mogę powiedzieć o tej strasznej wojnie?” Siedzi na niskim stołku naprzeciwko nas i gdy rozpoczyna opowieść, zaczyna się bujać. „Przyszli, nie pamiętam kiedy. Były czołgi, przyjechały czołgi, były samoloty, niemieckie i nasze. Całe niebo aż czarne. Boże uchwaj! Zapaliły się czołgi, płonęły. Wszędzie spadały bomby. I walczyli, wszędzie bitwy. Miałam dziewięć lat. Ludzie płakali, wszyscy płakali, matka płakała. Moje kochane dziewczeta. - Kołysze się, uśmiecha, po czym jej twarz

znowu staje się surowa. - Wszędzie leżały ciała. Takie złe warunki mieliśmy, takie złe. Wzięli jeńców. Widzieliśmy ich. Zabrali naszego ojca, został jeńcem wojennym. Matka była wciąż młoda i piękna, to było przerażające. Trudno to sobie wyobrazić. Było zimno. Pamiętam, że był lód. Do naszej stodoły znieśli rannych żołnierzy. A ranni krzyčeli: »Pozwólcie nam umrzeć, pozwólcie nam umrzeć«. Położyli ich w naszej stodole. A potem, drogie dziewczeta, przychodzili i zdejmowali ubrania ze zmarłych. Ich koszule, płaszcze. Zabierali je i wkładali. Nie prali ich, ani nic. Boże uchwaj!”

Waleria Michajłowna nie jest bogata, ale w jej mieszkaniu jest elektryczność i gaz, stoi również czarno-biały telewizor, który zapewne jest prawie cały czas włączony. Ma też pracę; nie mieszka w leśnej chacie na uboczu. Jednak kiedy zaczyna mówić, słowa padają z prawdziwym wiejskim akcentem, rodem z wioski sprzed stu lat. Pojawiają się katastrofy, ludzie cierpią, Boże uchwaj. Opowieść płynie białym wierszem, przerywana tym refrenem — drogie dziewczeta, kochane dziewczeta, Boże uchwaj! Z pewnością matki chłopców, którzy walczyli z Napoleonem, mówiły w tym samym rytmie, tkając swe opowieści na podstawie powtórzeń. Podobnie jak tamte historie, ta uznaje istnienie przeznaczenia, oddziela dobro od zła, przedstawia szczegóły potwierdzające prawdę. Żołnierze austriaccy byli dobrymi ludźmi, życzliwymi. Finowie byli najgorsi. Nawet Niemcy się ich bali. Niemcy nienawidzili zimna, drogie dziewczeta. Nienawidzili zimy, bali się jej. Kiedy było ciepło, lubili się rozglądać za jajkami, lubili jajka i mnóstwo mleka. Ale Niemcy zbombardowali nas, spalili nasze domy, spędziliśmy tam z nimi dwa lata. To było przerażające.

Twarz Waleni Michajłownej jest pełna skupienia. Chce nas zrozumieć, chce pojąć, po co tu przyjechałyśmy. Swoją historię opowiadała już wielokrotnie, ale bardzo stara się tchnąć w nią życie. Trudno powiedzieć, ile z tego, co mówi, pochodzi z jej wspomnień, a ile z miejscowego folkloru. Jednak nastaje chwila, kiedy rytm się zaburza, kiedy wszystkie lata i późniejsze opowieści odpływają, a Waleria stoi za drzwiami w chacie swojej matki. Poprosiłam ją, żeby opowiedziała o momencie, gdy Armia Czerwona zajmowała jej wieś. „Mieszkaliśmy przy moście — zaczyna. — Niemcy wysadzili go, ponieważ się cofali. Patrzyliśmy, jak idą i idą. Wycofywali się z Woroneża. Zabrali

wszystko. Zabrali nasze jedzenie, nasze garnki. — Przerwała. — Nie spodziewaliśmy się naszych. Ale rozległo się pukanie do drzwi. Matka powiedziała, że to pewnie jakiś Niemiec. Ale to był jeden z naszych. .. — Zaczyna płakać, lecz jednocześnie się uśmiecha, przyciska do siebie ręce, potrząsa głową i przeprasza za pauzę. - Wziął mnie na ręce. To był jeden z naszych. Przychodzili, pukali do naszych drzwi. Brali mnie na ręce. Pukali i mówili: »Przyszliśmy...«"

„Zawsze płaczę, kiedy ich sobie przypomnę — powiedziała mi później przy herbacie. — To byli nasi. Nie mogłam w to uwierzyć. — W 1943 roku mała dziewczynka płakała pewnie tak samo. Ale potem, jak wyjaśniła: - Nie mogli zostać, oczywiście". Wyzwoliciele szli dalej i została po nich jedynie migawka w jej pamięci, żołnierz u drzwi. Sześćdziesiąt lat propagandy zmieniło być może wspaniałe opowieści wojenne, ale radość jedenastoletniej Wali nie mogła być udawana. Przesłuchując taśmę z jej opowieścią, niemal słyszałam szuranie ciężkich butów, niskie głosy, prowadzoną bez strachu rozmowę po rosyjsku. Ludzie, których tak zgrabnie dla mnie wyczarowała, nie są już zwykłymi chłopami. W jej opisie stali się bohaterami rosyjskiego eposu.

- Tutaj nie ma dla nas nic ciekawego - powiedziała Masza w drodze powrotnej. — Była bardzo miła, ale tak naprawdę chyba niewiele widziała, prawda?

W porównaniu z innymi naszymi rozmówcami rzeczywiście tak. Właśnie tego ranka spędziłyśmy godzinę na organizowaniu wywiadów z miejscowymi weteranami, z których jeden czy dwóch mogło znać żołnierza, który zapukał do drzwi Walerii w 1943 roku. Wysłuchałyśmy też innych, opowiadających o dniu, kiedy zostali powołani, o doświadczeniach ze szkolenia, o pierwszych bitwach, zabitych przez siebie niemieckich żołnierzach. Kilka dni wcześniej w Prochorowce, gdzie stoczona została kulminacyjna bitwa pancerna starcia pod Kurskiem, weteran opisywał swoje przerażenie, kiedy wokół niego zapaliły się pola dojrzewającej kukurydzy i cały horyzont stanął w płomieniach. Waleria Michajłowna była młodsza od większości weteranów i nie była żołnierzem, tylko kobietą.

Dopiero kiedy przemyślałam ten wywiad nocą, uświadomiłam sobie, jak naprawdę jest ważny. Bez niego wszystko, co powiedzieli żołnierze, nie miałyby kontekstu. Większość żołnierzy, których

znała młoda Waleria, pochodziła z jej świata. Niemal trzy czwarte radzieckich piechurów z czasu II wojny światowej wywodziło się ze wsi. Ich horyzonty nie były szersze niż Walerii, ich życie wewnętrzne ściśle wiązało się z Bogiem i z ziemią. Historie ich życia są niemal identyczne: cykl zbiorów, zim, śmierci i trudu; związane z nim wszystkie ważniejsze wydarzenia, niezależne od nich. Ale trafili do armii i ich świat zmienił się na zawsze.

Wielu z nich czekało kalectwo lub śmierć. Jednak to nie cała historia tej wojny. Paradoks jest przerażający, ale to prawda, że żołnierze radzieckiej piechoty, jeśli przeżyli, mogli szczerze mówić o pewnego rodzaju awansie. Spotykali cudzoziemców: Niemców, Włochów, Polaków, Rumunów, Węgrów, Finów, a nawet Amerykanów. Walczyli ramię w ramię z radzieckimi obywatelami, którzy

nie mówili po rosyjsku, byli muzułmanami, a przed bitwą wzywali Allaha, nie Stalina. Oglądali i obsługiwali nowoczesne maszyny; uczyli się strzelać, prowadzić samochód, rozbierać na części różnorodną broń i pojazdy. Stawali się również adeptami czarnorynkowego handlu i sztuki przetrwania. Jako zdobywcy burżuazyjnego świata jedli na najlepszej porcelanie, upijali się do nieprzytomności słodkim tokajem, zmuszali do uległości kobiety. Do końca wojny nabierali poczucia własnej wartości. Ale nawet kiedy wkraczali do wsi podobnych do wioski Walerii, tak przypominających ich siedziby z czasów pokoju, musieli odczuwać własną przemianę, drogę, jaką przeszli od chwili powołania do wojska.

Witający ich ludzie dostrzegali również tkwiącą w nich przemoc. Niemiecka okupacja była o wiele gorsza, niż zapamiętała Waleria. Nawet na wsi wieszano komunistów i Żydów, gwałcono kobiety, a mężczyzn — jeśli się tam jacyś znajdowali — wysyłano do niewolniczej pracy w Rzeszy. Armia Czerwona miała skończyć z tym wszystkim, ale stawiała też żądania, ewakuowała siłą ludność ze strefy frontu, rekwirowała cenną żywność i inne artykuły, niszczyła zbiory i zabudowania. Ten, kto ocalał, wiedział o tym, a w archiwach zachowały się dokumenty opisujące opór cywilów, zbrodnie i gniew. Jednak emocje Walerii na widok wysokiego Rosjanina u drzwi nie były wytworem propagandy, nawet w retrospekcji. Odzwierciedlały nadzieję, wiarę i lojalność, jaką Rosjanie zachowują wobec swoich, uczucia, które wypełniały serca wielu weteranów.

Waleria Michajłowna nigdy nigdzie nie wyjeżdżała. Naukę w szkole przerwała jej wojna, a potem nie zdołała już jej dokończyć i pozostała na zawsze w rodzinnym obwodzie. System radziecki, który panował przez całe jej dorosłe życie, nie zasypywał obywateli informacjami. Teraz, jako starsza osoba, nie miała możliwości kupować i czytać ilustrowanych czasopism zapełniających witryny księgarni w nowej Rosji. Przybyszów witała wciąż z tym samym zaciekawieniem - wionęli egzotyką jak ów nieznajomy żołnierz w 1943 roku. „Opowiedzcie mi o Anglii” — poprosiła. Zastanawiałam się, czy chce się czegoś dowiedzieć o Tonym Blairze lub porozmawiać, jak inni weterani, o wojnie w Iraku. „Macie morze?” - spytała. Wyjaśniłam jej, że Anglia stanowi część grupy wysp. Marny kilka mórz. „A powiedzcie mi - ciągnęła, uśmiechając się ciepło nad swoją filiżanką i spodkiem — nie ma problemu z jedzeniem w Anglii? Macie wszystko, co potrzeba?” Chciała mi zrobić na drogę paczkę z chlebem i ogórkami. To taki zwyczaj przed podróżą.

Rewolucyjny równaj krok'

Kiedy

ludzie dowiadują się, że muszą iść na wojnę, próbują wyobrazić sobie, jak to będzie. Ich wyobrażenia rzadko odpowiadają rzeczywistości, ale celem nie jest tu przewidywanie. Wiara, że chłopcy szybko wrócą do domu, że wróg zostanie zniszczony z chirurgiczną precyzją, podobnie jak mit, że wszystko się skończy przed Bożym Narodzeniem, służą zbudowaniu optymistycznego nastroju i pewności siebie w czasie, kiedy bardziej naturalne byłoby przygnębienie. W 1938 roku, gdy perspektywa wojny na wielką skalę stawała się coraz realniejsza, obywatele stalinowskiego mocarstwa, podobnie jak wszyscy Europejczycy, próbowali rozproszyć swoje obawy pocieszającymi historiami. Radziecka wizja nadciągającego konfliktu miała zainspirować pokolenie ochotników, ale wyobrażenia tworzyła świadomie klika przywódców, których na drogę międzynarodowej wrogości

skierowała ideologia. Ulubionym medium stało się kino. W ruchomych, czarno-białych obrazach rozgrywała się epicka walka utopii i zacofania. Nastrój podbudowywała poruszająca muzyka. Kiedy indziej radzieccy obywatele otwierali gazety na stronach ze złowieszczyymi reportażami dyplomatycznymi; ich kraj przygotowywał się do walki. Jednak chociaż wiadomości docierające do obywateli przepełniała groza, filmy miały zaszczerpić w nich przekonanie, że awangarda ludu, Armia Czerwona, musi zatriumfować.

Największym eposem tamtych czasów był *Aksander Newski* Siergieja Eisensteina, antyfaszystowska przypowieść o rosyjskim zwycięstwie nad teutońskim najeźdźcą. Chociaż wielkie widowisko Eisensteina, które weszło na ekrany w 1938 roku, odnosiło się do XIII wieku, epoki słowiańskich ksiąząt i rycerzy krzyżackich, pośrednio nawiązywało do polityki lat trzydziestych, a na niektórych wrogich tarczach i chorągwiach pojawiła się nawet swastyka. Takiego przesłania nie mogła przeoczyć radziecka publiczność, wyczulona na wszelkie niuanse państwowej propagandy. Jednak pomijając cały dydaktyzm, film, z doskonałą muzyką Sergiusza Prokofiewa, przeszedł do klasyki kina radzieckiego. Pośledniejsze produkcje o podobnej tematyce nieco gorzej zniosły próbę czasu, ale w latach trzydziestych publiczność się nimi zachwycała. *Aleksander Newski*, przynajmniej na pozór, rozgrywał się w głębokiej przeszłości. Dla miłośników kina, którzy woleli patrzeć w przyszłość, powstał inny obraz — *Jeśli jutro wybuchnie wojna* Jefima Dzigana, również skierowany do dystrybucji w 1938 roku, przepowiadający rosyjskie zwycięstwo w obliczu przyszłej inwazji; film z gatunku tych, które nie dają spać po nocach.

Jefim Dzigana chciał dodać ludziom otuchy. Siłę jego godzinnemu dziełu nadaje połączenie fikcyjnej akcji z wstawkami z prawdziwych kronik filmowych, splecenie dokumentalnego materiału z rozwijającą się fantazją na temat bezproblemowego zwycięstwa. Przesłanie - zdecydowane i stoickie, ale również pełne nadziei - podkreślał powtarzający się muzyczny refren ze słowami popularnego autora piosenek Wasilija *Lebiediewa-Kumacza*¹. *Jeśli jutro wybuchnie wojna* poruszał tak głęboką strunę w duszy radzieckiej publiczności, że przychodziła ona na seanse jeszcze po rozpoczęciu prawdziwej wojny. Do zimy 1941 roku nieprzyjaciel zajął trzecią część radzieckiego terytorium. Samoloty, które warczały w czarno-białym filmie Dzigana, zostały zniszczone, czołgi spalone, a dzielni żołnierze stłoczeni w obozach jenieckich. Nie można już było marzyć, że ta wojna wkrótce się skończy. Tej zimy wśród publiczności gromadzącej się w klasach szkolnych i pustych chatkach znaleźli się ewakuowani z Ukrainy i Smoleńska ludzie, których domy wpadły w niemieckie ręce. Gdy tłoczyli się, grzejąc własnym ciepłem, musieli zachować

cierpliwość, ponieważ dynamo obracało się na korbkę. Mimo to czar trwał². Ten film nie opowiadał o wojnie, ale o wierze. Wiara ta, a obraz ją podtrzymywał, stanowiła część tego, co definiowało pokolenia, które najbardziej odczują wojnę w Rosji. W straszliwych latach, jakie ich czekały, ludzie będą nucić muzykę z tego filmu, by dodać sobie ducha. Maszerując przez zakurzony step lub brzdąkając na gitarze przy ognisku, żołnierze najczęściej śpiewali piosenkę *Lebiediewa-Kumacza*.

Akcja filmu rozpoczyna się w wesołym miasteczku, zapewne w świeżo otwartym parku Gorkiego, moskiewskim Parku Kultury i Wypoczynku. W oddali widać kremlowskie wieże zwieńczone błyszczącymi elektrycznymi gwiazdami. Jest noc, ale miasto się bawi, są diabelskie młyny i fajerwerki, młodzież spaceruje z lodami. To socjalistyczny raj, miejsce zasłużonego odpoczynku, szczęśliwych par, jedzenia w jaskrawych kolorach. Jest w tym niewinność, nie ma przestępczości ani seksu, aż mdło bez grzechu. W tej krainie Stalin i jego

lojalni współpracownicy dbają o wolność dzieci rewolucji. Jednak ich wolność jest zagrożona. Przebitka przenosi widzów na radziecką granicę, gdzie faszystowskie wojska, niczym mrówki, wspinają się na czołgi. Mowy nie ma, by czuć do nich sympatię. To nie czarujący łajdacy, ale absurdalni pajace. Ich oficerowie mają wielkie wąsy, pompatyczny wygląd i chodzą rozkołysanym krokiem kawalerzystów. Piechurzy czołgają się, lotnicy garbią. Cały czas mówią po niemiecku, ale bardziej jak rysunkowi Prusacy z książeczek dla dzieci niż hitlerowcy w wysokich skórzanych butach. Nawet swastyki na ich hełmach i kołnierzach są dość ekscentryczne. To karykaturalny faszyzm, a nie coś rzeczywistego.

Najazd zaczyna się nocą. Robi się przerażająco i przez chwilę martwimy się o korpulentną młodą kobietę, która gotuje zupę

O rzut kamieniem od frontu, ale straż graniczna trzyma agresora na dystans. Nasza gospodyni dołącza do mężczyzn, zrzuca fartuch i zajmuje miejsce w szeregu strzelców wyborowych, udowadniając, że patriota może robić wszystko. Na nieszczęście jednak to dopiero początek serii perfidnych ataków. Następny nadchodzi z powietrza. Faszystowskie dwupłatowce warczą groźnie, ale niebezpieczeństwo po raz drugi zostaje zażegnane. Radzieckie samoloty, flota błysz-

czących nowością maszyn, wzbijają się w niebo i w tym momencie publiczność powinna rozpoznać asów, którzy je pilotują. Jest Ba-buszkina, bohater arktycznej akcji ratunkowej sprzed kilku lat, oraz Wodopianow i Gromów, latające gwiazdy. Ich nazwiska pojawiają się na ekranie, na wypadek gdybyśmy jeszcze ich nie poznali. Lata trzydzieste były epoką bohaterów, a piloci stanowili prawdziwą elitę. W scenie, której ironia stanie się oczywista trzy lata później, kiedy w czerwcu i lipcu 1941 roku Luftwaffe przypuści swe niszczące ataki na rosyjskie lotniska, słynne asy podejmują śmiałe rajdy na mateczniki faszystów, niszcząc wrogie maszyny na ziemi i wracając do domu bez strat.

A teraz przychodzi kolej na Armię Czerwoną. Ochotnicy napływają ze wszystkich krańców radzieckiego państwa. W kolejce do punktu werbunkowego stoi starszy mężczyzna z siwą brodą. Podczas wojny domowej walczył przeciwko generałowi białych, Denikino-wi, a teraz znowu chce się bić z wrogiem. Wyciąga w stronę kamery zaciśniętą pięść i zapewnia, że wróg „popamięta nas na zawsze”. Faszyści, podobnie jak biali, stali się nieprzejednanymi wrogami prawomyślnych obywateli. Jednak nie wszyscy obywatele byli na tyle sprawni, by walczyć, i dowiadujemy się, że służba na froncie jest przywilejem. Wielu starszych i bardzo młodych ludzi pracuje i czeka na to. W domu zostanie też część kobiet, ale inne, równie dobrze przygotowane do walki i bojowe jak mężczyźni, wkładają mundury i zaciskają zęby, szykując się na wielkie czyny. Zgłaszają się nie tylko Rosjanie. Ludowy komisarz obrony Klimient Woroszyłow pojawia się w najlepszym mundurze i wygłasza apel do ludzi ze wschodu, przede wszystkim Uzbeków. Twardzi mężczyźni w czapkach z owczej skóry odpowiadają od razu. Mowa Woroszyłowa staje się punktem zwrotnym dla wszystkich. Wkrótce oddziały radzieckie ruszą do ataku i wypchną faszystów z okopów. Wojna przeniesie się na terytorium agresora i zostanie wygrana.

Opowieść nie stanie się już bardziej przerażająca. Gdziekolwiek radzieckie siły napotykalą wroga, faszyści muszą uciekać, ratując życie. Nie wszystkie walki toczą się przy użyciu najnowocześniejszej techniki i tak naprawdę w największej scenie batalistycznej uczestniczy kawaleria i piechota z bagnetami, ale nie ma ani śladu krwi.

Pojawia się tylko jeden poważnie ranny. Ofiara to członek załogi czołgu, który razem z bratem

wstąpił do wojska w pierwszym rzucie i jego przygoda rozpoczęła się od razu. Mężczyźni — w towarzystwie pięknej młodej pielęgniarki - spędzają kilka chwil leniwego szczęścia w swoim radzieckim czołgu, zadziwiająco przestronnym pojeździe, którego kabina przypomina przyczepę kempingową. Wyglądają, jakby jechali na wakacje, nawet gdy maszyna zatrzymała się ze zgrzytem. Nasz bohater, spokojny i radosny niczym młody Cliff Richard, pozostaje niewzruszony. Chwyta klucz, gramoli się na zewnątrz przez właz, a następnie rozlega się metaliczne postukiwanie, odgłosy pracującego mężczyzny, i chociaż nie widać aktora, słysząc, że usuwając usterkę, gwizdże tytułową piosenkę. Ale nagle muzykę przerywają strzały. W czołgu na twarzy brata pojawia się niepokój. Przez kilka sekund niepewności, przy dźwiękach skrzypiec, widz wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na tragedię. Jednak dzieci Stalina nie mogą długo płakać. Chłopak został tylko ranny w rękę. Wślizguje się z powrotem do maszyny, pielęgniarka opatruje go i jest jak nowy. Cała załoga zaczyna znowu śpiewać i rusza wygrywać wojnę.

Historia kończy się w Berlinie. Radzieckie samoloty nadlatują falami w kluczach niczym dzikie gęsi. Nie zrzucają jednak bomb. Mają za zadanie rozrzucić ulotki wzywające mieszkańców do złożenia broni i przystąpienia do międzynarodowej proletariackiej rewolucji socjalistycznej. Wiadomość przychodzi w samą porę, gdyż właśnie odbywa się wielki wiec. Robotnicy tego kraju przygotowują się do zrzucenia więzów kapitalizmu. Ekran wypełniają hasła. Wojna, mówią, prowadzi do zniszczenia kapitalistycznego świata. Walki nie będą się toczyć na radzieckiej ziemi. Tym dodającym otuchy słowom towarzyszą fanfary i kolejne transparenty. Widzowie uśmiechają się: są uratowani. Gdy muzyka przycicha, kolejny napis przypomina nam, że ceną wolności jest gotowość do wojny. Być przygotowanym oznacza jechać na Berlin w błyszczącym czołgu, być przystojnym pilotem lub piękną pielęgniarką, celować z broni do zdrowego człowieka i zabijać go, nie rozlewając ani kropli krwi.

Marzenie o szybkim i łatwym zwycięstwie nie miałyby takiej siły, gdyby ograniczyło się do dużego ekranu. Nie byłoby też tak druz-

gocące. W 1938 roku problem polegał na tym, że fantazja wpłynęła na prawdziwe myślenie strategiczne. „Decydujące zwycięstwo małym kosztem” stało się wizją nie tylko propagandystów; był to oficjalny cel Armii Czerwonej. Film Dzigana miał pomóc w przygotowaniu obywateli do wojny, jednak również - co mniej konstruktywne — stał się scenariuszem dla generacji wojskowych. W 1937 roku, kiedy Stalin zastąpił swych czołowych strategów ludźmi wybranymi z powodów politycznych, a więc krańcowo odległymi od czysto militarnych umiejętności, w Moskwie pojawiło się nowe podejście do bezpieczeństwa narodowego. W przeszłości dużą część planów stanowiły strategie obronne. Teraz szkolono czerwonoarmistów głównie z myślą o operacjach ofensywnych. Plany i ćwiczenia niezbędne dla długotrwałej obrony zminimalizowano, podobnie jak ledwo rozpoczęte przygotowania do operacji partyzanckich na terytorium radzieckim³. Pogląd, że wróg zostanie odparty i pobity na własnej ziemi, nie był tylko romantycznym marzeniem; od końca lat trzydziestych stał się osią stalinowskich planów wojskowych.

Było tak, jakby cały naród podzielał te złudzenia. Podczas gdy Hitler i jego generałowie szkolili największą zawodową armię na kontynencie, doradcy Stalina popuszczali cugle fantazji. Pojawiały się heretyckie głosy — silne — ale do 1938 roku krytycy zniknęli w łagrach i ukrytych grobach. Skoro bolszewicy mogli wygrać wojnę domową, krzyczeli propagandziści, skoro zdołali postawić tamę na Dnieprze, przegnać Boga i dolecieć do bieguna północnego, to z pewnością zdołają utrzymać na dystans faszystowskiego najeźdźcę. Historia, nieuchronny prąd kierujący całą ludzkość ku wspólnemu celowi, i tak była po ich stronie. Złudzenie to wyrażało wiele innych filmów z tego okresu, włącznie z tym, który ukazywał dużo więcej czołgów. W produkcji tej - *Czołgistach* -

bohater, Karasiow, dostaje rozkaz przeprowadzenia rekonesansu za liniami wroga. Postanawia jednak wykroczyć poza swe obowiązki. Angażuje podłego przeciwnika w walkę, uszkodza kilka maszyn, a potem rusza w stronę Berlina. Kiedy tam dojeżdża, wdziera się do Reichstagu i bierze Hitlera do niewoli. „Dobra robota, Karasiow — gratuluję mu towarzysze po powrocie. — Dla nas już nic nie zostało do zrobienia!”⁴

W 1938 roku publiczność, która oglądała te filmy, opuszczała

kino i wychodziła w prawdziwą rosyjską noc. W zasięgu wzroku nie było radosnych tłumów i oświetlonych parków, które ludzie widzieli na ekranie. Zamiast tego w drodze do domu mijali posępne place budów, szli błotnistymi ścieżkami między ubogimi chatami lub przez wymarłe ulice, na których latarnie świeciły tylko przez kilka przecznic, a potem ustępowały przed mrokiem. Wielu wracało do mieszkań tak zatłoczonych, że dwie rodziny i całe trzy pokolenia gnieździły się w jednym pokoju. Inni, młodszy, mogli iść do sypialni w stylu koszarowym, gdzie dziesiątki osób spały pokotem. Rewolucja nie wzbogaciła tych Rosjan. Nie uczyniła nawet ich kraju wielką potęgą przemysłową, za jaką go mieli, chociaż tempo zmian było zadziwiające, a produkcja wzrastała. Ale od innych tłamszonych robotników walczących o przetrwanie odróżniała ich wiara, że zostali wybrani. Mogli być głodni, niemal bosi i gnieździć się w norach, ale pracowali, by zmienić świat. Musieli wygrać. Tak wyglądała publiczna twarz radzieckiej kultury.

Państwo radzieckie rodziło się w walce. Jeśli jakiś naród znał oblicze przemocy, to właśnie ten. Najpierw była carska wojna z Niemcami, podczas której zginęło więcej Rosjan niż żołnierzy jakiegokolwiek innego europejskiego państwa⁵. Perspektywa klęski, wraz z trudnościami, jakie przyniósł wysiłek wojenny, doprowadziły do zamieszek w lutym 1917 roku - wybuchu powszechnego niezadowolenia, który obalił cara i postawił u steru nowy rząd. Jednak dopiero kolejny wstrząs, przewrót bolszewicki pod przywództwem Lenina, pozwolił wyczerpanym rosyjskim żołnierzom na powrót do domu. Traktat brzeski, na mocy którego nowe państwo porzuciło dawnych sojuszników, Wielką Brytanię i Francję, aby zawrzeć rozejm z Niemcami, zaprowadził na krótko pokój na początku 1918 roku. Żołnierze, którzy jeszcze nie zdezerterowali, ucieszyli się na wieść, że nie muszą już walczyć. Jednak wybuchła wojna domowa, konflikt, który ogarnął przyszły radziecki świat niczym szalejący pożar, zgarniając ponownie żołnierzy pod sztandary i prowadząc do poboru mężczyzn w każdym wieku. Brutalność, dotkliwsza niż w wypadku konwencjonalnych walk, stanowiła tylko jedno oblicze

tego nowego konfliktu. Zrujnowane miasta i wioski pustoszyły też epidemie - zwłaszcza tyfusu - a zbiory były małe i całe regiony głodowały. W 1921 roku, kiedy walki skończyły się wszędzie poza najodleglejszymi zakątkami nowego państwa, większość obywateli wiedziała już dokładnie, czym jest wojna.

Największą obietnicą nowego reżimu był pokój. Samo to słowo stanowiło najpotężniejszy element w bolszewickiej propagandzie jeszcze w 1917 roku, a w następnych latach niewielu rzeczy Rosjanie pragnęli bardziej. Jednak chociaż przywódcy mówili o pojednaniu, deklarując, że ich długofalowym celem jest harmonia i braterstwo, ich polityka prowadziła nieuchronnie do konfliktu z resztą świata. Marksizm-leninizm zakładał długotrwałą wojnę z kapitalizmem i mimo że walka miała się skończyć triumfem komunizmu, nikt nie wierzył w to, że będzie bezkrwawa. Gdy ostateczne zwycięstwo komunizmu będzie się zbliżało, wyjaśniali ideolodzy, jego oponenci

zaczną walczyć ze zwiększoną determinacją, uczeplieni przyjemnego życia we władzy i bogactwie, jakie zgromadzili. Zanim świat osiągnie ostateczny etap braterstwa i obfitości, musiał wybuchnąć jakiś konflikt zbrojny. Na skalę lokalną wciąż należało pokonywać w kraju resztki tych samych elementów — burżuazyjnego kapitalizmu i imperialistycznego ucisku. Państwo, samozwańczy instrument woli ludu, przystąpiło do ich wykorzeniania. Wojna klasowa -zupełnie nowy typ przemocy — szalała przez następne dziesięciolecie. Do 1938 roku pochłonęła 15 milionów ludzi, a dużo więcej pozostawiła bez dachu nad głową, złamanych, osieroconych lub pogrążonych w żałobie.

Perspektywa złotego wieku i obawa, że wrogowie gromadzą się, by ją zniweczyć, stanowiły marchewkę i kij stalinowskiej dyktatury. Utrzymała się opozycja wobec pewnych aspektów polityki, podobnie jak cyniczne oszustwa i przestępstwa. Było to jednak państwo pragnące zmieniać ludzkie życie, nie tylko monotonna tyrania. Do pewnego stopnia odpowiedź jednostki zależała od jej wieku. Rewolucja była punktem zwrotnym i każdy, kto był w jakiś sposób związany ze starym światem, mógł się czuć zagrożony zamętem nowego. Dla starszych ludzi strach i trudności rzucały złowrogi cień na początki komunizmu, podczas gdy wspomnienia wojny i terroru pod-

sycąły ostrożną czujność. Jednak młodzi - pokolenie, które stanowić będzie większość wśród żołnierzy po 1941 roku — dorastali, ucząc się optymistycznego języka nadziei. Rozłąmy w dużej mierze pozostawały w ukryciu. W latach przedwojennych radzieckich obywateli uczono, by pracowali jak jedno ciało. W listopadzie i maju, gdy nadchodził czas świętowania zdobyczy rewolucji, zbierały się milionowe tłumy, żeby razem maszerować i śpiewać. Stalin, z portretu powielonego na niezliczonych plakatach i transparentach, patrzył z góry na spektakl jedności. Tak naprawdę jednak ludzi, którzy mieli stworzyć trzon Armii Czerwonej i walczyć podczas nadchodzącej wojny, dzieliło wszystko: wiek, pochodzenie społeczne i etniczne, a nawet polityka. Jediną łączącą ich rzeczą, kształtującą odmienny od wszystkich innych naród, była niemal całkowita izolacja od świata zewnętrznego.

W tym zamkniętym wszechświecie dla większości ludzi największą kwestią sporną była transformacja wsi. Związek Radziecki wciąż pozostawał krajem, w którym cztery piąte populacji pochodziło ze wsi. Przez wiele pokoleń synowie chłopów zarzucali węzełek na ramię i wędrowali do miast w poszukiwaniu pracy. Ale często zostawiali za sobą żony i dzieci i marzyli, że pewnego dnia do nich wrócą, choćby po to, żeby umrzeć. Wieś rosyjska, ukraińska, kaukaska, stepowa była wizją ojczyzny, którą hołubił każdy tam urodzony. Jej tradycje, sądzili znawcy folkloru, sięgały pradawnych czasów. Nie było to prawdą — Rosja zmieniała się gwałtownie nawet w XIX wieku - ale stanowiło przyjemną fantazję, zwłaszcza dla ludzi, którzy pracowali teraz na budowach i w stalowniach. Dla samych chłopów liczyły się ziemia, inwentarz i następne zbiory. W 1929 roku cała ta gospodarka i sposób życia miały zostać wyrwane do góry nogami.

Radziecki rząd uznał, że rolnictwo jest niewydajne. Gospodarstwa chłopskie, zakorzenione chyba nawet głębiej niż religia, należało ograniczyć, prowadzić sprawniej, kontrolować. Zimą z 1929 na 1930 rok policja i ochotnicy rozproszyli się po wsiach, by narzucić drugą rewolucję, tym razem odgórnie. Ich celem było stworzenie spółdzielni, zlikwidowanie indywidualnych gospodarstw i ustanowienie systemu opartego na zmechanizowanej pracy dniówkowej. By

nadać jej bardziej rewolucyjny rys, kampanię przedstawiano jako nową wojnę klasową, a jej wrogów — kozły ofiarne nadchodzącej agonii — utożsamiono z najbogatszymi chłopami, kułakami, grupą społeczną wymyśloną niemal specjalnie w tym celu. Kułacy mieli stracić wszystko: inwentarz i sprzęt, domy, prawa obywatelskie i, bardzo często, życie. Wiosną 1930 roku wieś stała

na krawędzi otwartej wojny. W następnych latach miliony robotników rolnych przeniosą się do miast, nie mogąc się utrzymać z nieregularnych przydziałów zboża, które zastąpiły dniówki. Miliony innych umrą

głodu. Do 1939 roku populacja wiejska spadła z 26 do 19 milionów gospodarstw⁶. Z ludzi, którzy zniknęli ze wsi, około 10 milionów zmarło.

Żadna polityka za rządów Stalina nie wywołała więcej cierpienia i żadna nie spotkała się z takim sprzeciwem. Było to stałe źródło gniewu, mimo że jego pierwsze ofiary pozostawały w cieniu. Ofiary głodu milczały, nawet umierając, podczas gdy wygnanych kułaków zmuszono w większości wypadków do usunięcia się z oczu opinii publicznej, czy raczej z oczu wszystkich Europejczyków. Ich życie i śmierć w słabo zaludnionych osadach na dalekiej północy i wschodzie były nieistotne, w każdym razie zdaniem Moskwy. Nie uważano ich nawet za odpowiednich kandydatów do służby wojskowej. Dzieci kułaków początkowo również były podejrzane. Przedstawiciele drugiego pokolenia zwykle zaczynali karierę wojskową od niewolniczych batalionów roboczych, budując fabryki i krusząc skały, a nie walcząc na froncie⁷. Jednak nawet wśród rzekomo lojalnych chłopów, opryskliwej, małowójnej większości, były miliony niechętnych spółdzielniom i wszystkim problemom, jakie one stworzyły. Wielu było głodnych, przepracowanych, zdeorientowanych. Gdy państwo zabierało coraz więcej zboża, by sprzedawać je za granicą, ich rodziny rozpraszały się niczym dym. Ludzi zmuszano do życia włóczęgów, wędrujących w poszukiwaniu żywności i pracy. Kiedy powoływano tych synów wsi, stawali się niepewnymi żołnierzami. W najlepszym razie nienawidzili i bali się niesprawiedliwego rządu. W najgorszym — czekali na okazję, by zmienić bieg rzeczy.

Nowe spółdzielnie przetrwały. Przetrwały burzę, ponieważ wierzyło w nie dość ludzi i wierzyło na tyle żarliwie, by stawić czoło

przemocy, jaką rozpętała ich gorliwość. Podczas kampanii kolektywizacyjnej słowa zdawały się przesłaniać stalinowskim aktywistom realny świat. Ciężki niczym z ołowiu język zagłuszał cierpienia innych ludzi. „Nie zwracałem sobie głowy pytaniem, czemu »ludz-kość« ma być abstrakcyjna - napisał jeden z aktywistów, przyszły oficer Armii Czerwonej Lew Kopełiow — »historyczna konieczność« i »świadomość klasowa« zaś powinny być konkretne”⁸. „Historyczna konieczność” domagała się zbrojnych oddziałów i masowych aresztowań. Wymuszeniem posłuszeństwa miała się zająć tajna policja. Jej funkcjonariusze to zarówno proste zbiry, jak i pozbawieni uczuć zawodowi oprawcy, którzy kariery rozpoczynali jeszcze w czasach carskich, jednak awangardę stanowili prawdziwi entuzjaści. „Podczas straszliwej wiosny 1933 roku widziałem ludzi umierających z głodu - wspominał Kopełiow. - Widziałem kobiety i dzieci ze wzdętymi brzuchami, posiniałe, ciągle jeszcze oddychające, ale o pustych, pozbawionych życia oczach. I ciała, ciała w podartych kożuchach i tanich walonkach, ciała w chłopskich chatach. (...) Widziałem to wszystko i nie straciłem rozumu ani nie popełniłem samobójstwa. (...) Ani też nie straciłem wiary”⁹. Nowa Rosja wystąpiła przeciwko starej.

Tak jak czerwone wojska w filmie Dzigana, siły stalinowskiego reżimu miały wygrać. Choćby dlatego, że chłopci, chociaż liczni, pozostawali odlegli, byli grupą podzieloną przez odległości, dialekty i własne nieszczęście. Decyzje zapadały w Moskwie, a nie w jakiejś tonącej w błocie wsi o kilometry od najbliższej drogi. W demokracji wywłaszczeni chłopcy mogliby stworzyć potężne stronnictwo, a ich protesty zachęciłyby innych do zajęcia się ich sprawą. Demokracja jednak nie zagnałaby chłopów do spółdzielni. Radziecka władza nie dawała ujścia protestom - o ile ktoś nie był pobożny, miał dwie możliwości: potajemnie żywić swą niechęć albo rzucić się w objęcia reżimu i mieć nadzieję na lepszą przyszłość. Religia oferowała

alternatywny zestaw wierzeń dla dużej mniejszości, ale nawet cerkiew była bezsilna wobec przenikania propagandy państwowej, tym bardziej że kolektywizacji towarzyszył atak na zorganizowany kult. Świątynie zamykano, przekształcano w stodoły i chlewnie, popów aresztowano, wiernych wypędzano. A po rozbiciu religii żadne credo

nie mogło się przeciwstawić komunistycznemu pogładowi na świat, żadna grupa nie utrzymywała się długo pod naciskiem państwa. Głębia cierpienia powiększała u ludzi poczucie izolacji. Jak wspominał pewien ocalony: „Tragedia nie jest głęboka i ostra, jeśli można się nią podzielić z przyjaciółmi”¹⁰.

Triumfu państwa nie mogły jednak zapewnić same represje ani nawet idealizm elity młodych aktywistów. Państwo radzieckie uzyskało prawdziwe wsparcie wielkiej liczby zwykłych obywateli. Podstawowy motyw tych ludzi był bardziej pozytywny niż strach, bardziej namacalny niż nadzieja. „Życie staje się lepsze - mówiły im ogromne plakaty - lepsze i radośniej sze”. I krok po kroku, niemal haniebnie, dla milionów takie było. Gdy Europa i Ameryka pogrążyły się w kryzysie gospodarczym, Sowieci mogli się chwalić brakiem bezrobocia i szybkim rozwojem. Chłopak z wioski, który chciał *znaleźć* pracę w mieście, nie szukał długo. Starsze pokolenie miało trudności z przystosowaniem, ale dla młodych perspektywy wyglądały zachęcająco. Młody robotnik w Związku Radzieckim mógł się również pławić w patriotycznej dumie. W 1938 roku ZSRR miał już największy przemysł ciężki w Europie. Dowodem były samoloty, zapory wodne i lodolamacze. Rok w rok z radzieckiej ziemi wydobywano miliony ton węgla - 166 milionów ton w 1940 roku. „Nasze sukcesy - pisała »Prawda« w sylwestra ostatniego roku pokoju - będą we wszystkich dziedzinach oszalamiające”¹¹. Czytelnicy musieli się dowiedzieć o czołgach i samolotach. Rzeczywiście, państwo radzieckie miało w 1941 roku więcej czołgów niż cały świat razem wzięty¹². Przede wszystkim jednak społeczeństwo mogło dostrzec poprawę w życiu codziennym. W końcu od tak dawna było źle, że każda zmiana wydawała się postępem.

Tutaj krył się paradoks. To państwo głosiło swój altruizm, nakazując jednocześnie obywatelom porzucenie prywatnej własności. Tymczasem jedną z największych atrakcji była obietnica materialnego dobrobytu, dostatku mierzonego - nawet w ocenzurowanych gazetach — liczbą zegarków i rowerów, nie dobra publicznego. Skutkiem tego, mimo że prasa zwykle o tym nie wspominała, naród, który doświadczył już i cierpienia, i przemocy, nauczył się szukać na każdym kroku okazji. Jeszcze przed wojną radzieccy obywatele

wykazywali się zaradnością w handlu, gromadzeniu i pośrednictwie, dzięki którym kwitł czarny rynek¹³. W kraju braterstwa większość ludzi skupiała się przede wszystkim na sobie. Publicznie natomiast cała retoryka rozbrzmiewała kolektywnym szczęściem i widoczne to było również w kategoriach materialnych. Zegarki ręczne, symbol nowoczesności, którego najbardziej pożądanego, nadal pozostawały tylko marzeniem, jednak pewnego dnia, jak głosiła opowieść, wyrastające niczym grzyby po deszczu fabryki zdołają je wyprodukować. Lew Kopełiow przedstawia swój pogląd równie konkretnie. „Rewolucja światowa - napisał - była absolutnie konieczna, aby sprawiedliwość mogła zatriumfować”. Kiedy się skończy, nie będzie „granic, kapitalistów i faszystów. (...) Moskwa, Charków i Kijów będą równie wielkie i równie solidnie zbudowane jak Berlin, Hamburg i Nowy Jork. (...) Będziemy mieli drapacze chmur, ulice pełne aut i rowerów”, a „wszyscy robotnicy i chłopci chodzić będą w dobrych ubraniach, nosząc kapelusze i zegarki”¹⁴.

Chwilowo państwo zapewniało obywatelom niewielkie rekompensaty, które miały zapowiadać więcej. Wybory planistów wydawały się bezdusznie ironiczne. W kraju dzieci umierały, gdy w 1933 roku szalał głód, a wiele radzieckich wsi tkwiło w nędzy jeszcze przez następne dziesięciolecia.

Nawet w miastach brakowało mięsa i masła, chleb zaś racjonowano aż do 1935 roku. Jakość masowo produkowanych artykułów żywnościowych była podejrzana i nieustannie krążyły pogłoski o kurzu lub piasku w mące oraz chrząstkach zamiast mięsa. Jednak Anastas Mikojan, minister odpowiedzialny za dostawy żywności, planował rozjaśnić życie każdego, kto miał zaoszczędzonego rubla. Zamierzał dostarczyć narodowi kuszących przekąsek, skupił więc moce gospodarki planowej na wytwarzaniu parówek i lodów. Sowieci sprowadzili nowe linie technologiczne z Ameryki i Niemiec, co umożliwiło produkowanie podstawowych rodzajów przetworzonej żywności na masową skalę. Mogło brakować świeżych warzyw i nie wystarczać mleka, ale lody były dla wszystkich. Nowy przemysł przedstawiano jako zwiastun lepszego życia, jakie wkrótce ma nastąpić. Poza tym im bardziej przetworzone jedzenie, tym większy jego wpływ na pokolenie mające nadzieję na przekształcenie świata. Jak ludzie radzieccy nie mieliby być

szczęśliwi, skoro mogli jeść nie tylko lody śmietankowe, ale nawet wiśniowe, czekoladowe i malinowe?¹⁵

Dzieci wychowane w przedwojennych miastach pamiętają tylko szczęście. „Nigdy nie chodziliśmy głodni. I nie było też przestępczości”. To nazbyt różowy pogląd, mówiący więcej o ocenzonej prasie i romantyzmie wspomnień niż o prawdziwym życiu. W latach trzydziestych szerzyły się kradzieże i włamania, podczas gdy jedynym sposobem zapewnienia sobie cennych dóbr było wykorzystanie znajomości¹⁶. Pewien pisarz wspomina całą noc spędzoną w kolejce przed moskiewskim sklepem, kiedy matka chciała mu kupić nowy garnitur. „Mimo to - dodaje - musieliśmy czekać jeszcze pięć godzin w środku i wyszliśmy o trzynastej”. Samo ubranie kosztowało miesięczną pensję¹⁷. Teraz jednak ludzie pamiętają tylko, że mogli sobie kupić garnitur. A tak niedawno w ogóle nic nie można było kupić i wkrótce miało się to powtórzyć. Co więcej, w 1938 roku niewiele osób w Związku Radzieckim miało możliwość porównać swoje warunki życia z życiem cudzoziemców. Przywódcy nieustannie im powtarzali, że żyją w lepszym, sprawiedliwszym społeczeństwie, w miejscu, gdzie odpowiedni wysiłek wkrótce zapewni wszystkim dostatek. Z tego, co wiedzieli - i w co wierzyli - kolejki w krajach kapitalistycznych były jeszcze dłuższe, a robotnikom w ogóle nie pozwalano nosić garniturów.

Ponadto władza radziecka zapewniała pracę. Nic więc dziwnego, że jej najbardziej entuzjastycznymi zwolennikami byli ludzie, których kariery rozkwitały na szybko zmieniającym się rynku pracy. Jedną z najlepszych dróg do bogatszego życia, przynajmniej dla tych o skromnym pochodzeniu, była służba wojskowa. Nawet chłopci (z wyjątkiem kułaków) mogli w ten sposób zapewnić sobie nową przyszłość. Pierwszymi, którzy odkryli możliwości, jakie dawała służba wojskowa dla radzieckiego rządu, byli carscy poborowi. Zaoferowali oni Armii Czerwonej swe doświadczenie z okresu I wojny. Niemal cała elita oficerska armii stalinowskiej podczas II wojny wywodziła się z chłopstwa i podążała właśnie tą drogą. Iwan Koniew, jeden z przyszłych bohaterów Berlina, urodził się w 1897 roku w guberni wiackiej nad Dwiną. Gdyby w czasie wojny nie został powołany, do końca życia pracowałby w lokalnym tartaku. Podob-

nie młody Siemion Timoszenko miał uprawiać ziemię w guberni odeskiej, ale trafił do wojska, do obsługi karabinu maszynowego. W 1940 roku zastąpił Woroszyłowa na stanowisku ludowego komisarza obrony. Iwan Wasiliewicz Bołdin, odgrywający istotną rolę w pierwszych dniach najazdu hitlerowskiego, urodził się nad Wołgą i tuż przed I wojną zaczął pracować jako piekarz. Nawet Gieorgij Żuków, marszałek, który zebrał laury za Berlin, urodził się na wsi, chociaż w młodości przeniósł się do Moskwy, by uczyć się szewstwa¹⁸. Każdy z tych ludzi zbudował swoją karierę podczas wojny domowej. Przekonania polityczne popychały ich do walki po stronie czerwonych, a

armia odpłaciła im się awansami, spełnieniem i poważnymi zastrzykami gotówki.

Ich starania przetarły szlak dla innych. Wielu zawodowych żołnierzy, przyszłych oficerów, robiło kariery mimo huraganu przechodzącego przez wsie ich dzieciństwa. Opowieść Kirila Kirilowi-cza rozwija się przez pewien czas niczym baśń. Słucham jej w jego moskiewskim mieszkaniu, przy prestiżowej ulicy o rzut kamieniem od Parku Zwycięstwa i Panoramy Borodińskiej. Zaczyna od samej wojny. Pamięta, że kiedy nadeszły nowiny, przebywał w Tallinie, stolicy świeżo przyłączonej do ZSRR Estonii. Tego lata noc w noc nad portowe miasto nadlatywały niemieckie samoloty - Kiril zapamiętał je jako „mesery”¹⁹. Artylerzyści z jednostki Kirila podporządkowali się rozkazom i nie strzelali. Jednak nad ranem 22 czerwca 1941 roku dostali nowe instrukcje. „Powiedziano nam, żeby uważać sytuację za stan wojny — zapamiętał Kiril. — Nie baliśmy się. To chyba kwestia naszego ówczesnego wieku. Teraz nie chciałbym tego robić. Ale mogę szczerze powiedzieć, że nie było strachu. Może tak nas wyszkolono”. Następane kilka tygodni to czas chaosu, braku snu i demoralizacji. „Musieliśmy się przygotować - powiedział mi Kiril - do kapitulacji... nie, to znaczy, hmm, do opuszczenia Tallina”. Ewakuację drogą morską z estońskiej stolicy opisywano potem jako operację „wstrząsającą (...), rodzaj Dunkierki bez osłony powietrznej”²⁰. Kiril upiera się, że nikt nie wątpił, iż strona radziecka wygra. Tak ich nauczono.

Kiril miał dwadzieścia jeden lat, gdy zaczęła się wojna, ale był już porucznikiem. Wykształcenie pozwoliło mu awansować w rekor-

dowym tempie. „Chciałem być niezależny — wyjaśnił. — Wojsko to była kariera. Poszedłem do specjalnej szkoły artyleryjskiej”. Uczniowie mieli normalne lekcje, ale wieczorami odbywały się dodatkowe zajęcia, w weekendy zaś wyruszali na ćwiczenia. „Większość dzieci robiła coś takiego - tłumaczył Kiril, pamiętając militarystycznego ducha lat trzydziestych - ale my robiliśmy więcej. Głównie mieliśmy szkolenia z karabinami”. Pracowali też szczególnie ciężko nad matematyką i niemieckim, jak gdyby świadomie przygotowując się do wojny, której wszyscy się spodziewali. „Wiedzieliśmy, że nadciąga” - potwierdził Kiril. Każda gazeta i plakat ostrzegały przed faszyzmem, podobnie jak każde przemówienie radiowe, które dotyczyło świata. „Oglądaliśmy filmy. Pamiętam jeden, tytuł brzmiał chyba *Profesor Mamlok*, o ludziach, którzy cierpieli pod rządami faszystów. Opowiadał, co dokładnie zrobiłby Hitler, gdyby miał tu władzę. Wiedzieliśmy — dodał — o Żydach w Niemczech”²¹.

Kiril miał talent, ale oprócz tego szczęście. Miejsce, do którego został skierowany, było czymś więcej niż zwykłą wyższą szkołą oferującą naukę strzelania z karabinu. Wśród studentów znalazł się Timur Frunze, syn późniejszego komisarza spraw wojskowych i morskich, Sergo Mikojan, syn króla lodów, a nawet Wasilij Stalin. Chłopcom tym towarzyszyli ochroniarze, po lekcjach zaś odjeżdżali eleganckimi czarnymi limuzynami. Łatwo byłoby założyć, że Kiril, tak jak oni, urodził się dla zaszczytów. Jednak jego historia jest skomplikowana, wzruszająca i pod wieloma względami bardzo charakterystyczna dla jego pokolenia. Kiril nie był ani bogaty, ani ustosunkowany. Nie pochodził z Moskwy, ani nawet z Rosji, nie mówił płynnie po rosyjsku, a kiedy przyjechał do radzieckiej stolicy, nie miał grosza przy duszy. Słuchając go, nietrudno zrozumieć, dlaczego żołnierze jego pokroju byli tak wdzięczni reżimowi Stalina. Nietrudno też zrozumieć, dlaczego całą wojnę zachowywali wobec niego lojalność.

Kiril urodził się w 1919 roku w Dubrownie, małym miasteczku na rolniczym terytorium Białorusi. Jego najwcześniejsze wspomnienia wiążą się z wsią: konie pojone w Dnieprze o zachodzie słońca, pola lnu i buraków ciągnące się po horyzont, żółty kurz latem i błoto jesienią. Wszyscy mieszkańcy byli ubodzy. W soboty dziew-

częta szły boso do miasteczka, niosąc jedyną parę butów, żeby nie uszkodzić skóry. Jego rodzina, z racji żydowskiego pochodzenia, nie miała własnej ziemi. Matka pracowała jako tkaczka w miejscowej fabryce. Oprócz gospodarstw rolnych było to jedyne miejsce pracy w okolicy. Ojciec chłopca zmarł na tyfus jeszcze przed jego narodzinami. Kirył był jedynym dzieckiem swej matki. Miał wszakże przyrodnich braci i siostry z pierwszego małżeństwa ojca i to właśnie jedno z nich sprowadziło go do Moskwy. Nikt nie spodziewał się, że wybierze szkołę artylerii, po nocach doskonaląc arytmetykę i języki. Nauczyciel zwrócił na niego uwagę i pomógł mu się dostać na tę elitarną uczelnię, ale cała rodzina sprzeciwiła się, kiedy powiedział im o swoich planach. W odpowiedzi mógł tylko argumentować, że potrzebuje jakiegoś wykształcenia. W Dubrownie nie miał na to szans. Dzieci, które tam zostawały, ledwo czytały i liczyły, gdy szły śladem rodziców do fabryki.

Po wyjeździe Kiryła jego matka została sama w domu rodzinnym. Miała przenieść się za innymi do Rosji, ale upierała się, że pakowanie zajmie jej jakiś czas. Kirył rozumiał, że to wymówka, że chodzi o bezwład, lęk przed nieznanym, który uwięził matkę w domu. „Matka ledwo umiała czytać - ciągnął. - Jak większość z jej wsi, gdzie prawie każdy był analfabetą. Po wybuchu wojny napisała do mnie jeden list. Z trudem go odczytałem. Pismo było okropne. Napisała, że zamierza wyjechać do Moskwy, do mojej siostry. Nigdy tam nie dotarła. Była w domu, kiedy nadeszli Niemcy. Już wtedy wiedziałem, co to oznacza, ale dopiero po zakończeniu wojny wróciłem, żeby poznać jej los". W 1941 roku wszystkich Żydów z Dubrowna spędzono na rynek jak bydło. Gdy Kirył przyjechał do miasteczka, wypytywał dawnych sąsiadów, co się potem stało, ale nikt nie chciał przypomnieć sobie tej sceny. Dowiedział się tylko, że ciała, w tym prawdopodobnie jego matki, leżą gdzieś w nieoznaczonym rowie.

Kirył ma zatem powody do wdzięczności wobec władzy radzieckiej, która ocaliła mu życie, zapewniła wykształcenie i awans oraz w pewien sposób pomściła matkę. Z nostalgią wspomina radziecką przeszłość, chociaż nie tę spędzoną w Dubrownie, w ubóstwie. Pamięta dyscyplinę, która go ukształtowała, nagrody za ciężką pracę,

swoją wiarę w zwycięstwo. Wiedział, że system ma okrutną stronę. Napatrzył się dość w dzieciństwie. Dubrowno leżało przy granicy ukraińskiej, a po 1929 roku zaczęli napływać stamtąd ludzie uciekający przed głodem. Przynosili opowieści o kolektywizacji, rzeziach zwierząt, grabieżach, strachu. Niedługo potem jego rodzina także zaczęła cierpieć z braku żywności, chociaż ziemniaki uprawiane w kącie ogródka ocaliły ich przed prawdziwym głodem. Nic nie mogło zachwiać wiarą młodego człowieka w socjalizm. To, co zobaczył na wojnie, tylko ją umocniło. Nadal myśli, że kolektywizacja przyniosła więcej korzyści niż strat. Konie wychudły, wspomina. Ludzie jakiś czas głodowali. Ale wszystko to było tylko przygrywką. Za jakiś czas rolnicy dostaną traktory, a każdy z nich zastąpi pracę tuzina ludzi. Pewnego dnia będzie też ciepła woda i światło elektryczne. Kirył wrócił do Tallina pod koniec wojny. Zobaczył, co zrobili tam hitlerowcy. Wiedział, nie tylko na podstawie tej jednej wizyty, który system zniszczył jego świat, a który odbudowywał go cegła po cegle.

„Edukacja przyniosła zadziwiające rezultaty — zauważył niemiecki oficer, gdy maszerował przez radzieckie terytorium latem 1941 roku. — Na ścianie każdej rosyjskiej klasy wisiała wielka mapa Europy i Azji, na której jaskrawą czerwień oznaczono całą Rosję, podczas gdy reszta była

czarno-biała. Nic nie znaczący rozmiar półwyspu europejskiego wyraźnie kontrastował z rozległością Rosji". Pisał też

O niewielkim sceptycyzmie wśród dorosłych poniżej pięćdziesiątki. Tylko bardzo starzy lub pobożni ośmielali się krytykować radziecką potęgę. „Rozmawiałem z wieloma młodymi żołnierzami - dono sił — chłopami, robotnikami, a także kobietami. Wszyscy myślą we dług tego samego schematu i przekonani są o nieomyślności tego, czego ich nauczono". Dwadzieścia lat edukacji i propagandy naj wyraźniej przynosiło rezultaty. Ku zaskoczeniu przesiąkniętego ra sistowskimi stereotypami oficera — który uważał Rosjan za biernych i cierpiących w milczeniu, bardziej zwierzęta niż ludzi - państwo zaszczepiało nawet potrzebę „entuzjazmu, inicjatywy i wigoru, nie zbędnych warunków wielkich osiągnięć nie tylko w czasach pokoju, ale jeszcze bardziej podczas wojny”²².

Niemiec ten zaobserwował wpływ polityki państwowej, której celem przez dwadzieścia lat było wykształcenie u młodych nowej świadomości. Wciąż utrzymywały się poważne trudności, nie wspominając o niechęci do kołchozów i ciężkich warunków pracy w fabrykach i na budowach, ale zasadnicze pokolenie, żołnierze, którzy walczyli pod Stalingradem i Kurskiem, urodziło się w systemie radzieckim i nie znało innego. Chociaż starsi mogli się nigdy nie pogodzić z nowym światem, a nawet młodszy pozwalali sobie na żarty i cyniczne wzmianki, język i priorytety radzieckiego komunizmu wyposażyły wojenne pokolenie w jedyną mentalność, jaką znali, nie tylko zresztą dlatego, że inne były wykluczone. Nawet dzieci chłopów, najbardziej niechętniej grupy ludności, nie miały szansy rozwinąć innego światopoglądu politycznego, a w każdym razie nie ujawniały go publicznie. Indoktrynacja dzieci zaczynała się w chwili, gdy przekraczały próg przedszkola. Jako przyszli obywatele radzieccy uczyły się o rewolucji, odkąd potrafiły złożyć cyryliczne litery tworzące nazwisko Stalina. Ich dziadkowie śpiewali wyjątki z psalmów, one natomiast recytowały lekcje o triumfach elektryfikacji, nauki i komunistycznej moralności. Uczyły się także wdzięczności za to, że istnieje ich szkoła podstawowa, gdyż to rząd radziecki, jak im mówiono, troszczy się o ich wykształcenie²³. Do 1941 roku we wsiach i przysiółkach Związku Radzieckiego działało 191 500 szkół podstawowych. Uczęszczały do nich 24 miliony dzieci. Jeśli pracowały pilnie, najlepsze z nich mogły się *znaleźć* wśród 800 tysięcy młodych, którzy co roku trafiali do 817 kolegiów i uniwersytetów w kraju. Najwięksi szczęściarze mogli nawet zdobyć miejsce w jednej ze specjalnych akademii wojskowych Armii Czerwonej²⁴.

Wszystkie dzieci uczono, że miłość do *ojczyzny oznacza*, gotowość do przyszłych wojen. Podczas gdy rodzice pracowali na polach lub na monotonnych zmianach w fabrykach, by zrealizować narodowy plan gospodarczy, ich potomstwo uczyło się, że służba wojskowa będzie przygodą i przywilejem. Oznaczało to przejście sztandaru rewolucji, kontynuowanie walki, w której zginęli herosi z ich książeczek obrazkowych. Część nazistów mogła zazdrościć radzieckim nauczycielom ich celu. Po pierwsze dlatego, że - w przeciwieństwie do hitleryzmu - komunizm w chwili wybuchu wojny trwał od ponad

dwudziestu lat, tak więc pod jego wpływem wyrosło kilka pokoleń. Po drugie, ponieważ nie musiano wyjaśniać żadnych klęsk, mścić się za cios w plecy, jaki rzekomo zadano Niemcom w 1918 roku. Sowietów mówili jedynie o sukcesie. Jednak oba reżimy przedstawiały służbę - wojskową

lub cywilną - jako *zaszczyt*, do którego jest powołana elita, i ukazywały śmierć jako coś, przed czym nie cofa się żaden bohater. Takie lekcje motywowały przynajmniej niektóre typy młodzieży do przygotowań do wojny, bez względu na to, co się potem działo na polu bitwy.

Radzieccy uczniowie nawiązywali do wojny domowej (a nie do wstydlivych porażek caratu) i czcili partię komunistyczną jako swą inspiratorkę i przewodniczkę. Sama partia identyfikowała się z walką zbrojną, przedstawiając Armię Czerwoną jako instrument postępu oraz łącząc ideologię 1 wojnę. Każde dziecko uczyło się o osiągnięciach armii, a szczególnie o wzorcu wszystkich przyszłych wojen — historycznym zwycięstwie wojsk czerwonych nad przeważającymi siłami białych. Podczas gdy inne europejskie dzieci uczyły się o Sommie, Yerdun i Passchendaele, uczniowie radzieccy dowiadywali się o Froncie Dońskim i walkach o ocalenie Piotrogradu. Po szkole bawili się w „czerwonych i białych”. Skutkiem tego było przekonanie, że przyszły konflikt będzie podobny, a w szczególności, że kluczami do zwycięstwa są moralność i ideologiczna żarliwość. „Naszymi nauczycielami byli ludzie, którzy uczestniczyli w rewolucji, w wojnie domowej” - napisał przyszły weteran Armii Czerwonej. Jego nauczyciel fizyki przychodził na lekcje w wojskowym mundurze, w zielonej bluzie i owijaczach²⁵. W ten sposób był gotowy ponownie chwycić za broń, tak jak był w 1918 roku, gdy rewolucja stanęła w obliczu kryzysu. Jego uczniowie nie mieli wątpliwości, że żyją w oblężonym, okrażonym państwie. Wielu posłusznie wierzyło, że ich szczęście zależy od walki zbrojnej i poświęceń niewinnych.

Tak oto młodzież szkolna - w każdym razie ta z miast - chłonęła łącznie ideologię i patriotyzm, utożsamiając wycieczki oraz kluby sportowe z twarzami Lenina i Stalina. Kiedy w wolne dni dzieci te w czynie społecznym odświeżały ulice, ich energię podsyciała po części wiara w przyszły postęp. Altruizm typowy dla młodych ludzi zamieniano w poczucie obowiązku wobec partii. Radzieccy nastolat-

kowie mieli się uczyć, wędrować i ćwiczyć w ramach szerszej kampanii poprawiania, zmieniania, budowania lepszego świata. „Możliwa i konieczna była zmiana wszystkiego - wspomina moskwianka Raisa Orłowa. - Ulic, domów, miast, porządku społecznego, ludzkich dusz”. Wierzyła mocno w nowe życie, w życie w przyszłości. Zaczęło się to, „ściśle mówiąc”, kiedy zamieszkała „w nowym, błyszczącym białym domu. Tam ćwiczyłam rano, tam istniał idealny porządek, tam rozpoczęły się wszystkie moje bohaterskie osiągnięcia”²⁶.

Młodzi dorośli mieli wiele okazji do testowania swego przyszłego bohaterstwa. Państwo aż nazbyt chętnie zapoznawało ich z bronią, dyscypliną i mapami. W 1938 roku ochotniczy Osoawiachim — Organizacja Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwchemicznej - szkolił młodzież już od ponad dziesięciu lat. Liczba jego członków sięgała trzech milionów. Poważny i solidny na modłę radziecką oferował rozmaite kursy, od strzeleckich i czytania map do udzielania pierwszej pomocy²⁷. Młodzi ochotnicy spędzali tygodnie na letnich obozach, wyruszając na forsowne marsze, kopiąc okopy i bandażując hipotetyczne złamania. Członkowie Osoawiachimu przewodzili też, gdy kraj potrzebował pożyczek. To oni malowali transparenty, by gromadzić fundusze na nowe samoloty, a w dni wypłat stali z czerwonymi opaskami na przedramionach i pod bramami fabryk zbierali pieniądze od robotników.

Wszyscy nastolatkiowie podzielali marzenie o potężnym lotnictwie. Ta fantazja o postępie i nowoczesności utrafiła w nastroje pokolenia. Przez pewien czas, na początku lat trzydziestych, popularnością cieszyły się sterowce, a młodzi prowadzili zbiórki na statek powietrzny noszący imię Woroszyłowa, przysadzistego ludowego komisarza obrony o gładkiej twarzy. Aerostaty wisiały nad placem Czerwonym w rocznicę rewolucji bolszewickiej w listopadzie 1932 roku, a inne miały się stać częścią niepokonanej obrony nowego państwa. Jednak pod koniec lat trzydziestych to samolot,

choćby tylko drewniany dwupłatowiec, a przede wszystkim spadochron skłaniał młodych do wstępowania do aeroklubów. Szaleństwo spadochroniarstwa opętało naród. W wielu miejskich parkach budowano wieże spadochronowe. W 1936 roku istniało ich ponad 500, a wspierało je 115 nowych szkółek spadochroniarskich. Młodzi obywatele radzieccy oddawali

niemal dwa miliony skoków rocznie. Magazyn satyryczny „Kroko-dił” zasugerował nawet, że na potrzeby nowego sportu należałoby przystosować kościelne dzwonnice²⁸. Żarty żartami, szacowano jednak, że pod koniec 1940 roku w społeczeństwie był ponad milion wyszkolonych spadochroniarzy. Ironią losu, jedną z wielu, wojska spadochronowe odegrały marginalną rolę w chwili kryzysu²⁹.

Popularność obozów szkoleniowych wynikała nie tylko z potrzeb obronnych, w każdym razie jeśli chodziło o młodzież. Zaaprobowane typy aktywności społecznej postrzegane były jako oznaka dobrego obywatela. Młodzi ludzie, którzy chcieli się wybić, mieli świadomość, że muszą przynależeć, okazywać swą gorliwość. Elitarnym klubem był Komsomoł, a każdy, kto pragnął zrobić karierę albo chociaż zdobyć miejsce na uniwersytecie, powinien wstąpić do tej organizacji. Większość jednak zostawała jej członkami, ponieważ było to miejsce zawierania nowych znajomości. „Dopiero później — wspominał były oficer - zdałem sobie sprawę, że to niezbędne dla kariery”. Ten człowiek, Lew Lwowicz Ljachów, chciał przed wojną studiować geologię, a wybrał ją dlatego, że - jak wielu przedstawicieli jego pokolenia — urzeczony był podróżami i przygodą. Komsomoł i Osoawiachim stanowiły podstawowe drogi do szerokich kontaktów i świetnych wypraw. Dorastać w tamtych latach oznaczało cieszyć się z prostoty i zbiorowej dyscypliny wędrownych i letnich obozów oraz marszów pod czerwonymi flagami. Była to też kwestia gimnastyki, i to nie tylko fizycznej.

Przynależność traktowano też jako dowód wiary. Wykłady ideologiczne do tego stopnia stanowiły część codziennego życia, że nikogo nie dziwiły one w scenerii towarzyskiej, takiej jak obóz Osoawia-chimu. Dni filozoficznych analiz i swobodnej dyskusji przeminęły. Zamiast tego młodzi, których aż korciło, żeby wypróbować nowe narty czy spadochron, musieli siedzieć na referatach o tytułach w rodzaju *Wzmacniajmy internacjonalistyczne więzi klasy robotniczej ZSRR z klasą robotniczą kapitalizmu!*TM Toporne zdania brzmiały równie niezręcznie po rosyjsku, jak brzmią w tłumaczeniu, ale ci ludzie dorastali z nimi. Język rosyjski ewoluował wraz z człowiekiem radzieckim, tracąc ostrość i elegancję ostatnich lat caratu. Wielosylabowe, latynizowane slogany nowego reżimu stały

się równie powszechne jak zapach czosnku w chłopskim oddechu. Nawet niezgrabne akronimy - partkom na oznaczenie komitetu partii, Komsomoł na związek młodzieży komunistycznej, kolchoz na spółdzielnię produkcyjną — w 1938 roku były w powszechnym użyciu. Każda innowacja rządu potrzebowała nowych haseł i kilku dłuższych słów. Młodzi ludzie nie znali niczego innego.

Inny akronim dbał o to, by nikt się z tego nie śmiał. W 1917 roku na czele służb bezpieczeństwa wewnętrznego nowego państwa postawiony został towarzysz Lenina, Feliks Dzierżyński. Zorganizował tajną policję o straszliwej władzy i nazwał ją Nadzwyczajną Komisją do Walki z Kontrewolucją i Sabotażem, od rosyjskiej nazwy *Czeriezwyczajnaja Komissija*, w skrócie Czeka. W 1938 roku miała już ona za sobą kilka zmian nazwy, chociaż jej skłonność do mordowania, torturowania i więzienia bez procesu nie osłabła. Przez całą wojnę znana była jako NKWD, Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Głównym celem NKWD było narzucanie siłą

woli państwa, a jego ofiarą padali członkowie partii, oficerowie, intelektualiści, a nawet lojalni inżynierowie. Była to organizacja policyjna i szpiegowska, straż więzienna, dostarczycielka niewolniczej siły roboczej, sędzia, kat i zakład pogrzebowy. Miała też wydział wojskowy. Zajmował się on monitorowaniem tarć i braku dyscypliny wśród żołnierzy, chociaż pewne jego oddziały szkolono również do walki*. Jednak w ostatnich latach pokoju głównym zadaniem NKWD pozostawało utrzymywanie systemu obserwacji, zbiorowych aresztowań i państwowego terroru, co niemal zniszczyło reżim, któremu miało służyć. Młodzi komsomolcy i spadochroniarze znali jego działalność. Wiele aresztowań i wyroków śmierci ogłaszano publicznie. Nie istniała jednak możliwość protestu, podobnie jak jakiegokolwiek dyskusji. Nie było ujścia dla niezadowolenia, a krytycy nie znaleźliby publicznego posłuchu. „Stajesz się współnikiem, nawet gdy jesteś oponentem - napisał później były bolszewik — ponieważ nie możesz wyrazić dezaprobaty, choćbyś gotów był zapłacić za to życiem”

W okresie wojny domowej część polityki państwa stanowiły nielegalne aresztowania i masowe egzekucje. Potem skala terroru zmniejszyła się poważnie na co najmniej dziesięć lat. Jednak w grudniu 1934 roku popularny sekretarz leningradzkiego komitetu partii Siergiej Kirów został zastrzelony przez petenta, gdy późnym wieczorem pracował w swym gabinecie. Stało się to pretekstem do nowej kampanii strachu. Najpierw doszło do aresztowań i procesów pokazowych, podczas których pohańbiono czołowych działaczy z czasów Lenina i skazano ich na publiczne egzekucje. Później nastąpiły wszakże sekretne operacje, włącznie z masowymi aresztowaniami i zniknięciami. Na miejskich cmentarzach pojawiały się stosy ciał ofiar, każda zastrzelona z bliska z policyjnego rewolweru. Czystki, podczas których dziesiątki tysięcy ludzi aresztowano, uwięziono, torturowano i wreszcie, w niezliczonych wypadkach, stracono bez procesu, rzuciły cień na całe sfery życia publicznego. Siły zbrojne nie pozostały na uboczu, mimo świadomości, że wybuch wojny jest nieuchronny. W maju 1937 roku został aresztowany zastępca ludowego komisarza obrony (i dawny szef sztabu generalnego) Michaił Nikołajewicz Tuchaczewski. Wielu z jego wyższych oficerów, łącznie z kilkoma bohaterami wojny domowej, również zostało wmieszanych w sfińgowaną sprawę. Wszystkich postawiono przed sądem, uznano za winnych i skazano na śmierć pod zarzutem spisku i zdrady. Nikt całkowicie nie wierzył w tę wersję, ale też nikt nie mógł głośno wyrazić niedowierzania. Dwa lata później urzędnik z Kur-ska został aresztowany za wykorzystanie starych gazet do osłonięcia biurka podczas zebrania. Na jednej z nich, datującej się sprzed czystki, widniała twarz Tuchaczewskiego³².

Podczas gdy szczęśliwi robotnicy lizali lody wiśniowe, ich rewolucja pogrążyła się we krwi. Być wrogiem ludu - kulakiem, trockistą, zagranicznym agentem, pasożytem — oznaczało wyrzucenie na zawsze poza nawias wspólnoty prawdziwych wyznawców. Ci, którzy uszli z życiem, płacili ogromną cenę. Pod koniec lat trzydziestych liczba więźniów Gułagu, sieci obozów NKWD i kolonii pracy przymusowej, sięgnęła 1 670 000. Pozostałych na wolności, lojalnych synów i córki stalinizmu, łączyły wspólny respekt, wspólna wiara i wspólny strach. Głośno wyśpiewywali rewolucyjne hymny,

jakby ich dźwięk mógł zagłuszyć protesty lub echo tysięcy strzałów. Próbowali też znaleźć sens w niewymawialnym. „Postrzegałem procesy czystek z 1937 i 1938 roku jako wyraz jakiejś dalekowzroczonej polityki — napisał Kopieliow. — Wierzyłem, że w sumie Stalin miał rację, podejmując te straszliwe środki, aby zdyskredytować raz na zawsze wszelkie formy opozycji politycznej. Żyliśmy w oblężonej twierdzy; musieliśmy być zjednoczeni, nie znać ani wahań, ani wątpliwości”³⁴.

Wydawało się, że ludzie potrafią budować mury w swych umysłach. Prywatnie wszyscy mieli własne historie, własne wątpliwości, ale ich świat publiczny był pełen szacunku, radziecki, uszczęśliwiony możliwością oddychania tym samym powietrzem, które wytchnęły płuca towarzysza Stalina. „Słońce świeci nad nami inaczej — brzmiała popularna piosenka. — Wiemy, że świeci też na Stalina na Kremlu. (...)! chociaż na niebie może być wiele gwiazd, to nie tyle, ile myśli w genialnej głowie Stalina”³⁵. Ironia, podstawowy motyw kultury drugiej wojny światowej w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, nigdy nie stała się częścią publicznego stylu stalinizmu³⁶. Żenią Rudniewa, która została asem przestworzy i zginęła w 1944 roku, prowadziła przed wojną dziennik. Napisała w nim: „Za dziesięć dni będzie Dzień Konstytucji, za siedemnaście wybory do Rady Najwyższej ZSRR. (...) Jakże mogłabym nie kochać mojej ojczyzny, która zapewnia mi tak szczęśliwe życie?”³⁷

Ludzie w rodzaju Rudniewej nie byli robotami. Wszyscy mieli swoje historie i wewnętrzne światy. Ale przetrwali, wpasowując się w ramy monstrualnego państwa, obierając indywidualne ścieżki wiodące w stronę wytęsknionego spokoju i owocnego życia. O wiele łatwiej było, nawet wątpiącym, dołączyć do kolektywu i podzielić jego marzenie, niż pozostać samemu, skazując się na izolację i groźbę śmierci. Weteran spod Stalingradu opowiedział mi, jak przebiegał u niego proces wyboru. Ilja Natanowicz walczył dzielnie w 1943 roku i trwał na polu bitwy, aż został ranny, tak ciężko, że porzucono go, by umarł. Nijak nie można sobie wyobrazić uporu utrzymującego go przy życiu, gdy leżał na zamrzniętym stepie, podobnie jak ran ręki i barku, które nigdy tak naprawdę nie zostały wyleczone. Zgadza się, że radziecka tożsamość, optymizm narodu Stalina, pomogły

zbudować jego determinację. Jednak zaledwie kilka miesięcy przed tym wydarzeniem Ilja, żołnierz piechoty w armii stalinowskiej, o mało co padłby ofiarą czystki. Problem stanowiło jego pochodzenie, chociaż bystry umysł i poczucie humoru musiały tylko pogarszać sprawę. Nigdy dobrze nie wychodziło się na bystrości, o s'miechu nie wspominając.

Ilja Natanowicz urodził się w okolicach Witebska, na dzisiejszej Białorusi, latem 1920 roku. Jego ojciec był bolszewikiem, ale to siostry matki wniosły kolor i dreszcz emocji w jego dzieciństwo. Pojawiały się znieca, przyjeżdżając z Warszawy lub z Moskwy, a zaczynały mówić, ledwo przestąpiły próg. Mówiły wciąż, gdy leżał w swym pokoju i nasłuchiwał śmiechów i dyskusji dorosłych przy stole w jadalni. W letnie noce, gdy zapadł zmierzch, ktoś otwierał fortepian i zaczynały się śpiewy - pieśni rosyjskie, żydowskie, hymny rewolucyjne. „Od dzieciństwa wiedziałem, że dorastam w rodzinie, w której zdarzają się ciekawe *rzeczy* - wspomina. - Rzeczy powiązane z rewolucją”.

Ciotki liii od dziesięcioleci miały związki z rewolucyjnym podziemiem. Były starymi współpracownicami już w okresie przewrotu Lenina w 1917 roku. Jedna pracowała w tajnej grupie rewolucyjnej w Baku, porcie naftowym na wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Tam poznała młodego człowieka, który później nazwał się Stalinem. Wyobrażenie liii o przyszłym przywódcy ukształtowała historia o jego okrucieństwie, którą lubiła opowiadać ciotka. Pewnego popołudnia, mówiła, musiało to być w kwietniu, nieco przed 1904 rokiem, wraz z grupą towarzyszy wyszła na spacer. Szli ścieżką nad rzeką, która przybrała po wiosennej odwilży. Na wyspę pośrodku nurtu został wyrzucony cielak, dopiero co urodzony, jeszcze niepewnie trzymający się na nogach. Mimo huku wody przyjaciele słyszeli jego mu-czenie, ale nikt nie ryzykował zanurzenia się w prąd. Nikt poza Gruzinem Kobą, który zdarł z siebie koszulę i popłynął na wyspę. Wydostał się na brzeg i stanął obok cielątka. Poczekał, aż wszyscy znajomi spojrzą na niego, a wtedy połamał zwierzęciu nogi.

Ilja *przeżył* pół życia w cieniu tego człowieka. Jego ojciec ucierpiał pierwszy. Bolszewik i rewolucjonista robił karierę, a w latach trzydziestych został wysokim urzędnikiem w *rządzie*.

Przywileje władzy

obejmowały przeprowadzkę do Moskwy i nową żonę, młodszą od pierwszej, bezdzietną i nieobciążoną gadatliwymi krewnymi. Ilja, jego matka i brat zostali umieszczeni w oddzielnym mieszkaniu, i to prawdopodobnie ocaliło im życie. W 1937 roku ojca Ilii aresztowano. Zniknął na zawsze, a odseparowana rodzina, chociaż umknęła terrorowi, została napiętnowana za związek z wrogiem ludu. To obciążenie, połączone z żydowskim pochodzeniem Ilii, kierowało wyborami, jakich musiał dokonać jako nastolatek. Po pierwsze, współczujący nauczyciel doradził mu, by porzucił myśl o studiach w prestiżowym instytucie języków obcych w stolicy, a w zamian obrał karierę nauczycielską. Zgodnie z tym Ilja uczył się w skromnym studium, unikając nawet wstąpienia do Komsomołu z obawy przed niewygodnymi pytaniami. Potem, gdy w 1941 roku wybuchła wojna, odrzucono jego prośbę o skierowanie na front. Zamiast do wojska wysłano go na budowę fabryki na Uralu. Dopiero gdy armia gwałtownie zaczęła potrzebować ludzi, chłopakowi pozwolono przejść do piechoty, ale mimo iż walczył pod Stalingradem, nigdy nie zdołał zetrzeć piętna rzekomej hańby ojca. Po wojnie znalazł pracę w prowincjonalnym Smoleńsku. Do przyzwoitej biblioteki było daleko - osiem godzin pociągiem do ukochanej Moskwy - ale nie rzucał się tam w oczy, a to oznaczało względne bezpieczeństwo. Ilja Natanowicz powinien mówić o Stalinie z niechęcią. Powinien przywoływać gniewne rozmowy przy stole, kiedy przyjeżdżały żywiołowe i bystre ciotki. Ale weteran wspomina przywódcę z uśmiechem pełnym uznania, w sposób graniczący z wiarą religijną. „Kiedy słyszeliśmy go przemawiającego w radiu - wyjaśnia - i następowała pauza, zwykle szeptaaliśmy: »O proszę, Stalin pije«. Obraz ten mógł pochodzić ze słynnej powieści Konstantina Simonowa *Żywi i martwi*, w której ludzie słuchający najwspanialszego wojennego przemówienia Stalina z lipca 1941 roku muszą wstrzymywać oddech za każdym razem, gdy mówca pije. Sceny z książek lub filmów często zastępują wspomnienia weteranów. Wojna była przecież tak dawno. Ale potem Ilja przypomina sobie coś jeszcze. „To było jak słuchanie głosu Boga — dorzuca. — A ja marzyłem o nim jak o ojcu. Marzyłem, rzecz jasna, również o własnym ojcu. Nadal to robię. Kiedy rozpoczęły się represje, zacząłem mieć pewne wątpliwości.

(...) Nie wierzyłem, że mój ojciec był winny, podobnie jak ludzie, których znałem. Jednak Stalin uosabiał przyszłość, wszyscy w to wierzyliśmy”.

„Nasze pokolenie przeżyło 1937 i 1938 rok — wspomina inny weteran. — Byliśmy świadkami tych tragicznych wydarzeń, ale mieliśmy czyste ręce. Nasza generacja była pierwszą naprawdę uformowaną po rewolucji”. Człowiek ten chodził do szkoły, kiedy odbywały się pierwsze procesy pokazowe. Czytał o czystkach w gazetkach ściennych, kartkach wywieszanych niczym plakaty, które ludzie mogli przeczytać, stanawszy na ulicy. Bez względu na to, co myślał prywatnie, podtrzymywał wiarę w utopijną sprawę. Wierzył również w zwycięstwo, łatwy triumf tak żywo odmalowywany przez filmy wojenne z 1938 roku. Ta sama wiara popchnęła miliony młodych do zgłoszenia się na ochotnika do wojska, gdy tylko rozeszły się wieści o najeździe. Wiara w sprawę kazała im walczyć, ale wiara nie chroniła przed niemieckimi pociskami. Wojna pożarła to pokolenie. Jak wspominał ten sam weteran, w jego pułku strzeleckim było 138 młodych ludzi. Po pierwszej bitwie zostało ich 38, a dziesięć dni później zaledwie pięciu³⁸. Państwo, mimo wszystkich obietnic, porzuciło ich. „Byli przygotowani do wielkich czynów - napisała historyk Jelena Sieniawska. — Jednak nie byli przygotowani na wojsko”³⁹.

Rozdmuchamy pożar świata

Pierwszy prawdziwy test Armia Czerwona przeszła pod koniec 1939 roku. 30 listopada radzieckie wojska najechały Finlandię. Kampania okazała się katastrofą. W ciągu miesiąca prawie 18 tysięcy ludzi, niemal połowa z tych, którzy pierwszego dnia przekroczyli granicę, zginęło, trafiło do niewoli lub straciło życie. Masakra była straszliwa, a towarzysząca jej panika wprowadziła takie zamieszanie, iż trudno dziś ustalić dokładnie, ilu żołnierzy zginęło w tej krótkiej wojnie. Ludzi rzucono do ataku bez należytego rozpoznania. Czołgi i ich załogi podziurawiły pociski i pochłonięły ogień, całe pułki piechoty znalazły się w okrążeniu. Bataliony, awangardę Armii Czerwonej, odcięto od uzupełnień i zapasów, podczas gdy pozbawieni dowództwa żołnierze buntowali się w obliczu głodu i mrozu. Zaczęły krążyć pogłoski o okrucieństwach. Ludzie opowiadali o ciałach radzieckich żołnierzy bez penisów czy rąk. Niektórzy widzieli twarze bez języków i z wylupanymi oczami. Kiedy wojna się skończyła, podstawą wielu tych opowieści okazał się strach odczuwany przez niedoświadczonych poborowych, którzy maszerowali, fala za falą, wśród ciał Rosjan; ciał zamrzniętych, zmiażdżonych, obgryzionych lub rozszarpanych przez psy¹. Straty Armii Czerwonej przekroczyły 126 tysięcy zabitych². Niemal 300 tysięcy żołnierzy ewakuowano z powodu ran, oparzeń, chorób i odmrożeń³. Straty Finlandii w tej wojnie wyniosły 48 243 zabitych i 43 tysiące rannych⁴.

Same liczby - żołnierzy i sprzętu - ostatecznie przemówiły na korzyść Sowieców. Na Front Karelski rzucono świeże siły. Nowy atak, miażdżący niczym taran, zniszczył fińskie linie. Lasy na północ od

średniowiecznego miasta Ylipuri, dzisiejszego Wyborga, zmieniły się w pustkowie pogiętego metalu i martwych sosen. Finowie skapitulowali 13 marca. Czytelnicy „Prawdy” mogli się dowiedzieć, że dokonał się akt sprawiedliwości i że wojna położyła kres kolejnemu zagrożeniu dla wolności proletariatu. Jednak nawet oni słyszeli plotki rozpuszczane przez powracających żołnierzy, a poza Rosją nikt nie uważał, że Moskwa odniosła zwycięstwo. Planiści wojskowi hitlerowskich Niemiec przygotowali wiosną obszerne raporty o słabości sowieckiej armii⁵. Amerykański korespondent w Sztokholmie stwierdził, że wojna radziecko-fińska „ujawniła więcej tajemnic Armii Czerwonej niż ostatnie dwadzieścia lat”⁶.

Tajemnice, o których myślał, dotyczyły głównie szkolenia, taktyki i ekwipunku. Obserwując wydarzenia z wojskowej perspektywy, dobry szpieg zauważyłby, iż Armia Czerwona została przetestowana i zawiódła pod niemal każdym względem. Jednostki wywiadu przegapiły istnienie silnych fortyfikacji, które blokowały drogę piechocie. Nawet Finów zdziwiła rzeź, jaka nastąpiła, łatwość, z jaką kilku strzelców mogło wybić lub zastraszyć całe pułki wroga. Pomogło też to, jak się przekonali, że Sowieci byli marnie wyposażeni do walki w arktycznych warunkach. Mimo własnych surowych zim czerwo-noarmistów nie szkolono do walki w głębokim śniegu, a wielu Rosjan wytrącił z równowagi widok fińskich żołnierzy na nartach, wynurzających się niczym duchy z mgły. Zaskoczył ich także opór, na jaki natrafili. Później, gdy przebiły się pierwsze radzieckie czołgi, Finowie odnosili sukcesy dzięki chałupniczej broni, butelce — zwykle po wódce Alko — wypełnionej naftą i zapalanej prostym knotem. Prototyp wymyśliły wojska Franco w Hiszpanii, ale to Finowie nadali nazwę nowej broni. Na cześć radzieckiego ministra spraw zagranicznych, który niemal co wieczór występował w fińskim radiu, ochrzcili ją koktajlem Mołotowa. „Nie miałem pojęcia, że czołg może się palić tak długo” — wspominał fiński weteran⁷.

Człowiek z zewnątrz zauważyłby też, że sprzęt radziecki - czołgi, pociski, działa i radiostacje, które z takimi fanfarami w ostatnim dziesięcioleciu wyprodukowała gospodarka planowa — był źle przystosowany do walki w takim terenie. Co ważniejsze, młodzi oficerowie, często świeżo po szkołach, nie mieli wyobraźni i nie potrafili

skoordynować jego wykorzystania. Brakowało też dostaw i rezerw. Całe pułki stanęły w obliczu

Finów bez jedzenia, amunicji lub ciepłej odzieży. W styczniu fińskie wojska informowały o wzięciu jeńców, którzy utrzymywali się przy życiu, wyszarpując mięso padłych koni lub wypełniając usta śniegiem. Ranni ewakuowani na tyły mieli nieco lepiej. Szpitale w pobliskim Leningradzie były dobrze wyposażone i miały uroczy personel, ale i tak młodzi ludzie umierali z ran, chłodu i chorób podczas oczekiwania na transport, który ich tam zabierze⁸. Morale, morale wyzwolicielskiej armii, ludowej Armii Czerwonej, było żałośnie niskie. „Wszystko jest stracone — skarżył się w grudniu piechur z ukraińskiego batalionu. - Idziemy na pewną śmierć. Zabiją nas wszystkich. Jeśli gazety twierdzą, że na każdego Fina potrzeba dziesięciu Ruskich, to mają rację. Wybijają nas jak muchy”⁹.

Kwestia morale fascynowała szpiegów. Dla ludzi z zewnątrz Armia Czerwona stanowiła zagadkę. Wszyscy wiedzieli, jacy powinni być rosyjscy żołnierze. Tołstoj opracował swój stereotyp po tym, jak obserwował ich w czasie wojny krymskiej, a jego arcydzieło, *Wojnę i pokój*, wypełniali odważni, pełni stoicyzmu chłopscy synowie o sercach wielkich jak rosyjski step. Żołnierze ci byli trzonem armii, która pokonała Napoleona, walczyli w najsurowsze zimowe miesiące, a ich obraz wśród obcych niewiele się zmienił po 1812 roku. „Prawdopodobnie stanowią najlepszy na świecie materiał, z którego można stworzyć armię - powiedział brytyjski generał porucznik Martel, gdy jako gość obejrzał w latach trzydziestych radzieckie manewry. - Ich odwaga na polu walki nie ulega wątpliwości, ale ich najbardziej zadziwiającymi cechami są niezwykła siła i wytrzymałość”¹⁰.

Martel i kilku niemieckich obserwatorów dostąpiło w tym okresie przywileju oglądania Sowietów podczas ćwiczeń, ale nawet on nie spędził ani chwili wśród szeregowców. Co innego obejrzyć pokaz musztry, o oficjalnej paradzie na placu Czerwonym nie wspominając, a co innego posłuchać, co się dzieje w koszarach. Jeśli ekspert z zagranicy usłyszał cokolwiek, była to opinia oficerów, i to starannie wyselekcjonowanych, gdyż kontakt z cudzoziemcem w imperium stalinowskim nie był na porządku dziennym. Poglądy i opinie

żołnierzy, poborowych i niższych szarż, pozostawały zagadkowe, chociaż najrzęczniejsi obserwatorzy mogli próbować coś wywęszyć. Jak zauważali wszyscy cudzoziemcy, żadne publikowane źródła nie dawały wskazówek co do stanu umysłów żołnierzy, a od dziesiątków tysięcy cywilów, którzy co roku w maju powiewali na ulicach pękami bzu, niewiele można się było dowiedzieć. Dwa dziesięciolecia po leninowskiej rewolucji wewnętrzny świat Armii Czerwonej stanowił tajemnicę.

Państwo radzieckie tak pilnie strzegło informacji o swoich siłach zbrojnych, że nieznaną pozostawała nawet ich struktura społeczna i wiekowa. Obserwatorzy, którzy chcieli przeprowadzić badania, wkrótce spostrzegali, że coś blokuje im drogę. Cudzoziemiec nie mógł w latach trzydziestych poruszać się po Rosji, nie wzbudzając zainteresowania. Szpiegzy, którzy zamierzali wtopić się w tłum, odkrywali, że nie mogą nawet wytrzymać nowej diety, nie mówiąc już o radzieckich zwyczajach. „Spróbuj wypić jednym haustem bez treningu półtorej uncji czterdzieste- lub pięćdziesięcioprocentowe-go alkoholu - skarżył się pewien agent - albo wypalić papierosa z kartonowym ustnikiem”¹¹. Wódka wywołała kaszel, a kiedy próbował ją popić gorącą herbatą, poparzył palce o cienką, taną szklanę. „Pomyłki — zauważył oficer niemieckiego wywiadu — mogą kosztować agenta życie”¹².

Z tych właśnie powodów niemieccy oficerowie byli tak zainteresowani informacjami nadchodzącymi z Finlandii. Radzieccy jeńcy wydawali się cennym źródłem danych o prawdziwym życiu armii. Jednak i w tym wypadku raporty mogły się okazać zdradzieckie. Wyczerpani jeńcy, o czym niemieccy przesłuchujący osobiście przekonają się w 1941 roku, powiedzą niemal wszystko, co według nich pomoże im ocalić skórę. Już samo cierpienie mąciło im umysły. A wojna przeciwko Finlandii nie była dobrym testem Armii Czerwonej na atak na wielką skalę. Armia, która walczyła

w 1939 roku w fińskich śniegach, do 1941 roku została zalana milionami nowych poborowych i ochotników, patriotycznej młodzieży spragnionej wielkich czynów. Weterani z Finlandii znaleźli się wśród dziesiątków tysięcy tych, którzy w pierwszych tygodniach ofensywy Hitlera stanęli w obliczu niewoli, śmierci i kalectwa. Stara Armia Czerwona, ludzie

z 1939 roku, nie przetrwała na tyle długo, by walczyć pod Stalingradem. Jednak opowieść o tej wczesnej katastrofie może pokazać, dlaczego upadek nastąpił tak prędko, a także jak bardzo i jak szybko ewoluowała armia, kiedy pojawił się realny kryzys, atak zagrażający podbojem, a nawet zniszczeniem ojczyzny, rodzin, domów i krajobrazów, które kochali żołnierze.

Najlepsze informacje o morale pochodzą z armii, nie od obserwatorów zewnętrznych. W każdym pułku w charakterze agitatorów i nauczycieli działała sieć oficerów politycznych. Pełnili oni też funkcję szpiegów partii, co oznaczało, że ktoś będzie słuchał, gdy tylko zbierze się na rozmowę grupa żołnierzy. Agenci policji, rzecz jasna, też rozglądali się za wichrzycielami. Armia była w końcu jedynym miejscem, w którym dawni chłopci gromadzili się w dostatecznej liczbie, by waga ich niezadowolenia sumowała się, grożąc powstaniem stronnictw. Agenci działali pod presją; musieli informować o niepokojach lub nawet fabrykować dowody na nie, gdyż tego oczekiwali po nich mocodawcy. Jednak niskie morale żołnierzy wywierało też wpływ na oficerów politycznych, sugerując, iż nie są w stanie inspirować ludzi, tak więc raporty politruków należy traktować ostrożnie. Każdy dokument prawdopodobnie zaczynał się będzie od całych stron entuzjastycznych bredni. Jeśli wierzyć autorom, ich żołnierze nigdy nie byli czystszy, szczęśliwsi czy bardziej trzeźwi; ich szkolenie zawsze szło świetnie i nikogo nie nękały wszy. To wszystko frazesy. W rzeczywistości Osoawiachim i aerokluby dzieliła przepaść od koszar, w których mieszkali szeregowcy w 1939 roku.

Świat armii i cywilów łączyła jedna rzecz - propaganda. Nie dało się uciec przed odczytami i hasłami. Każdego żołnierza uczono, że ma zaszczyt służyć w Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej, którą to nazwę państwo opisywało akronimem RKKA¹³. Rekrutom powtarzano też, że niosą sztandar przyszłości i są dziedzicami bohaterskiej przeszłości. Bez względu na to, do czego zostanie wezwana, armia ta miała gromadzić się pod sztandarami czerwonymi od krwi męczenników¹⁴. Język tego rodzaju najlepszych odbiorców znajdował w szkołach oficerskich. Tam można było patrzeć na karierę w armii z prawdziwą rewolucyjną dumą. Część tych szkół — placówka Kirila wśród nich - przygotowywała prawdziwą zawodową elitę,

a część kadetów mogła dziękować Stalinowi za szansę ucieczki od nędzy, za nowe umiejętności i za nadzieję. Związek Radziecki nie był już miejscem, w którym oficerowie wywodzili się z elit społecznych. W sensie pochodzenia społecznego większość stażystów często niewiele się różniła od reszty żołnierzy. Wszystko inne jednak ich dzieliło: od wykształcenia i perspektyw do poglądów politycznych. Wśród żołnierzy, szczególnie masy poborowych, nastrój w ostatnich latach przed wojną najlepiej można opisać jako cierpką rezygnację.

Niechęć była milcząca, zagłuszana przez wyczerpanie, przyzwyczajenie i strach przed informatorami. Jednak żołnierze nie musieli rozmawiać. Wciąż świeża była pamięć o wojnie na wsi. Niektórzy chodzili głodni, gdy państwo zabrało chłopom zboże; inni nadal dostawali listy od rodzin, wciąż czytali o niedostatku i strachu. O kolektywizacji też nie musieli rozmawiać, ponieważ była wszechobecna w ich umysłach, tak jak wilgoć w ich kościach. Podczas referatów żaden temat nie prowokował więcej pytań niż los radzieckich gospodarstw. Armia rekrutowała chłopów; wynikało to z czystych liczb. W Związku Radzieckim - aż do letniej nocy, gdy niemieckie wojska przekroczyły jego granice — większość ludzi rodziła się w chłopskich chatach. Ten lud

niegdyś stworzył najwyższej próby wojsko, a synowie chłopów znajdowali się wśród gwiazd stalinowskiej elity oficerskiej. Jednak po 1929 roku uznano za pewnik, że najlepsi żołnierze pochodzą z miast¹⁵.

Nawet synowie robotników, przywdziawszy mundury, wkrótce poznawali spuściznę kolektywizacji. Chociaż Armii Czerwonej nigdy nie wykorzystywano do zapędzania chłopów do zniechęconych kołchozów, jej oddziały wysyłało na żniwa, na których zastępowali ludzi i zwierzęta złożonych we wspólnych grobach. Prace rolne stały się elementem życia radzieckich żołnierzy; wykopki, pasanie świń, naprawianie sprzętu w deszcz. Oficerowie polityczni, którzy musieli pracować wraz z żołnierzami, mieli niewiele dobrych nowin, gdy w 1939 roku ślinili kopiowe ołówki i przygotowywali sprawozdania. „Mówią nam, że kołchoźnicy dobrze żyją—mamrotał pewien szeregowiec. - A w rzeczywistości nic nie mają”. „Nie będę bronił władzy radzieckiej — powiedział żołnierz koledze. — Jeśli do tego dojdzie, zdezerteruję. Mój ojciec był głupi, że zginął w wojnie

domowej, ale ja nie jestem głupcem. Partia komunistyczna i władza radziecka mnie okradły”¹⁶. Inny rekrut wyznał towarzyszom po przeczytaniu listu z domu, że nie może się zdecydować, co zrobić. „Muszę się uczyć, ale wciąż martwię się o rodzinę”. „Moja rodzina głoduje — skarżył się kolejny. — Nic więcej mnie nie obchodzi”¹⁷.

W 1939 roku wiek poborowy wynosił 19 lat. Ostatnia partia nowych rekrutów, urodzonych pod koniec wojny domowej, została powołana we wrześniu tego roku. Służba wojskowa stanowiła część życia, tak tradycyjną na rosyjskiej wsi jak bicie żony czy malowanie pisanek. Armia zawsze zabierała mężczyzn. „Car rozkazuje, a Bóg zezwala” — mamrotali poborowi podczas I wojny. W tamtych czasach służbę wojskową, tak jak głód, brodawki i bezdzietność, uważano za karę za grzechy¹⁸. Pokolenie później zmienił się ustrój, ale fatalizm pozostał. Radzieccy poborowi musieli przejść kilka sprawdzianów; armia potrzebowała ludzi, którzy potrafią czytać, chociaż nie zawsze ich dostawała. Jeszcze pod koniec lat dwudziestych psychologowie odkryli, że słownik przeciętnego piechura zawiera od 500 do 2000 słów¹⁹. W owym czasie niektórzy z tych ludzi nie byli w stanie powiedzieć oficerom, kim jest Stalin, co tak wstrząsnęło zarządzeniem politycznym armii, że informację utajniono²⁰. Pospiesznie nasilono kształcenie polityczne, tak że pod koniec 1939 roku mniej poborowych oblewało sprawdziany z czytania i nikt nie wykazywał się ignorancją w kwestii przywódcy. Jednak najzdolniejszych zagarniało NKWD²¹. Armia dostawała resztę.

Pobór był żmudnym procesem, który co roku trwał od dwóch do trzech miesięcy. W każdym okręgu zajmowała się nim miejscowa komenda uzupełnień. Jej pracownicy mieli prawo przesiewać i odrzucać chorych na ciele lub umyśle, a także rozpatrywać prośby o odroczenie. Sprawdzali też akta milicyjne, gdyż znanym wrogom ludu nie powierzano broni. Chłopcy, którzy stawali przed komisjami, nie byli kompletnie surowi pod względem wojskowym. Wszyscy chodzili do szkół, a większość wiedziała, że ich kraj musi się przygotowywać do wojny. Część nowych poborowych może nawet widziała karabin lub maskę przeciwgazową na jakimś letnim obozie;

z pewnością wysłuchali też tytułu odczytów na temat Robotniczo--Chłopskiej Armii Czerwonej, ile może znieść nastolatek. Ta armia wydawała się drogą do męskości, przygodą, i zawsze znaleźli się

chłopcy, którzy głosili, że są dumni z powołania. Nieliczni, zwłaszcza w miastach, zgłaszali się na ochotnika, ale co do reszty, to w ich domach rozgrywały się takie sceny jak zawsze. Droga nadal czekała, a matki płakały. Mężczyźni gromadzili te nieliczne rzeczy, które mogli zabrać — kilka zmian bielizny, trochę cukru i tytoniu — i pakowali je do płóciennej torby lub kartonowej walizki. A potem szli - gdyż niewielu miało lepsze środki transportu - do komendy uzupełnień.

„Szkolenie wojskowe zaczęło się od łaźni parowej, dezynfekcji ubrań, strzyżenia, po którym nasze głowy były równie gładkie jak nasze twarze, i wykładu politycznego” - wspominał poborowy z tego okresu²². U wielu słuchaczy wykład z trudem przebiegał przez kaca. Młodzi bardzo często byli pijani w chwili przybycia do jednostki. Taka była tradycja, jak wiele innych, datująca się od czasów carskich²³. Picie zaczynało się przed wyruszeniem z domu i trwało kilka dni. Władze przymykały na to oko, ponieważ wódka szybciej wyciszała strach niż wykłady czy dodatkowa musztra. Poborowi mogli zasłać w pociąg, argumentowano, ale jeśli byli nieprzytomni, łatwiej było zaciągnąć ich do dowolnego piekła²⁴.

Potem, z przekrwionymi oczami i nie całkiem pewni, gdzie są, poborowi stali w nierównych szeregach i czekali na mundury. Bez względu na swoją pozycję w cywilu - synowie wsi, fabryki czy miasta górniczego — składali ubrania, w których pędzili dawne życie, i wkładali równe zielone mundury, symbol nowej tożsamości. Naciągali szorstkie wełniane spodnie i bluzę. Dostawali również pas, płaszcz i buty. Mieli te *rzeczy* nosić codziennie i samodzielnie o nie dbać. Jeśli chodzi o bieliznę - podkoszulek i kalesony - wydawano je na jakiś czas. Dowiadywali się, że mogą oddawać je regularnie - byle nie za często - do prania i że w zamian otrzymają czysty komplet. W rzeczywistości rzadko otrzymywali z powrotem swój komplet, czy wręcz w ogóle komplet. Było to małe upokorzenie, kolejne, w sprawie intymnej, na które nie mogli nic poradzić.

Rekruci nie mieli skarpetek, chyba że zabrali własne, co niektórzy robili. Armia Czerwona maszerowała w onucach. Stopy i kostki okręcano płatami materiału jak bandażem. Miały chronić przed pęcherzami. Pewien weteran z uśmiechem wspominał ten pomysł. „Myślę, że skarpetki byłyby o wiele wygodniejsze” - powiedział. Był to jednak tylko szept, nie protest. Onuce mimo wszystko były tańsze i mniej osobiste: w jednym rozmiarze dla wszystkich. Ich zawijanie trwało dłuższą chwilę, a proces ten od wieków wywoływał opóźnienia i chaos po pobudce, ale uważano je za rozwiązanie uniwersalne i podczas wojny używali ich i mężczyźni, i kobiety. „Tylko dzięki onucom nasze buty na nas pasowały - wspominała weteranka. -I tak cieszyliśmy się, że w ogóle mamy buty”.

Jedynie oficerowie dostawali broń krótką, najczęściej rewolwery typu *Nagan*, zaprojektowane w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, czy nowszej konstrukcji pistolety *TT*. Również wyłącznym przywilejem oficerów było posiadanie służbowego zegarka na rękę. Szeregowcy mieli chlebaki, ale często nie było co do nich włożyć. Ich fasowany, acz pusty bagaż obejmował: plecak, torbę na ubrania, torbę na suchary, pasek do troczenia płaszcza, wełniany ochraniacz na manierkę, torbę na rzeczy, które zabrali z domu, pas do karabinu, ładownicę i pas²⁵. Sama broń, a nawet amunicja, były tak cenne, że większość ludzi dostawała je do ręki dopiero przed walką. Ale zaopatrywano ich w nieśmiertelnik, oznakę nowego statusu, i mały czajnik. Rzeczy osobiste uważano za skarby. „Żołnierze frontowi mieli niekiedy, podczas panicznych odwrotów, porzucać ciężkie karabiny - napisał weteran Gabriel Tiomkin. - Jednak nigdy łyżki”²⁶. Żołnierze wylizywali je do czysta po każdym posiłku i wkładali za cholewę buta.

Poborowi wkrótce zaczęli szukać łóżek. I w tej dziedzinie, jak w wielu innych, po 1938 roku rekrutom brakowało szczęścia. Armia

rozrastała się gwałtownie. W 1934 roku liczyła 885 tysięcy oficerów i żołnierzy. Pod koniec 1939 roku, gdy w ramach przygotowań do wojny powoływano rezerwistów, liczba zwiększyła się do 1,3 miliona²⁷. Wśród wielu problemów wywołanych przez wzrost liczebności znalazła się też kwestia kwater. Regulaminy armijne stanowiły, że każdy żołnierz powinien mieć do dyspozycji 14,6 metra sześciennego, z czego 4,6 metra kwadratowego miało przypadać na podłogę²⁸. Były to jednak optymistyczne wyliczenia. Nawet oficerowie nie mogli oczekiwać stosownych kwater. „Kołchoźnicy mają lepiej niż nasz korpus oficerski” - napisał w styczniu 1939 roku komunistyczny urzędnik Leningradzkiego Okręgu Wojskowego. Nowo przybyli opisywali warunki jako „torturę”²⁹. „Byłoby lepiej, gdybym się zabił, zamiast przyjeżdżać do tej dziury” — stwierdził świeżo promowany oficer. Kadet, który żądał „kwater, do jakich mają prawo oficerowie”, wylądował na trzy dni w pace. Rok po wcieleniu do wojska rosła zachorowalność na gruźlicę wśród wszystkich szarż, podobnie jak ryzyko infekcji pokarmowych. W jednym tylko wypadku 157 kadetów z tych samych koszar trafiło do szpitala w ciągu pierwszych dziesięciu dni³⁰.

Szeregowcy również tłoczyli się na przestrzeni mniejszej niż regulaminowa³¹. W rzeczywistości jedynie szczęśliwcy mieli kwaterę i dach nad głową. Plan mobilizacyjny w 1939 roku był tak ambitny, że wielu poborowych przyjechało do jednostek i ujrzało, że wcale nie ma koszar. Musieli na własną rękę szukać kwater w mieście lub spać na gołej ziemi. W obu wypadkach nie mogli *liczyć* na nic więcej niż słoma. Armia zapewniała koce, ale materaców brakowało i nigdy nie było dość prycz dla kolejnych fal rekrutów. Słoma zaś, chociaż ciepła, stanowiła idealne środowisko dla wszy³².

Przechadzka po obozie nie uleczyłaby młodego człowieka ani z kaca, ani z tęsknoty za domem. Wszelkie publiczne urządzenia w Związku Radzieckim były zaniedbane. Braki dóbr materialnych pobudzały czarny rynek. Jeśli coś dało się ukraść, zaoszczędzić lub rozrzedzić, zawsze znajdował się handlarz z odpowiednimi kontaktami. Tymczasem przerwy w dostawach i problemy z zarządzaniem, które prześladowały centralnie planowaną gospodarkę, zaczęły przynosić fatalne skutki. Inspektor partii komunistycznej wizytujący

w maju 1939 roku Specjalny Kijowski Okręg Wojskowy natknął się na kuchnie pełne s'mieci, psujące się w upale mięso i jadalnie pozbawione dachu oraz porządnej podłogi. Przechodząc przez plac do łazienek, zauważył, że „nie usuwa się przepełnionych zasobników latryn, a ocalałe toalety nie mają przykryw. Pisuary są porozbijane. (...) Na dobrą sprawę jednostka nie ma latryny”³³.

Przypadek ten nie był odosobniony, jak wykazują inne raporty. „Nikt nie wybierał s'mieci, nikt nie sprzątał - podsumowuje kolejny dokument. - Porozbijane pisuary. Kanalizacja w mesie oficerskiej nie działa”³⁴. Wszędzie lekceważono zasady higieny. W rzeźni, która zaopatrywała szeregowców w obwodzie kurskim, nie było bieżącej wody, mydła, haków ani specjalnej izolacji dla chorych zwierząt. Tamtejszy personel nie przeszedł odpowiedniego przeszkolenia i nie został przebadany pod kątem chorób zakaźnych. Obskurna toaleta mieściła się obok magazynu na mięso i, jak większość innych w tamtym czasie, nie miała drzwi. „Nawet mięso jest brudne” — napisał inspektor³⁵.

Jedzenie wszędzie stanowiło powód do skarg. To prawda dotycząca wszystkich armii, że budżet na wyżywienie i głodni ludzie znajdują się na kolizyjnym kursie, ale przypadek radziecki należy do specjalnej kategorii. Jakkolwiek zimno było na zewnątrz, koszarową kuchnię *zawsze* wypełniały smród i dym spalonego tłuszczu. Obiad — zupa z nędznymi kawałeczkami mięsa, serwowana z

czarnym chlebem oraz słodką herbatą — parował na opalanych drewnem kuchniach w ogromnych metalowych kotłach. „W domu - skarżył się pewien poborowy — mogłem jeść tyle, ile chciałem, w wojsku bardzo schudłem i zżółkłem na twarzy”. „Żarcie jest okropne — informował inny. - Na obiad zawsze dostajemy obrzydliwy kapuśniak, ale chleb jest jeszcze gorszy: czarny jak ziemia i zgrzyta między zębami”. Tylko w styczniu 1939 roku było co najmniej pięć przypadków, kiedy grupy żołnierzy odmawiały jedzenia, protestując w ten sposób po otrzymaniu kolejnego niejadalnego posiłku. W pierwszych trzech tygodniach tego samego miesiąca wojskowi lekarze donieśli o siedmiu większych przypadkach zatruc pokarmowych; w najgorszym z powodu zepsutej ryby 350 osób „wymagało leczenia szpitalnego”³⁶. W Specjalnym Kijowskim Okręgu Wojsko-

wym w zupie znaleziono zdechłą mysz; w tym samym czasie w innych miejscach w menu znalazły się mąka z piaskiem, herbata z kawałkami szkła i żywe robaki³⁷. W marcu 256 osób cierpiało na biegunkę z powodu herbaty zaparzonej ze słonawej, letniej wody³⁸. Młody poborowy z kaukaskiej Gruzji - regionu słynącego z dobrego jedzenia - zdezercerował po kilku tygodniach na Ukrainie, zostawiając wiadomość, która podsumowywała dietę Armii Czerwonej. „Wracani w góry — napisał — jeść doskonale gruzińskie potrawy i pić nasze wino”.

Jedynym rozwiązaniem było prowadzenie upraw na wojskowych gruntach. Oto jedyna rzecz, którą można tak naprawdę zlecić byłym chłopom. Jak napisał Roger Reese w swoim przedwojennym opisie życia armii: „Pod koniec lata 1932 roku jeden pułk miał ponad dwieście świń, sześćdziesiąt krów, ponad setkę królików i czterdzieści uli”³⁹. Do 1939 roku nic się nie zmieniło. Żołnierze kopali ziemniaki, kosili trawę, doili krowy i zarzynali świnię⁴⁰. Praca była ciężka, brudna i na zimnie, więc czasem obowiązki polowe zlecano w ramach kary. We wszystkich wypadkach czynności gospodarcze odrywały ludzi od szkolenia wojskowego i przesłaniały im główny cel służby w armii. Jednak dla każdego priorytetem jest napełnienie brzucha, a dobrze prosperujące wojskowe gospodarstwa niezwykle korzystnie wpłynęły na wyżywienie żołnierzy. Pomogły również podnieść morale. Był to czas, gdy niemal każdy - nie tylko żołnierze, ale też kolchoźnicy, a nawet niektóre grupy robotników — cierpiał głód. Kiedy w jaskrawo pomalowanych kioskach sprzedawano lody, większość ludzi musiała wystawać w kolejkach, żeby kupić podstawowe produkty, takie jak masło i mięso. *Żołnierze* mieli zagwarantowany przydział, nawet jeśli jakość pożywienia była marna. To ponury komentarz do życia w Związku Radzieckim, ale sam Reese pisze, że „pomimo kiepskich kwater, w latach trzydziestych oficerowie i żołnierze generalnie mieli lepsze warunki życiowe niż reszta radzieckiego społeczeństwa”⁴¹.

Sedno tkwiło w tym, że żołnierze nie musieli zdobywać żywności. Nie musieli wędrować wiele kilometrów, jak ich rodzice, lub wymieniać obrączek ślubnych na jedzenie. Zamiast tego mogli oczekiwać, że wszystkie ich potrzeby zostaną zaspokojone. Mieli również do-

stęp do sieci zamkniętych dla ogółu sklepów wojskowych — ZWK. Podczas gdy na wolnym rynku brakowało towarów, żołnierze Armii Czerwonej mogli kupić, jeśli ich miejscowy sklepik był dobrze prowadzony, wiele luksusowych artykułów, w tym zapalki, tytoń, nici, brzytwy, szczoteczki do zębów i pióra. Jednak podobnie jak wszystko inne w Związku Radzieckim, sytuacja wyglądała różnie w zależności od miejsca. Czasem sklepikami zarządzano źle lub sprzedawcy byli skorumpowani. Czasem sklepiki wyglądały niewiele lepiej od stodoły. A każdy skarżył się na zaopatrzenie. Zawsze brakowało ty-

>niu, masło zaś znikało w ciągu kilku chwil.

Mydło również zaliczało się do towarów deficytowych, a wielu żołnierzy przyznawało, że nigdy nie mieli czym umyć zębów. Pomijając wszystko inne, bieżąca woda pojawiała się tylko wtedy, kiedy działały koszarowe łaźienki. Aby się naprawdę umyć, żołnierze musieli odwiedzić łaźnię, słynną rosyjską banię. Rytułu tego nie wymyślono tylko dla przyjemności. Gorąca łaźnia (i zmiana odzieży) co minimum dziesięć dni były niezbędne, aby uchronić się przed roznoszącymi tyfus wszami. Jednak banie zwykle znajdowały się w mieście, o jakieś pół godziny marszu. Jeden z mężczyzn pamięta kąpiel co dwa tygodnie, inni, że nie kąpali się częściej niż raz w miesiącu⁴². Kiedy w 1941 roku wybuchła wojna, nowi rekruci skarżyli się na brud, od którego śmierdzieli i który powodował swędzenie oraz powstawanie czyraków. Jednak weterani byli do tego przyzwyczajeni. W czasach pokoju życie czerwoarmistów polegało głównie na przyzwyczajaniu się do różnych rzeczy. Bez względu na stopień zrozumienia przez poborowych radzieckiego życia - a niektórzy hołubili jeszcze młodzieńcze marzenia, chociaż przeinaczone, o szansie i sprawiedliwości społecznej - armia ograniczała ich i traktowała szorstko.

Inne źródło niedogodności stanowiła przestępczość. Magazyny i składy armijne zawsze przyciągały lokalnych kombinatorów. Drobne kradzieże zdarzały się nagminnie w żołnierskich kuchniach mimo marnej jakości jedzenia. Kucharzy często oskarżano o sprzedawanie mięsa i tłuszczu, które powinny okraszać wojskową zupę, ale kuchnie były ostatnim ogniwem w łańcuchu sięgającym magazynów i bocznic kolejowych. Drobne kradzieże - typowa sprawa

dotyczyła 50 metrów materiału na onuce - były na porządku dziennym⁴³, jeśli jednak była szansa, na przykład z powodu ruchu wojsk, uniknięcia śledztwa, zdarzały się przestępstwa na dużo większą skalę. „Nasze śledztwa w jednostkach pokazały, że pracownicy transportu przyskakują oczy na kradzieże, nawet jeśli sami nie są w nie zamieszani” - mówił raport z 1941 roku. W pewnym okręgu „zniknęły 583 płaszcze, 509 par butów i 1513 pasów”. Wśród innych skradzionych dóbr znajdowało się jedzenie⁴⁴.

Armia niewątpliwie była prawdziwą szkołą, ale pewne *rzeczy*, których można się tam było nauczyć, nie znalazłyby miejsca w żadnym przyzwoitym podręczniku. Kiedy żołnierze kopali ziemniaki lub pracowali na dachu koszar, musieli się zastanawiać, gdzie zaczynają się ich wojskowe obowiązki. W gruncie *rzeczy* prawdziwymi żołnierzami byli przez niewielką część czasu, nie tylko dlatego, że nie omijało ich szkolenie ideologiczne. W każdy dzień roboczy mężczyźni uczestniczyli przynajmniej w jednych zajęciach dotyczących polityki, na przykład wykładzie o przeprowadzanej przez Stalina analizie kapitalizmu albo dyskusji na temat moralnych kwalifikacji idealnego oficera. Ideologii nie traktowano jako przypadkowego elementu w życiu armii ani nawet po prostu jako zastrzyku na poprawienie morale, ekwiwalentu religii. W ostatnich latach przed wojną państwo radzieckie obsadziło żołnierzy w roli ambasadorów propagandy. Oczekiwano, że jako awangarda narodu, jego miecz i obrońca, będą reprezentantami poprawnego myślenia. Idea zakładała, że poborowi wrócą do cywilnego życia i staną się wzorami, będą dawać przykład słowem i czynem. Jednak wcześniej trzeba było ich odmienić. Aby zostać przyzwoitym żołnierzem, nie mówiąc o — w mniejszości przypadków — komuniście, należało być poważnym, myślącym, prawym i ideologicznie świadomym człowiekiem.

Partia zbudowała w szeregach armii własne imperium, aby pracować nad umysłami żołnierzy. Jej interesy reprezentowała PURKKA - Główny Zarząd Polityczny Armii Czerwonej. Wśród najpotężniejszych działaczy na samym szczycie tej cywilnej struktury znalazł się Lew Mechlis, ponura osobistość, kojarzona bardziej z tajnymi aresztowaniami niż sprawami wojskowymi. Wywarł on zgubny wpływ na Armię Czerwoną, a jego usunięcie po 1942 roku okazało się

punktem zwrotnym w sytuacji Sztabu Generalnego. Jednak w 1939 roku armia wciąż zmagiała się z bagażem politycznych ingerencji. Jeśli chodzi o ludzi, o ich życiu orzekali polityczni komisarze, działający na poziomie pułku i batalionu, oraz oficerowie polityczni — politrucy — pracujący w kompaniach i mniejszych pododdziałach. Drugi poziom stanowili młodzi komuniści, komsomolcy, i agenci nazywani komsorgami.

Politruk był jednocześnie propagandystą, wojskowym kapelanem i psychiatrą, szkolnym prefektem i szpiegiem. „Politruk- oznajmiał rozkaz władz dla armii — to najważniejsza osoba w całej edukacji żołnierzy”⁴⁵. Zakres tematów, których uczyli politrucy, był rzeczywiście szeroki. Brali udział w zajęciach ze strzelania, musztry i znajomości broni. Odpowiadali za wpisywanie indywidualnych osiągnięć, notowanie, ilu ludzi „doskonale” się w czymś sprawdziło, i wymyślanie usprawiedliwień dla tych, którym się nie powiodło. Co miesiąc sporządzali raporty na temat dyscypliny w swoich jednostkach, morale i „wydarzeń nadzwyczajnych”, czyli dezercji, pijaństwa, niesubordynacji i samowolnych oddaleń. Zajmowali się również organizacją obchodów świąt państwowych, w tym rocznicy wybuchu rewolucji październikowej (która po reformie kalendarza przypadała 7 listopada), Dnia Armii Czerwonej (23 lutego) oraz Święta Pracy 1 maja. Poborowi z utęsknieniem czekali na te wolne od zajęć dni. Wykład politruka, na którym musieli wysiedzieć, był w końcu tylko przygrywką do odrobiny czasu wolnego i ciężkiego pijaństwa.

Politruk, który naprawdę walił w bębny propagandy, spodziewał się, że napotka opór. To zaiste godne podziwu, że niektórzy z nich — poważni, ambitni lub po prostu oddani - czynili wszystko, by urobić swoich ludzi według opracowanych reguł. Organizowali dyskusje, zebrania i kampanie plakatowe. W czasie wolnym żołnierzy urządzali głośne czytanie, głównie artykułów z gazet, na przykład armijnej „Krasnoj Zwiezdy”. Niektórzy tworzyli małe biblioteki, a prawie wszyscy prowadzili punkty propagandowe, w których wisiały plakaty i transparenty. Oficerowie polityczni we wszystkich jednostkach uczyli również podstaw pisania i czytania, a także badali skargi i odpowiadali na pytania dotyczące życia codziennego. Nie była to łatwa praca. Podobnie jak wszyscy inni oficerowie, politruk

cierpiał z powodu braków. „Nie mamy ani jednego tomu dzieł Lenina — informował jeden z nich swojego przełożonego w 1939 roku. - Co gorsza, jednostki skierowane do Finlandii odkryły, że nie mają żadnego portretu wodza, Stalina”. „Wysłać pilnie” - brzmiał telegram⁴⁶. Chociaż z perspektywy czasu instytucja politruka wydaje się absurdalna, niektórzy z nich — oraz ich młodszy towarzysze, komsorgowie — wierzyli w swoją misję i oddawali jej się z pełnym poświęceniem. Być może w 1939 roku część żołnierzy ich doceniała; niektórzy zaczęli to robić w zamęcie II wojny światowej. Ale większość patrzyła na czyste buty politruków oraz ich zadbane ręce i wyczuwała w tym wszystkim hipokryzję.

Politrucy spotykali się również z powszechną nienawiścią, ponieważ przede wszystkim odpowiadali za dyscyplinę. Denuncjacje były głównie ich dziełem i zwykle to ich raporty ściągają żandarmerię wojskową do mesy lub koszar. Funkcja ta kłóciła się z innym zadaniem politruków, jakim było budowanie atmosfery wzajemnego za-

ufania. „Rewolucyjna dyscyplina to dyscyplina ludu, ściśle związana z rewolucyjną świadomością (...) - głosiła ich instrukcja. - Opiera się ona nie na subordynacji klasowej, lecz na świadomym zrozumieniu (...) celów Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej”⁴⁷. Niektórzy mogli dojść do wniosku, że wyznawanie podobnych wartości buduje więź politycznego braterstwa, ale podwójne standardy, tajne denuncjacje i obłudne wymagania nie sprzyjały niezbędnej z perspektywy armii

atmosferze życzliwości w grupie. Szeregowcy i oficerowie, którzy w razie ataku musieli całkowicie polegać na swoich towarzyszach - ich życie zależało od wartowników, strzelców, a przede wszystkim od kumpli — wkrótce zorientowali się, że marksizm-leninizm nie gwarantuje niezawodności w wirze walki. Jednak przez następne trzy lata politrucy wciąż gadali. Posługiwali się argumentem, że komuniści są niezawodni. Wspólna ideologia powinna wystarczyć, aby człowiek miał pewność, że żołnierz obok niego będzie strzegł jego flanki, kiedy *zacznie* się strzelanina. Znani wrogowie zostaną usunięci. Partia zajmie się wszystkim.

Nawet w czasach pokoju system wprowadzał grzechawisko fałszywego oddania. Wśród politruków — jak wśród innych członków partii - było wielu ludzi wątpliwej moralności, łącznie z żądnymi władzy osobnikami, którzy kontrolowali wódkę i dziewczynki. „Młodszy politruk Siemionow musi stanąć przed sądem wojskowym -głosił telegram z 1940 roku. — Jest moralnie zepsuty. (...) Ciągłe pije, okrywając hańbą tytuł oficera". W owym tygodniu znaleziono go, bez broni, z prostytutką na dnie pojemnika na śmieci⁴⁸. Więcej jednak umknęło cenzurze, niż zostało utajnione. W końcu sami żołnierze musieli wyrazić swe poglądy. „Jeśli mam zginąć w walce -powiedział piechur swemu komunistycznemu sąsiadowi — to najpierw wsadzę ci rewolwer do gardła". „Pierwszą osobą, jaką zastrzele - groził inny poborowy, pakując się do Finlandii - będzie politruk Zajcew". Dwaj młodzi dezertery, których jednostka też kierowała się na północ, zostali zamknięci, kiedy odstawiono ich do bazy. „Gdy tylko trafimy na front — rzekł jeden z nich — zabiję zastępcę politruka"⁴⁹. Robiąc partii na złość, żołnierze smarowali swastyki na ścianach koszar. To, że wielu politruków, ludzi o wykształceniu powyżej przeciętnego, było Żydami, również zapewne miało zna-

czenie. Od początku 1939 roku raporty zawierają informacje o „antysemickich uwagach i prohitlerowskich ulotkach", które część po-litruków znajdowała u swych ludzi⁵⁰.

Tego rodzaju napięcia i animozje w dużym stopniu były przyczyną nieprzygotowania Armii Czerwonej do wojny, jednak swoją rolę odegrał też typ szkolenia bojowego. Ponieważ wykłady ideologiczne zajmowały bardzo dużo czasu w rozkładzie dnia, należało znaleźć dodatkowe godziny, by przyspieszyć konwencjonalne szkolenie. W 1939 roku „dzień szkoleniowy" trwał dziesięć godzin; od marca 1940 roku, po fińskiej katastrofie, już dwanaście. „Nie mam czasu przygotowywać się do tych wszystkich zajęć — mamrotał pewien rekrut. — Nie mam nawet czasu się umyć"⁵¹. W gruncie rzeczy poborowi mieli szansę opanować wyłącznie najbardziej podstawowe umiejętności. Uczono ich maszerować, padać lub wstawać na rozkaz i, co najbardziej wyczerpujące, okopywać się. Uczyli się zrywać z łóżka i ubierać w minutę, zawiązując onuce. Dryl mógł się wydawać bezcelowy, ale przynajmniej stanowił pierwszy krok do prawdziwej wojaczki, do wykształcenia odruchowego posłuszeństwa i większej siły fizycznej. Gdyby był czas - nie wspominając o jasnych rozkazach - żeby się na tym oprzeć, sprawy mogłyby się potoczyć dla tych ludzi lepiej. Jednak polityczne ingerencje nieustannie podkopywały ich zaufanie, a brak czasu ograniczał umiejętności, jakie mogli zdobyć.

Cała piechota musiała nauczyć się strzelać. Jej podstawową bronią był karabin *Mosin* wz 1891/1930 z pięcionabojowym magazynkiem, strzelający wyłącznie ogniem pojedynczym. Był niezawodny i cieszył się zaufaniem żołnierzy. Kłopot w tym, że nawet gdy fabryki w Tulę i Iżewsku zwiększyły po 1937 roku produkcję, i tak karabinów nie starczało dla wszystkich rekrutów. Problem stanowiły też części zamienne⁵². Żołnierze, którzy stanęli w 1939 roku w obliczu Finów, często tygodniami trenowali z drewnianymi replikami; to wystarczało, by nauczyć się nieco musztry i chwytów broni w pozycji leżącej czy kłęczącej, nie uczyło jednak celnego strzelania czy pewności chwytu, która zależała od wyważenia broni. To samo

dotyczyło czołgów, których kartonowe modele niekiedy wykorzystywano. A chociaż radzieckie fabryki produkowały pistolet maszy-

nowy światowej klasy — *PPD* Wasilija Diegtiariowa — niezbędna była wojna z Finlandią, by Stalin docenił jego wartość bojową. Podejrzliwość uniemożliwiła wszakże jego szersze wykorzystanie. Aż do końca 1939 roku doskonała nowa broń zarezerwowana była dla NKWD, a wszystkie zapasy armii spoczywały w magazynach⁵³.

Nic dziwnego, że raporty z koszar odmalowują ponury obraz szkolenia i jego efektów. Wielka liczba rekrutów, zarówno oficerów, jak i szeregowców, regularnie osiągała niezadowolające wyniki w strzelaniu⁵⁴. Alarmująco często dochodziło też do wypadków. Nawet podczas codziennych zajęć zdarzało się, że pijani żołnierze strzelali na oślep. Poza tym nie było powodu, żeby cały czas utrzymywać najwyższą formę, gdyż w tej armii nastawionej na paradę ludzie często musieli tylko siedzieć i czekać⁵⁵. Gdy tracili resztki wiary w swych oficerów, co bystrzejsi uczyli się lepiej wykorzystywać czas. „Nigdy niczego mnie nie nauczycie - zauważył ukraiński rekrut. - Śpię na posterunku i będę spał”⁵⁶. W marcu 1939 roku przedsiębiorcza grupa żołnierzy wysyłała co rano konno oddział do pracy w lokalnym tartaku. Płacą, jaką każdy z nich otrzymywał, dzielili się taktownie z oficerami politycznymi⁵⁷.

Surowi rekruci z 1938 i 1939 roku uczyli się również od starszych kolegów. W 1939 roku zmobilizowano rezerwy w ramach przygotowań do kampanii w Polsce, krajach bałtyckich i Finlandii. Ci dojrzały mężczyźni, niekiedy nawet po czterdziestce, przybyli już rozgniewani. Musieli zostawić pracę i rodziny, by wrócić do armii, o której ze wszystkich sił starali się zapomnieć. Rzadko ukrywali swą niechęć. „W armii jest gorzej niż na przymusowych robotach na linii bajkalsko-amurskiej” — narzekał jeden z nich przy kolegach. Część nawiązywała do Armii Czerwonej z jej okresu demokratycznego, z początku lat dwudziestych, kiedy rozmawiali z oficerami w chmurach tytoniowego dymu i traktowali rozkazy jako sygnał do ogólnej dyskusji. Pamięć podsuwała im wciąż łamane obietnice. „Dyscyplina Armii Czerwonej jest gorsza niż za starego carskiego reżimu” -skarżyli się weterani. A młodzi słuchali i uczyli się. - „Wypuszczą nas, dopiero gdy będziemy martwi”⁵⁸.

Potencjalni oficerowie, przyszła elita Armii Czerwonej, mogli mieć nadzieję na lepszy los. Wybrana grupa zaczynała szkolenie jeszcze w szkole. Inni zaczynali jako szeregowcy i awansowali, zrobiwszy wrażenie na przełożonych swymi poglądami politycznymi i umiejętnościami. Gdy w latach trzydziestych armia się rozrastała, wzrosło również zapotrzebowanie na kadetów. „Żadne wezwanie nie jest ważniejsze niż wezwanie Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej -głosiło komunistyczne hasło. — *Żaden zawód nie jest szlachetniejszy od funkcji dowódcy w tej armii*”⁵⁹. W rzeczywistości dopiero po 1934 roku dowódcy plutonów piechoty zaczęli zarabiać więcej niż pracownicy fizyczni w radzieckich fabrykach⁶⁰. Jedyne elita mogła oczekiwać przywilejów władzy i bogactwa, jakimi w świecie cywilnym cieszyli się kadra kierownicza i politycy. Jednak nędzna pensja nie odstraszała entuzjastów. Armia oferowała romantyczną przygodę, podróże i przyjaźń. Nie miało znaczenia, czy kadeci pochodzą z biednej chłopskiej chaty czy z apartamentów w centrum miasta. Ślęcząc nad językami, matematyką, taktyką i historią, kandydaci na oficerów przygotowywali się do solidnej kariery.

A przynajmniej taką nadzieję mieli jeszcze kilka lat przed 1939 rokiem. Prawda, że przerwy w dostawach i fizyczne niedostatki, jakie dręczyły ich ludzi, mogły dotyczyć też młodszych

oficerów; trudno było sprawnie działać w armii, której brakowało płaszczy, butów i karabinów. Jednak to były drobiazgi i dobrzy komuniści ignorowali je, o ile nie starali się poprawić ciężkiej sytuacji podwładnych. Od 1937 roku daleko bardziej uciążliwy był nieustanny strach przed błędem politycznym. Stalinowskie czystki wśród elity politycznej i wojskowej, które zaczęły się wiosną tego roku i trwały przez następne miesiące, zmieniły sytuację wśród oficerów na gorsze. W końcu jedną z najwyższych postawionych ofiar był sam Tuchaczewski, szef Sztabu Generalnego⁶¹. Zarzuty, jakie postawiono jemu i jego współpracownikom, obejmowały zdradę, nie mogli więc ująć karze śmierci. Podczas gdy wcześniej ofiarami politycznych represji padali cywile, tym razem proces wywołał dreszcz wśród wojskowych.

Aresztowanie Tuchaczewskiego było pierwszym aktem w procesie kierowanego przez Stalina terroru, mającego podporządkować armię, i generalnie cały sektor obronny, nowej formie kontroli poli-

tycznej. Zamieszanie miało doprowadzić do zmian w strategii, gdyż plany głębokiej obrony Tuchaczewskiego zostały zdyskredytowane przez jego upadek, w związku z czym Sztab Generalny w 1941 roku spodziewał się wojny ofensywnej. W owym czasie jednak kwestia strategii w hipotetycznym konflikcie wydawała się błaha w obliczu strachu, jaki z szybkością huraganu opanował korpus oficerski. W ciągu trzech lat, od 1937 do 1939 roku, pozbyto się nieco ponad 35 tysięcy oficerów. Do 1940 roku z armii i floty usunięto 48 773 osoby. W ostatnich trzech latach pokoju 90 procent dowódców okręgów wojskowych straciło stanowiska na rzecz podwładnych, a ta wymiana kadr wprowadziła chaos do rekrutacji, szkolenia, zaopatrywania i koordynowania ruchów wojsk w przeddzień wojny⁶². Morale również legło w gruzach, gdyż zawodowi żołnierze walczyli o ocalenie swych karier.

Aresztowany oficer rzadko trafiał przed pluton egzekucyjny, część z nich - około jednej trzeciej - wracała, a Reese obliczył, że nawet w najgorszym roku nie więcej niż 7,7 procent dowódców Armii Czerwonej usunięto z przyczyn politycznych⁶³. W 1940 roku 11 tysięcy ludzi odzyskało swe stanowiska. Jednak czystki poważnie utrudniły oficerom pracę. Przede wszystkim stało się jasne, że nikt nie może być pewny pracy czy życia. Wśród wojskowych gwiazd wielkiej wojny ojczyźnianej było kilku ludzi, łącznie z Konstantym Ro-kossowskim, późniejszym zwycięzcą spod Kurska i Królewca, którzy spędzili pewien czas w więziennych celach i obozach. Począwszy od 1937 roku, nie było wątpliwości, że każdy aspekt pracy armii, nawet czysto militarne kwestie w rodzaju szkolenia i rozmieszczenia sprzętu, może się stać przedmiotem partyjnej debaty. W przeddzień niemieckiego najazdu przedstawiciele partii śledzili każdy krok oficerów. Tymczasem podważone zostały wszystkie reguły dowodzenia. Zamiast czerpać dumę z odpowiedzialności, oficer uważał, że lepiej unikać zainteresowania i spychać odpowiedzialność na innych. Kadeci niewiele uczyli się o motywowaniu ludzi w warunkach polowych. Tym zajmować się mieli funkcjonariusze partii — politrucy.

Był to klasyczny przepis na stres. Młodzi oficerowie, z głowami pełnymi partyjnych nauk o odpowiedzialności i świętym zaufaniu, dostawali zadania, do których wykonania nie zostali przygotowani,

a potem — jakby sztychano z ich wysiłków — cały czas spowalniała ich drobiazgowość komisarzy. Równie straszliwe pułapki zastawiała na nich biurokracja; bali się jej tak samo jak wizyty NKWD. W 1939 roku, już po okresie najgorszych czystek, odsetek samobójstw wśród kadetów i młodszych oficerów był skandalicznie wysoki. „Strach przed odpowiedzialnością” to jeden z

najczęstszych motywów, jaki wylaniał się z ich listów pożegnalnych. U skłonnych do rozpaczki marna dieta i żalosne warunki życiowe mogły zniszczyć resztki morale. Pewien podporucznik mieszkał od miesięcy w ziemiance, gdy nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Jako młody komunista, kom-somolec, nie mógł winić ustroju. Zamiast tego w liście pożegnalnym napisał: „Nie mogę żyć w tak ciężkich warunkach. (...) Kocham mój kraj i nigdy go nie zdradzę. Wierzę w lepszą przyszłość, kiedy jasne słońce zaświeci nad całym światem. Tu jednak są wrogowie, którzy siedzą i grożą uczciwemu dowódcy na każdym kroku. Postanowiłem odebrać sobie życie, chociaż mam dopiero 21 lat”⁶⁴.

Zaangażowanie polityczne, a szczególnie czystki, utrudniały rekrutację, szkolenie i zatrzymanie nowych oficerów. Brak wszelkiego typu specjalistów osiągnął szczyt w 1940 roku. Gdy armia rozrastała się, dochodząc latem 1941 roku do ponad pięciu milionów ludzi, dramatycznie wzrosło jej zapotrzebowanie na oficerów. Według własnych szacunków wojska w przeddzień niemieckiego najazdu w korpusie oficerskim brakowało co najmniej 36 tysięcy osób, a kiedy zaczęła się wojenna mobilizacja, liczba ta sięgnęła 55 tysięcy⁶⁵. Przekładając to na realne warunki, żołnierze musieli walczyć pod dowództwem młodzików bez doświadczenia bojowego. Jednak nawet w latach trzydziestych, zanim armia musiała walczyć, kadetów wyciągano z akademii jeszcze przed ukończeniem nauki. W 1938 roku ludowy komisarz obrony Woroszyłow rozkazał 10 tysiącom z nich, żeby objęli stanowiska przed uzyskaniem promocji⁶⁶. Byli to młodzi ludzie, których stosunki ze starszymi - ojcami i nauczycielami — sprowadzały się do naśladowania, a nie przewodzenia. Kiedy mieli do czynienia z pułkiem trzydziestolatków, ryzykowali, że staną się obiektem nie szacunku, ale kpin.

Żołnierze od razu wyczuwali niekompetencję. Chociaż czystki i denuncjacje wyrządziły poważne szkody prestiżowi oficerów, ich

nieudolność okazała się fatalna. Armia miała być braterska i otwarta, a zawodowi podoficerowie nie stanowili w niej kluczowego elementu, tak jak w systemie brytyjskim i amerykańskim. Zamiast tego młodszy oficerowie, wspierani (lub podgryzani) przez przedstawicieli politycznych, prowadzili musztrę i szkolenie. Rezultaty można było przewidzieć. „Jeśli pošlę mnie na front - stwierdził młody rekrut, gdy zastanawiał się nad mobilizacją do Finlandii — ukryję się w krzakach. Nie będę walczył, ale strzelał do takich ludzi jak dowódca naszej jednostki Gordienko”⁶⁷. Do najczęstszych naruszeń dyscypliny w armii przed 1941 rokiem należały grubiaństwo lub niesubordynacja wobec młodszych oficerów⁶⁸.

Polityka wpływała na wszystko, co mógł zrobić oficer. Politrucy i komisarze przytłaczali oficerów, upierając się, że ich sprawy- świadomość klasowa, wpajanie wartości komunistycznych — powinny mieć pierwszeństwo przed kwestiami wojskowymi. Opór, a nawet nieuprzejmość, mogły kosztować oficera stanowisko. Cały ten układ był absurdalny. W 1939 roku nawet Mechlis uznał, że trzeba go napiętnować⁶⁹. Rok później, w następstwie fińskiej katastrofy, wprowadzono nowe regulacje, by wzmocnić czysto wojskową władzę i zachęcić oficerów do pozostania. Reforma objęła między innymi stan ich kwater. Status, uznano, wymaga podkreślenia przywileju. „Dowódca kompanii - jak ujęli to reformatorzy - powinien dostać najwyższego konia”⁷⁰. Był to krok, jeden z wielu, który miał pomóc młodym oficerom w wykonywaniu ich zadań. Nikt jednak nie zasugerował radykalnej zmiany, która rozpoczęłaby wszystko na nowo, bez wszechobecnej sieci polityki. Za każdym razem, gdy podnoszono problem dwuwładzy, odpowiedzią był kompromis, zmiana akcentu, która pozostawiała nietknięte wpływy partii.

Nic nie wymagało od politruka takiej inwencji jak komentowanie wiadomości. Patrząc na radziecką politykę zagraniczną w ostatnich kilku miesiącach pokoju, można im niemal współczuć. Żołnierze w większości byli niewykształceni, wielu nie potrafiło przeczytać gazety, ale nawet pijany półanalfabeta zauważyłby dziwną zmianę polityki w 1939 roku. 23 sierpnia radziecki minister spraw zagra-

nicznych Wiaczesław Mołotow podpisał pakt o nieagresji z hitlerowskimi Niemcami. Czerwonoarmistów przez dziesięć lat zmuszano do wysiadywania na kazaniach o groźbie faszyzmu; teraz, nagle, mówiono im, że Niemcy są sojusznikami. Na sześćdziesiąte urodziny Stalina w grudniu 1939 roku wpłynął też telegram z gratulacjami od Adolfa Hitlera. Führer przekazywał najlepsze życzenia „szczęśliwej przyszłości dla przyjacielskiego narodu Związku Radzieckiego”⁷¹.

Ani cywile, ani żołnierze nie wiedzieli, co myśleć o tych nowinach. Kiedy przyszło je wyjaśniać oficerom politycznym, musieli się odwołać do rewolucyjnej retoryki postępu historycznego. *Zawsze* można było mówić o międzynarodowej solidarności robotników, a niemiecka klasa robotnicza zajmowała szczególne miejsce w radzieckich wyobrażeniach, nie tylko dlatego, że podziwiano tamtejszy przemysł. Jednak pomysł zawarcia traktatu z Hitlerem mógł wywołać tylko szok. Kadeci w jednej z uczelni uznali, że cała ta historia to *żart*⁷². Gdy ktoś spytał, czy następna wojna będzie imperialistyczna, politruk w innej jednostce po prostu się poddał. „Nie ma powodu — odparł - by liczyć wojny imperialistyczne. (...) Kiedy wojna się skończy, zbierze się zjazd [partii] i powie nam, jaki to był rodzaj wojny”⁷³. Pozostawieni sami sobie, żołnierze zaczęli wymyślać dowcipy oparte na rymie między nazwiskiem niemieckiego ministra spraw zagranicznych Ribbentropa a rosyjskim słowem „dupa”⁷⁴.

Armia Czerwona zaangażowała się również w pewne nietypowe operacje. Tajna klauzula w niemiecko-radzieckim pakcie z sierpnia 1939 roku mówiła o rozbiórce Polski przez Niemcy i Związek Radziecki, a także o przyszłym zajęciu państw bałtyckich: Łotwy, Litwy i Estonii. Ledwo wysechł atrament, Niemcy najechali Polskę od zachodu, a zaledwie nieco ponad dwa tygodnie później, 17 września, pierwsze radzieckie oddziały wkroczyły na tereny jej wschodnich województw. Niemiecki akt agresji skłonił Wielką Brytanię i Francję do wypowiedzenia wojny 3 września, ale Polska była już skazana. Warszawa wpadła w ręce Niemców 28 września, a do tego czasu armie niemiecka i radziecka zajęły z przeciwnych stron resztę kraju. Armia Czerwona rozciągnęła się wzdłuż nowej granicy, rozpoczynając przedłużające się interludium niełatwej współpracy z sojusznikiem. Jej żołnierze zostali okupantami; uważali się za wyzwoliciele,

ale na co dzień mieli do czynienia z nienawiścią ludności, wśród której stacjonowali. Doświadczenie to powtórzyło się w czerwcu roku następnego, kiedy Sowieci kontynuowali marsz na północ, w kierunku państw bałtyckich, dodając do imperium Stalina kilka milionów kolejnych przymuszonych obywateli.

W 1939 roku priorytetem Stalina było ustanowienie nowej bezpiecznej granicy, zanim Wehrmacht zdoła po raz drugi zmienić mapę. Siły Armii Czerwonej wzdłuż nowej linii frontu zaangażowały się w pokazy braterstwa z równie sceptycznymi Niemcami. Wymieniono jeńców. Za wytyczoną niedawno granicą żołnierzom kazano chodzić od domu do domu w poszukiwaniu broni. „Bandy dywersyjne”, niedobitki polskiej armii, zostały wyłapane, podobnie jak wszyscy krytyczni lub szanowani członkowie miejscowych społeczności⁷⁵. Dziesiątki tysięcy polskich oficerów i

żołnierzy, łącznie z rezerwistami powołanymi ledwie kilka tygodni wcześniej, internowano w obozach. Od marca do maja 1940 roku na rozkaz Stalina zamordowano ponad 20 tysięcy z nich. NKWD przeprowadziło egzekucję czterech tysięcy polskich oficerów w lasach nieopodal Katynia, na zachód od Smoleńska, podobnie jak rozstrzelania koło Charkowa i Tweru. Mord trzymano w tajemnicy, chociaż okoliczna ludność słyszała odgłosy strzałów całymi godzinami, noc za nocą. Kiedy jednak miejscowi byli nieświadomi szczególnych wydarzeń, żołnierze wiedzieli, że państwo, które reprezentują i którego politykę wcielają w życie, nie jest wybawicielem bratnich ludów.

Doradcy wojskowi Stalina z wyprzedzeniem rozważali najbardziej prawdopodobne scenariusze. Ludzie wysyłani do Polski i krajów nadbałtyckich musieli wysłuchać specjalnych odczytów. Mówiono im, że ich wysiłki zapewnią bezpieczeństwo i szczęście mieszkańcom nowych terytoriów. Nie pozostawiono im też jednak wątpliwości, że nowe granice będą chronić ich ojczyznę i bezpieczeństwo. Żołnierze posłani do państw bałtyckich - na Łotwę, Litwę i do Estonii - byli wyselekcjonowani, „politycznie pewni (...), zaopatrzeni w najlepsze jedzenie, broń i amunicję”⁷⁶. „Jestem dumny - powiedział jeden z tych bohaterów - że dostąpiłem zaszczytu i mogłem stanąć w pierwszym szeregu obrońców naszej ojczyzny”. Tymczasem propagandyści snuli czytelnikom opowieści ze szczęśliwym zakończeniem. „Lud

pracujący zachodniej Ukrainy i Białorusi powitał Armię Czerwoną z wielką radością i miłością — brzmiał raport dla wojska. — Postęp jednostek Armii Czerwonej przypomina ludowy festyn. Mieszkańcy miast i wsi zawsze wychodzą, by je powitać, w zorganizowany sposób i w najlepszych ubraniach. Rzucają kwiaty pod nogi maszerującym żołnierzom. (...) Dziękujemy wam, drodzy towarzysze — mieli mówić. - Dziękujemy ci, Stalinie. Czekaliśmy na ciebie, a teraz przyszedłeś”⁷⁷.

Wyzwolenie nie do końca było farsą. Część ludności, szczególnie miejscowi Żydzi, miała powody, aby woleć rządy radzieckie od niemieckich. Jednak nawet oni wkrótce odkryli, że Armia Czerwona nie jest bezinteresownym mieczem rewolucji, za jaki pragnęła uchodzić. Dla żołnierzy ze Związku Radzieckiego te europejskie miasta i wsie były konsumenckim rajem. Życie nagle stało się przyjemne, nawet jeśli czerwonoarmiści nie mogli pić z miejscowymi piwa czy słuchać przez całą noc jazzu. „Siedzą godzinami — pisał do domu pewien zawistny oficer radziecki - pijąc piwo i paląc papierosy”⁷⁸. Dla zapobieżenia naruszeniom prawa armia wydała żołnierzom sił okupacyjnych niewielkie kieszonkowe. Jednak pokus było zbyt wiele. Jeśli miejscowi nie chcieli sprzedawać swych dóbr za kopiejki, żołnierze posuwali się do gróźb, by dostać to, czego chcieli. Plądrowali domy w poszukiwaniu łupów. Do ulubionych zdobyczy należały zegarki i wieczne pióra, ale przez pewien czas modne były nawet drewniane gałki od drzwi⁷⁹. Część weteranów do dziś pamięta, jak żołnierze sił okupacyjnych w państwach nadbałtyckich słali żonom pieniądze i ubrania; dla nich tereny przygraniczne pełne były skarbów. Podśluchano, jak piechur aresztowany za nabycie w łotewskiej księgarni zbiorku antyradzieckich dowcipów mówił, że kapitaliści wiedzą, jak żyć⁸⁰.

Mimo to regularne siły Armii Czerwonej jako okupanci zachowywały się stosunkowo łagodnie. Na nowych ziemiach najgorsze miało dopiero nastąpić. By połączyć zdobyte tereny z resztą radzieckiego terytorium, wysłano enkawudzistów, którzy mieli skolektywizować wszystkie prywatne gospodarstwa. Protestujący, ostatnia fala kułaków, zostali aresztowani i deportowani w bydłowych wagonach na wschód. Równocześnie, wśród zamętu rewolucji społecznej i nad-

ciągającej wojny, rady wojskowe rozpoczęły pobór. Nie dawało się zaspokoić zapotrzebowania armii na ludzi, tak więc nowe narody -przede wszystkim te z państw granicznych — musiały oddać kontyngenty jak wszystkie inne. Część polityków miała nawet nadzieję, że służba wojskowa zmieni synów rodzin kapitalistycznych w prawych radzieckich obywateli. W każdym razie pobór był kwestią pilną, wymagającą szybkich i zdecydowanych działań. Dużo za późno zrozumiano, że nowi poborowi zniszczą spójność i morale żołnierzy służby czynnej.

Począwszy od 1940 roku, tysiące dziesiętnastolatków z dawnych polskich ziem Ukrainy i Białorusi trafiało do jednostek nadgranicznych okręgów wojskowych. Pamiętając o ich ewentualnym wpływie, rozdzielano ich w małych, około piętnastoosobowych grupkach między poszczególne kompanie⁸¹. Dowodzenie nimi w języku rosyjskim stanowiło problem, gdyż wielu mówiło i pisało tylko po ukraińsku lub po polsku. Jednak to nie brak porozumienia utrudniał ich szkolenie. W przeciwieństwie do chłopaków, których umysły ukształtowały się w systemie radzieckim, ci ludzie mieli świeże wspomnienia z innego świata. Nawet ci, którzy byli wdzięczni za radziecką ochronę przed Niemcami - gdyż nieliczni wierzyli, że pakt przetrwa — przynieśli wątpliwości dotyczące dopiero co utworzonych spółdzielni produkcyjnych. Wszyscy mieli mnóstwo pytań politycznych. Część widziała masowe aresztowania domniemanych „wrogów”, jakie nastąpiły po zajęciu ich ziem przez Sowietów, gdyż siły NKWD zawsze znajdowały się w pobliżu frontu⁸². Wielu z nich, wcielonych do armii państwa propagującego ateizm, pielęgnowało też głęboko ukrywaną wiarę.

Komisarze nie radzili sobie. „Sporo z nich to ludzie religijni -donosili. — Niektórzy noszą krzyżyki, których nie chcą zdejmować nawet w bani”⁸³. Pewien oficer odkrył, że część jego nowych ludzi zaczyna „listy do domu słowami: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«. Jeden żołnierz dostał w liście od matki ikonę, przed którą modli się przed pójściem spać”⁸⁴. Tacy chłopcy pochodzili z wiosek, w których w Wielkanoc wierni czuwali w cerkwi. Część miała sąsiadów, którym wiara nie pozwalała nawet nosić broni⁸⁵. Było pomyłką, przyznawali zwierzchnicy politruków, zapomnieć,

iz ci nowi ludzie są politycznie niesprawdzeni, a może i wrodzy radzieckiemu reżimowi. Mogą nawet żywić poglądy nacjonalistyczne. W niezgrabnym, niesamowicie orwellowskim języku tego okresu pewna nota ostrzegała, że nowi poborowi „nierzadko nie tylko wykazują niezdrowy stan umysłu, skarżąc się na surowość dyscypliny i trudną służbę w Armii Czerwonej, ale gdzieniegdzie próbują tworzyć separatystyczne grupy”⁸⁶.

Tacy właśnie ludzie kryli się za bohomazami, które w owym czasie pokazały się na ścianach koszar. Humor, a nie religia, stanowił zapewne najpoważniejsze wyzwanie dla władzy politruków. Wszelkiego rodzaju graffiti — „nieocenzurowane słowa”, jak ujmowali to donosiciele — stawały się wszędzie coraz śmielsze. Portrety Lenina i Stalina - jednemu z nich nieznana ręka dorysowała wylupiaste, żabie oczy - były stałymi celami, podobnie jak polityczne plakaty. Część politruków miała ochotę się poddać. „Nie ma pracy politycznej w tej jednostce” - utyskiwał raport i okazało się, że żołnierze przestali nawet jej oczekiwać. Jak rekrut — tym razem Rosjanin — z jednostki łączności ujął to w marcu 1939 roku, „faszyści nic mi nie zrobili; nie widzę sensu w walce z nimi. Z mojej perspektywy nie ma znaczenia, czy rządzi władza faszystowska czy radziecka. Byłoby lepiej umrzeć lub uciec, niż walczyć za ojczyznę”⁸⁷.

Taka była armia, która wyruszyła na wojnę z Finlandią. Nie była monolitem z późniejszego

radzieckiego mitu. Była ciałem rozwijającym się, zbiorowiskiem, którego gotowość bojową wciąż jeszcze tworzono. Szeregi stojących przed politrukami mężczyzn, którzy w listopadzie 1939 roku usłyszeli rozkazy wymarszu, obejmowały ojców i synów. Starsi pamiętali carat i jego ostatnią wojnę; młodzi, z głowami pełnymi frazesów, mieli wyłącznie swą energię. Wiedzieli teoretycznie, dlaczego każe im się walczyć. Opowieść brzmiała, że fińscy faszyci zagrażają granicy radzieckiej ojczyzny. Tak jak żołnierze w filmach propagandowych, czerwonoarmiści mieli szybko ich odeprzeć. Miała to być szybka i łatwa operacja, a przynajmniej tak powiadano. Ci, którzy w to uwierzyli, mogli mieć nadzieję, że ktoś inny będzie za nich walczył. Jeśli zwycięstwo było naprawdę gwa-

rantowane, żaden żołnierz nie musiał w końcu zbyt ryzykować, a historia sama zadbałaby o triumf sprawiedliwości. Tymczasem mieli okazję wyjechać, by spełnić obowiązek, a ponadto zdobyć fiński zegarek i porządną gorzałę. Bez względu na oczekiwania żołnierzy pogoda pogarszała się. Buty i płaszcze, w których wyruszyli, nie mogły wystarczyć na długą wojnę.

„Stan moralno-polityczny żołnierzy jest generalnie dobry” - pisali politrucy na użytek swych zwierzchników. Ich zadaniem było dbać o morale w czasie wojny, ale w armii radzieckiej oznaczało to coś zupełnie innego niż w brytyjskiej czy amerykańskiej psychologii wojskowej tamtego okresu. Politrucy nie skupiali się na umyśle jednostki. To żołnierz, a nie jego oficerowie, miał udowodnić, że jest godny wojskowego życia. Jeśli okazał tchórzostwo lub wątpliwości, był zdrajcą ojczyzny i rozczarowaniem dla rewolucji. Nie liczyły się jego indywidualne prawa i interesy. W tym modelu politruk musiał się wyłącznie upewnić, że ludzie wierzą w słuszność sprawy. *Żołnierze*, którzy rozumieli i naprawdę wierzyli w swą misję, nie potrzebowali dalszej pomocy, ponieważ wiedzieli, że robią to, czego ich społeczeństwo - i przyszłość rewolucji proletariackiej - od nich wymaga⁸⁸. W tym reżimie nie było miejsca na ego. Wskaźnikami zdrowej sytuacji polityczno-moralnej nie były zadowolenie czy psychiczne zdrowie jednostki, ale liczba kandydatów do partii, chęć zgłaszania się do niebezpiecznych zadań i ogólny poziom zgodności z powszechnymi normami.

Idee te ani nie dziwiły, ani nie były obce młodym ludziom, którzy mieli walczyć w Finlandii. Radzieccy żołnierze byli dziećmi swego czasu i środowiska i w różnym stopniu — nawet jeśli z tego żartowali - idee partii stały się ich ideami. Nieliczni tylko hołubili w sercu marzenie o obronie radzieckiej ojczyzny. Ich bohaterami byli lotnicy i odkrywcy z lat trzydziestych, a ich pragnieniem - stać się równie zręcznymi i odważnymi jak oni. Byli też tacy, którzy dali się omamić entuzjazmowi epoki, postrzegając siebie jako awangardę komunizmu, dziedziców — być może — bojowników wojny domowej, o których słyszeli w szkole. Tacy ludzie mogli „błagać” o skierowanie na front. „Chcę wyjechać, by walczyć za ojczyznę i Stalina” — napisał żołnierz, być może pod dyktando politruka. I dodał,

tak jak wielu innych, formalną prośbę o przyjęcie do partii. „Będę walczył w duchu partii, jako bolszewik”⁸⁹.

Było tak, jakby kino stało się życiem. Dwadzieścia lat po pierwszej kampanii Armii Czerwonej jej żołnierze nie mieli większego pojęcia o bitwie, pomijając liczne filmy o męstwie, bohaterstwie i poświęceniu. Prawdziwe wymagania współczesnej wojny, w tym taktyka, samokontrola i łatwość obchodzenia się z nowoczesną bronią, mogły się wydawać temu pokoleniu niemal bzdurne. Na przykład, do noszono z dumą, że „zastępca oficera politycznego 5. batalionu 147.

Pułku Strzelców poprowadził swoich ludzi do ataku z okrzykiem: »Za ojczyznę i Stalina!«" Jako jeden z pierwszych dostał fińską kulę⁹⁰. 21 grudnia komsomolcy z innego pułku zorganizowali wiele bezcelowych rajdów, by uczcić urodziny Stalina. Inni zobowiązali się zawsze kończyć zajęcia z najwyższymi notami, jakby jakiegokolwiek inne były pożądane.

Braterstwo - stworzenie tego, co socjologowie badający inne armie określili mianem „grupy pierwotnej” wśród żołnierzy - byłoby lepszym sposobem na poprawienie dyscypliny i współpracy⁹¹. Silniejsze poczucie lojalności zbudowałoby większe zaufanie. Jednak bliskie relacje między żołnierzami nie były mile widziane. Mogły oznaczać rodzaj dewiacji, martwili się szpiegdy, konspiracje w zarodku. Trzynaście z czterdziestu sześciu dywizji piechoty, które Armia Czerwona skierowała do Finlandii, zostało utworzonych na niespełna dwanaście miesięcy przed zimą z 1939 na 1940 rok⁹². Inne, zgodnie z polityką owego czasu, uzupełniono obcymi do pełnego stanu w ostatnich tygodniach przed wyruszeniem na front⁹³. Zamiast utrzymywać zaufanie, politycy kultywowali wśród tych ludzi ducha partyjnego albo, co gorsza, fabrykowanej „życzliwości”. „Żołnierze, dowódcy

I pracownicy polityczni naszego pułku okazują odwagę, heroizm i chęć niesienia pomocy w czasie bitwy” - stwierdził pewien raport⁹⁴.

„Życzliwość” tego rodzaju nie zastępowała braku profesjonalizmu, nie wspominając o wzajemnym zaufaniu. Ludzie ci nie potrafili wspólnie ćwiczyć. Być może słowo „życzliwość” opisuje charakter dywizji artylerii, która bez rozkazu otworzyła ogień koło fińskiej wioski Makela, „by pomóc piechocie w podniesieniu ducha”⁹⁵. Następną fazą w tej batalii była masowa i nieskoordynowana panika.

Duch partyjny również nie pomógł, gdy ludzie się bali. Radzieccy żołnierze w Finlandii nie byli przygotowani do takiego typu walki, jaki umożliwiała ich broń. Nawet oficerowie nie mieli pojęcia

o koordynacji niezbędnej do wykorzystania piechoty, ciężkich dział i czołgów⁹⁶. Bez podstawowej wiedzy o ich roli żołnierze postrzegali bitwy jako niezrozumiałe i przerażające. Część bała się własnego cienia. Pewnego ranka piechur z 7. Armii wywołał zamęt, kiedy wrzeszczał tak głośno, że przeraził cały batalion. Wyjaśnił później, że ujrzał w lustrze własną twarz i wziął ją za fińskiego snajpera. Jego straszliwy krzyk zaniepokoił pobliską jednostkę łączności. Żołnierze zaczęli strzelać na oślep, bez rozkazu, marnując cenne pociski. Nie daleko członkowie korpusu ochrony kolei również usłyszeli hałas i dołączyli do strzelaniny⁹⁷. Niechętnie, wręcz rozpaczliwie, oficerowie polityczni próbowali tchnąć nieco ducha walki w żołnierzy. Ich priorytetem, jak ustalono, powinno być odtąd szkolenie wojskowe. Raporty, jakie napisali, to żałobna lektura. „Jest za późno i niemal nie sposób organizować pracę partyjno-polityczną w czasie bitwy” - wyjaśniał starszy komisarz. Do rzeczy, na których przekazanie żołnierzom na polu bitwy było „za późno”, należała instrukcja, jak padać, kiedy fińscy strzelcy otwierają ogień⁹⁸.

„Powiedzieli nam, że Armia Czerwona zmiażdży białych Finów z szybkością błyskawicy — ludzie

zaczęli się skarżyć w okolicy Nowego Roku — tymczasem końca wojny nie widać". Natrafili na linię Man-nerheima, fińskie umocnienia, które przegapił radziecki wywiad. Jeśli wcześniej się bali, teraz ich nastrój bliższy był czystej rozpacz. Opowieści partii o łatwym zwycięstwie okazały się kłamstwem. „Znajdowaliśmy te bunkry wszędzie. Nie mogliśmy nawet zbierać naszych rannych i zabitych. Piechota nie mogła się przedrzeć przez takie fortyfikacje”⁹⁹. Pospiesznie wydano nową broszurę, *Trzy tygodnie walki z białymi Finami*, oraz bardziej praktyczną, zatytułowaną *Specyficzne problemy tej wojny i jak poprawić naszą skuteczność*TM. Jednak zasadnicza taktyka Sowieców nie zmieniła się. Siły Armii Czerwonej miały wyłącznie atakować. Takie podejście odpowiadało Finom, których karabiny maszynowe niemal bez pośpiechu masakrowały radzieckich żołnierzy. Pomagało im to, że część wyższych radzieckich oficerów uznawała korzystanie z kamuflażu za oznakę tchórzostwa¹⁰¹.

Kiepskie warunki grały wszystkim na nerwach. Już w pierwszym tygodniu wojny zanotowano w piechocie dziesiątki przypadków odmrożeń. Pod koniec grudnia 1939 roku liczba przypadków, obejmująca jedynie żołnierzy na tyle poważnie poszkodowanych, że uniemożliwiało im to walkę, wzrosła do 5725¹⁰². Równocześnie oficerowie donosili o braku walonek, futrzanych czapek, onuc i zimowych kurtek. Co gorsza, niekiedy całymi dniami brakowało gorących posiłków, a nawet herbaty¹⁰³. Temperatura spadła rekordowo jak na wczesną zimą, dobrze poniżej -30 stopni Celsjusza, a wielu żołnierzy przybywało wprost z łagodniejszego klimatu Ukrainy. Tymczasem zimno łatwo było przewidzieć, skoro Karelia należała od dziesięcioleci do rosyjskiego imperium; tamtejsze warunki stanowiły część świeżych, wciąż żywych wspomnień.

Żołnierze zaczęli dezertować setkami. Czasem zwyczajnie odchodzili, wykorzystując zamieszanie, by znaleźć ogień i ogrzać się, ukraść żywność lub po prostu zniknąć¹⁰⁴. Pewien piechur „podał się” Finom w imieniu całych dwóch batalionów¹⁰⁵. Nie tylko jednostki i nie tylko szeregowcy, ale całe pułki porzucały w ten sposób swe posterunki. Niekiedy Rosjanie zostawiali cięższą broń, pozwalając Finom zbierać działa, amunicję i karabiny. Dezserterzy mogli zbiec niezauważeni, gdyż nikt nie wiedział, za kogo odpowiada. Równocześnie chaos na froncie umożliwiał ludziom zagarnianie łupów. Jeden z żołnierzy ukradł rower, by sprzedać go po powrocie do domu. Inni woleli gromadzić zimowe rzeczy. Politrak Małkow został złapany z dwoma skórzanymi płaszczami, czterema garniturami, butami i walizką pełną skradzionych ubranek dziecięcych¹⁰⁶.

Generałowie Stalina, jak to mieli w zwyczaju, wykorzystali brutalne środki, aby doprowadzić swą warcholską armię do porządku. Tej zimy wydano rozkazy, by rozstrzeliwać maruderów i dezertersów. Według wojskowych wyliczeń jedenastu dezertersów z 8. Armii rozstrzelano na początku stycznia¹⁰⁷, tymczasem jednak inni żołnierze zaczęli strzelać do siebie. Przypadki „samostriełu”, świadomego samookaleczenia, narastały lawinowo po Nowym Roku. Zdesperowani żołnierze niewiele więcej mogli zrobić. *Zagrodotriady* — kolejne nowe słowo w radzieckim słowniku - to oddziały NKWD, które stały za frontem i wyłapywały każdego, kto próbował uciec. W prze-

ciwieństwie do żołnierzy liniowych dysponowały dużą liczbą broni maszynowej. Równocześnie oficerowie stawali przed plutonami egzekucyjnymi NKWD. W styczniu 1940 roku sądy skazały wielu z nich na śmierć za tchórzostwo i niepowodzenia. Nawet radzieckie wyższe dowództwo zaczęło się zastanawiać, czy nie ma lepszego sposobu zorganizowania wojny. Jeden z jego dokumentów sugerował nieśmiało, że „najwyższy wymiar kary jest nadużywany”¹⁰⁸.

Ocalały z wojny zimowej wspominał „ponurą apatię i obojętność na nadciągającą klęskę”, które popychały ludzi naprzód, gdy nie było alternatywy dla śmierci¹⁰⁹. Jakże daleko było do szybkiego zwycięstwa i ducha partii. W Moskwie reformatorzy czytali o „negatywnym wpływie”, jakiego doświadczali ludzie, gdy natykali się na zamrożone ciała żołnierzy z wcześniejszych fal, wyłaniające się z płytkich grobów wzdłuż oblodzonych dróg wiodących na północ. Opowieści o katastrofie przenikały do koszar, w których nowi żołnierze czekali na rozkazy bojowe. „Nie pojedę do Finlandii — powiedział poborowy w Charkowie swemu politrukowi. - Dwaj moi bracia tam są i wystarczy”¹¹⁰. Zszokowani przepaścią między swymi oczekiwaniami a realną wojną, generałowie Stalina zebrali się w Moskwie, by rozważyć program reform. Czasu na myślenie jednak nie było. Gdy ślęczeli nad planami, Niemcy przygotowywali się do ataku na Francję, którego niszcząca szybkość położyła kres wszelkim nadziejom na pokój na froncie wschodnim.

Los rzuca skrzydeł cień

V[^]/zerwiec to szczególny miesiąc w całej północnej Europie. W europejskiej części Rosji i na Ukrainie jest magiczny. Zimowe ciemności i lód są już ledwie wspomnieniem, a wiosenne błota i deszcze idą w niepamięć. Słynne kijowskie kasztanowce zakwitają, podobnie jak moskiewskie bzy i jałtańskie judaszowce. To miesiąc piwonii i zielonych wierzb; na północy miesiąc białych nocy. Letnie przesilenie przypadało w 1941 roku w sobotę. W Sewastopolu, ojczyźnie Floty Czarnomorskiej, był - jak wspominał w swoim dzienniku oficer floty Jewsiejew- „cudowny krymski wieczór”. Tej soboty „wszystkie ulice i bulwary w mieście zostały oświetlone. Białe domy kapały się w świetle, kluby i teatry wabiły marynarzy, którzy zeszli na brzeg. Na ulicach i w parkach były tłumy marynarzy i ubranych na biało miejscowych. Jak zawsze, słynny bulwar Primorski pełen był spacerowiczów. Grała muzyka. W ten ostatni wieczór przed wakacjami wszędzie rozbrzmiewały żarty i śmiechy”¹. Tydzień wcześniej radziecki minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow upierał się, że plotki o niemieckich zamiarach zerwania paktu z Moskwą i zaatakowania Związku Radzieckiego są bezpodstawne². Pokusa, żeby mu uwierzyć, musiała być wielka.

Tej nocy jedynym źródłem światła w bliźniaczych portach miasta była latarnia morska Górny Inkerman. Wskazywała ona niemieckim samolotom drogę prosto do portu³. Nadciągnęły ze wschodu, nisko nad stepem, robiąc ogromny łuk w radzieckiej przestrzeni. Znały swoje cele: flota, magazyny, działa przeciwlotnicze. Wkrótce w Morzu Czarnym odbiły się nowe światła z brzegu: płonące smugi

i flary, szperacze, ponura luna pożarów. „Czy to nasze samoloty? — spytał ktoś Jewsiejewa, gdy marynarze wskakiwali do łodzi, żeby wrócić na okręty. - To muszą być kolejne ćwiczenia”. Jednak jego sąsiad przyjrzał się uważniej. „Nasze baterie przeciwlotnicze strzelają ostrą amunicją - powiedział. - A te bomby nie wyglądają na atropy”. „No to mamy wojnę, tak? - spytał trzeci. - Ale z kim?”⁴

Setki kilometrów na północ, wzdłuż nowej granicy na byłych ziemiach polskich, żołnierze Armii Czerwonej relaksowali się przed niedzielą. Ci, którym udało się uzyskać przepustki, poszli do miasta, kosmopolitycznego Lwowa czy Mińska, żeby zjeść porządny obiad i zapomnieć o zmartwieniach. Generał pułkownik D. G. Pawłow, naczelny dowódca Specjalnego Zachodniego Okręgu Wojskowego, był w teatrze. Przed pełną salą klubu oficerskiego w białoruskiej stolicy wystawiano komedię muzyczną Aleksandrowa *Wesele w Ma-linowce*[^]. Dobry dowódca nie pozwolił,

aby rozrywkę zakłóciły mu nowiny przyniesione przez szefa wywiadu, pułkownika Błochina, który informował, że wzdłuż granicy pojawiły się niemieckie wojska gotowe do akcji. Jest nawet kilka raportów, wyszeptał Błochin,

O strzelaninach. „To nie może być prawda” - odparł Pawłów i wskazał na scenę. Nadszedł czas, żeby się skupić na sztuce⁶. Tak naprawdę całej armii wydano rozkazy, żeby zachowała spokój. Kamienszczykow, oficer lotnictwa, znalazł się tego wieczoru w teatrze z żoną, synem i ojcem. Przyjechali do niego z domu w Stalingradzie na krótkie wakacje⁷. Oni również obejrżeli przedstawienie, a potem wrócili do swej kwatery na kolację i nocleg.

O dziewiątej tego wieczoru, podczas gdy Pawłów wciąż siedział w teatrze, niemiecki saper Alfred Lisków przekradł się przez radzieckie linie. Lisków był jednym z nielicznych niemieckich internacjonalistów, jakich kiedykolwiek spotkała armia radziecka. Zanim został powołany w 1939 roku, pracował w fabryce mebli w nadmorskim Kolbergu (Kołobrzegu) i tam zapoznał się z dziełami Marksa

i Lenina. Tej nocy przybył, aby ostrzec swych braci proletariuszy przed grożącym im niebezpieczeństwem. Powiedział Rosjanom, którzy go schwytali, że niemiecka artyleria nad granicą ma rozkaz rozpocząć za kilka godzin ostrzał celów po radzieckiej stronie. O brzusku, ciągnął, „tratwy, łodzie i pontony” zostaną rzucone przez Bug,

bagnistą rzekę oddzielającą okupowaną przez Niemcy Polskę od radzieckiego sektora na wschodzie⁸. Atak na Związek Radziecki miał nastąpić z niszczącą siłą. Informacji tego rodzaju dostarczali dezterzy na całej granicy. Nie były to żadne nowiny dla przywódców w Moskwie. Brytyjski, a nawet radziecki wywiad ostrzegał o tych planach od tygodni, ale Stalin wolał ignorować informacje, wojska przygraniczne zaś nie przygotowywały się do obrony. Jeśli o nich chodziło, dezterzy wyglądali tej nocy na prowokatorów. Jeden z nich, Niemiec z Berlina, został na tej podstawie zastrzelony. Lisków wciąż był przesłuchiwany, kiedy móżdżerze rozdarły nocną ciszę⁹.

Kamienszczykowa obudziła żona. Być może to skutek jej braku doświadczenia, powiedziała, ale nigdy nie słyszała nocą tylu samolotów nad miastem. Mąż zapewnił ją, że te odgłosy to manewry. Ostatnio było mnóstwo ćwiczeń. Mimo to narzucił płaszcz na ramiona i wyszedł na zewnątrz, żeby popatrzeć. Od razu zrozumiał, że to prawdziwa wojna. Już samo powietrze było inne; pełne brzęczenia, wstrząsów, ciemne od gęstego, czarnego dymu. Główna linia kolejowa poznaczona była płomieniami. Nawet horyzont zaczął się czerwienić, jednak blask, na zachodzie, nie oznaczał nadchodzącego świtu. Działając bez rozkazów, Kamienszczykow udał się na lotnisko i od razu wystartował na spotkanie napastników. Dlatego właśnie jego samolot, jako jeden z niewielu z setki maszyn ustawionych w schludnych szeregach na noc, został zestrzelony nad bagnami koło Białegostoku, a nie zniszczony na ziemi¹⁰. Do południa 22 czerwca Sowietnicy stracili 1200 samolotów. Tylko w Specjalnym Zachodnim Okręgu Wojskowym Niemcy zniszczyli 528 maszyn niczym cele na strzelnicy¹¹.

W przeciwieństwie do Kamienszczykowa generał pułkownik Pawłów nawet nie dotarł do łóżka. Zaraz po przedstawieniu odbyła się pospieszna narada z kilkoma oficerami sztabowymi, a potem, o pierwszej w nocy, generał został wezwany do kwatery polowej na rozmowę telefoniczną. Po drugiej stronie, w Moskwie, siedział ludowy komisarz obrony Siemion Konstantinowicz Timoszenko¹². Dzwonił, by sprawdzić sytuację wojsk nadgranicznych.

„Cóż — zaczął - jak tam u was? - Cisza?" Pawłów odparł, że Niemcy wykazują ożywioną działalność na linii frontu, włącznie z nagromadzeniem

jednostek zmotoryzowanych i pancernych. „Spróbujcie się tak nie przejmować i nie panikujcie — rzekł Timoszenko. — Zbierzcie tylko rano sztab, ponieważ może się zdarzyć coś nieprzyjemnego, ale nie reagujcie na żadne prowokacje. Jeśli do tego dojdzie, dzwońcie do mnie

Pawłów wspominał potem, że spędził następne dwie godziny z wyższymi oficerami. Kolejno raportowali o stanie swych oddziałów, o fatalnym zaopatrzeniu i braku gotowości bojowej. Część jednostek była rozproszona na ćwiczeniach, inne potrzebowały więcej paliwa lub amunicji, a wszystkie w mniejszym lub większym stopniu paraliżował nieodpowiedni lub źle zorganizowany transport. Koleje nadal kursowały według pokojowego rozkładu *jazdy*, a niemal każdemu frontowemu pułkowi brakowało pojazdów mechanicznych. Armia nie mogła nawet zarekwirować ciężarówek, ponieważ w stalinowskiej Rosji prawie nie było cywilnych pojazdów. O 3.30, w chwili wyznaczonej na lądowy atak niemiecki, Pawłów i jego ludzie wciąż jeszcze zmagali się z tymi problemami. Zbiegiem okoliczności dokładnie wtedy ponownie zadzwonił Timoszenko. „Zapytał mnie, co nowego — wspominał Pawłów. — Powiedziałem mu, że sytuacja się nie zmieniła"¹⁴. W tym momencie już kilkanaście miast na granicy stało w płomieniach.

W nocy Luftwaffe wdarła się głęboko w radzieckie terytorium. O świcie samoloty zawróciły na zachód i zaczęły bombardować strategiczne miasta: Białystok, Kijów, Brześć, Grodno, Równe i Kowno, jak również bałtyckie porty Tallin i Rygę. Atak lądowy, trzon „Planu Barbarossa”, zaczął się, gdy niebo na wschodzie się rozjaśniało. O 3.15 22 czerwca radziecka straż graniczna pilnująca mostu na Bugu w Kodeniu została wezwana przez swych niemieckich odpowiedników, by przedyskutować „ważne sprawy”. Kiedy pogranicznicy posłusznie się stawili, zostali skoszeni seriami z karabinu maszynowego przez straż przednią niemieckiego oddziału. Po przybyciu pod most kolejowy w Brześciu niemieccy saperzy usunęli materiały wybuchowe ze środkowego filaru i dali sygnał swym towarzyszom, że mogą przejść¹⁵. Do 5.30, kiedy to, według czasu moskiewskiego, niemiecki ambasador von Schulenburg dostarczył Mołotowowi wypowiedzenie wojny, wojska Pawłowa atakowało trzynaście dy-

wizji piechoty i pięć pancernych, osłanianych przez artylerię i lotnictwo.

Szok prowadził do dezinformacji i zamieszania. Grodno było tak ciężko bombardowane, że dowódca radzieckiej 3. Armii, Ku-zniecowa, zabarykadował się w piwnicy jeszcze przed świtem. Inne wiadomości mówiły o spokoju jeszcze przez kilka godzin, a nawet, w wypadku 10. Armii Gołubiewa, o odparciu niemieckich wojsk. Około siódmej część oficerów zaczęła meldować, że stracili kontakt ze swymi ludźmi, że całe jednostki po prostu zniknęły. Jak Pawłów wyznał potem przesłuchującym: „Kuzniecowa poinformował mnie z drzeniem w głosie, że z 56. Dywizji Strzelców pozostał jedynie numer"¹⁶. Żołnierze zginęli, trafili do niewoli albo, jak ci z 85. Dywizji, po prostu uciekli na południe. Linie radiowe i telefoniczne nie działały, wiadomości i rozkazy nie dochodziły. Należało wysłać zaufanego przedstawiciela, by zapanował nad sytuacją. Tego ranka Pawłów oddelegował generała porucznika Iwana Wasiliewicza Boł-dina do sztabu 10. Armii w granicznym Białymstoku. Miał tam polecieć prosto z Mińska.

Bez względu na swe ewentualne wątpliwości Bołdin poznał tego popołudnia prawdę. Jego lekki samolot znalazł się pod niemieckim ostrzałem, zanim jeszcze dotarł do granicy, a kiedy generał wylądował na lotnisku polowym pod Białymstokiem, ktoś powiedział mu, że niedaleko

zauważono spadochroniarzy. Atmosfera, jak wspominał później, „była niewiarygodnie gorąca, a powietrze pachniało spalenizną”. Wspinając się na jedyną ciężarówkę, jaką zdołała zarekwirować armia, odczuwał szok i bezradność. Samochód powoli przebijał się przez zdeorientowane tłumy uchodźców. Większość ludzi szła pieszo, kierując się byle dalej od hałasu i szalejących płomieni, ale potem pojawiła się niewielka zmotoryzowana kolumna prowadzona przez zgrabnego nowego ZIS-a 101. „Z jednego z okien wystawały szerokie liście aspidistry - zauważył Bołdin. - Był to samochód jakiegoś miejscowego oficjela. Wewnątrz siedziały dwie kobiety i dwoje dzieci”. Bołdin popatrzył na grupę z nieukrywanym wstrętem i zasugerował cierpko, że można by wyrzucić roślinę i zrobić miejsce dla jeszcze jednej osoby. Gdy jednak zawstydzone kobiety odwróciły się, nad drogą zanurkował samolot i rozległy się

trzy serie z karabinu maszynowego. Generał zdołał uskoczyć w porę, ale jego kierowca zginął. W ZIS-ie 101 zginęły kobiety, dzieci i ich szofer. Jak wspominał Bołdin: „Tylko wiecznie zielone liście aspidi-stry dalej wystawały przez okno”¹⁷.

Zapadł wieczór, zanim Bołdin zdołał nawiązać kontakt z 10. Armią. Tak jak wszyscy prerażeni uchodźcy, jej dowództwo tego samego dnia wycofało się z Białegostoku. Kwaterę główną usytuowano w brzeźniaku na wschód od miasta, gdzie stanęły dwa namioty z krzesłami i stołami. Wstrząśnięty generał Gołubiew powiedział Bołdinowi, że wszystkie dywizje poniosły poważne straty. Jego lekkie czołgi, stare 7²⁶, okazały się dobre „jedynie do strzelania do wróbli”. Luftwaffe obrała za cel armijne składy paliwa, samoloty, działa przeciwlotnicze i czołgi. Jego żołnierze, oznajmił, walczyli „jak bohaterowie”, ale byli bezsilni wobec takiego wroga. 10. Armia została starta z powierzchni ziemi¹⁸.

Nowiny przekazano do Mińska, gdy tylko zaczęło funkcjonować radio. Pawłów dowiedział się również tamtej nocy, że 3. Armia opuściła Grodno. Raporty z Brześcia sugerowały, że także to miasto prawdopodobnie się nie utrzyma. Niemcy wiedzieli dokładnie, co ostrzeliwać i bombardować, począwszy od centrów dowodzenia armią po linie kolejowe i fabryki¹⁹. Pawłów odpowiedział strumieniem rozkazów, które brzmiały jak propagandowy scenariusz. To była Armia Czerwona, a ona się nie wycofuje. W związku z tym rozkazał żołnierzom, których nie mógł zobaczyć ani z którymi nie mógł się skontaktować, żeby przypuścili śmiały kontratak. Celem, jak zawsze, było odepchnięcie wroga za granicę i pokonanie go na jego ziemi²⁰. Kilka tygodni później, gdy ważyło się jego życie, Pawłów powiedział przesłuchującym go, że na tamtym etapie nadal myślał strategicznie, ufając, że Brześć zostanie utrzymany, a impet ataku odwrócony. Jednak Bołdin - otrzymawszy 23 czerwca rozkaz rozpoczęcia ofensywy siłami, które albo wyginęły, albo beznadziejnie się rozproszyły — uznał, że Pawłów jedynie zabezpiecza się na przyszłość. Wydawał rozkazy, uznał, tylko po to, by pokazać Moskwie, że w ogóle cokolwiek zrobiono. Pamięć o czystkach, pustych gestach, kłamstwach i strachu wciąż była żywa.

Zasługą Bołdina była podjęta 23 czerwca próba zorganizowania

niedobitków 10. Armii. W ciągu kilku godzin skończyły im się zapasy paliwa i amunicji. Dwa samoloty, które wysłał do Mińska z prośbą o pomoc, niemal od razu zestrzelono. Jak tysiące innych radzieckich żołnierzy, zostali otoczeni przez niemieckie siły na pasie terytorium, który zyskał miano kotła białostockiego, i odcięci od towarzyszy i dostaw. Bołdin miał szczęście. Skierował się na wschód, w stronę Smoleńska, ze zbieraniną umundurowanych uchodźców. Po niemal siedmiu tygodniach odwrotu i sporadycznych walkach w lasach generał wraz z 1654 ludźmi połączył się z Armią Czerwoną²¹. Tymczasem Pawłów został aresztowany, przesłuchany,

oskarżony o tchórzostwo i rozstrzelany. Ośmiu innych wyższych oficerów, wszystkich bezradnych w obliczu niemieckiego najazdu, stracono razem z nim. Jak 16 lipca zanotował Państwowy Komitet Obrony, uznano ich za winnych „braku zdecydowania, siania paniki, haniebnego tchórzostwa (...) i ucieczki w strachu w obliczu zuchwałego wroga”²². Klęska w tej wojnie, bez względu na jej przyczynę, miała zostać przypisana moralnemu upadkowi takich jak oni jednostek. Nikt nie wspominał o planach, które nie mogły przynieść sukcesu, niewyszkolonych armiach lub załamaniu morale. Nikt też nie mówił o tym, że była to wojna, podczas której na początku Stalin nie pozwolił nikomu walczyć.

Dawid Samojłow, poeta i przyszły żołnierz frontowy, opisał szok, jaki wszyscy przeżyli w ciągu tych kilku dni. „Wszyscy spodziewaliśmy się wojny — napisał później. — Ale nie spodziewaliśmy się takiej wojny”. Kiedy płonęło miasto-twierdza Brześć, a garnizon pobliskiego Kobryńskiego Rejonu Umocnionego uciekł na pry-peckie bagna, mieszkańcy Moskwy, ponad dzień jazdy pociągiem na wschód, musieli polegać niemal wyłącznie na pogłoskach. Dopiero w południe następnego dnia przekazano oficjalne informacje. W tamtym czasie ważne wiadomości radiowe nadawano na publicznych placach. Wkrótce zresztą posiadanie radia do celów prywatnych miało zostać zabronione²³. Tej niedzieli ludzie słuchali więc wiadomości, tłocząc się w południowym słońcu z twarzami zwróconymi w stronę metalowych gardzieli głośników. „Dziś o czwartej

nad ranem - obwies'cił minister spraw zagranicznych Mołotow -bez wypowiedzenia wojny, bez żadnych żądań wobec Związku Radzieckiego, niemieckie wojska zaatakowały nasz kraj". Był to akt przemocy, ale mówca nie ujawnił całej skali nieszczęścia. Ludziom powiedziano, że dotychczas „zginęło ponad dwieście osób”. Dopiero po latach dowiedzą się, jak wielkie było to niedomówienie. Jednak sens wiadomości był całkiem jasny. „Rząd wzywa was, mężczyzn i kobiety, obywatele Związku Radzieckiego, abyście jeszcze bardziej skupili się wokół partii bolszewickiej - ciągnął Mołotow - wokół radzieckiego rządu i naszego wspaniałego wodza, towarzysza Stalina. Nasza sprawa jest słuszna. *Zmiażdżymy wroga. Zwycięstwo będzie nasze*

Każda wiadomość dotycząca wojny zawierała informację o gwałtownym wzroście patriotyzmu wywołanym przez te słowa. Weterani do tej pory wspominają swoje dumne oburzenie. „Byłem piętnastoletnim chłopcem - opowiadał mi jeden z nich. - Przez całe życie mieszkałem w syberyjskiej wiosce. Nigdy nawet nie widziałem Moskwy. Ale to skądś przychodziło, ten patriotyzm. Wiedziałem od razu, że zgłoszę się na ochotnika”²⁵. W każdym mieście do walki zgłaszali się potencjalni bohaterzy. I znowu rozgrywały się sceny żywcem wzięte z filmu. Wojna, jaką wyobrażali sobie ochotnicy, również okazała się iluzją. Opowieści ludzi brzmiały jak scenariusz filmu z lat trzydziestych. „Za niemieckiej okupacji, w 1918 i 1919 roku, mieszkałem na Ukrainie — opowiedział tłumowi sękaty kołchoźnik z obwodu kurskiego. — Nie będziemy pracować dla właścicieli ziemskich i szlachty. Wyrzucimy żadnego krwi Hitlera z całym jego majdanem. Oświadczam, że zamierzam wstąpić do armii, poprosić, żeby mnie wysłali na front, i zniszczyć niemieckich bandytów”²⁶. „Robotnicy okazują głęboki patriotyzm — zgadzał się z tym raport tajnej policji. — Nadeszła ogromna liczba prośb o przyjęcie do armii od młodych ludzi z miast i ze wsi”²⁷. Ale państwo nie pozostawiało niczego przypadkowi. Tej samej nocy do tajnej policji przydzielono dodatkowych funkcjonariuszy i od razu nastąpiły aresztowania podejrzanych o kontrewolucjonizm, w tym setek cudzoziemców²⁸.

Zaostrzone środki bezpieczeństwa były uzasadnione, gdyż naród Stalina miał powody do złości i do żądania prawdziwych faktów.

Mołotow w swoim wystąpieniu przypomniał Rosjanom, że zaledwie kilka godzin wcześniej Niemcy pozostawały sojusznikiem Związku Radzieckiego na mocy paktu, „którego warunków Związek Radziecki ściśle przestrzegał”. Była to umowa z faszyzmem, którą obywatele radzieccy traktowali z niedowierzaniem przez dwa lata. Teraz nadeszły wieści o niesprowokowanym ataku. Naturalną reakcją, oprócz szoku, był sceptycyzm. Weterani z czasów wojny domowej wspominali codzienne raporty i publiczne debaty, skarżąc się, że nie otrzymują żadnych konkretnych informacji. Wielu podejrzewało - całkiem słusznie - że prawda jest o wiele czarniejsza, niż im się mówi²⁹. Jednocześnie inni, zaślepieni przedwojennym mitem, wierzyli w plotki, że Niemcy się wycofują, że Warszawa już upadła, że Ribbentrop się zastrzelił i że Armia Czerwona maszeruje na Berlin³⁰. Fikcje rozkwitały za sprawą milczenia jednego człowieka. Stalin przemówił do narodu dopiero 3 lipca.

Z sieci propagandy wciąż trudno wydobyć prawdę o nastrojach ludzi w tych pierwszych tygodniach. Nikt, nawet NKWD, nie potrafił zmierzyć względnej siły patriotyzmu i paniki, gniewu i nieufności. Nikt nie mógł przewidzieć, co zrobi tłum. Obawy, że może dojść do ataku na składy żywności i paliwa, okazały się akurat słuszne. W całej stolicy rozstawiono milicjantów, aby zapobiec grabieżom. Jeden z nich wspomina wartę przy fabryce makaronu w Sokolnikach, trzydniowe czuwanie, które zakończyło się gwałtownym starciem z miejscową ludnością, w tym z jego kuzynem. „Powiedziałem mu, że strzelę, jeśli nie odejdzie — opowiadał wiekowy milicjant. — Do dziś pamiętam wyraz jego oczu. Musiałem to powiedzieć, byłem na służbie. Zastrzeliłbym go bez wahania”³¹. Państwu groził wybuch wojny domowej, ale większość raportów z tej pierwszej nocy donosiła, że panuje względny spokój. Przecierając oczy o światło, policyjni informatorzy bazgrali szybko dobre wiadomości. Być może nawet sami w nie wierzyli.

24 czerwca dwóch oficerów w Moskwie przedłożyło skrócony opis społecznych nastrojów w stolicy swojemu przełożonemu, przyszłemu szefowi kontrwywiadu wojskowego W. S. Abakumowowi. Ogólnie rzecz biorąc, donosili, miejscy robotnicy zareagowali w sposób godny podziwu, proponując pracę na dodatkowych zmianach

i zgłaszając się na ochotnika do obrony cywilnej. „Poradzimy sobie z wszelkimi trudnościami - oświadczył pewien człowiek - żeby pomóc naszej Armii Czerwonej w całkowitym zniszczeniu faszystów”. „Musimy się doskonale zorganizować, postępować zdecydowanie i przestrzegać dyscypliny” - mówił inny. „Nasze oburzenie nie ma granic - zapewniał pracownik drukarni. - Hitler pogwałcił święte granice pierwszego socjalistycznego państwa na świecie. (...) Zwycięzimy, ponieważ nie ma na tym świecie takiej siły, która zmiotłaby naród zrodzony w patriotycznej wojnie”³². Podobne reakcje notowano w ośrodkach prowincjonalnych, w tym w Kursku. W środku nocy 22 lipca partia zwołała pilne zebranie. Co niezwykle, stwierdza raport, członkowie stawili się o czasie. „Z wszystkich przemówień przebijała nieograniczona miłość do ojczyzny, do partii i do Stalina oraz głęboka złość narodu i nienawiść do bestialskiego faszyzmu”³³.

W tamtym czerwcu był to najważniejszy temat. Patriotyczne deklaracje czytało się jak wyjątki ze scenariusza, ale stojące za nimi emocje były potężne i prawdziwe. Dwadzieścia lat zwodniczych rozmów, komunistycznego żargonu, zapewniło radzieckim patriotom imponujący zapas wyświechtanych frazesów. Młodsze pokolenia nie znały innego języka w tych sprawach. To naturalne, że w chwili największego szoku ludzie sięgają do zdań, których zwykli używać, pojęć

stalinowskiego kolektywizmu i służby. Kryzys następných kilku miesięcy sprawdzi wiarygodność oficjalnej linii, ale wykaże też, jak wielu ludzi gotowych było ryzykować życie, umrzeć za swój kraj i jego przyszłość. „Antyradzieckie zachowania — napisał 26 czerwca moskiewski towarzysz Żygałow po wizycie w miejskiej fabryce imienia Komuny Paryskiej — nie istnieją”³⁴.

Gdyby wyszedł jednak poza komórki partyjne i twierdze etnicznie rosyjskiej klasy robotniczej, jego raport mógłby wzbudzić zaniepokojenie. W Moskwie NKWD szczególnie interesowało się poglądami obywateli o niemieckich nazwiskach. „Radziecka władza nie została wybrana głosami narodu — zauważył moskwianin o nazwisku Khun. - A teraz lud się wypowie”. „Chłopi powitają wieści o wojnie z radością - powiedziała rzekomo kobieta o nazwisku Mauritz. -Uwolni ich ona od bolszewików i kołchozów, których tak bardzo

nienawidzą. Rosja może i jest silna, ale nie stanowi to problemu dla Niemiec”³⁵. Podobne komentarze zbierano po części jako preludeum do nocnych aresztowań, ale nie były one czymś niezwykłym. Poza miastami rozmowy tego rodzaju dałoby się pewnie podsłuchać wśród starszych osób, przede wszystkim tych niechętnych nie tyle kolektywizacji, ile bezbożności³⁶. Pozostawał też jeszcze problem wrogości wobec samej władzy Rosjan. W każdej republice Związku Radzieckiego byli dobrzy komuniści, wrogowie faszyzmu oraz patrioci nie tolerujący inwazji. Ale mimo że ochotnicy do wojska napływali niemal zewsząd, istniała grupa, która z rezerwą, po cichu, rozważała możliwości, jakie mógł przynieść zwrot wydarzeń. Nawet w odległych rejonach, takich jak Gruzja, którym nie groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo, panowało poczucie, że moskiewski kryzys być może okaże się szansą dla kogoś innego³⁷.

Tymczasem lojalne masy radzieckiego społeczeństwa ochotniczo zgłaszały się do walki. W obwodzie kurskim w pierwszym miesiącu działań wojennych do służby wojskowej na froncie zgłosiło się 7200 osób³⁸. W Moskwie punkty werbunkowe oblegane były przez okrągłą dobę, w ciągu pierwszych trzydziestu sześciu godzin zaś złożono 3,5 tysiąca podań³⁹. Ludzie przychodzili na nadzwyczajne zebrania w swoich fabrykach, słuchali w grupie patriotycznych przemówień, a potem — również grupami, jak pionierzy — wędrowali do lokalnych punktów werbunkowych i zaciągali się. Gorliwymi patriotami byli nie tylko mężczyźni. Pojawiały się także kobiety — w raportach zawsze nazywano je dziewczętami — również grupowo. Jako potencjalni żołnierze robiły dziwne wrażenie. „Popatrzyli na mój manikiur i kapelusik — wspomina weteranka. — Powiedzieli, że ani jedno, ani drugie nie przetrwa, kiedy wyjadę na front”. Takie kobiety przyjmowano niekiedy na przeszkolenie, często jako pielęgniarki, jednak większość zapisywano na listy dawców krwi i odsyłano do domu⁴⁰. W każdym wypadku cały proces przebiegał w atmosferze transu. Nieliczni ochotnicy z pierwszych dni mieli pojęcie, do czego się zgłaszają.

Ludzie, którzy to wiedzieli, częstokroć podchodzili do sprawy cynicznie. Obserwatorzy z doświadczeniem z armii wątpili, żeby ta powszechna gorączka zmieniła cokolwiek na linii frontu. „Nasi przy-

wódcy najwyraźniej myślą, że pobiją niemiecki naród agitacją - zauważył weteran z czasów armii carskiej. - Ale to w ogóle nie zadziała. W Armii Czerwonej panuje wielkie niezadowolenie”⁴¹. Rezerwiści wahali się, czy ponownie chwycić za broń. W czerwcu owego roku raporty donosiły o samobójstwach młodych ludzi skierowanych na front, a moskiewska milicja zanotowała kilka przypadków celowych samookaleczeń⁴². Gdy minął pierwszy szok wywołany wystąpieniem Mołotowa, również patriotyczny trans zaczął tracić siłę. „Zgłoszę się na ochotnika dopiero wtedy, gdy będą mobilizować wszyst- 'ch" - ustalił komsomołce z Kurska ze swymi przyjaciółmi.

Właśnie dotarły do niego plotki, że Kijów i Mińsk znalazły się pod ostrzałem. Choć była to prawda, najwyraźniej nikt w nią nie wierzył. Oficjalne zaprzeczenia doprowadzały cyników do rozpacz. Urzędnicy rządowi wydawali się sparaliżowani strachem, podczas gdy wiele osób, z rezygnacją oczekując nadejścia niemieckich wojsk, zostało w domu i znalazło pocieszenie w zamroczeniu alkoholowym⁴³.

Z transu wyszli też wkrótce nowi rekruci. Armia Czerwona nie zmieniła się z dnia na dzień, podobnie jak sposób rekrutacji i struktura zaopatrzenia. Przedwojenne plany mobilizacyjne dawały trzy dni na powołanie zdolnych do natychmiastowej służby frontowej. W panice tego lata ustalenia te anulowano i Rada Najwyższa nakazała zakończenie mobilizacji w ciągu dwudziestu czterech godzin. Chaos wywołany tą decyzją miał potrwać do następnej wiosny⁴⁴. Na krótszą metę masowy ruch wojsk stał się niezwykle niebezpieczny w regionach przyfrontowych, do 200 kilometrów od granicy, które kontrolowała już Luftwaffe. „Normalna mobilizacja pozostałych żołnierzy (...) była niemożliwa - mówił raport 8. Armii z północnego zachodu — ponieważ większość granicznych dywizji straciła swe punkty mobilizacyjne”⁴⁵.

Bezpieczni jeszcze przez pewien czas za frontem w to letnie popołudnie, ochotnicy z Moskwy również odkryli, że armia jest nieprzygotowana. Zdjęcia z werbunku ukazują tłum młodych mężczyzn i kobiet ściśniętych wokół biurka jakiegoś młodszego oficera, powiewających dowodami tożsamości i odpychających towarzyszy, niczym podczas pierwszego dnia wyprzedaży w sklepie. Propagandowy obrazek sugeruje, że młodzi palą się do walki, jak gdyby goto-

wi byli złapać najbliższego Niemca za kołnierz i wyrzucić go z Rosji. W rzeczywistości rekruci — w przeciwieństwie do rezerwistów — musieli zostać sprawdzeni, wyposażeni i wyszkoleni, zanim po kilku tygodniach mogli stanąć twarzą w twarz ze swym pierwszym faszystą. Ich doświadczenie tego dnia, po pierwszej chwili chwały i zdecydowania, było zwykle prozaiczne. Oficer oglądał ich, żeby wyeliminować beznadziejne przypadki spośród zdrowej młodzieży. Potem był szybki przegląd dokumentów, a następnie, dla tych, którzy przeszli dalej, długie oczekiwanie. W tym momencie, jak poświadczają weterani, nie przeprowadzano nawet badań lekarskich.

Nie było też koszar, żywności ani transportu. Większość punktów werbunkowych mieściła się w szkołach. Kiedy wybrano odpowiednich kandydatów i ostemplowano ich dokumenty, stawali się częścią armii. Nie byli jednak już wolni. Nie mieli ciepłego ani suchego miejsca, władze nie pomyślały też ani o jedzeniu, ani o rozrywkach na czas oczekiwania. W Moskwie tłoczyli się w klasach, wylewali na ulice i zbierali na peronach Dworca Białoruskiego, jakby liczyli na pociągi, które zawiozą ich na front. Zanim partyjny reporter przybył na dworzec, by przyjrzeć się tej ostatniej grupie, większość jej członków przebywała tam od kilku dni. Nie mieli łóżek, więc spali na ziemi. Część przyniosła ze sobą chleb lub herbatniki, inni nie mieli nic do jedzenia, ale jakoś zdołali się zaopatrzyć w wódkę⁴⁶. Taki sam los spotkał rezerwistów ze stolicy. Miasto pełne było grup mężczyzn, nawet kilkusetosobowych, siedzących, czekających, rozmawiających, pijących i dumających nad swym losem. „Bardzo wielu ochotników wygląda na pijanych — zauważyła półgębkiem milicja”⁴⁷. To była tradycja, rzecz jasna, ale trwała wojna.

W okolicach leżących bliżej frontu nowi rekruci czekali krócej, pili mniej wódki i wcale nie mieli mniej złudzeń. Misza Wołków pracował w szybko rozwijającym się przemyśle metalowym w Kijowie. Żonaty, z małym dzieckiem, przez lata martwił się głównie własnym zdrowiem. Miał słabe serce, a jego stan pogarszały jeszcze napięte nerwy, ale choroba nie była na tyle poważna, by zwolnić go od służby wojskowej, więc został powołany w pierwszej turze mobilizacyjnej. 24 czerwca wraz z grupą młodszych oficerów otrzymał rozkaz dołączenia do

jednostki we Lwowie. Wołków tak się

niepokoił tym nowym zadaniem, że nawet nie spędził ostatniej nocy w domu z żoną i córką. Wspomnienie owego pospiesznego wyjazdu do koszar prześladowało go pięć lat.

Gdy Wołków martwił się noclegiem w obcym łóżku w swą pierwszą noc w mundurze, Lwów płonął. Miejscowe NKWD, przygotowując się do odwrotu, spędziło noc na mordowaniu więźniów w przeludnionych więzieniach⁴⁸. Wołków nie miał o tym pojęcia. Obchodziło go, jak się dostanie do miasta. Jego karta mobilizacyjna pozwalała na darmowy przejazd pociągiem, ale nie było specjalnych wagonów ani zarezerwowanych miejsc. Tak jak wszyscy musiał wywalczyć sobie skrawek podłogi w pierwszym pociągu, który wyglądał na odpowiedni do dwudziestoczterogodzinnej podróży na zachód. To kolejny przykład stalinowskiej logiki: nie zapewniono środków transportu do Lwowa, ale niestawienie się na czas traktowano jak dezercję. Rezultatem, jak zwykle, było rozpaczliwe zamieszanie. Wołków jakoś zdołał odepchnąć tuzin innych poborowych. Wspiął się po żelaznych schodkach wagonu, trzymając fałd czyjegós płaszcza. Wtedy jednak się potknął. But mu się ześliznął, a on sam upadł. Poraniłby sobie plecy o szyny, napisał do żony, gdyby ktoś już na nich nie leżał, co złagodziło lądowanie. „To był mój pierwszy wypadek” - napisał. Doskonały wstęp do podróży w zatłoczonym pociągu. „Po drodze — ciągnął — mijaliśmy kolumny uchodźców ze Lwowa i innych miast zachodniej Ukrainy. Powiedzieli nam, że we Lwowie toczą się walki uliczne i że życie w mieście zamarło”.

Wkrótce Wołków i jego koledzy stali się celem bombardowania, ale „znowu miałem szczęście, ponieważ nadal żyję”. Kiedy przybył do Lwowa, pogrążonego w kompletnym chaosie, odkrył, że jego jednostka uciekła. Znowu stanął przed trudnym dylematem. Po jego dowódcy nie było śladu, a gdyby on nie zameldował się na służbę, zostałby uznany za dezercera. Pozostał we Lwowie trzy dni, ale nie nadeszły żadne rozkazy. W pobliżu toczyły się walki uliczne, sklepy były puste, a noce makabryczne. Miejscowi, z których wielu opowiadało się za wolną zachodnią Ukrainą, równie dobrze mogli splunąć radzieckiemu żołnierzowi w twarz, o wskazaniu mu drogi czy posiłku nie wspominając. Wreszcie Wołków postanowił wyruszyć, zabierając ze sobą dwudziestu żołnierzy, których ponoć miał pod

komendą. Nikt nie mógł mu doradzić ani przydzielić zaopatrzenia. Żaden z ludzi nawet nie widział mapy, gdyż te uznawano za tajne. Rekruci mogli jedynie pójść na wschód mimo ostrzału artyleryjskiego i ognia karabinów maszynowych. „Szliśmy bez ustanku czterdzieści osiem godzin - Wołków opowiadał żonie. - Nie mieliśmy nic do jedzenia i bardzo chciało nam się pić. Maszerowaliśmy przez wąwozy i lasy, przez błoto, potykaliśmy się na wybojach. Dziesięciu ludzi odpadło po drodze; nie mieli siły dłużej iść”. Sto sześćdziesiąt kilometrów dalej resztki grupy dotarły do Tarnopola i wreszcie dołączyły do jednostki. „Kiedy to sobie przypominam - napisał Wołków - wciąż nie rozumiem, skąd brałem siłę, skąd wytrwałość, zwłaszcza że nie miałem czasu, by się zahartować”⁴⁹.

Wołków napisał ten list, gdy już bezpiecznie dołączył do Armii Czerwonej. Dla niego owe tygodnie paniki skończyły się stosunkowo dobrze. Jednak zdawał sobie sprawę, jak powszechna była niepewność. Tego czerwca nie mógł wiedzieć, czy Lwów jest ostatnim miastem, które zdobyli Niemcy, czy na odwrót - jak głośiły ulotki zrzucone przez nich z samolotów - Moskwa padła, a Stalin nie żyje. Jego marsz przez lasy i wzgórza Ukrainy był ostatnim aktem jego wiary. Jako Żyd mógł wiedzieć, co spotkałoby go z niemieckich rąk. Pozostanie we Lwowie, jak się domyślał, oznaczałoby schwytywanie i pewną śmierć. Inni

żołnierze na froncie, łącznie z dziesiątkami tysięcy etnicznych Ukraińców i Rosjan, woleli poddać się Niemcom, niż przedzierać przez głuszę na wschód. Jeszcze inni zwyczajnie poprawili płaszcze i ciężkie plecaki i pomaszzerowali do domów. W tych kilku pierwszych dniach musieli samotnie dokonać wyborów.

Punkt zwrotny dla wielu nadszedł 3 lipca. Tego dnia Stalin wreszcie przemówił do narodu, czytając z kartki i często milknąc, jakby zdenerwowany, by napić się ze szklanki. Samo przemówienie, zaczynające się od słynnego zwrotu do obywateli radzieckich: „Bracia i siostry, przyjaciele”, zostało obliczone na zerwanie z komunistycznym formalizmem i na przełom w stosunkach Stalina z narodem. Jak potwierdza najnowsza historia Rosji, był to kluczowy moment dla morale. „Chociaż Stalin przyznał, że kraj znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie — pisze O. W. Drużba — było to lepsze niż nieopanowany strach przed brakiem przywództwa i zdradą”⁵⁰.

Jednym z niewielu cudzoziemców, którzy obserwowali to wydarzenie, był Alexander Werth, dziennikarz pracujący w Moskwie jako korespondent „SundayTimesa”. W swej wielkiej historii wojny, napisanej na podstawie notatek poczynionych w Rosji, określił wystąpienie Stalina jako „nadzwyczajne”. Wpływ, uznał, „jaki wywarło na zdenerwowanych, często przerażonych i zdeorientowanych ludzi, był bardzo ważny. Aż do tej pory było coś sztucznego w uwielbieniu Stalina; jego nazwisko kojarzyło się nie tylko ze zdumiewającym wysiłkiem kolejnych planów pięcioletnich, ale także z bezwzględными metodami stosowanymi podczas kampanii kolektywizacyjnej i, co gorsza, z terrorem czystek. Teraz naród radziecki czuł, że ma przywódcę, na którego może liczyć”⁵¹.

Mowa była faktycznie sprytna, przyznawała bowiem, że kraj jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a równocześnie nie wspominała ani słowem o panice na froncie. Stalin nie zająknął się o rozmiarach niemieckich postępów, ale przyznał, że wróg jest „niegodziwy i perfidny (...), potężnie uzbrojony w czołgi i artylerię”. Pojawiła się też zręczna wzmianka o nieprzygotowaniu. „Radzieckie wojska nie były w pełni zmobilizowane — dowiedzieli się ludzie — i nie zostały przerzucone na front”, kiedy „faszystowskie Niemcy nieoczekiwanie i perfidnie pogwałciły pakt o nieagresji z 1939 roku”. Takie okrucieństwa usatysfakcjonowały chyba część słuchaczy spragnionych prawdziwych wiadomości. „Wódz nie przemilczał faktu, że nasze wojska musiały się wycofać — skomentował moskiewski robotnik. — Nie ukrywa trudności, jakie czekają jego naród. Po tej mowie chcę pracować jeszcze ciężiej. Zmobilizowała mnie do wielkich czynów”. Apel o ochotnicze wstępowanie do obrony cywilnej, podobnie jak nakaz wzmoczonych wysiłków w fabrykach, zainspirowały tysiące ludzi i dodały im ducha. Inni, zachęceni przez zapewnienie Stalina, że wróg nie zwycięży, ogłosili, że natychmiast wyjeżdżają na front. „Jeśli nasz wódz mówi, że zwycięstwo jest pewne, to znaczy, że wy-

gramy”⁵²

Raporty o poprawie morale i zbiorowej determinacji były dużo liczniejsze niż te opisujące tarcia. Dla milionów przemówienie Stalina stanowiło prawdziwy początek wojny ojczyźnianej. Bez ich poświęcenia i wiary wojna zostałaby przegrana w ciągu roku. Byli też

jednak i tacy, którzy nie dali się uspokoić hasłami i pięknymi słówkami; przemówienie nie wszędzie rozproszyło podejrzania. Werth mógł o tym nie wiedzieć - i z pewnością nie donosił o tym fakcie -ale mowa Stalina wywołała gorzki śmiech w pewnych kręgach, nawet w stolicy.

Ludzie nauczyli się czytać między wierszami oficjalnych wypowiedzi. Teraz część z nich opadły najgorsze przeczucia. „Całe to gadanie o mobilizowaniu ludzi i organizowaniu obrony cywilnej pokazuje po prostu, że sytuacja na froncie jest absolutnie beznadziejna — stwierdził pewien moskiewski inżynier. — Jasne jest, że Niemcy wkrótce zdobędą Moskwę, a władza radziecka się nie utrzyma”. „Za późno teraz mówić o ochotnikach — szeptała kobieta przyjaciołom z biura. - Niemcy są już praktycznie w Moskwie”. „Jakieś katastrofy nie da się uniknąć - powiedział inny urzędnik. -Wszystko, co budowaliśmy przez dwadzieścia pięć lat, okazało się chimera. Upadek jasno widać z mowy Stalina, z jego rozpaczliwych wezwań pod sztandary”⁵³.

Słowa przywódcy mniejszy wpływ wywarły na wsi, gdzie ludzie nadal nie ufali władzy radzieckiej. W okręgu kurskim, na przykład, część chłopów odmawiała kopania rowów przeciwczołgowych i okopów. „Zastrzelcie mnie, jeśli chcecie - powiedziała milicjantowi rozgniewana kobieta — ale nie będę kopała żadnych okopów. Okopów potrzebują tylko komuniści i Żydzi. Niech sami je sobie kopią. Wasza władza się kończy i nie będziemy dla was pracować”⁵⁴. „Wojna się zaczęła i ludzie będą ginąć - powiedział chłop sąsiadom na wiejskim zebraniu. - Osobiście nie jestem przeciwko władzy radzieckiej, ale nienawidzę komunistów”⁵⁵. Nie mam nic wspólnego z waszą wojną - powiedział inny członkom partii. - Niech komuniści walczą”⁵⁶. Kolektywizacja była jedną z podstaw opozycji wobec władzy radzieckiej, a represje polityczne drugą. „Dobrze, że Hitler najechał Związek Radziecki - stwierdziła w lipcu pracownica stołówki, której mąż siedział w więzieniu. — Będą musieli wypuścić więźniów”⁵⁷. Takie poglądy nasilały się, na różne sposoby, wśród członków nierosyjskich grup etnicznych.

Najważniejszym wszelako testem dla przemówienia Stalina była reakcja samej Armii Czerwonej. Oficjalne historie i wspomnienia publikowane w Związku Radzieckim zgadzają się, że wielu uznało

ją za pierwszy promyk nadziei. „Trudno opisać niezwykle entuzjizm i patriotyczne uniesienie, z jakim spotkała się mowa - wspominał generał I.I. Fiediuński. - Nagle poczulis'my się dużo silniejsi. Tam gdzie pozwalały okoliczności, jednostki zorganizowały krótkie spotkania”⁵⁸. Te zebrania, niekiedy pierwsze, jakie ośmielili się zwołać politycy, dały szansę, by wreszcie przedyskutować powagę sytuacji. Zamiast kłamstw i przemilczeń żołnierze usłyszeli, jaki wysiłek musi podjąć każdy z nich, żeby wyprzeć najeźdźców z radzieckiej ziemi. Aż do tego momentu wojna była nierealna, niczym sztuka, która zniemacka odeszła od scenariusza, a teraz stała się poważna, strach zaś, tak jak poświęcenie, bardziej uzasadniony. W swej wojennej powieści *Żywi i martwi* Konstantin Simonow wspomina odzew żołnierzy. „Stalin nie nazywał położenia tragicznym — dumiał ranny żołnierz. - Prawda była gorzka, ale wreszcie została powiedziana i dzięki niej czuło się mocniej grunt pod nogami”. Po przemówieniu, napisał Simonow, u słuchaczy zostało „pełne napięcia oczekiwanie jakiejś zmiany na lepsze”⁵⁹.

Takie opisy z czasów radzieckich odzwierciedlają trwogę, jaką wzbudziła katastrofa. Stalin, tak jak Churchill w Wielkiej Brytanii w tym samym czasie, zrozumiał emocjonalne napięcie chwili i odpowiedział na nie. Jednak mocne słowa przywódcy nie na wszystkich zrobiły wrażenie. „Gorzka prawda” przekazana przez Stalina daleka była od rzeczywistości. To prawda, że jak powiedział, tysiące żołnierzy „walczyło heroicznie”, ale prawdą było również, że dziesiątki tysięcy innych zaginęło lub trafiło do niewoli, zmierzało w stronę domów lub czekało w punktach zbiorczych na transport, który zawiózłby ich dokądkolwiek. Mowa przywódcy nie mogła też pomóc ludziom uwięzionym na pełnych komarów bagnach. Wśród nich znajdował się polityruk Mikołaj Moskwin.

Wojna Moskwina zaczęła się od tych samych pięknych słów i wzniosłych nadziei co u

każdego lojalnego obywatela, wypisywanych w zbiorowym transie. „Głęboko wierzę w słuszość naszej sprawy - zanotował w dzienniku 22 czerwca. - Kocham moją ojczyznę, będę bronił jej do ostatnich sił i nie pożałuję życia dla mojego narodu”. Tej nocy ucałował rodzinę na pożegnanie, gdy dołączała do długiego konwoju ewakuowanych. Nie sądził, by rozstawali się na

długo. Dwa dni później był już w swym pułku i przygotowywał się do obrony Białorusi. Jednak wkrótce na wschód zaczęły przenikać niepokojące pogłoski o stratach - 850 samolotach i 900 czołgach - a bystry politruk odgadł, że te szacunki mogą być zaniżone. „Kto mówi prawdę podczas wojny?” - zastanawiał się. Zaczął ważyć szansę. „Z pewnością wygramy — wciąż wierzył. — Jednak koszt będzie gigantyczny”. Dziesięć dni później, 4 lipca, prawda zas'witała mu w głowie. „Nasza sytuacja jest bardzo zła - pisał rozpaczliwie. - Jak mogło dojść do tego, że my, przygotowujący się do walki na ziemi wroga, nie wzięliśmy pod uwagę, że może będziemy potrzebować jakiegokolwiek obrony? Coś było nie tak z doktryną naszych sił zbrój-nych”⁶⁰.

Głównym zadaniem Moskwiną było podtrzymywanie morale. Po krótkiej zwłoce otrzymał zapis przemówienia Stalina z instrukcją, by przeczytać je żołnierzom. Jednak w tamtym momencie jego pułk nie miał czasu na zebrania. „Brak czasu na pisanie — zanotował politruk 15 lipca. — Możliwe, że jeszcze nie zostaliśmy pokonani, ale sytuacja jest skrajnie trudna. (...) Lotnictwo wroga niszczy absolutnie wszystko. Drogi zawałone są ciałami naszych żołnierzy i ludności cywilnej. Miasta i wsie płoną. Niemcy są wszędzie: na froncie, za nim i na naszej flance”. Para nowych rekrutów z zachodniej Ukrainy nawoływała żołnierzy do złożenia broni. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Do 23 lipca pułk został okrążony. „Co mam powiedzieć chłopcom? - pytał Moskwin w nabazgranej notatce. - Wycofujemy się. Jak mam ich przekonać? Jak? Mam powiedzieć, że towarzysz Stalin jest z nami? Że Napoleon upadł i że Hitler i jego generałowie znajdą u nas swe groby? (...) Wydaje się, że niespecjalnie ich przekonałem” — dodał następnego dnia. Poprzedniego wieczoru po podnoszącym na duchu przemówieniu do żołnierzy, trzynastu, z nich uciekło do lasu⁶¹.

Armia Czerwona załamała się w pierwszych tygodniach wojny. Nie jest to krytyka poszczególnych żołnierzy; to stwierdzenie dotyczące zasad biurokratycznych, przymusu, kłamstw, strachu i złego dowodzenia. Problemy nie były ani nowe, ani nieznanne. Transport,

na przykład, uznany przez niemal każdego oficera frontowego za przyczynę, dla której odwrót w czerwcu zamienił się w pogrom, był ciągłym utrapieniem wszystkich jednostek stacjonujących wzdłuż granicy. „Nie mamy zupełnie pojęcia, gdzie i kiedy dostaniemy zmotoryzowany transport, którego potrzebujemy dla świeżo zmobilizowanych oddziałów” - napisał 12 marca 1941 roku dowódca jednej z dywizji piechoty 4. Armii. W tymże miesiącu inny raport podawał, że żadna jednostka nie dysponuje więcej niż czterema piątymi niezbędnych środków lokomocji. Nawet wówczas brakowało części zamiennych, paliwa i opon⁶². Cztery miesiące później, kiedy okaleczone armie z zachodu potrzebowały transportu, aby dowieźć rezerwy na front, okazało się, że brakuje im co najmniej jednej trzeciej wymaganego sprzętu⁶³.

Gabriel Tiomkin, żydowski uciekinier spod władzy Hitlera, który później walczył w Armii Czerwonej, był świadkiem skutków braku transportu, gdy mieszkał jeszcze pod Białymstokiem. Żołnierze, których widział w tym pierwszym tygodniu, robili przygnębiające wrażenie: „Część na ciężarówkach, wielu pieszo, z przestarzałymi karabinami zwisającymi smętnie z ramion. Mundury zniszczone, pokryte kurzem, żadnych uśmiechów na ich zniechęconych, wychudzonych twarzach o zapadłych policzkach. Równie żałośnie -dodawał - wyglądały małe ciężarówki ciągnące przyczepki z

amunicją, żywnością i rzeczami osobistymi"⁶⁴. Morale ludzi było rozpaczliwie niskie. Wynikało to z niekompetentnego dowodzenia, złego wyszkolenia i braku wiary we własną sprawę, jednak długie marsze i jeszcze dłuższe biwaki, często pod gołym niebem, tylko pogłębiały ten koszmar. „Niekiedy - pisze Fieduniński o cofających się armiach — żołnierze, działa, pojazdy i kuchnie polowe tworzyły zatory, a wtedy niemieckie samoloty miały używanie. (...) Często nasze wojska nie mogły się okopać, ponieważ nie miały najprostszych narzędzi. Bywało, że okopy musiano kopać hełmami, ponieważ brakowało łopat (...)”⁶⁵.

Brakowało również innego sprzętu. Niemcy autentycznie bali się radzieckich bagnetów, a żołnierzy zachęcano z tego powodu do ich używania. Problem w tym, że wielu nie miało wyboru. W czerwcu żołnierzom na Białorusi i Ukrainie zabrakło amunicji. Anastas Mi-

kojan wspominał o zaskoczeniu rządu, gdy dowiedziano się, że armii zabrakło też karabinów. „Myśleliśmy, że mamy ich dość dla całej armii - napisał we wspomnieniach. - Okazało się jednak, że część dywizji była mobilizowana według norm dla czasu pokoju. Dywizje wyposażone w odpowiednią liczbę karabinów dla warunków wojennych dysponowały nimi, ale wszystkie znajdowały się blisko frontu. Kiedy Niemcy przekroczyli granicę i zaczęli się posuwać naprzód, broń ta znalazła się na opanowanym przez nich terytorium i po prostu ją zdobyli. W rezultacie rezerwiści jechali na front w ogóle bez broni”⁶⁶. Wycofujące się wojska porzucały również wszystko, czego nie mogły unieść, a obejmowało to zarówno rannych, jak i karabiny maszynowe *Maxim*.

W ostatnich miesiącach pokoju Armia Czerwona została zrestrukturyzowana. Wojna z Finlandią doprowadziła do pierwszego programu reform, ale to upadek Francji w 1940 roku zainspirował Sztab Generalny do skupienia przygotowań na ataku lądowym. Gdyby stanęli w obliczu zmasowanego uderzenia niemieckich samolotów i czołgów, rozumowali, ich strategia powinna obejmować wykorzystanie wielkich brygad artylerii przeciwpancernej wspiera-

jących piechotę. Wielkie formacje musiały wyglądać imponująco, jednak kiedy w 1941 roku nastąpił atak, nadawały się niemal wyłącznie na pokaz. Linia frontu wkrótce stała się tak długa, że wielkie brygady pancerne mogły jedynie zbić się w ciasne formacje, niezdolne przewidzieć ruchów wroga ani na nie odpowiedzieć. Dywizje piechoty stanęły w obliczu niemieckich czołgów bez odpowiedniego wsparcia artylerii. Ponieważ osłona powietrzna również przestała istnieć, wielu żołnierzy uznało, że nadludzki wysiłek radzieckiego przemysłu z lat trzydziestych, duma stalinowskiej rewolucji, został nie tylko zmarnowany, ale i stracony. Wojsko oczekiwało przedstawienia science fiction z udziałem własnych maszyn. Zamiast tego żołnierze obserwowali, jak ich ziemie aż po horyzont wypełniają owoce niemieckiej techniki. Wkrótce Sztab Generalny ukuł nowy termin — „strach czołgowy” — opisujący przerażenie rekrutów⁶⁷.

Sytuacja mogła wyglądać zupełnie inaczej. Radzieckie czołgi powinny podbijać świat. Wiele przetestowano podczas wojny domowej w Hiszpanii w 1936 roku, a niektóre modele zostały w wyniku tego udoskonalone. Ciężki czołg *KW*, nazwany tak od nazwiska Klimienta Woroszyłowa, był budzącą respekt maszyną, niemal nie do zniszczenia na tym etapie wojny. W 1943 roku stał się on wręcz wzorem dla niemieckiego *Tygrysa*. Lżejszy, bardziej zwrotny *T-34* ostatecznie okazał się najlepszym czołgiem II wojny światowej, ale w tamtym okresie Armia Czerwona wciąż miała więcej starszych czołgów lekkich *BT*, jak również wychodzących z użycia *T-26* i *T-28*. Niewiele z nich zachowało pełną sprawność bojową. *KW* tak miał tendencję do psucia się, tymczasem do

wszystkich modeli brakowało części zamiennych, nie wspominając o wykwalifikowanych mechanikach. W 1941 roku niemal trzy czwarte z 23 tysięcy radzieckich czołgów wymagało przebudowy lub kapitalnego remontu. Tego lata nie trafiły jednak do warsztatów. W 1941 roku stracono więcej czołgów z powodu awarii lub braku paliwa niż niemieckiego ognia, a na każdy zniszczony czołg niemiecki przypadało sześć radzieckich⁶⁸.

To samo w 1941 roku dotyczyło artylerii. Armia Czerwona była dobrze wyposażona, ale skostniałe struktury dowodzenia pozbawiały ją elastyczności w warunkach polowych. Zawsze brakowało ludzi wyszkolonych w obsłudze skomplikowanego sprzętu, a niedoświad-

zeni oficerowie, którzy nimi dowodzili, nie dawali im szans na nauczenie się czegokolwiek. Ciężkie działa wszelkiego rodzaju oddano do dyspozycji oficerów, którzy nisko cenili ludzkie życie, natomiast nowy sprzęt uznawali za aż nazbyt cenny⁶⁹. Ponadto żołnierzy łatwiej było przesuwac. Niekiedy, by przewieźć najcięższe działa na pozycje, używano traktorów, lecz główne źródło siły pociągowej stanowiły konie. W 1941 roku Armia Czerwona wciąż używała taczanek - jak w okresie wojny domowej - by dostarczać lżejsze działa na linię frontu. Jednak konie wyginęły wraz z ludźmi w 1941 roku, a chociaż czerwcową trawą była słodka, paszy dla niedobitków wkrótce zabrakło. Dostawy żywności stanowiły problem na całym froncie. Konie i ludzie chudli w tym samym przyspieszonym tempie.

Innym fatalnym problemem tamtego lata okazała się łączność radiowa. I znowu trudności nikogo nie zaskoczyły. Marna łączność polowa prześladowała radzieckie wojska podczas kampanii fińskiej, jednak plany zapewnienia nowego sprzętu i wykwalifikowanych operatorów nie zostały zrealizowane. Armia Czerwona nadal w większym stopniu polegała na telefonii niż na radiu. System był nieelastyczny i scentralizowany. Kierowcy czołgów, na przykład, podczas bitwy rzadko mieli kontakt ze swymi kolegami lub nawet z dowódcami. Radiooperatorom na froncie brakowało odpowiednich umiejętności. Jak wspominał po wojnie były oficer SS, Sowietci „używali prostych kodów, a my niemal zawsze byliśmy w stanie przejąć i bez żadnych trudności rozszyfrować ich depesze radiowe. Tym samym zdobywaliśmy szybko informacje o sytuacji na froncie, a często też o rosyjskich zamiarach; niekiedy dostawałem takie raporty szybciej od naszych stacji nasłuchowych niż raporty sytuacyjne od naszych oddziałów”⁷⁰. W 1941 roku część jednostek nawet nie używała szyfrów. W Umaniu kluczowe informacje od oficerów sztabu 6. Armii przekazywano tamtego lata otwartym tekstem. „Co niby mamy robić — pytał porucznik — skoro wymaga się od nas, byśmy wysyłali wszystko bez zwłoki?”⁷¹

Wreszcie na tym etapie niewielkie były szanse na udzielenie pomocy osłabionym i rannym żołnierzom. Nagłość niemieckiego ataku udaremniła plany przeniesienia szpitali i materiałów medycznych z dala od linii frontu. Potem ich ewakuację uniemożliwiły trudności trans-

portowe, 1 lipca 1941 roku Front Południowo-Zachodni dysponował zaledwie 15 procentami planowanych zasobów medycznych. W szpitalu garnizonowym w Tarnopolu, który był pierwszym, z jakim zetknął się Wołków i jego wyczerpani żołnierze, pięć dni po pierwszym ataku ponad pięć tysięcy rannych i zmęczonych ludzi tłoczyło się w pomieszczeniach przeznaczonych dla 200 osób⁷². 30 czerwca raport opatrzony klauzulą „s'cis'le tajne” podsumowywał straty z jednego tylko tygodnia. „W toku działań zbrojnych nie została zmobilizowana żadna placówka sanitarna położona w zachodniej części Białorusi - brzmiał początek. - W wyniku tego na Froncie [Zachodnim] brakuje 32 szpitali chirurgicznych i 12 zakaźnych, 16 szpitali korpus'nych, 13 punktów ewakuacyjnych, 7 centrów ewakuacyjnych, 3 zmotoryzowanych kompanii sanitarnych (...) i innych placówek

medycznych"⁷³. Dalej pisano, że wyposażenie, leki i inne środki, które miały na stanie te placówki, zostały zniszczone podczas bombardowań i pożarów. Często nie żył również ich personel.

Wehrmacht także wdzierał się na rosyjskie stopy, mając więcej koni niż czołgów. W ciągu kilku tygodni jego linie zaopatrzeniowe zaczęły się wydłużać i słabnąć na tych niezmiernych przestrzeniach. Najeźdźca przestał być niepokonany już w czerwcu. Niekiedy radzieccy żołnierze dopadali niemiecką piechotę bez transportu lub osłony z powietrza. Faszyci — odkryli — w odpowiednich warunkach wpadali w panikę równie łatwo jak komsomolcy. Jednak na początku Wehrmacht cieszył się poparciem części lokalnej ludności. Nie była to przecież rdzenna rosyjska, ani nawet od dawna radziecka, ziemia. Cywile w miastach takich jak Lwów od miesięcy straszili czerwonoarmistów. „Niemcy nadchodzą i wezmą się do was” -szeptali w uliczkach galicyjskiego miasta⁷⁴. Teraz żołnierze z tego regionu, podobnie jak tysiące innych, którzy stracili nadzieję na powstrzymanie niemieckiego naporu, wzięli nogi za pas, poddali się lub uciekli z linii frontu. Do lipca raporty podawały już masowo przypadki żołnierzy, którzy rysowali swastyki na mundurach, odmawiali strzelania do Niemców i mówili z podziwem o Hitlerze⁷⁵.

Poziom dezercji był tak wysoki, że nikt nie znał dokładnej liczby, nie wspominając o podziale winnych na grupy etniczne. W ciągu trzech dni pod koniec czerwca specjalne oddziały NKWD operują-

ce za Frontem Południowo-Zachodnim schwytały niemal 700 zbiegłych żołnierzy. W innym miejscu pięć tysięcy żołnierzy złapano podczas ucieczki po jednej z katastrofalnych bitew tych pierwszych dni. Jednak zapewne jest prawdą, że żołnierze z regionów zachodnich znikali pierwsi. Niepokoił ich o rodziny, gdyż to ich domy Niemcy zajęli najpierw. Ponadto część z nich dezercerowała, gdyż nie widziała powodu, aby ginąć za władzę radziecką. Cztery tysiące „ludzi z zachodu” zbiegło do 6 lipca z 26. Armii, a w jednym oddziale 80 żołnierzy odmówiło wykonania rozkazu otwarcia ognia⁷⁶. 12 sierpnia zarząd polityczny armii uznał sytuację za tak groźną, że obywatele terytoriów zachodnich — Ukrainy i Białorusi — a także trzech państw bałtyckich wykluczono z nowych załóg czołgowych⁷⁷. Wszystko to przekładało się na mordercze zamieszanie na polu walki. Ani żołnierze, ani oficerowie Armii Czerwonej nie spodziewali się takiej wojny. Żadna bitwa nie toczyła się zgodnie z przygotowywanym wcześniej planem. Żołnierze nienawidzili oficerów, nie ufali rozkazom i podejrzewali, że część ich towarzyszy to zdrajcy szukający okazji do ucieczki. Gdyby znaleźli czas, by rozważyć, dlaczego sami walczą, zapewne odkryliby, że główną rolę odgrywał w tym strach - przed oficerami, przed nieznanym i NKWD na równi z obawą przed niemieckimi najeźdźcami. Potem szła wściekłość na

cały świat. Na froncie wzniosłe idee innego rodzaju rzadko ostawały się długo. Jednak od tych ludzi wymagano, żeby dzień za dniem szli bez nadziei w bój. 117. Dywizja Strzelecka 21. Armii, na przykład, wycofała się i potem nieustannie walczyła całymi tygodniami. 6 lipca dotarła do Żłobina nad Dnieprem. Tam stoczyła jedną z pierwszych potyczek w obronie Kijowa, podczas skazanej na klęskę kampanii, która samą 21. Armię, według najbardziej ostrożnych szacunków, kosztowała ponad tysiąc zabitych dziennie⁷⁸. Bitwa trwała osiem godzin. Pod koniec padł sam Żłobin, a niedobitki dywizji wycofały się na wschodni brzeg Dniepru.

Przed odwrotem żołnierzom udało się zniszczyć most w mieście, co dało im nieco czasu, a także osiem nieprzyjacielskich czołgów. Ich morale jednak było niskie. Wyczerpanych, głodnych i niewyspanych już nawiedzały obrazy tego, co widzieli. Wielu cierpiało z ran. Następnego dnia, jak zwykle, znów stanęli do walki. Ich oficerowie nie mieli innych pomysłów poza frontalnym

atakiem. Tak jak poprzedniego dnia, i każdego innego, rzucali ludzi na niemieckie czołgi. Morale żołnierzy podsyczał jedynie wspólny krzyk, straszliwe „Urra!”, które napawało wroga strachem. Poza tym tylko nieliczni mieli broń skuteczniejszą niż karabin i bagnet. Trudno było nawet o koktajle Mołotowa, ponieważ Moskwa nie podpisała jeszcze rozkazu, dzięki któremu kobiety zaczęły je wyrabiać, w sumie 120 tysięcy dziennie⁷⁹. Na tym etapie, przy braku butelek lub granatów, żołnierze mogli walczyć jedynie gołymi rękami. Fala za falą szli do ataku, godzinami, zawsze pośród zgiełku niemieckich pocisków, krzyków i chrzęstu stali o kości.

Ten styl walki - beznadziejne frontalne ataki - stał w proch całe dywizje. Wzbudzał odrazę w żołnierzach, zwłaszcza jeśli walczyli tak od tygodni. Dziesięciu komunistów w Żłobinie oddało legitymacje zaraz po otwarciu ognia. Co najmniej jeden człowiek postrzelił się w nogę, usiłując uniknąć walki. Pewien żołnierz, podobno Gruzin, próbował zabić dowódcę, strzelając podczas ataku. Nadwoźkański Niemiec, jak uznano, przeszedł na stronę nieprzyjaciela, gdy tylko zdołał się wymknąć. Jednak prawdziwi renegaci uciekali w lepszym stylu. Dwaj starsi oficerowie przebiegli do świtu ponad 30 kilometrów, by oddalić się od linii frontu, podczas gdy dowódca, który

wydał rozkaz pierwszego alarmu przeciwlotniczego, „wsiadł do samochodu i odjechał” zaraz po rozpoczęciu operacji. Dotychczas, jak stwierdzał raport z owego dnia, nikt nie został ukarany, ponieważ miejscowy sędzia wojskowy, zahartowany w trudnej szkole czystek i kłamstw, odmówił poprowadzenia śledztwa, póki nie znajdzie na biurku odpowiednich dokumentów⁸⁰.

Nawet Niemców zaskoczył poziom chaosu. Wyglądało to tak, jakby cała ludność, żołnierze i cywile, oszalała. Gdy Wehrmacht zdobywał miejsce, w którym przechowywano żywność i towary konsumpcyjne, należało się spodziewać plądrowania. W pewnym mieście kilkoro kobiet i dzieci zostało zdeptanych przez tłum napierający na wojskowy skład. „Kiedy mężczyzna nie mógł podnieść worka cukru - zaobserwował niemiecki oficer - po prostu rozciął go, wysypał połowę zawartości na ziemię i zabrał do domu resztę”. Mieszkańcy Puchowiczów w jeden dzień rozkradli połowę zapasów wojskowych, zagarniając, jak stwierdzili ich nowi władcy, „średnio na rodzinę 200 kilo cukru, 200 kilo tłuszczu, prawie 350 kilo płatków owsianych, a ponadto mnóstwo ryb, racji indywidualnych i olejów roślinnych. (...) Ludność od dawna nie widziała takiej obfitości”. W Bobrujsku przyłączyli się do tego czerwonoarmiści. „Jedyna różnica polegała na tym - napisał niemiecki autor raportu - że mieszkańcy plądrowali sklepy, żołnierze zaś domy mieszkańców”⁸¹.

Stalinowski reżim późnych lat trzydziestych spotkał w tych pierwszych miesiącach swą nemezis na Ukrainie i Białorusi. Ostatecznie dopiero bliski upadek zmusił władze do przemyślenia polityki i kwestii przywództwa, do zmian sposobu prowadzenia wojny i rządzenia ludźmi. Ale jedno narzędzie z jego arsenału okazało się decydujące dla przetrwania. 15 lipca Lew Mechlis wydał dyrektywę dla pracowników politycznych na froncie. Było to preludium do rozkazu z dnia następnego, który przywracał komisarzom politycznym całą ich władzę sprzed 1940 roku. Morale, po cichu przyznawał raport, upadło całkowicie. Politycy nie zdołali przekonać swych ludzi, że wojna zostanie wygrana, ani nawet że w ogóle jest sens walczyć. Ponadto, stwierdzał Mechlis, to żołnierze mieli „zdecydować zbrojnie, czy naród radziecki będzie wolny, czy stanie się niewolnikiem niemieckich ksiąząt i baronów”.

Orzeźwiająca, epicka brzmienie tych słów mogło podnieść na duchu cywilów na tyłach oraz nowych rekrutów wciąż szkolonych w obozach, jednak na froncie w owej chwili słowa te brzmiały pusto, wręcz obelżywie. Pomyłką było wmawianie żołnierzom, jak zalecał Mechlis, że *Blitzkrieg* Hitlera zawiódł i że najlepsze dywizje jego armii zostały już pokonane. A potem następował

przygnębiający fragment na temat taktyki, sztampane brednie zaczerpnięte ze sloganów z czasów wojny domowej. „Nauczcie wszystkich ludzi, jak ruszać do ataku — ciągnął dokument. — Wpójcie im nieprzejednaną nienawiść i wściekłość na wroga, tak żarliwe, by wystarczyły do zmiżdżenia faszystowskiego kundla, do starcia go z powierzchni ziemi, by pozwoliły walczyć im do ostatniej kropli krwi za każdy skrawek radzieckiej ziemi. Powiedzcie im, że czołgi nie są straszne dla odważnego i doświadczonego żołnierza. Powiedzcie im, że porzucenie posterunku bez rozkazu jest zbrodnią”⁸². Tego lata były to czcze słowa, ale wskazywały na jeden ze sposobów, w jaki ta wojna była postrzegana i toczona, wojna w umysłach żołnierzy i w nadziejach ich rodzin. Nasycając publiczny dyskurs prostymi, powtarzalnymi formułami, rząd wykuwał nowe rozwiązanie, mające zastąpić utraconą niewinność 1938 roku. Pomagał też wyprzeć inne słowa, wywołujące panikę, gniewne, które mogły się pojawiać w rozmowach obywateli. 19 lipca kolejny rozkaz wezwał do masowego powoływania oficerów politycznych, aby zastąpić setki tych, którzy zginęli od 22 czerwca⁸³.

Wysiłki propagandowe nigdy nie osłabły. Czerwonoarmistom równolegle przedstawiano skutecznie dwie wojny. Pierwsza — ta, którą sami znali - toczyła się na polu bitwy, hałaśliwa wojna pocisków i dymu, wstydliva wojna grozy i odwrotu. Jednak druga wojna — której kształt tworzyli pisarze — została wykreowana przez propagandę. Żołnierze i cywile na równi dowiadywali się o niej z gazet, z których najpopularniejsza, „Krasnaja Zwiezda”, czytana była na głos w małych grupkach na froncie. Oddziały liniowe oglądały też pokazy obejmujące kroniki filmowe, z których część, starannie za-inscenizowana, mogła się wydawać żywsza niż ich własne, poszatko-wane wspomnienia z boju. Walka mogła się toczyć jakby poza realnym czasem, ze strasliwymi momentami, których potem pamięć

nie chciała przywoływać, ale oficjalna stalinowska wojna rozwijała się z epicką pewnością, w regularnych i dobrze zaplanowanych epizodach.

W sumie ponad tysiąc pisarzy i artystów przyłączyło się do kampanii pisania doniesień z frontu, z czego czterystu zginęło podczas walk⁸⁴. Ich pracę kontrolowało kolejne nowe ciało, Sowinform-biuro. Monitorowało ono wszystko, od „Prawdy” do ulotek, które rozdawano żołnierzom na froncie. Zapisywano każdy zdobyty lub unieruchomiony niemiecki czołg i samolot, często opatrując to

fotografią, jednak puste miejsca tam, gdzie powinny się pojawiać straty radzieckie, wypełnione frazesami, a nawet krótkimi wierszami, zauważali wszyscy czytelnicy prasy⁸⁵. Problem polegał na tym, że nikt nie mógł się dostać do biur cenzury, by dowiedzieć się więcej. Środki bezpieczeństwa były tak ostre, że nawet pracownicy Sowinformbiura odkrywali niekiedy, że ich przepustki nie upoważniają do wejścia do centralnego gmachu cenzury⁸⁶. Wewnątrz zaufani urzędnicy ociosywali surowe raporty z frontu pod kątem błędów ideologicznych, poprawiając nawet interpunkcję, jeśli nie zgadzała się z oficjalną linią. Słynny korespondent Ilja Erenburg niemal złożył rezygnację w proteście przeciwko ingerencjom w najdrobniejsze sprawy. Kiedy redaktor zmienił słowo „zwycięstwa”, oznaczające prawdziwe sukcesy na froncie, na „postęp” w artykule, który czytał, przyszły głos stalinowskiej wojny propagandowej stwierdził, że to strata czasu. „Tyle godzin spędzamy na korektach — skarżył się — że tracimy cały dzień, cały nasz twórczy czas”⁸⁷.

Jedynym zwycięstwem, a może częścią postępu, jakie Sowinform-biuro zapisało na koncie Armii Czerwonej tego lata, była bitwa pod Smoleńskiem. Straty przytłaczały- 300 tysięcy ludzi w niewoli, trzy tysiące zniszczonych czołgów — to jednak pominięto milczeniem w radzieckich gazetach.

Prasa skupiła się na fakcie, że Niemcy zostali powstrzymani w swym marszu na Moskwę⁸⁸. W tym momencie zdesperowana Armia Czerwona wykorzystwała też po raz pierwszy swoją najbardziej imponującą broń. Tak tajna, że nie miała nazwy, dopóki żołnierze nie ochrzcili jej *Katiuszą*, wieloprowadnicowa wyrzutnia raketowa *BM-13* i jej modyfikacje udowodniły, że radzieccy konstruktorzy potrafią stworzyć sprzęt światowej klasy. „Po raz pierwszy wypróbowaliśmy tę wspaniałą broń pod Rudnią koło Smoleńska -wspominał marszałek Jeremienko. - Po południu 15 lipca ziemia zatrzęsała się od niezwykłych wybuchów pocisków raketowych. Jak komety z czerwonymi ogonami pociski poleciały w niebo. (...) Efekt równoczesnej eksplozji dziesiątków pocisków był straszliwy. Niemcy zbiegli w popłochu; nawet nasze wojska (...), których z powodu zachowania tajemnicy nie ostrzeżono o użyciu tej nowej broni, uciekły z linii frontu”⁸⁹. *Katiusze* były mało skuteczne z racji ograniczonego zasięgu: zużywały na tym etapie wojny ogromne ilości paliwa,

by miotać pociski na odległość niecałych 16 kilometrów, jednak wdzięczny widok niemieckich żołnierzy uciekających z pola walki dał stalinowskim propagandzistom coś, o czym mogli pisać.

„Odwrót wywołał ślepią panikę” - napisał 3 września do Stalina sekretarz białoruskiej partii komunistycznej Ponomarienko. Co gorsza, „żołnierze są śmiertelnie zmęczeni, śpią nawet pod ostrzałem artyleryjskim. (...) Podczas pierwszego bombardowania szyki rozpadają się, wielu ucieka wprost do lasu i cały zalesiony obszar w rejonie przyfrontowym pełny jest takich uciekinierów. Wielu rzuca broń i rusza do domu. Niezwykle boją się możliwości otoczenia”⁹⁰. Ten szczery raport NKWD zamieni w przypadek zbiorowej „zdrady *ojczyzny*”, jednak moralizujące gadanie na nic nie przydawało się pozbawionym dowódców i zagubionym żołnierzom. Miliony ludzi tego lata zostały po prostu otoczone, złapane w pułapkę. Inni, marnie wyszkoleni i słabo znający swych kolegów, nie wspominając o brakach w wyposażeniu, zostali rzućni do walki z wrogiem, który nadal, do pierwszych śniegów, był równie pewny siebie jak w chwili wkroczenia do Paryża trzynaście miesięcy wcześniej. Nietrudno zrozumieć tych, którzy ruszyli w stronę domów. „W czerwcu 1941 roku nasza jednostka została otoczona przez oddziały niemieckie pod Białą Cerkwią — wyjaśniał były żołnierz. — Politrak zebrał pozostałych żołnierzy i rozkazał nam wyrwać się grupami z okrążenia. Ja i dwaj inni żołnierze z mojego oddziału (...) przebraliśmy się w cywilne ubrania i postanowiliśmy wrócić do domów. Podjęliśmy tę decyzję, ponieważ, jak mówiły plotki, niemieckie siły napierające w naszym kierunku wdarły się głęboko na wschód”⁹¹.

Niemcy nie byli przygotowani na wzięcie takiej liczby jeńców. Pod koniec 1941 roku, według ostrożnych szacunków, w niewoli znalazło się od dwóch do trzech milionów czerwonoarmistów. Nie pomyślano o pomieszczeniach dla tych ludzi, gdyż ich życie, w opinii hitlerowców, nie było warte zachodu. Gdy Wehrmacht posuwał się na wschód, wielu jeńców słóczono w ich dawnych koszarach lub więzieniach; inni gnieździli się pod gołym niebem, pozbawieni wszelkiej osłony poza drutem kolczastym. W owym czerwcu szok był tak silny,

że nieco czasu upłynęło, zanim zaczęły krążyć opowieści o okrucieństwach, o Żydach i komunistach zabieranych na tortury i nielegalne egzekucje, o biciu, głodzie, sadyzmie i powolnym masowym umieraniu. W pierwszych kilku dniach wojny czerwonoarmiści po prostu poddawali się, gdy zostali okrążeni lub pokonani.

22 czerwca Rada Najwyższa obdarzyła armię prawem karania dezertersów. Tego dnia poczyniono przygotowania do stworzenia trzyosobowych sądów wojskowych. Miały one działać na froncie i na wszystkich obszarach dotkniętych wojną. Trybunały miały prawo wydawać wyroki śmierci, jednak zapis w ich regulaminie nakazywał, by informowały telegraficznie Moskwę o takich wypadkach. Jeśli nie dostały odpowiedzi w ciągu 72 godzin, wyrok mógł być wykonany bez prawa do apelacji, natomiast wszelkie inne kary, często równające się wyrokom śmierci, wchodziły w życie natychmiast⁹². Kompetencje te były wystarczające, w praktyce jednak dowódcy działali często na własną rękę. 14 lipca Mechlis otrzymał notatkę od swego przedstawiciela na Froncie Południowo-Zachodnim, który uskarżał się na nadużywanie kary śmierci w armii rozpaczliwie potrzebującej ludzi. Jak zawsze, podano drastyczne przykłady. W pewnym wypadku porucznik zastrzelił dwóch czerwonoarmistów i kobietę, którzy przyszedli do jego oddziału żebrać o jedzenie⁹³.

Tego rodzaju raporty nie zmieniały niczego na froncie. Niewielu oficerów znało dobrze swych ludzi, a nikt nie mógł poznać ich wszystkich, tak szybko rozwiązywano stare i tworzono nowe jednostki. Egzekucja Pawłowa, i inne podobne, pokazała, że karą za niepowodzenie oficera jest kula: faszystowska albo oddziałów NKWD. Piechurzy działali pod przymusem, gdyż z kolei ich dowódcy bali się o własną skórę. Okrucieństwo było na porządku dziennym. W sierpniu 1941 roku ponownie podkreślono, że oficerowie też będą karani. Rozkaz nr 207, podpisany przez samego Stalina, nie został w tamtym okresie opublikowany, jednak jego treść szeroko rozpowszechniano, odczytując go na zebraniach, które musieli zwoływać frontowi politycy. Nastąpiło to po tym, jak jednego dnia skapitulowało 100 tysięcy żołnierzy. Ofiary pod Umaniem nie miały wyboru, ponieważ - w przeciwieństwie do Böldina - zostały okrążone na otwartym stepie, a nie w lasach lub na bagnach, gdzie

żołnierze mogliby się ukryć. Jednak ze swym zwyczajowym moralizatorstwem Moskwa uznała ich za niewdzięcznych i tchórzliwych. Dlatego, jak głosił rozkaz, każdy oficer lub oficer polityczny, który podczas bitwy zdejmie dystynkcje, wycofa się lub odda w niewolę, traktowany będzie jak dezerters. Oficerowie próbujący dezercji mieli być rozstrzeliwani przez zwierzchników. Nawet niechęć do prowadzenia żołnierzy mogła zostać uznana za dezercję, jeśli odpowiadało to władzom na miejscu⁹⁴.

Inny punkt rozkazu mówił, że rodziny dezertersów będą od teraz mogły zostać aresztowane. Było to okrutne ustalenie, chociaż zasada ta nie była całkiem nowa. Przez lata rodziny dezertersów karano pozbawieniem rent czy innych praw materialnych, ale groźba więzienia budziła groźę w systemie, w którym wszystko, nawet edukacja dzieci, zależało od opinii rodziny w oczach władz. Rozkaz powodował, że każdy, czyjego ciała nie odnaleziono - a takich były dziesiątki tysięcy: zastrzelonych nad rzekami i na bagnach, rozerwanych na strzepy lub ogryzionych przez szczury - uznawany był przez armię za dezertersa. Hańbą stało się zaginięcie w akcji. Tego pierwszego lata jednak wielu ludzi lekceważyło te reguły. Jak wspominał Nikołaj Moskwin, gdy zniknęło jego trzynastu żołnierzy, „Porozmawiałem z dowódcą. Ostrzegł pozostałych o naszej odpowiedzialności. Powiedział im, że jest lista, że mamy listę wszystkich ich krewnych. Prawda jest jednak taka, że wielu tych chłopców pochodzi z miejsc już zajętych przez faszystów. Nie interesują ich już adresy”⁹⁵.

Moskwin zastrzelił swego pierwszego dezertersa 15 lipca. Żołnierz pochodził z zachodniej Ukrainy. Trzy tygodnie ostrzału, marszu, braku snu i grozy doprowadziły go na skraj załamania i nie miało wielkiego znaczenia, jaki pretekst wybrał w owym czasie. Jego przestępstwo polegało na tym, że namawiał towarzyszy do kapitulacji albo co najmniej do przerwania ognia. Potem stawiał czoło Moskwie-nowi. „Zasalutował, jak sądzę, Hitlerowi,

zarzucił karabin na ramię i odszedł w stronę krzaków" - napisał Moskwin. Nie wytrzymał tego inny Ukrainiec z oddziału. „Szeregowiec Szuljak skosił go kulą w plecy" — ciągnął politruk. Umierający przeklinał swoich kolegów, leżąc na ziemi. „Zabiją większość z was - powiedział. - A ciebie, krwawy komisarzy, powieszają pierwszego". Moskwin nie zawahał

się. Podniósł *nagana* i dobił rannego na oczach całej kompanii. „Chłopcy zrozumieli — napisał. Psia śmierć dla psa".

Bez względu na to, co musiał mówić żołnierzom, pewność opuściła Moskwin. Pod koniec lipca jego jednostka została rozbita. Sam Moskwin odniósł ranę. Jego towarzysze nie mogli go przetransportować, więc wraz z dwoma żołnierzami został w lesie, by czekać na pomoc. Pomoc nie przybyła, a ranni uznali, że koledzy o nich zapomnieli. W rzeczywistości niemal cały pułk wyginął, zdradzony przez dezertera kilka godzin po tym, jak odnieśli rany. „Jestem na skraju kompletnego moralnego załamania" — napisał Moskwin 4 sierpnia. Rany bolały, obawiał się gangreny. „Zabłądziliśmy - kontynuował -z braku map. Wydaje się, że podczas tej wojny nie mieliśmy map, tak jak nie mieliśmy samolotów". Dwóch chłopaków spało obok niego, ale on nie mógł usnąć. „Czuję się winny, ponieważ jestem bezradny i ponieważ wiem, że powinienem wziąć się w garść" — rozpaczał politruk. Wiara w partię komunistyczną powinna z niego uczynić bohatera, ale zamiast tego stwierdził „po prostu nie mam dość siły".

Las, w którym leżał Moskwin, znajdował się niedaleko wioski w okolicach Smoleńska. Podczas snu ktoś ukraść mu broń, a po trzech dniach uratowało go kilku chłopów. Moskwin dowiedział się później, że rozważali oni też wydanie grupki w ręce niemieckiej policji. O ukryciu całej trójki zdecydowała rozsądna myśl, że zdrowi mężczyźni przydadzą się w czasie żniw. Moskwin opisywał pracę przy wykopywaniu ziemniaków i buraków. Musiał milczeć, kiedy chłopci oznajmili mu, że rozwiązują spółdzielnię i nie będą dłużej pracować według radzieckich zasad. Musiał znosić ciężką pracę i błoto, prymitywną przyjemność wśród stalinowskich niewygód, wątpliwą nadzieję na zmianę. „Nie wszystko działa w sposób opisywany w książkach, które kazano nam czytać" - naskrobał pewnej nocy. Te wsie, napisał, w niczym nie przypominały gwarynych, kulturalnych miast, z których wszyscy byli tacy dumni w owym innym wszechświecie z czasów pokoju. Być może, rozważał, nawet radziecka władza nie mogła zmienić wsi, pierwotnego świata, który teraz zaczynał poznawać. Moskwin uczestniczył w wojnie niecałe dwa miesiące. Nadal trwało lato, drzewa się zieleniły, ale on sam stracił kontakt z pewnikami radzieckiego życia.

Od gróz wojny

JL/ato trwało do pierwszego tygodnia października. Była to dziwna, niezwykła, zdradliwa pora. Doskonała pogoda pozwoliła wzrosnąć plonom, które miały dojrzeć, nabrać barw, uschnąć i zgnieć. Na stepach Ukrainy pola niegdyś pełne krów porastały teraz chwasty. Jagody lśniły na krzakach nietknięte; niewielu ludzi pozostało, by się nimi zająć. Ci, którzy przejeżdżali w drodze na wschód, nie podróżowali dla przyjemności. Na rozkaz Moskwy całe fabryki zdemontowano i przeniesiono w głąb kraju; wydawało się, że cały świat poruszał się na szynach. Rodziny, pozbawione specjalnych praw i bez kontaktów, ruszały pieszo wzdłuż torów. Chmury pyłu unosiły się nad ludźmi i wozami, stadami bydła, grupami dzieci i długimi szeregami żołnierzy. Po przejściu uchodźców i ostatnich radzieckich żołnierzy nadjechały czołgi, ciężarówki i konie, a potem fala ludzi w szarych mundurach.

Do końca sierpnia 1941 roku kraje bałtyckie, Białoruś i większość Ukrainy znalazły się w rękach niemieckich. Kijów padł w połowie września. Wtedy również Leningrad był już odcięty od głównych źródeł zaopatrzenia. Stacja kolejowa w Mdze, ostatni szlak transportowy prowadzący do miasta, została zdobyta przez najeźdźców pod koniec sierpnia. Teraz drugą stolicę Rosji otaczały niemieckie ciężkie działa i myśliwce, skupione na jej przemyśle i zasobach. Wehrmacht był tak pewien zwycięstwa, że część sił skierowano na południe, po jeszcze większe zdobycze. Rozkazy Hitlera nakazywały opanować Moskwę, a potem zetrzeć ją z powierzchni ziemi, zmienić miasto

w wielkie jezioro. Tej jesieni wydawało się, że niemieckie siły dopną swego. 2 października zdobyły Orzeł, a w połowie miesiąca Kaługę nad Oką, na południowy zachód od Moskwy, i Kalinin, obecny Twer, bardziej na północ. Znalazły się wtedy około 150 kilometrów od Kremla.

Czerwonoarmiści stanęli w obliczu całkowitej klęski. Ich wrogowie natomiast wydawali się pełni wigoru i optymizmu. „SS i dywizje pancerne ruszyły do ataku z takim entuzjazmem, iż można by pomyśleć, że są nie po czterech miesiącach ciężkich walk, ale po długim wypoczynku” - napisał Erich Hoepner, dowódca 4. Armii Pancerniej, w aroganckim raporcie¹. Jego ludzie jechali na południe z Frontu Leningradzkiego, aby dołączyć do kampanii Guderiana pod Moskwą. Zabijanie podsycalo ich apetyt na wojnę. „Liczba zabitych sowieckich żołnierzy przewyższała nawet liczbę wziętych przez nas jeńców - kontynuował Hoepner. - Każdej nocy płonęły wsie, zabarwiając niskie chmury krwawą poświatą”².

Winę za to, co się potem stało, Niemcy zrzucali na pogodę. Hoepner twierdził, że umocnienia stolicy i miny nie stanowiły przeszkody dla jego zdeterminowanych ludzi. Jego straty, pisał dalej, były ciężkie, ale obrońcy Moskwy ponosili jeszcze większe. Początkowo śnieg też nie wydawał się problemem. Hoepner znajdował się pod Boro-dino, ledwo 100 kilometrów od Kremla, kiedy strzepnął pierwsze suche płatki ze swego płaszcza. Potem jednak spadł deszcz, rosyjski jesienny deszcz padający dzień i noc całymi tygodniami. To ten deszcz, tak nieoczekiwany i prozaiczny, „wyrwał z rąk niemieckich zwycięstwo, które niemal odnieśliśmy”. Wehrmacht grzązł po osie, kolana i pęciny w ciężkim, szarobrazowym błocie. „Dwa dni i dwie noce — wspominał Hoepner — zajmowało przebycie 10 kilometrów,

o ile w ogóle dało się jechać”. Koła ciężarówek i wozów buksowały, przez co pojazdy jedynie zapadały się głębiej; ludzie przeklinali i drżeli z zimna w przenikliwej wilgoci. „Zostaliśmy całkowicie pozbawieni dostaw — ciągnął generał. — Amunicja, paliwo do pojazdów i chleb wkrótce stały się na wagę złota. Nie mogliśmy nawet odtransportowywać rannych w bezpieczne miejsce”. Dość niechętnie, jakby Sowietci oszukiwali podczas pojedynku szermierczego, dodał, że wróg wykorzystał ten czas, by podciągnąć wyszkolone, doświad-

czone rezerwy. Błoto nie stanowiło przeszkody dla pociągów, które jechały ze wschodu przez step.

Armii Czerwonej należy się większe uznanie za zatrzymanie napierających Niemców, niż przyznaje to Hoepner. Nie mając nic poza dumą i desperacją, część żołnierzy walczyła z samobójczą odwagą. Nie da się jednak zaprzeczyć, że kryzys był głęboki. W niecałe cztery miesiące Armia Czerwona straciła ponad trzy miliony ludzi, z czego setki tysięcy dostały się do niewoli w wielkich kotłach pod Kijowem i Wiaźmą tej jesieni. Armia licząca w czerwcu pięć milionów żołnierzy, teraz miała zaledwie nieco ponad 2,3 miliona³. Na linię frontu ściągano

rezerwy i świeżych rekrutów, ale nigdy — nawet w kraju wielkości Rosji - nie było ich dość, żeby wypełnić tak dotkliwą lukę. Do października również niemal 90 milionów ludzi, 45 procent przedwojennej populacji, znalazło się na terytorium opanowanym przez wroga⁴.

Armia Czerwona, zarówno wtedy, jak i później miała pierwszeństwo w dostępie do zasobów ludzkich, ale przemysł, który zaopatrywał i utrzymywał wojsko, też ich potrzebował. Siła robocza zawsze stanowiła problem, gdyż pozostało niewiele ponad połowę przedwojennej liczby robotników⁵. Jednak największy kryzys wywołała utrata fabryk. Niemal dwie trzecie przedwojennych zakładów mieściło się na ziemiach zajętych w 1941 roku przez Niemców. Wszystko, co dało się przenieść na czas, zostało ewakuowane za Wołgę, na Ural, lecz nie uniknięto poważnych strat. W sierpniu i wrześniu 1941 roku wyprodukowano niewiele dział. Cztery piąte radzieckiej produkcji wojennej znajdowało się „w drodze”⁶. Tej jesieni obrońcom Moskwy szybko skończyła się amunicja. Zabrakło im nawet karabinów. Sprzęt, który mógł je wyprodukować, nadal stał spakowany w skrzyniach. Nowe fabryki umieszczano w drewnianych szopach, robotnicy pracowali okrągłą dobę, ale nawet wtedy produkcja nie zwiększyła się przez kilka miesięcy. W grudniu 1941 roku cała rezerwowa, 10. Armia, przybyła na front bez ciężkiej artylerii i choćby jednego czołgu⁷.

Niemcy chętni się, że Sowieci są skończeni. Była to pomyłka, ale łatwa do popełnienia. Tej jesieni ta sama myśl przemknęła przez głowę wielu radzieckim obywatelom. W Moskwie, w której wybuchł

w czerwcu naiwny patriotyzm, rozgoryczeni mieszkańcy szykowali się do ucieczki. Hoepnera ucieszyła panika, jaką wywołały jego czołgi. „Duża część ludności uciekła - napisał. - Cenne wyposażenie fabryk zostało zniszczone. Zbliżanie się czołgów i jednostek piechoty 4. Armii Panczernej napełniło strachem czerwoną stolicę. Zaczęło się plądrowanie. Radzieccy przywódcy wyjechali do Kujby-szewa nad Wołgą”⁸. Stalin w rzeczywistości pozostał w mieście, a ta postawa rozpałała na nowo nadzieję w wielu osobach. Jednak nawet jego obecność nie mogła zdławić październikowej paniki. Z wojskami wroga na przedmieściach Moskwa niemal padła od wewnątrz. „To były straszliwe dni” - zapamiętał robotnik z fabryki tekstyliów. Zaczęło się 12 października, ale kryzys nadszedł cztery dni później. „Serce mi zamarło - wspominała kobieta - kiedy zobaczyłam zamkniętą fabrykę. Wszyscy dyrektorzy uciekli”⁹. Podobnie postąpili kierownicy innych zakładów, urzędnicy partyjni z komitetów dzielnicowych i niemal wszyscy, którzy zdołali się wcisnąć do samochodu i odjechać na wschód.

W odpowiedzi państwo zaczęło się przygotowywać do wojny z własnym narodem. Gdyby ludzie nie zachowywali się z własnej woli po bohatersku, zmusiłyby ich do tego lufy karabinów. Wokół stolicy rozmieszczono oddziały NKWD. Ich celem była obrona miasta przed najeźdźcami z zewnątrz i defetystami z wewnątrz. Najważniejszą z sił była Zmotoryzowana Brygada Piechoty Sił Specjalnych NKWD - OMSBON. Wśród jej żołnierzy był Michaił Iwa-nowicz, syn chłopca, ale zarazem jeden z beneficjentów stalinowskich rządów. Tak jak Kirił, znalazł w armii awans i przygodę. W jego wypadku pokusą była możliwość wykazania się w sporcie, przede wszystkim w boksie. W 1941 roku do OMSBON-u wstąpiło ponad ośmiuset sportowców¹⁰. Dostanie się do tej jednostki oznaczało przynależność do wyselekcjonowanej i błyskotliwej elity. Teraz elicie tej kazano ocalić stolicę, a jej członkowie poczuli się zaszczytzeni tym zadaniem.

Michaiłowi Iwanowiczowi przypadła obrona Wieży Spasskiej, nad którą czuwał z posterunku na pierwszym piętrze GUM-u. Uzbrojony w karabin snajperski gotów był strzelić do każdego — cywila czy żołnierza - który zagroziłby jego sektorowi. Plądrowanie stano-

wiło jednak większy problem niż nieprzyjacielskie wojska. Michaił Iwanowicz był nieczuły. „Należało koniecznie, po prostu koniecznie zaprowadzić porządek - wspominał. I tak, strzelaliśmy do ludzi, którzy odmawiali wyjścia ze sklepów i biur, gdzie składowano jedzenie i inne dobra". Tymczasem koledzy Michaiła Iwanowicza dbali o to, żeby Moskwa nie skapitulowała. Gdyby padła, ludzie zginęliby wraz ze swym miastem. Strategiczne budynki — łącznie z Teatrem Wielkim - zaminowano. Radiostacja jednostki, umieszczona w Moskiewskim Teatrze Lalkowym, miała zostać wysadzona z całą resztą¹¹.

Bitwa o Moskwę, którą wznowiono w połowie listopada, gdy szare błoto zamarzło, miała zostać zaliczona do decydujących zwycięstw Armii Czerwonej. Czołgi Hoepnera zajęły 26 listopada nadrzeczne miasto Istra, z monasterem Nowojerozolimskim o złotych kopułach. Jednak jego ludzie byli wyczerpani, a weterani szeptali, że nawet w najgorszym okresie I wojny światowej nie toczyły się tak ciężkie walki. Nakazany im *Blitzkrieg* zamienił się w piekielną walkę wręcz, bogata nowa ziemia zaś pozbawiała ich przyjemności w dojmującym zimnie. Nawet ciemność, jak zauważył Hoepner, ginęła w chaotycznym świetle, gdy pociski smugowe błyskały i migotały na śniegu¹². Czerwonoarmiści nosili już mundury maskujące, wprowadzone po zimowej kampanii w Finlandii. W przeciwieństwie do przeciwników byli też przygotowani na mróz. Krążąc w mroku jak duchy, wytrącali z równowagi niemieckich zdobywców. A poza tym walczyli, jak się wydawało, z nową determinacją i ostrożnością. Pod koniec listopada stało się jasne, że niemieckie czołgi nie posuną się dalej przed Bożym Narodzeniem. Potem, 5 grudnia, zaatakowała z kolei Armia Czerwona, odpychając wroga od stolicy i krusząc, ogniwo po ogniwo, łańcuch, który miał ją zdusić.

Zasługę obrony Moskwy zwykle przypisuje się Gieorgijowi Żu-kowowi. Polityczne otoczenie Stalina zawiodło, więc teraz generałowie odzyskiwali pozycję. Innymi bohaterami były siły z Dalekiego Wschodu - dwanaście pełnych armii ściągniętych na front w październiku¹³. Jednak stolicy bronili też poborowi z głębi kraju, a nawet inteligenci, starcy i studenci. Ta druga grupa szła do boju z nastawieniem i przygotowaniem cywilów. Jeszcze w lipcu Stalin

weswał ludzi, by wstępowali do pospolitego ruszenia, a plany obywatelskiej obrony Moskwy, *opolczenijska*, szybko wcielono w życie. Niemal każdy, kto chciał, mógł rozpocząć służbę. Wiek obrońców wahał się od 17 do 55 lat. Jak ujął to jeden z ocalałych, większość wierzyła, że w listopadzie będą świętować rocznicę rewolucji w Berlinie. „Gazety, kino i radio mówiły naszym ludziom od dziesięcioleci, że Armia Czerwona jest niezwyciężona” — wspominał Abram Jewsejewicz Gordon. Jak wszyscy, on też wierzył, że „pod wodzą partii komunistycznej i naszego wielkiego przywódcy każdy wróg zostanie pokonany na własnej ziemi”.

Ochotnicy w wieku Gordona wkrótce przestali kopać okopy. W sierpniu opolczency dołączyli do obrońców strategicznych szos prowadzących do Moskwy. Gordona posłano na starą drogę do Kaługi. Wspominał ponure twarze swych „mocno niewojskowych” kolegów, gdy ruszali do obrony stolicy, część na rowerach, część pieszo. W nowej bazie dostali mundury, smętne czarne stroje, które nadawały im, jak uważali, wygląd faszystów Mussoliniego, chociaż prawdopodobnie zostały zdobyte w Polsce w 1939 roku. Widzieli też polskie karabiny, chociaż nie każdy ochotnik został uzbrojony. Potem zaczęło się szkolenie, które - ku zgrozie Gordona, mieszczucha i inteligenta — obejmowało jazdę konną. Ich instruktor, stary kawalerzysta Kowalczenko, wykorzystywał metody pamiętające czasy Napoleona i Kutuzowa. Rekruci

musieli godzinami jeździć na oklep, cierpiąc nieznośny ból, dopóki pęcherze nie zaczynały krwawić przez spodnie. „Jedyną ucieczką od tej tortury - napisał Gordon — był namiot medyczny”. Tymczasem wieści z frontu stawały się coraz bardziej ponure, „choć nie chcieliśmy myśleć o naj-

¹⁴
gorszym .

W innych miastach było podobnie, gdy ogłaszano pospolite ruszenie. W wielu miejscach formacje te wykazały się odwagą, można powiedzieć nawet, że odniosły spektakularny sukces. Alexander Werth uważał reakcję rodzimego Leningradu za wzór patriotyzmu lokalnego, ale wykorzystanie tam opołczenców skończyło się dotkliwymi stratami. Gdziekolwiek rzucano do walki nieprzygotowanych, niewyszkolonych wojskowo opołczenców, ginęli tysiącami. Inni nie spodziewali się, że ruszą do boju. W Fatieżu, miasteczku w obwodzie kurskim, trzy tysiące ochotników, którzy zgłosili się w lipcu, nie zostało przeszkolonych do września 1941 roku. Nie wiedzieli, jak trzymać broń i jak z niej celować. Wielu nigdy nie strzelało. Nie podjęto nawet decyzji, gdzie umieścić główne pozycje obronne wokół miasta. W okolicznych kołchozach apel o ochotników nie wzbudził entuzjazmu, a w pobliskim Kursku w pierwszym, najbardziej entuzjastycznym tygodniu na szkolenie stawiła się garstka osób. Nawet komuniści lekceważyli nakaz zaciemnienia i zakaz palenia.

Niektórzy ludzie nadal wierzyli, że ogrom ich kraju zapewni im ochronę. Jeszcze w ostatnim tygodniu września niebezpieczeństwo

w obwodzie kurskim wydawało się miejscowym bardzo odległe i pozwalało skupić się na innych rzeczach, w tym na prywatnych planach wyjazdu¹⁵. Sześć tygodni później ludzie ci zapłacili wysoką cenę, kiedy przez ich region przetoczyły się niemieckie czołgi. W każdym razie część jednak przewidywała, że przestarzałe karabiny i domowej produkcji bomby okażą się bezużyteczne w obliczu najeźdźcy. We wsiach pojawiły się tłumy dezertersów opowiadających fatalistyczne historie. Również pod Moskwą Gordon usłyszał przerażające opowieści z ust uchodźców. Za dnia ochotników podtrzymywała na duchu zbiorowa odwaga, nocą budziły się skryte obawy.

Jak wiele innych grup opołczenców, oddział Gordona został w sierpniu wcielony do Armii Czerwonej. W obecności członków miejscowego komitetu partii komunistycznej wraz z kolegami Gordon złożył przysięgę Armii Czerwonej i zamienił swój czarny mundur na oliwkowozielony piechoty. Jak dotąd, ocenił, większość z nich ledwo trzymała w ręku prawdziwą broń. Sam na szkoleniu strzelił z karabinu dwa razy. We wrześniu ludzie ci stali się odnowioną 113. Dywizją Piechoty; odnowioną, gdyż pierwsza dywizja o tym numerze została kilka miesięcy wcześniej starta z powierzchni ziemi przy radzieckiej granicy. Ta mutacja również zostanie pochłonięta i odbudowana w ciągu następnych tygodni, najpierw w październiku 1941 roku, a potem w pierwszych miesiącach 1942 roku. Dywizję Gordona zniszczono w jeden dzień.

Do katastrofy doszło w rzadkim lesie brzoźowo-sosnowym, tam gdzie szosa warszawska wiedzie do stolicy. Jednostka Gordona miała zatrzymać spodziewane natarcie Niemców, ale ludzie spanikowali, gdy tylko ich dostrzegli. Jak wszyscy niedoświadczeni żołnierze, nie potrafili powstrzymać się od strzelania. Kiedy wróg znalazł się w zasięgu, nie mieli już niemal nabojów. Następnie poszły w ruch koktajle Mołotowa. Gordon patrzył, jak młodzi badacze, których znał z wydziałów geologii i fizyki Uniwersytetu Moskiewskiego, rzucają butelkami z naftą w nadjeżdżające niemieckie maszyny. Szczęśliwcy zginęli od razu. Inni odnieśli straszliwe rany i umierali powoli w lesie, podczas gdy ich koledzy się wycofali lub czekali na litość oddziałów SS, które pojawiły się następnego dnia, by uprzątnąć pobojuwisko.

Do zmroku ocalało zaledwie 300 żołnierzy z jednostki Gordona, a większość z nich zginęła w ciągu następnych kilku dni, próbując przełamać otaczający ich niemiecki pierścień. Sam Gordon dostał się do niewoli. Umarłby w obozie, ale ocalił go ogrom kolumny jeńców. Zdezorientowani niemieccy strażnicy nie mogli pilnować wszystkich naraz i Gordon zakopał się w stogu siana, gdzie ukrywał się całą noc i większą część następnego dnia. Czekala go kariera w regularnej armii, ale nigdy nie zapomniał swoich pierwszych towarzyszy broni. Jak na ironię, zauważył, że wielu spośród nich, patriotów do końca, zostało źle zapisanych w aktach Armii Czerwonej podczas przejścia z opołczenców do regularnych sił. W ich dokumentach nie utrzymywano należytego porządku, a to oznaczało, że zostali zaliczeni do zaginionych w akcji. Zasady w takich wypadkach były jednoznaczne. Państwo uznawało ich za dezertersów. Zamiast pochwały i tak bardzo potrzebnej pomocy finansowej, ich rodziny nosiły piętno przez następne pięćdziesiąt lat¹⁶.

Rzeź 113. Dywizji Gordona powstrzymała jednostki pancerne na dzień czy dwa. Strata tyłu istnień i talentów w imię tak niewielkiej korzyści chwytala za serce. Jednak w tamtych miesiącach ludzie ginęli dziesiątkami tysięcy. Jeśli czegokolwiek brakowało stalinowskiemu reżimowi, to na pewno nie szczodrości w szafowaniu ludzkim życiem. Niemcy uznali masakrę za przejaw wschodniej przebiegłości i oświadczyli, że Armia Czerwona to „najbieglejszy i najbardziej wytrwały wróg, z jakim kiedykolwiek przyszło nam się zmierzyć”. Jeśli chcesz powstrzymać atak w rosyjskim stylu, radził tej zimy przechwycony raport, „potrzebne ci są stalowe nerwy”¹⁷. Jednak niemieccy obserwatorzy zauważyli również linie jednostek NKWD za piechotę, ludzi z karabinami maszynowymi, którzy czekali, żeby zabić maruderów. „Z reguły - stwierdzał raport z tamtego okresu - ludzie ci nie walczą z powodów ideologicznych czy za ojczyznę, ale ze strachu przed oficerami, szczególnie komisarzami”¹⁸. „Strach i nienawiść — zgadzał się inny obserwator — każą rosyjskim żołnierzom walczyć z rozpaczliwą odwagą”¹⁹.

Żołnierze byli naprawdę przerażeni. Wśród obrońców Moskwy

znajdowali się tacy, jak choćby sławnych dwudziestu ośmiu „ludzi Panfilowa”, którzy walczyli do ostatniego pocisku po części dlatego, że odwrót oznaczałby sąd i karę śmierci²⁰. Jednak samo zagrożenie nie wystarczało. Część ludzi nadal marzyła po prostu o kapitulacji. Iluzja, że faszyzm okaże się dla Słowian nie gorszy niż rządy Stalina, stanowiła dla tych głodnych i wyczerpanych żołnierzy pokusę. „Powinniśmy skończyć walkę - wyszeptał do swego kolegi w październiku żołnierz 16. Armii. — Żadna różnica, czy pobijemy Niemców czy nie”. „Połowa kolchoźników jest przeciwko władzy radzieckiej - dorzucił inny. - Nasi generałowie wykrzykiwali, jak pokonamy przeciwnika na jego ziemi, ale wyszło coś przeciwnego. My, naród rosyjski, zostaliśmy zdradzeni przez generałów”. Jego przyjaciele chyba się z nim zgadzali. „Próbują nas teraz zagłodzić na śmierć. Zabijają nas wszystkich — skarżył się kolejny. — Traktują czerwonoarmistów jak psy”²¹. NKWD spisywało to wszystko, nie tylko dlatego, że rozgoryczenie tak często przeradzało się w czyn. Tamtego października w Moskwie prawie 130 tysięcy osób zatrzymano za „naruszenie regulaminów wojskowych”. Niemal pięć tysięcy z nich stanowili dezerterszy z Armii Czerwonej, a 12 tysięcy oskarżono o uchylanie się od służby wojskowej²².

Dezercje na taką skalę dowodziły, że sama tyrania nie uczyni z przerażonych ludzi bohaterów. Po prostu zmarnuje kolejne istnienia. Liczba wyroków śmierci wydawanych przez sądy

wojskowe rosła stale od listopada 1941 do lutego 1942 roku. Oskarżonym stawiano najczęściej zarzut dezercji i ucieczki z pola bitwy²³. Podczas gdy wszystkie armie stosują takie środki, nawet przywódcy przerażeni byli opowieściami o własnej brutalności. Śledczy wskazali przypadek, gdy porucznik zastrzelił żołnierza bez powodu (a w każdym razie oni nie umieli go dostrzec). Innym razem komisarz zastrzelił sierżanta za palenie, a majora za szczere wypowiedzi. Postępowano okrutnie, ale mimo to dezercje nie ustawały. Żołnierze bali się śmierci na polu bitwy i kalectwa bardziej niż swych komisarzy z bronią w ręku. „Nie trzeba być długo w armii - napisał żołnierz do domu — jakiś miesiąc, zanim, bez wątplenia, skończy się w niemieckiej maszynie do mięsa”²⁴.

Stalin, ekspert, zauważył, że terror staje się nieefektywny. W paź-

dzierniku 1941 roku, przewidując całkowity upadek armii, rozkazał, żeby do motywowania żołnierzy wykorzystywano „perswazję, nie przemoc”²⁵. Administracja polityczna i Sowinformbiuro podjęły posłusznie wszelkie kroki, by „przekonywać”, podtrzymując falę wypaczeń i kłamstw na temat odwagi armii i cierpień wroga. To nie zadziało. „Nie wierzcie gazetom - napisał żołnierz. - Nie wierzcie gazetom ani radiu; mówią tam kłamstwa. Przeszliśmy przez to i widzieliśmy to wszystko, widzieliśmy, jak Niemcy nas atakowali. Nasi ludzie nie wiedzieli, dokąd uciekać. Nie mamy czym walczyć, a kiedy Niemcy nas dopadną, nasi ludzie nie mają jak uciekać. Brakuje paliwa, więc porzucają samochody i czołgi i uciekają”. Inny ponuro dodawał, że „każą nam trzymać głębę na kłódkę”²⁶.

Zadanie podniesienia ducha w tych nieszczęśnikach spadło na ich oficerów. Część z nich okazała się wspaniałymi ludźmi, ale większość, łącznie z najsukuteczniejszymi, była tyranami, których szorstki język i twarda dyscyplina wywodziły się wprost z pradawnego świata wsi. Reszta była często tak niedoświadczona, że wytrawni żołnierze pogardzali nim jako chłopcami, czy — co gorsza — biurokratami. Do najgorszych należeli ludzie awansowani po stalinowskich czyszkach, ci, których talenty przemówiły do polityków. Absurdem było myśleć, że potrafią kogokolwiek zainspirować. Typ ten opisuje Konstantin Simonow. W Kerczu, w 1942 roku, spotkał oficera, którego nazywał Sorokinem — „nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska” - a który jego zdaniem „nie był wojowniczy i nie wiedział nic o wojnie. Jego jedyną zaletą — powiada Simonow — było to, że wiedział, iż nic nie rozumie, więc robił wszystko, co mógł, żeby się nie mieszać, a jeśli już musiał, sprawiał wrażenie, że jest zaangażowany, chociaż tak naprawdę nic nie robił”²⁷.

„Nigdy nie widzieliśmy oficera - szeptali ocaleni opołcznicy, gdy z trudem dotarli do domów. - Generałowie uciekli, zmienili spodnie i zostawili nas, byśmy walczyli”²⁸. To samo powtarzało się w dywizjach weteranów. W październiku 1941 roku dowódca 50. Dywizji Piechoty 5. Armii, Dorodnyj, raportował, że jego żołnierze nie otrzymali wsparcia artyleryjskiego, jakie obiecano im dla obrony szosy wiodącej z Moskwy do Możajska. „Musieliśmy powstrzymywać czołgi karabinami i bronią maszynową” — skarżył się.

Głównodowodzący, generał Kamiera, słuchał kilka chwil, a potem warknął, że dowódca artylerii, Wasiukow, powinien zostać z miejsca rozstrzelany. Groźba nie miała większego sensu. Wasiukow i jego ciężkie działa były potrzebne nazajutrz do walki. „Zajmę się tym” - rzekł Kamiera i wsiadł do samochodu. „Nigdy go już nie widziałem - napisał Dorodnyj. - Chyba podbudował swój autorytet, nic nie robiąc i pozwalając innym, by przelewali krew”²⁹.

Oficerowie, którzy pozostali w polu, ludzie pokroju Dorodnego, działali z poczucia obowiązku i zapewne doświadczenia wojskowego z czasów wojny domowej. Część była zawodowcami, a część

umocniła swą determinację prawdziwą komunistyczną wiarą. Żołnierze jednak mieli słabszą motywację. Jeśli pozostali tej zimy na froncie, to raczej siłą bezwładu, z lojalności wobec towarzyszy lub z poczucia więzi z grupą, z którą dzielili grozę, trudności i izolację od dawnego życia³⁰. Ich światy skurczyły się, pragnienia osłabły. Zamiast wybierać przyszłość, stali się zakładnikami swego losu. Świat za liniami okopów i wojskową rutyną był sam z siebie przerażający, a opowieści uchodźców i maruderów czyniły go jeszcze straszniejszym i bardziej niepokojącym. Ale tej zimy jedno uczucie można wyróżnić spośród pomieszanych bodźców niemal każdego żołnierza, a było to pragnienie zemsty.

„Wreszcie po pół roku trafiłem na Twój ślad — napisał w lutym 1942 roku Misza Wołków do żony. — Moja radość jest bezgraniczna, chociaż dopełni się dopiero, gdy dostanę list od Ciebie". To pragnienie spełniło się wkrótce. „Dziś jest najszczęśliwszy dzień mojego życia - napisał artylerzysta. - Wreszcie, po wielu poszukiwaniach, znalazłem Cię". Wołkowa nękały obawy. Ostatni raz widział żonę z córką w Kijowie. Potem nie było czasu na listy, gdyż Wołków przebywał na froncie, a we wrześniu Kijów padł. Plotka głosiła, że wszyscy tamtejsi Żydzi zginęli. Rozpaczliwie szukając wiadomości, Wołków pisał do wszystkich znajomych. W końcu, w nowym roku, wygłosił apel w radiu. Przyszły trzy listy od ludzi, których ledwo znał. Jego żona była bezpieczna. Powiedzieli mu, jak *znaleźć* jej nowy adres.

„Przez ostatnie osiem miesięcy wiele przeszedłem - napisał Wołków. — Ale bez wątplenia moje problemy nie mogą w żaden spo-

sób równać się z tym, co Ty przeszłaś. Najpierw w Kijowie, potem podczas ewakuacji i w końcu z niepewności, co ze mną. Mogę sobie wyobrazić, jak trudne to było dla Ciebie, ale przynajmniej nie zostałaś w Kijowie, by wpaść w ręce faszystowskich bestii". Tym razem, napisał, gazety nie mogą przedstawić wroga w wystarczająco czarnych barwach. Zaczynał rozumieć, o co walczą. „Cokolwiek by pisali w gazetach o ich okrucieństwach — ciągnął — rzeczywistość zawsze jest dużo gorsza. Byłem w kilku miejscach, gdzie były te bestie. Widziałem spalone miasta i wsie, ciała kobiet i dzieci, nieszczęsne, splądrowane domy, ale także łyzy radości, z jakimi ci ludzie nas witali. (...) Duch tych miejsc zrobił na mnie wrażenie i zakiełkował we wszystkich naszych żołnierzach"³¹.

Ludzie pokroju Wołkowa nie mieli szans na powrót do domu. Musieli zaufać armii, a nawet państwu, że ochroni ich zagrożone rodziny. Jeśli już wcześniej wątpili w Moskwę i jej ideologię, a nawet nadal tak częściowo myśleli, jedynym sposobem na zaśnięcie w nocy było wzbudzenie w sobie wiary w to, że Stalin, rząd i towarzysze broni zadbają o ich najbliższych. Szybko poznawali wojnę. W pierwszych kilku tygodniach mogli nie wierzyć w plotki - machina propagandowa zawsze generowała kłamstwa — jednak wkrótce sami oglądali dowody. Tej zimy pierwsze okaleczone ciała - spalone, zmasakrowane, posiniaczone i zostawione, by zamarzną na śniegu — zostały odkryte i sfotografowane przez radzieckich *żołnierzy* odzyskujących wsie koło Moskwy.

Ich wróg zdawał się napawać brutalnością. Uciekinierzy opowiadali o masowych rozstrzeliwaniach, torturowaniu partyzantów. Faszyci pili i śmiali się, gdy ciała ich ofiar płonęły na polanych benzyną stosach. „Według miejscowych — napisał *mężczyzna*, ze Smoleńska -13 grudnia 1941 roku wróg zamknął schwytych czerwonoarmistów w trzypiętrowym budynku otoczonym drutem kolczastym. O północy Niemcy podłożyli pod niego ogień. Kiedy radzieccy żołnierze zaczęli wyskakiwać z okien, Niemcy strzelali do nich. Około siedemdziesięciu ludzi zostało zastrzelonych, a wielu spaliło się żywcem"³². Część żołnierzy Wehrmachtu zbierała pamiątki przemocy. Zdjęcie znalezione w kieszeni zabitego

Niemca pokazywało masakrę kowieńskich Żydów. Na innym widniał nie-

miecki żołnierz przyglądający się dwóm powieszonym Rosjanom. Nawet najtwardsi czerwonoarmiści nie mogli ignorować ponurej prawdy ukazywanej przez te fotografie. Nie warto było już dłużej utrzymywać, że każdy dyktator będzie dobry, jeśli tylko Rosja zazna nieco spokoju.

Nie każdy żołnierz dochodził do takiego wniosku od razu — niektórzy nigdy go nie zaakceptowali - a tylko nieliczni przyjmowali go łatwo czy lekko. Wyglądało to tak, jak gdyby osobisty świat, przedwojenny, musiał się rozpaść, zanim zrozumieli cel swego życia. Wołkowa prześladowały koszmary na temat żony i córki; Moskwin, w ciemnej chacie, musiał przemyśleć swój komunizm. Starsi spoglądali wstecz na swą młodość, przypominające sen lata kierowanej odgórnie zmiany, z niejakim zdumieniem. Przeszłość błyszczała teraz jak baśniowy raj. Już sam kontrast wyostrzał obraz. Te lata pokoju, lata, które wydawały się tak ciężkie, były do przyjęcia, łatwe, bezpieczne; był to okres możliwości, który każdy doceniał dopiero teraz, z perspektywy czasu. Co dziwne, kiedy nie było już ucieczki, pośpiech wojennych działań przyniósł poczucie odnowionej wartości. „To tak jak zdrowa osoba nie jest świadoma swego ciała — napisał żołnierz o swych uczuciach. - Dopiero gdy zaczyna ono boleć, rozumiesz, czym jest zdrowie”³³.

Strach przed śmiercią dał również części ludzi — łącznie z czterdziestolatkami i starszymi - poznać prawdziwy smak życia. Teraz jednak efekt już często zbladł. Weterani padli ofiarą fatalizmu; poczucia, opartego na faktach, nie na przeczuciu, że chociaż dopiero nauczyli się cenić życie, już są na skraju śmierci. Ich nadzieje, jeśli je mieli, skupiły się na rodzinach i dzieciach. „Trudno powiedzieć, ile jeszcze pożyję” - napisał żołnierz do swej żony w styczniu 1942 roku. Spodziewali się pierwszego dziecka, a mężczyzna zdawał sobie sprawę, że nigdy go nie zobaczy. Oznajmił żonie, że nie może opisywać *rzeczy*, które widział na froncie. Zamiast tego chciał myśleć o przyszłości jej i dziecka. „Rozporządzaj moimi rzeczami, jak uznasz za stosowne - napisał. - Są Twoje, tak jak ja jestem Twój, a Ty moja. Simoczka, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka, proszę, wychowaj je według własnych zasad. Opowiadaj mu o mnie, Twoim mężu, a jego ojcu”³⁴. „Nie możecie mówić, że żyję... nie - pisał do żony

i córki inny żołnierz. - Martwa osoba jest ślepa i z tego powodu jedyną rzeczą, która mnie interesuje, jest Wasze życie, a moją jedyną troską - zapamiętać Was”³⁵.

Przedwojenne rozumienie ojczyzny rozpadało się równie szybko jak marzenie o łatwym zwycięstwie. Gordon był w szkole naiwnym internacjonalistą. Pierwszymi Niemcami, jakich spotkał, byli jeńcy: oficer i dwóch żołnierzy. Jeden z szeregowców był robotnikiem. „Najpierw nie rozumiał — wspominał Gordon — co ma na myśli tłumacz, gdy pytał go, jak proletariusz może podnieść broń przeciwko krajowi Rad, pierwszej ojczyźnie proletariatu całego świata. Odpowiedział, że większość żołnierzy w jego jednostce to chłopci lub robotnicy i że dla nich »ojczyzną« nie jest Rosja, ale Niemcy. Ta odpowiedź kazała nam wszystkim się zastanowić nad znaczeniem wyrażenia »Związek Radziecki - ojczyzna światowego proletariatu”³⁶. Podobny wpływ wywarło bezpośrednio zetknięcie z brutalną rzeczywistością tej ojczyzny: forsownymi marszami, zawiejami, mgłą, głodem i okopywaniem, ciągłym okopywaniem się w zmarzniętej, lepkiej ziemi. „Partia mówiła nam, że nie ma nic droższego nad ojczyznę” — stwierdził białoruski weteran. Jednak dla wszystkich zmieniał się sposób postrzegania ojczyzny. Dla niektórych, jak w wypadku Moskwin, pojęcie to rozszerzyło się i objęło nowy krajobraz, wsie, niepiśmiennych chłopów i posepnych miejscowych bojowników, którzy dorównywali mu

bezwzględnością. Dla innych z kolei się zawęziło, przechodząc od powszechnego braterstwa do ksenofobicznej fali świętego rosyjskiego szowinizmu.

To w owym czasie, późną jesienią 1941 roku, Stalin zaczął zmieniać swą retorykę dotyczącą ojczyzny. Jego listopadowa mowa na paradzie Armii Czerwonej w dwudziestą czwartą rocznicę rewolucji leninowskiej opowiadała o heroicznej przeszłości Rosji. Szczegółowo przytoczył trudne próby wojny domowej, kiedy rząd Lenina niemalże upadł - przy tej okazji to nie mogło dziwić - jednak do katalogu walk dołączył starsze zmagania. Rosyjscy żołnierze zostali wezwani do naśladowania przodków: Aleksandra Newskiego, Dymitra Dońskiego, Minina i Pożarskiego, Aleksandra Suworowa, Michaiła Kutuzowa³⁷. „Niech was błogosławi - kontynuował przywódca — zwycięski sztandar Lenina!”³⁸ Siły broniące Rosji mogły

też liczyć na błogosławieństwo Cerkwi. Od pierwszych dni wojny Siergiusz, metropolita Moskwy i Kostromy, nalegał, by Kościół stał przy narodzie w okresie walki³⁹. Lekko złagodzone przedwojenne restrykcje wobec kultu. Jednak chociaż hołubiono amulety - miedziane krzyżyki czy kopie wierszy - formalna religia, tak podnosząca na duchu część cywilów, nie na wiele przydawała się żołnierzom na froncie. Tuż przed bitwą żołnierzy w większym stopniu inspirowały wściekłość i nienawiść, które podsycalo też państwo. W 1941 roku „Prawda” zrezygnowała ze swego hasła z czasów pokoju „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” na rzecz „Śmierć niemieckim najeźdźcom!”

„Nigdy nie utraciłem przekonania, że to prawdziwa wojna ludowa — napisał Alexander Werth. — Myśl, że to ich wojna, była na ogół równie silna wśród cywilów, jak wśród żołnierzy”⁴⁰. Trudno byłoby pozostać neutralnym na widok skutków niemieckiego *najazdu*. Kiedy w listopadzie padł Kursk, zdrowych mężczyzn spędzono i uwięziono w rozmaitych miejscach, o ile tylko dało się je otoczyć drutem kolczastym. Szczęśliwców stłoczono w centralnym kinie, większość jednak drżała z zimna pod gołym niebem. Nie karmiono ich w ogóle. Potem skierowano ich do pracy, a tych, którzy nie zadowolili nadzorców, bito gumowymi pałkami i straszono śmiercią. Drugiego dnia okupacji piętnastu komunistycznych działaczy, w tym cztery młode kobiety, musiało wykopać groby w czarnej glinie koło głównego placu; następnie zostali zastrzeleni. Krążyła plotka, że około siedmiuset innych młodych kobiet zmuszono do prostytucji w prowizorycznych burdelach dla niemieckich żołnierzy. „Ulice są puste - donosił radziecki wywiad. - Sklepy splądrowano. Nie ma bieżącej wody i prądu. Kursk upadł. Życie zamarło”⁴¹.

W Kursku nie mieszkało zbyt wielu Żydów. Gdyby tak było, zapewne miasto widziałoby więcej masowych grobów, więcej zabijania, a nawet więcej strachu, ponieważ świeżo splamieni krwią kaci korzystali z przywilejów swej władzy. Masowe rozstrzeliwania rozpoczynały się w miastach zaraz po wkroczeniu Wehrmachtu. Niektóre, tak jak masakrę w kijowskim Babim Jarze, przeprowadzały specjalne *Einsatzgruppen*, ale większość, łącznie z rozstrzelaniem 650 Żydów w Klińcach, 540 w Mglinie, 350 w Kletnie i tysięcy

innych na zachodnich terenach Rosji, traktowano jako rutynowe operacje wojskowe. Pierwsze mordy przeraziły miejscowych, ale -jak zauważył radziecki agent koło Smoleńska - w efekcie tylko ich zahartowały. „Śmieją się teraz z Niemców — potwierdzał raport z 1942 roku. - Ludzie stali się odważniejsi w obliczu śmierci, wiedzą, że muszą ze wszystkich sił walczyć z wrogiem”. W pierwszych tygodniach pojawiło się wielu gorliwych kolaborantów, ale tej pierwszej jesieni „nienawiść do wroga” wciąż „rosła i rosła”⁴².

Moskwini zauważył tę samą zmianę w nastrojach wieśniaków. Pod koniec sierpnia 1941 roku

politruk znalazł się na krawędzi rozpacz. Zrozumiał, że rozstrzeliwanie Żydów nie niepokoiło jego chłopskich gospodarzy, gdyż obwiniali ich o większość problemów, jakie przyniósł komunizm. Ich antysemityzm szedł ramię w ramię z „fanatyczną wiarą w Boga”, którą niemieccy najeźdźcy rozsądnie wszędzie popierali. Część chłopów zgłosiła się nawet do współpracy z faszystami jak *opolizei*, jednak w gruncie *rzeczy* nie skłaniała ich do tego polityka, ale chęć przetrwania. „Po każdej bitwie — zanotował Moskwin - pędzili na pole, by ograbić trupy ze wszystkiego, co zdołali znaleźć”. Ci chłopci z nadzieją oczekiwali upadku radzieckiej władzy, ale we wrześniu 1941 roku dowiedzieli się, że Niemcy nakazali zachować gospodarstwa spółdzielcze. Tak jak przedwojenne władze radzieckie zdobywcy dbali wyłącznie o możliwie najłatwiejszy zbiór i transport zboża. Była to nieodwracalna pomyłka. „Nastrój miejscowego społeczeństwa zmienił się radykalnie” — zapisał Moskwin 30 września. Serce nadal ścisnęło mu się pod wpływem wieści z frontu. Jak wszyscy dookoła rozpaczliwie potrzebował rady⁴³. Jednak nie groziła mu już zdrada.

Moskwin był też samotny. W jego wspomnieniach armia promieniowała ciepłem koleżeństwa, ale regularni żołnierze szybko zmieniliby jego opinię w tej sprawie. Na tym etapie wojny niewielu z nich wspominało w listach do domu o swych kolegach. Grupy pierwotne, „kumple”, odgrywające tak istotną rolę wśród amerykańskich żołnierzy w Wietnamie, ledwo mając tu w cieniu kłeski. Jednostki zostały zmasakrowane, całe dywizje zmiażdżone. Niedobitków, zszokowanych i wyczerpanych, kierowano wszędzie tam, gdzie należało uzupełnić szeregi. Załogi czołgów i samolotów — dwa

typy żołnierzy, wśród których wzajemna zależność i wspólne ryzyko tworzą niezwykle silne więzy, nie rzucały się tak bardzo w oczy jak od 1943 roku. Poza tym armia była w odwrocie, niezorganizowana, rozproszona na ogromnym terytorium. Ludzie nadal zawierali przyjaźnie w tym ekstremalnym świecie, prawdziwsze i silniejsze niż w czasach pokoju, ale większość z nich skazana była na upadek. Więzy lojalności mogły też być retrospektywne, pełne żalu. Najsilniejsze związki uczuciowe, w 1941 roku, często dotyczyły zmarłych, siłę żołnierskiej determinacji uświęcała krwawa ofiara.

Innym brakującym elementem w świecie żołnierskiej wyobraźni był na tym etapie wojny Stalin. Moskwin rzadko go wspomina. Wódz nie liczył się w jego odległej wiosce. Tylko wspomnienie pokoju zdawało się nadal wyczarowywać tego wielkiego człowieka. Starsi nigdy nie wybaczyli mu 1929 roku, bólu nędzy i straty. Teraz Stalin ponownie ich zawiódł. Jednak młodzi i miliony tych, którzy przemyśleli swój świat, gdy oglądali śmierć towarzyszy, z zapadnięciem zimy szukali pocieszenia. W ramach tego procesu przywódca zmieniał się w totem, jedyny konstans, który obiecywał ratunek i pozostawał silny. Stalin, który odgrywał tę rolę, nie był - w wyobraźni — tym samym człowiekiem co lider z lat trzydziestych; raczej reprezentował raj utracony zapamiętany z minionego świata. Był talizmanem, imieniem, pustym wizerunkiem, którego niektórzy prywatnie się brzydzili. Jednak lepiej było znaleźć w tym mroku coś, w co można wierzyć, niż umrzeć w głuchej rozpacz.

Według patriotycznego mitu całe armie używały tego samego hasła, żeby dodać sobie animuszu przed bitwą. Chociaż niemieccy weterani wspominają głównie mrozące krew w żyłach radzieckie „Urra!”, oficjalny okrzyk bitewny, który zapamiętały miliony żołnierzy Armii Czerwonej, brzmiał: „Za ojczyznę! Za Stalina!” W ostatnich latach część starych żołnierzy - zwłaszcza szeregowych i podoficerów - powątpiewała w użycie tego hasła. „Czy myśmy tak krzyczeli? - śmiał się Iwan Gorin, żołnierz i syn chłopca. - Na pewno krzyczeliśmy coś, gdy bieглиśmy na wroga, ale nie sądzę, by było to grzeczne”. Oficerowie i enkawudziści znajdowali się zbyt daleko za liniami, żeby to

usłyszeć. Ci, którzy używali tego okrzyku, mają jednak dobry powód, by powtarzać znajome słowa. Cokolwiek mó-

wił później Gorin, albo weterani w rodzaju pisarza Wasila Bykaua, przesąd zakazywał przeklinania przed bitwą⁴⁴. Poza tym trudno byłoby uzgodnić alternatywny okrzyk bez wzbudzania podejrzeń tajnej policji. Chociaż żołnierze mamrotali różne *rzeczy*, a wszyscy używali popularnego, strasznego „Urra!”, słynne słowa również mogły być tak popularne, jak twierdzą weterani. Sedno w tym, że wykrzykiwane przez żołnierzy nazwisko nie miało znaczenia. Potrzebowali bitewnego okrzyku, wrzasku, który jednoczył wszystkie płuca i zmuszał mięśnie do ruchu. Najważniejszy był dźwięk, a nie znaczenie. Hasło stało się święte niejako samo. A potem ludzie powoli uznali jego charyzmatyczny charakter⁴⁵.

Na tym wstępnym etapie jednak najbardziej o Stalina i jego wizerunek dbali propagandyści. Mimo prawdopodobieństwa klęski część oficerów uważała, że należy wykorzystywać czas, jak zawsze, na podsycanie mitów i szukanie rzekomych wrogów wewnętrznych. W lutym 1942 roku rekruta z Syberii posłano na północ, na Front Wołchowski koło Leningradu. Batalion narciarski, do którego dołączył, w ciągu tygodnia został zdiesiątkowany przez niemiecki ogień, a on sam przeniesiony do regularnej 281. Dywizji Piechoty. Była to wojna pozycyjna, żołnierz i jego koledzy zaś całymi dniami kopali nowe okopy, uchylali się przed pociskami i zastanawiali, o co walczą. „Wszyscy wiedzieliśmy — mówił potem starzec swym dzieciom — że walczymy za ojczyznę”. Jego nazwisko, Chabibulin, sugeruje, że dla niego ojczyzną była wschodnia Rosja, co prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego NKWD aresztowało go, gdy potrzebowało kozła ofiarnego. Pretekstem stało się przypadkowe zdanie rzucone ukraińskiemu żołnierzowi, który spartolił próbę odstrzelenia sobie kciuka. „Mogłeś zrobić to lepiej — zauważył Chabibulin. — Zdemobilizowaliby cię”. Młody człowiek spytał go ostro, czy on nie chce walczyć. „Co mogę powiedzieć? — odparł Chabibulin. — Walczy się”. A potem, mniej ostrożnie, i może żałując chłopaka, dorzucił coś o smutnych stratach istnień.

Chabibulina aresztowano trzy dni później i oskarżono o podsycanie oporu wobec ludowej walki za ojczyznę i Stalina. Groziła mu kara śmierci, ale wykpił się dziesięcioletnim wyrokiem, którego część, ironią losu, spędził w więzieniu, gdzie czterdzieści lat wcześ-

niej siedział Stalin. Przeżył i dużo później, po upadku komunizmu, obejrzał własne akta w siedzibie KGB. Dowiedział się wtedy, że koledzy zgodzili się zeznawać przeciwko niemu i że śledczy mieli obsesję na punkcie postawy Chabibulina wobec Stalina. Zeznania podyktował śledczy; mówią one więcej o potrzebach ówczesnej propagandy państwowej niż o prawdziwych poglądach żołnierzy. Interesujące jest, że człowiek, który przed aresztowaniem nie poświęcił wodzowi jednej myśli, znalazł zeznania, według których miał mówić: „Nie będę walczył za Stalina. Jeśli za Stalina, to ja nie walczę”⁴⁶.

Podczas walki żołnierze prawie nie myśleli o jedzeniu, ale w każdej wolnej chwili odczuwali ustawiczny głód. Ich typowa dieta, według politruka służącego w obronie Moskwy, wyglądała następująco: na śniadanie o szóstej zupa „tak gęsta, że swobodnie stała w niej łyżka”, na obiad kasza gryczana, herbata i chleb, a potem, wieczorem, znów zupa i herbata. Służby medyczne nadzorowały przygotowywanie posiłków, smakując każdy przed podaniem go żołnierzom⁴⁷. W 1941 roku dzienna racja żywnościowa żołnierza na froncie teoretycznie zawierała prawie kilogram chleba, 150 gramów mięsa, kaszę gryczaną, suszoną rybę i solidny kawał smalcu lub

tłuszczu⁴⁸. Jednak nawet politruk przyznawał, że „podczas walk z jedzeniem było dużo gorzej”⁴⁹.

Oznaczało to, że większość żołnierzy dostawała całymi dniami jedynie suche racje, a niekiedy nic. „Mieszkamy w ziemiankach w lesie - napisał żołnierz do domu. - Śpimy na sianie jak bydło. Karmią nas nędznie: dwa razy dziennie, a nawet wtedy nie tym, czego potrzebujemy. Rano dostajemy pięć łyżek zupy. (...) Cały dzień jesteście głodni”⁵⁰. Zwykła niewygodą była w tych warunkach najmniej istotnym skutkiem. Tamtej zimy temperatury spadły dużo poniżej minus trzydziestu stopni. „Siedmiu naszych chłopaków ma odmrożone nogi - napisał w lutym 1942 roku żołnierz do matki. - Są teraz w szpitalu. Musieliśmy iść siedem dni bez kawałka chleba, byliśmy wykończeni i głodni. Od powrotu nie robię nic poza jedzeniem. Nogi zaczęły mi puchnąć w nocy, jem dużo, a brzuch boli mnie bez przerwy”⁵¹. Nawet biurokraci zaczęli się martwić. Tej zimy popłynął strumień rozkazów dotyczących ciepłych posiłków i podstawowego zaopatrzenia dla frontu⁵².

Żołnierzom brakowało też ubrań. Rosjanie odczuwają zimno tak jak wszyscy Europejczycy. Nie mają magicznego wewnętrznego ciepła, cokolwiek by myśleli ich drżący z zimna nieprzyjaciele, gdy październikowy deszcz zaczął się zmieniać w deszcz ze śniegiem. Po wojnie zimowej Sztab Generalny przemyślał sprawę zimowej odzieży dla wojsk radzieckich i bez wątpienia walonki, waciaki i spodnie, futrzane rękawice i ciepłe czapki uratowały podczas wojny tysiące czerwonoarmistów. Jednym z typowych bohaterów wojennej satyry radzieckiej był natomiast „zimowy fryc”, nieszczęsny Niemiec

zmuszony do noszenia skradzionych rękawic, płaszcz ocieplanego gazetami i dziwacnych babcinych majtek⁵³. Jednak Armia Czerwona też miała kłopoty. Przy niemal unieruchomionym przemyśle trudno było zagwarantować nowe dostawy. W 1942 roku, na przykład, radziecki przemysł obuwniczy zapewnił zaledwie 0,3 pary butów na mieszkańca⁵⁴. Magazynowanie, naprawy i ewakuacja miały kluczowe znaczenie dla przetrwania. Trudno wszakże było zerwać z nawykami wypracowanymi przez lata współistnienia z państwową biurokracją i planistami. We wrześniu 1941 roku inspektorzy

odkryli zapomniany ładunek 266 tysięcy par wojskowych spodni, porzuconych pod gołym niebem i już pokrytych pleśnią⁵⁵. Dziesiątki tysięcy zimowych butów czekały na naprawę, podczas gdy setki rekrutów nie miało zimą żadnego obuwia⁵⁶. Następnej wiosny sytuacja stała się tak krytyczna, że oficerowie i żołnierze na tyłach pozbawieni zostali płaszczy z letniego umundurowania. Zamiast tego musieli się zadowolić zniszczonymi waciakami z frontu⁵⁷.

Czarny rynek rósł i rozkwitał. Wszelkiego typu własność wojskowa znikwała lub była rozkradana, włącznie z butami i inną odzieżą, paliwem, żywnością, a nawet naczyniami⁵⁸. W 1942 roku tytoń stał się taką rzadkością, że moskwianie zapalali papierosa i proponowali przechodniom zaciągnięcie się za dwa ruble⁵⁹. Dostawy dla armii — hurtowe, anonimowe i narażone na kradzież — były skarbami, którym nawet porządni patrioci nie mogli się oprzeć. Inny handel rozkwitł po wprowadzeniu 25 sierpnia 1941 roku racjonowania wódki na froncie. Każdy żołnierz na służbie miał dostawać 100 gramów alkoholu dziennie. Do odmierzania go wyznaczono specjalnych oficerów, a niewykorzystaną nadwyżkę kazano rozliczać co dziesięć dni⁶⁰. Jednak wódka była zbyt cenna, by traktować ją z taką pedanterią. Oficerowie i żołnierze nieuprawnieni do otrzymywania racji na własną rękę korzystali z zapasów. Pod naciskiem wyprzedawa-li je też kwatermistrzowie⁶¹. W Moskwie, jak zauważył Simonow, w styczniu 1942 roku ludzie pili więcej wódki niż herbaty. Pijaństwo pozostało problemem w wojskach

liniowych⁶², a wszyscy wiedzieli, że po bitwie racje się zwiększą. „Zawsze dobrze było służyć w piechocie — wspominał weteran. — W piechocie albo artylerii. Tam ginęło najwięcej ludzi i nikt nie sprawdzał, ile wódki odsyłaliśmy”.

Nikt nie troszczył się również o zmarłych. „Nierzadko — brzmiała jedna z pełnych półsłówki notatek Mechlisa - ciała żołnierzy (...) nie są zbierane z pobojozisk przez kilka dni i nikogo nie obchodzi, czy da się pochować naszych towarzyszy z pełnymi wojskowymi honorami”. Wspominał przypadek, gdy czternaście ciał leżało niepo-grzebanych pięć dni, co nie może dziwić, gdyż w grudniu, przy zamrożonej ziemi, każdy żołnierz wolał oszczędzać siły. „Trupy na pobojozisku — zauważył Mechlis mają wydźwięk polityczny, który wpływa na polityczno-moralny stan żołnierzy oraz na auto-

rytet komisarzy i dowódców⁶³. Co ważniejsze, zabici mieli rzeczy, których żywi potrzebowali bardziej. Nowe mundury rezerwowano dla tworzonych armii; potrzebujące zaopatrzenia wojska frontowe obywateli się odzież i sprzętem z odzysku. „Po bardzo ciężkich bitwach - wspominał politruk - musieliśmy wysłać żołnierzy na pobojozisko, żeby zbierali zabitych wraz z bronią, byśmy mogli jej użyć następnego ranka⁶⁴. Tamtego grudnia Mechlis rozkazał, by wszystkie ciała grzebano niezwłocznie z należyтым szacunkiem (i staranną dokumentacją)⁶⁵. Dziesięć miesięcy później władze skarżyły się, że zwłoki nadal wrzuca się do okopów i lejów po pociskach albo, co gorsza, zostawia na pastwę szcurków. Co do mienia, kolejny rozkaz, z 29 listopada 1942 roku, wylicza przedmioty, które grupy dokonujące pochówków powinny odzyskiwać: „płaszcz, bluzy, czapki, wataniane spodnie i kurtki, swetry, rękawice, buty i walenki⁶⁶. Uznawano, że grabarze nie zajęli się ciałem, jeśli nie przynieśli broni.

Dla czerwonarmistów śmierć była lepsza — jeśli nastąpiła szybko - od niewoli. „Nie możemy tak dalej traktować jeńców - zauważył w lutym 1942 roku niemiecki oficer wywiadu — bez konsekwencji. To już nie za sprawą wykładów politruków, ale osobistego przekonania radziecki żołnierz doszedł do wniosku, że jeśli trafi do niewoli, czeka go życie w mękach lub także śmierć⁶⁷. Świadomość ta kazała radzieckim żołnierzom bić się jeszcze zaciekłej i podsycala w nich głębszą nienawiść. „Gdyby Niemcy dobrze traktowali naszych jeńców - powiedział w 1942 roku Werthowi pewien pułkownik — wkrótce byśmy o tym wiedzieli. To straszne, co mówię, ale maltretując i głodząc naszych jeńców, Niemcy nam pomagają⁶⁸.

Dziesiątki tysięcy czerwonarmistów, którzy poddali się w czerwcu i lipcu 1941 roku, nigdy nie wyobrażały sobie losu, jaki czekał ich w niemieckich rękach. Jednak pod koniec lata zaczęły się rozchodzić straszliwe wieści. W sierpniu Moskwin spotkał pierwszego z wielu zbiegłych jeńców, którymi będzie się opiekował w następnych miesiącach. Opowieść mężczyzny zmroziła mu krew w żyłach. „Mówią, że nie ma schronienia i wody — napisał Moskwin — że ludzie umierają z głodu i chorób, że wielu brakuje odzieży lub butów. Traktowani są jak niewolnicy, rozstrzeliwani za najłżejsze wykrocze-

nie albo po prostu dla rozrywki”. Jeńcy ukraińscy, którzy już cieszyli się, jeśli mieli na to ochotę, pewnymi przywilejami w obozach, zachęceni byli do wskazywania komunistów i Żydów. Ofiary bito, kazano im kopać groby i zabijano strzałem w tył głowy.

Moskwin przeżywał jeden ze swych częstych ataków wewnętrznego bólu. „Rozumiem, jak naiwne było szkolenie naszego wojska - zapisał w dzienniku. — Usunęliśmy całkowicie myślenie o trafieniu do niewoli z naszych poglądów na to, co jest dopuszczalne na wojnie, ale mówiliśmy

żołnierzom, że wróg wykorzysta jeńców do zdobycia tajemnic, że będzie torturował ludzi, by nakłonić ich do zdrady. Wszystkie przykłady czerpaliśmy z ostatniej wojny, wojny imperia-listycznej, i pojęć o wojnie klas. Teraz jednak mamy do czynienia z gestapo i SS, a jeśli o nich chodzi, to jesteśmy wyłącznie czerwonymi"⁶⁹. Inni też powoli się tego uczyli. Ten wróg nie walczył z bolszewikami na karykatury; jego jedynym celem było starcie ich z powierzchni ziemi.

„W Rżewie mieści się obóz z 15 tysiącami schwytanych czerwono-armistów i pięcioma tysiącami cywilów — informował przemycony raport z grudnia 1941 roku. - Trzymają ich w nieogrzewanych barakach, a karmią jednym lub dwoma przemarzniętymi ziemniakami dziennie. Niemcy rzucają jeńcom przez druty zepsute mięso i nieco kości. Więźniowie od tego chorują. Codziennie umiera 20—30 osób. Ci, którzy są zbyt chorzy, aby pracować, są rozstrzeliwani"⁷⁰. Był to holokaust, który pochłonął miliony. Aż do niemieckiej klęski pod Stalingradem większość radzieckich jeńców trzymano w pobliżu linii frontu. „Wielu z nich umierało na gołej ziemi - przyznał w Norymberdze niemiecki świadek. — Wybuchły epidemie, pojawiał się kanibalizm". „Dopiero dobrze w 1942 roku — skomentował Werth - zaczęto postrzegać radzieckich jeńców jako źródło niewolniczej siły roboczej"⁷¹.

Wśród mniejszości jeńców, którzy przeżyli, nieproporcjonalnie wielu należało do niesłowiańskich grup etnicznych. Ocalenie zawdzięczali niemieckim fantazjom rasowym i garstce donkiszotów — przebywających w Berlinie nacjonalistów, którzy uciekli z własnych krajów w trudnym okresie budowania władzy radzieckiej. Ludzie ci objeżdżali teraz obozy w poszukiwaniu rodaków. Ratunek, jaki

oferowali, był warunkowy. Wybrani przez nich mieli ochotniczo zgłosić się do legionów - gruzińskiego, kozackiego, turkiestariskiego i innych - których s'wiałym obowiązkiem było uwolnienie swych ojczyzn od bolszewizmu. Trudno jednak powiedzieć, by jeńcy mieli wolny wybór; ich decyzje więcej mówią o mękach, jakie przeszli, niż o prawdziwej lojalności.

Ibraj Tulebajew ocalał w taki właśnie sposób. W 1942 roku został zwerbowany do legionu turkiestańskiego, ale w 1943 przeszedł znów na stronę radziecką. Przesłuchujący go śledczy spisał każdy szczegół jego opowieści o obozach, w których przebywał od sierpnia 1941 do wiosny 1942 roku. Pierwszy z nich znajdował się na terenie Polski. Składał się z dwunastu bloków, z których każdy mieścił od 1500 do 2000 ludzi. Jeńcy tłoczyli się w nich po ciemku. Strzelano do tych, którzy wyszli na zewnątrz. Każdej nocy ginęło tak dziesięciu czy piętnastu z nich. Za dnia niemieccy strażnicy używali jeńców jako żywych tarcz i szczuli ich psami. Niekiedy zakładali się, które zwierzę - nie człowiek - będzie zażarciej walczyć. Z braku jedzenia więźniowie odzierali trupy z mięsa. Choroby zabijały tych, którzy przeżyli niemieckie zawody. Jednak Tulebajewa przeniesiono; Niemcy zapisali jego narodowość i już zaczęli selekcjonować potencjalnych bojowników nacjonalistycznych. W grudniu 1941 roku, jak obliczył Tulebajew, w jego nowym obozie przebywało około 80 tysięcy jeńców. Większość w lekkich mundurach, które nosili w czerwcu. Do lutego, na skutek zimna, niedożywienia, tyfusu i de-zynterii, pozostało przy życiu około trzech tysięcy. W grudniu rozstrzelano dwunastu ludzi za kanibalizm; kara nie miała większego znaczenia, gdyż kiedy śnieg stopniał w kwietniu, i tak niewielu jeńców jeszcze żyło⁷².

To samo powtarzało się w obozach na terenie Polski, Białorusi i Ukrainy. W Dubnie bito ludzi na śmierć. W Mińsku torturowano nagie ofiary, polewając je na przemian strumieniami lodowatej wody i wrzątku. Wszędzie zaraz po rozpoznaniu rozstrzeliwano Ży

dów i politruków; potem Niemcy zaczęli odsiewać wszystkich tych, którzy nie byli Rosjanami. Minęły miesiące, zanim nowe legiony zdolne były stanąć po stronie Niemców. Najpierw wielu ich członków musiało spędzić tygodnie w specjalnych szpitalach, odzyskując

siły po czyścicu niewoli. Jeńcy nie zawsze byli w pełni świadomi, jaki bieg przybiorą wydarzenia. „Zrobili to dla dodatkowej kromki chleba - powiedziała mi Szałwa Maglakelidze, córka gruzińskiego przywódcy nacjonalistycznego z okresu wojny. - Wiedzieli, że mój ojciec uratował im życie”. Maglakelidze (od 1921 roku nie postawił stopy na radzieckiej ziemi) wierzył, że tworzy armię, która wyzwoli jego naród. Natomiast Gruzini, których uratował, czepiali się po prostu nikłej nadziei na życie.

Niekiedy groźba śmierci była równie realna dla ludzi, którzy znaleźli się po złej stronie frontu. Jak się wkrótce dowiedzieli, toczyła się wojna na wyniszczenie; wojna spalonej ziemi, masowych deportacji i publicznych rzezi. Pozbawiony informacji i wiary zarówno w państwo radzieckie, jak i niemieckie, każdy sam musiał rozważać szansę ocalenia. W lipcu 1941 roku tysiące miejscowych stanęło po stronie niemieckiej w szeregach rozmaitych organów policyjnych, przedstawicieli władzy hitlerowskiej w strefie okupowanej. Część wykazywała się gorliwością; to oni świętowali nadchodzącą klęskę każdej znieprawionej cechy imperium, które uznawali za radzieckiego, bolszewickiego, a nawet żydowskiego potwora. Inni zgłaszali się pod wpływem impulsu, by uniknąć uwięzienia lub kuli. „Podczas odwrotu Armii Czerwonej nasza agitacja była bardzo słaba” — przyznawał raport radzieckiego wywiadu we wrześniu 1942 roku. Stwierdzał też, że wielu ludzi dołączyło do policji i tysiacosobowego paramilitarnego „legionu ukraińskiego”, który tego lata terroryzował partyzantów w okolicach Smoleńska, aby uchronić się od śmierci lub tortur w niemieckim obozie jenieckim, ale wniosek był taki, że do innych radzieckie marzenie przestało przemawiać (o ile kiedykolwiek przemawiało).

Z radzieckiej perspektywy problemem było to, że zbyt wielu ludzi na okupowanych ziemiach, pozbawionych przywództwa i państwa, „usłuchało hitlerowców i poszło za nimi”⁷³. W odpowiedzi Moskwa postanowiła dotrzeć do tych ludzi poprzez nowe grupy bojowników: partyzantów. W miesiącach poprzedzających rozpoczęcie „Planu Barbarossa” wojnie partyzanckiej nie poświęcano wiele uwagi, jednak Moskwa wkrótce odkryła potencjał oddziałów partyzanckich. „Muszą istnieć grupy dywersyjne do zwalczania oddziałów

wroga - rozkazał Stalin w lipcu 1941 roku. - Na terenach okupowanych należy stworzyć wrogowi i jego współnikom warunki nie do zniesienia”⁷⁴. Wojenny mit nadal czci tych twardych partyzanckich bojowników, mężczyzn i kobiety, którzy przerywali niemieckie linie zaopatrzeniowe, wysadzając tory i mosty, bohaterów torujących drogę żołnierzom Armii Czerwonej. To rzeczywiście była część ich zadania — część kosztowna — ale wątpliwe, by sabotaż stanowił ich prawdziwy cel. Jak ujmuje to raport z 1942 roku, „natura nie znosi próżni”⁷⁵. Głównym celem partyzantów było utrzymywanie uścisku władzy radzieckiej⁷⁶.

Jednostka OMSBON-u, w której służył Michaił Iwanowicz, należała do pierwszych, które zaryzykowały powrót na ziemię okupowaną przez Niemców. Miała zgarniać maruderów, rozstrzeliwać prowokatorów i wprowadzać za frontem swego rodzaju dyscyplinę. Grupy partyzantów, które pomagał tworzyć Michaił Iwanowicz, stały się ramieniem władzy radzieckiej w odległych lasach wokół Smoleńska. Jego ludzie wprowadzali nie tylko dyscyplinę; za ich re-

wolwerami stały też obietnice (nie zawsze dotrzymanywane) przysłania zaopatrzenia. Później uruchomiono również szlaki, dzięki którym można było wymieniać przez linię frontu listy (starannie ocenzurowane). Nowiny z „wielkiej ziemi” na wschodzie podsycaly nową nadzieję i lojalność w części oblężonych wiosek⁷⁷. Siły OMSBON-u zabiegały nawet o względy chłopów, pomagając im w polu. Prowadziły agitację, zbierając i propagując raporty Sowinformbiura, żeby przeciwdziałać propagandzie niemieckiej. Organizowały zebrania partyjne, by czcić rocznice, uczyły higieny i podstawowych taktyk przetrwania i generalnie przypominały ludziom radości radzieckiego życia. Ich wysiłki pomogły stworzyć nową, równoległą armię w lasach. W listopadzie 1942 roku, według radzieckich raportów, za liniami niemieckimi od Bałtyku do Krymu działało około 94 tysięcy partyzantów. Niemal dziesięć procent z nich przebywało w rejonie Smoleńska⁷⁸. To właśnie do nich zwrócił się w końcu Ni-kołaj Moskwin.

Z początku politruk nie potrafił zdecydować, czy przyłączyć się do partyzantów, czy ruszyć do najbliższej bazy Armii Czerwonej. W październiku 1941 roku dotarły do niego pogłoski, że koło Wiaź-

my wybuchły walki, ale potem zgubił ślad i zaczął się bać, że armia jest poza jego zasięgiem. Pierwszy śnieg pomogły mu przetrwać tylko przyniesione przez zbiegłych jeńców wieści o przemówieniu Stalina z 7 listopada — apelu z placu Czerwonego do żołnierzy. „Wszyscy trwają na posterunkach - napisał. - Wkrótce wszyscy będą świętować”. Jednak jego ulga okazała się przedwczesna. Dopiero w marcu, gdy zima zaczęła ustępować, Moskwin podążył na wschód, kierując się do Armii Czerwonej koło Kaługi. Został ujęty, kiedy zbliżył się do linii niemieckich. Niemieccy żołnierze zabrali go do Granek, obozu frontowego niewiele większego od dużego podwórka. Spotkał tam ludzi ocalałych z kotła pod Wiaźmą ubiegłej jesieni. W obozie przebywali już od sześciu długich miesięcy. „Kto tego nie widział — napisał Moskwin — nie może sobie wyobrazić straszliwej grozy tej ludzkiej tragedii. Widziałem to na własne oczy. Ludzie umierali z wyczerpania, zimna i od bicia”.

Moskwinowi nie było przeznaczone umrzeć z nimi. Zdrowy i pełen determinacji, wciąż miał wolę, by wymknąć się strażnikom, równie zmarzniętym i przygnębionym zimą. Sześć dni po tym, jak został schwytany, uciekł znowu. Ale stracił dokumenty. Pomimo wielkiej lojalności wiedział, że czerwoni mogą go zastrzelić jako dezertera. To sprawiło, że skierował się na zachód, nie na wschód. W czerwcu dołączył do grupy partyzanckiej utworzonej z takich jak on byłych żołnierzy. „Taka walka z faszystami jest naprawdę satysfakcjonująca - napisał dziarsko w owym miesiącu. - Dopadamy ich na drogach, z ukrycia, prawie nie tracąc własnych ludzi”. 29 lipca jego batalion wybił grupę niemieckich wartowników, wziął do niewoli wielu policjantów i zdobył dwa karabiny maszynowe. „Naprawdę robię coś ważnego” — napisał. A potem, w sierpniu, przyszły najlepsze wiadomości tego roku. „Spotkała mnie dziś wielka radość - zanotował. — Dostałem naraz trzy listy z wielkiej ziemi⁷⁹. Moi rodzice żyją. Maria żyje. Hurra!”

Skoro listy dochodziły, a ludzie uciekali, wielu partyzantów, w tym zdolni bojownicy, mogłoby także wrócić i zasilić szeregi Armii Czerwonej. Ale państwo miało z nich większy pożytek tam, gdzie przebywali. Jak zwykle, polityka była bezduszna, ponieważ choć ludzie otrzymali rozkaz, by pozostać na miejscu, nie dostali ani żywności,

ani broni. „Według instrukcji mieliśmy zostać w trójkacie wokół Smoleńska i nadal walczyć - zanotował Moskwin we wrześniu 1942 roku. Jego optymizm zaczął słabnąć. — Zima będzie ciężka. Połowa naszych ludzi nie ma odpowiednich butów i ubrań”. Jako banici, którymi się stali, jego

żołnierze zaczęli dezertować. Sam Moskwin wkrótce przeklnie bezdusność Moskwy. „Aby przeżyć, powinniśmy okradać wroga i prosić się miejscowych” — napisał, ale pozostawało im tylko wydierać innym jedzenie, gdyż wszyscy głodowali. „W wielu miejscach grupy wroga udające partyzantów uprawiają bandytyzm” — przyznawał raport partyjny ze Smoleńska. Jednak, co bardziej prawdopodobne, plądrowali Rosjanie. „Nie może dziwić, że miejscowi uciekają i skarżą się Niemcom — potwierdzał Moskwin. - Bardzo często rabujemy ich jak bandyci”⁸⁰.

Znowu jedynie niemieckie okrucieństwa trzymały Sowietów na miejscu. „Obecnie — stwierdził dowódca partyzantów — sytuacja jest taka: my w lasach wierzymy, że komunizm (którego 70 czy 80 procent z nas nienawidzi) wreszcie da nam żyć, ale Niemcy, ze swym narodowym socjalizmem, albo nas zastrzelą, albo zagłodzą na śmierć”⁸¹. „Czy żyjecie? Nie wiem” - napisał żołnierz Wasilij Slesariow do swej żony, trzech synów i córki w grudniu 1941 roku. Minęło siedem miesięcy, zanim otrzymał od nich wiadomość. Oni również utknęli za niemieckimi liniami. List od jego dwunastoletniej córki Marii przynieśli mu partyzanci. „Już zaczęliśmy myśleć, że nikt nie przeżył, ale wygląda na to, że Ty żyjesz i Szura, chociaż nie mamy wiadomości od Siergieja” - napisało dziecko. Koło Smoleńska, w jej wiosce, były ofiary. „Tatusiu — ciągnęła Maria — nasz Walik zmarł i jest pochowany w Sumarokowie. Tatusiu, niemieckie potwory podpaliły nas”. Rodzinny dom został zrównany z ziemią 30 stycznia 1942 roku. Ocalonych i ich inwentarz wygnano. Walerij zmarł na zapalenie płuc w wilgotnym szałasie, w którym skryła się rodzina. „Wielu ludzi zginęło w okolicznych wsiach — opowiadała Maria ojcu. - A wszyscy myślą tylko o tych spragnionych krwi potworach. Nawet nie można ich nazwać ludźmi, to tylko rabusie i krwiopijcy. Tatusiu, zabijaj wrogów!”⁸²

Wśród wielu tajemnic tej wojny pozostają jej prawdziwe koszty. 23 lutego 1942 roku, w Dzień Armii Czerwonej, Stalin ogłosił, że Niemcy stracili przewagę. Armia Czerwona spycha ich na zachód, powiedział, i zostali już całkowicie usunięci z obwodu Moskwy i Tuły⁸³. Tego rodzaju wojna na słowa należała do nielicznych środków, jakimi wciąż rozporządzał przywódca⁸⁴. W rzeczywistości luty był najczarniejszym okresem tej wojny. Moskwa nie padła, ale w oblężonym Leningradzie ludzie stanęli w obliczu „białej śmierci” z głodu. Na południu Krym, położony strategicznie nad Morzem Czarnym i stanowiący wrota Kaukazu, niemal cały znajdował się w niemieckich rękach. Tylko Sewastopol, oblężony i pod ciągłym ostrzałem, utrzymał się przez zimę. Tuła, jak powiedział Stalin, była wolna, ale prawie wszystkie inne miasta i miasteczka na zachodzie zostały zniszczone. Niemcy na pewno stracili dużo ludzi i Stalin miał rację, mówiąc, że ich rezerwy są na wyczerpaniu. Jednak straty radzieckie były o wiele większe. Poza trzema milionami ludzi wziętych do niewoli Armia Czerwona straciła do lutego 1942 roku 2 663 000 żołnierzy. Na każdego zabitego Niemca przypadało dwudziestu żołnierzy radzieckich⁸⁵.

Liczby te z całą pewnością mogły doprowadzić do upadku morale, jeśli nie do rewolucji. Ale nie podawano ich do wiadomości publicznej. Nikt nie potrafił określić całkowitych strat w ludziach. Cywile, świadkowie walk, podobnie jak walczący żołnierze, wiedzieli wszystko na temat konkretnych bitew, ale ich wiedza nie była potwierdzona i mogli się jedynie domyślać prawdziwej skali rzezi. Trudno sobie wyobrazić ogrom radzieckich strat w ludziach. Żadne liczby nie zobrazują bolesnej prawdy, ani nawet stopy ciała; gnijącego, na wpół zamarznętego mięsa. Zwłoki nie zamieniły się jeszcze w szkielety, ich groby nie były wielkimi pomnikami z czarnego granitu. Na twarzach poległych wciąż widniały przerażenie i agonía, palce zaciskały się na błocie i śniegu. Gdziekolwiek ciała leżały jedno na drugim, stopy zwłok piętrzące się, jakby chciały zatamować krwawą falę. Jeśli nie liczyć obozów na linii frontu, jedynie szpitale widziały podobne obrazki. Nie na darmo wysyłano radosnych kom-somolców, by siedzieli przy

wracających do zdrowia żołnierzach, czytali im listy, wiersze i wybrane artykuły z prasy. Tylko nocą na oddziałach opowiadano szeptem prawdziwe historie.

Tej wiosny najbardziej rozpaczliwe wieści napływały z południa. Ludzie uczestniczący w kampaniach nauczyli się spodziewać śmierci, czy nawet witać ją z zadowoleniem. „Mawialiśmy, że tego, kto przetrwa tę zimę, czeka długie życie” — napisał w dzienniku żołnierz biorący udział w walkach koło Teodozji na Krymie. Droga wzdłuż wybrzeża usiana była ciałami, ale żołnierze nie grzebali swych towarzyszy z powodu niemieckiego ognia. „Teraz - dodał - jestem gotowy na śmierć, każdego rodzaju”⁸⁶. Ponieważ Sewastopol wciąż był w rękach radzieckich, w grudniu 1941 roku zorganizowano wielką kampanię w celu oswobodzenia wschodniego Krymu. Zakładano zdobycie Półwyspu Kerczeńskiego i wykorzystanie go jako przyczółka, żeby zmniejszyć nacisk na Sewastopol i odbić cały region. Plan skazany był na porażkę. Pewien młody poborowy napisał w lutym: „Nasze wojsko porzuciło Teodozję. Jaki był cel utrzymywania miasta, skoro nie poczyniono żadnych przygotowań do jego obrony? Jeśli każde miasto będziemy zdobywać dwa razy, jak to, to może w 1945 roku skończymy tę wojnę”⁸⁷. Wojsko radzieckie pozostało na nizinach wokół Kerczu, najdalej wysuniętego na wschód punktu Krymu, ale nie miało najlepszych perspektyw. Na początku marca Niemcy zaatakowali po raz kolejny i zepchnęli Sowieców do wąskiej cieśniny oddzielającej Kercz i jego starożytny port od głównego rosyjskiego lądu.

Tej wiosny Kercz przeżył kilka tragedii. Najpierw nastąpiły same walki. Dowodził faworyt Stalina, Lew Mechlis. Dla niego walka była kwestią morale. W praktyce oznaczało to, że prawie nie czyniono przygotowań do ostatecznej obrony. „Wszyscy muszą iść naprzód, naprzód!” - wspominał Simonow, świadek tych wydarzeń. Dziesięć kilometrów za liniami, zauważył, nie było nic; żadnego wsparcia, żadnych rezerw i żadnego transportu. Mechlis uważał, że okopy nadwątlają ducha bojowego. Nigdy więc ich nie kopano. Okazało się, że była to niefortunna decyzja, gdyż za samym portem na Półwyspie Kerczeńskim ciągnął się falujący step, pozbawiony drzew, miejscami bagnisty, nie zapewniający żadnego schronienia ludziom walczącym o życie. Żołnierze piechoty 51. Armii, w większości Gruzini niedawno przybyli z kraju o całkiem innym krajobrazie i klimacie, nie mieli żadnej osłony przed ogniem. Simonow był przerażony, kiedy pierwsze salwy niemieckiej artylerii zasłały ziemię liczbą ciał,

jakiej nie widział od początku wojny. „Nigdzie nie było oficerów — dodał. - Wszystko rozgrywało się na otwartym, błotnistym, zupełnie jałowym polu”⁸⁸. Następnego dnia w tym samym miejscu pojawili się kolejni piechurzy. Przechodzili we mgle obok ciał swoich towarzyszy, idąc na śmierć. W ciągu zaledwie dwunastu dni w Ker-czu zginęło 176 tysięcy ludzi⁸⁹.

Wynik był taki, jak przepowiedział Simonow. W połowie maja niedobitki armii Mechlisa wsiadły do małych łodzi i przepłynęły ośmiokilometrową cieśninę oddzielającą Półwysep Kerczeński od stałego lądu. Ale Niemcy parli naprzód tak szybko, że wielu — kilka tysięcy — zostało uwięzionych wśród wapiennych wzgórz za miastem. Ci mężczyźni i kobiety patrzyli w dół, na cieśninę — musieli marzyć, że zdołają przejść ją pieszo - i wiedzieli, że nie ma ucieczki. Później nastąpiły sceny cierpienia, jakie nawet ta wojna widziała tylko raz czy dwa. Były typowe, gdyż stanowiły świadectwo indywidualnej odwagi, wiary, która legła w gruzach, a potem okrutnego marnotrawstwa życia. Ich niezwykłość polegała na tym, że dramat rozegrał się pod ziemią. Bohaterowie tej historii zostali pogrzebani w labiryncie tuneli głęboko pod krymskimi skałami.

Oficerowie OMSBON-u, ludzie pokroju Michaiła Iwanowicza, od razu przejęli komendę. Rzucali rozkazy i wymachiwali bronią, zbierając maruderów i musztrując żołnierzy. Następnie stworzyli grupę miejscowych przewodników, którzy znali okolicę i ukryte grotty. Ludzie ci poprowadzili cały oddział do kamieniołomów i splątanego labiryntu dziur oraz tuneli, skąd osiemdziesiąt lat wcześniej wydobyto kamienie na budowę twierdzy broniącej portu. To podziemne miasto stało się teraz domem dla żołnierzy. Trzy tysiące osób, w tym pielęgniarce i uchodźcy z Kerczu (ludzie ci przeżyli już epizod niemieckiego panowania i wiedzieli, że należy się go bać), tłoczyło się w ciemnościach. Prowadzili konie i nieśli karabiny, dźwigali węzłki z zapasami. Gdy się obejrzel, schodząc pod ziemię, zobaczyli trawiasty step, błękitne wiosenne światło, żółte wrotczyce i szkarłatne plamy pierwszych kwitnących maków. Były to ostatnie kolory, jakie widzieli w życiu. Ledwie kilka spośród tych osób zamrugało jeszcze kiedyś, oślepionych światłem dziennym, lub poczuło chłodny powiew wiatru na skórze.

Podziemne miasto zostało zorganizowane; w końcu dowodzili zawodowcy, którzy znali się na swojej robocie. Podzielili ludzi na oddziały i każdemu dali jakieś zadanie. Jedni na zmiany pełnili straż, inni chodzili ciemnymi, wilgotnymi tunelami, szukając tajnych przejść, wody lub resztek jedzenia i paliwa. Dowódcy umieścili swoją kwaterę w największej, niebezpieczniejszej grocie. W najgłębiej położonej utworzono szpital. Wkrótce okazał się potrzebny. Pozbawieni regularnych dostaw jedzenia uchodźcy zaczęli w końcu jeść mięso koni, które padły podczas ucieczki. Trzy miesiące później mięso to nadal było ich jedynym pożywieniem. Na początku zwiadowcy wychodzili na powierzchnię, zagarniali wszystko, co udało im się ukraść, i nekali niemieckich wartowników, ale po kilku tygodniach zaprzestali tych wypadów. Ludzie z kamieniołomu znaleźli się w pułapce. I tak czekali na śmierć, rozjaśniając ciemności chudymi, śmierzdzącymi pochodniami z pasków opon.

Przy wyjściach Niemcy umieścili materiały wybuchowe. Skały i kamienie leciały na głowy uchodźców. Później do tuneli wpuścili trujący gaz*, który zabił niemal wszystkich obrońców. Nieliczni, którzy przeżyli, umarli z głodu i z rozpaczony w ciągu następnych kilku tygodni, ale się nie poddali. Według radzieckiej legendy kamieniołom w Adżimuszkaj był drugim Leningradem, twierdzą brzeską, miejscem, którego bohaterowie bronili do końca. Tak naprawdę jednak ci dzielni mężczyźni i kobiety nie mieli wyboru. Chociaż część oficerów, po szkole przetrwania, uciekła, by opowiedzieć tę historię, inni musieli zostać. Trzymano ich w jaskiniach pod lufami, a śmiercią grozili im ich towarzysze. Gdyby nie zachowali się jak bohaterowie, wybierając szlachetny koniec, zginęliby od radzieckiej kuli w tył głowy⁹⁰.

Upadek Kerczu przypieczętował los Sewastopola. Od poprzedniej jesieni miasto opierało się, chociaż było jedynie nikłym cieniem czarnomorskiego kurortu, odkąd niemieckie samoloty zbombardowały je rok wcześniej. Pod koniec maja 1942 roku obrońcy usłyszeli, że wojska niemieckie zbliżają się do miasta. Część mieszkańców -

kobiety, starców i dzieci - ewakuowano morzem w ciągu tygodnia. Wśród tych, którzy pozostali, znalazł się pisarz i satyryk Jewgienij Pietrow, zmarły w ostatnich dniach oblężenia. Tymczasem NKWD, pozbywszy się więźniów - zapewne w jaskiniach koło Inkermanu - uciekło nocą. Zaczęło się bombardowanie. Samolotów było tyle, napisał oficer marynarki Jewsiejew, że nad miastem zabrakło dla nich miejsca. Ryk ich silników, „piekielna kakofonia”, brzmiał nieustannie i tak ogłuszająco, że mieszkańców niepokoiła cisza. „Im cięższe jednak było bombardowanie - zauważył Jewsiejew - tym większa i silniejsza stawała się nasza wściekłość i nienawiść do

wroga".

Był to żarliwy, ale daremny gniew. Na początku lipca bombowce latały już ledwie 100 metrów nad północnymi przedmieściami miasta. Chodniki i bulwary, którymi niegdyś przechadzali się marynarze, zaścieniały trupy, urocze gmachy legły w gruzach i dymiły. „Upał — napisał Jewsiejew. — Rozpaczliwie chce nam się pić. Nikt już nie ma wody w manierce”. Wraz z grupą mężczyzn schronił się w jaskiniach i tunelach pod portem. Kogoś wysłano na poszukiwanie wody, a reszta oddała się marzeniom o ulubionych napojach: „lemoniada, kwas chlebowy, woda sodowa, piwo, a nawet lody. Ale zgadzamy się co do jednego. Wypijemy wszystko, nawet jeśli nie będzie to świeża, zimna woda, nawet jeśli będzie zanieczyszczona, nawet jeśli przepływać będzie przez zwłoki”. Dodał, że „kilka dni piliśmy wodę spod trupów”. Ciała wrzucano do betonowych zbiorników i rezerwuarów wokół miasta. Jak skomentował Jewsiejew, „nigdy nie zdołamy ich oczyścić”.

Jewsiejew znalazł się wśród wielu, którzy uciekli, odpływając w ciągu kilku dni poprzedzających upadek miasta. Tysiące innych, w tym mnóstwo wojskowych, pozostało, by stawić czoło bezlitosnemu wrogowi. „Miasto było nie do poznania - lamentował Jewsiejew, oglądając się z wojskowej ciężarówki. - Było martwe. Niedawno jeszcze śnieżnobiały i piękny Sewastopol zmienił się w ruinę”. Gdy ludzie wchodzili do łodzi, by przebyć niebezpieczne Morze Czarne, przysięgali, że wrócą i wezmą odwet⁹¹. Była to odważna zapowiedź, a część z nich ją zrealizowała, jednak 90 tysiącom kobiet i mężczyzn z Armii Czerwonej i Floty Czarnomorskiej wziętym do niewoli w mieście dawało to niewiele nadziei⁹².

Radziecki odwrót trwał. Charków padł w maju. Mając Krym pod kontrolą, Niemcy przypuścili atak na Rostów, kluczową bramę do Kaukazu i nadwołżańskiej twierdzy — Stalingradu. Do połowy lipca większość dorzecza Donu została zajęta. Trzymał się tylko Woroneż, na północy. Wzięto Stary Oskół i przekroczone Don. „Większość naszych oficerów to tchórze — napisał młody chłopak Gu-dzowski. - Na pewno nie musimy uciekać. Możemy zająć pozycję i stawić im czoło. Dajcie nam rozkaz, by ruszyć na zachód! Do diabła z odwrotem! Dość mam opuszczania miejsc, w których wyrosłem”⁹³. To ostatnia rzecz, jaką zapisał przed śmiercią. Armia nie mogła nawet uratować miejscowych, których zostawiała. „Dzielili się z nami ostatnimi okruciami - zapamiętał oficer frontowy. - Jadłem ten chleb i wiedziałem, że za godzinę odejdę, wycofam się. Jednak nic nie powiedziałem! Nie miałem prawa! (...) Gdybyśmy im powiedzieli, też by uciekli, a potem napotkalibyśmy zatory”⁹⁴.

Stary człowiek dodał, że było mu wstyd. Armia zawodziła. Wielu cywilów w zagrożonych obwodach straciło tego lata wiarę w radzieckie wojsko. „Bóg wie, co się stanie — wyszeptła pewnego wieczoru do dwóch żołnierzy kobieta z wiejskiej pralni. - Pracujemy i pracujemy, a oni po prostu opuszczają nasze miasta!” Jeden z mężczyzn rzucił jej urażone spojrzenie i odszedł. Drugi myślał rozpaczliwie o własnym domu, w Woroneżu, który znajdował się pod ostrzałem i którego, ponieważ droga na północ była wciąż zablokowana, nie mógł bronić⁹⁵. Gorsze wieści miały dopiero nadejść. 28 lipca naród radziecki dowiedział się o upadku Rostowa i Nowoczerkaska. Teraz między Niemcami a Kaukazem nie było już żadnej twierdzy, a niewiele mogło powstrzymać ich w drodze do Stalingradu.

Zmierzcie wy się z nami

rugie lato tej wojny przyszło z suchym wiatrem, który nie niósł ani zwycięstwa, ani nadziei. Kampania, która miała się zakończyć triumfem w Berlinie, miała lada moment utknąć w martwym punkcie czy nawet, co nie do pomyślenia, skończyć się klęską. „Nigdy nie wątpiliśmy, że wygramy” — twierdzili weterani. Jednak złudzenie niezwyciężoności, utrzymujące się w pierwszych miesiącach szoku, nie mogło ukryć prawdy o nieustannych niepowodzeniach. Milicja wykonywała swoje obowiązki i żądała od każdego wymuszonej pogody ducha. Pewien żołnierz trafił do aresztu tylko za to, że stwierdził: „wycofujemy się i nigdy nie wrócimy”¹. Jednak w sierpniu 1942 roku sami żołnierze zaczęli mieć już dość rozpacz, wstydu i pełnych wyrzutu spojrzeń, jakie goniły ich, gdy porzucali kolejno wyniszczone, na wpół opustoszałe osady na stepie. Miesiącami wycofywali się mozolnie przez ukraińskie pola pszenicy, za Don i Kubań. Za nimi, gdzieś za wschodnim horyzontem, płynęła Wołga, rzeka dzieląca europejską część Rosji od wrót Azji. Na wschodzie znowu tysiącami kilometrów ciągnął się zakurzony krajobraz, który niewiele się zmienił od czasów Tamerlana, uznawany przez synów łagodniejszego, zasiedlonego serca Rosji za obcy. Wreszcie, przynajmniej symbolicznie, zbliżał się czas, gdy armia nie miała już dokąd się cofać.

Sposób myślenia, który system stalinowski zaszczepił narodowi — publicznie optymistyczny i pełen naiwności, prywatnie cierpki i cyniczny — zawiódł żołnierzy w tych ponurych miesiącach. Przez lata

zachęcano ich, żeby obwiniali o swoje niepowodzenia innych, kozłów ofiarnych, których państwo nazywało wrogami i szpiegami. Stalinizm ukształtował kulturę zniechęcającą do wychylania się z szeregu. Spychanie odpowiedzialności na innych, na co partyjni bonzowie ukuli specjalne słowo — *obiezliczka* — stało się podczas czystek po 1937 roku dosłownie sprawą życia lub śmierci. Ponad rok od wybuchu wojny te wzory zachowania sprawiły, że Armia Czerwona znalazła się na skraju klęski. Okazało się, że potrzebny będzie wysiłek, a może i życie, każdego żołnierza. Tymczasem miesiące upokorzeń rozdrażniły ludzi, sprawiły, że stali się skłonni do paniki na pierwsze pogłoski o niemieckich czołgach². Morale spadło do najniższego możliwego poziomu. „Płakalis'my podczas odwrotu” - wspominał pewien weteran. Łzy same płynęły z wyczerpania, ale też z wstydu. „Szliśmy dokądkolwiek, byle dalej od Charkowa. Niektórzy pod Stalingrad, inni do Władykaukazu. Gdzie jeszcze mogliśmy się zatrzymać... w Turcji?”³

Lata przyzwyczajenia kazały ludziom zrzucić winę na innych. Żołnierze z serca Rosji wskazywali palcem Ukraińców, szczególnie tych „zachodnich”, z byłych ziem polskich. „Całe kompanie opuszczały linię frontu, Ukraińcy po prostu się rozchodzili - wspominał Lew Lwowicz, wtedy już oficer. — Nie przechodzili na stronę niemiecką, po prostu wracali do domów”. „Tylko Rosjanie walczą z Niemcami — narzekał w tym czasie młody żołnierz piechoty. — Większość Ukraińców została w domu”. Patrząc na kałmucki step, dodał: „Mój dom też jest daleko stąd. Dlaczego moje kości mają spocząć w obcej ziemi?”⁴ Dziesiątki tysięcy Ukraińców na froncie znalazły sobie, naturalnie, innych kozłów ofiarnych. „Było wiele, wiele przypadków (...), kiedy ludzie specjalnie przestrzelali sobie dłoń albo ramię, nie naruszając kości — wspominał piechur stacjonujący w Kijowie. — Trafiali do szpitala i nie musieli iść na front”. Zawsze znalazła się jakaś nowa mniejszość etniczna, którą można było obwiniać. „To wszystko przez tych ludzi z centralnej Azji - ciągnął. - Kiedy przychodził ich czas posiłku lub właśnie mijał, padali na ziemię i zaczęli to swoje »O Allachu!« Modlili się, zamiast ruszyć na wroga czy w ogóle wziąć udział w walce”⁵. Rasizm osiągnął takie rozmiary, że zaniepokoiło to nawet Moskwę⁶. Siły zbrojne, jak i społeczeństwo,

z którego się wywodziły, rozprysły się niczym szyba pod wpływem wybuchu.

Niemal codziennie do stolicy docierały opowieści o zniszczonych miastach i spalonych lub gnijących plonach. Na północy wciąż bronił się oblężony Leningrad, chociaż przywódcy państwa wiedzieli, że los miasta wisi na włosku. Ale wieści z południa były ponure. Pod koniec lipca sam Stalin nie wytrzymał. Przerwał szefowi sztabu Aleksandrowi Wasilewskiemu składanie raportu i polecił, by generał napisał nowy rozkaz. Ta kartka papieru symbolizuje punkt zwrotny, jaki nastąpił tego lata⁷. Celem była zmiana mentalnych przyzwyczajęń całego pokolenia. Tak naprawdę również klęska wpłynęła na porzucenie dawnych wzorców, a w nadchodzących miesiącach miało nastąpić jeszcze wiele zmian. Rozkaz numer 227 dotarł do armii w najgorszym dla niej momencie, ale sama wojna okazała się decydującym czynnikiem dla wykształcenia nowej mentalności.

Rozkaz numer 227 został wydany 28 lipca. Pod naciskiem Stalina nigdy go nie wydrukowano i nie rozpowszechniono. Mimo to jego treść, przekazywana z ust do ust, dotarła do każdego mężczyzny i każdej kobiety w armii. „Wasze raporty mają być zwięzłe, krótkie, jasne i konkretne - powiedziano politrukowi. - Każda osoba w siłach zbrojnych ma zostać zaznajomiona z treścią rozkazu towarzysza Stalina”⁸. Stojąc w nierównych szeregach, w słońcu i na wietrze, żołnierze słuchali odczytu o hańbie. „Wróg - usłyszeli - zajął już Woroszyłowgrad, Starobielsk, Rossosz, Kupiańsk, Wałujki, Nowo-czerkask, Rostów nad Donem i część Woroneża. Spanikowane oddziały na Froncie Południowym porzuciły Rostów i Nowoczerkask, nie zapewniając miastom należytej obrony i nie czekając na rozkazy z Moskwy. Okryły tym samym hańbą swoje sztandary”. Następnie żołnierze wysłuchali swoich dowódców mówiących o tym, o czym wiedzieli wszyscy w armii — że cywile, ich własny naród, niemal stracili w nich wiarę. Nadszedł czas, by zdobyć przewagę, bez względu na koszty. Jak to ujął Stalin w swoim rozkazie: „Każdy oficer, każdy żołnierz i każdy pracownik polityczny musi zrozumieć, że nasze zasoby nie są nieograniczone. Państwo radzieckie to nie pustynia, to naród: robotnicy, chłopci, inteligenci, nasi ojcowie, matki, żony,

bracia i dzieci”. Nawet Stalin przyznał, że co najmniej 70 milionów z nich znajduje się teraz za liniami niemieckimi⁹.

Remedium Stalina ujęto w nowym haśle. „Ani kroku w tył!” stało się mottem armii. Każdy miał walczyć do ostatniej kropli krwi. „Czy istnieją okoliczności łagodzące dla kogoś, kto porzucił posterunek?” — pytali żołnierze swoich politruków. W przyszłości odpowiedź podawana w podręcznikach będzie brzmiała: „Jedynym usprawiedliwieniem jest śmierć”¹⁰. „Należy natychmiast likwidować siejących panikę i tchórzy” — ogłosił Stalin. Oficer, który dopuścił do odwrotu swoich ludzi bez wyraźnych rozkazów, miał od teraz zostać aresztowany i groziła mu kara śmierci. Wszystkich wojskowych czekały nowe sankcje. Areszt był zbyt wygodnym miejscem dla przestępców. Maruderzy, tchórze, defetyści i inni łotrzy mieli być kierowani do batalionów karnych. Tam mogli „odkupić krwią swoje przestępstwa przeciwko ojczyźnie”. Innymi słowy, otrzymywali najbardziej ryzykowne zadania, w tym ataki samobójcze i misje głęboko za liniami wroga. W tym ostatnim wypadku oczekiwano po nich wdzięczności. Śmierć (lub, jak stanowił regulamin, niektóre rodzaje ran zagrażających życiu) pozwalała wyrzutkom oczyścić nazwiska, ocalić rodziny i odzyskać honor w oczach narodu radzieckiego. Tymczasem, aby pomóc pozostałym się skupić, ustalono nowe zasady dla jednostek regularnego wojska stacjonujących za frontem. Te „jednostki blokujące” stanowiły uzupełnienie *zagra-dotriadów*, oddziałów NKWD, których zadaniem było od zawsze strzeżenie zaplecza. Miały rozkaz zabijać każdego, kto został w tyle lub próbował uciekać¹¹.

Rozkaz numer 227 upubliczniono dopiero w 1988 roku, kiedy został wydrukowany w ramach

głośności, czyli polityki jawności. Ponad czterdzieści lat po zakończeniu wojny środki te wydawały się okrutne ludziom hołubiącym romantyczny obraz radzieckiego zwycięstwa. Pokolenie, które dorastało w dziesięcioleciach pokoju, odrzucało bezlitosność starego państwa. Jednak w 1942 roku większość żołnierzy honorowała wprowadzone zasady. Dezerterów i tchórzy zawsze czekała śmierć, czy to z wyrokiem sądu, czy bez. Od 1941 roku hańba spadała również na ich rodziny. Nowy rozkaz miał, jak policzek, przypominać, przywoływać ludzi do porządku.

A w odpowiedzi ci często reagowali ulgą. „To był konieczny i ważny krok — powiedział mi Lew Lwowicz. — Wszyscy wiedzieliśmy, na czym stoimy, odkąd to usłyszeliśmy. I wszyscy, to prawda, poczuliśmy się lepiej. Tak, poczuliśmy się lepiej”. „Czytaliśmy rozkaz Stalina numer 227 — napisał Moskwin w swoim dzienniku 22 sierpnia. - Otwarcie przedstawił katastrofalną sytuację na południu. W głowie mam tylko jedną myśl: Kto zawinił? Wczoraj powiedzieli nam o upadku Majkopu, dziś o Krasnodarze. Chłopaki z informacji politycznej pytają nieustannie, czy w tym wszystkim nie ma aby jakiejś zdrady. Ja też tak myślę. Ale przynajmniej Stalin jest po naszej stronie! (...) Zatem, ani kroku w tył! W samą porę, to sprawiedliwe!”¹²

Na południu, gdzie doszło do odwrotu z taką pogardą traktowanego przez Moskwiną, wiadomości o rozkazie zmroziły krew w żyłach zrozpaczonych, umęczonych żołnierzy. „Kiedy dowódca jednostki go odczytał — napisał korespondent wojenny — ludzie zamarli. Wiadomość przyprawiła nas o dreszcze”¹³. Nalegać na poświęcenie to jedno, ale poświęcać się w rzeczywistości to coś zupełnie innego. Jednak nawet wtedy ludzie usłyszeli tylko ponownie znajome zasady. Na tym etapie wojny niewielu żołnierzy nie widziało lub nie słyszało o przynajmniej jednej doraźnej egzekucji, podczas której maruder lub dezerter został zaciągnięty na bok i zastrzelony bez namysłu oraz wyrzutów sumienia. Trudno ustalić ich liczbę, gdyż rzadko zwoływano trybunały, ale szacuje się, że podczas wojny zostało straconych 158 tysięcy oficjalnie skazanych osób¹⁴. Liczba ta nie obejmuje wszakże tysięcy ludzi, którzy zakończyli żywot na zakurzonych poboczach dróg, zestresowanych i rozbitych poborowych rozstrzelanych jako „zdraycy ojczyzny” ani tysięcy zastrzelonych za ucieczkę - czy za coś, co na ucieczkę wyglądało - gdy wrzała bitwa. Pod Stalingradem w ciągu kilku tygodni zastrzelono prawdopodobnie trzysta i pół tysiąca osób¹⁵.

„Strzelaliśmy do ludzi, którzy próbowali się okaleczyć - powiedział prawnik wojskowy. - Nie byli nic warci, a gdybyśmy wysłali ich do więzienia, po prostu dalibyśmy im to, czego chcieli”¹⁶. Pomocna okazała się możliwość wykorzystania sprawnych ludzi; taki był prawdziwy skutek rozkazu Stalina. Podejrzone przez radzieckich

obserwatorów u Niemców w 1941 roku, pierwsze karne bataliony zostały przygotowane w samą porę na Stalingrad. Chociaż większość zadań podczas tej wojny wiązała się z wielkim niebezpieczeństwem, żołnierze jednostek karnych byli naprawdę w trudnym położeniu, o włos bowiem uniknęli hańbiącej śmierci, jaka czekała dezerterów i pospolitych łotrzyków. „Uważaliśmy, że to lepsze niż obóz karny - tłumaczył Iwan Gorin, żołnierz karnego batalionu, który przeżył. - Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, że to w zasadzie wyrok śmierci”¹⁷. Bataliony karne, w których służyło co najmniej 422 700 osób, przynosiły śmierć i niszczyły psychikę¹⁸. Ale właściwie nie sposób byłoby znaleźć żołnierza, który by nie wątpił, że w tej armii, w ja

kiejkolwiek funkcji, życie jest tanie.

Chociaż rozkaz Stalina usankcjonował tylko istniejące regulacje, proces jego wprowadzania zdemaskował prawdziwy problem z ludzką mentalnością. Rzeczywiście, jego odbiór w niektórych rejonach był symptomatyczny dla problemu, który rozkaz ten miał rozwiązać. Ludzie wychowani w kulturze denuncjacji i procesów pokazowych przywykli do zrzucania na innych winy za każdą katastrofę. Żołnierze odruchowo uznali słowa Stalina za kolejny cios wymierzony w określone - i nie tylko - antyradzieckie bądź tchórzliwe mniejszości. Nowe hasło traktowano, przynajmniej początkowo, tak jak inne ataki na wewnętrznych wrogów. Oficerowie polityczni odczytali rozkaz swoim ludziom, ale postępowali, jak zauważyli niektórzy inspektorzy, jak gdyby „odnosił się wyłącznie do żołnierzy na froncie. (...) Bez troska i zadowolenie z siebie są regułą (...), a oficerowie i pracownicy polityczni (...) mają liberalne podejście do takich przejawów łamania dyscypliny, jak pijaństwo, dezercje i samookaleczenia". Ciepłe letnie noce jeszcze zachęcały do rozprężenia. W sierpniu, miesiąc po wydaniu rozkazu Stalina, liczba naruszeń dyscypliny ciągle rosła¹⁹.

Obowiązkowe powtórki sprawiły, że słowa przywódcy stały się frazesem. Nowe instrukcje, niegdyś zignorowane, spowszedniały, podobnie jak rozkazy, żeby jeść więcej marchewki i uważać na wszy. Informacje wbijano żołnierzom do głowy przez wiele tygodni. Funkcjonariusze partyjni z Moskwy stworzyli z niej rymowanki mające utrwalać treść haseł. Mało subtelne już na pierwszy rzut oka, nie

tracą nic w tłumaczeniu. „Ani kroku w tył! - trąbiły. - To honor wypełniać rozkazy. Dla każdego, kto zadrży - śmierć od ręki. Nie ma wśród nas miejsca dla tchórzy”²⁰. Grupy żołnierzy, zmęczone kłamstwami rządu, błyskawicznie rozpoznawały hipokryzję i tej jesieni obserwowały swoich dowódców, którzy uchylali się od przestrzegania nowych zasad. Nieliczni oficerowie skłonni byli wysłać swoich najlepszych ludzi do jednostek blokujących. Wystarczająco długo przebywali w polu, by znać wartość żołnierzy potrafiących obchodzić się z bronią. Nowe formacje składały się więc z osób, które nie mogły walczyć, w tym inwalidów, ograniczonych umysłowo i - oczywiście - specjalnych przyjaciół oficerów. Zamiast celować ludziom w plecy, żołnierze ci czyścili mundury i sprząkali latryny²¹. W październiku 1942 roku pomysł regularnych jednostek blokujących (w przeciwieństwie do autonomicznych sił NKWD) po cichu zarzucono²².

Tymczasem na południu nadal trwał odwrót, który sprowokował wydanie lipcowego rozkazu. Niemieckie wojsko przebyło kolejne 800 kilometrów radzieckiego terytorium w drodze na Kaukaz. Tej jesieni obrona kaspijskiej ropy kosztowała Armię Czerwoną następne 200 tysięcy istnień²³. Nawet pod Stalingradem, i nawet w fatalnym wrześniu, inspektorzy wojskowi obserwowali, że „dyscyplina jest słaba, a rozkazu numer 227 nie przestrzegają ani żołnierze, ani oficerowie”²⁴. To nie przymus zmienił tej jesieni losy Armii Czerwonej. Żołnierze, mimo głębi kryzysu, znaleźli własne rozwiązanie. To desperacja — czy też raczej ostateczny wysiłek — zdołała wytrącić ludzi z odrętwienia klęski. Ich nowy nastrój wiązał się z rodzącym się poczuciem profesjonalizmu, świadomością umiejętności i kompetencji, które zaczęli podsycać przywódcy. Przez lata reżim Stalina traktował ludzi jak bydło, pogardzał indywidualizmem i karał przejawy inicjatywy. Teraz - powoli, choć niechętnie - zaczął kierować powstawaniem korpusów dobrze przygotowanych, samodzielnych bojowników. Proces ciągnął się wiele miesięcy i dopiero w 1943 roku nabrał tempa. Jednak wściekłość i nienawiść przełożyły się wreszcie na jasne, sprecyzowane plany.

Pierwszym krokiem było oczyszczenie korpusów oficerskich z brzemienia niekompetentnych ludzi. Woroszyłow, orędownik przed-

wojennego marzenia o łatwym zwycięstwie, został zdegradowany do pracy za biurkiem za niepowodzenia na Froncie Wołchowskim pod Leningradem w kwietniu 1942 roku²⁵. W maju Mechlisa pozbawiono dowództwa na Krymie i wreszcie odwołano z funkcji zastępcy ludowego komisarza obrony oraz szefa Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej²⁶. Budionny, wiekowy bohater wojny domowej, stanął na czele czerwonej kawalerii. „Był człowiekiem z przeszłością - wspominał marszałek Iwan Koniew - ale bez przyszłości”²⁷. Ich miejsca zajęli młodszy, lepiej wyszkoleni oficerowie ze świeżym doświadczeniem bojowym - dowódcy w rodzaju Żukowa i Koniewa oraz generałowie tacy jak Wasilij Czujkow, ambitny czterdziestodwulatek, który pod Stalingradem kierował 62. Armią.

Upadek Mechlisa zasygnalizował zmianę sytuacji całego mnóstwa oficerów politycznych armii. Pierwszą jaskółką reform była szeptana kampania. „Nie jest niczym niezwykłym — donosił raport — iż oficerowie polityczni w jednostkach nie zauważają, że przez trzy dni z rzędu ludzie mają nieosolone jedzenie, chociaż sól jest w składach, ani że muszą siedzieć w kantynie po 30-40 minut, nie otrzymując jedzenia tylko dlatego, że kwatermistrz nie dostarczył chochli. A po tym wszystkim twierdzą jeszcze, że angażują się w pracę polityczną”²⁸. Całkiem słusznie powiadano też, że politycy są „pełni samozadowolenia” z postawy żołnierzy wobec rozkazu numer 227²⁹. Po odejściu Mechlisa już nikt w Moskwie ich nie chronił. Pewna grupa rekrutów do pracy politycznej w armii, ludzie, którzy mieli nadzieję zostać arcykapłanami linii partyjnej, odkryła po przybyciu do obozu szkoleniowego, że teraz ich kolej jeść cienkie zupki, chodzić bez butów i trząść się z zimna w niewykończonych, przeludnionych barakach³⁰. Pieniądze topniały z dnia na dzień. 9 października 1942 roku skończyły się ich przywileje w strukturach dowódczych³¹. Politycy wciąż odgrywali pewną rolę. Wpływali na świadomość polityczną i morale, a także przekazywali wszystkim oficjalne wiadomości. Jednak w innych dziedzinach ich aprobata nie była już potrzebna. Odtąd decyzje wojskowe podejmowali sami generałowie.

Zawodowi dowódcy odkryli, że dysponują coraz większą autonomią. „Najważniejszą rzeczą, jakiej się nauczyłem nad brzegami

Wołgi — napisał później Czujkow — była niechęć do planów”³². On i jego koledzy cieszyli się z prawa do podejmowania decyzji, i to nie tylko tych na krótką metę, jakie każdy oficer podejmuje od ręki. Wszędzie widać było nowy sposób postępowania — dowódca odrywał się od swego zaplecza politycznego, przywiązuąc większą wagę do kompetencji i umiejętności. Raporty faworyzowanych doradców Stalina dotyczyły teraz wymogów współczesnej wojny. Wskazywały na słabą współpracę piechoty, artylerii i czołgów. Podkreślały fatalną kondycję wywiadu wojskowego. Przede wszystkim jednak wytykały brak dyscypliny, który prowadził do strzelania na chybił trafił, marnowania amunicji i paniki na polu bitwy³³. Płynął z nich wniosek, że większy nacisk należy położyć na ćwiczenia, a mniejszy na komiksowe bohaterstwo.

Zarzucono zwyczaje z czasów wojny domowej. Skończyły się samobójcze ataki na barykady, a także zawody mające pokazać, który oddział potrafi szybciej maszerować lub utworzyć prostszą linię³⁴. Powoli kształtowały się nowe zasady. Najważniejsze stały się profesjonalizm i indywidualne zalety. Podczas gdy wcześniej o wartości człowieka decydowała przynależność klasowa lub pochodzenie społeczne, teraz armia zaczęła stawiać na umiejętności. Ze Sztabu Generalnego popłynęły rozkazy podniesienia jakości szkolenia, a — przede wszystkim — taktycznego przygotowania piechoty³⁵. Tej jesieni żołnierze zgrupowani pod Stalingradem usłyszeli o nowej sztuce Aleksandra Korniej czuka, której tekst pod koniec sierpnia

publikowała w odcinkach „Prawda”. *Front!*, wystawiany w słynnym moskiewskim Mchacie, miał „odpowiedzieć na pytania każdego radzieckiego patrioty dotyczące sukcesów i klęsk Armii Czerwonej”. Fak ujął to w recenzji korespondent lokalnej gazety żołnierskiej „Krasnaja Armia”, sztuka ukazuje, że „na radzieckiej ziemi nic nie pomoże niedouczonemu lub pozbawionemu talentu dowódcy — ani Dsobista odwaga, ani sukcesy z przeszłości”. Czas „konserwatyizmu” »ię skończył. Wojna, dodawano, „sprawdzi ich wszystkich”³⁶.

Zmianę nastroju podkreślały wymierne fakty ekonomiczne. Te-50 lata radziecka produkcja broni ręcznej, pocisków i czołgów od•odziła się po miesiącach dyslokacji. Przebudzenie przemysłu wy-kwało się cudem. Czołgi i samoloty miały wkrótce symbolizować

radzieckie ożywienie, Czelabińsk zaś, nowe centrum przemysłowe na Uralu, zyskał miano Tankogradu. Masowa produkcja przyspieszyła wszystko. Produkcję czołgu średniego *T-34* uproszczono maksymalnie, podobnie jak wszystkich innych rodzajów uzbrojenia. Żołnierze nadal nazywali maszynę „zapalniczką”, po części dlatego, że spodziewali się, iż będzie stawać w płomieniach równie łatwo jak wcześniejsze typy czołgów zwane potocznie *zażygalkami*, ale również dlatego, że po 1942 roku *T-34* opuszczały linie produkcyjne w równie wielkiej liczbie³⁷. Tymczasem pomoc w ramach Lend-Lease Act, głównie ze Stanów Zjednoczonych, zaczęła znacząco wpływać na zaopatrzenie w broń, samoloty i żywność³⁸. Po obozach przy-

frontowych krążyły ciężarówki *studebaker*, których do 1945 roku Armia Czerwona otrzymała 200 tysięcy, a żołnierze poznali smak mielonki³⁹. Był to mały krok — a aliancka pomoc, choć istotna, nie obejmowała obietnicy utworzenia drugiego frontu — jednak dla ludzi, którzy widzieli rozpacz i śmierć, nawet najmniejsze udogodnienie było sygnałem zmiany losu.

Zmiana była subtelna, gdyż żołnierzom wciąż dokuczały podstawowe braki, ale tej jesieni kierownictwo zaczęło się także interesować hierarchią, a nawet szykiem. Sfatygowane mundury i przygnębiony krok zbyt wielu czerwonoarmistów świadczyły o klęsce. Należało skończyć z zaniedbaniem ludzi. 30 sierpnia zaczęła się kampania zmierzająca do naprawienia i wypolerowania żołnierskiego obuwia, sprawdzenia oficerskich mundurów, wyeliminowania brudu i wpojenia ludziom szacunku dla samych siebie⁴⁰. Żołnierze mieli naprawiać skórzane podeszwy i zszywać rozprute szwy. Niezliczone kobiety pracowały w naprędce skleconych pralniach za frontem. „Używałyśmy mydła »K«, by pozbyć się wszy” — wspominała praczka. Śmierdziało i „było czarne jak ziemia. Wiele dziewcząt cierpiało na przepuklinę od noszenia ciężarów albo dostawało na rę-

kach egzemy od mydła »K«. Pękały im paznokcie, a one myślały, że już nigdy im nie odrosną”⁴¹. Robotnice mogły cierpieć, lecz nagrodą był wzrost morale żołnierzy. „Nino, nie martw się o nasze mundury - napisał oficer do żony tuż przed Stalingradem. - Ubieramy się dziś lepiej niż jakikolwiek dowódca z kapitalistycznego kraju”⁴².

Wraz z nowym podejściem do wyglądu pojawiły się też nowe dystynkcje. 11 listopada ogłoszono rozkazy ustalające jasne, nowe zasady przyznawania odznaczeń. Odniosły one wkrótce ogromny sukces. W armii, w której nie było szans na przepustkę, medale, niekiedy o romantycznych nazwach przywołujących wojskową przeszłość Rosji, stały się zasadniczą nagrodą. Od 1941 do 1945 roku radzieckich wojskowych wyróżniono 11 milionami odznaczeń. Stany Zjednoczone natomiast przyznały ich zaledwie 1 400 409⁴³. Armia amerykańska często rozważała sprawę indywidualnej

nagrody nawet pół roku. W armii Stalina trwało to najczęściej trzy dni⁴⁴. Przekazywano w ten sposób, że żaden przejaw wojskowego profesjonalizmu nie pozostanie bez nagrody. Podczas gdy żołnierze otrzymywali odznaczenia, wiele jednostek, a nawet armii, począwszy od 1942 roku, nagradzano tytułem „gwardyjskich” i związanymi z tym przywilejami materialnymi. Indywidualnie czy w grupach, „gwardziści” lub odznaczeni, mogli liczyć na bardziej namacalne walory niż wdzięczność. Każde wyróżnienie pociągało za sobą określone prawa, łącznie z większymi zapomogami dla rodzin i korzyściami w rodzaju darmowych przejazdów lub dodatkowego mięsa. Oficerów wyróżniano jeszcze bardziej. W połowie listopada poinformowano ich, że przywrócone zostaną pagony^{45*}. Ranga i władza nie były podkreślane tak ostentacyjnie od upadku Romanowów.

„Niedługo przywróca cara” - utyskiwali starsi. Pagony od dawna bowiem symbolizowały arbitralne okrucieństwo carskiej armii. W niemal każdym filmie o leninowskiej rewolucji rozgniewani żołnierze tłoczyli się na ekranie, aby zerwać je jakiemś wojskowemu z wyższych sfer. Kilku sierżantów, pamiętających wciąż swą ówczesną wściekłość, odmówiło noszenia nowych pagonów, ryzykując sąd i oskarżenie o niesubordynację⁴⁶. Ale chociaż malkontenci podej-

rzewali, że ich rewolucja została właśnie zdradzona, część młodszych uznała, że jest to światełko nowej nadziei. Według oficera, którego później schwytali Niemcy, część żołnierzy wzięła ponowne wprowadzenie takich dystynkcji stopnia - wraz z otwarciem licznych świątyn — za pierwszą oznakę tego, iż rząd zamierza rozwiązać spółdzielnie produkcyjne⁴⁷. Nowe insygnia zaczęły się pojawiać na oficerskich mundurach w styczniu 1943 roku i stały się standardem w całej armii na wiosnę⁴⁸. Wtedy to niemieccy agresorzy zostali okrążeni i pokonani pod Stalingradem, a Armia Czerwona odkupiła swój długi rejestr hańb. Po raz pierwszy żołnierze mogli myśleć, że przedwojenny porządek — nakazy, obozy i cała reszta — zmierza ku końcowi. Mogli wierzyć, że walczą o obiecany, wytęskniony lepszy świat.

Innymi słowy, zmiana nastroju widoczna była już przed bojami o Stalingrad. Na tym etapie było to ledwie subtelne przesunięcie akcentów w listach i niektórych rozmowach. Nowej polityce miesiące, a nie dni, zajęło wpłynięcie na zwyczaje z czasów przedwojennych, podczas gdy czternaście miesięcy ciężkich doświadczeń zebrało pokaźne żniwo. Morale wciąż było niskie. Klęska pod Stalingradem niemal na pewno wyczerpałaby resztki nadziei, pogrążając wszystkich w rozpacz i grozie, ale nawet w sierpniu i wrześniu pojawiała się poczucie indywidualnej odpowiedzialności, ostatniej szansy. Wszędzie panował nastrój oczekiwania. Jak zapisał w swym dzienniku w połowie lipca Alexander Werth, „choć wszystko jest w czarnych barwach, jakoś czuję, że Stalingrad stanie się czymś bardzo wielkim”⁴⁹.

Gdy generałowie Stalina szykowali się do boju, który miał diametralnie zmienić morale, w armii zachodziła kolejna zmiana. Była to zmiana pokoleniowa. Sowietci rozpoczęli wojnę z blisko pięcioma milionami ludzi w czynnej służbie. Rezerwy i uzupełnienia napływały na zachód w ramach przygotowań do bitew pod Moskwą w październiku 1941 roku, ale masakrę pierwszych czternastu miesięcy wojny trudno opisać. Pod koniec lata 1942 roku żołnierz, który walczył od sześciu miesięcy, był prawdziwym weteranem. Wielu

wracało na front po wyzdrowieniu. Przeciętnie podczas wojny niemal trzy czwarte rannych wyleczono i odesłano do walki⁵⁰. Była to jednak wciąż epoka obrony do ostatniej kropli krwi. Stara armia, armia, która widziała kapitulację, bunt i kieskę, dosłownie wymierała.

Duchy przedwojennych piechurów z pewnością wzdrygnęłyby się na widok tego, co stało się potem. Najbardziej rzucającą się w oczy innowacją, wprowadzoną na dobre latem 1942 roku, było werbowanie młodych kobiet⁵¹. W pierwszych tygodniach wojny kobiety zniechęcano do wstępowań do wojska, ale powszechny niedobór siły roboczej, i na linii frontu, i w fabrykach, wszystko zmienił. Tego lata wojsko wyraziło chęć werbowania „zdrowych, młodych dziewcząt”⁵². Do pewnego stopnia miało to zawstydzić mężczyzn i zmusić ich do większego wysiłku. Poza tym chciano, by kobiety stały się wydajniejsze, by i one się zawstydziły i pracowały w zakładach zbrojeniowych lub gospodarstwach rolnych. W każdym razie podczas wojny na froncie służyło około 800 tysięcy kobiet. Spotykały się z uśmiezkami i protekcjonalnym traktowaniem. W przeciwieństwie do mężczyzn trudno im było wpasować ciała w bohaterski schemat, odkryć w sobie wojowniczkę. Kobiety walczyły na innych wojnach Rosji, ale nigdy na taką skalę⁵³.

Starzy żołnierze nie wiedzieli, czy traktować kobiety jak damy, czy jak kolegów. Świeżo zwerbowane kobiety cierpiały katusze zawstydzenia na widok połowych latryn (lub z powodu ich braku). Ich mundury, zaprojektowane dla mężczyzn, nigdy nie pasowały. Nie wiedziały też, czy cieszyć się z mięśni i brudu, które zmieniały ich ciała w ciała żołnierzy. Obcinały krótko włosy, myły mchem, dzieliły mydło na kawałeczki. Równie zmieszane, władze utworzyły i rozmieściły w sierpniu 1942 roku czterdzieści trzy eksperymentalne mobilne frontowe herbaciarnie, zaopatrzone we fryzjerów, małe toaletki z kosmetykami, zestawy do gry w domino i warcaby⁵⁴. W tym samym miesiącu podpisany został dekret o wprowadzeniu racji czekolady zamiast tytoniu dla kobiet, które nie palą⁵⁵. Pewna weteranka wspominała, że wzięła na front walizkę czekolady. Inna została ukarana za zbieranie fiołków podczas ćwiczeń w strzelaniu i przywiązywanie ich do bagnetu⁵⁶.

Jak się okazało, płeć nie stanowiła przeszkody w pewnych dziedzinach żołnierskiego życia. Wśród wojskowych specjalności, do których przydzielano kobiety - i w których wyróżniały się na polu bitwy - znalazło się szkolenie snajperskie⁵⁷. Sprawozdania wskazują poziom umiejętności, jaki mogli osiągnąć nowi rekruci obojga płci. „Nauczyłyśmy się składać i rozkładać karabin snajperski z zamkniętymi oczami - wspominała weteranka - określać prędkość wiatru, oceniać szybkość poruszania się celu i odległość od niego, okopywać się i czołgać. (...) Pamiętam, że najtrudniej było się zerwać na dźwięk alarmu i przygotować w ciągu pięciu minut. Brałyśmy buty co najmniej o numer większe, żeby tracić mniej czasu na ich wkładanie”⁵⁸. Takie kobiety, lub te z 588. Dywizjonu Nocnych Bombowców Maryny Raskowej, które na pierwszą misję wyleciały latem 1942 roku, zaczęły się pojawiać na pierwszych stronach gazet jako przykłady poświęcenia, profesjonalizmu i patriotyzmu⁵⁹. Tymczasem te, które nie stały się sławne, walczyły z deprymującą, wyczerpującą fizycznie rolą i przetrwały - jak opowiadały - tylko dzięki młodemu wiekowi i wsparciu kolegów.

Tego lata Armia Czerwona dostała również zastrzyk świeżej męskiej krwi. Pomimo strat w pierwszym roku wojny pod koniec 1942 roku w armii znajdowało się ponad sześć milionów żołnierzy. Teraz wojsko sięgnęło po byłych kułaków i ich rodziny, gdyż w kwietniu 1942 roku zniesiono prawo zakazujące im służby na froncie, jednak większość poborowych pochodziła z młodego pokolenia. Nowi rekruci byli nastolatkami, właściwie dziećmi, gdy wybuchła wojna. Od wielu miesięcy, czy ponad roku, spodziewali się powołania, ale ich oczekiwania i mentalność zupełnie różniły się od zapatrywań starej gwardii. Dla nich służba w armii nie stanowiła przykrego obowiązku z przypadku — była świętym obowiązkiem, wyrokiem śmierci i przeznaczeniem. Ich kultura, sposób wychowania, zostały ukształtowane przez samą wojnę. Proces ten był brutalny, szokujący. Nie wszyscy tryskali entuzjazmem. Niektórzy uchylali się od

służby, ale wydano nowe przepisy zmuszające chłopców do składania przysięgi⁶⁰. Niewielu, jeśli w ogóle, przybywało na front z bezpiecznych, ustabilizowanych domów, ale nie mieli czasu przetrwać niezadowolonia, jakie dręczyło ich poprzedników przed wojną. „Tylko trzy

miesiące — powiedział mi pewien weteran, opisując obóz szkoleniowy. — Uczyli nas szybko. I na co tu się skarżyć? Wyszkolili nas, wysłali i zabili”⁶¹.

Szkolenie tych nowych rekrutów było brutalne, szybkie i bardzo skondensowane. „Życie w armii jest okrutne, szczególnie teraz - napisał do ojca dziewiętnastoletni Anatolij Wiktorów. — W bardzo krótkim czasie trzeba rozwinąć w sobie odwagę, śmiałość, zaradność i, zupełnie oddzielnie, umiejętność dokładnego trafiania wroga. Żadna z tych umiejętności nie przychodzi darmo”⁶². „Pracujemy po dziewięć godzin dziennie, a jeśli dodać do tego przygotowanie się do ćwiczeń, dwanaście” — poinformował ojca inny młody człowiek⁶³. Tysiące kilometrów na zachód świeżo zwerbowany niemiecki żołnierz piechoty szkolił się w tym samym przyśpieszonym trybie⁶⁴. Front wschodni pochłonął więcej istnień niż wszystkie pozostałe europejskie teatry działań razem wzięte, nawet więc armia Hitlera musiała zmienić zasady i dostarczać szybciej nowych żołnierzy. Jednak rekrutów Armii Czerwonej nie pocieszało, że fryce przeżywali podobny stres. Dla większości młodych Sowietów samo przetrwanie tych pierwszych kilku tygodni było wystarczająco absorbujące.

Dawid Samojłow znalazł się w obozie dla oficerów piechoty. Ich szkoleniem dowodził „okrutny urodzony łajdak” Serdjuk. Zwykł on dręczyć rekrutów musztrą, wkładaniem masek przeciwgazowych i bieganiem po stepie bladym świtem. Samojłow musiał podczas wszystkich tych ćwiczeń dźwigać karabin maszynowy i pamiętał dokładnie jego wagę: „Podstawa - 32 kg, korpus - 10 kg, osłona - 14 kg”. Pamiętał również torturę bezsensownych pobudek. Rozkazywano im kłaść się, wstawać, ubierać, rozbierać i powtarzać to wszystko raz za razem. Dążono w ten sposób do skrócenia czasu potrzebnego rekrutowi na owe czynności do kilkunastu sekund, ale -podobnie jak musztra — ćwiczenie to miało również wycisnąć siódme poty z żółtodziobów, zmienić cywilów w żołnierzy. „Serdjuk — wspominał Samojłow — był pierwszym uosobieniem nienawiści w moim życiu”⁶⁵. Nikt nie opisywał swojego szkolenia z czułością. „Wpadamy na zajęcia, wpadamy na posiłki — pisał do żony inny oficer podczas szkolenia w kwietniu 1942 roku. - Nie mamy ani chwili dla siebie”⁶⁶.

Szeregowy Aleksandr Karp został przydzielony do artylerii i wyjechał na szkolenie od razu po ukończeniu szkoły, latem 1942 roku. „Pobudka jest o piątej - napisał do babci. - Myjemy się i takie tam. Wreszcie idziemy na śniadanie. Zwykle dostajemy trochę kaszy z kawałkiem kiełbasy, masło, słodką herbatę i chleb, którego jest zawsze za mało. Od razu po śniadaniu są zajęcia, nie wracamy już do koszar. Pracujemy osiem godzin, aż do obiadu”. Po kilku tygodniach zakończył podstawowe szkolenie z musztry i przeszedł na wyższy poziom kształcenia, na którym uczył się składania i rozkładania broni, celowania, geometrii i matematyki. Zawsze nieco czasu poświęcano na edukację polityczną, która na tym etapie obejmowała doniesienia z wojny. Zajęcia odbywały się bez przerw. Wczesnym popołudniem ludzie byli głodni jak wilki. „Na obiad dają zazwyczaj jakąś zupę z kaszą - ciągnął Karp - na szczęście z okrasą, a na drugie jest znowu kasza i znowu kiełbasa albo kluski z sosem”. Następnie rekruci całe popołudnie przygotowywali się do zajęć na następny dzień, po czym jedli kolację. „Chleb i masło (25 g) i słodka herbata (pół litra)”. „Wszystkie zajęcia - pisał Karp - odbywają się na świeżym powietrzu. Osiem godzin siedzimy na słońcu, przez co czasem nic nie chce wchodzić do głowy. (...) Teraz

trochę do tego przywykliśmy, ale jesteśmy okropnie zmęczeni"⁶⁷.

Karp dopiero co opuścił dom. Nie interesowała go wódka ani tytoń. Zamiast tego, jak wielu innych w jego wieku, młody człowiek łaknął mleka, słodczy i chleba. Był zawsze głodny. Część swoich racji wymieniał na cukier i wymyślał się z ćwiczeń, żeby kupić mleko i suszoną rybę od miejscowych chłopów⁶⁸. Tej jesieni błagał babcię, żeby przysłała mu trochę pieniędzy. Posiadacze gotówki mogli zaspokoić głód jagodami i orzechami, które dzieci przynosiły do koszar. Problemem były kradzieże; rekruci szybko nauczyli się chować pieniądze, a nawet jedzenie. Zdarzały się również wymuszenia własności biciem⁶⁹. Wszystkich kusilo, żeby zrobić wypad po jedzenie do pobliskich gospodarstw. Żołnierze z jednostki Karpa wykradali się nocą i wykopywali ziemniaki na oddalonych polach. Rozpalali małe ogniska i gotowali kartofle, używając hełmów jako rondli. Bardziej przedsiębiorczy kradli kurczaki i strzelali do zajęcy. Dieta Karpa była tak uboga, że po kilku tygodniach dostał czyraków.

Podobnie jak w czasie pokoju, armia pomagała oficjalnie w pracach na roli. „Wysłali nas do kolchozu — informował Karp w październiku. — Kazali nam kopać ziemniaki. To bardzo ciężka praca. Tym razem było o wiele gorzej, bo zrobiło się strasznie zimno, a od czasu do czasu lał deszcz i padał grad. Ziemia była zmarznięta i mokra, strasznie trudno było kopać i wypatrywać kartofli. (...) Wszyscy byliśmy czarni, ubłoceni i wykończeni. Pracowaliśmy bez przerwy. Dali nam pół godziny na obiad. Jedliśmy go brudnymi rękami. Błoto pokrywało nasze ręce i twarze, wpadało nam do kubków (...), zresztą i tak nie bardzo mieliśmy co jeść". Gdy Karp dostał wolne, żeby wyleczyć czyraki, zanotował, że ominęły go „praca na budowie, wykłady i wyrzucanie gnoju spod koni".

Saperzy ze 193. Dnieprzańskiej Dywizji Piechoty budują ziemiankę, 10 grudnia 1943 roku

Nie po to trafili do wojska, ale przynajmniej kopanie ziemniaków było dobrą praktyką przed czekającymi ich zadaniami. W listopadzie Karp przeżył „najgorszy dzień mojego szkolenia". Wraz z kolegami został wysłany na lodowaty step, gdzie mieli wykopać ziemiankę i spędzić w niej noc. Ziemianki stanowiły główny punkt

czerwonoarmijnej szkoły przetrwania. Powinny być dopracowane, z izbami oddzielnymi zasłonami, wyposażone w żelazny piecyk, a nawet okno. Tymczasem były wykopane w ziemi, przykryte darnią i gałęziami, duszne, ciasne i pełne dymu z machorki, którą palił prawie każdy. Opis, jaki tej wiosny przesłał żonie pewien piechur, był typowy. „Żyliśmy pod ziemią jak krety — napisał. — Ściany zrobione zostały z desek, dach też, chociaż nie było podłogi ani sufitu. Spaliśmy również na deskach, na piętrowych łóżkach. (...) To nieco niewygodne i panuje tam hałas, gdyż mieszka tu nawet do 400 ludzi.

Kopanie więc nie było banalnym zadaniem i drużyna Karpa musiała się nauczyć tej sztuki. „Ocaliło nas to, że dostaliśmy ciepłe rzeczy - napisał. - Watowane ubrania i walonki. Mimo to przemarzliśmy do szpiku kości". Było to szczególnie dokuczliwe podczas wart. Po powrocie do ziemianki „stawało się jasne, jaką wspaniałą rzeczą jest ognisko. Tamtej nocy wszyscy kolejno marzliśmy"⁷². Rekruci sarkali, podobnie zresztą jak inspektorzy, którzy sprawdzali ich pracę. Tamtej jesieni raport pisany z myślą o nowych standardach szkolenia wskazywał, że rekruci piechoty i artylerii mają liczne braki. Podkreślał niski poziom dyscypliny, skłonność do oddalania

się bez zezwolenia i spania na posterunkach, a także niegrzeczne odnoszenie się do przełożonych⁷³. „Uczyliśmy się dziesięć lat w szkole - napisał nadąsany Karp. - A teraz musimy zaczynać wszystko od początku i pracować bez przerwy. Mam tego dość. Z drugiej strony nie możemy oczekiwać, że to, co nas czeka, będzie dużo lepsze”⁷⁴.

Ironia polegała na tym, że większość tak naprawdę nie oczekiwała niczego więcej. Rekruci wspinali się cierpliwie do pociągów, które zabierały ich nad Wołgę czy na północ, ponieważ ich przyszłość wiązała się z wojną. Upokorzenia z obozów szkoleniowych miały się skończyć, czekanie również, a oni mieli wykonywać prawdziwe zadania. Mogli również zaspokoić głód zemsty, i to nie tylko na najeźdźcy. Perspektywa walki i śmierci rozluźniała uścisk obowiązku, partii i całego komunistycznego państwa. Samojłow wspominał swoją podróż na front. Wraz z kolegami jechał ze znienawidzonym podoficerem Serdjukiem. Im więcej kilometrów dzieliło ich od kompanii i starego obozu, tym ich dręczyciel coraz bardziej pograżał

się w myślach. „Tragedią tyrana — zanotował Samojłow — jest to, że jego władza nigdy nie jest nieograniczona”. W tym pociągu zmienił się układ sił. Taka historia mogła się powtórzyć gdzie indziej, gdy obrażani ludzie zaczęli cenić swą wartość. W zależności od rangi nadzieja lub strach podpowiadały, że na polu bitwy różnice się wyrównają. Pewnego wieczoru wokół Serdjuka zebrała się grupa Uzbeków. W półmroku błyskały ich zęby, ciała, muskularne po wielu latach spędzonych na stepie, napierały na ofiarę jak ściany celi. „Jedziemy na front, prawda?” — spytał jeden z nich. Serdjuk podniósł wzrok i dostrzegł pewny siebie uśmiešek „krzywe spojrzenie Tamerlana”. Zaraz po przybyciu do obozu rezerwowego poprosił o przeniesienie do innego pododdziału⁷⁵.

„Wszyscy bez wyjątku niepokoimy się o Stalingrad - napisał do żony młodszy oficer Agiejew w październiku 1942 roku. - Jeśli wrogowi uda się go zająć, wszyscy ucierpimy, w tym ludzie z naszej jednostki”⁷⁶. Miasto noszące imię Stalina zyskało tej jesieni mityczny wymiar. „Piszę do was z tego historycznego miejsca w historycznym czasie” - powiadamiał rodziców Wiktor Barsow w sierpniu⁷⁷. Jego matka odgadła, gdzie przebywa. Moskiewska prasa pełna była historii z oblężonego miasta; cały kraj czekał na wiadomości. Jak to ujął Barsow w innym liście, z października, „bronię histor[ycznego] m[iasta], niegd[ys] Carfycyna], obecnie St[alingradu]”. Miał przemoczone buty i zeszywniałe z zimna palce w cienkich rękawiczkach, gdy to pisał. Wcale nie był większym bohaterem niż młody Karp i — podobnie jak on, również cierpiał z głodu, zimna i braku snu. Zamiast stepu widział miasto, całe kilometry gruzów, poskręcanej stali i błota. Jednak jego list sugeruje dumę z tego położenia. Wszyscy już wiedzieli, że walka w tym miejscu zadecyduje o losach wojny.

Stalingrad leży na zachodnim brzegu Wołgi, największej rzeki Europy. Miasto - pierwotnie Carycyn za sprawą Carycy, przecinającego je na pół dopływu Wołgi - zostało nazwane imieniem Stalina na cześć kampanii z okresu wojny domowej, w której przyszedł wódz odegrał ważną rolę. Po części z tego właśnie powodu Stalingrad stał

się modelowym miastem dla całego regionu, z otwartymi przestrzeniami, parkami i nieskazitelnie białymi blokami mieszkalnymi odbijającymi rzekę i letnie słońce. Jednak byłby równie ważny nawet wtedy, gdyby nie nosił słynnej nazwy. Był to główny ośrodek przemysłu wytwórczego i maszynowego, siedziba uniwersytetu i kilku szkół technicznych oraz całej sieci magazynów dla armii walczących nad Donem. W 1942 roku Hitler uznał Stalingrad za ważny

przy-3Ółek nad Wołgą i punkt tranzytowy dla wojska podążającego na południe, ku kaspijskim polom naftowym. Napawał się również perspektywą zdobycia miasta noszącego imię Stalina.

Bitwa rozpoczęła się w upalne lato rosyjskiego południa, gdy oddziały Armii Czerwonej stacjonujące nad Donem usiłowały powstrzymać wroga maszerującego równocześnie z południa i zachodu. 4 sierpnia niemiecka 6. Armia dotarła na południowy brzeg Donu, który w tym miejscu wielkim łukiem skręca na wschód, w stronę Wołgi. Do połowy miesiąca Niemcy zajęli już niemal cały teren wyznaczony przez ten zakręt rzeki, na zachód i północny zachód od Stalingradu. Radziecka obrona była bardziej zdeterminowana niż wcześniej, ale panujące warunki nie sprzyjały podniesieniu Tiorale. Nieraz całe armie wpadały w panikę i ruszały na oślep przez ałowe wąwozy na przeciwległym brzegu Donu. „Biorę udział w wielkiej operacji - napisał Wołków do żony w sierpniu 1942 roku. - Od kilku dni przebywam na linii frontu. Nie mam czasu opisywać, co się dzieje, powiem Ci tylko, że wszędzie tu jest piekło. Dookoła słychać wycie i ryk, a niebo pęka od hałasu, ale uszy już mi do niego przywykły. Jeden pocisk spadł ze trzy metry ode mnie i ochlapał mnie błotem, ale wciąż jestem cały. Jednak nie mogę zagwarantować, że tak będzie dalej”⁷⁸.

Rzeczywiście, walki nad Donem opóźniły nieco niemieckie natarcie, co - jak się okazało - miało znaczenie w dalszym ciągu kampanii, gdy wreszcie zapadły ciemności i ścisnął mróz. W owym czasie jednak chwila wytchnienia przysłużyła się obronie wielkiego miasta. Fak jak w Moskwie rok wcześniej, obywatele zostali zorganizowani w oddziały pospolitego ruszenia, dostali też łopaty, taczki i drewniane drągi. Przygotowano zapory przeciwczołgowe i okopy, przeprowadzono manewry obronne. Żadne z tych przygotowań nie mogły

zapobiec kataklizmowi, a mieszkańcy zdawali się wyczuwać ten fakt. Podczas gdy część stalingradczyków kopała, ich sąsiedzi, nie mniej przestraszeni, płynęli na wschód, ku Wołdze, ciągnąc wózki, niosąc węzłki i prowadząc inwentarz⁷⁹. Spieszyli, by umknąć z pułapki. Wiele mostów na rzece zaminowano, drogi zaś już wystawione były na sporadyczny ostrzał z samolotów. Tysiące uchodźców nigdy nie dotarły do ziemistych wzgórz Azji.

Atak nastąpił w niedzielę 23 sierpnia. Tego dnia 600 niemieckich samolotów krążyło nad Stalingradem. Nadlatywały nisko, falami, zrzucając bomby. Do wieczora na ziemi były już głównie gruzy, piekący dym i ogień. „Ulice miasta są wymarłe - napisał Czujkow, gdy kilka dni po katastrofie objeżdżał nowe pole bitwy. - Na drzewach nie ma ani jednej zielonej gałązki: wszystko zginęło w płomieniach. Z drewnianych domów pozostały jedynie kupy popiołu i sterczące wśród nich kominy. Kamienne domy wypaliły się, ich okna i drzwi zniknęły, dachy pozapadały. Tu i ówdzie co chwila zawala się budynek. Ludzie grzebią w ruinach, wyciągają zawiniątka, samowary i naczynia i znoszą wszystko na lotnisko”⁸⁰. Dziesiątki tysięcy cywilów nie zdołało uciec. Podczas tej pierwszej doby zginęło około 40 tysięcy ludzi⁸¹.

W sierpniu zaczęła się również najtragiczniejsza i najbardziej przerażająca faza obrony Stalingradu. Przez kilka tygodni radzieckie armie - 62. i 64. - wycofywały się z zachodnich przedmieść do kilku punktów oporu w centrum i na północy. Od połowy września miasta broniła już tylko 62. Armia. Rozkazano jej zniszczyć przeciwnika — 6. Armie generała Paulusa — w samym mieście. Żołnierze dzierżący wąski pas zrujnowanej ziemi wzdłuż zachodniego brzegu Wołgi mieli walczyć tak, jakby po wschodniej stronie nie było ładu. Wkrótce stało się jasne, co to oznacza. Ludzie Czujkowa, wraz ze wszystkimi posiłkami, jakie dało się ściągnąć, wrośli w swój przyczółek i bili się o każdy dom. W ruinach, niekiedy w ciemności, walczone na bagnety i gołymi rękami, by utrzymać każdą klatkę schodową i każdy podziurawiony kulami pokój.

Od października wojska Czujkowa w mieście wspierała dobrze zorganizowana artyleria, tym

razem rozsądnie rozmieszczona na wschodnim brzegu Wołgi. Wróg jednak całkowicie panował w po-

wietrzu. Wszyscy żołnierze w Stalingradzie — niemieccy i radzieccy - oraz nieliczni cywile, którzy nie zdołali uciec, żyli wśród niesłabnących bombardowań. Ludzi i zaopatrzenie przewożono z radzieckiej strony rzeki łodziami. Kończyła się żywność, kończyła się uniejca, gotowała woda w chłodnicach karabinów maszynowych. Ludzie żyli i umierali wśród stosów ciał i gruzu, zwłoki pokrywał jył. Jak wspominał Czujkow: „Ciężkie straty, nieustanny odwrót, brak żywności i amunicji, kłopoty w otrzymywaniu posiłków (...) wszystko to fatalnie wpływało na morale. Wielu tęskniło za prze-iostaniem się za Wołgę, za ucieczką z piekła Stalingradu”⁸². Jego x>d władni byli na krawędzi rozpacz. „Jest tak ciężko, że nie widzę wyjścia — napisał w październiku pewien żołnierz. — Możemy już iznać, że Stalingrad skapitulował”⁸³.

Dla dziesiątków tysięcy nie było ucieczki. Część grubych ryb milicjantów przedostała się wszakże na bezpieczny grunt, zostawiając ludzi samych w obliczu zniszczeń i płomieni⁸⁴.

Czujkow po-łoc też kilka razy żądał przeniesienia swego sztabu na drugi brzeg⁸⁵, le nie miał wyboru. Jego *rozkazy* mówiły, że ma prowadzić żołnie-zy własnym przykładem. Pozostawiono mu w zasadzie wolną rękę v kwestii taktyki i obiecano uzupełnienia, ale droga odwrotu po-ostawała zamknięta. Żołnierze przybyli do Stalingradu nie mieli /yboru — musieli walczyć. Jedyłą karą, której Czujkow nigdy nie /stydził się wykorzystywać, była kula w tył głowy. Dyscyplina utrzy-aywana przez generała była ostra nawet jak na standardy Żukowa. sdnak

Wołga, dymiąca od rozgrzanych niemieckich pocisków, sta-owiła barierę bardziej śmiertcionośną niż linia NKWD. Nieco po-ad pół miliona żołnierzy skoncentrowano do obrony Stalingradu r lipcu 1942 roku. Ponad 300 tysięcy z nich miało zginąć⁸⁶. Trudno sobie wyobrazić ten wysiłek. Utrzymujące się warunki yczyerpywały żołnierzy; chodziło nie tylko o ostrzał, nieustający ałas, kurz, płomień, zimno i ciemności. Zaopatrzenie dowo-fy obrońcom wyłącznie łodzie. Gdy zaczęły zawodzić, żołnierze nienili się w hieny, zabierając zmarłym buty, broń, a nawet papier stowy. Smród rozkładających się ciał mieszał się z zapachem roz-rzanego metalu i potu. W miejscach, w których żołnierze spędzali oce, brakowało czystej wody, o myciu więc nie było mowy. Wszy,

odwieczny problem na froncie, oblażyły ubrania, rękawice, posłania i splątane włosy ludzi. W przeciwieństwie do szczurów i ptaków, które również zamieszkiwały ruiny, robactwo nie nadawało się nawet do jedzenia. Żołnierze na swój sposób opisywali racje z okresu oblężenia. „Przeżyjesz - mamrotali - ale nie popieprzysz”⁸⁷. Gorzkie słowa ignorowały fakt, że wciąż musieli walczyć. Tylko ranni, sprawdzeni w boju, mieli szansę na miejsce w łodziach, które co noc przemykały się na wschodni brzeg. Szpitale były przepełnione. Ich personel padał z wyczerpania.

Zdaniem żołnierzy dało się tam wytrzymać najwyżej dziesięć dni. Nawet najtwardsi mawiali, że za osiem czy dziewięć dni na pewno zostaną ranni, jeśli nie zginą⁸⁸. Większość coraz bardziej przyzwyczajala się do dźwięków i zapachów wojny, starzy wyjadacze zaś uważali, że potrafią oceniać, a nawet przewidywać to, co się dzieje w ich wszechświecie. Nigdy bardziej nie zbliżyli się do panowania nad chaosem na froncie. „Potrafiliśmy ocenić na podstawie lotu pocisku, czy w nas trafi czy nie — wspominał pewien weteran. — Mogliśmy też wskazać, gdzie spadnie, wsłuchując się w wydawany przez niego dźwięk”⁸⁹. Jednak życie w ciągłym stanie gotowości powodowało w końcu dekoncentrację. Archiwa niewiele mówią na temat stresu — Armia Czerwona miała znacznie mniej subtelne miary stanu zdrowia i kondycji żołnierzy — ale, jak to ujął jeden z ocalałych, ludzie stawali

się „mniej ludzcy”, gdy nasłuchiwali cieni w ciemności⁹⁰. „Przynajmniej mogę powiedzieć, że widziałem wiele bohaterskich czynów - napisał później oficer do żony. - Ale widziałem również wiele rzeczy, których Armia Czerwona powinna się wstydzić. Nigdy nie sądziłem, że będę zdolny do bezwzględności graniczącej z okrucieństwem. Sądziłem, że jestem łagodnym człowiekiem, ale wygląda na to, że człowiek może bardzo długo skrywać cechy, które wychodzą z niego dopiero w takim momencie jak ten”⁹¹.

Ludzie dowiadywali się również, że są rzeczy gorsze niż śmierć. „Czy nam się to podoba czy nie - pisał ten sam oficer - każdemu w końcu przychodziła do głowy myśl: A co będzie, jeśli zostanę kaleką? Jak się zachowa moja żona? Nikt nie chce myśleć o tym, że może zostać kaleką. Oczywiście to bardzo prawdopodobne, ale każdy chce myśleć o czymś innym: o pełnym, zdrowym życiu”⁹².

Życie w zdrowiu, być może, lub katharsis śmierci. Żołnierze zaczęli odczuwać rodzaj ekstazy w boju, nawet w samobójstwie. W obliczu ponurości ich codziennego życia najdziwniejsze rzeczy świeciły nieoczekiwanym blaskiem. Niektóre opisy przypominają sceny z makabrycznego baletu; tak więc publiczność - wszyscy żołnierze - musiała wyobrażać sobie akcję w kategoriach filmowych, a umarli, główni bohaterowie dramatu, nie mogli poprawić scenariusza. Czujkow, który nie należał do ludzi sentymentalnych, opisuje w ten sposób śmierć marynarza Pankajki.

Gdy ten skazany na śmierć człowiek przygotowywał się do rzucenia butelki z benzyną na szereg niemieckich czołgów, pocisk zapalił butelkę i zmienił go w słup ognia. Jednak marynarz nadal żył i jakoś, ostatnim wysiłkiem, a może w ponurym odruchu, sięgnął po drugi ładunek.

„Wszyscy widzieli, jak mężczyzna w płomieniach wyskoczył z okopu - napisał później Czujkow - podbiegł do niemieckiego czołgu i roztrzaskał butelkę a kracie płyty silnika.

Sekundę później olbrzymia płachta płomieni dymu *zakryła* i czołg, i bohatera, który go zniszczył”⁹³. Opowieści tego rodzaju szybko stawały się legendami. Wśród jrzemocy i śmierci pełna poczucia winy przyjemność przetrwania adzierzgiwała silne więzy braterstwa. Brutalna prostota życia zre-lukowanego do zupełnych podstaw wytworzyła poczucie wolności, które często zdawała się wyzwalać bitwa⁹⁴. Partia szybko przypisa-a sobie zasługę.

Przywłaszczyła sobie męstwo żołnierzy i nazywała ch lojalnymi komsomolcami oraz wiernymi patriotami. Ale chociaż »iurokraci wymyślali retorykę, emocje, które kierowały ludźmi, nie ławały się opisać. Była to czysta wściekłość połączona z czymś bardzo bliżonym do miłości. Emocje te odzwierciedlają, z dystansu, świa-[ectwa tych, którzy uznali Stalingrad za scenę najjaskrawszych wyda-żeń swego życia. Wasilij Grossman, powieściopisarz i korespondent rojenny, należał do tych, którzy nie chcieli *wyjeżdżać*. Jak napisał do jca, „nadal chcę zostać w miejscu, gdzie widziałem najgorsze *rzeczy r* życiu”⁹⁵. Kiedy zwycięstwo stało się pewne, inni zaczęli podzielać :n pogląd. „Przeprawa do Stalingradu była straszna — opowiadał oca-iły Aleksandrowi Werthowi - ale gdy już tam dotarliśmy, czuliśmy ę lepiej. Wiedzieliśmy, że za Wołgą nie ma nic i że jeśli chcemy ozostać przy życiu, musimy zniszczyć najeżdźców”⁹⁶.

„Nie rozumiem, jak ludzie mogą przetrwać takie piekło — napisał do rodziny pilot Luftwaffe. - Mimo to Rosjanie trzymają się mocno w ruinach, dziurach i piwnicach oraz chaosie stalowych szkieletów, które niegdyś były fabrykami”⁹⁷. „Rosjanie nie są ludźmi, ale jakimś wykutymi z żelaza istotami” - stwierdził inny Niemiec⁹⁸. Były to głosy gniewu i szoku, kiedy zwycięstwo nie okazało się ani szybkie, ani łatwe. Niemniej do listopada żołnierze Paulusa wciąż mogli wierzyć, że pobiją słowiańskich diabłów, zmiażdżą ich tak, jak to robili przez poprzednie siedemnaście miesięcy.

Wspierały ich odwody, samoloty dostarczały tak ważną żywność i ewakuowały rannych. Gdy jednak słupek rtęci w termometrze spadł, a noce się wydłużyły, to Armia Czerwona, a nie napastnik, przejęła inicjatywę.

Ruiny Stalingradu symbolizowały stoicyzm Armii Czerwonej, ale to nie w samym mieście zdecydował się wynik tej długiej zimowej kampanii. 62. Armia Czujkowa na pewno zasłużyła na zaszczytny tytuł „gwardyjskiej”, lecz to planowanie, nie wytrzymałość, uratowały radziecką sprawę. W listopadzie 1942 roku rozpoczęła się ogromna operacja o kryptonimie „Uran”. Jej celem było okrążenie wciągniętej w pułapkę 6. Armii Paulusa poprzez odcięcie jej dróg odwrotu z miasta. Gdy radzieckie i niemieckie wojska ścierały się wśród pokrwawionych i popękanych cegieł, za horyzontem zbierał się ponad milion żołnierzy. Na trzech frontach ustawiano na pozycjach armie, tworząc gigantyczną pułapkę wokół Stalingradu. Czekaly one już tylko na sygnał, by ruszyć przez step⁹⁹.

Nie pocieszyłoby to obrońców miasta, ale dywizje, które zbliżały się do Stalingradu z baz na północy i wschodzie, też nie miały łatwego życia. Prześladowały je problemy z zaopatrzeniem, włącznie z niedostatkami zimowej odzieży. Ludzie umierali z powodu odmrożeń i hipotermii jeszcze przed dotarciem na front¹⁰⁰. Jednak operacja, która rozpoczęła się 19 listopada, była szybka i zakończyła się pełnym sukcesem. Trzy dni później 6. Armia została otoczona, zamknięta w mieście, którego Fiihrer nie pozwolił jej porzucić. Nastrój czerwonoarmistów w Stalingradzie poprawił się, chociaż czekały ich wciąż długie miesiące cierpień. Generał Paulus trzymał się aż do końca stycznia, a walki o podporządkowanie całego regionu trwały jeszcze wiele tygodni później, lecz działanie i błyskotli-

we zwycięstwo podniosły radzieckie morale mimo listopadowych mgieł. Ci, którzy przeżyli tę wielką operację, wspominali potem, że dzień, kiedy wreszcie nadszedł rozkaz uderzenia na wroga, był najszcześniejszym podczas całej wojny¹⁰¹. Gdy pułapka Konstantego Rokossowskiego zamknęła się wokół miasta, ranni weterani żalili się nawet, jak jeden z nich napisał do żony, że leżą w szpitalu i „tracą to wszystko”¹⁰².

Całymi miesiącami czerwonoarmiści zazdrościli *najeżdźcy*, frycowi, dobrze odżywionego ciała i nowoczesnej broni. Wśród lepiej wykształconych żołnierzy panował nawet rodzaj kulturowego podziwu, gdyż to naród przeciwnika wydał Bacha, Goethego i Heinego (jak odkryłam, nikt nie wspominał o Marksie). W październiku pojawiły się pierwsze oznaki, że niemieckie morale załamuje się na całym froncie wschodnim. Żołnierze stacjonujący koło Smoleńska odczuwali przygnębienie, gdy zapadła kolejna zima, a ci wracający znad Donu, by wypocząć na okupowanej Ukrainie, już bali się ewentualności radzieckiego odrodzenia¹⁰³. W listopadzie, uwięzieni w Stalingradzie i na zamarzniętym stepie wokół miasta żołnierze Wehrmachtu zaznali po raz pierwszy rozpacz. „Śnieg, wiatr, mróz i wszędzie deszcz ze śniegiem i deszcz. (...) Od wyjazdu nie rozbierałem się. Wszy. Myszy nocą - napisał w grudniu do rodziny w Kassel trzydziestosześcioletni Kurt Reuber. — Jedzenia wystarcza tylko, by uchronić nas od śmierci głodowej”¹⁰⁴.

Podczas gdy Paulus ze wszystkich sił starał się uniknąć kapitulacji, obie strony cierpiały w mrocznej mgle. „Błoto i glina” — wyjaśniał Reuber. Podobnie jak Rosjanie, Niemcy mieszkali w ziemiankach. Po bombardowaniach i pożarach nie wystarczało drewna na wzmocnienie ścian lub dachu. Wśród gruzów nic się nie uchoowało. Pod koniec grudnia Reuber dostrzegł wychudłego rosyjskiego konika, który przywędrował do jego ziemianki i skubał kawałek połamanego drewna. Drżące stworzenie było tak głodne, że nawet to uznało za jadalne. „Dzisiaj ono będzie naszym obiadem” - stwierdził Reuber¹⁰⁵. Kiedy miesiąc później wyłapano ostatnich

Niemców, nawet ich potrzaskane schrony zrobiły wrażenie na Rosjanach¹⁰⁶. Radzieckie ziemianki były prymitywniejsze i ciaśniejsze. Dowódcy, pisząc i głębokich tyłów, martwili się typowymi dla nich ciemnością, bra-

kiem powietrza i przestrzeni¹⁰⁷. Pewna weteranka ujęła to dosadniej. „Wiedz - powiedziała mi - że przy tych śpiących ludziach, przy tych wszystkich ubraniach i przy ogniu po prostu nie dawało się tam oddychać”.

Te ostatnie tygodnie były dla żołnierzy obu stron drogą krzyżową. Znajdowali się w równie żalonym położeniu. Trzymali się w szachu, walcząc nieustannie o przestrzeń, która ich dzieliła, co za każdym razem kosztowało tuziny, setki istnień. Gdy walki o Stalingrad dobiegły końca, Alexander Werth przeszedł się po ruinach. Pozostałości po bitwie wywarły na nim wielkie wrażenie. „Przez dziedzińce fabryk i same hale biegły okopy - napisał. - A teraz na dnie tych okopów wciąż leżą zamarznięci zieloni Niemcy i zamarznięci szarzy Rosjanie oraz zamarzniete fragmenty ciał. Wśród cegieł i gruzu walają się hełmy, rosyjskie i niemieckie, po części wypełnione śniegiem”¹⁰⁸. Kiedy tej wiosny zaczęła się odwilż, inny świadek zobaczył dryfującą po Wołdze krę z dwoma zamarzniętymi ciałami, Rosjanina i Niemca, wtopionymi w nią po tym, jak zginęli, zmagając się ze sobą.

Czytając tego rodzaju opisy, można by pomyśleć, że miasto każdemu wydawało się koszmarem, ale od listopada pojawiła się decydująca różnica w doświadczeniach radzieckich i niemieckich żołnierzy. Dla oblężonych nagle najeźdźców Stalingrad był szokiem, katastrofą po zwycięstwach z 1941 roku. „Nie dostaliśmy jeszcze świątecznych paczek — napisał 10 stycznia do domu żołnierz 6. Armii Paulusa. — Obiecali, że zatrzymają je dla nas za frontem i kiedy wrócimy, przekażą je nam. (...) Nie mamy nic do jedzenia, siły nas opuszczają, zmieniamy się we wraki. (...) Doszedłem do punktu, w którym przestałem dziękować Panu, że dotąd mnie oszczędzał. Każdej godziny wyglądam śmierci”¹⁰⁹. Oczekiwania żołnierzy radzieckich zawsze były niższe. Nie marzyli o choinkach, słodyczach czy ciastach, których nigdy nie znali. Jeśli myśleli o domu, to o życiu, które zniszczył ich wróg. Teraz jednak, wspierani przez siejące groźbę *katusze* i pierwsze własne samoloty od 1941 roku, zyskali szansę odwetu. Innymi słowy, Niemcy stanęli w obliczu przeciwieństwa postępu, tracąc kolejno rzeczy, które pozwalały im się czuć ludźmi. Czerwonoarmiści natomiast po raz pierwszy zasmakowali

prawdziwego sukcesu. Wyczerpani, brudni, zaprawieni w bojach żołnierze szykowali się do s'więtowania. „Prestiż walki pod Stalingradem — napisał Werth — był ogromny”¹¹⁰.

Partia przypisała sobie całą zasługę za atmosferę, jaka zapanowała w Stalingradzie. Braterstwo i bezinteresowność, które narodziły się na polu bitwy, zostały pospiesznie uznane za wynik partyjnej ideologii, mądrego przewodnictwa komunistów. „Tysiące patriotów są wzorami nieustraszoneści, odwagi i bezinteresownego oddania ojczyźnie. Dzieci bohatera dumne będą ze swego ojca. Jednak imiona tchórzów, siewców paniki i zdrajców wymawiane będą z nienawiścią”¹¹¹. W rocznicę rewolucji w prasie pojawiła się w listopadzie przysięga stalingradzka, rzekomo pochodząca od obrońców miasta. „Wysyłając do Was ten list z okopów — deklarowali żołnierze — przysięgamy Wam, drogi Józefie Wissarionowiczu, że do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu, do ostatniego uderzenia serca bronić będziemy Stalingradu”¹¹².

Tekst został rozpowszechniony w całym kraju. Powtórzono go w drukowanych rozkazach

dziennych. Świeżo przybyli żołnierze, z niepokojem czekający, czy los rzuci ich za Wołgę, musieli siedzieć na wykładach poświęconych bohaterom przeszłości. Politrucy zmuszali czerwonoarmistów do omawiania w małych grupach zagadnienia odwagi, chociaż żaden z nich w życiu nie widział Niemca, o trupie nie wspominając¹¹³. Na świadomość ludzi oddziaływały też filmy. Tej jesieni żołnierze w obozach nad Wołgą mogli oglądać *Na odsiecz Carycyna*, *Wielkiego obywatela* i — specjalnie dla Ukraińców - biografię Kozaka Bohdana Chmielnickiego¹¹⁴. Takie epickie obrazy kręcono teraz w parę tygodni, gdyż przemysł filmowy całkowicie podporządkowano służbie dla frontu¹¹⁵. Żołnierzom pokazywano także kroniki filmowe o radzieckich sukcesach, podczas gdy filmy dokumentalne, w rodzaju słynnej *Kłęski armii niemieckiej pod Moskwą*, przypominały im, jak kilka miesięcy wcześniej wyglądał „ozproszony, pobity wróg”¹¹⁶. „Patrzysz na schwyte przez siebie aszystowskie bestie — wspominał żołnierz — i wiesz, że nie ma dość ;posobów, by ukarać ich za okrucieństwa, zdrady i zbrodnie, które popełnili”¹¹⁷.

Pomogło również to, że część rezerw była dobrze wyszkolona, dobrze przygotowana i sprawna. Armia zaczęła wyglądać jak prawdziwe wojsko. Najbardziej ceniono mieszkańców Syberii. Wydawali się profesjonalistami, i to nie tylko dlatego, że wielu umiało strzelać. Potrafili się też kryć i kopać głębokie, wąskie okopy, które chroniły przed atakami czołgów i ostrzałem z samolotów. „Najważniejsze - napisał w tamtym okresie do domu Agiejew - że nie ma już przypadków »strachu przed czołgami«, których tyle oglądaliśmy na początku wojny. Każdy żołnierz (...) świadomie okopuje się głębiej”¹¹⁸. Tym, którzy nadal panikowali w obliczu złowieszczych maszyn, strach wybijano z głowy ćwiczeniami (zwanymi „prasowaniem”). Zmuszano ich do leżenia w okopach, podczas gdy radzieckie czołgi jeździły nad nimi. „Po tym - donosił raport niemieckiego wywiadu — wszyscy walczą z wyjątkową odwagą”¹¹⁹. Tymczasem ludzie radzili sobie ze zgrozą za pomocą czarnego humoru. „Im głębiej kopiesz - szepotali - tym dłużej poleżysz”¹²⁰.

Mimo całego bicia piany nie dało się ukryć przed ludźmi prawdziwego oblicza frontu. Bez względu na to, co robiła partia, mnożyły się opowieści o okrucieństwie, kłamstwie i zmarnowanych istnieniach. Szpitale wojskowe nie były odcięte od świata. Miejscowi potrafili wyczuć krew i gangrenę; często pomagali też kopać masowe groby na polach bitew. Jak zwykle uczestniczyli także w drugim obiegu gospodarczym, który kwitł, gdy słabł uścisk NKWD. Ranni żołnierze handlowali bronią, zegarkami, piórami, a nawet aparatami Zeissa¹²¹; niemieckie okopy pełne były atrakcyjnych łupów. Tymczasem nowa klasa wyrzutków, dezernerzy, zajmowali się każdym interesem: od gotówki i broni po kupczenie ludzkim życiem. Od października do grudnia 1942 roku NKWD zatrzymało na Froncie Stalingradzkim z górą 11 tysięcy wojskowych, z których ponad tysiąc okazało się dezernerami lub byłymi czerwonoarmistami pracującymi dla wroga¹²². Najskuteczniejsze było przebieranie się w kobiece ubrania, chociaż pewien mężczyzna, który ukrywał się przez jedenaście miesięcy, został znaleziony na dnie elewatora¹²³.

Milicja nie była w stanie powstrzymać fali przestępczości. Zamiast tego starała się przykładowo karać schwytych. Dezercja była *szczególnie* piętnowaną zbrodnią. „Towarzyszu komisarzu - powiedział

enkawudzista swemu dowódcy, gdy eskortował dziesięciu pojmanych - powinniśmy do tych dezernerów zastosować rozkaz nr 227 towarzysza Stalina i zastrzelić ich na miejscu. Nie ratowali ojczyzny, ale własną skórę”¹²⁴. Była to naturalna odpowiedź na bezprawie, lecz ogólnie liczba dezernerów, w przeciwieństwie do kryminalistów, zmniejszała się. Rolę musiała tu odgrywać

pogoda. Gdy słupek rtęci spadał do trzydziestu stopni poniżej zera, w Stalingradzie nikt nie miał szans przeżyć sam. Istniały też jednak inne powody uległości w szeregach.

Część rezerwistów na nadwołżańskim stepie nie buntowała się, ponieważ ich życie, paradoksalnie, się poprawiało. Ilja Niemanow wyjaśniał, jak to wyglądało w jego przypadku. Jako syn tak zwanego wroga ludu nie mógł początkowo nosić broni. Zamiast tego skierowano go, jeszcze w 1941 roku, do batalionu pracy. Był to rodzaj powołania, ponieważ nie miał wyboru, ale musiał ciężko pracować, nie walczyć. Władze wysłały go na budowę ewakuowanej fabryki w syberyjskim Złatouście. Ludzie - mieszanina skazańców, poborowych i domniemych wrogów politycznych jak on sam - czuli, że zostali wygnani w sam środek niczego. „Pracowaliśmy w Azji — żartował Niemanow - a wracaliśmy srać do Europy”. Podobnie jak żołnierze frontowi, mieszkali w ziemiankach i, podobnie jak żołnierze, pracowali, póki nie padli. Niemanowowi pomagało kilku kazachskich pasterzy, którzy codziennie kończyli za niego pracę, aby grupa mogła wyrobić normę. Brygadzysta był szorstki, kryminaliści okrutni. „To nie na froncie wojna jest przerażająca - powiedział mi Niemanow. - Straszne jest, kiedy jesteś niszczoney, kiedy masz wyczerpującą pracę, kiedy ludzie rzucają się na ciebie bez powodu, kiedy panuje głód, kiedy w żaden sposób - poza ryzykowaniem życia -nie możesz sobie pomóc, kiedy dają ci do jedzenia przemarzniałe ziemniaki, kiedy zjadłbyś nawet padlinę, kiedy odebrałbyś porcję zmarłemu towarzyszowi. To jest przerażające, nie kule!”

Pod koniec 1942 roku grupa mężczyzn z jednostki Niemano-wa została skierowana na szkolenie w obsłudze moździerzy. Kiedy wsiedli do pociągu jadącego na południe, wiedzieli, że ich celem jest Stalingrad. Panowało dojmujące zimno. Ludzie byli pełni obaw, wyczerpani i głodni. Jeden z nich próbował uciec, ale został złapany

i rozstrzelany. Przez kilka nocy spali w ubraniach i podkładali sobie pod głowy własne buty. Kiedy przybyli na front, rozkazano im wziąć kąpiel. Mężczyźni posłusznie wysmarowali się żrącym mydłem leczniczym, ale potem odkryli, że nie ma wody, by je spłukać. Narzekając na swędzenie, ubrali się, zarzucili moździerz na plecy i skierowali się tam, jak to ujął Niemanow, „gdzie były potrzebne ich życia”. Właśnie życia, nie moździerz. „Damy wam karabiny, jesteście teraz piechurami” - powiedziano im. Szczęśliwie przeżyli. „Marziliśmy, ale nigdy nie posłali nas do boju”.

Była to ponura wersja postępu, ale dla Niemanowa front stanowił lepsze miejsce niż Złatoust. Jak tysiące innych podejrzanych obywateli wiedział, że służba wojskowa może zmyć hańbę z jego nazwiska. Pracował na swój powrót do społeczeństwa, gdy celował z nieporęcznego karabinu, a nie gdy pracował jak skazaniec¹²⁵. Co więcej, nauczył się w obozie *rzeczy*, które teraz ułatwiały przetrwanie. „Byliśmy łobuzami” - powiedział mi. Mężczyźni wkrótce poczuli się na froncie jak w domu, regulując sobie codzienne życie w takim zakresie, w jakim mieli nad nim kontrolę. Tak jak wszyscy żołnierze improwizowali, a gdy się nie udawało, kradli. Miejscowi często byli życzliwi, chociaż mieli niewiele, czym mogliby się podzielić. „Kochali nas - rzekł Niemanow - a my to wykorzystywaliśmy. Jeden z moich kolegów znalazł dom, wszedł do środka i przeżegnał się. Starsza kobieta natychmiast zaczęła te swoje »Kochany, drogi chłopcze, mój drogi« i posadziła go za stołem”. Mylnie biorąc chłopaka za wierną chrześcijańską duszyczkę, podała herbatę, kapustę i nieco chleba. „Wielu z nas — opowiadał Niemanow — miało naturalnie romanse. Taka jest wojna: - to czas śmierci i miłości”. Ten opis pasuje do innych, których autorzy uważali linię frontu — nawet tę konkretną — za lepszą od obozów¹²⁶. Życie nigdzie nie było łatwe, ale w pobliżu frontu istniała szansa, że żołnierze znajdą sobie nisze, zawrą znajomości.

Szansa zabijania Niemców była też źródłem uciechy¹²⁷. Żołnierze mieli dobre, specyficzne powody, żeby nienawidzić tych cudzoziemców. Ludzie, którzy walczyli, byli wyczerpani, a ich sny zawsze już

nawiedzał smród wojny. Inni wiedzieli już, że nigdy nie zobaczą

swych rodzin, a wszyscy, łącznie ze świeżymi rekrutami, stracili do tej pory kolegów i przyjaciół. Mało było trzeba, aby podsycić ich nienawiść, ale mimo to radziecka prasa wojenna ją pobudzała. Niewielu pisarzy zyskało w tym okresie wojny większą popularność niż Ilja Erenburg, publicysta, który wzywał każdego radzieckiego obywatela: „Zabij Niemca. Jeśli zabiłeś jednego — pisal po prostu — zabij następnego. Nie ma nic radośniejszego niż niemieckie trupy”¹²⁸. Jednak Erenburg, którego proza w 1942 roku osiągnęła szczyt dra-stycznosci, nie był jedynym źródłem propagandy nienawiści. Si-monow, żołnierski poeta, dołączył do niej z *Zabij go!*, lirycznym wezwaniem do zemsty¹²⁹. Rysownicy szkicowali wroga we wszelkiego rodzaju opałach - Rumuni spanikowani, Włosi chowający się pod kotłami, Niemcy umierający. Kalambur oparty na rosyjskim słowie „przebiśnieg”, *podśnieżnik*, mówił, że tej wiosny odwilż odsłoni nowe „przebiśniegi” w postaci niemieckich trupów¹³⁰. Kiedy tej zimy w Stalingradzie zginął radziecki dowódca, wydano rozkaz, żeby salwę honorową na jego cześć oddać „nie w powietrze, ale w Niemców”¹³¹.

Co dziwne, żołnierze na innych teatrach działań zazdrościli walk kolegom z Wołgi. Nawet ci, którzy wiedzieli, co oznacza bitwa, tęsknili za szansą pójścia w bój, ponownego włączenia się do wojny. „Kiedy, do cholery, ruszymy do ataku?” — napisał w styczniu 1943 roku w swym dzienniku oficer Nikołaj Bielów. Dwudziestosiedmio-latek stacjonował koło Lipiecka, sporo na północ od Stalingradu. Jego jednostka miała w zasięgu niemiecką armię z okolic Worone-ża, ale kazano im siedzieć i czekać. Bielów wiedział, jak wygląda prawdziwa wojna. Zaciągnął się zaraz po wybuchu walk. Ranny pierwszego lata, został ewakuowany na leczenie, co oznaczało, że uniknął niewoli i śmierci, które czekały jego towarzyszy. Ponurego lata 1942 roku wrócił do służby i cofał się przed wrogiem, który teraz kontrolował całe rosyjskie południe.

W tamto Boże Narodzenie, gdy armie Rokossowskiego parły przez zaśnieżone nadwołańskie stopy, Bielów siedział beczynn timer. Okopywał się, szkolił ludzi i czekał. Było to mniej męczące niż długie marsze z lipca, mniej niebezpieczne niż walki wręcz w Stalingra-

dzie. Nie dało się jednak tego nazwać przyjemnością. Było zimno, a okazjonalne lekkie odwilże przynosiły marznący deszcz i mgłę. Co kilka dni Niemcy prowadzili ostrzał artyleryjski, a potem dochodziło do samobójstw, dezercji, samookaleczeń i bijatyk. „Stałem się okropnie poirytowany - dodał Bielów - i ogarnęła mnie ta okropna obojętność. To wszystko piekielnie mnie męczy. Gdybyśmy tylko ruszyli do ataku, prawdopodobnie wróciłbym do równowagi”¹³². Szansę sprawdzenia tej opinii zyskał w lipcu. Tymczasem, zamknięty w zasypanej śniegiem ziemiance, był coraz bardziej przygnębiony.

Gdyby Stalingrad padł, dla wszystkich sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Zwycięstwo było dla żołnierzy największą inspiracją. Czerwonoarmiści zaczęli wierzyć, że ich wysiłki pewnego dnia przyniosą owoce. Chociaż wielu wiedziało, że prawdopodobnie zginie, liczyła się szansa na zwycięstwo. Nowiny ze Stalingradu obiegały cały radziecki świat. „Tęsknię za wyjazdem i przeniesieniem się na stałe na front” — zapisał pewnej nocy w dzienniku Bielów. Na początku listopada ucieszyły go wieści o działaniach aliantów w Afryce. „To bardzo daleko, ale wydaje się całkiem blisko. Co za ulga”. Nic jednak nie dorównywało jego radości z triumfów bliżej domu. „Nasi żołnierze mówią tylko o sukcesie w Stalingradzie - napisał 27 listopada. - Według wiadomości z dzisiejszego ranka od początku ataku wzięli 70 tysięcy jeńców. Ilość zdobytych dóbr jest astronomiczna. Nasza radość z czynów żołnierzy w Stalingradzie nie ma granic”¹³³.

Daleko na zachodzie Moskwin, który słuchał nowin, był wniebowzięty. „Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo na froncie!” - napisał 19 stycznia 1943 roku. Karta wreszcie się odwróciła. „Każdy z nas z całych sił chciał krzyknąć »Urra!« Stalingrad zmienił się w wielką pułapkę na hitlerowców”. On i jego towarzysze partyzanci już od tygodni ukrywali się w ciemnych ziemiankach, czekając na instrukcje z Moskwy. Jesienią toczyli potyczki, a Moskwin wreszcie czuł, że coś robi, jednak nuda i zmęczenie zebrały swe żniwo podczas drugiej zimy. Teraz był wreszcie powód do radości. Jak zwykle Moskwin skupił się na sobie: „Chcę wyrwać z dziennika te strony, na których pisałem o upadku mojej woli — zanotował. — Ale pozostawię je jako nauczkę, że w życiu źle jest przechodzić do konkluzji tylko dlatego, że sprawy idą źle”¹³⁴.

Zwycięstwo pomogło nawet żołnierzom przemóc trudności życia codziennego. Wyglądało na to, że triumf może zmienić świadomość. Zmarznięci, głodni, ranni i zrozpaczeni Rosjanie rozpromienili się, gdy okazało się, że Niemcy cierpią bardziej. Czepiali się każdej rekompensaty, każdej oznaki, że życie może się zmienić. Cofający się przeciwnik porzucał broń, ciężarówki i jedzenie. Były to niewyobrażalnie obfite łupy dla wygłodzonych radzieckich żołnierzy. Część objadała się w niemieckich magazynach; inni rzucili się na zapasy alkoholu 6. Armii, niekiedy zbyt późno odkrywając, że atrakcyjnie wyglądające butelki zawierają płyn zapobiegający zamarzaniu¹³⁵. „Trwają wielkie bitwy i dzieją się cały czas straszliwe rzeczy — pisał czterdziestosiedmioletni czerwonoarmista do żony. - Nie martw się jednak o mnie. (...) Niemcy uciekają, zagarniamy mnóstwo jeńców i zapasów. Teraz jemy wyłącznie mięso, konserwy, miód i takie tam, chociaż nie mamy w ogóle chleba”¹³⁶.

Najbardziej zadziwiający byli nowi jeńcy. W styczniu 1943 roku Armia Czerwona wzięła 91 545 jeńców. Byli tak wynędzniali, że prawdopodobnie by wyginęli, jednak obozy NKWD to gwarantowały. Mniej niż jedna piąta z nich dostała ciepłe posiłki. Część tych, którzy je otrzymali, umierała w wyniku zbyt łapczywego jedzenia. Inni padali podczas wędrówki do obozów, umierali z ran lub na tyfus czy dyzenterię, które błyskawicznie wyniszczały ich organizmy. Uboga dieta i głód były przyczyną śmierci dwóch trzecich jeńców w radzieckich obozach w 1943 roku. Ci, którzy przetrwali, stanęli w obliczu gruźlicy szalejącej w ciasnych, niehigienicznych kwaterach¹³⁷. Sytuacja stała się tak zła, że nawet NKWD podjęło po Stalingradzie kroki, by zreformować system, chociaż motywem tych działań była chęć oszczędzenia potencjalnej siły roboczej, a nie uratowania ludzkich istnień. Jednak każdy wymizerowany, przerażony jeńiec przybliżał koniec wojny. Ta myśl przeważała w ludzkich umysłach. Zwycięstwo pod Stalingradem uznano za punkt zwrotny.

„Niemcy rzucają wszystko podczas ucieczki” - napisał czterdziestosiedmioletni czerwonoarmista w swym ostatnim liście do domu. Teraz wierzył w propagandę radzieckiej potęgi. „Karmimy się ich zapasami. Niemcy uciekają, a Węgrzy i Włosi poddają się. Pięćdziesięciu naszych chłopaków wzięło pięćuset jeńców. Padają jak mu-

chy, nie wytrzymują zimna. (...) Na drogach i ulicach leży mnóstwo zmarłych, ale im więcej, tym lepiej”¹³⁸. Niecały miesiąc po napisaniu tych słów żołnierz ten również zginął. Na równi z najeźdźcami, którymi pogardzał, padł ofiarą mrozu, ale jego obserwacja, że faszystów można pobić, w pewien sposób złagodziła zimę. Agiejew to rozumiał. „Jestem w wyjątkowym nastroju — pisał do żony. — Gdybyś tylko wiedziała, byłabyś równie szczęśliwa jak ja. Wyobraź sobie, fryce uciekają przed nami!”¹³⁹

Pali i uśmerca

Wreszcie wśród ponurej masy obietnic pojawił się okruch prawdziwej nadziei. Rok wcześniej, kiedy armia niemiecka zawróciła spod Moskwy, przyszła ulga, odbyły się nawet skromne uroczystości. Jednak kryzys był zbyt głęboki, a szok po napaści zbyt świeży, aby ktokolwiek wyczuł prawdziwą odmianę losu. Teraz, niczym pierwsza lutowa złudna oznaka wiosny, natarcie Armii Czerwonej na zachód jawiło się jako zapowiedź rychłego pokoju. 26 stycznia Woroneż wpadł w ręce postępujących sił generała Golikowa. 8 lutego Armia Czerwona weszła do Kurska. Już sześć dni później odzyskała Rostów, a 16 lutego wyzwoliła Charków, największe i najważniejsze miasto regionu. Odzyskane miejsca były wyludnionymi szkieletami miast; siedliskami strachu i głodu, przestępczości i wzajemnych podejrzeń. Zaminowane lub podziurawione pociskami budynki mieszkalne stały bez okien, nie było prądu ani wody. Nierówna ziemia pod topniejącym śniegiem ukrywała masowe groby. Ludzie, którzy widzieli to wszystko, nie potrafili opisać swojego przygnębienia. Jednak propagandyści Stalina dostarczali wyłącznie obrazów triumfu. Wróg uciekał, a kiedy zostanie przegnany do swego legowiska i pokonany, zmarli zaś pomszczeni, radziecki naród przystąpi do budowy nowego, jeszcze lepszego świata.

Politycy pospiesznie zaczęli przypisywać zwycięstwo sobie. Armia Czerwona, „armia, która broni pokoju i *przyjaźni* między ludźmi ze wszystkich krajów”, jak nazwał ją Stalin w lutym, w dwudziestą piątą rocznicę jej powstania, pławiła się w głośnych pochwałach. „Toczyła ona historyczną walkę bez precedensu w całej historii”, „jej

mężni żołnierze, dowódcy i oficerowie polityczni okryli jej sztandary wieczną chwałą¹. Jednak zwykli żołnierze nie dokonali tego sami. Teraz, kiedy znalazły się powody do dumy, wielkiego znaczenia nabrała rola Stalina. Jego mądre przywództwo, jego „wojskowy geniusz”, zaczęły się pojawiać w wyjaśnieniach sukcesu, za który dziesiątki tysięcy ludzi zapłaciło życiem. Również partia występowała obecnie jako przewodniczka i nauczycielka mas. Ludzie mogli uważać wojnę za własną, za epicką walkę o wolność i godność, ale ich przywódcy przystąpili już do pracy. Pierwsze muzeum wielkiej wojny ojczyźnianej powstało w marcu 1943 roku². Wersja wojny, jaką zaczęło prezentować, wkrótce stanie się modelem dla oficjalnej prawdy.

Narodziny słynnego mitu wojennego starannie wyreżyserowano. Cenzorzy dopilnowali, żeby słowa typu „odwrot” i „kapitulacja” zniknęły z kronik operacji Armii Czerwonej, jednak, co bardziej okrutne, zatajali też prawdziwą wielkość strat w ludziach. Zwycięstwo pod Stalingradem kosztowało życie prawie pół miliona radzieckich żołnierzy i lotników, ale prawda ta została ukryta. Przez cały ten czas, nawet w Berlinie, Armia Czerwona straciła więcej mężczyzn i kobiet niż strona, którą pokonała. Średnio radzieckie straty przewyższały liczbę ofiar wroga przynajmniej trzykrotnie³, choć robiono wszystko, żeby zataić te statystyki. Poległych czerwonoarmistów nie rejestrowano w sytuacjach, gdy brakowało czasu, żeby oznaczyć masowe groby, nie mówiąc już o policzeniu złożonych w nich ciał⁴. Presja ta osłabła nieco po 1943 roku, ale mimo to nadal powszechna była w armii praktyka pomniejszania w raportach strat, czy nawet liczby grzebanych ciał. Groby zawierające setki zwłok opisywano nazwiskami trzydziestu żołnierzy⁵. Tymczasem oficjalne raporty zaniżały liczbę ofiar — jak również wielkość strat w sprzęcie wojskowym - podając jednocześnie szczegółowo dane o zabitych po stronie niemieckiej. Cenzurowano również uczucia. Dopuszczony był smutek - dopóki wywoływał w żołnierzach chęć zemsty — ale o innych reakcjach na niebezpieczeństwo i cierpienie nie mówiło się głośno. Sowinformbiuro dbało, żeby publikacje nie wspominały ani słowem o strachu

czy zwątpieniu. W 1943 roku nawet pierwszy rok wojny został przedstawiony na nowo - jako opowieść o wielkich bohaterskich czynach⁶.

Cenzura odniosła sukces. Jeszcze sześćdziesiąt lat później panowało narzucone milczenie. W tym wypadku polityka rządu powiodła się, gdyż odwoływano się do dużo głębszych instynktów i pragnień; ludzie raczej nie lubią rozpamiętywać bólu. Oficjalna wersja, ta wspanialsza, odpowiadała i żołnierzom, i państwu. Była mimo wszystko prostsza i dodawała godności — w stalinowskich kategoriach - weteranom. Własne wspomnienia, te prawdziwe, zaczęły wyglądać dziwnie, niczym fragmenty kolorowego obrazu naklejone na czarno-biały. Niektóre zresztą wciąż tak wyglądają. W 2002 roku Ilja Niemanow borykał się ze wspomnieniem własnej reakcji na ciężką ranę, jaką odniósł w 1943 roku. Niemiecki pocisk rozerwał mu prawy bok i w pierwszej chwili Niemanow pomyślał: „To już koniec”. Ale przez głowę przeleciały mu też inne myśli. „Pamiętam, że zanim jeszcze zaczęła się wojna, moja matka mówiła, że nie zabiją mnie, ale stracę rękę - wspominał. - A potem, podczas walk, w jednym ze schronów kolega wyjaśnił mi, że jeśli dostanie się w rękę, trzeba się upierać przy przyszcyciu palców, ponieważ jeśli to się uda, a wciąż będą tam nerwy, można uratować całą dłoń”⁷. Te myśli nawiedzały go, gdy krwawił na ziemię, czekając na ratunek lub śmierć. Jednak przesady nie stanowiły części oficjalnej historii radzieckiej wojny, takie osobiste wspomnienia zaś niezwykle trudno było wydobyć, gdy operacje postępowały, a co dopiero, gdy się skończyły.

Ambicje cenzorów były zdumiewające. Niemanow przypomniał mi o innym wypadku, bardziej obrazowym niż jego opowieść. W styczniu 1943 roku została przerwana blokada Leningradu. Miasto wciąż narażone było na niemiecki ostrzał, wciąż okrażone, ale teraz konwoje z lekarstwami, paliwem i mąką docierały koleją tam, dokąd wcześniej wiodła krucha - i sezonowa - droga przez zamarznięte jezioro Ładoga. Kolejny rok minął, nim Leningrad został całkowicie oswobodzony, jednak zrozpaczeni pozostali przy życiu mieszkańcy wreszcie poczuli ulgę. Chwila aż prosiła się o refleksję, żalobę i jakieś ciche ceremonie, lecz dla ludzi Stalina było to propagandowe pole minowe. Nie chcieli zwracać uwagi na fakt, że Rosjanie zostali porzuceni i skazani na śmierć głodową, a zakaz dyskusji na ten temat dosięgnął też armii. Wiosną 1943 roku żołnierz

przydzielony do jednostki Niemanowa z Frontu Wołchowskiego koło Leningradu próbował opisać oblężenie nowym kolegom, ale zniknął, aresztowany. „Wspomniał o głodzie - zapamiętał Niema-now. — O czymś takim nie powinniśmy słuchać”.

Olga Bergholc, poetka leningradzkiej blokady, odkryła to samo, gdy pod koniec 1942 roku odwiedziła Moskwę, by przekazać przez radio swe refleksje na temat oblężenia. „Przekonałam się, że nic tu nie wiedzą o Leningradzie - napisała do rodziny. - Nikt nie ma zielonego pojęcia, przez co przechodzi miasto. Powiadają, że lenin-gradczyacy są bohaterami, ale nie wiedzą, na czym polega to bohaterstwo. Nie wiedzą, że głodujemy, nie wiedzą, że ludzie umierają z głodu. (...) Nie mogłam otworzyć ust w radiu, ponieważ powiedzieli mi: »Możecie mówić o wszystkim, ale żadnych wzmianek o głodzie. Żadnych, żadnych. O odwadze, o heroizmie leningrad-czyków, bo tego nam trzeba. (...) Ale ani słowa o głodzie«”⁸.

Jak zwykle w surrealistycznym radzieckim świecie, ludzi proszono, żeby mówili jedno, żeby podpisywali się publicznie pod jedną wersją, podczas gdy w rzeczywistości myśleli, przynajmniej częściowo, co innego. Armia Czerwona, wybawicielka ludzi, stała się głównym obiektem mitów. Gdzieś w Sowinformbiurze powstał zestaw stereotypowych klisz propagandowych — szlachetnego

wojownika, odważnego syna Rosji, buntowniczego partyzanta. Dobrano prawdziwych ludzi, by reprezentowali poszczególne typy, gdyż przykładów bohaterstwa nie brakowało, jednak Zoja Kosmode-mianska, zamęczona partyzantka, czy Wasilij Zajcew, stalingradzki snajper, stali się ideałami równie inspirującymi i popularnymi — a także typowymi - jak gwiazdy sportu czy święci. Wśród czerwo-noarmistów typem herosa niemal zawsze byli snajperzy, lotnicy lub członkowie skazanych na zagładę załóg czołgów. Byli stosunkowo wykształceni i sympatyzowali z partią, tak więc - jeśli jeszcze żyli, gdy nadeszła sława - zachowywali się odpowiednio podczas publicznych występów. Chociaż prasa typowała na gwiazdy dziesiątki szeregowców, styl i wartości reprezentowane przez tych ludzi przypominały zachowanie oficerów, a z pewnością komunistów. Kulturę szeregowców, mroczny świat prawdziwych żołnierzy, sychano na margines.

Żołnierze dostosowywali się do tych podwójnych standardów. Wydawało się, że mieli co najmniej dwie kultury: oficjalną, która obejmowała wszystko, co pozwalano im robić przed oficerami i dziennikarzami, oraz ukrytą, niemal plemienną kulturę wódki, machorki, melodyjnych powiedzeń — spontanicznych wierszyków — zwanych *czastuszkami* i prostych chłopskich żartów. Dawid Sa-mojłow, który obserwował żołnierzy okiem poety, podsumował tę elastyczność. W obecności oficera, napisał, rosyjski żołnierz staje się „karny i małomówny”. Być może brakowało wspólnego języka mogącego zjednoczyć dowódcę i żołnierza pomimo różnicy ideologii i rang; może też nie było wiele do powiedzenia. Z pewnością brakowało czasu na gadanie podczas bitwy, gdy — jak mówił Samo-jłow - milczący szeregowiec mógł się okazać „bohaterem”. Znaczący był też sposób jego umierania. „Nie porzuci kolegi w opałach — napisał Samo-jłow. - Umiera po męsku i fachowo, jakby to było jego rzemiosło”. Jednak posłuszeństwo i stres miały swoją cenę. Kiedy oficerowie znikali z pola widzenia, ten sam żołnierz, zauważał Samo-jłow, staje się „płaczliwy i obelżywy. Przechwala się i grozi. Gotów jest zaatakować cokolwiek i bez powodu rzucić się do bitki”. Nie wynikało to tylko z nieokrziesania. „Ta drażliwość - dodaje Samo-jłow - dowodzi, że życie żołnierza jest dla niego ciężarem”⁹.

W 1943 roku armia walczyła od dwóch lat, a niemal każdy jej szczebel poniżej najwyższego dowództwa zdominowali rekruci, któ-ych kariery wojskowe zaczęły się w chwili niemieckiego ataku. Przepaść między oficerami a żołnierzami zmniejszała się. Nikt nie wątpił we wspólną sprawę, dla której wszyscy pracowali, a jedność nterosów miała kluczowe znaczenie dla morale. Lepszy młodzi ofi-erowie, w tym Samo-jłow, próbowali spotkać się z ludźmi w pół Irogi, zamiast ukrywać się za przywilejami. Chociaż miał prawo do)sobnych racji i prywatnej kwatery, Lew Lwowicz jadał z żołnierza-ni swego pułku, dzieląc z nimi cienką zupę i kaszę gryczaną, zwaną >rzez wszystkich szrapnelem.

Młodsze mu oficerowi, takiemu jak on, łatwiej było się zaprzy-ażnić z żołnierzami, gdyż na tym etapie wojny różnica doświad-zeń między nimi niemal się zatarła. Armia Czerwona z 1941 roku trawie zniknęła. Dwudziestosześcioletni porucznik, z głową pełną

rad wuja, który służył za Mikołaja II, zamierzał dodawać otuchy młodzieży i wiekowym rezerwistom, a nie cynicznym weteranom. Łatwiejsze stało się też zapamiętanie nazwisk, ponieważ jego oddział nigdy nie był kompletny. Jako porucznik Lwowicz powinien dowodzić 120 piechurami, ale rzadko miał ich więcej niż 60. Zawsze brakowało rekrutów i rezerw, by uzupełniać jednostki Armii Czerwonej do pełnego stanu. Oznaczało to, że młody oficer mógł osobiście porozmawiać z przerażonym żółtodziobem, chociaż „odrobina przekleństw często stanowiła najlepszy środek dla całej reszty”. Dobre stosunki się opłacały. Jak wspominał, żołnierze traktowali jako zabawę pozbycie się podczas akcji znieawidzonego oficera, co planowali też towarzysze Samo-jłowa.

„To się zdarzało - zapewniał mnie Lew Lwowicz. — I to dość często”¹⁰.

Nawet jednak najlepsi oficerowie nie mogli całkowicie zasypać przepaści między pólanalfabetami a ludźmi umiejącymi czytać, między tymi z miast a całą resztą. „Była to ostatnia rosyjska wojna - napisał Samojłow - podczas której większość żołnierzy stanowili chłopci”¹¹. Prawda, że byli teraz kolchoźnikami i Sowietami, a nie archetypicznymi synami ziemi Tołstoja, lecz nadal nie interesowało ich robienie notatek. Podczas wojny partia pisała sama, głosy mas żołnierskich zaś zostały przeredagowane lub zatracone. Oficerowie polityczni zapisywali czasem ich rozmowy, ale tylko wtedy, gdy komentarze czerwoarmistów dotyczyły tematów interesujących samych politruków - komunizmu, rozkazów Stalina, przeglądu najnowszych wiadomości. Kultura żołnierzy, źródło ich ducha bojowego i morale, ich przetrwania i zapewne też przetrwania samej Rosji, zniknęła wraz z opadającym pyłem bitewnym. Dziś żyje niewielu ocalałych, ale nawet oni spoglądają wstecz przez mgłę czasu, ponadto wpłynęły na nich powojenne gazety i filmy. By sięgnąć do świata piechurów, trzeba szukać poza zasięgiem pamięci, poza stosami zakurzonych akt. Nawet ich współcześni, moskiewscy oficerowie sztabowi i urzędnicy, mieli problemy ze zrozumieniem prawdziwego żołnierskiego życia. Wieś była czymś egzotycznym, niemal obcym dla dygnitarzy Stalina, miejscem dla etnografów i folklorystów. W 1943 roku armia, ze swą ścisłą hierarchią, męskimi przyjaźniami i brutalnością, stanowiła niemal odrębny wszechświat.

Los rządził tym wszechświatem w takim samym stopniu, w jakim pogoda decydowała o jakości życia żołnierzy. Gdyby ludzie ci trzymali się regulaminów, nie mieliby własnego życia, prawa uniknięcia niebezpieczeństwa ani możliwości przekazania, dokąd zostali posłani na śmierć, a nawet co będą jedli wieczorem. W odpowiedzi rozwinęli własną kosmologię, system przepowiadania, a tym samym poskramiania zagrażającego im szaleństwa. Jej elementy były bardzo stare, odziedziczone poprzez ojców i stryjów po armiach, które pokonały Napoleona. Istniały tabu dotyczące seksu - ranny, nawet nieprzytomny, umierał, jeśli dotknął swych genitaliów — przeklinania i wkładania czystej bielizny przed bitwą. Wiele przewidywań opierało się na kapryśkach pogody. Część żołnierzy wierzyła, że pecha przynosi przeklinanie w czasie ładowania broni, inni, że nigdy nie należy przeklinać przed walką. Pecha przynosiło też wręczenie czegośkolwiek koledze przed bitwą, a żołnierze opowiadali historie o pożyczonych płaszczach, które ściągnęły śmierć¹². Wojskowi mieli również ulubione talizmany. Wielu nosiło w kieszeni bluzy fotografie, inni kopie miłosnego wiersza Konstantina Simonowa *Czekaj na mnie*, złożone na sercu. Weterani wyjaśniali, że przynosiło to szczęście. Było też bezpieczne. Oficerowie NKWD przeszukiwali kieszenie żołnierzy przed każdą operacją, a jeśli odkryli jakąkolwiek osobistą - nie mówiąc o obciążającej - informację, jej posiadacza czekało ciężkie przesłuchanie. Kawałek papieru, taki jak inne, dodawał otuchy, a równocześnie nie narażał na zarzuty.

Religia budziła wśród żołnierzy kontrowersje. Modlitwa zawsze była sprawą kobiet. Od 1917 roku partia uczyła wszystkich, że religia jest przestarzałym reliktem. Politrucy i liczni komsomolcy w szeregach armii zgadzali się z tym. Jak wyjaśniał mi jeden z nich: „Kiedy widzisz popełniane minuta po minucie okrucieństwa, myślisz po prostu: »Boże! Jeśli rzeczywiście jesteś wszechmocny i sprawiedliwy, jak możesz pozwolić tylu duszom cierpieć te męki i ginąć?« festem komunistą, ateistą i materialistą. Do szpiku kości”. Armia Czerwona zadawała kłam staremu powiedzeniu, że „nie ma ateistów w okopach”¹³. Ale choć przedstawiciele tego pokolenia rzadko Jodzili do cerkwi, wszyscy widzieli chłopaków noszących na szyi irebrne krzyżyki, ukrywających je pod koszulami i wyjaśniających,

gdy ich atakowano, że to prezenty od babć. Niektórzy sami robili krzyżyki, wycinając je ze starych puszek¹⁴. „Gdy szli na śmierć, palili legitymacje partyjne — wspominał weteran. — Nie wyrzucali jednak krzyżyków”. Bardzo wielu szeregowców - może nawet większość -robiło w pradawny rosyjski sposób znak krzyża przed ruszeniem w bój. Gesty i słowa były totemami; echami raczej niż formalnymi oznakami wiary. „Mówili coś w rodzaju »Strzeż mnie Boże«, ale nie umiem powiedzieć, w co wierzyli — wyjaśniał weteran. — Sam jestem ateistą, ale nie bardzo zagorzałym. Wróciłem żywy. Chyba urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą”. „Miałem anioła stróża — stwierdził Iwan Gorin. - Cały czas czułem go u swego boku”. Anioł, powiedział mi, był w rzeczywistości duchem jego matki.

Wiara mogła się zmieniać, ale jedyną namiętnością, która pozostawała niezmienna, była miłość żołnierzy do pieśni. Śpiewali podczas marszu, podczas uroczystości i defilad. Śpiewali też, choć ciszej, w szpitalach, gdzie zmieniali słowa i wymyślali nowe rymy¹⁵. Zachowane pieśni są wzruszające i liryczne, raczej rzewne niż pełne tragizmu. Wiele to adaptowane ballady patriotyczne z 1812 roku¹⁶. Inne pisali ulubieni twórcy Stalina, włącznie z Lebidiewem-Ku-

maczem i Diemjanem Biednym. Mnożyły się, rzecz jasna, piosenki Okobietach, w większości oparte na przedwojennym szlagierze *Błę kitna wstażka*, którego słowa obiecywały to, czego mężczyźni pragnęli najbardziej: szczęśliwe zakończenie, czułe spotkanie żołnierza i jego dziewczyny. W ten sam sposób *Czekaj na mnie* Simonowa, z powtarzającym się refrenem „Czekaj na mnie, ja wrócę”, stało się ochronnym amuletem, rodzajem indywidualnego zaklęcia. Żołnierze, którzy śpiewali te słowa - szybko bowiem dopisano do nich muzykę - myśleli o własnym ocaleniu, gdyż, jak kończy się wiersz, „Tylko ty i ja będziemy wiedzieć, jak ocalałem. Tylko ty potrafisz czekać jak nikt inny”¹⁷.

Nowe ballady odmiennego rodzaju traktują o samym żołnierzu; prostym, niezłomnym i rozsądnym poborowym, który walczył za ojczyznę. Dyspozycjni poeci w rodzaju Lebidiewa-Kumacza wprowadzali do tekstów nazwisko Stalina, ale weterani twierdzą, że woleli bardziej tradycyjny materiał, a przywódca nie pojawia się, gdy śpiewają dziś swe ulubione wojenne pieśni. Najpopularniejsza była pochodząca z czasów carskich ludowa piosenka o dziewczynie imieniem Katiusza. Ten klasyczny utwór miał podczas wojny setki wersji, w tym wiele opartych na nowej roli Katiuszy - wyrzutni rakiet. „Stechniczowane” wersje *Katiuszy* kończyły się zabiciem Hitlera i jego kompanów, a jej nieziemski muzyka ogłuszała i pokonywała fryca. Piosenka żołnierska, przynajmniej w nagraniach, nie ocierała się o obsceniczną. W repertuarze nie pojawia się nawet wywrotowa ironia. Cokolwiek żołnierze śpiewali nieoficjalnie - a polityczne raporty donoszą o „prymitywnym erotyzmie” - nikt nie pozwolił folklorystom zebrać nieprzyzwoitych wersji armijnych pieśni¹⁸. Śpiewanie, podobnie jak swobodne rozmowy, stanowiło czynność publiczną. Było zakazane poza wyznaczonymi porami¹⁹.

Wszyscy wiedzieli, że piosenki mają istotne znaczenie dla morale. „Nie ma wojny bez pieśni - wspominał były partyzant. - Łatwiej umierać lub głodować, gdy się ma pieśń”²⁰. Swietłana Aleksijewicz odkryła to samo podczas rozmów z kobietami, które walczyły podczas wojny.

„Kiedy pytałam je, co najlepiej zapamiętały z chwili wyjazdu na front - napisała - odpowiedź była jednomyślna. Śpiewały swe ulubione pieśni!"²¹ Piosenki wykorzystywano nawet do uczenia

ludzi komend. W 1941 roku dwóch sierżantów napisało balladę, którą śpiewali, fałszując, nowym rekrutom. Była to historia miłosna, a każda linijka zawierała komendę, którą wszyscy żołnierze musieli znać: w lewo zwrot, w prawo zwrot, padnij, baczność, ognia!²² Piosenka przyjęła się w innych kompaniach i w końcu żołnierze śpiewali ją jako rodzaj żartu, naśladując głosy sierżantów i dowódców w rolach dziewczyny i jej naiwnego kochanka.

Sedno w tym, że muzyka tego rodzaju działała lepiej niż sztywne, wykuwane na blachę nauki politruków. Wojenne melodie były śpiewne, łatwo wpadały w ucho i dawały się nucić. O ich atrakcyjności świadczy to, że nawet przeciwnik był pod ich urokiem. W późniejszym okresie wojny artylerzyści jednego z radzieckich pułków ze zdumieniem usłyszeli, że niemiecki akordeonista po drugiej stronie ziemi niczyjej gra pieśń, którą śpiewali podczas rozbijania obozu. Kilka dni później w leju po bombie koło ich stanowisk znaleziono kawałek papieru z prośbą, w łamanym rosyjskim, o słowa do melodii²³.

Poezja miała dla morale równie wielkie znaczenie jak piosenka, a te dwie dziedziny często się zazębiały. Wiersze były czymś naturalnym dla Rosjan, nawet chłopów, którym przypominały ustną kulturę niedawnej przeszłości, słuchali też chętnie recytacji ulubionych utworów. Najślynniejszy z nich, *Wasilij Tiorkin* Aleksandra Twar-dowskiego, opisywał zwykłego żołnierza, dzielną, acz niedoskonałą istotę, która znosi ostrzał, forsowne marsze, a nawet przeprawy przez lodowate rzeki z tym samym niezmiennym dobrym humorem i niezachwianym poczuciem obowiązku. Co najważniejsze, Tiorkin zawsze przeżywał, chociaż jego towarzysze często kładli już na nim krzyżyk. „Chłopaki - to on!" - krzyczeli, gdy wychodził cało z kolejnej opresji. Tym razem przeprawił się przez lodowatą rzekę, w której „nawet rybom musi być zimno". Żołnierze stali, gapiąc się na brzeg, kiedy „Wielki jak życie, Wasilij Tiorkin/ Wstał żyw — i zaczął płynąć./Gładki i nagi, niczym z kąpieli,/ Wyszedł na brzeg". Rytm przypomina Tennysona czy Longfellowa, podobnie zresztą słowa komiksowej narracji, lecz Tiorkin jest rosyjski do szpiku kości. Gdy lekarz naciera go alkoholem w namiocie sanitarnym, Wasilij siada i słabo prosi o wódkę: „Szkoda jej na moją skórę!/ Dajcie szklanekę -a wróć do życia"²⁴.

Wiersz był łatwy do nauczenia, przyjemny w recytacji i cenny, ponieważ kondensował emocje do stopnia, jaki wydawał się typowy podczas wojny. Ucząc się cudzych utworów, żołnierze tworzyli też własne wiersze i aforyzmy. Ich listy do domu pełne były poezji: niezgrabnych rymów o miłości i tęsknocie, poruszających patriotycznych ód. Pozostając w zgodzie z duchem czasu, część pisała o czerwonym sztandarze lub partii komunistycznej. Bardziej romantyczni czerpali ze słynnego publikowanego wiersza. *Czekaj na mnie* Simonowa dał początek tysiącom wojennych wierszy miłosnych, podczas gdy inni odwoływali się do rosyjskiego krajobrazu lub bohaterskich czynów. Ci, którzy nie mogli pisać, zapamiętywali

I rozwijali krótkie ludowe wierszyki, *czastuszki*, od pokoleń układane przez chłopów. Część z nich wykorzystywali politrucy, adaptując ludowe tematy losu i ojczyzny do współczesnego świata Stalina i partii. Jednak *czastuszki* wpadały w ucho równie łatwo jak limeryki. Żołnierze tworzyli ich tysiące, a tematyka obejmowała wszystko,

od żalu i nieszczęśliwej miłości do nieprawidłowości podczas służby. „Powiedz mi/ W imię Boże./ Czy moja ukochana żyje/ W Stalingradzie” - mówił jeden. Nowiny często były złe. „Z daleka pisze brat:/ Ukochana siostrzyczko,/ Na moich oczach zabili/ Twego umiłowanego”. „Dostałem liścik - brzmiał inny - że cenzor odszedł./ zmarł bohatersko,/ Ale list nie mówi nic więcej”²⁵.

Dzięki *czasPuszkom* folklorysty mogli dokładniej przyjrzeć się uwielbianemu przez żołnierzy szorstkiemu humorowi. Na starość Krupianska, słynna etnograf czasów wojny, powiedziała swym współ-pracownikom, że cenzorzy *zakazali* jej notować teksty erotyczne, atyryczne, wywrotowe lub kryminalne. Nie pozwolono jej zapisywać słów oczerniających mniejszości narodowe, łącznie z Żydami, i zebrane przez nią pieśni nie mogły być publikowane, jeśli nie miały patriotycznej wymowy²⁶. Ta ścisła poprawność polityczna gwałtownie, że badaczka pominie dużą część rzeczywistości. Pieśni powiedzenia, które trafiły do radzieckich antologii żołnierskiej tradycji, są sztywne, układowe i stalinowskie. Ich wymowa była prawdziwym elementem wojennego stylu - ludzie naprawdę wierzyli, jakąś ząstką swych umysłów, w ostateczny triumf cnotliwego komunizmu — lecz utwory te nie dają wglądu w to, jak żołnierze radzili sobie

z ciężkim, niebezpiecznym życiem. Humor, w większości pieprzny i bardzo czarny, stanowił zasadniczą część frontowej codzienności.

Problemem dla ludzi z zewnątrz, którzy pragnęliby dowiedzieć się więcej - czy to etnografów z czasów wojny, czy współczesnych nam historyków — jest to, że język żołnierzy miał oddzielać obcych od ich własnych, zamkniętych grup. Między sobą czerwonoarmiści okraszali wypowiedzi takimi zwrotami, że nawet dziś niewielu chce je powtarzać. W swej rozwiniętej formie obscena urosły do rangi równoległego języka na skalę rymowanego slangu cockneyów*. Określeniem tego — i tematem wielu wulgarnych seksualnych docinków — była „mat”, matka. Nikt z zewnątrz nie pojąłby karkołomnych odmian owego słowa. Prawdziwy żołnierz nie tylko przeklinał, on używał „piętrowych mąci”, nawarstwiając przekleństwa. Było to szorstkie, twórcze, barwne i ekskluzywne; wyłącznie dla kumpli. Niewiele z tego - o ile w ogóle cokolwiek - trafiło do historii stalinowskiej wojny.

Podobnie było z żołnierskim humorem. Lew Puszkariow starał się o tytuł naukowy w dziedzinie etnografii, gdy wybuchła wojna. Postanowił wykorzystać pobyt w armii do zebrania materiału do rozprawy o żołnierskiej kulturze. NKWD szybko znalazło jego notatki. Najpierw agenci chcieli je skonfiskować, ale kiedy ustalili, skontaktowawszy się z wydziałem Puszkariowa na Uniwersytecie Moskiewskim, że jest on prawdziwym naukowcem, pozwolili mu zostawić słowa przyzwoitych żołnierskich piosenek. Badacz wrócił do domu z walizką pełną układowych ballad i wierszy. Śmiech jednak był inną sprawą. Puszkariow zbierał też żarty. Enkawudziści już na początku przejęli notesy z nimi i zakazali mu je dalej spisywać. Humor, który podtrzymywał na duchu tyle osób i który odzwierciedlał ich autentyczny, spontaniczny głos, uznany został za zbyt niebezpieczny, by go utrwać. Gdzieś w głębinach Ministerstwa Obrony musi się znajdować teczka z przykładami nieocenzurowanych rozmów żołnierzy. Dopóki nie zostanie ujawniona, pozostaje tylko pamięć, a z jej braku jadawicie antysemityczne tyrady, które

oficerowie niemieckiego wywiadu usłyszeli od jeńców i spisali na użytek przyszłej propagandy.

Dziś weterani z trudem przypominają sobie rzeczy, które ich śmieszyły. Tyle z nich było doraźnych, opartych na dziwactwach oficerów, nie-Rosjan lub nowych ludzi w jednostce.

Niekiedy także coś sugeruje wstyd. Część żołnierzy waha się przed wspomnianiem kpin z pewnych grup etnicznych. Żarty oparte na fizjologii również mogły się kiedyś wydawać śmieszne, ale weterani się postarzelili. „Nie jestem pewien, czy mogę to pani powiedzieć” — mówili mi zwykle. Łatwo jednak było się śmiać z wroga. W 1943 roku Niemcy tak rozpaczliwie szukali rekrutów, że powoływali mężczyzn z niemal każdym kalectwem. „Przecież nie mogę być zdrowy - mówi żołnierz członkom komisji lekarskiej w Berlinie. — W Rosji odstrzelili mi obie nogi, obie ręce, oba płuca, a nawet przetrącili kręgosłup”. „W takim razie - odpowiada doktor - nie może ci się już stać nic, co by ci się nie stało wcześniej”²⁷. Takie anegdoty pasowały do pism satyrycznych, ale wypaczone radzieckie państwo stanowiło żyzny grunt dla humoru o bardziej wywrotowym charakterze. Żołnierze wiedzieli aż za dobrze, że jeśli kogoś dopadnie NKWD, oskarżenia będą absurdalne, a procedury bizantyjskie. „Musisz udowodnić — wyjaśniali dowcipnisie — że nie jesteś wielbłądem”²⁸. Inna hi-toryjka wywodzi się wprost ze świata politruków i szpiegów. Pewnego wieczoru oficer opowiada dowcip swym ludziom. Śmieją się wszyscy poza jednym, którego twarz wciąż jest smętna. Oficer każe x>litrukowi, żeby sprawdził, czy z żołnierzem wszystko w porządku. „Dostałeś złe wiadomości z domu?” - pyta politruk. Nie. Również likt w jego oddziale nie zginął ostatnio, a szeregowy nie boi się ani nie jest chory. „Więc dlaczego się nie śmiałeś?” - docieka politruk. Jestem z innego pułku — odpowiada ponurak. — To nie jest mój Iowódca”²⁹. Śmiech potrafił rozwiać ciężką atmosferę propagandy. Niekiedy pomagał również rozproszyć gęstą chmurę strachu. Innym jego kutkiem było wzmocnienie więzów wśród żołnierzy, scementowanie frontowych *przyjaźni*, które podtrzymywały ludzi w tym świecie pełnym skrajności. Reżim Stalina odnosił się podejrzliwie do wszelkich żytych grup. Przez całą wojnę szpiegdy NKWD mieli się

interesować nowymi przyjaźniami, ale zaufanie stanowiło podstawę grupy. Skuteczna taktyka wymagała, by ludzie znali swych towarzyszy i polegali na nich. Niechętnie, gdyż nienawidzili większości uczuć, przywódcy kraju zaczęli naśladować swego wroga³⁰. Od marca 1942 roku jednostki potrzebujące świeżej krwi wycofywano z frontu, zanim otrzymały uzupełnienia. Teoretycznie nowe formacje powinny się szkolić razem kilka tygodni, zanim staną w obliczu realnego zagrożenia jako grupa³¹. Nie zawsze było to możliwe, ale wiadomo, że działało. Armia amerykańska nauczyła się budować zespoły dopiero po 1945 roku, gdy przeanalizowano błędy i nauki z kampanii wojennych³².

Przyjaźnie czerwonoarmistów nie miały szans przetrwać dłużej, ale z pewnością były niezłomne. Na tym etapie wojny piechur służył ze swymi kolegami nie więcej niż trzy miesiące, zanim rana, śmierć, a nawet awans wyrwały go z grupy. „Wystarczy, że pobędziesz z kimś od dwóch do siedmiu dni — wyjaśniali żołnierze — a poznasz jego zalety, wszystkie jego uczucia, rzeczy, których w cywilu dowiadywałbyś się przez rok”³³. To dowód siły żołnierskiej lojalności, za sprawą której wielu prosiło, nawet po wyjściu ze szpitala, o przydział do dawnej jednostki³⁴. „Byliśmy jak chłopak i dziewczyna — wspominał weteran. — Jak kochankowie, można by powiedzieć. Nie znieśliśmy rozstania”. Nie mówił o homoseksualizmie. Tego tabu nikt nigdy nie złamał. Seks w każdym wypadku był ostatnią rzeczą, o jakiej myślał głodny, zmęczony i przestraszony żołnierz. Istniała różnica między linią frontu a tyłami, między okopami a oficerską stołówką. Przyjaźnie były bliskie, ale przyjemności, jakie dzielili żołnierze i o jakich rozmawiali, obejmowały jedzenie, picie, ciepło i palenie. Kiedy jednostka Dawida Samojłowa przebywała na froncie, żołnierze siedzieli godzinami, „męcząc się bez machorki”. Rozmawiali bez końca, a ulubionym tematem były opowieści o weselach. Nie interesowała ich jednak noc poślubna i seks, ani nawet myśli o miłości i o domu, ale

skala i przebieg uroczystości, którą każdy z nich zorganizował³⁵.

Wywrotowy i pełen pasji, brutalny czy mroczny, był to świat, który Sowinformbiuro za wszelką cenę starało się trzymać z dala od ludzkich oczu. „Nasi chłopcy” portretowani w radzieckiej prą-

się byli równie realistyczni jak dzielni bohaterowie komiksów. Po wojnie weterani mogli wiele zyskać na podtrzymywaniu mitu, ale istniała grupa, która nie miała nic do stracenia. Byli to *sztrafniki*, członkowie jednostek karnych. Niewielu z nich przeżyło, aby opowiedzieć swoje historie. Iwan Gorin, na przykład, ocalał jako jedyny z oddziału 330 ludzi. Cała reszta zginęła pewnego ranka, gdy posłano ich, uzbrojonych w karabiny, przez otwarty teren na okopaną baterię niemieckiej artylerii. Kiedy ten człowiek wspomina wojnę, zaczyna od więzienia.

Ojciec Gorina zniknął, kiedy wywłaszczano kułaków w 1930 roku. Opuścił żonę i dzieci i wywędrował na południe. Gorin trafił do rodziny zastępczej, która nienawidziła go za domniemane burżu-azyjne korzenie. Chłopiec żył na krawędzi nielegalnego świata, a po wybuchu wojny zajął się fałszowaniem kartek żywnościowych. Kiedy go schwytano, sędzia dał mu do wyboru: gułag albo front. Iwan już postanowił walczyć, gdyż podczas pobytu w więzieniu, w oczekiwaniu na wyrok, nasiąknął patriotycznym nastrojem. „Mnóstwo ludzi chciało iść na front — powiedział. — Nawet wśród więźniów panował entuzjazm”. Poza tym to wreszcie pozwoliłoby zakosztować życia. Wkrótce jednak wszyscy zrozumieli, że oznaczało to karę śmierci, tyle że wykonaną innymi środkami.

Sztrafniki szybko odkryli, że ich życie ma mniejszą wartość niż życie ukochanych koni Budionnego. Do jedzenia otrzymywali wyłącznie cienką szarą zupę. „Weterani mówili nam, że dostawaliśmy edną dziesiątą normalnej racji armijnej — wspominał inny ocalały. — Czy była to prawda czy nie, nasza dieta składała się z czterech pęrek zupy dziennie (...) i nieograniczonej liczby najwyższej jakości >rzekleństw”. Skazańców spędzono do obozów, w których czekali na rozkazy. Koszary te były równie mordercze jak gułagi, łączyła: też atmosfera. Można było zostać obdartym żywcem ze skóry za irzebraną w karty, można było zginąć we własnym łóżku za buty i kromkę chleba³⁶. Wszyscy żyli w obawie przed *starszyną*, recydywistami, którzy wszystkim zarządzili. Niedoświadczonemu Gorinowi wyjazd na front, nawet mimo braku przeszkolenia, wydał się ulgą. Chcieliśmy ruszyć na front możliwie jak najszybciej — opowiadał — Y uciec od męczarni w tym obozie dla rezerwistów³⁷.

Już na froncie, z bronią w ręku, Gorin stwierdził, że oficerowie traktują go z respektem. W końcu nie mieli pojęcia, którego z nich Iwan planuje zastrzelić. „Szlismy do bitwy — pamiętał inny — lecz nigdy nie wznosiliśmy okrzyków na cześć ojczyzny i Stalina. Wszyscy kleliśmy na czym świat stoi. To było »Urra!« *sztrafników*”. Gorin zgodził się z tą opinią, ale dodał, że żołnierze spoglądali na swego przywódcę z fatalistycznym szacunkiem. „Jeśli Stalin umrze - szeptali - jego miejsce zajmie inny, podobny”. Nie byli jednak wyalienowanymi anarchistami. Rosjanie bili się, bo wierzyli w prawdziwą sprawę, i nawet ocalali *sztrafniki* pamiętają swą miłość do ojczyzny. „Wszyscy chcieliśmy jej bronić — mówił Gorin. — Myślę, że kryminaliści czuli większe oddanie, większą miłość do rodzinnej ziemi niż najwyższe kierownictwo, przywódcy”. Dumę można było czerpać nawet ze śmierci. „On nie ucieknie, to *sztrafnik* — mówił weteran dziennikarzowi. - Prędzej zrobią to zwykli żołnierze³⁸”.

Przeciętne życie skazańca nie było długie, ale ich kultura — surowa i pełna energii, różniąca się od środowiska komórek partyjnych i stołówek oficerskich - wpływała na obyczaje całego frontu. To samo często odnosiło się do kryminalistów przywożonych na front z gułagów po kwietniu 1943 roku³⁹. Przetrwanie tych ludzi, rzuconych w najbardziej

morderczą z wojen, zależało od umiejętności, które nabyli wcześniej, być może już w głodujących wioskach w latach trzydziestych, a potem w twardej szkole Kołomy. Mieli chłopski talent do interesów, a instynkt przetrwania skazańca. Brutalne warunki pozwoliły im przeżyć. A mimo to większość z nich obchodził wynik wojny. „To była wojna na wyniszczenie — wspominał potem szeregowy żołnierz. - Wywołała nienawiść, pragnienie zemsty, wreszcie przekształciła się w sprawę, która zainspirowała Armię Czerwoną do zażartej walki przez cztery lata". Jednak to przywódcy, zawsze gotowi ze swymi hasłami, nadali tej sprawie oficjalne miano. „Ię sprawę nazwano »patnotyzmem« .

Świętowanie było przedwczesne. Zwycięstwo pod Stalingradem poważnie zraniło wroga, ale nie złamało go. Nie utrzymano nawet zdobyczy z lutego 1943 roku. Sowietci pozostawali w Charkowie

niecały miesiąc. W marcu miasto ponownie wpadło w ręce Niemców. Był to gorzki moment dla armii i katastrofa dla mieszkańców, którzy stanęli w obliczu zdwojonej wściekłości zdobywców i niedostatków kolejnej głodnej wiosny. Daleko, w niewyobrażalnym słońcu tunezyjskiej pustyni, wojska Montgomery'ego spychały Rommla i jego ludzi w stronę morza. Wynik wojny Związku Radzieckiego wciąż pozostawał niejasny.

Tamtej wiosny radzieccy przywódcy zebrali się, żeby rozważyć nadchodzące kampanie. 8 kwietnia Gieorgij Żuków, świeżo awansowany na marszałka Związku Radzieckiego i odznaczony pierwszym w ogóle nadanym Orderem Suworowa I klasy⁴¹, przedstawił własną ocenę najbardziej prawdopodobnych zamiarów wroga. Poważny i rzeczowy, oznajmił Sztabowi Generalnemu, że Niemcom brakuje środków do nowego ataku na Kaukaz lub wzdłuż Wołgi. Jednak Niemcy nie zostali ostatecznie pokonani. Zima im nie sprzyjała, podobnie jak wilgotne wiosenne tygodnie, gdy topniejący śnieg zmieniał ziemię w grząskie błoto. Jednak latem - tak w 1941, jak i 1942 roku — ich czołgi i konie pędziły na wschód po spieczonej ziemi, spychając Armię Czerwoną, okrążając naraz całe dywizje i wzbudzając panikę wśród całej reszty. Gdy dni się wydłużały, a poranki stawały ;oraz cieplejsze, Niemcy mogli zaatakować ponownie. Żuków wierzył, że wybiorą wąski front i wykorzystają skoncentrowane siły do Bezpośredniego uderzenia. Ich zasadniczym celem będzie Moskwa. Cios nadejdzie z miejsc, w których siły niemieckie są najsilniejsze, i konkretnie z otwartych terenów między Orłem a Białgorodem.rawdopodobnie skupią się na okolicach Kurska, miasta w strefie sarnoziemu niedaleko granicy z Ukrainą. W tym miejscu radziec-ca linia frontu wybrzuszała się na zachód, odsłaniając skrzydła od >ólnocnego zachodu do południowego zachodu. Według Żukowa itak, jeśli nastąpi, okaże się niszczący. Wehrmachtowi zaczynało brakować ludzi; tę bitwę miały wygrać lotnictwo, artyleria i czołgi⁴².

Ocena Żukowa, oparta na szczegółowych ustaleniach wywiadu •rytyjskiego, okazała się prawidłowa, chociaż trudno było określić zaś uderzenia. Wreszcie również Stalin przyjął wojskową analizę, ącnie z radą, by przede wszystkim przygotować się do zdecydowanej obrony. Wbrew temu, co pokazywała przedwojenna propa-

ganda, z obrazami śmiałych ataków na wroga umocnienia, była to strategia przyjęcia niemieckiego uderzenia tego lata i osłabienia go na kolejnych liniach obronnych. Dopiero gdy potężny atak

osłabnie, Sowieci mieli ruszyć do natarcia. Przygotowania rozpoczęły się od razu. Należało zintensyfikować szkolenie wszelkiego rodzaju specjalistów, a pierwszeństwo powinni zyskać ludzie ze średnim wykształceniem⁴³. Nawet oddziały frontowe szkolono i musztrowano, a szczególną uwagę poświęcono załogom czołgów. Już gotowe, setki tysięcy żołnierzy maszerowały nocami na południe i zachód. Przewidując ciężkie straty - co okazało się całkowicie słuszne - odnowiono, odbudowano lub wyposażono 450 szpitali i punktów sanitarnych. Dwieście z nich przeznaczono tylko dla Frontu Wołnowońskiego⁴⁴. Tymczasem wokół samego Łuku Kurskiego i w pasie 160 kilometrów za frontem oddziały cywilów i żołnierze zaczęli ryć w ziemi. W lipcu, gdy wreszcie zaczął się ostrzał, za frontem było już łącznie 4800 kilometrów okopów, tworzących regularną sieć⁴⁵. Żywność czarnoziem już obsiano też niezliczonymi tonami metalu. Przeciętnie w lipcu na każde półtora kilometra umocnień przypadało pięć tysięcy min przeciwczołgowych lub przeciwpiechotnych⁴⁶. Plan wojskowy był błyskotliwy, ale pozostawały liczne przeszkody. Pola bitew nie są kawałkami zielonego rypsu. Przyszła strefa przyfrontowa była domem tysięcy cywilów. Przez następne cztery miesiące armia weszła w nadmierne bliskie stosunki z miejscowymi. W najlepszym razie były one ciepłe i pełne uznania. Część żołnierzy znalazła przyjaciół, którzy dzielili się z nimi ostatnią kromką chleba. Tamtejsi ludzie cierpieli pod niemiecką okupacją - i przeżyli ją - a niemal każdy miał syna lub męża na froncie. Żołnierze mogli liczyć na wsparcie patriotów. „Przewodniczący spółdzielni i kołchoźnicy traktowali mnie naprawdę dobrze — napisał pod koniec 1942 roku do żony inżynier Witalij Taraniczew. — W drogę wysłali mnie jak członka rodziny: upiekli placki i ciastka, ugotowali baraninę, wcisnęli trochę machorki i takie tam; zgodziłem się pisać do przewodniczącego, siedemdziesięcioletniego mężczyzny, który ma czterech synów na froncie”⁴⁷. Wszystko szło dobrze, ale w tym momencie Taraniczew znajdował się dość daleko za liniami, wciąż w rezerwie. Jego gospodarze nie widzieli wojny tak jak chłopcy z obwodu kurskie-

go. Wiosną i latem 1943 roku część strefy czarnoziemów dla nikogo nie była *przyjazna*..

„Mamy bardzo dobre warunki”, napisał Aleksandr Slesariow do ojca, również czerwonoarmisty. Młody człowiek podróżował od kilku tygodni, ale teraz wraz z kolegami musiał się okopywać. „Mieszkamy niedaleko lasu, oczywiście w ziemiance. Jedzenie jest pierwszorzędne, a poza tym dostajemy dodatkowe racje, bo jesteśmy na froncie. Mam interesującą pracę i dużo jeżdżę”. Skarżył się jedynie, a jego zdanie podzielali też inni tamtej wiosny, że „nie ma wiele wolnego czasu”⁴⁸. Slesariow, pochodzący ze Smoleńska, znalazł się w nowo sformowanej 1. Armii Pancernej Gwardii. Miał spędzić łosną na ćwiczeniach, poprawiając koordynację i taktykę w polu, której tak bardzo brakowało jednostkom pancernym w poprzednich atakach. Rzeczywiście miał wiele zajęć, szczególnie w swej elitarniej jednostce, ale kwestie wojskowe ponownie musiały ustąpić przed innymi zadaniami. Tamtej wiosny nawet czołgiści pomagali w kołchozach i pracowali z inżynierami, którzy mieli odbudować linie komunikacyjne, składy i szpitale w regionie.

Nikołaj Bielow był wciąż ze swoją dywizją. Stacjonował w pobliżu Małoarchangielska w obwodzie orłowskim i także bardzo ciężko pracował. „Przechodzimy bardzo intensywne szkolenie — napisał w dzienniku. - Znowu trzeba się będzie poważnie przyłożyć, a zajęcia są męczące”. Był wyczerpany, lecz działanie mu służyło. 22 maja, po trzech tygodniach spędzonych w przyfrontowym obozie, „przywyłem nieco do pracy”. Tej wiosny miały go zajmować głównie sprawy praktyczne, nie zaś przygnębienie. „Pułk nie przyszedł jeszcze do siebie” - stwierdził. Szkolenie już wkrótce miało to zmienić. Ale Bielow nic nie mógł poradzić na brak broni i innego sprzętu⁴⁹.

Żołnierzy z pułku Bielowa nie bawiło oczekiwanie ani musztra, Bielow notował nieustanny

strumyk dezertorów. 27 maja pięciu czerwonoarmistów prześliznęło się na niemiecką stronę. „Trudno uznać, co do tego doprowadziło - napisał. - Najwyraźniej ogólnie: zmęczenie”. Niemcy *zrzucali też* ulotki, utrzymujące, że przejście i drugą stronę pozwoli żołnierzom ocalić życie. 30 maja zniknęło deptych dwóch ludzi; „to prawdziwy koszmar” - skomentował ełow. Jeden z nich, zauważył, był kandydatem na członka partii⁵⁰.

Z miesiąca na miesiąc liczba czerwonoarmistów przechodzących na stronę wroga zdawała się rosnać. W lutym wywiad niemiecki naliczył ich nieco ponad 1000. W kwietniu liczba ta wzrosła do 1964, w maju — 2424, a w czerwcu — 2555⁵¹. Dane te nie oddają jednak rzeczywistości. Po pierwsze, uciekinierzy nie zawsze kierowali się za niemieckie linie. Gdy Armia Czerwona posuwała się na zachód, en-kawudziści przeczesywali zbombardowane miasta w poszukiwaniu dezertorów przebranych za cywilów. Kursk i okolice okazały się ich pełne. Wielu przez całe życie było przestępcami, inni dopiero zaczęli przestępczą karierę. W marcu 1943 roku, na przykład, kurskie NKWD donosiło o dezertorze nazwiskiem Ozierow, który w 1942 roku zbiegł do strefy okupowanej. Skazany przed wojną, ponownie dopuścił się przemy, pobiwszy i zamordowawszy ukrywającą go kobietę i jej starą matkę. Został złapany i rozstrzelany⁵².

Sam Kursk był morzem ruin. Przez czternaście miesięcy okupanci plądrowali fabryki i magazyny, niszczyli budynki publiczne i mordowali ludzi. Ci, których nie zabili ani nie wywieźli, zostali wydani na pastwę głodu i chorób nędzy i brudu — tyfusu, dyzente-rii, gruźlicy i syfilisu. Mieszkańcy, którzy dożyli wkroczenia Armii Czerwonej, widzieli sceny, jakich nigdy nie zapomną, ale nauczyli się też, że przetrwanie zależy od niezwykłych umiejętności. Gdy miasto opustoszało pod koniec 1941 roku, pozostawieni sami sobie rozkradli wszystko, co zdołali unieść. Wiele miesięcy później zajęli się też zapasami pozostawionymi przez wycofujących się Niemców. Teraz, gdy w Kursku znów zaroilo się od żołnierzy, miejscowi zdobywali środki na jedzenie, sprzedając swe nietypowe zasoby. Milicja zatrzymała w marcu kobietę, która handlowała prześcieradłami. Po przeszukaniu jej mieszkania została ukarana grzywną za posiadanie dwóch materaców, trzech koców, 40 żarówek i 18 kilogramów mydła. To ostatnie traktowano jako rodzaj waluty. U pewnego mężczyzny znaleziono 67 kostek, wyniesionych z magazynów armii niemieckiej, a także osiem par spodni, cztery pary żołnierskich butów, trzy wełniane koce i maszynę do szycia. Inny miał 10 kostek mydła domowej roboty, 87 konserw mięsnych i 500 niemieckich papierosów. Wśród pozostałych łupów znalazły się niemieckie rowery i wózki pełne doskonałej mąki⁵³.

Kara za przechowywanie artykułów spożywczych rzadko była poważna. Inaczej rzecz się miała z bronią. Brutalne przestępstwa, łącznie z rabunkami i gwałtami, stały się codziennością. Broni łatwo było dostać, a osieroceni nastolatki i dezertorzy chętnie tworzyli bandy. Dezertorzy żyli też z kradzieży portfeli na ulicach lub porwania świń i bydła na wsi. Tymczasem niemal codziennie dzieci odnosiły rany podczas zabaw niewypałami lub minami. W najgorszej sytuacji były jednak kobiety, które urodziły dzieci poczęte w wyniku gwałtu lub romansu z niemieckim żołnierzem. Dzieci owe nie miały teraz ojców, a kobiety żadnych środków utrzymania. Wszyscy głodowali, nie było więc sensu karmić bękartów. Przez całą wiosnę milicjanci i przechodnie znajdowali przygnębiające zawiniątka w rowach, płytkich grobach, a nawet na stosach gruzów. Urzędnicy miejscy pisali do siebie pełne niepokoju noty, ale wiedzieli, że wysiłek wojenny ma pierwszeństwo. Brakowało środków, by nadzorować cywilów w regionie, nie wspominając o wspieraniu ich⁵⁴. Zamiast tego wyczerpani miejscowi, chociaż niezdolni do pracy, mieli pomagać przy wyczerpujących zajęciach - od odbudowy dróg do kopania i roz-minowywania. W maju

władze wydały również apel do obywateli o oddawanie krwi⁵⁵.

Nie da się opisać problemów prowincji. Do wiosny 1943 roku 200 tysięcy ludzi w regionie uznano za inwalidów, sieroty lub innych wymagających wsparcia państwa w żywności i opale⁵⁶. Obszary okupowane zostały splądrowane, bydło wyrżnięte lub zagarnięte, plony zniszczone lub zrabowane. Powieszono podejrzanych o przynależność do partyzantki, a potem ukarano dla przykładu ich sąsiadów - całe społeczności. Łącznie spalono niemal 40 tysięcy łomów, ponad połowę wszystkich zabudowań w regionie⁵⁷. Wielu wiorowych dorosłych wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy. Wśród nich nie znalazł nikt, kto mógłby odbudowywać domy, orać pola czy zbierać resztki zeszłorocznych plonów. Przerażone gospodynie, w tym wiele wdów lub samotnych matek, często nie zdołały obsiać ziemi, gdyż w 1942 roku stopniał śnieg. Kołchozy przedstawiały księżycowy [rajobraz wypalonych krzaków i cierni, pokrzyw i perzu. Jednak Armia Czerwona również przyczyniła się do tych zniszczeń. Obrad kurski znajdował się na linii frontu od września 1942 roku. By

przygotować kampanię 1942/1943 roku, armia ewakuowała cywilów, którzy mieszkali 12 (czasem 15 lub 20) kilometrów od frontu. To, co nastąpiło, niekiedy przypominało wojnę domową. Nie była to cała prawda zachodnia Ukraina czy kraje bałtyckie, gdzie Armia Czerwona napotkała rok później opór podczas narzucania władzy radzieckiej. Jednak Kursk miał udowodnić, że żołnierze nie zawsze byli ciepło witani nawet wśród rdzennych Rosjan.

Problemy zaczęły się jesienią 1942 roku. Kiedy żołnierze 13. i 38. Armii przybyli we wrześniu do strefy przyfrontowej, żeby ewakuować wsie, ludność sprzeciwiła im się gremialnie. Późniejsze raporty sugerowały, że operację sknocono, pozwalając chłopom zebrać się i podsycić gniew. Jednak prawdziwy problem, co przyznały nawet władze, polegał na tym, że miejscowi bali się oszustwa. Była to w końcu armia, która przegrywała bitwy, armia, która musiała się jeszcze wykazać pod Stalingradem, a teraz chciała zabrać ludziom krowy i świnie i wywieźć całe rodziny z ich domów. Kampania ta wyglądała jak powtórka zniechęconego procesu kolektywizacji. Wtedy również gdzieś wykorzystano żołnierzy, a ludzi i zwierzęta wywożono w taki sam brutalny sposób. Teraz zaś żołnierze wrócili, by znów wszystko ukraść. Wieśniakom mówiono, że dostaną talony za stracone zwierzęta, i zapewniano ich, że za frontem czekają na nich mieszkania, ale - całkiem słusznie - ludzie nie wierzyli w ani jedno słowo.

Głód i strach jeszcze podsyciły gniew chłopów. Tłumy, które zebrały się, by dać odpór żołnierzom, były wielkie i zorganizowane: 200 osób w jednym okręgu, 300 „uzbrojonych w widły, łopaty i siekiery” w innym, podczas gdy w trzecim „150 kobiet i młodzieży, w większości uzbrojonych w kije, cegły i temu podobne”. Zdesperowany tłum rzucał w żołnierzy kamieniami, kobiety zaś szydziły z nich, krzycząc: „dezterzy” i „kryminaliści”. „Jeśli spróbujesz mnie ewakuować - powiedział starszy mężczyzna lokalnemu urzędnikowi - zabiję cię. Naostrzyłem siekiery i mogę cię zabić co najmniej sześciu ludzi. A moja żona i córka zabiją jeszcze po dwóch, więc na pewno będzie was dziesiątka. A jeśli w każdym domu zabiją dziesięciu, to nie będzie ewakuacji, prawda?”⁵⁸

Groźby nie były rzucane na wiatr. 13. Armia powstrzymała się od

ewakuowania przydzielonych jej stref, ale kiedy żołnierze 38. Armii wrócili do wiosek, w których wcześniej gromadziły się tłumy, stanęli w obliczu rozwścieczonego, uzbrojonego motłochu. 13 października odparli ich wszyscy mieszkańcy wioski, w tym kobiety z widłami i łopatami. Następnego dnia wieśniacy z okolicznych wsi znów zaatakowali żołnierzy, wybijając zęby

jednemu i rozbijając głowę drugiemu. Ale wojsko miało już wtedy nowe rozkazy. Z pomocą sił NKWD aresztowano najaktywniej stawiających opór. Innym strzelano w nogi, co *przeraziło* tłum. Nie przysporzyło to jednak wojsku popularności. Władze obwodowe, wraz z samymi generałami, musiały teraz przywrócić miejscowym wiarę w ich obrońców. W przyszłości do ewakuacji ludności wykorzystywano wyłącznie wojska NKWD; sama Armia Czerwona nie została już wysłana przeciwko rosyjskim chłopom⁵⁹. W nadchodzących tygodniach jej opinia przewodniczki ludu wymagała szczególnej troski.

Na szczęście seria prawdziwych zwycięstw, zapoczątkowana przez Stalingrad, umocniła wkrótce wizerunek armii jako wyzwolicielki. Radzieckie wojsko pojawiające się we wsiach i miasteczkach opuszczonych przez Niemców witano łzami ostatecznej, rozpaczliwej ulgi, bez względu na to, co następowało później, gdy do dzieła zabierało się NKWD. Jednak miało upłynąć wiele czasu, zanim mieszkańcy wsi wokół Kurska ponownie, jeśli w ogóle, zaufają władzom. Nagie fakty potwierdzały te obawy. W maju i czerwcu 1943 roku, kilka tygodni przed wielkim przełomem w wojnie, generał Rokossowski odłożył na bok plany kampanii, by zająć się sprawą zaginionych w niewyjaśniony sposób dwóch krów. Nie był to pierwszy taki przypadek. Niecały tydzień wcześniej zginęły trzy zwierzęta. Znikały one i gospodarstw położonych w pobliżu żołnierskich kwater. Potem ivyszły na jaw jeszcze inne nieprawidłowości. „W ciągu następnych dni - przeczytał - ludność [w dwudziestopięciokilometrowej strefie przelazowej] oddała 80 krów, ale wystawiono tylko 30 potwierdzeń ich odbioru. Z kolchozów zniknęło także 150 koni i niemal cały sprzęt transportowy. Wszystko to — dowiedział się generał — za-cłóca prace rolnicze w gospodarstwach”⁶⁰.

Walka była tylko jednym z aspektów całego wysiłku wojennego. Wszędzie prawdziwym problemem było zdobywanie żywności. Lwią

część zabierała armia, a żołnierze z reguły jadali lepiej niż wcześniej w domach, tymczasem cywile cierpieli braku. W 1943 roku rząd wydrukował 10 tysięcy broszurek ze wskazówkami, jak gotować pokrzywy. Dwóch naukowców napisało kolejną, omawiającą zagadnienie kaloryczności dziczyzny. „Kiedy myśliwi zabijają zwierzę dla

filtra — zaczynał się tekst — często zapominają, że padlina to wartościowe mięso”. Naukowcy dowodzili, że mięso wiewiórki ma więcej kalorii niż mięso jakiegokolwiek innego gatunku poza tchórzem, a z pewnością dużo więcej od wieprzowiny. Co prawda z przeciętnej wiewiórki otrzymuje się tylko 200 gramów mięsa (przynajmniej tak twierdzili badacze), ale jest ono smaczne, w przeciwieństwie do mięsa wilka, które jest cierpkie i nadaje się wyłącznie dla świń. Wiosną w Akademii Nauk zebrała się komisja mająca sprawdzić smak i wartość odżywczą mięsa różnych zwierząt, od lisa do susła i myszy⁶¹. Podczas gdy naukowcy się objadali, cywile wciąż chodzili głodni. „Musieliśmy sprzedać większość rzeczy — napisała w marcu Natasza, żona Witalija Taraniczewa — gdyż wszystko strasznie podrożało. Wystarczy powiedzieć, że dziennie wydajemy 20 rubli na pół litra mleka dla Koli”. Ich maleńki synek musiał coś jeść. „Jeśli przestaniemy dawać mu to mleko, zostaną z niego same kości”⁶².

W rejonach przelazowych panował jeszcze większy głód. Nie było tu mężczyzn do odbudowy budynków, stodół i dróg, nie miał kto siać zbóż. Na początku sezonu uprawnego w 1943 roku w obwodzie kurskim obsiano 10 procent tego co w roku 1941. Tymczasem region potrzebował *ziarna*, by wyżywić ludność, a armia potrzebowała żywności, by utrzymać żołnierzy w dobrej formie. Kobiety pracowały jak zwierzęta, niekiedy zaprzęgając się do pługów. Ziemia była zdziczała, miała wrócić do poprzedniego stanu dopiero po latach.

Ponownie żołnierze musieli zakasać oliwkowozielone rękawy i kopać. 12 kwietnia żołnierzom

Frontu Centralnego nakazano pomóc rolnikom w siewie, orce, przy koceniu się owiec i transporcie ziarna siewnego do gospodarstw. Mieli to robić, dodawał rozkaz, „bez szkody dla swych obowiązków wojskowych”⁶³. Tymczasem, zapewne bez szkody dla produkcji żywności, z cywilów utworzono oddziały ochotnicze i posłano je do kopania okopów i rozminowywania. „To wstyd, że kiedy jedzie się przez wyzwolone wioski - napisał iv czerwcem czerwonoarmista do swej rodziny - ludność odnosi się do nas tak chłodno”⁶⁴. Cały region walczył o przetrwanie. Armie, które miały bić się na Łuku Kurskim, szkoliły się i przygotowywały wśród scen średniowiecznego zezwierzżenia.

Walki, które je czekały, nawet powietrze zmieniały w ogień. Jeśli czołgi uosabiają pewne modernistyczne marzenie, to dla Kurska jego objawienie będzie przypominało apokalipsę. Walki na Łuku Kurskim miały zaangażować więcej ciężkiej broni niż jakakolwiek operacja w całej wojnie. Tego lata czarnoziem obwodu kurskiego najeżył się łącznie 70 tysiącami dział i moździerzów, 12 tysiącami samolotów i 13 tysiącami czołgów i dział samobieżnych⁶⁵. Zgromadzono też niezliczone siły, włącznie z dziesiątkami tysięcy piechurów. Aby zapewnić sobie sukces tego kluczowego uderzenia, Niemcy ściągnęli 50 dywizji, w tym doborowe oddziały *Waffen SS* o potwierdzonym aryjskim pochodzeniu i (co ważniejsze) sprawdzonym doświadczeniu bojowym. Łącznie wokół Wina znalazło się latem 900 tysięcy niemieckich oficerów i żołnierzy, jednak Sowieci gotowi byli na ich przyjęcie. Do końca maja w labiryncie krzyżujących się okopów zgromadzili 1,3 miliona żołnierzy.

Kiedy przeciwnicy wreszcie starli się w lipcu, toczyli wojnę już od pełnych dwóch lat. Stosunki były paskudne i pełne przemocy, jednak zmuszały obie strony do uczenia się od siebie, a nawet do naśladowania. Dla Niemców oznaczało to nowe spojrzenie na technologię pancerną. W 1941 roku nie mieli oni czołgu, który ma-nowością dorównywałby radzieckiemu *T-34*. Nie mieli też odpowiednika ciężkiego czołgu *KW*, którego pancerza nie były w stanie przebić ówczesne działa przeciwpancerne. Sukcesy w walce z tymi maszynami zawdzięczali bardziej marnemu wyszkoleniu radzieckich załóg i ogólnemu nieprzygotowaniu Armii Czerwonej niż wyrafinowaniu technicznemu swego sprzętu. W odpowiedzi Berlin wprowadził dwie maszyny: *PzKpfw V Panther* i *PzKpfw VI Tiger I* - najbardziej zaawansowany technicznie czołg średni i niepokonany czołg ciężki swoich czasów. *Pantera* zapalała się rzadziej niż *T-34*, zapewniała załodze lepszą widoczność i miała radio o naprawdę wysokich parametrach. *Tygrysa* tymczasem wyposażono w sprawdzoną i nader skuteczną armatę kalibru 88 mm. Czołg mógł więc śmiertelnie ranić, a nie tylko być trudny do zniszczenia. Oprócz tych metalowych gigantów niemieckie fabryki produkowały też teraz działo samobieżne *Ferdinand*, jak również mnóstwo przetestowanych w boju moździerzy, wyrzutni rakiet i miotaczy płomieni⁶⁶.

Modele *te* były szczytowym osiągnięciem niemieckiej myśli technicznej, Wehrmacht jednak potrzebował przede wszystkim więcej czasu. Podczas całej wojny niemiecki przemysł wyprodukował zaledwie 1354 *tygrysy* i 5976 *panter*⁶⁷. W 1943 roku Sowieci wypuszczali natomiast ponad 1200 *T-34* miesięcznie⁶⁸. Jedną z przewag Armii Czerwonej tego lata polegała na większej liczbie gorszych, ale sprawnych bojowo czołgów. Niemcy mogli mieć ograniczoną liczbę najnowocześniejszych, ale generalnie Wehrmacht wciąż musiał polegać na przestarzałych modelach. Przewaga była zdecydowanie po stronie radzieckiej. W 1941 roku Armia Czerwona straciła w kilka tygodni 90 procent swych czołgów, jak również główne ośrodki produkcyjne w Charkowie i Leningradzie. Gdy fabryki czołgów zrekonstruowano na wschodzie, postanowiono

skupić się na istniejących modelach i wypuszczać je masowo, co było roztropnym posunięciem, biorąc pod uwagę, że katastrofalne straty wśród radzieckich załóg się utrzymywały. Z jedną poważną modyfikacją *T-34* był podstawowym radzieckim czołgiem przez całą wojnę.

Modyfikacje, nie wspominając o całkiem nowych modelach, oznaczały opóźnienia w fabrykach i nowe wyzwania szkoleniowe dla załóg. Zezwolono więc jedynie na ograniczoną liczbę ulepszeń, nawet po klęskach 1942 roku. *T-34 przerobiono*, by poprawić widoczność, chociaż kierowcy pamiętają, że widzieli i tak jedynie kurz i dym. Nieliczne nowe bronie udoskonaliły radziecki arsenał pojazdów opancerzonych i artylerii. Najważniejszą z nich było *SU-152*, ciężkie działo samobieżne z haubicą kalibru 152 mm. Przezywany *zwierboj*, bestiołką, jako jedyny radziecki wóz bojowy mógł pokonać w tym czasie *panterę* i *tygrysa*⁶⁹. Było to istotne, ponieważ nowe niemieckie czołgi okazały się śmiertelnie groźne nawet dla ciężkich *KW*. Równowaga technologiczna między przeciwnikami zachwia-b się i Sowietom nie mieli już dłużej przewagi. Na pewno jednak nie zamierzali zostać bez czołgów. W wypadku techniki, jak niemal w każdym innym, Armia Czerwona postawiła na masową produkcję i maksymalną prostotę.

Radzieckie przygotowania nie skupiały się wszakże wyłącznie na jczbach. W rzeczywistości w pojedynczych starciach wokół Kurska, a nawet w decydującej bitwie pod Prochorówką, obie strony dyspo-

nowały niemal równą liczbą maszyn^{70*}. W lipcu 1943 roku najważniejszą rolę odegrał czynnik ludzki, nie technologiczny. Samo-poświęcenie i niemal samobójcza odwaga były decydujące dla zwycięstwa pod Kurskiem, o czym świadczy liczba radzieckich ofiar -70 tysięcy zabitych w samej tylko fazie obronnej. Równie ważne okazało się jednak rosnące doświadczenie Armii Czerwonej. Dzięki intensywnemu szkoleniu poprawiono współpracę między załogami czołgów, lepsze było także zrozumienie roli wojsk pancernych. Czołg był teraz bronią na własnych prawach, a nie wydalającym spaliny odpowiednikiem konia. Na początku 1943 roku utworzono pięć nowych armii pancernych, w tym tę, w której służył Slesariow⁷¹. Zwiększyły się też umiejętności czołgistów w tych nowych formacjach. Slesariow zaczął służbę wojskową jako artylerzysta. Wytypowany do awansu w 1942 roku, szkolił się przez niemal rok, zanim jako porucznik objął dowodzenie nad pierwszym czołgiem. Jego kolega, dwudziestodwuletni porucznik czołgista Iwan Gusiew, opisywał presję tamtego lata. „Każdą chwilę zajmuje troska o sprzęt — napisał do najbliższych w czerwcu 1943 roku. — Czasem nie pamiętasz dnia i godziny, zapominasz o wszystkim”⁷².

Załogi, którymi dowodzili ludzie pokroju Gusiewa i Slesariowa, szkoliły się z rekordową prędkością, ale gruntowniej niż ich poprzednicy. Z powodu ewakuacji i restrukturyzacji produkcji główne szkoły wojsk pancernych umieszczono teraz przy fabrykach. Proces, jak wszystkie linie produkcyjne, był ekonomiczny i wyspecjalizowany. Ludzi szkolono w obsłudze tylko jednego modelu — na przykład *T-34*— do którego byli przydzieleni. Każdy żołnierz, strzelec czy kierowca poznawał wyłącznie jedną specjalność w ramach załogi⁷³. Na tym etapie wojny szkolenie zajmowało niecałe trzy miesiące, chociaż później zostało poszerzone. Innymi słowy, nowi czołgiści pojawiali się tak szybko, jak szybko wybijali ich Niemcy.

Wojska pancerne przyciągały sporo najlepszych rekrutów, szczególnie młodych chłopaków z miast. Częściowo wpływ miał na to urok wielkiej maszyny. O ile wieśniacy dorastali, wyobrażając sobie

siebie na traktorze, o tyle młodzież miejska marzyła o przemierzaniu rozległych ziem w

opancerzonym gigancie, kontrolowaniu jego ruchów pokrętłami i dźwigniami i obserwowaniu świata przez rząd wizjerów. Nawet Niemcy zaczęli szanować żołnierzy tego typu. „Rosjanin z miasta — napisał generał *Waffen SS* Max Simon — który bardzo interesuje się sprawami techniki, równie dobrze nadaje się do współczesnej broni pancernej jak rosyjski chłop do piechoty. (...) To zadziwiające oglądać prymitywne srodki techniczne, za pomocą których rosyjskie załogi utrzymują swe czołgi w gotowosci bojowej, i to, jak pokonują wszelkie trudności”⁷⁴.

Umiejętności czołgistów nie ograniczały się do wiedzy, gdzie włożyć klucz. U tych synów fabryk Simon zauważył jeszcze jedną cechę - determinację. „Dodatkowym czynnikiem - napisał - jest to, że rosyjski robotnik jest zwykle z przekonania komunistą, który nacieszywszy się przez dziesięciolecia osiągnięciami »swojej« rewolucji, będzie walczył fanatycznie jako świadomy klasowo proletariusz. Tak jak czerwony piechur gotów jest umrzeć w swym okopie, tak radziecki czołgista umrze w swej maszynie, strzelając do ostatka, nawet jeśli jest sam lub za liniami wroga”⁷⁵. Gusiew, który z pew-nos'cią był komunistą, ujął to bardziej osobiście. Po długim dniu, powiedział rodzinie, „kładziesz się spać późnym wieczorem, czując straszliwe zmęczenie i wiedząc, że wypełniłeś wielkie i trudne zadanie, ale twoje serce pełne jest zadowolenia, tego szczególnego uczucia, rodzaju dumy lub wewnętrznej satysfakcji. To najlepsze chwile ze wszystkich”⁷⁶.

Taki człowiek walczył za rodzinę i ukochany kraj, walczył za komunistyczne zasady, ale również dlatego, że miał u boku przyjaciół. Przyjaźnie wśród czołgistów były często bardzo mocne. Spędzali razem wiele godzin w ograniczonej przestrzeni, dzielili odpowiedzialność za maszynę i nierzadko dostosowywali czołg do siebie, wymalowując na nim hasła — podnoszące na duchu i niekontrowersyjne przesłania w rodzaju „Gdzie odwaga, tam zwycięstwo!”⁷⁷ Ponadto załogi musiały utrzymywać olbrzymy w dobrym stanie. Najlepszym przyjacielem Gusiewa był porucznik, który spędził z nim trudne dwa tygodnie, gdy on i trzech ludzie zostali wraz z Gusiewem przydzieleni do zdobyczego niemieckiego czołgu. „Nic nie wiedzieliśmy o tej

maszynie” — napisał Gusiew. Zmaltretowana i zużyta, okazała się też „kapryśna” i pierwszego dnia radziecka załoga zdołała przejechać jedynie 25 kilometrów w dwanaście godzin. „Majstrowaliśmy przy niej cały dzień, brudni, głodni i wściekli”. Nie mieli jedzenia, „nawet kromki chleba”. Pogoda była paskudna, drogi niemal nie do przejścia pieszo, a Gusiew oczekiwał, że dowodzący porucznik każe porzucić zniszczoną maszynę i maszerować. Zamiast tego dwanaście dni pracował wraz z załogą, żeby naprawić czołg. „Przez te dwanaście dni - stwierdził Gusiew - osiwielibyśmy, gdybyśmy tylko mogli. Nie da się opisać, przez co przeszliśmy”. Gdy to pisał, przyjaciele byli już sobie bliscy niczym bracia⁷⁸.

Załogi czołgów łączyła też groźba wspólnej śmierci. Po piechocie, w której służba niemal gwarantowała kalectwo lub śmierć -czy, jak żartowali żołnierze, przejście „do wydziału zdrowia [zdmwot-diel] lub wydziału ziemi [ziemotdiel]” - na żołnierzy wojsk pancernych i zmechanizowanych czyhało największe niebezpieczeństwo⁷⁹. Z 403 272 czołgistów (łącznie z nielicznymi czołgistkami), których Armia Czerwona wyszkoliła podczas wojny, zginęło 310 000⁸⁰. Nawet najwięksi optymiści wiedzieli, co się wydarzy, gdy czołg zostanie trafiony. Rozgrzany do białości pocisk niemal na pewno zapali paliwo i amunicję czołgu. W najlepszym wypadku załoga - a w każdym razie ci, którym pocisk nie urwał głów lub członków — miała 90 sekund, by wydostać się na zewnątrz. Większość tego czasu pochłaniała szarpanina z ciężkimi, niekiedy rozgrzany do czerwoności włazami, które wybuch i tak mógł zaklinować. Pole bitwy to nie przystań, ale było bezpieczniejsze niż opancerzona trumna, która właśnie zaczynała się palić, a jej metalowe elementy topić. To nie było

po prostu „gotowanie”; czołg rozgrzewał też powietrze wokół siebie. Wtedy nie było już nadziei dla ludzi w środku. Zazwyczaj ich ciała były tak spalone, że szczątków nie dawało się oddzielić⁸¹. „Palileś się już?” - brzmiało zwyczajowe pytanie, jakie czołgiści zadawali sobie, gdy spotykali się po raz pierwszy. Czarny dowcip z tego etapu wojny opowiadał o politruku, który poinformował młodego człowieka, że tego dnia spaliły się prawie wszystkie czołgi z jego grupy. „Przykro mi - odparł czołgista. - Postaram się spalić jutro”.

Wojska, które czekały na stepie Łuku Kurskiego, słusznie niepo-

koili się, gdy mijały kolejne tygodnie. 8 maja dowódcem czterech głównych frontów rozkazano przygotować się do odparcia ataku za cztery dni⁸². Niecałe dwa tygodnie później, 20 maja, znów postawiono ich w stan gotowości⁸³. Nikt nie wątpił, że wróg planuje atak, ale zdenerwowani żołnierze i oficerowie próbowali przewidzieć dokładną datę. Za dnia radzieckie obozowiska huczały od gorączkowej krzątaniny, lecz nocami step był zdradziecko spokojny. „Każdego dnia pojawia się coś nowego — napisał Bielów w swym dzienniku 13 czerwca. - Dziś dwóch kolejnych żołnierzy przeszło na stronę wroga. Łącznie to już jedenastu. Większość z nich to kutasy. 11 czerwca nasi sąsiedzi przeprowadzili rozpoznanie walką. Niczego się nie dowiedzieli. Siedzimy wszyscy w tym wąwozie już prawie miesiąc, a na froncie wciąż cisza”. Następny dzień przyniósł nowiny o nowym zadaniu. Przez miesiąc jego ludzie mieli pomagać w ofensywie w kierunku Orła. „Szykuje się wielka operacja — stwierdził Bielów. - Nasza dywizja ma atakować w trzech rzutach, a nasz pułk będzie w drugim. W dywizji znajdzie się 35 baterii artylerii, nie licząc dwóch pułków *katiusz*. Zapowiada się to interesująco”⁸⁴. Chociaż jednak Bielów dostał rozkazy, nie przystąpił do akcji przez kilka tygodni. „Byłem tam dłużej — napisał — niż w jakimkolwiek innym miejscu podczas całej wojny”⁸⁵.

Atak rozpoczął się w pierwszym tygodniu lipca. Nocą z 4 na 5 lipca niemiecki jeniec powiedział radzieckim zwiadowcom, że natarcie zacznie się wcześniej rano. Około drugiej nad ranem inny jeniec oznajmił na przesłuchaniu, że walki mają się zacząć za godzinę⁸⁶. Nawet na rozległym stepowym horyzoncie niebo się jeszcze nie przejaśniło. Żuków nakazał natychmiastowy atak lotniczy i nawałę artyleryjską, gwałtowną akcją, która rozdarła noc, jak sam przyznawał, niczym „piekielna symfonia”⁸⁷. Była to wszakże zaledwie uvertura. Nie odstraszeni radzieckim ogniem, Niemcy przypuścili atak, który miał rozstrzygnąć losy wojny, z dwóch głównych kierunków. Na północ od Kurska, niedaleko obozu Bielowa w Małoarchangielsku, 9. Armia Pancerna Waltera Modela uderzyła na radzieckie linie, koncentrując główne siły na wąskim, szesnastokilometrowym pasie. Zamierzała dokonać wyłomu i wlać się na południe w klin. Ponad 160 kilometrów na południe dziewięć dywizji pancernych dowo-

dzonych przez generała Hotha parło na północ, w stronę miasteczka Obojan. Były to doborowe jednostki, włącznie z wytrawnymi dywizjami pancernymi *Waffen SS „Totenkopf”* i „*Leibstandarte Adolf Hitler*”. Ich pierwszym celem była szosa łącząca Obojan, Kursk i Biełgorod z Krymem i całą południowo-wschodnią Ukrainą⁸⁸. Do 7 lipca niemal ją osiągnęły.

Do tej właśnie kampanii przygotowywał się Bielów. Kanonadę z 5 lipca było słychać w jego obozie, chociaż trwała na południu. „W obwodzie biełgorodzkiem i na naszym odcinku frontu Kursk—Orzeł, na południe od nas, toczą się zażarte walki pancerne — napisał 8 lipca. - Słychać tu odległy huk artyleryjskiej kanonady”. Słychać też było muzykę *katiusz*, rozweselającą każdego Sowietę. „Siły są bardzo skoncentrowane - zanotował Bielów następnego dnia. - W każdej dolinie tłoczą się piechurzy i artyleria. Noce pełne są niekończącego się huku. Nasze lotnictwo operuje nad pierwszymi liniami obrony. Jest mnóstwo czołgów”⁸⁹. Optymizm młodego oficera był

uzasadniony. Jednostki Armii Czerwonej na Froncie Centralnym, pod dowództwem Rokossowskiego, przeciwstawiły się niemieckiemu natarciu z północy z energią, której przeciwnik nie przewidział. Pierwszego dnia czołgi Modela przebyły zaledwie sześć i pół kilometra. Nie lepiej im szło w kolejnym tygodniu, chociaż obrona kosztowała Sowietów ponad 15 tysięcy zabitych⁹⁰. Na południu jednak, na Froncie Woroneskim, mniejsza liczba dywizji pod dowództwem Watutina stanęła w obliczu jednej z najbardziej zawziętych bitew tej wojny.

W walkach wzięła udział 1. Armia Pancerna Gwardii, w niej Slesariow i jego przyjaciele, 5. Armia Pancerna Gwardii pod Rotmistrzem oraz artylerzyści i strzelcy z 5. Armii Gwardii, tej, w której służył Lew Lwowicz, geolog o łagodnym charakterze, obecnie porucznik. 5 lipca, kiedy nastąpił atak, 5. Armia Gwardii znajdowała się ponad 320 kilometrów za frontem. 5. Armia Pancerna Gwardii Rotmistrowa stacjonowała nieopodal. Dwa dni później obie otrzymały rozkaz, by przebyć tę odległość pod niemieckimi bombami w trzy dni. Nieznośny upał, muchy i tumany kurzu były wystarczająco dokuczliwe, lecz mimo tego wszystkiego ludzie musieli znaleźć w sobie dość sił, by stoczyć ośmiogodzinną walkę wśród wybu-

jących pocisków i pod ostrzałem z broni maszynowej⁹¹. Tymczasem Slesariow i jego towarzysze wzięli na siebie impet niemieckiego natarcia, którego gwałtowność przerosła nawet obawy Sowietów. Ludzie Hotha doszli nieco do siebie po niezbyt udanym pierwszym dniu i, poprzedzani przez 500 czołgów, ruszyli na Obojan. Gdy radziecka piechota rozproszyła się pod nieznośnym ostrzałem, 1. Armia Pancerna była już jedyną barierą, która broniła się - czy też próbowała bronić — do 7 lipca⁹². Slesariowowi brakowało czasu, by pisać do domu. Miał szczęście, że przeżył, ale odwaga i nieustępliwość ludzi jego pokroju zmusiły Hotha do zmiany planów. Zamiast podążać prosto na Obojan, Niemcy skęcili na względnie wyższy obszar w okolicy małego stepowego miasteczka Prochorowka.

Jedna z największych bitew pancernych w historii rozegrała się na polach koło osad nazywanych „Październik” i „Komsomoł”. Przegrana, przepuszczenie Niemców dalej, na Kursk, niemal na pewno oznaczałyby klęskę całej obrony. Sześćset niemieckich czołgów zajęło pozycje do wielkiego uderzenia. Do zatrzymania ich przygotowywało się 850 czołgów radzieckich, ukrytych w krzakach, sadach i wysokiej trawie, w tym deszczowym lipcu. O świcie, gdy przez mgłę przebiło się pierwsze światło, przyszło pole bitwy było ciche, „jakby nie toczyła się wojna”⁹³. W dolinie zaczęły śpiewać pierwsze kosy. „Obserwowałem kolegę, który smarował masłem kromkę chleba — wspominał weteran. — Robił to bardzo powoli, nie spiesząc się. Powiedziałem mu, żeby się zbierał, bo nadchodzą Niemcy”. Ale on się tylko uśmiechnął. „Nie poganiaj mnie - powiedział z niesamowitym, jak się później okazało, darem przewidywania. - Będę się nią delectował. To mój ostatni posiłek na tym świecie”⁹⁴. Skończył jeść tuż przed 6.30, kiedy ciszę przerwały pierwsze z setek *junkersów Ju 87 Stuka* nurkujących nad radzieckimi liniami⁹⁵. Ale tym razem nie było powtórki z lata 1941 roku. W odpowiedzi z równą determinacją ruszyły do walki setki radzieckich myśliwców. Starcie czołgów zaczęło się od bitwy powietrznej, która wypełniła niebo dymem i płonącym metalem, zanim jeszcze zwarły się wielkie maszyny.

Prochorowka miała przejść do historii dzięki tym czołgom. Niemieckie i radzieckie wozy ruszyły sobie na spotkanie w chmurach dymu i zacinającym deszczu. Przed południem faliste wzgórza usiały

sterty pogiętego metalu i spalone ciała. Ci, którzy przeżyli, mówią o upale, ale w rzeczywistości dzień był chłodny. Weterani pamiętają zapewne piekło płonącego metalu, paliwa i gumy oraz gęste,

pełne żaru powietrze. W obliczu doskonalszych *panter* i *tygrysów* radzieckie załogi nie ustąpiły. Jeśli nie mogły zrobić nic więcej, po prostu taranowały wroga, wbijając metal w metal. Tak zginęli Gusiew i jego załoga. „Czołg porucznika ruszył naprzód — powiedzieli jego rodzicom koledzy z pułku - strzelając ze wszystkich luf. Jednak pocisk nieprzyjaciela zapalił maszynę. Mimo to płonący czołg nadal prowadził ogień. Kierowca, rozpędzając wóz na najwyższym biegu, zdołał skierować go na postępujące czołgi wroga. Porucznik Gusiew wciąż strzelał. Strzelali, więc musieli żyć. Nasz czołg i czołg porucznika Gusiewa jechały z pełną prędkością na czołg wroga. *Tygrys* chciał zawrócić i uciec, ale zdołał jedynie przekreślić się bokiem. Płonący czołg uderzył w *tygrysa* i obie maszyny wybuchły. Bohaterska załoga zginęła”⁹⁶.

Ginęły nie tylko załogi czołgów. Brygady piechoty i artylerii, w tym jednostkę Lwa Lwowicza, również posłano, by powstrzymały czołgi. Kiedy wszystko inne zawiodło, piechurzy ciskali na monstra granaty i butelki zapalające, zupełnie jak w starych filmach wojennych. Stawiali też czoło niemieckiej piechocie, mniej strasznej niż czołgi. Część Niemców (i zapewne również część Rosjan) była pijana, ich odwaga wzrastała wraz z ilością sznapsa⁹⁷, ale walka nie była przez to mniej śmiertelna. „Niebo grzmi, ziemia grzmi, myślisz, że serce ci pęknie, a skóra na twoich plecach płonie — opowiadała weteranka Swietłanie Aleksijewicz. - Nie sądziłam, że ziemia może pęknąć. Wszystko pękało, wszystko ryczało. Cały świat zdawał się kołysać”. A był to tylko wstęp do tego, co zdarzyło się potem. Walka wręcz, zapamiętała kobieta, „nie jest dla ludzi. (...) Ludzie uderzają, wbijają bagnety w brzuchy i oczy, duszą się nawzajem. Skowoty, krzyki, jęki. To coś strasznego, nawet jak na wojnę”⁹⁸. Lwem Lwowiczem kierowało nie abstrakcyjne poczucie obowiązku, ale konkretne cele. Nadchodziły rozkazy, powiedział, „żeby celować w ten wał lub okop, skupić się na tym dębie, mierzyć trzy palce w lewo. (...) Takie rzeczy bardzo pomagają”. Pomogło też to, iż był zbyt dumny, aby dać swym ludziom poznać, że on również się boi.

O zmroku na polu bitwy pozostało co najmniej 700 spalonych i porozrywanych czołgów. Walki miały trwać przez kolejne dwa dni, ale to pierwszy zdecydował o losach bitwy, jak również całej kampanii. Prochorowka miała się znaleźć w rosyjskiej mitologii obok Kulikowego Pola, na którym Dymitr Doński pokonał w 1380 roku Złotą Orde, i Borodino, miejsca wielkiej bitwy z Napoleonem. Tak jak tamte, zaczęła być postrzegana jako miejsce, gdzie ocalone zostało święte przeznaczenie Rosji. Tak jak i wtedy jednak, straty w ludziach były ogromne. Przez następne tygodnie powietrze w promieniu kilku kilometrów cuchnęło zakrwawionymi, rozkładającymi się ciałami. Sanitariusze i miejscowi ochotnicy pomagali zbierać rannych. Zaawansowana technika ustąpiła starymu światu, gdy ciężkie ciała składano na zaprzężonych w konie wozach. Drużyny miejscowych pomagały też kopać masowe groby. W okręgu nie ma wioski, w której nie byłoby takiego miejsca pochówku. Gdyby Niemcy nie zebrali swoich zabitych, zostaliby oni pochowani później, ułożeni w rozległych jamach nie przez wzgląd na godność, ale by zapobiec epidemii. Tymczasem miały upłynąć dziesiątki lat, zanim okolica została oczyszczona z min, porzuconej broni i metalowych szczątk-

ków. Do dziś dzieci ostrzega się, żeby nie zapuszczały się w lasy. Pola zmieniły się w pustynię, ale wydały gorzkie żniwo.

Na Łuku Kurskim stoczono nie jedną, ale kilka bitew, rozciągniętych wzdłuż co najmniej dwóch frontów, jednak obie strony uważały je za część tej samej kampanii. Tego samego dnia, gdy

rozpoczęły się walki pod Prochorówką, 12 lipca, na północy Sowieci przypuścili kontratak, uderzając na zachód w kierunku Orła. W przewidywaniu tego, ku uldze Armii Czerwonej, część czołgów Hortha została skierowana na północ przed bitwą pod Prochorówką". Jednak Niemcy nie byli przygotowani na burzę, która miała nadejść. O pół-

nocy 11 lipca Bielów zapisał pospiesznie, podniecony, w swym dzienniku: „Ruszamy do ataku (...) na Szczeliabug". Minęły dwa tygodnie, zanim napisał kolejne słowa. Jak ujął to dwudziestego piątego: „W minionych dniach absolutnie nie było możliwości robienia notatek". Armia Czerwona przebijała się przez silnie bronione linie niemieckie. Celem było rozerwanie centralnego odcinka frontu niemieckiego¹⁰⁰. Pułk Bielowa poniósł ciężkie straty — ponad 1000 ludzi w ciągu czternastu dni. Rekompensatą był fakt, iż znaleźli się 12 kilometrów od okupowanego przez Niemców Orła. „Zabiliśmy też mnóstwo fryców, co jest naprawdę wspaniałe"¹⁰¹. Bitwa o stare miasto miała dopiero nadejść, ale wróg został wyparty daleko poza linie, które zajmował w chwili rozpoczęcia operacji.

Na południu tymczasem Slesariow znalazł chwilę, by nagryzmolić kartkę do domu. „Dowiecie się z gazet - napisał do ojca 18 lipca - że toczą się tu zacięte i gwałtowne walki. Bijemy fryców porządnie, starcia nie ustają dniem i nocą. »Muzykę wojny« słychać dwadzieścia cztery godziny na dobę". Dwudziestego siódmego był jeszcze bardziej optymistyczny, w jego tonie pobrzmiwał zwycięski nastrój partii. Faktycznie jego list z tego dnia odzwierciedlał świeżo odkryty status prawdziwego komunisty. Jak setki innych czołgistów, Slesariow złożył podanie o przyjęcie do partii na polu pod Kurskiem, łącząc własne rozumienie postępu, sprawiedliwości społecznej i zwycięstwa z ideologicznym przekazem politruków. „Setki samolotów, tysiące wrogich czołgów, łącznie z *tygrysami* i *panterami*, znalazło swój grób na tym polu bitwy - napisał. - Dziesiątki tysięcy fryców użyźniło ukraińską ziemię. Niemcy się wycofują. Nadszedł moment, żeby wyrównać z nimi rachunki"¹⁰².

Za odważnymi słowami kryły się tysiące wyczerpanych, przerażonych, a nawet zniechęconych ludzi. Niemieckie źródła wskazują, że po przystąpieniu do bitwy liczba dezercji po stronie radzieckiej wzrosła gwałtownie - z 2555 w czerwcu do 6574 w lipcu i 4047 w sierpniu¹⁰³. Krwotok nie był już jednak jednostronny¹⁰⁴. Podczas gdy Armia Czerwona wyczuła nadchodzący triumf, morale niemieckich żołnierzy szybko podupadało. Proces ten zaczął się w zwykłych oddziałach jeszcze przed rozpoczęciem operacji. „Oficerowie SS są zaskoczeni poziomem pesymizmu w naszej dywizji" - napisał

6 lipca w swym dzienniku porucznik Karl Friedrich Brandt. Jeśli esesmani przerażali Sowietów, to ich arogancja i przywileje obrażały żołnierzy Wehrmachtu. „Sam ich widok wywołuje u naszych ludzi, wyczerpanych i pełnych napięcia, głęboką nienawiść klasową -ciągnął Brandt. - Nasi żołnierze to zbieranina najżałośniejszych szumowin, jakie dało się wyskrobać w Niemczech. Oni [esesmani] wywodzą się z najlepszego materiału ludzkiego Europy"¹⁰⁵.

To lato widziało pierwsze na tak wielką skalę upokorzenie owych „szumowin". Gdy Sowieci parli naprzód, Brandt i jego żołnierze uciekali tak szybko, że nie mogli nawet pomodlić się nad ciałami towarzyszy. „Nie jesteśmy w stanie ustalić, gdzie spoczywają nasi ludzie - napisał Brandt 1 sierpnia - ponieważ nie mamy czasu zbierać ich dokumentów lub nieśmiertelników. Nie mamy nawet wody, by zmyć trupi jad ze skóry. (...) Jakże szczęśliwi byli polegli we Francji lub w Polsce. Oni wciąż mogli wierzyć w zwycięstwo"¹⁰⁶. Teraz wiara taka nasilała się po radzieckiej stronie. 2 sierpnia Bielów

ponownie wkroczył do akcji. Trzy dni później znalazł się w przedniej straży, która wyzwoliła Orzeł. „Ostatniej nocy Niemcy się wycofali - napisał 5 sierpnia. — Tego ranka dotarliśmy na zachodnie obrzeża miasta.

Cały Orzeł stoi w płomieniach. Mieszkańcy powitali nas wyjątkowo radośnie. Kobiety płakały ze szczęścia". Następnego dnia jego pułk, podobnie jak wszystkie w dywizji, został przemianowany na „pułk orłowski" na cześć wielkiej operacji¹⁰⁷. Tej nocy również w dalekiej Moskwie dla uczczenia triumfu nakazano oddać pierwszy salut ze 120 dział. „Przekazuję podziękowania wszystkim siłom, które wzięły udział w ofensywie - głosił telegram Stalina. - Wieczna chwała bohaterom, którzy padli w walce o wolność naszego kraju. Śmierć niemieckim najeźdźcom"¹⁰⁸.

Na południu, na drodze do Charkowa, Slesariow również działał. Biełgorod wpadł w ręce Armii Czerwonej w tym samym dniu co Orzeł. Teraz siły Frontu Woroneskiego i Stepowego parły na południe w pogoni za większymi celami. Nastrój Slesariowa był słod-ko-gorzki. 10 sierpnia zginął jego najdroższy przyjaciel, człowiek, z którym walczył ramie w ramie od samego początku. Jednak nie zginął już za daremną sprawę. „Kroczymy po wyzwolonym terytorium — napisał Slesariow do ojca — ziemi, którą Niemcy okupowali ponad dwa lata. Ludność wychodzi z radością, by nas powitać, przynosząc nam jabłka, gruszki, pomidory, ogórki i tak dalej. W przeszłości znałem Ukrainę tylko z książek, teraz widzę ją na własne oczy: malowniczą przyrodę, mnóstwo ogrodów"¹⁰⁹. Przez chwilę Armia Czerwona mogła się napawać ciężko okupionym sukcesem. 25 sierpnia odbiła Charków.

7

Będziemy braćmi, towarzysze

Xweżini Stalina toczył wojnę w takim samym duchu, w jakim działał w czasie pokoju. Pierwsza zasada brzmiała, że ludzkie życie niewiele się liczy w skali historii, czyli w porównaniu z interesem państwa; druga, że obywatele, w imieniu których robi się wszystko, powinni występować gromadnie przeciw wrogowi. W 1943 roku pierwsza z tych zasad stała się przyczyną napięć. Kończyły się rezerwy zdrowych żołnierzy. Tej zimy trzeba było ograniczyć kampanie, ponieważ brakowało siły ludzkiej¹. Jednak druga zasada najwyraźniej była niepodważalna. Kułacy, szpiedzy, trockiści i uczestnicy wojny domowej po stronie białych stali się kozłami ofiarnymi w dziesięcioleciu poprzedzającym wojnę. Ale prawdziwym wrogiem byli faszyci — hitlerowcy. Radzieccy obywatele odpowiedzieli na wezwanie do broni w prawdziwie epickim stylu. Zbiorowy jasny cel, który zainspirował miliony, nie miał precedensu w historii, lecz to nieprawda, że cały naród stanął zgodnie. Wojna stworzyła hierarchie, zwycięzców i przegranych, miliony zmarłych. A fizyczne oddzielenie, głód i przemoc nie pomagały w jednoczeniu się społeczeństwa. Wspominana przez wszystkich mityczna wojenna solidarność była kolejnym chwytem Stalina. Niektórzy wierzyli w nią, za sprawą trzeciej zasady reżimu, nakazującej kontrolowanie tego, o czym ludzie mogą wiedzieć.

Wśród wygranych w czasie wojny, przynajmniej w porównaniu z szeregowcami na froncie, znaleźli się aparatczycy pozostający na tyłach. 6 listopada 1943 roku zgromadzili się oni w Moskwie, zaproszeni na przemówienie Stalina w przededniu 26 rocznicy rewo-

łucji bolszewickiej. Na zewnątrz stolica u progu zimy była szara, przyćmiona przez zaciemniające rolety i przerwy w dostawie prądu. W środku, pod żyrandolami, publiczność pławała się w samozadowoleniu. W ciągu dwunastu miesięcy od ostatniego rocznicowego zebrania perspektywy dla świata tych ludzi diametralnie się zmieniły. Po pierwsze, był Stalingrad, ze wszystkimi niemieckimi jeńcami i ofiarami. To wszakże było zimowe zwycięstwo. Kursk udowodnił, że Armia Czerwona może pokonać Niemców także latem. Od-tąd napływały wiadomości o paśmie nieprzerwanych sukcesów. 25 września został odbity Smoleńsk, Półwysep Tamański - brama Krymu — 7 października. W geście niewiarygodnej odwagi (i ogromnym kosztem ludzkim) 7 października Armia Czerwona sforsowała Dniepr i przełamała najmocniejszą niemiecką linię obronną. 6 listopada elita mogła się więc dowiedzieć tego, co wszyscy pozostali usłyszeli następnego dnia: że Kijów, stolica Ukrainy, wreszcie prze-szedł w ręce radzieckie.

Armia Czerwona była bez wątpienia zbawcą kraju, ale Stalin w swoim przemówieniu podkreślił, że nie działała sama. Nadszedł czas, by uczcić partię i rząd, *mężczyzn* i kobiety, którzy zostali w domach. Przywódca zaczął od prawdziwych bohaterów, wojennych wyrobników. Skoro armii nie zabrakło broni i zaopatrzenia, wyjaśnił, należy podziękować za to „naszej klasie pracującej” (burzliwy i długi aplauz). Wiele też zawdzięczamy „patriotyzmowi chłopów z kołchozów”, „pracownikom transportu”, a nawet, z racji inicjatywy w projektowaniu i nadzorze, „naszej inteligencji” (długi aplauz). Przesłanie Stalina było jasne: potwierdził słuszność rewolucji. „Lekcje wojny — oświadczył — nauczyły nas, że władza radziecka jest nie tylko najlepszą formą organizacji ekonomicznego i kulturalnego rozwoju kraju w latach pokoju, ale również najlepszą formą rozwalającą zmobilizować całe zasoby ludzkie dla odparcia wroga jodczas wojny. (...) Władza radziecka, która została ustanowiona iwadzieścia sześć lat temu, zmieniła nasz kraj — w krótkim histo-ycznym okresie - w niepokonaną twierdzę”².

Mężczyźni i kobiety na froncie — przynajmniej ci, którzy przeżyli uczestniczyli w listopadowych obchodach - byli dumni ze zwycię-twa, choć większość zasług przypisywali sobie. Witalij Taraniczew,

inżynier, znalazł kilka chwil, by napisać do domu, do żony. „Jest pierwsza w nocy — wyjaśnił — 7 listopada 1943 roku. Pełniłem obowiązki na moim stanowisku w przeddzień 26 rocznicy Wielkiego Października. (...) Dziś o szesnastej usłyszeliśmy od naczelnego wodza, towarzysza Stalina, o zajęciu stolicy Ukrainy, Kijowa, przez nasze wojsko. Nataloczka! Nie mogę sobie wyobrazić, jak Cię ucieszy ta wiadomość! Skończył się czas, kiedy faszyci panowali na naszym niebie. Dziś dokonali żalostnej próby przerwania pracy naszej stacji, ale nic nie wskórali; wszystko działa jak w zegarku, wszystko porusza się naprzód, na zachód, aby zniszczyć faszyzm!”³

Tysiące żołnierzy na froncie podzielało ten pogląd. Wiedzieli, że są na drodze do zwycięstwa. Jak wiele innych zwycięskich armii, zaczęli traktować wartości narodowe i kulturalne z nowym zaufaniem i gorliwością. Zaczęli również uważać, że dzięki ich poświęceniu powstanie lepszy świat. Sporo osób wierzyło, że kładzie fundamenty pod pokój, być może odrzucając nienawiść i zamęt z lat przedwojennych. Żołnierskie przyjaźnie z frontu odbierano jako przedsmak przyszłego braterstwa. Dreszcz emocji wywoływały też nowe maszyny. Bitwa pancerna pod Kurskiem, dowody wyższości radzieckiego lotnictwa tego lata, śmiertelna muzyka *katiuszy* - wszystko to zdawało się potwierdzać słuszność planów pięcioletnich, obiecywać lepszy świat masowej produkcji. To Żuków, nie Stalin, był prawdopodobnie prawdziwym bohaterem w armii (każdy weteran z radością powie, którego generała podziwiał najbardziej, zupełnie jak fani sportu upierający się przy swoich gwiazdach), ale nawet Stalin, ponieważ żył głównie w ludzkiej wyobraźni, zdawał się ucie-

leśniać cechy, które teraz obiecywały sukces: postęp, jedność, bohaterstwo, wyzwolenie. Krótko mówiąc, wyglądało na to, że żołnierze i przywódcy wspierali te same cele.

Najważniejsze lekcje ideologiczne wyciągnięto, obserwując to, co pozostawili po sobie okupanci. „Objechałem wiele osad, które Niemcy opuścili całkiem niedawno - napisał Taraniczew do żony. - Nie możesz sobie wyobrazić, jak wyglądają te miejsca, które niegdyś były kwitnącymi ośrodkami: ani jednego całego domu, wszystko spalone, a czego wróg nie zdołał spalić, zniszczyły bombardowania”⁴. „Maszerowałem dzień i noc” - napisał do rodziny w październiku

1943 roku dwudziestoletni piechur. Szedł od Orła ku Desnie i dalej, przemierzając kraj spalony przez wycofującego się nieprzyjaciela. „Ludność witała nas ciepło, nawet nie sądziłem, że czeka nas takie powitanie. Płaczą, ściskają nas, wszyscy znoszą nam, co tylko mogą”. Powód radości ludzi był oczywisty. „Widziałem, jak Niemcy palą wsie, bydłaki. Widziałem ofiary ich okrucieństwa”⁵.

Dla żołnierzy Armia Czerwona stanowiła teraz narzędzie zbiorowego odkupienia, instrument zemsty i wyzwolenia. Powitanie, jakie zgotowali czerwonoarmistom mieszkańcy zachodniej Rosji i wschodniej Ukrainy, było często zniewalające. Chociaż jednak wielu było dumnych ze swej zbiorowej potęgi, możliwe również, że wielu ludzi miało poczucie indywidualnego rozwoju. Armia umożliwiła tysiącom z nich karierę. Wasilij Jermolenko uczył się w Charkowie, gdy wybuchła wojna. W pierwszym roku inwazji widział, jak wróg zajął jego dom i uwięził matkę; ojciec został powołany do Armii Czerwonej. Wasilij, wówczas młody uchodźca, także przeszedł szkolenie. Kiedy czerwonoarmiści wyzwolili w 1943 roku jego rodzinne miasto, był gotów walczyć na froncie jako radiooperator i inżynier łączności. Technika stała się jego życiem, tym bardziej że stracił wszystkie inne punkty oparcia. Wiosną 1944 roku wstąpił do partii. Jak zanotował w owym czasie w swym dzienniku, wojna nauczyła go kochać ojczyznę, ale także potwierdziła wiarę w socjalizm, „który prowadzi ludzi do szczęśliwego życia”. W umyśle [ermolenki wszystkie sukcesy Armii Czerwonej wiązały się z partią i jej przywódcą⁶.

Duch partyjny (Sowieci mieli nań słowo: *partijnost'*), którego przejawiali żołnierze pokroju Jermolenki, daleki był od ostrożnej jofistyki ideologów Stalina. Żołnierska odmiana komunizmu nie przystawała też do idei oficerów politycznych, z których wielu wstąpiło do partii na długo przed wojną. Wiara szeregowców wyrastała : doświadczenia, a także nauczania i często współistniała z niechęcią do biurokracji i propagandy. „Istnieje poważny dowód empiryczny na to, że indoktrynacja sływa po żołnierzach jak woda po caczce - zauważył specjalista od motywacji bojowej. - Odbija się >d ich grzbietów”⁷. Wierzenia ludzi, chociaż kształtowane przez wszystko, co im powiedziano (i ograniczone, gdyż wielu rzeczy nie

pozwolono im powiedzieć lub usłyszeć), wyglądały na ich własną filozofię. „Gdyby prowadzili nas politrucy - wspominał nacjonalistyczny pisarz Wiktor Astafiew — przegralibyśmy wojnę w sześć tygodni. (...) Nasze pierwsze zwycięstwa nadeszły, gdy przestaliśmy ich słuchać”⁸. Ideologia frontowa była silna i mocno zakorzeniona, ale również odległa od poglądów cywilnej elity, która ewoluowała w innym świecie.

Naród próbował uczynić z żołnierzy, zwłaszcza że większość z nich stanowili poborowi, własnych synów. Prasa pielęgnowała wizerunek osamotnionej matki słuchającej opowieści żołnierzy w wieku jej syna, cywilów wspierających wojskowych, jakby wywodzili się z ich grona. W zamian wielu żołnierzy uczyło się kochać z nowym żarem Rosję i jej lud. „To wojna - wspomina

czerwonoarmista w jednym ze słynnych wierszy Simonowa - po raz pierwszy/ Kazała mi zatęsknić za wędrownką od wsi do wsi,/ Za wdowią łzą, za kobiecą pieśnią"⁹. Podczas gdy żołnierze badali nową, większą ojczyznę, walczyli również o zachowanie więzi z życiem tych, których zostawili w domu, żon i dzieci, i z własnym młodszym ja. Walka głęboko ich izolowała. Frontowcy nienawidzili „szczurów” krzątających się na tyłach — zaopatrzeniowców, sztabowców, kolumn rezerwistów — jednak w miarę upływu czasu alienowali się również od cywilów, których starali się ocalić, a nawet od ukochanych rodzin.

Czerwonoarmiści mogli sobie wyobrażać, że łączące ich więzi zastąpiły dawną lojalność, i do pewnego stopnia była to prawda. Życie na froncie podsycalo nawet nostalgię za utraconymi stronami rodzinnymi — albo za ich wyobrażeniami — a żołnierze, którzy dowiedzieli się, że jakiś krajan jest niedaleko ich obozu, często biegli go powitać, spragnieni nowin z domu. Wojna była tak dziwna, a radzieckie terytorium tak rozległe, że ludzie tacy od razu stawali się „sąsiadami”. Weteranki opowiadały Swietłanie Aleksijewicz, że gdy przybysze z domu pojawiali się na froncie, koleżanki tłoczyły się wokół nich, by poczuć znajomy zapach, który przywarł do ich ubrań.

Pomimo całej retoryki jedności bliska przyjaźń wciąż jednak budziła podejrzliwość w kręgach aparatu bezpieczeństwa. NKWD monitorowało na froncie rozmowy żołnierzy, podczas gdy Sekcja Specjalna i jej następczyni, Smiersz, której nazwa była akronimem

słów „s'mierć szpiegom”, tropiły każdy siad nieprawomyślności¹⁰. Smiersz, czy jakaś jego forma, stanowił zło konieczne. Armia posuwała się na zachód i odbijała tereny okupowane przez wroga. W każdym mieście byli kolaboranci, ludzie, którzy karmili Niemców i zapewniali im kwatery, denuncjowali partyzantów albo - co gorsza — na rozkaz więzili lub rozstrzeliwali własnych sąsiadów. W strefie wyzwolonej byli też niemieccy agenci, w tym Hiwis¹¹, dezertery z Armii Czerwonej, których ruszczyzna i radziecki styl ukrywały prawdziwą lojalność. Smiersz pomagał odstraszać wszelkiego typu zdrajców, a oprócz tego terroryzował wszystkich tych, których praca była niezbędna dla frontu¹², ale gdy uderzał w prawdziwych wrogów, informatorzy stalinowskiego kontrwywiadu zdradzali ducha frontu. Jeśli nie mogli znaleźć prawdziwych szpiegów, nie wahali się sfabrykować spisku, czyniąc z własnych towarzyszy kozły ofiarne. Żołnierze nieustannie powściągali języki. „Wiemy, że możemy rozmawiać o naszych zwycięstwach — napisał Samojłow — ale nie o klęskach. Wiemy, że nasi młodszy oficerowie również żyją w tym cieniu. Strach przed Smierszem (...) niszczy wzniosłe pojęcie o ludziach walczących przeciw wrogowi. (...) Rzadko wiemy — dodawał — którzy wśród nas są informatorami”. Chociaż towarzysze broni wciąż odczuwali prawdziwą solidarność, stosunki międzyludzkie zostały skażone „stalinowskim bakcylem nieufności”¹³. Te napięcia wpływały na żołnierskie umysły, gdy kampania przedłużyła się na zimę. Ostatnie miesiące 1943 roku były okresem stałego ruchu. Czołgi i piechota zmotoryzowana zmagaly się ze stromymi brzegami Dniepru. Całe armie wlokły się przez pola buraków cukrowych. Dzień za dniem ulewny deszcz z południowego zachodu przenikał płaszcze i buty. A potem zaczęły się ostrzał i niebezpieczna przeprawa przez nasiąknięty grunt. Czołgi tonęły w zdradzieckich kępach turzycy wraz z całym załogami. Piechurzy z Azji Środkowej tonęły w Dnieprze, ponieważ nie umieli pływać. *Sztof-niki*, członkowie karnych batalionów, posłani zostali, by rozbrajać miny, szturmować gniazda karabinów maszynowych lub namierzać ukryte okopy. Liczba zabitych po radzieckiej stronie rosła, ale natarcie trwało. Straty Armii Czerwonej po każdym większym starciu sięgały nawet 25 procent¹⁴. Ludziom wyczerpanym bitwami późne-

go lata wyzwania te musiały się wydawać nie do zniesienia. W poprzednich latach obie armie znajdowały nieco czasu w zimnych miesiącach, by się przegrupować i dokonać napraw. Tym razem łagodna zima na południu nie dała im wytchnienia.

Postępy oznaczały odzyskiwanie radzieckich miast i wsi. Żołnierze często mijali miejsca, w których się wychowali. Wehrmacht otrzymał rozkazy, żeby palić wsie podczas odwrotu na zachód. Cokolwiek zostało po dwóch latach hitlerowskich rządów, palono, włącznie z trzodą i ziarnem. Pobitewne szczątki sprawiały, że zniszczony pejzaż był jeszcze makabryczniejszy. „Przy drogach leżą stosy zwłok Niemców” — zauważył Bielów w styczniu 1944 roku. Gnijące ciała nikomu nie przeszkadzały, nadal nie wywoływały one litości. Miejscowe władze cywilne zaniepokoją się dopiero, gdy się ociepli; tyfus pochłonął do tej pory zbyt wiele ofiar¹⁵. Na razie, jak wiedział Bielów, „nikt ich nie sprzątnie (...), nie zabrają ich aż do wiosny”¹⁶. Żeby zaskoczyć żołnierzy, potrzebne było coś nieoczekiwanego, nietypowego. Maszerując na zachód wiosną 1944 roku, Jermolenko, rodowity Ukraińiec, obserwował migrujące ptaki, które jako chłopiec zawsze witał, kiedy wracały do gniazd. Stworzenia wydawały się zdezorientowane. Nie mogły sobie znaleźć miejsca. Kraina, której szukały, była zniszczona, a drzewa z ich zeszłorocznymi gniazdami zniknęły¹⁷.

Nic nie wiązało żołnierzy bardziej niż wspólne doświadczenia z walki. Kiedy niektórzy próbowali rozmawiać, opowiedzieć wszystko żonom i przyjaciółom, doszli do wniosku, że nie potrafią zbudować mostu nad przepaścią między tymi, którzy widzieli bitwę, a resztą. Dawid Samojłow, który swoją wojenną poezję uznał za „beznadziejną”, uważał, że problem tkwi w samej wojnie. Gdy ludzie siadają i usiłują pisać po wyjściu cało z rzezi, zanotował później, ich celem jest nie odtworzenie piekła, lecz ucieczka przed nim¹⁸. „Nie mogę Ci zbyt wiele napisać, nie pozwalają nam” — pisał mecha-nik-kierowca czołgu do matki we wrześniu 1943 roku. Wygodnie było się ukryć za szerokimi ramionami cenzora. „Kiedy się spotkamy, opowiem Ci wszystko o okropnościach bitwy, jaką przeżyłem”¹⁹. Agiejew starał się wytłumaczyć, dlaczego nie pisze więcej o samych walkach. „Wracam z akcji tylko na noc - napisał do żony. - Wte-

dy zawsze przeżywam to samo. Po ogromnym napięciu przychodzi obojętność. W wielkim stresie nie myśli się o niczym, a cały wysiłek skupia się na jednym celu. Ale kiedy po napięciu następuje bezwład, co można wytłumaczyć zmęczeniem, trzeba, żeby ktoś tobą porządnie potrząsnął, gdyż przez jakiś czas nic nie ma znaczenia”²⁰.

Cywilie nigdy nie zrozumieją bitwy. „Nie potrafię opisać swoich uczuć i przejść” — zdradził żonie inny mężczyzna. Uznał, że nie umie znaleźć odpowiednich słów, a ona i tak go nie zrozumie. „Nasze spotkanie po zwycięstwie - ciągnął — to właśnie teraz dręczy większość „Wielu moich kolegów zginęło - napisał oficer Martow z nas

do rodziny w lutym 1944 roku. - Prawda jest taka, że walczyliśmy razem, więc śmierć każdego jest jak nasza własna. Czasem przeżywamy chwile takiego napięcia, że żyjący zazdroszczą zmarłym. Śmierć nie jest tak straszna, jak nam się do tej pory wydawało”²². Smutek zbliżał ludzi równie mocno jak wspólny wysiłek, ale bitwa odróżniała ich swym piętnem od całej reszty. Cokolwiek Stalin mówiłby o wspólnym wysiłku całego narodu, w 1943 roku większość żołnierzy ceniła tylko towarzyszy z placu boju. Przez konfrontowanie żołnierzy z cywilami, wzbudzanie strachu przed szpiegami i donosicielami, przeciwstawianie frontowców całej społeczności wojskowych „szczurów”, którzy nie walczyli, wojna podzieliła, a nie zjednoczyła naród radziecki. Co gorsza, walka skazała żołnierzy z linii frontu na wygnanie przed nimi samymi.

„Jak brzmi definicja bezczelności? — zanotował Agiejew pewnego wieczoru. - Bezczelność to przebywanie gdzieś daleko za linią frontu, spanie z żonami frontowców, bicie się w piersi i oplakiwanie »ofiar faszystowskiego okupanta« oraz szukanie własnego nazwiska na liście ludzi odznaczonych za męstwo"²³. Ludzie nie byli w domu wiele miesięcy, Armia Czerwona skąpiła przepustek²⁴. Gdy zbladł strach przed klęską, nocami żołnierzy zaczęły dręczyć obawy bardziej intymnej natury. Teraz przemierzali terytorium radzieckie. Wiedzieli o trudach i zbrodniach, jakich dopuszczali się ludzie zdesperowani po dwóch zimach wojny. Żonaci czerwoarmiści widzieli, jak zachowywały się miejscowe kobiety, gdy znalazły chętnego mężczy-

znę mającego żywność i gotówkę, czy nawet gitarę i trochę wódki. Wszyscy zaczęli się zastanawiać, co się dzieje u nich w domu.

Niektóre z tych obaw były czymś zupełnie naturalnym u żołnierzy przebywających na długiej kampanii, lecz żołnierze Armii Czerwonej zmagali się z bardziej przygnębiającymi wizjami niż perspektywa listu, w którym żona pisze, że wszystko skończone. „Napisz mi coś O mamie - prosił chrześną młody porucznik w lutym 1944 roku. - Nie mam od niej żadnych wieści od września 1941 roku". Ostatni raz odezwała się do niego z mieszkania w Leningradzie²⁵. W tym wypadku, i w wielu innych, nie było już więcej żadnych wiadomości. Faszystowska okupacja rozdzieliła wiele rodzin. Aleksandr Slesariow, porucznik czołgista z obwodu smoleńskiego, wiedział przynajmniej, że żyje część jego krewnych. Partyzanci przynieśli mu w 1942 roku list od jego młodszej siostry Marii²⁶. Był to katalog śmierci i przemocy za nazistowskiej władzy. Gdy Niemcy się wycofali, na deszło więcej listów i teraz - z bolesnymi lukami - zaczęły się z nich wyłaniać rodzinne historie. Kiedy Slesariow walczył na południu i na zachodzie, na Ukrainie, musiał czekać wiele tygodni na jakie kolwiek wieści. Maria pisała w pierwszej kolejności do ich ojca, a na stopnie starszy człowiek przekazywał informacje swoim synom żołnierzom. Czternastoletnia Maria pracowała od świtu do zmierzchu w kolchozie i nie miała czasu pisać do nikogo więcej.

Rodzina uciekła z wioski przed nadejściem okupantów. Dwie zimy spędzili w ziemiance. Było tam zimno i wilgotno, dzieci ciągle chorowały, ale przynajmniej żyli. „Spalili całą rodzinę Danilkinów — pisała Maria - i zabrali Jaszkę. Spalili całą rodzinę Lisiejewów i Ga-wrikowów, i czternastolatki wracające z pracy w Jarcewie. (...) W tym samym czasie straciliśmy też wujka Pietię. Szedł z Rucz-kowa, Niemcy złapali go i też spalili". Nadeszły wieści, że Armia Czerwona jest już blisko. Niemcy zaczęli porywać bydło i owce, skazując mieszkańców wsi na głód. Zima przyniosła tyfus i zapalenie płuc. Doszło do kolejnych masowych zgonów. „W czasie ostatniego odwrotu [Niemców] mama, Jura i ja schowałyśmy się z wujkiem Mitią w okopie — kończyła Maria. — Kola, wujek Igor i Szura uciekli do lasu, gdzie spędzili cztery dni i noce. Wyzwolono nas 18 marca, a wtedy następnego dnia [ci trzej] wrócili z lasu"²⁷.

Porucznik Slesariow musiał odetchnąć z ulgą, gdy przeczytał, że jego matka, siostra i dwaj młodszy bracia przeżyli. Wysłał im trochę pieniędzy, jednak inflacja, braki i potężny kryzys gospodarczy sprawiły, że żyli w koszmarnych warunkach. „Nie jest najlepiej z jedzeniem - napisała Maria w styczniu 1944 roku - a z ubraniami jest prawdziwy problem, szczególnie z

butami"²⁸. Tak samo było w Kursku i wszędzie, gdzie przeszły wielkie armie. „Ciężko jest teraz, gdy nie mamy krów - napisała kobieta ze wsi w obwodzie kurskim. - Zabrali je nam dwa miesiące temu. (...) Niedługo zaczniemy zjadać się nawzajem (...), nie ma tu żadnego młodego mężczyzny, wszyscy są na froncie"²⁹. „Front wszystko zniszczył — poinformowała syna inna kobieta. Straciła dom, krowę i ziemię. Mieszkała, jak wielu innych, w korytarzu przy jednopokojowym mieszkaniu siostry. „Od dwóch miesięcy nie mamy chleba - pisała jeszcze inna. - Lidia powinna już iść do szkoły, ale nie mamy dla niej ani płaszcza, ani butów. Chyba w końcu przyjdzie nam z Lidią umrzeć z głodu. Nie mamy nic. (...) Misza, nawet jeśli zostaniesz przy życiu, nas już tu nie będzie (...)”³⁰.

Żołnierze czuli się zdradzeni, kiedy słyszeli o trudnościach, z jakimi zmagaly się ich żony. Ryzykując życie na froncie, spodziewali się, że państwo zadba przynajmniej o ich rodziny. Błagalne listy odbierali jak oskarżenia. W styczniu 1943 roku Komitet Centralny odpowiedział wydaniem tajnej rezolucji w sprawie rodzin żołnierzy czynnej służby. Aleksiejowi Kosyginowi, wschodzącej gwiazdzie, powierzono zorganizowanie opieki społecznej. Miał sprawić, żeby mąkę, ziemniaki i opał przydzielano zgodnie z rozdzielnikiem. Jednak urzędnicy w obwodach nie mogli w ciągu jednej nocy przekształcić ruin w domy ani wyczarować mąki z popiołu. W maju 1944 roku inspekcja w okręgu kurskim ujawniła 17 740 sierot i prawie pół miliona rodzin żołnierzy pilnie potrzebujących pomocy. Z tych wszystkich rodzin zaledwie 32 025 otrzymywało rentę i przydział żywności³¹. To amó powtarzało się w całej europejskiej części Rosji. W 1944 roku v okręgu smoleńskim było na liście ponad ćwierć miliona żołnier-ikich rodzin. Z górą 12 tysięcy z nich mieszkało w ziemniakach. Dkoło 11 tysięcy dzieci żołnierzy nie mogło chodzić do świeżo otwartych lokalnych szkół, ponieważ nie miało butów³².

Rodziny odznaczonych żołnierzy, bohaterów, miały otrzymać dodatkową pomoc. To przemawiało do wyobraźni. Obietnica uprzywilejowanego dostępu do żywności i opału dla ich żon i matek pozwoliła nabrać niektórym czerwonarmistom przekonania, że są warci więcej niż ich towarzysze. Ale kiedy obietnicy nie dotrzymano, ich oburzenie było również proporcjonalnie większe. Pełne gniewnych żądań listy kombatanów, którzy czuli się uprawnieni do ich wysuwania, piętrzyły się na biurkach biurokratów, jednak żadne oburzenie nie mogło przewyciężyć tego kryzysu. Wiosną 1944 roku rady wiejskie w niektórych regionach ostrzegały, że wkrótce głód w ich wsiach doprowadzi do zgonów. Bohater Związku Radzieckiego P. L. Paszyn odwiedził rodzinę w jednym z dotkniętych głodem okręgów. Zastał rozpaczliwą sytuację. Zwrócił się do miejscowego kolchozu, żeby wydano im chleb lub ziemniaki, ale komitet nie mógł spełnić jego prośby. Rodzina innego bohatera „pilnie potrzebowała" odzieży, butów i suchego mieszkania³³. Maria Slesariowa nadal pisała do ojca. „Z chlebem jest naprawdę źle — skarżyła się w lipcu 1944 roku - i z ziemniakami też". Ceny wzrosły niebotycz-

nie. Brat wysyłał jej 50 rubli na miesiąc, czasem też coś dorzuczał, a tymczasem litr mleka kosztował 15 rubli, filiżanka soli 24, mąka zaś 800 rubli za pud³⁴.

Ceny śrubowali wojenni kombinatory, ale armia - czasem nielegalnie — ogałacała miejscowe gospodarstwa. Większość żołnierzy bała się o własne rodziny, niektórych nie obchodzili inni ludzie. „Wszystko dla frontu" brzmiało hasło, którego łatwo było nadużywać. Jeśli żołnierze nie mieli gdzie spać, wyrzucali miejscowych z ich domów. Gdy potrzebowali koni, zabierali je z kolchozów. Niekiedy wykorzystywali swoje nowe środki transportu, by zagarnąć i sprzedać zboże. Nielegalny handel kwitł z nieoficjalną pomocą armii³⁵. Żaden żołnierz nie był bez winy. W lutym 1944 roku

żołnierz wojsk granicznych NKWD miał mówić, że „nasi ludzie chodzą boso i półnaczy, więc to dobrze, że kradniemy, bo inaczej byśmy nie przeżyli”³⁶.

Jednym z głównych towarów pozostawał samogon. Spirytus dawało się pędzić, jeśli tylko dostępne były cukier i zboże lub ziemniaki. Patrole wojskowe знаły stodoły, w których przechowywano nielegalne destylatory, i robiły wypadki w momencie, gdy alkohol był gotowy. Żołnierze dostawali za niego dobrą cenę. Z powodu jego nadużywania dochodziło do wypadków i bójek, a nawet morderstw. Ale spirytus wywoływał nie tylko bójki. Samogon był walutą. Jego wytwarzanie wspierały siatki przestępcze. Kradziono zboże do jego produkcji, rabowano inne towary, żeby go kupić³⁷. Naziści odeszli, władza radziecka jeszcze się nie umocniła, a w chaosie, jaki zostawiał za sobą przesuwający się na zachód front, powstała prymitywna gospodarka wymienna z nieprzetworzonym spirytusem jako podstawowym produktem i wieloma innymi towarami na wymianę. W październiku 1943 roku grupa ludzi stacjonująca koło Biełego Chołma w obwodzie smoleńskim zarekwirowała cztery tony ziemniaków w miejscowych kolchozach, ale kradła również na mniejszą skalę, pozbawiając chłopów mąki, cukru, miodu, a nawet butów³⁸. W tym wypadku winni przebywali na szkoleniu dla podporuczników.

Do najbardziej poszukiwanych rzeczy na czarnym rynku należały towary niemieckie. Były, jak wszyscy wiedzieli, doskonałej jakości, nowoczesne i trudne do zdobycia w normalnych czasach. W 1942 i 1943 roku coraz bardziej zaostrzano prawo do „trofeów”, wojen-

nych łupów. W okolicie opuszczonych pól bitewnych i baz wojskowych wysyłano specjalne załogi złożone głównie z kobiet i nastoletnich chłopców. Za zadanie mieli wyszukiwanie w ruinach wszystkiego, co się da — zwłok, broni i przedmiotów osobistych³⁹. Państwo głosiło, że to wszystko na potrzeby wojny. Istniała jednak przygnębiająca kolejność dziobania wokół tej padliny. Frontowcy byli pierwsi, chociaż nie mieli za wiele czasu. „Przeszedłem obok ciała Niemca w rogu jednego z ich cmentarzy polowych — powiedział mi Anatolij Szewielow. — Pochowali całą resztę, ale o nim zapomnieli. Wziąłem jego portfel... byłem ciekawy, naprawdę. Znalazłem w nim fotografię jego *Frau*. Zdjęcie i kondom; my nie mieliśmy kondomów. Żadnego bezpiecznego seksu w Armii Czerwonej. Ale ja chciałem jego butów. Próbowaliśmy je zdjąć. Jednak ciągnąłem mocno, a nogi żołnierza były w stanie takiego rozkładu, że odpadły razem z butami. Zostawiłem go więc”.

Za frontowcami pojawiały się jednostki wsparcia, „szczury”, oraz miejscowi, którzy już zwęszyli okazję. Takie buty, jakie znalazł Szewielow, nie stanowiły problemu dla ekspertów. Zamarznęte lub rozłożone członki wymagały jedynie odpowiedniej techniki. Zimą 1941 roku Wasilij Grossman spotkał chłopca z workiem ludzkich nóg, każdą odciętą niczym podczas żniw. Mężczyzna planował rozmrozić je na piecu, aby łatwiej było zdjąć buty⁴⁰. Tymczasem porzucone hełmy i odznaki zmieniano w zabawki, chociaż same dzieci wołały bagnety i granaty⁴¹. Wyżej postawieni kolekcjonowali bardziej wyrafinowane zabawki. Orest Kuzniecowa był wojskowym prawnikiem. Jedną z korzyści ubocznych jego funkcji było przeglądanie trofeów pozostawionych przez armię niemiecką, zanim spakowano je i odesłano na tyły. W lutym 1944 roku zagarnął „bardzo ładny odbiornik radiowy, który aktualnie nie działa, gdyż potrzebuje prądu”⁴².

Podstawowe normy czasu pokoju dawno zanikły. Pojawił się między innymi nowy stosunek do seksu. Linia frontu, chociaż nie całkiem ekskluzywny klub dla mężczyzn, cierpiała na mizoginię. „W armii traktują kobiety jak płyty gramofonowe - napisał w 1943 roku pewien młody człowiek. — Puszczasz je i puszczasz, a potem wyrzucasz”⁴³. Ten przesąd wybuchł z gwałtowną siłą rok później, kiedy armia wkroczyła do Prus. Jednak postawy wobec seksu, zarówno

wśród mężczyzn, jak i kobiet, już się zmieniały. Najmniej oburzającą z nowych zasad była krótkoterminowość i często wzajemna wygoda. Oficerowie słynęli z „adoptowania” atrakcyjnych kobiet. Niekiedy dopisywali je do listy żołnierzy kompanii, tworząc fikcyjne stanowiska sztabowe, by móc wozic ze sobą kochanki na kampanie⁴⁴. W armijnym slangu dziewczyny te określano jako *pochodno-polowy-je żeny*, „żony marszowo-polowe”, albo PPŻ, w nawiązaniu do pistoletu maszynowego PPSz. Niczym niezwykłym było posiadanie przez oficera pięciu lub więcej takich „żon” jednocześnie. A na froncie zawsze znalazły się kolejne. Agiejew znalazł porucznika, który zareagował na pożegnalny list od przedwojennej żony, wysyłając kartkę na pocztę główną w Moskwie i adresując ją „do pierwszej dziewczyny, która weźmie ją do ręki”. Jak dodał Agiejew: „Ta korespondencja trwała kilka miesięcy”⁴⁵.

„Żony” frontowe zwykle zadzierały nosa. „To była trochę legenda - wspominał Niemanow. - Mój dowódca miał 50 lat, był nauczycielem z zawodu, ojcem żołnierzy, surowym, ale kochanym przez wszystkich. I miał dwudziestoletnią kochankę Ninę. Już była w ciąży. I lubiła mnie. Nie miałem o tym pojęcia i nawet nie starałem się zwrócić na siebie jej uwagi. Zapraszała mnie na słuchanie gramofonu, staliśmy razem, oparliśmy o siebie. Ktoś nas zobaczył i doniósł dowódcy, chociaż to było całkiem niewinne. Wpadł w szal. Wymierzył do mnie z pistoletu i powiedział: »Jeśli Niemcy cię nie zabiją, ja zastrzelę!« Ale nie zastrzelił, tylko odsunął od niej. Zrobił ze mnie telefonistę i dał do noszenia najcięższy sprzęt wraz z karabinem”. „Nie wolno ci myśleć, że romansuję z dziewczętami, Polu -lapisał szeregowiec w 1944 roku. - Nie, moja kochana, mnie to nie interesuje. Kiedy się spotkamy, opowiem ci mnóstwo rzeczy o wojennym życiu. Ale mój charakter się nie zmienił, a poza tym, jeśli (...) się ma dziewczęta, szybko łąduje się w karnej jednostce”⁴⁶.

Gdy żołnierze znajdowali się jeszcze na radzieckiej ziemi, to picie wódki, nie seks, było głównym sposobem spędzania wolnego czasu, jednak mieszkające w pobliżu kobiety wiedziały, że zaczynają się łopoty, gdy czerwonoarmiści wyruszyli w poszukiwaniu jednego drugiego. Liczba cierpiących na choroby weneryczne wzrosła nie-(Otycznie. Już Wehrmacht przyczynił się do ich szerzenia w miej-

scach swego stacjonowania. Teraz przyszła kolej na żołnierzy radzieckich. Raporty z tego czasu z pewnym zaskoczeniem donosiły, że syfilis dotyka oficerów — a nawet członków partii komunistycznej — równie często jak zwykłych ludzi⁴⁷. W samym obwodzie smoleńskim odnotowana (i zanizona) liczba zakażeń syfilisem wzrosła od 1934 do 1945 roku dwunastokrotnie⁴⁸. W pewnym stopniu podwójny impet najpierw niemieckiego ataku, a potem wyzwalała wyjaśnia skalę epidemii, ale przede wszystkim należy winić za to postawę Sowietów wobec seksu. Mężczyźni nie otrzymywali żadnej edukacji i, jak zaobserwował Szewieliov, nie mieli kondomów. Żołnierzy, którzy zarazili się chorobą weneryczną, traktowano jako swego rodzaju zdrajców. Czasem świadomie nie leczono ich w ramach kary za coś, co uważano za niemoralne⁴⁹. Dla niektórych żołnierzy wstyd — czy nawet strach — stanowił o jeden problem za dużo. Od 1943 roku zaczęły napływać raporty o ludziach, którzy zastrzelili się po zarażeniu chorobą weneryczną⁵⁰. Tymczasem władze cywilne rozważały deportowanie miejscowych kobiet, jeśli zbyt często zadawały się z żołnierzami. Marzyły również (choć nie miały środków na realizację tego planu) o przymusowym poddawaniu ich badaniom lekarskim i leczeniu szpitalnemu⁵¹.

Kobiety od zawsze silniej represjonowano. Radziecka moralność stosowała wobec nich podwójne standardy, potępiając zachowanie, które u mężczyzn było podziwiane lub przynajmniej akceptowane. Niektóre z frontowych „żon” miały nadzieję na małżeństwo ze swym wojskowym opiekunem, ale większość szukała, jak wszyscy, otuchy i bliskości. To męskie uprzedzenia

przedstawiały je jako dziwki. „Dostałem od ciebie cztery listy — napisał Agiejew do żony, Niny, wczesną wiosną 1944 roku. - Mam przynajmniej podstawy wierzyć, że moja rodzina przetrwa. Nino! To najważniejsze pytanie dla nas wszystkich, frontowców. Co będzie po zakończeniu wojny? Mężczyzn i kobiety opętało jakieś szaleństwo, z tą tylko różnicą, że kobiety — dbając o zabezpieczenie sobie przyszłości — zapominają o zasadach i popadają w szaleństwo dziesięciokrotnie większe niż mężczyźni”⁵².

Weterani często wspominali, że wojna była okrutna dla dziewcząt. Postarzała je szybciej niż mężczyzn, szczególnie jeśli wybrały służbę na froncie. Pielęgniarki i telegrafistki wyżej ceniono jako przyja-

ciółki niż kobiety żołnierzy. „Nie traktowaliśmy ich jak kobiety — powiedział w latach osiemdziesiątych weteran Swietłanie Aleksije-wicz - tylko jak kumpli”⁵³. To jednak była uprzejmniejsza wersja. W rzeczywistości kobiety na froncie, wykolejone czy nie, cierpiały z powodu uprzedzeń opartych na ich reputacji rozpustnic. Jedna opisywała, co się stało po tym, jak wyszła za swoją wojenną sympatię. Rodzice jej męża wpadli w furję. Uważali, że zniszczyła ich dobre imię. „Dziewczyna z armii! - sarkali. - Dlaczego to zrobiłaś? Masz dwie młodsze siostry. Kto je teraz zechce?”⁵⁴ Przyjmowano, że kobiety sypiały z oficerami, żeby jakoś przetrwać. Cięża gwarantowałyby im ucieczkę z frontu. Jeszcze wiele lat po wojnie podejrzliwie traktowano weteranki z medalami. Gdy kobiety nosiły pożądane odznaczenia „za wojskowe zasługi” (*za bojowe zasługi*), żartowano, że dostały je „za seksualne usługi” (*za polowyje zasługi*)⁵⁵.

Okrutny humor maskował niepewność. Śmiech - wspólny męski śmiech żołnierzy w wolnej chwili — miał dodawać otuchy. Dopóki mężczyźni żartowali w grupie, nie musieli się zmagać z osobistymi lękami. Chłopcy, zwerbowani prosto ze szkół, śmiali się, żeby ukryć, że są prawiczkami, a starsi, żonaci mężczyźni bardzo długo nie widzieli swoich żon. Problem stanowiły nie tylko mijające miesiące. Chodziło o to, że podczas wojny czas biegł szybciej. Żołnierze po trzydziestce, którzy w czasach pokoju przeżywaliby ostatnią dekadę młodości, w jedną noc stawali się starcami. Jeden dzień w okopie mógł postarzyć człowieka niczym stanięcie w obliczu śmierci. Siwieli, na skórze pojawiały się zmarszczki, z ich uśmiechów zniknęła beztraska (i zęby). A potem dochodziły rany, obcięte kończyny i blizny. „Po obu stronach jest wiele historii tego rodzaju — napisał do domu Agiejew w 1943 roku. - Kiedy oficerowie zostają ranni i leżą w szpitalu, otrzymują listy od żon, które dowiedziawszy się o ranie, piszą, że kończą małżeństwo z powodu ich męskiej nie-

mocy

Żołnierze wyobrażali sobie, że ich żony są tymi samymi kobietami, które opuścili, wciąż młodymi, chociaż ich mężowie się postarzel. Jeśli nie dręczyły ich obawy, że te syreny ich oszukują, bali się odrzucenia, świadomi, kim się stali. Wierny Taraniczew gryzł się, że siwe włosy wystraszą jego żonę Natalię. Była to metafora wszyst-

kich zmian, jakie w nim zaszły, gwałtowność, która go fascynowała i przerażała. Agiejew szczerze przyznawał, co wojna zrobiła z jego ciałem. „Pewnie spytasz: Co ze mną? - pisał do Niny. - Muszę Ci powiedzieć, że chęci (...) jest aż nazbyt wiele, ale strach przed katastrofą po dwóch ranach głowy sprawia, że się poddam”. Kilka miesięcy martwił się swoimi siwymi włosami i zmarszczkami na twarzy. Teraz mówił Ninie, że jest impotentem⁵⁷.

Radziecki mit wojenny pomija milczeniem rozwody, rozwiązłość i choroby weneryczne. Zamiast tego skupia się na patosie oczekiwania, czerpiąc inspirację ze słynnego wiersza Simonowa. Obrazy są niezmiennie, refleksyjne, tymczasem prawdziwe życie na froncie obfitowało w nieoczekiwane zmiany i trudności. W wierszu Simonowa przedstawiona została kobieta, cierpliwie licząca dni w domu, ale w rzeczywistości żony żołnierzy musiały się nauczyć nowych umiejętności, udoskonalić techniki przetrwania i pracować przez wiele wyjątkowo długich, żmudnych godzin. Nieliczne tylko miały czas usiąść i liczyć dni oraz tęsknie spoglądać na zachód. Warunki życia były fatalne, uchodźcy stale u bram, a w 1943 roku rodzina, która czekała w domu, składała się z wielu pokoleń kuzynów, sióstr i sąsiadów.

Rodzina Witalija Taraniczewa mieszkała daleko za linią frontu, w Aszchabadzie, w pobliżu granicy z Iranem. Taraniczew sprowadził tam żonę z jej rodzinnego Kijowa przed wojną. Takie gwałtowne zmiany dotyczyły wielu tysięcy inżynierów przerzuconych na step — lub, w ich wypadku, do Turkmenistanu - ponieważ koleje czy kopalnie potrzebowały wykwalifikowanych ludzi. Natalia urządziła się w domu matki Witalija. Jeśli nawet układ ten kiedykolwiek odpowiadał obu kobietom, wojna udowodniła, że prowadzi tylko do waśni. Przede wszystkim w ich gospodarstwie brakowało Witalija, jedynej osoby, którą obie kochały i darzyły zaufaniem. W to miejsce pojawił się strumień uchodźców. W 1943 roku w domu mieszkała matka Taraniczewa, Natalia z dwójką dzieci, jej matka, która przybyła niedawno z Ukrainy, siostra żony z dziećmi i, od czasu do czasu, szereg „żon” sprowadzanych przez wykołajonego brata Nataszy, Fiodora.

Kobiety kłóciły się o wszystko, od pieniędzy do sposobu odżywiania dzieci. Konkurowały również o materialne wsparcie Witalija. Oficer przeznaczał na ich potrzeby część żołdu, wysyłając co miesiąc przekazy. „Przesyłam ci dwa przekazy na ten rok — napisał do Natalii w kwietniu 1944 roku. -Jeden na 350 rubli miesięcznie na twoje nazwisko i drugi na 100 rubli dla mamy. Myślę, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, ponieważ sama mi mówiłaś, że mama zawsze się skarży, że musi płacić wszystkie podatki i tym podobne. (...) W ten sposób dam mamie nieco radości na starość, nie z powodu tych 100 rubli co miesiąc, ale dlatego, że się o nią troszczę. Musisz mnie zrozumieć”⁵⁸.

Kobiety nadal się sprzeczały. Każdego lata sad dawał cenny plon moreli; matka Witalija zabierała wszystkie. Dzieci wagarowały, matka Witalija oskarżała zapracowaną Natalię o niedbalstwo. W 1943 roku Natalia i jej matka były zmuszone sprzedać część starych ubrań Witalija, żeby zdobyć nieco gotówki; matka Taraniczewa zaczęła histerycznie płakać i przysięgać, że wolałyby zobaczyć ich wszystkich martwymi. „Błagam Cię - prosił Witalij żonę - nie zwracaj uwagi na słowa, jakie padają pod wpływem chwili. Nie wierzę, że moja matka mogłaby życzyć Tobie i naszym dzieciom choroby. (...) Przeczytaj jej moje słowa, a zobaczysz, że mam rację”. Tymczasem pozostała sprawa ubrań. Witalij kazał żonie sprzedać jego spodnie, płaszcz i letnie rzeczy. I tak przyjadę, powiedział, w mundurze. „Zachowaj tylko moje buty. Po wojnie ciężko będzie dostać buty w rozmiarze 45”⁵⁹. Poprosił również, by nie pozbywała się jego pistoletu. Była to chwalebna przezorność.

Mimo jego pomocy i mimo jej zarobków oraz dochodów ze sprzedaży moreli Natalia i dzieci cierpiały. „Bardzo schudłam - napisała do Witalija latem 1943 roku. - Ważę 48 kilogramów. Wszyscy staramy się o jedzenie, kochany, jak tylko możemy”. Opowieść taką snuła w listach każda żona, opowieść o głodzie i niedostatku⁶⁰. „Stołówka w zakładzie tak naprawdę nas nie karmi - ciągnęła Natalia. -Kierownictwo uważa za stosowne używać jakiejś mieszaniny oleju, która błyszczy wszystkimi kolorami tęczy”⁶¹. Co do dzieci, to chodziły boso i chowały się same. Szkoła działała nieregularnie, a w domu, w którym wszyscy byli zajęci, nikt nie utrzymywał

dyscypliny.

W domu Taraniczewa tylko najmłodszy, Kola, wywoływał wciąż uśmiechy na twarzach. Natalia znalazła dla niego jakieś kolorowe klocki na trzecie urodziny. „Może siedzieć przy stole i budować godzinami — napisała do jego ojca. — Mówi: »Niemcy to zburzyli, a Kola odbuduje«. Chłopiec nie miał jeszcze trzech lat, gdy nauczył się krzyczeć: „Za ojczyznę i Stalina!”⁶²

Korespondencja była jedynym kontaktem, jaki Natalia i Witalij mieli przez następne kilka lat. Działalność poczty nie poprawiła się od 1942 roku, kiedy listy znikwały albo docierały po miesiącach niewyjaśnionego opóźnienia. „To taki wstyd, że dostaję Twoje listy

tak nieregularnie - napisała Natalia w czerwcu 1943 roku. - Teraz przychodzą te z marca. A czyż nie zależy od tego stan naszego morale?" Martwiła się też o pieniądze - 650 czy 750 rubli - które wciąż nie nadeszły⁶³. Taraniczew również cierpiał. Tamtego czerwca otrzymał pierwszą paczkę listów z domu od sześciu miesięcy. „Wreszcie - napisał- wiem, że żyjecie i macie się dobrze. Nie możecie sobie nawet wyobrazić mojego szczęścia, kiedy te listy wreszcie do mnie dotarły. Od trzech dni noszę je w kieszeni i czytam raz po raz, kiedy tylko mam chwilę!”⁶⁴ Tym razem nie wspomniał, że przez długie czekanie dręczyło go wiele wątpliwości, ale inne jego listy zawierały ostre wymówki.

Niekiedy żołnierz cierpiący na głód wiadomości od żony nagle orientował się, że stacjonuje parę kilometrów od swego starego domu. „Są wśród nas dowódcy, a nawet żołnierze, których domy leżą od 20 do 50 kilometrów od linii frontu - napisał Agiejew do żony w 1943 roku. - Ale nie mają prawa tam pójść. W kilku wypadkach kobiety zdołały się przedostać na front, lecz w większości schwymano je i od- eskortowano w konwojach na przesłuchanie”⁶⁵. Dopiero za trzy lata, sporo po zwycięstwie, Witalij i Natalia spotkają się; rozłąka trwała dłużej niż ich wcześniejsze wspólne życie. Ich dzieci nie miały ojca sześć lat. To cud, że przedwojenne małżeństwa w ogóle przetrwały.

Jak zwykle najlepiej przystosowali się bardzo młodzi. „Ci, którzy pobierali się na froncie — powiedziała Swietłanie Aleksijewicz stare małżeństwo - są najszczęśliwsi z ludzi i najszczęśliwsi z małżonków”⁶⁶. Zdanie brzmi uroczo, jak szczęśliwe zakończenie, ale prawdziwe historie zwykle opierały się na stracie. Kirył Kiryłowicz poznał swą żonę w Leningradzie podczas najmroczniejszych miesięcy blokady. Był rok 1942, a Kirył i jego starszy, żonaty przyjaciel stali na posterunku koło Teatru im. Kirowa. Ich wzrok przyciągnęła młoda kobieta, nastolatka w wojskowym mundurze, z *na-ganem* i maską przeciwgazową. „Żyję trzydzieści lat — powiedział starszy z mężczyzn — ale nigdy nie widziałem takiej ładnej milicjant-ki”. Osiemnastoletnia Nina przeżyła. Tej zimy, zaledwie kilka tygodni wcześniej, jej rodzina wymarła z głodu. Jej ojciec leżał martwy w mieszkaniu przez trzy tygodnie, nim znaleziono kogoś wystarczająco silnego, by go wynieść. Tylko młodość i instynkt przeżycia oca-

liły dziewczynę, ale ona postrzegała wybór między życiem a śmiercią w kategoriach obowiązku. Kiedy podjęła decyzję, zgłosiła się jako honorowy krwiodawca, co oznaczało, że otrzymywała gwarantowaną rację chleba⁶⁷. Niewielkie ilości jedzenia odbudowały jej siły.

Do zgłoszenia się do nocnego patrolu skłoniła Ninę chęć zemsty. Według jej świadectwa, opowiedzianego przez łyzy sześćdziesiąt lat później, postanowiła ujrzeć zmartwychwstanie

uroczego miasta i pomścić rodziców. Nie dbała o własne bezpieczeństwo, gotowa spróbować wszystkiego. Kiedy starszy mężczyzna poprosił, dała mu swój telefon i adres. Kiril, wciąż nieśmiały dwudziestotrzylatek, wycofał się. Dopiero potem, w koszarach, poprosił o dane. Zaczęli się spotykać na zbombardowanych ulicach i w ruinach miasta. Oboje stracili rodziców po wybuchu wojny i żadne z nich nie wiedziało, gdzie znajdzie dom. W 1944 roku Nina urodziła ich córkę. Wtedy też para postanowiła wziąć ślub. „Byłem zastępcą dowódcy — śmiał się Kiril, opowiadając tę historię. -Jednak nawet wtedy wstydziłem się, ponieważ miałem nieślubną córkę”.

Bardziej subtelne były romanse nawiązywane korespondencyjnie. Od pierwszych chwil wojny cywilów zachęcano do adoptowania żołnierzy, pisania do nich wesołych listów, wysyłania im paczek i fotografii. Podnoszenie morale organizowano w ramach działań na rzecz wysiłku wojennego, ale listy stanowiły dla obu stron ucieczkę, opartą na prywatnych nadziejach, które wydawały się tak podobne, choć w rzeczywistości wiązały się z zupełnie odmiennymi światami. Władimir Anfiłow był kolejną ofiarą blokady Leningradu. Gdy przebywał na froncie, jego żona, dzieci i dwie siostry zmarły w oblężonym mieście. W marcu 1944 roku oświadczył, że gotów jest szukać kolejnej powiernicy i przyjaciółki. Jego listy do nowej kobiety, sąsiadki z czasów pokoju jednego z towarzyszy broni, wypełniały ploteczki o kulturze, uwagi o ostatnich filmach czy wierszach, jednak nie wspominały o prawdziwym życiu. „Toniu — pisał — to wszystko jest tak ponure, że lepiej o tym nie myśleć”. Miesiąc po pierwszej wymianie listów Władimir poprosił Tonie o zdjęcie⁶⁸. Listy stawały się coraz intymniejsze. Serce Toni zostało złamane miesiąc później, gdy przyjaciel, który ich sobie przedstawił, powiedział dziewczynie, że jest tylko jedną z wianuszek „żon”.

Samojłow pomagał młodemu chłopakowi o nazwisku Anis'ko odpowiadać kobietom, które do niego pisały. „Ty jesteś wykształcony -mówił Anis'ko. -Ty wiesz, co napisać”. W końcu Samojłow układał wersje tego samego listu dla kilku kobiet równocześnie. *Zawsze* wyjaśniał, że Anis'ko jest sam, że jego rodzina zginęła i że gotów jest oddać serce każdej kobiecie, która pokochałaby go na tyle, by dać mu swą fotografię. Kiedy nadchodziła odpowiedź, Anis'ko przekazywał ją kolegom do odczytania na głos. Poddał się, gdy żart nie wypalił. „Mój synu - usłyszał słowa odczytywane przez jednego z kolegów -pisziesz mi o miłości, ale ja mam już ponad siedemdziesiąt lat”⁶⁹.

Państwo zawsze miało w zanadru jakiś projekt. Sowinfbrmbiuro i organy partyjne nie kłopotowały się brakiem zrozumienia między żołnierzami frontowymi a cywilami. Ich członkowie wiedzieli, co może podsycić wyimaginowanego kolektywnego ducha, nie tylko dlatego, że miliony naprawdę pracowały na rzecz frontu. Nieustannie wzmacniano patriotyczny impuls. Kampania po kampanii państwo gromadziło paczki dla frontu. W lutym 1942 roku, jednym z najbardziej ponurych miesięcy ciężkiej zimy, obywatele Omska wysłali cały pociąg do żołnierzy pod Leningradem. Jego ładunek obejmował 12 760 patriotycznych listów, ale 24 wagony zajmowało też 18 631 paczek, z których każda zawierała mięso, boczek, salami, wędzony ser, miód, rybę i tytoń. Pociąg zaopatrzone również dobrze w wódkę i inne alkohole, a ktoś dodał 183 zegarki, artykuły piśmienne, toaletę i 1500 egzemplarzy specjalnego wydania „Omskiej Prawdy”⁷⁰.

„Dary” dla armii nie ograniczały się do dóbr konsumpcyjnych. Na wszystkich, nawet samych żołnierzy, wywierano nacisk, żeby nabywali pożyczkę wojenną, jednak część entuzjastów szła dalej i kupowała broń na potrzeby frontu. W 1943 roku w obwodzie kur-skim pojawił się bohaterski pszczelarz. Jego pierwszym darem dla armii było 750 kilogramów miodu, ale mężczyzna ów miał większe ambicje. Przez całe lato 1943 roku oszczędzał dochody ze

sprzedaży miodu, dopóki nie zebrał 150 tysięcy rubli niezbędnych do zakupu samolotu myśliwskiego *Jak-9*. Nowa maszyna przybrała jego imię, Biessmiertnyj, co po rosyjsku znaczy „nieśmiertelny”, a pilot latający tym samolotem przysięgał, że przynosi on szczęście⁷¹. Para patrio-

tów dała 50 tysięcy rubli na ciężki czołg, szkoliła się ramię w ramię w Czelabińsku, a potem służyła we własnej maszynie aż do Berlina. Maria Oktiabrskaja oddała oszczędności całego życia, kiedy zmarł jej mąż, i kupiła *T-34*. Ona również została mechanikiem czołgowym; zginęła pod Witebskiem w 1944 roku⁷². Jak ujął to Biessmiertnyj: „Im więcej pracuję, tym więcej żywności dostaje Armia Czerwona i tym bliższe staje się nasze zwycięstwo nad wrogiem”⁷³.

Podczas gdy cywile pracownicy adoptowali żołnierzy, ci również zajmowali się zbłąkanymi. Proste uczucia były najlepsze. Wśród weteranów, których spotkałam pod Kurskiem, był stosunkowo młody

człowiek - nieco po siedemdziesiątce - Wasilij Andriejewicz. Powiedział mi, że dołączył do pułku jako trzynastolatek. Gdy Niemcy się wycofali, zabili jego matkę i spalili chatę. Chłopiec, już sierota, uciekł i ukrył się w lesie. Siedział tam sam trzy dni, jak pamięta, może dłużej. Próbował jeść sosnowe igły i trawę. Myślał wyłącznie o głodzie. I wtedy natknął się na obóz czerwonoarmistów. Sześćdziesiąt lat później jego oczy rozszerzają się, kiedy wspomina kuchnię. „Był tam ogromny kocioł - opowiadał - i żołnierze ustawiali się, by dostać z niego chochlę zupy”. Chłopiec stanął w kolejce. Zauważywszy, że żołnierze mają metalowe miski, zdjął czapkę i wyciągnął ją. Kucharz stłumił śmiech, a wojskowi zrozumieli, że zdobyli nowego „syna”. Pułk „adoptował” go, zapewniając mundur i jedzenie w zamian za pracę, która, rzecz jasna, obejmowała czyszczenie kotła. „Przebywałem z nimi całą wojnę” - zakończył. Nawet kiedy został ranny w nogę, jechał z nimi, odmówiwszy pójścia do szpitala. Jak stwierdził: „Nie zniósłbym rozłąki z tą kuchnią”.

Adopcja „synów pułku” była tak niesystematyczna, że nikt nie wie, ile dzieci objęła. Jeden z szacunków sugeruje, że podczas wojny z armią maszerowało 25 tysięcy dzieci w wieku od 6 do 16 lat⁷⁴. Część z nich była naprawdę mała. Żołnierze litowali się nad nimi i traktowali je jak namiastki utraconych rodzin, jeśli nie jak maskotki. Nie wszystkie chroniono przed prawdziwą walką. Część jeździła w czołgach, inne nosiły karabiny lub uczyły się obsługiwać dział⁷⁵. To jedyna nauka, jaką pobierały. Nie było klas ani kolegów, do których można by dołączyć na naukę czytania lub pisania. Na dobranoc słuchały żołnierskich opowieści o bohaterach i magicznych rycerzach. Wiele było już zahartowanymi bojownikami, gdy zajęła się nimi armia. Dawid Samojłow spotkał piętnastoletniego Wańkę, który przeszedł do armii z oddziału partyzanckiego. Kiedy ludzie Samojłowa schwytali niemieckiego żołnierza, Wańka zgłosił się do eskortowania go do obozu, w którym trzymano innych jeńców. „Odprowadził go kilka kroków — napisał Samojłow — a potem

zastrzelił. Wańka nie znosił widoku żywego fryca. Mścił się za po mordowaną rodzinę. Niech Bóg go osądza, nie ludzie"⁷⁶.

Dzieci niemal na pewno pomagały żołnierzom przetrwać. Ulgą było się zająć kimś po miesiącach surowej służby i rutyny. Jeśli nie

dziecko, mogła to być krowa albo koń - ta armia maszerowała z całym stadami inwentarza⁷⁷. Oddział Samojłowa opanowały szczeniaki. Kiedy w 1944 roku stacjonowali w Polsce, ich dowódcę odwołano na dwa tygodnie. Po powrocie zastał pułk opanowany przez psy. Samojłow też miał własnego kundla. Kiedy przy nim spał - napisał -czuł się „niemal jak ojciec”. Gdy żołnierze pracowali, psy biegały swobodnie, szczekając na każdego, kto się zbliżył do obozu. Dowódca, kapitan Bogomołow, był zbulwersowany. Dał swym ludziom dwadzieścia cztery godziny na pozbycie się pupilów. Tego popołudnia w zaroślach odbyła się „wystawa psów”. Cena wynosiła litr wódki za szczeniaka; sprzedano wszystkie⁷⁸. Być może miejscowi wiedzieli, że inne pułki odkupią zwierzęta. Fotografia z 1944 roku pokazuje szeroko uśmiechniętą załogę czołgu na wieży, podczas gdy ich maskotka, młody pies, *szczyrzy* się równie szeroko jak ludzie.

Era frontowej walki z kontrrewolucją rozpoczęła się naprawdę, gdy Armia Czerwona przetoczyła się na zachód. Sowieci znaleźli się teraz głęboko na terytorium rządzonym niegdyś przez wroga. Nie-

mai każdy sprawny mężczyzna na tych obszarach był podejrzany. Społeczeństwo, mieszkańcy Moskwy, uważali tamtejszych ludzi za oswobodzonych i z pewnością miliony uznały powracającą, po nazi-stach, władzę radziecką za prawdziwe wyzwolenie. Zdjęcia przedstawiały uśmiechnięte dzieci witające czerwonarmistów, podczas gdy na zrujnowanych ulicach takich miast jak Smoleńsk i Kijów tłoczyły się wdzięczne tłumy głodnych dorosłych. Na miejscu jednak przedstawiciele dyktatury podsycali ich wątpliwości. Od 1942 roku przy linii frontu istniała sieć obozów, w których NKWD umieszczało wszystkich podejrzanych, nawet byłych żołnierzy, których umiejętności bardzo przydałyby się w szeregach⁷⁹.

Wobec rzekomych wrogów władzy radzieckiej stosowano dwie podstawowe metody postępowania. Pierwszą były represje zbrojne. Wojska NKWD, a zwłaszcza oddziały wojsk pogranicza, wspierane przez jednostki w rodzaju OMSBON-u, od 1943 roku polowały na terytoriach przygranicznych na faszystowskich agentów oraz partyzantów i zabijały ich. Rzadko kiedy przestrzegano konwencji o jeńcach wojennych⁸⁰. Tymczasem agenci Smierszu zajęli się „odsiewaniem” podejrzanych dorosłych w zajętych strefach. Milicjanci

0 poblądłych twarzach sprawowali sądy w rozpadających się obozach przy froncie, przedzierając się przez informacje, w tym opowieści miejscowych. Podejrzani musieli dowieść swej niewinności; w tym przerażającym teatrze ciężar winy spadał na każdego, kto nie zginął. Byli żołnierze, na przykład, musieli zwykle przedstawić trzech świadków, którzy potwierdzili, że nie zdezerterowali, nie kolaborowali i nie stchórzyli⁸¹. Jednak mimo że jego agenci naprawdę szukali szpiegów i wrogów, najważniejszym — chociaż wykonywanym po cichu — zadaniem Smierszu i jego sojuszników było tworzenie nowego porządku. Odsiewanie, tak jak terror, stanowiło sygnał dla

porażonych w bezprawiu społeczności z pól bitewnych. Odbudowano wywano zwyczajową radziecką dyscyplinę opartą na strachu. Cokolwiek ludzie myśleli lub zrobili podczas anarchii lat, które nastąpiły po 1941 roku, teraz powinni być lojalni wobec jednego przywódcy i jednego systemu myślenia.

W regionach przyfrontowych całkowicie upadły wszystkie formy władzy. Od miesięcy Niemcy walczyli o życie. Nawet przed katastro-

fą zawsze byli armią okupacyjną, w dodatku nastawioną na ludobójstwo. Gdy się wycofywali, palili zabudowania i zapasy, zostawiali za sobą pustkowia. Armia Czerwona poruszała się zbyt szybko i była zbyt skupiona na zagadnieniach wojskowych, by zadbać o prawo. Szeroki pas wyzwolonego terytorium po obu brzegach Dniepru stał się królestwem zbrojnych band. W niektórych miejscach przez wiele miesięcy jedyną skuteczną władzę sprawowali partyzanci. W innych rządzili bandyci lub bojówkarze, czasem pod komendą byłych oficerów Armii Czerwonej⁸². Organy bezpieczeństwa same postawiły sobie zadanie oddzielenia prawdziwych patriotów od reszty. Zdemobilizowani partyzanci, ludzie najlepiej przygotowani, by oceniać miejscowe stosunki z punktu widzenia partii, odgrywali znaczącą rolę w czystkach. Jak jeden z nich, bezbarwny, łagodny człowiek nazywany „wujkiem Mitia”, powiedział Aleksandrowi Werthowi: „Powinniśmy być teraz bezlitośni wobec zdrajców. Nie ma co płakać, jest wojna”⁸³.

Dyktatura została ponownie narzucona — powoli — za pomocą kul lub karnych batalionów. Z chaotycznej siatki urzędów poszczególnych obwodów wykuto nową strukturę władzy partyjnej. Tutaj kontrwywiad nie zajmował się partią komunistyczną, ponieważ ta zawsze sama gromadziła akta swoich członków. Ocalali komuniści, których uważano za podejrzanych lub choćby niedbałych, byli usuwani. Część od razu powoływano do Armii Czerwonej. Reszta trafiała do gułagów. Pod koniec wojny dołączają do nich tysiące żołnierzy, zmęczonych lub nastawionych coraz bardziej krytycznie, w miarę jak Armia Czerwona wkraczała do kapitalistycznego świata⁸⁴.

Na szczycie listy poszukiwanych przez Smiersz znajdowała się na razie Rosyjska Armia Wyzwoleńcza (ROA). Była to formacja złożona głównie z etnicznych Rosjan i utożsamiana z generałem Andriejem Własowem. Generał, była gwiazda Armii Czerwonej, zdradził, gdy został pojmany na Froncie Wołchowskim w lipcu 1942 roku. Stał się symbolem zuchwałości zdesperowanych jeńców i niezadowolonych antykomunistów, którzy mieli nadzieję uratować się dzięki współpracy z Niemcami. W 1943 roku partyzanci spod Smoleńska poinformowali, że w ich regionie ktoś rozrzucił ulotki ze zdjęciem Własowa i jego zastępcy Małyszkina, oraz donieśli o krą-

żących plotkach, że Własow osobiście odwiedził Smoleńsk w lipcu 1943 roku⁸⁵. Moskwin zetknął się z „własowcami”, gdy jego grupa została otoczona i zaatakowana w kwietniu 1943 roku⁸⁶, jednak termin ten stosowano wobec wszystkich zbrojnych formacji złożonych z byłych czerwonoarmistów, które Niemcy lubili wykorzystywać, gdy niszczyli grupy partyzanckie. Przyklejając etykietkę „własow-ców” miejscowym kolaborantom, w tym również wszystkim, którzy mieli dość wymuszeń ze strony partyzantów, Smiersz podsycił plotki o coraz większej i groźniejszej konspiracji. Ta metoda zawsze dobrze służyła organom bezpieczeństwa.

Prawdziwa armia Własowa, zdziętkowana i kiepsko wyposażona, została pod koniec lata 1943 roku wysłana do Francji i południowej Europy⁸⁷. Niemieccy mocodawcy Własowa nie ufali już jego żołnierzom na radzieckiej ziemi. Ale nawet wcześniej generał nie był odpowiedzialny za każdą ulotkę wzywającą radzieckich obywateli do oporu wobec władzy

Stalina. Z nim czy bez niego, w 1943 roku na Ukrainie i w zachodnich obwodach rosyjskich działało sporo różnych „armii wyzwolńczych”. W wielu okupowanych miastach istniały „rosyjskie komitety” i „Ludowe Partie Rosji”, wszystkie pracujące pod nadzorem niemieckim nad podkopaniem radzieckich obyczajów i myśli. Przywracały dawno zapomniane flagi i barwy, obiecywały (poniewczasie i z desperacją) rozwiązanie kołchozów i przysięgały, że komunizm się skończy. Jeden z komitetów wykorzystał nawet w swoim godle litery „SSSR”. Jednak w tym wypadku oznaczały one inne hasło: „Smierť Stalina spasiet Rossiju” - „Śmierć Stalina ocali Rosję”⁸⁸. Cała sprawa była bardzo wygodna dla Smierszu. Gdziekolwiek pojawili się prawdziwi *zdrajcy*, mogli Łostać pod przekonującym zarzutem wsadzeni do więzienia.

W rzeczywistości prawdziwi własowcy stąpali po bardziej niepewnym gruncie niż kolaboranci oraz hiwisi i nie byli liczniejsi od motłochu pomniejszych oportunistów, miejscowych grubych ryb, dezterterów i oszustów. Ideologia, według definicji Stalina i Hitlera, miała dla wojennych społeczeństw mniejsze znaczenie niż walka > *iyicie*. Mając wybór, większość ludzi wołałaby uciec również przed iktaturą, a ten impuls odzwierciedlały apele nacjonalistycznych. Działy one w pewnych regionach od początku wojny. Nie-

które były duże i przez jakiś czas z powodzeniem ustanawiały w opanowanych przez siebie okręgach coś w rodzaju granicznego prawa. W 1944 roku najpotężniejszym partyzanckim ugrupowaniem na Ukrainie była UPA, Ukraińska Powstańcza Armia⁸⁹. Ruch ten, pod koniec wojny liczący 20 tysięcy członków, w lutym 1944 roku przeprowadził słynny zamach, podczas którego jeden z jego oddziałów specjalnych postrzelił utalentowanego radzieckiego generała Niko-łaja Watutina⁹⁰. Jednak poparcie dla UPA było silniejsze na zachodzie, w świeżo anektowanych regionach Ukrainy. Historia unii po radzieckiej stronie Dniepru, wraz z tradycją lojalności wobec Moskwy, sprawiła, że nacjonalizm w tym rejonie stanowił niewielkie zagrożenie⁹¹. Na tym etapie to anarchia, nie zaś zorganizowana nielojalność, zakłócała transport zaopatrzenia i posiłków dla Armii Czerwonej. Poza aresztowaniami najlepszym na to lekarstwem był przymusowy pobór. Ludzie służący pod czerwonym sztandarem nie mogli również być łatwo werbowani przez różne bandy.

W październiku 1943 roku były żołnierz Andriejew doświadczył tej formy wyzwolenia na własnej skórze. Pięciostronicowy list, który napisał do matki, przypominał ostatnią wolę. Była to również pierwsza wiadomość, jaką wysłał do domu, odkąd trafił do niewoli w sierpniu 1941 roku. Wówczas to jednostka Andriejewa została otoczona przez czołgi, ale w ogólnym chaosie on sam zdołał się wymknąć eskortującym jeńców niemieckim strażnikom i ukrył się we wsi Annowka. Tam ożenił się z Oksaną, córką kobiety, u której znalazł schronienie. Ich córka, Nina, urodziła się w 1943 roku. Nadejście Armii Czerwonej skłoniło Andriejewa do napisania listu do matki i przekazania jej tych wszystkich informacji. „Odbyła się dziś tutaj wielka bitwa - wyjaśnił. - Musiałem się wraz z Oksaną i Ninoczką schować w chacie razem ze wszystkimi staruszkami. Mówią, że przyjedzie tu komisja wojskowa i przesłucha wszystkich byłych jeńców. Sprawnych zabiorą na front, co oznacza, że zamiast do domu wrócić być może na wojnę”⁹². Andriejew przeszedł pomyślnie weryfikację Smierszu, ale brakowało mu formy, wyszkolenia i ekwipunku. Zginął kilka tygodni później na brzegach Dniepru.

Trudność sprawiały oddziały partyzantów. Na tym etapie wojny wiele z nich wspomagało Armię Czerwoną. To one zniszczyły nie-

mieckie linie zaopatrzeniowe przed kampaniami pod Kurskiem, Orłem i Charkowem. Pomagały również regularnemu wojsku wylapywać potencjalnych informatorów — „języki” —

którzy mogliby zdradzać planowane manewry wroga. Partyzanci mogli wysyłać raporty z miejsc położonych daleko za niemieckimi liniami i informować Moskwę o bazach szkoleniowych, warsztatach naprawczych, a nawet niemieckich gołębnikach⁹³. Dziennik Moskwin z 1943 roku czyta się jak listę wojskowych operacji, z których każda wymierzona była w konkretny cel. „Codziennie organizujemy jakąś akcję przeciwko wrogowi — napisał w kwietniu. Zwykłym celem były linie kolejowe i drogi. Ludzie grupowali się w bataliony, z których każdy obejmował około dziesięciu grup minerskich. Stały się one ekspertami w podkładaniu min i ich rozbrajaniu. Pod koniec „miesiąca nieustających walk” Moskwin miał „to samo twórcze uczucie, jakie miałem, kiedy w 1941 roku zniszczyliśmy lotnisko w Witebsku, z tym wyjątkiem, że wtedy nasza tragedia dopiero się zaczynała”⁹⁴. Problem polegał na tym, że wznowienie walk oznaczało większą liczbę ofiar. „Piszę dla potomności, że partyzanci cierpią nieludzkie katusze - zanotował Moskwin 25 marca⁹⁵. Straty mogły zostać uzupełnione jedynie werbunkiem nowych ludzi. Tej wiosny i lata, szczególnie po Kursku, zadanie stało się nieco łatwiejsze, gdy „partyzanci 1943 roku” - chłopci, którzy dostrzegli, w jakim kierunku zmierza wojna, i postanowili się ratować - ruszyli do ziemianek i obozów. Pod koniec lata 1943 roku pułk Griszyzna, w skład którego wchodził batalion Moskwin, powiększył się z sześciuset do ponad dwóch tysięcy ludzi⁹⁶. Wszyscy oni musieli zdobyć nowe umiejętności. Przeprowadzano zwykle wojskowe szkolenie, w tym naukę strzelania ze zdobyczej broni. Rekruci musieli się również nauczyć „opanowania w obliczu śmierci” i tłumienia „tchórzostwa, paniki oraz jęków”⁹⁷. Należało jednak nauczyć się także innych rzeczy. Między starszym pokoleniem partyzantów, z którego wielu przed 1941 rokiem należało do elity żołnierzy i oficerów, a tymi młodymi wiejskimi osiłkami istniała przepaść kulturalna⁹⁸. „Musimy wzmocnić dyscyplinę w całej grupie — napisał Moskwin. — Musimy poprawić stosunki miejscową ludnością i nie dopuszczać do prostackich i haniebnych zachowań u obywateli radzieckich”.

Metodą była sucha, brutalna dyscyplina. Podczas przygotowań do bitwy pancерnej na Łuku Kurskim batalion Moskwin otrzymał rozkaz dokonania wypadu na stację w Czaus. Po jej zakończeniu Moskwin spisał zmarłych i rannych. Trzech ludzi zginęło na miejscu, a osiemnastu odniosło rany, z czego kolejnych trzech zmarło, w tym dowódca batalionu, Makarow, i przyjaciel Moskwin, Iwan Raczin. Jedną z kobiet uczestniczących w rajdzie, oficer sanitarny Pasza, została ciężko ranna w ramię. Uratować mogła ją tylko amputacja kończyny. Operację przeprowadzono, używając samogonu jako znieczulenia. Wlewali go Paszy prosto do gardła. „Zaimponował nam hart ducha tej kobiety — stwierdził Moskwin, ale — zdobyliśmy 140 karabinów i cztery karabiny maszynowe (...) oraz nowiutkie radio”. Była to dziwna wojenna ekonomia. Najdziwniejsze ze wszystkiego było wszakże to, że podczas akcji zdobyto również francuskiego szampana i koniak, tytoń i hawańskie cygara”. Szokująca nagroda dla bandy wyrzutków z ziemianek, ale nie tylko oni pokosztowali tych rarytasów. Batalion Moskwin miał ściśle rozkazy. Przełożeni żądali trofeów na rzecz państwa.

Gdy Armia Czerwona ruszyła na Orzeł, pogorszyły się warunki w lasach na zachodzie Rosji. W batalionie Moskwin zapanowała napięta atmosfera, tymczasem jego dowódca, Griszyn, wycofał się najwyraźniej w świat marzeń. „Tylko mój głęboki szacunek dla jego talentu sprawia, że jestem tak tolerancyjny” — zanotował Moskwin. Wycofująca się armia niemiecka stanowiła nowe zagrożenie dla partyzantów, których terytorium znajdowało się do tej pory daleko za linią frontu. Griszynowi polecono iść na wschód i dołączyć do Armii Czerwonej, gdy ta zbliży się do Smoleńska, ale po kilku dniach od wymarszu jego podwładni, zostali otoczeni. Nie udało im się dotrzeć do linii frontu. Zamiast tego musieli się zmierzyć z mściwą nienawiścią wroga, który sam uciekał. 16

października 1943 roku Moskwin był pewny, że zginie. „Pragnę tylko jednego — napisał ze smutkiem. - Jeśli mam umrzeć, niech to się stanie szybko, bez poważnych ran, bo tego boję się najbardziej ze wszystkiego”¹⁰⁰. Wówczas, dodał, ludzie zjedli już wszystkie swoje konie. Gdy zbliżała się zima, mimo wielkiego triumfu na wschodzie, stanęli w obliczu śmierci głodowej.

Blokada trwała trzy tygodnie. To Griszyn egzekwował wykonanie rozkazu stalinistów. „Jesteśmy otoczeni — napisał 11 października. — Wyjścia z lasu są zablokowane. Słysząc zbliżający się front. (...) Musimy więc utrzymać nasze pozycje. Odwrót będzie oznaczał śmierć. Nikt z nas nie może tchórzyc ani siać paniki. Każdy prawdziwy patriota ma obowiązek zabić na miejscu takiego człowieka”¹⁰¹. „W ciągu tych kilku dni życie straciło dla mnie cały sens — napisał Moskwin 17 października. Znalazł się na granicy załamania. - Mój instynkt samozachowawczy nie działa jak należy. Nie zanikł całkiem, ale jest przytłumiony, jak ból głowy po końskiej dawce aspiryny”¹⁰². Myśli te zachował jednak dla siebie, gdyż był oficerem politycznym i do jego zadań należało dbanie o morale. Uczucia mniej zmotywowanych ludzi były wystarczająco jasne. „Za samowolne opuszczenie stanowiska — głosi rozkaz z 13 października 1943 roku — za tchórzostwo, sianie paniki i niewypełnianie rozkazów dowódca drużyny Baczarow zostanie rozstrzelany”¹⁰³.

Moskwinowi pisane było uciec. 18 października, tuż po tym, jak dokonał najsmutniejszego wpisu w dzienniku, otrzymał wraz ze swoimi ludźmi rozkaz przełamania blokady. Była to niemal samobójcza akcja. Gdy ruszyli na Niemców, stanowili bezbronny cel. W ciągu kilku sekund zginęło piętnastu ludzi; po jednym na każdy metr, zanotował Moskwin. Straty były ogromne, ale batalion wyrwał się z okrążenia. Otrzymali rozkazy, by ruszyć na południowy zachód, nie na wschód, żeby uniknąć niemieckiego ognia. Manewr został przeprowadzony z wojskową dyscypliną, ale oddział nie otrzymał żadnej pomocy od Armii Czerwonej. Moskwin zauważył, bez komentarza, że znajdowała się niecałe 20 kilometrów dalej.

Postępy Armii Czerwonej stworzyły Stalinowi mnóstwo okazji do demonstrowania polityki jedności i braterstwa. Pod koniec 1943 roku niemal całe terytorium Ukrainy znajdowało się już w rękach radzieckich, z jednym wszakże wyjątkiem. Hitler z ogromną determinacją bronił Krymu. Nie chodziło wyłącznie o to, że półwysep był strategiczną bramą do rumuńskich pól naftowych; było to również niezwykle piękne miejsce. Niemcy zaraz po zdobyciu Krymu

obwołali go czarnomorską wersją Gibraltaru. Podczas dwuletniej okupacji półwyspu zaplanowali nawet bezpośrednią autostradę Ber-lin-Jałta, krążyły też plotki, że Hitler wybrał nadmorski pałac w Li-wadii na swą rezydencję po przejściu na emeryturę¹⁰⁴. Przy tak zawziętej postawie obu stron Krym stał się sceną walk tak ostrych jak żadne inne podczas wojny, ale późniejszy okres był dla mieszkańców półwyspu jeszcze gorszy. Kiedy Stalin mówił o narodzie radzieckim i jego wielkich wspólnych zmaganiach, dziesiątki tysięcy miały nigdy nie skorzystać z przyszłej nagrody.

Krym wyzwolono w ciągu kilku tygodni, poczynając od kwietnia 1944 roku. Radziecka operacja, skoordynowane uderzenie z północy i ze wschodu, była śmiała, skuteczna i szafująca ludzkim życiem. Była też wyczerpująca fizycznie. Jak zaobserwował Alexander Werth, ludzie, którzy uczestniczyli w ataku od północy, maszerując przez ponure i zamglone bagna Siwaszu, musieli „spędzać godziny po pas lub ramiona w lodowatej i bardzo słonej wodzie Siwaszu, a sól wżerała im się w pory i wywoływała nieznośny ból”, gdy ustawiali pierwsze pontony wskroś zatoki¹⁰⁵. Kiedy

jednak dotarli na twardy grunt, przyspieszyli. W ciągu dwóch pierwszych dni czerwonarmi-ści wkroczyli do stolicy, Symferopola, który leży w sercu krymskiego stepu. Tymczasem druga grupa, wychodząca z okolic Kerczu, zaczęła szybki marsz na zachód wzdłuż południowego wybrzeża, zabezpieczając sam Kercz, a potem port w Teodozji. Stamtąd ruszyła wokół ostrych grani, które otaczają kurort Koktebel, i dalej, omijając winnice na terasach oraz zalane słońcem lasy bukowe, przemknęła obok tatarskiej wioski rybackiej Hurzuf, przez Jałtę, Liwadię, Ałubkę i - wreszcie - dotarła do przedmieść Sewastopola.

Na Krymie panowała wiosna. Po gniciu całą zimę w stepie miejsce to przypominało egzotyczny raj. „Cudownie spędziłem majowe święto - napisał do domu szwagier Witalija Taraniczewa, Fiodor. -Po pierwsze, za wypełnianie obowiązków wojskowych, jakie wyznaczili mi dowódcy, zostałem nagrodzony Orderem Czerwonej Gwiazdy, a po drugie, było wesoło za sprawą wina, jakie piliśmy, i doskonałego towarzystwa”. Pisał równo tydzień po przyjęciu, ale dodał, że „dopiero trzeźwieję na tyle, żeby pracować i móc kontynuować od jutra gromienie naszych wrogów”¹⁰⁶. Wino nie było wyłącznie miej-

scowym produktem. Od 1941 roku wyżsi oficerowie niemieccy często spędzali przepustki na Krymie. Aby pomóc im się zrelaksować, sprowadzano najlepsze gatunki z Alzacji, Szampanii i znanego Renu. W sytuacji zagrożenia nikt nie miał czasu, żeby to wszystko zabrać. Kiedy oficerowie Armii Czerwonej, tacy jak młody Fiodor, trafili w miejsca, w których kilka dni wcześniej wypoczywali Niemcy, mogli się raczyć dobrym rocznikiem rieslinga. Podobnie jak wielu innych żołnierzy radzieckich podczas tej kampanii, młodzi ludzie przyrzekali sobie, że ich przyszły dom będzie na Krymie.

Jednak teraz nie były to wakacje. Port w Sewastopolu pozostawał w rękach wroga. Z każdym kilometrem zdobywanym przez Armię Czerwoną w portowym mieście przybywało uchodźców z jednostek Wehrmachtu i ich rumuńskich sojuszników. Na początku maja dowódca niemieckiej 17. Armii w Sewastopolu, Jaenecke, wyraził wątpliwości, czy jego podwładni są w stanie stawić opór przewidywanemu radzieckiemu natarciu. Został zastąpiony bardziej lojalnym nazistą, Allmedingerem. Hitler wykluczył poddanie portu. Miasto broniło się 250 dni na początku wojny, teraz więc miało wytrzymać drugie oblężenie. Jego gotowość została od razu sprawdzona. 5 maja, dwa dni po usunięciu Jaeneckego, Sowietnicy przystąpili do ataku.

Pierwsze uderzenie nadeszło z północy. Druga fala ruszyła 7 maja w stronę słynnego grzbietu Sapun, którego nazwa przywołuje na myśl spienione, galopujące coraz wyżej i wyżej konie¹⁰⁷. Niecałe sto lat wcześniej, gdy podczas wojny krymskiej brytyjskie i francuskie wojsko stanęło oko w oko z Rosjanami Todlebenem, w całej dolinie brzmiały działa, w dymie i kurzu zaś co jakiś czas błyskał złoty galon lub migająca stal. Tym razem ziemia drżała od salw *katusz* i warkotu samolotów. Po moździerzach nadeszli ludzie. Wśród nich zawodowcy i ledwie chłopcy, komuniści i spisani na straty *sztrafiki*. Jednak w większości nie przypominali oni źle wyposażonych, niewyszko-lonych rekrutów z 1941 roku. W 1944 roku żołnierze znali się na rzeczy i z myślą o tej kampanii zostali dobrze zaopatrzeni. Radziecki przemysł uzupełnił ich umundurowanie, amerykański Lend-Lease Act dał im transport i konserwy. Kiedy hieny przeszukiwały zwłoki, znajdowały zegarki, noże, pióra i żyletki Gillette. W tym czasie Rosjanie często mieli też lepsze buty od Niemców¹⁰⁸.

Port w Sewastopolu bronił się niecały tydzień. Trzeźwiej myślący dowódcy ewakuowaliby resztę niemieckich sił przed upadkiem miasta, ale Hitler wciąż nie chciał oddać swej zdobyczy.

Teraz przerażeni, ranni i pozbawieni dowództwa ludzie, którzy pozostali w mieście, spanikowali przed nadejściem Sowietów. Niektórym udało się dostać na kilka statków odpływających na zachód, inni poddali się, przyparali do zrujnowanego portu. Reszta uciekła brzegiem morza do starożytnego Chersonia. Ruiny na szczycie skał stały się polem śmierci. Sowietci osaczyli ocalałych na wapiennych skałach i ostrzelali z wszystkich rodzajów broni. Ci, którzy nie padli na zapyloną ziemię, utonęli, wskoczywszy do morza. Werth, który przybył tam w ostatnich dniach bitwy, opisał miejsce jako „makabryczne”. „Cała ziemia przed ziemnym murem i za nim usiana była tysiącami łusek - napisał - i wypalona przez ogień *katiusz*. (...) Leżały setki niemieckich karabinów, bagnetów i innej broni”. Wszędzie „walały się też tysiące kawałków papieru — zdjęć, paszportów, map, prywatnych listów - a nawet egzemplarz Nletzscheho, noszony do ostatniej chwili przez jakiegoś nazistowskiego nadczło-wieka”¹⁰⁹. Szacunki różnią się, ale najprawdopodobniej podczas tej jednej klęski zginęło lub trafiło do niewoli co najmniej 25 tysięcy żołnierzy¹¹⁰.

Wyzwalanie Krymu zakończyło się 13 maja, ale była jedna grupa radzieckich obywateli, która nie świętowała go długo. Tatarzy, lud uważający się za potomków Scytów, Gotów i Greków, mieszkali i uprawiali ziemię na Krymie od co najmniej 600 lat¹¹¹. Rosyjskie osadnictwo, datujące się od XVIII wieku, nigdy nie przyniosło im szczęścia. Lojalność, język, architektura i wiara muzułmańska bardziej zbliżały ich do Turków z przeciwległego brzegu Morza Czarnego. Podobnie jak wszyscy rolnicy, Tatarzy nienawidzili kołchozów i w 1941 roku część z nich uznała inwazję za szansę zrzucenia niechcianego jarzma władzy radzieckiej. Chociaż tysiące rdzennych Tatarów walczyło w Armii Czerwonej, wielu z tych, którzy zostali na Krymie, powitało Niemców jako wyzwolicieli lub przynajmniej alternatywę dla stalinowskiej dyktatury. Tymczasem garstka tatarskich żołnierzy przetrzymywana w niemieckich obozach jenieckich za jedyny sposób przetrwania uznała wstąpienie do antyradzieckiego

Legionu Tatarskiego¹¹². Zaledwie tydzień po pogromie w Chersoniu cała tatarska populacja na Krymie drogo za to zapłaciła.

Owej nocy, 18 maja 1944 roku, tysiące tatarskich rodzin obudziło przed świtem walenie do drzwi. Na zewnątrz stali uzbrojeni ludzie. Podczas gdy Armia Czerwona oczyszczała półwysep z ostatnich Niemców, do wiejskich osad i przybrzeżnych wiosek, w których mieszkali Tatarzy, sprowadzono dziesiątki tysięcy żołnierzy NKWD. Kazali spakować najpotrzebniejsze rzeczy, zabrać dzieci i stanąć na drodze za 15 minut. Wielu Tatarów pamiętało takie akcje Niemców z 1941 roku, kiedy to spędzono miejscowych Żydów trzymających w rękach tekturowe walizki z ubraniami i jedzeniem. „Wszyscy myśleliśmy, że zginieemy” - wspomina pewien mężczyzna, który przeżył. Ironią losu było to, że tym razem z bronią przyszli obywatele radzieccy.

Tej nocy prawie 200 tysięcy osób, w sumie 47 tysięcy rodzin, w większości pod przewodnictwem kobiet lub starszych mężczyzn, zagnano na stacje i upchnięto w wagonach dla bydła¹¹³. Akcja była skuteczna i szybka. Żołnierze NKWD mieli w końcu wielkie doświadczenie. Wagony, których użyto do wywiezienia Tatarów na wschód, właśnie wróciły z podobnych misji - deportacji ludzi z Czeczenii, Inguszetii i autonomicznej republiki Kabardo-Bałka-rii¹¹⁴. Akcję, zorganizowaną przez szefa NKWD Ławrientija Berię, przeprowadzano ze spokojem, rutynowo. Wagony, jak zauważyli świadkowie, wciąż wysmarowane były odchodami i zaschniętą krwią wcześniej deportowanych¹¹⁵. Pociągi kilka razy zatrzymywały się - jeśli pasażerowie mieli szczęście - żeby usunąć zwłoki tych, którzy zmarli od upału, z pragnienia lub na tyfus szybko szerzący się w zatłoczonych wagonach. Pozostali musieli zacząć budować sobie życie na nowo po przyjeździe do centralnej Azji. Nie spotkali się tam z

entuzjastycznym przyjęciem. Ich nowi gospodarze, muzułmanie, podobnie jak poprzednio Sowieci, uwierzyli w opowieść, że wszyscy Tatarzy - jako naród - to zdrajcy.

Niektórzy z deportowanych naprawdę byli kolaborantami; część rzeczywiście pracowała na rzecz nazistowskiego reżimu¹¹⁶. Jednak wielu było oddanych sprawie radzieckiej. Wśród tych ostatnich znajdowali się partyzanci, w tym oficerowie polityczni Achmietow

i Isajew, którzy jako członkowie 5. Brygady Partyzanckiej wspierali Armię Czerwoną nie dalej niż w kwietniu 1944 roku. W wagonach znalazło się co najmniej czterech bohaterów Związku Radzieckiego, odznaczonych za udział w radzieckim lądowaniu w Kerczu w listopadzie 1943 roku¹¹⁷. Podobnie jak żony, rodzice i dzieci żołnierzy wciąż służących na froncie, nie mówiąc o rodzinach tych, którzy zginęli. Podczas gdy żołnierze radzieccy, w tym Fiodor Kuzniecowa, szukali na Krymie nowego życia, szczęśliwi, że podczas służby w armii znaleźli miejsce, do którego będą mogli wrócić po wojnie, Tatarzy z tej samej armii wkrótce odkrywają, że nie mają domu.

„W lasach przebywały trzydzieści cztery narodowości - wspominała partyzantka, która spędziła wojnę na Krymie. - Większość stanowili oczywiście Rosjanie, ale znajdowali się wśród nich Ukraińcy, Białorusini, krymscy Tatarzy, Grecy, Ormianie, Gruzini, Słowacy, Czesi i hiszpańscy weterani z czasów wojny domowej. Nie robiliśmy między nimi żadnej różnicy". Sobie przypisywała i nadal przypisuje obywatelstwo „radzieckie”. Ta nazwa miała największy sens w politycznym wszechświecie, w którym żyła, wyczarowywała marzenia

Obraterstwie, równości i proletariackiej sprawiedliwości dla wszystkich. Pasowała również do oficjalnej linii rządu, propagandy Sowinformbiura. Jednak do końca wojny milion sześćset tysięcy członków mniejszości etnicznych zostało wybranych z powodów rasowych i deportowanych - w imię Związku Radzieckiego - z ziem, na których żyli ich przodkowie. W ciągu kilku lat — zaraz po nastaniu pokoju - jedna trzecia z nich zmarła.

Czy brocząc czarną krwią, czy chmurząc się, czy grzmiąc radością

IXwecień i maj na Krymie zwykle są ciepłe, ale na Białorusi, ponad 800 kilometrów w linii prostej na północ, na bagnach wciąż hula zimny, przenikliwy wiatr. W 1944 roku Białoruś była pustynią; ponurą, pokrytą śniegiem, spustoszoną przez dwie armie i trzy lata wojny. Nikołaj Bielow niemal pół roku tkwił wśród lodu i błota. Jako oficer nie mógł się skarżyć na kwatere. Miał chatę z bali, a nie śmierdzącą ziemiankę; w przeciwieństwie do swych ludzi miał też pod dostatkiem żywności i opału. Jednak monotonia białoruskiej zimy przygnębiała go, niekończące się sosny i cuchnące bagna nasuwały myśl o rozbitku. Nudził się, stał się apatyczny i niespokojny. By zabić czas, próbował czytać biografie, poczynając od życia Napoleona. W kwietniu 1944 roku skończył drugą książkę o jego wojnach. Jej bohaterem był gruziński generał, który walczył i zginął pod Borodino. Gdyby Bielow wiedział, co Moskwa dla niego szykuje, mógłby uśmiechnąć się

ironicznie.

Operacja „Bagration”, w której miał brać udział, była jedną z największych kampanii tej wojny. Daleko na zachodzie siły alianckie pod dowództwem Eisenhowera przygotowywały się w ramach operacji „Overlord” do sforsowania kanału La Manche i rozpoczęcia długiego natarcia przez Francję. Jednak radziecka kampania, mająca wypchnąć niemiecką armię z Białorusi, była nie mniej ambitna niż

lądowanie podczas D-Day. Była też bardziej kosztowna i, ostatecznie, donioślejsza. Zaplanowana na początek lata, została opóźniona przez nieustanne zatargi w sprawach dostaw i logistyki. Ostatecznie, z niezamierzoną symetrią, rozpoczęto ją 22 czerwca, w trzecią rocznicę najazdu Hitlera na ZSRR¹. Tak jak „Plan Barbarossa”, ona również miała przejść przez kraj niczym burza. Gdyby nie było Stalingradu, a potem Kurska, „Bagration” - nazwana tak przez Stalina na cześć jego rodaka - mogłaby się stać zasadniczym punktem zwrotnym wojny.

W rzeczywistości radziecki marsz na zachód uniknął epickiego zadęcia, z jakim historycy opisywali później Stalingrad i Kursk. W Europie Zachodniej i krajach anglojęzycznych przyćmił go dramat, jaki rozgrywał się w tym czasie w północnej Francji. „Bagration” odsunęły też w cień triumfy, które nastąpiły potem, a do których, w pewnym sensie, operacja stanowiła wielkie preludium. Jednak przede wszystkim armia, która walczyła podczas tej kampanii, chociaż nadal była Armią Czerwoną, nie mogła już udawać walecznego przegranego. Przed operacją „Bagration” radzieckie siły wciąż wyzwały własny kraj. Gdy już skończyły, gotowe były do podboju, kierując się na zachód Europy w sposób, który — przynajmniej w umysłach mieszkańców Europy Środkowej — obudził widma barbarzyńskiej hordy. Historia wielkiej wojny ojczyźnianej byłaby dużo łatwiejsza do opowiedzenia, gdyby miała szczęśliwe zakończenie. Jednak to, co nastąpiło potem, nawet w obliczu brutalnej natury tamtych czasów, nie nadawało się na baśń.

Żuków i jego współpracownicy wiele się nauczyli od 1941 roku. Planowanie operacji „Bagration” pokazuje, jak bardzo rozwinęli zagadnienia koordynacji, poufności, podstępów i drobiazgowych przygotowań taktycznych. Na tym etapie wojny Armia Czerwona była też najlepiej wyposażonymi siłami lądowymi w Europie. Wśród ton sprzętu, które przeznaczyła do walki tej wiosny, znajdowało się średnio 320 dział na każde półtora kilometra linii frontu². Jednak zdarzenia prowadzące do operacji „Bagration” były nie mniej pełne napięcia, nie mniej wymagające niż miesiące przed bitwą na Łuku Kurskim. Cudem chyba żołnierze, którzy walczyli od miesięcy, jeśli nie lat, zdołali zmusić swe umysły i ciała do działania.

Tej zimy większość żołnierzy była oszołomiona, zmęczona i zszokowana. „Patriotyczna fala z lata i jesieni cofa się” — napisał pełen nadziei niemiecki szpieg do Berlina w styczniu 1944 roku. W szeregach tęskniono za szybkim pokojem. Wydawało się, że żołnierze pragną jedynie usunąć najeźdźców ze swojej ziemi. Przeniesienie wojny za granicę, walka o inne ziemie niewarte były miesięcy trudów lub kolejnej zimy w okopach³. Starsi tęsknili już do domów, podczas gdy nowym rekrutom, w tym wielu nie-Rosjanom, brakowało poczucia celu typowego dla patriotów z 1941 roku. Niemal wszyscy mieli powody do skarg. Wielu maszerowało mimo ran, które będą ich nękać już zawsze, skracając im życie. Wojna zmieniła zresztą nie tylko ich ciała. Na tym etapie zdominowała też ich myśli, przekształciła język, odmieniła gusta. Zostawiła ich tak wyczerpanymi, że zasypiali przy działach, w błotnistych okopach, na pancerzach czołgów. Potrafili spać gdziekolwiek, ale niewielu miało po temu okazję. Większość oddziałów liniowych niemal nie odpoczywała po zawierusze poprzedniej jesieni.

Dla tych, którzy go przeżyli, Łuk Kurski był upajający, a późniejszy marsz na Orzeł i Charków uznawali za pochód bohaterów. We

wrześniu nastąpiła przerwa, a frontowe dywizje przebywały niekiedy w jednym miejscu nawet kilka dni, co wystarczało, żeby napisać listy lub naprawić buty. „Daję moim wszom szansę wyspania się” - napisał Bielów 9 września. Po raz pierwszy od tygodni siedział przez całe popołudnie. Walki nie ustały, ale teraz, jako oficer sztabowy, to Bielów zajmował się kwestiami organizacyjnymi. Nienawidził tej pracy, tęsknił za działaniem, za męskim towarzystwem i zastrzykiem adrenaliny⁴. Uzależnił się już od wojny, ale także został przez nią zniszczony. W następnych kilku miesiącach nie brakowało mu jednak okazji do udziału w akcjach. Do początku października dywizja Bielowa dotarła do rzeki Soż, która wpływa do Dniepru, przecinając Homel. „Prowadzimy wojnę na białoruskiej ziemi” — zanotował. Przed końcem listopada znaleźli się niemal nad Dnieprem. Był to postęp, kolejny krok w stronę triumfu, ale wciąż niszczący, nadwerężający, trudny. „Będziemy musieli spędzić zimę w lasach i na bagnach - zapisał 28 listopada. - Zaczęliśmy atak o dziesiątej. W ciągu 24 godzin przeszliśmy około sześciu kilometrów. Nie mamy amunicji. Brakuje jedzenia. Jednostki zapasowe zostały za nami. Wielu ludzi nie ma żadnego obuwia”⁵.

Urywane notatki Bielowa pokazują brutalną prawdę o zbiorowej nędzy. Armia Czerwona szykowała się do ostatecznego ciosu, jaki powinna zadać na własnej ziemi, ale wiele oddziałów nie nadawało się do walki. Żołnierze, tak wyalienowani, odkąd znaleźli się w Europie, których straż przednia wzbudzała grozę, byli w rzeczywistości, brudni, śmierdzący i potargani, choć nie z własnego wyboru. Nie rozmyślali o swym żalonym położeniu, być może dlatego, że stało się już ono częścią ich życia. Pod koniec 1943 roku codzienna rzeczywistość w postaci wszy, bólów reumatycznych i innych bolesnych przypadłości zbyt spowszedniała, żeby zwracać na to uwagę. Niewielu żołnierzy na froncie widziało dentystę, chociaż wielu wychowanych w miastach młodych ludzi ubolewało - przez tydzień czy dwa - że tak trudno zdobyć pastę do zębów. Wreszcie, jak wszyscy inni, przywykli do odmiennego stanu jamy ustnej. Bóle zębów dołączyły do hemoroidów i zapalenia spojówek na liście utrapień, z którymi żołnierze musieli żyć, podobnie jak musieli żyć ze szczurami. W marcu i kwietniu trudno gojące się rany i krwawiące dziąsła da-

ły znać o pierwszych przypadkach skorbutu. Rozkazy z Moskwy nie mogły napęlić magazynów kapustą; te zapełniała herbata i kasza gryczana. Wczesna wiosna była najgorszym okresem, po ciężkiej zimie i długo przed nowymi zbiorami. Ponadto wczesna wiosna - koniec marca na Krymie, maj na Białorusi - to błotnista pora roku.

Tego kwietnia, jak co roku, migrujące gęsi ciągnęły na wschód nad bagnami Prypeci do swoich gniazd. Bielów usłyszał pierwszego skowronka. Od trzech miesięcy jednak on i jego ludzie nie posuwali się naprzód, czekając na rozkazy i ryjąc w ziemi „jak krety”⁶. Mieli przerwę, ale nie odpoczynek. Z jednej strony wciąż musieli od czasu do czasu się przemieszczać, choć każda kolejna lokalizacja była równie niegościnna jak poprzednia. Z drugiej strony nadal nie ustawał niemiecki ostrzał. „Fryce nie pozwalają nam wychylić nosa - skarżył się Bielów. — Strzelają do wszystkiego, co się rusza, tak że nawet nocą niebezpiecznie jest przechodzić z jednego budynku do drugiego”. Było również mokro. „Wszystko się topi — narzekał. — Wszędzie będzie pełno błota, które wyschnie pewnie dopiero w czerwcu”⁷. Miał rację. „Czas płynie wolno - napisał w kwietniu. - Dni ciągną się bez końca. Nie ma nic gorszego niż obrona”⁸.

Panująca tej wiosny beczynność — czy raczej nudne wykłady, musztra i ćwiczenia — pozwoliła

się ujawnić gorzkim myśłom. Bez względu na to, co miało się stać w ciągu następnych kilku miesięcy, koniec tej zimy i wiosna były dla wszystkich ponurym okresem. „Wciąż nie można mówić o entuzjazmie wobec postępów militarnych” - twierdził niemiecki raport. Niezadowolenie ludzi znajdowało ujście w żądaniach przepustek, bijatykach i samookaleczeniach⁹. Bielów pogrążył się w depresji, w znużeniu połączonym z pretensją o zmarnowane życie. „Ostatnio czuję się bardzo zmęczony wojną - napisał w połowie grudnia. - To pewnie dlatego, że co noc śnię o rodzinie i czasach pokoju. Ale to wszystko jest bez sensu. Wojna nie skończy się tej zimy. Głowa mnie boli”. Miesiąc później jego listy do domu stały się „zgorzkniałe, chaotyczne”. Nigdy nie doświadczył, jak pisał, takiej apatii¹⁰. Nawet nowiny - wyzwolenie Nowogrodu i ostateczne odblokowanie Leningradu — nie wywoływały prawdziwej radości. Jermolenko, stacjonujący na południu Ukrainy,

czuł to samo. „Po trzech latach wojny — napisał w maju — żołnierze radzieccy są zmęczeni, fizycznie i psychicznie”¹¹.

Przemęczenie było zbyt powszechne, by mogło zaniepokoić służby medyczne. Tej wiosny Bielów przeszedł ciężkie przeziębienie, ale lekarze wypisali go po trzech dniach pobytu w polowym szpitalu. Mieli zbyt wiele przypadków gruźlicy, żeby tracić czas na kogoś z czystymi płucami. Równie lekceważąco lekarze podchodzili do zaburzeń umysłowych. Stres, nie mówiąc o skomplikowanych diagnozach w rodzaju zespołu stresu pourazowego, był personelowi medycznemu Armii Czerwonej tak obcy jak historyczne niedomagania burżuazji. Pokolenie wcześniej Rosja przodowała na świecie w znajomości stresu pola walki, wyciągając wnioski z konfliktów na Bałkanach i Dalekim Wschodzie, ale uraz jednostki, podobnie jak jej pragnienia, był koncepcją obcą stalinizmowi¹². Żołnierze stanowili część kolektywu; dobre morale należało do ich obowiązków, nie praw. Tych, którzy się skarżyli, symulowali lub wykazywali oznaki tchórzostwa, czekała kara — kula lub batalion karny.

Lekceważący stosunek Armii Czerwonej do psychiatrii podczas tej wojny - czy raczej brak świadomości w tej dziedzinie - oznacza, że zachowało się niewiele źródeł dotyczących tego aspektu morale. Bez nich łatwo zapomnieć, że żołnierze ci przeżywali podobne emocje co ich sprzymierzeńcy. To postawa ludzi wobec takich uczuć, nie sama odpowiedź na stres, różniła armie. Bielów nie potraktował swojej apatii jako oznaki stresu związanego z bitwą. Nie przypisał są, mobójstw i mnożących się w czasie wojny „wypadków” traumatycznym obciążeniom¹³. W przeciwieństwie do Brytyjczyków i Amerykanów, jedynym rodzajem zaburzeń umysłowych, jakie uznawały wojenne władze Związku Radzieckiego, były te o bezsprzecznym podłożu organicznym. Reszta to były słabości, indywidualne wady, coś wstydliwego, co należy ukryć. Tysiące żołnierzy, osłabionych wyczerpaniem i nieustannym stresem, stracono za dezercję z pola bitwy¹⁴. Pozostałe ofiary chorób umysłowych zniknęły z rejestrów w chwili śmierci; byli zbyt zmęczeni lub zbyt zdezorientowani, by przeżyć kolejną wymianę ognia. Urazy psychiczne były wystarczająco prawdziwe, ale rozpoznawano tylko ekstremalne przypadki, w tym ludzi, u których po powołaniu rozwinęła się schizofrenia¹⁵.

Szacunki różnią się, lecz prawdopodobnie 100 tysięcy z 20 milionów żołnierzy czynnej służby w Armii Czerwonej uznano za przewlekle chorych umysłowo¹⁶.

Według lekarzy pracujących podczas tej wojny „uraz” oznaczał fizyczne uszkodzenie, wstrząśnienie lub stłuczenie mózgu. W trakcie wywiadów z 1996 roku nie potrafiłam przekonać weteranów z personelu medycznego, że istniał jeszcze inny rodzaj szoku po bitwie poza niepokojem i wyczerpaniem odczuwanym przez żołnierzy. „Uraz” w wyniku trafienia odłamkiem był do

przyjęcia, ale nigdy nie słyszeli o urazie psychicznym w kategoriach stosowanych na Zachodzie. Niedosłyszeli i poprosili, żebym im wyjaśniła, co miałam na myśli, używając tego nieznanego terminu „zespół stresu pouka-zowego [sic!]”¹⁷. Nietrudno wyjaśnić ich zaskoczenie. Podręczniki z ich czasów nie wspominają o urazie psychicznym, podobnie jak pamiętniki ich kolegów lekarzy czy samych kombatantów. Panika była słabością, czymś wstydliwym, a wstyd został wykreślony z historii tej wojny wraz z pijaństwem i przestępstwami.

Ignorancja sanitariuszy, z których większość kształciła się w latach trzydziestych lub nawet - w ogromnym pośpiechu - już w trakcie wojny, odzwierciedla świadomy wybór polityczny. Za liniami wciąż istnieli specjaliści z odpowiednim doświadczeniem, równie dobrze poinformowani jak ich koledzy w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Starsi wiedli prym w europejskiej debacie na temat stresu podczas I wojny światowej. Nie dalej niż w 1942 roku odbyły się jedna czy dwie konferencje na temat szoku¹⁸, ale idee te nigdy nie dotarły do zespołów pracujących na froncie. Tak naprawdę personel psychiatryczny był dopiero na poziomie całych frontów czy armii¹⁹. Kadry stanowiły jeden problem. Drugi stanowił fakt, że psychologia wojskowa, jeśli nie leczenie chorych, zmieniła kierunek po dojściu Stalina do władzy. Wiele eksperymentów przeprowadzano w duchu swoistego taylorizmu*, mentalnego przygotowania każdego żołnierza do obsługi konkretnej maszyny lub broni. Sztukę prowadzenia wojny poddano tym samym zasadom co masową produkcję²⁰. Lu-

dzie i maszyny musieli pracować w harmonii. Nie było miejsca na histerię.

Niektórych symptomów nie dało się ignorować. Ludzie cierpiący na niemotę, konwulsje i amnezję nie mogli stać w szeregach, nie wspominając o czyszczeniu i składaniu broni lub współpracy przy obsłudze sprzętu. Leczone ich zasadniczo blisko linii frontu, nie tylko dlatego, że większe szpitale wypełniali ranni i umierający. Kuracja była prosta. Zastrzyki zdawały się pomagać - niemal mistycznie działały na chłopów, którzy nie mieli pojęcia o medycynie. Pozwól człowiekowi się wypaść, brzmiała zasada, a wkrótce wyzdrowieje, przynajmniej zaś wydobrzeje na tyle, by móc walczyć. W wielu wypadkach okazywało się to słuszne. Dobre rezultaty dawało również szybkie zwrócenie uwagi na problem — a to możliwe było tylko na froncie.

Stan części pacjentów jednak nie poprawiał się. Wymagającym dłuższego odpoczynku przydzielano zadania w obozach i punktach transportowych za liniami. Pracowali jako magazynierzy, noszowi, sprzątacze i kucharze, ale bardzo niewielu z nich kiedykolwiek widziało szpital psychiatryczny. By się do niego dostać, musieli wykazywać objawy przez całe tygodnie badań i „kuracji”, włącznie ze stosowaniem elektrowstrząsów (rzekomo dla stymulacji nerwów) albo mokrej odzieży i gumowych masek, które miały wywołać wrażenie tonięcia (dla sprawdzenia, czy ich symptomy rzeczywiście są poza świadomą kontrolą)²¹. Brutalność tych wstępnych kroków zapowiadała ponury świat szpitala dla psychicznie chorych. Tym, u których potwierdzono diagnozę, życie załamywało się; byli odtąd głodni, niekochani, oszołomieni lekami²².

Na froncie problem, który nie był problemem w oficjalnych kategoriach, wkrótce zdawał się znikać. W tym sensie radzieckie podejście do traumy okazało się skuteczne. Amerykańskich żołnierzy, u których objawy traktowano bardzo poważnie, wycofywano z czynnej służby podczas tej wojny od czterech do sześciu razy częściej niż czerwonoarmistów²³. Żołnierze Stalina nauczyli się, że stres pola walki nie jest najlepszym wyjaśnieniem wyczerpania, paniki i bezsenności. Rany fizyczne, które następowały szybko po umysłowych, zapewniały skuteczniejszy bilet do domu, a przynajmniej do obozu na tyłach i łóżka. „Myśleliśmy tylko o jednym — sugerował

później weteran. - Odnieść szybko ranę, mieć to z głowy, trafić do szpitala lub co najmniej na rekonwalescencję, na odpoczynek"²⁴. Szczęśliwcy uniknęli kalectwa, ale nawet dziesiątki tysięcy rzekomo zdrowych *mężczyzn* obozujących wiosną 1944 roku wzdłuż linii frontu na Białorusi trudno uznać za zdrowych.

Frontowe środowisko musiało ewoluować, żeby zrobić miejsce dla wyczerpanych, przerażonych i agresywnych. Równocześnie przyjmowało też grupy kryminalistów. Transporty morderców i drobnych oszustów od dawna jechały na zachód z gułagów, by zasilić armię, ale teraz prawie wszystkich skazanych za bandytyzm, rabunki i „przestępstwa kontrrewolucyjne” trzymano w pobliżu frontu, przeliczonych i, niemal w każdym wypadku, włączonych do jednostek karnych²⁵. Pierwotnie mieli walczyć w jednostkach odseparowanych od masy zwykłych żołnierzy, obecnie jednak przestępcy i *szafranki* mogli zostać przydzieleni do regularnych oddziałów z myślą o wykonywaniu niebezpiecznych zadań, szczególnie zwiadów za niemieckimi liniami²⁶. Coraz częściej w szeregach dominowały więc zwyczaje i język *szafranków*. Prasa mogła nazywać żołnierzy bohaterami, ale kiedy gromadzili się na froncie, wyrażali się jak skazańcy²⁷. Blakła nie tylko patriotyczna wściekłość z 1941 roku. W obliczu innych wartości znikła też narzucona komunistyczna moralność.

Przemoc była wszędzie, bez względu na aktualne rozkazy. Kiedy żołnierze nie walczyli, kłócili się o łupy, alkohol, status lub kobiety. Najczęściej wywiązywała się bójka, ale niekiedy władze musiały ajmować się trupami. O świącie znajdowano ofiary z odstrzelony-ni głowami albo zatłuczone kolbami karabinów²⁸. Niekiedy motywem tanowiła euforia. Gdy Niemcy podpalali wieś w celowym akcie erroru, Armia Czerwona mogła zrobić to samo - nawet na własnej ziemi - podpalając suche siano podczas szalonych uroczystości²⁹. Al-:ohol - który mało kto pił dla rozkoszowania się smakiem - często »dgrzywał tu ważną rolę. Pito go — co zrozumiałby każdy szeregowiec czasów I wojny — by zagłuszyć myśli, by uciec od wojny, nie opusz-zając posterunku³⁰. W niektórych jednostkach żołnierze zbierali sve racje wódki, żeby kolejno każdy miał szansę wypić wszystko zatracić się całkowicie na jedną noc³¹.

Liczyła się moc, nie jakość trunku. Czujkow zadbał o zapieczętowanie piwnic z doskonałym winem, które jego żołnierze odkryli po zdobyciu niemieckich kwater w Polsce. Niekiedy jednak zjawiał się za późno. Gdy oglądał jedną z piwniczek, odkrył tam kierowcę z pułku artylerii myszującego wśród stosów skrzynek. „Nie mogę *znaleźć* nic równie mocnego jak nasze” - mamrotał. Rozglądał się wśród butelek markowego szampana. „To szósta skrzynka, którą otworzyłem — skarżył się — i wszędzie te bąbelki”³². Zdegustowany, żołnierz pozwalał, by cenny napój wylewał się na podłogę. Ale chociaż odtrącali importowane wino, ludzie o jego gustach wypiliby wszystko, co pachniało alkoholem, od samogonu do odmrażacza. „Kiedy nasi żołnierze znajdują alkohol - przyznał radziecki porucznik - tracą rozum. Niczego nie można od nich wymagać, póki nie wypiją ostatniej kropli”. Według jego opinii, wyrażonej w 1945 roku, „gdyby nie takie pijaństwo, pobilibyśmy Niemców już dwa lata temu

Wraz z rosnącą pewnością siebie czerwonoarmistów zwiększała się przestępczość. A na tym etapie wojny pewność siebie żołnierzy graniczyła z brawurą. Poprawa zaopatrzenia była jak zaproszenie dla potencjalnych oszustów. Interesy zaczynały kwitnąć na szczycie. Rzeczywiście, jak zauważyli inspektorzy wojskowi, od stycznia 1943 roku do lipca 1944 roku „znaczący odsetek oficerów” w rejonach przyfrontowych próbował kradzieży i spekulacji na wielką skalę. Liczby oparte na „niekompletnych danych” i dotyczące tylko pierwszych sześciu miesięcy 1944 roku opowiadają barwną historię. Była to armia kwaterująca na własnym, radzieckim terytorium.

Sławetne dni grabieży Niemiec miały nadejść dopiero za kilka miesięcy. Tymczasem zaledwie w ciągu półrocza, wskutek wykrytych kradzieży dokonanych przez samych tylko oficerów, zniknęło 4,5 miliona rubli w gotówce, 70 ton mąki i produktów zbożowych, 22 tony mięsa i ryb, 5 ton cukru, 4872 przedmioty z wyposażenia, 33 tony benzyny, 7 samochodów i „inny sprzęt wojskowy wartości dwóch milionów rubli”³⁴.

Ogólne liczby robią wielkie wrażenie, ale mnóstwo indywidualnych przypadków sugeruje, że zostały mocno zaniżone. W owym czasie w każdej głodującej wsi na stepie środkiem płatniczym była

żywnosć. „W ojczyźnie — rozwodził się Lew Kopieliow, wówczas oficer - znaleźć można było wsie, przez które wojna przeszła jak kula ognia lub gdzie, czego nie widać z powietrza, wyszała cały chleb i krew; gdzie kawałek cukru uważano za cud, a dzieci o ogromnych oczach i sinych twarzach ssały i żuły czarny, gorzki chleb upieczony diabli wiedzą z czego”³⁵. Mając pod ręką magazyny, grupa oficerów 203. Armii Rezerwowej skupiła się na wojennych zyskach. W ciągu dwóch miesięcy jesienią 1943 roku wyprowadzili z wojskowych składów 34 tony chleba, 6,3 tony cukru, 2,6 tony masła, 15 ton kaszy i 2 tony mięsa. Handel umożliwiał finansowanie luksusów, które sprawiały, że życie w wojskowym obozie było nieco znośniejsze. Jak komentował raport dotyczący działalności przestępczej, w koszarach „picie, hulanki i kradzieże stanowiły część normalnego życia”³⁶.

W czerwcu następnego roku wyszła na jaw jeszcze ambitniejsza machinacja, w którą zamieszani byli oficerowie wojsk pancernych służący na I. Froncie Ukraińskim. Zwykła kradzież stanowiła tylko jej element. Inną stroną była korupcja. Oficerowie w terenie zaskarbiali sobie najwyraźniej łaski swoich przełożonych w stolicy. Pewien generał dywizji przetarł sobie drogę do Moskwy strumieniem hojnych łapówek, w tym - tylko w jednej partii - 267 kilogramami wieprzowiny, 125 kilogramami baraniny i 114 kilogramami masła. Innym razem szczerze przekazał pięć żywych kóz. Tymczasem w tym samym miesiącu z magazynów armii zginęło 15 123 kilogramy mięsa, 1959 kilogramów kielbasy, 3000 kilogramów masła, 2100 kilogramów herbatników, 890 kilogramów landrynek, 563 kilogramy mydła, 100 zimowych płaszczy, 100 szyneli, 80 kamizelek z futra, 100 par walonek i 100 par butów³⁷. Raporty tego rodzaju trafiały co tydzień, jeśli nie codziennie, do sądów wojskowych. Świadczyły o istnieniu rozbudowanej i doskonale zorganizowanej siatki. A była to armia, w której w prawie każdej kompanii działał przynajmniej jeden szpieg. Raporty te świadczą też o tym, że korupcja opanowała również organy bezpieczeństwa, których funkcjonariusze bez wątpienia także cieszyli się żywymi kozami i masłem.

Zaden weteran oczywiście niczego takiego nie pamiętał. Kradzieże są kolejną trudną prawdą usuniętą przez czas i wybiórczą pamięć. Wynikające z nich braki stanowiły kolejne źródło skarg, urazy, kto-

ra napełniała goryczą, i jako takie nie mieściły się w jasnej pamięci wojny. Jednak przegranymi byli, naturalnie, ci, których magazyny okradzione. Dzień w dzień musieli znosić wodnistą zupę, gorzką herbatę i kupkę chrząstek, której nie dało się sprzedać za gotówkę. Nawet jeśli było jedzenie, okazywało się, że brakuje misek i łyżek³⁸. Każdy rozumiał, że oddziały rezerwowe mogą cierpieć braki, ale nawet na froncie bywały dni, kiedy żołnierze nie dostawali ciepłego posiłku ani herbaty³⁹. Skargi mogły doprowadzić do zarzutów o antyradziecką agitację. „Kontrola żywności — zanotowali sztywno oficerowie NKWD - wykazała zachowanie odpowiedniej jakości, a porcje spełniają wymagane normy”⁴⁰. Ludzie musieli przeżuć swą złość razem z kapuśniakiem. Statystyki notowanych przestępstw zaciemniają fakty⁴¹: jeśli wierzyć liczbom, niecałe 10 procent żołnierzy zo-

stało ukaranych za jakieś przestępstwo, w tym kradzież⁴². Zatem nie mogło być prawdy w skargach żołnierzy — w każdym razie tak domniemywali ich oficerowie — ale było też tak po części dlatego, że za przestępczością kryli się politycy i ich przełożeni. Pokusie, żeby zaniżyć statystyki, oprzeć się było równie trudno jak skrzynce kradzionych sardynek.

Tymczasem zwykli żołnierze wynajdywali liczne sposoby radzenia sobie z głodem i zimnem. Jedną z metod stanowiły drobne kradzieże, będące rodzajem rekompensaty za upokorzenia. Inną było rekwirowanie owiec i świń miejscowym. Samopomoc, która mogła przybierać różne formy, była powszechna. Gdy Żuków przygotowywał się do wielkiego natarcia, żołnierze na Białorusi tradycyjnie już spędzali godziny w kołchozach, kopiać na polach i przewożąc prosiaki do tuczenia⁴³. Jak zwykle, oprócz wymagań wojny, praca na roli stanowiła część służby w armii. Teraz jednak przynosiła profity. W gospodarstwach były spichlerze i kurczaki, nie wspominając o większych zwierzętach rzeźnych. Poza oborami też było więcej darmowego jedzenia. Latem 1944 roku wypadki podczas polowań stały się tak powszechne na Froncie Białoruskim, że żołnierzom 11. Armii Gwardii zakazano strzelania do jeleni i innej dzikiej zwierzyny⁴⁴.

Wymieniono też zniszczone buty i płaszcze. „Moje buty rozpadły się na kawałki” - lamentował Jermolenko w lipcu 1944 roku. Znajdował się daleko od magazynu zaopatrywanego w ramach Lend-

-Lease Act. Był jednak na Białorusi i walczył. Handel stanowił jedną możliwość; polowanie na dobrze obutego trupa przeciwnika lub jeńca drugą. Jak to ujął: „Musiałem gdzieś znaleźć jakieś »zdobyczne obuwie«”⁴⁵. Buty żelowano skórą z niemieckich foteli czołgowych, płaszcze naprawiano kawałkami brezentu. Jeśli Armia Czerwona na wiosnę 1944 roku wyglądała dziwnie, to mogła się chociaż pocieszać tym, że większość sił przeciwnika wyglądała jeszcze gorzej.

Tytan przygotowywał się wówczas do uderzenia latem na zachód. Rozkazy dla sztabu i oficerów dowodzą precyzji i planowania. Wysunięte bazy zaopatrzeniowe i te na tyłach zapełniono paliwem, amunicją i ogromnymi ilościami żywności. Ciężkie działa przybyły nietknięte, ponieważ były zbyt duże, aby je ukraść. Reszta zależała od czujności lojalnych oficerów sztabowych. Wszyscy jednak pracowali pilnie. Przygotowania do operacji „Bagration”, bez względu na problemy i przecieki, robiły wrażenie⁴⁶. Ponieważ tak wiele zależało od zaskoczenia, niemal wszystkie kwestie związane z zaopatrzeniem należało załatwić podwójnie. Idea opierała się na oszukaniu Niemców, na sprawieniu, by myśleli, iż atak — jeśli w ogóle nastąpi - nadejdzie z każdego innego kierunku, ale nie z tak zwanego balkonu mińskiego, klina, który wskazywał wprost na Berlin. Zorganizowano ogromną szaradę: manewry wojsk, które miały jedynie sprawiać wrażenie, że się gromadzą, wycinanie rzekomych lotnisk w lasach, ściąganie cennych ciężkich dział, które nie miały strzelać. Prawdziwa armia przemieszczała się wyłącznie nocami, zacierając za sobą ślady tak, że o świcie znikwały szerokie koleiny po czołgach i działach. Ustała wszelka łączność radiowa. Zakazano nawet kąpieli w otwartych zbiornikach wodnych po drodze⁴⁷. Operacja miała się okazać ogromnym sukcesem, ale dla żołnierzy w polu, jak napisał Bielów pewnej męczącej nocy, była „po prostu starą, zaczynającą się po raz kolejny piosenką”⁴⁸.

Jeden z ostatnich wpisów w dzienniku Bielowa nosi datę 18 czerwca. Pomijając gorączkowe planowanie, od kilku miesięcy niewiele się działo, ale kiedy pojawił się Żuków ze swoimi najwyższymi rangą adiutantami, Bielów wiedział, że długie czekanie dobiegło końca. Rozpoczęły się nocne manewry, napięcie rosło. Jego ludzie byli zmęczeni i kłótniwi. „Mieliliśmy podstawy sądzić, że ruszymy do ata-

ku 21 lub 22 czerwca - zanotował Bielów - czyli w trzecią rocznicę wybuchu wojny. To interesujące, ale 21 czerwca mijały też cztery miesiące, odkąd przekroczyliśmy Dniepr. Z jakichś powodów ostatnio czuję się źle, a moje nerwy są w strzępach. (...) Nie mam żadnych listów z domu, diabli je wzięli. W tej sytuacji jestem bardziej tolerancyjny, ponieważ wkrótce ruszymy do walki, a potem o wszystkim zapomnę. Cała sprawa jest nieprzyjemna i bardzo dziwna"⁴⁹. Nie były to ostatnie słowa, jakie Bielów napisał, ale od tego dnia nie miał już czasu na regularne prowadzenie dziennika.

Operacja „Bagration” obejmowała pięć oddzielnych, lecz skoordynowanych uderzeń zachodniego sektora frontu. Chociaż najważniejsza była ofensywa na Mińsk i na zachód przez całą Białoruś, pierwszy szturm nastąpił na północy, przełamując ostatecznie wolę walki Finów. Później, na południu, otoczony został Lwów, gdy oddzielne grupy armii uderzyły na zachód przez Karpaty. Postępy na wszystkich tych frontach były imponujące. Strategicznie położony

Mińsk wzięto 3 lipca. Po trzech tygodniach wojsko I. Frontu Białoruskiego Rokossowskiego przekroczyło granicę z Polską.

Żołnierze musieli ułożyć na bagnach drogi z pni. Przebywali też w bród lub przepływali wiele rzek. Wszystkie okopy, które zajmowali, były zaminowane, zrujnowane, cuchnące szczurami, odchodami i śmiercią. Ale mieli pokonać i rozbić budzącą ogromny respekt wrogą formację wciąż przebywającą na radzieckiej ziemi. W ciągu zaledwie dwunastu dni niemiecka Grupa Armii Środek straciła dwadzieścia pięć dywizji i ponad 300 tysięcy ludzi⁵⁰. Straty po stronie Armii Czerwonej również szły w dziesiątki tysięcy. „Kiedy natykaliśmy się na pole minowe — opowie Żuków po wojnie Eisenhowerowi - nasza piechota atakowała tak, jakby go tam wcale nie było. Uznaliśmy, że straty, jakie poniesiemy z powodu min przeciwpiechotnych, będą równe tym od broni maszynowej i artylerii, gdyby Niemcy chcieli bronić tego konkretnego miejsca silnymi oddziałami, a nie polami minowymi”⁵¹. Niektóre oddziały, w tym te walczące koło Mohylewa, były tak wyniszczone, że należało je pod koniec lipca wycofać i przegrupować⁵², ale Białoruś została niemal całkiem oczyszczona z niemieckich wojsk.

Większość ludzi w tej ogromnej zawierusze nie miała czasu na pisanie. Wyjątek stanowił Jermolenko. Jego notatki w dzienniku są jak zwykle krótkie, ale przepojone komunistycznym stylem, który sobie przyswoił. „Nareszcie zaczęliśmy atakować na naszym odcinku frontu” - zapisał 22 czerwca. Radzieckie lotnictwo - wspierane przez amerykańskie samoloty mające bazy wahadłowe na Ukrainie - przez dwa tygodnie bombardowało niemieckie oddziały. Czerwona gwiazda lśniła teraz bez przerwy na niebie nad bagnami Pry-peci, w miejscu, gdzie trzy lata wcześniej dominowała swastyka. Na ziemi wszakże żołnierze czekali wciąż na rozkazy. Szturm na Mińsk, główna kampania operacji „Bagration”, zaczął się od ostrzału artyleryjskiego. „O 16.00 setki dział otworzyły ogień z siłą huraganu -ciągnął Jermolenko. -Tysiące ton morderczego metalu poleciało na niemieckie pozycje”. W ciągu dwóch godzin „niemieckie pozycje zniknęły za ścianą dymu i kurzu”. Wróg był na tyle daleko, że dym ten stanowił jedyną wskazówkę, gdzie mieściły się ziemianki, okopy i stanowiska dział. Teraz działa te również zaczęły strzelać i cały

front pogrążył się w gorącej żółtej mgle. Liczba ofiar była ogromna. Jednak drżenie ziemi i zapach

ognia odczuwano jako odpowiedź Armii Czerwonej - mocno spóźnioną - na krzywdy ostatnich trzech lat. „Wszystkim od razu poprawił się nastrój” - zauważył Jermolenko. Raporty niemieckiego wywiadu z tego miesiąca stwierdzały to samo⁵³. W przeciwieństwie do operacji obronnych z poprzednich trzech lat, tę kampanię prowadzono ku zadowoleniu radzieckich żołnierzy.

Na Białorusi szybkie postępy armii wspomagała skoordynowana współpraca partyzantów. Moskwin jednak leczył wówczas ranę szyi, która będzie mu dokuczać do końca życia. Dla niego wojna już się kończyła, chociaż jej imponujący finał dopiero nadciągał. Przebywający w obozie w lasach koło Mohylewa politruk nie widział radzieckich żołnierzy w akcji od 1941 roku. Teraz słyszał grzmiące odgłosy ciężkiej artylerii i widział czerwone gwiazdy na przelatujących samolotach. Wszystko było nowe, wszystko spektakularne. Armia Czerwona, jaką pamiętał, pokonana i okryta hańbą, zmieniła się w technologiczny cud. Doświadczanie tego po tak długim czasie było elektryzujące. „A teraz — napisał 4 lipca — jesteśmy na radzieckich tyłach! Armia Czerwona przeszła jak tajfun. Wróg został przegnany. Cztery dni temu znajdowaliśmy się na terytorium okupowanym, a dziś front jest 200 kilometrów od nas”. Szybkość działań po tak długim okresie oczekiwania zapierała dech w piersiach. „Czegoś takiego nie dokonali nawet Niemcy w 1941 roku”⁵⁴.

Operację na taką skalę umożliwiła jedna rzecz, która pomogła żołnierzom walczyć. Lepiej było iść i zabijać fryców, niż siedzieć i tłuc wszy. Ludzie tęsknili za działaniem, chcieli odłożyć książki, przerwać pastowanie butów i coś zrobić. Jednak oficjalnie sukces zawdzięczano rozmowom i braterstwu. Przez kilka tygodni przed wielkim uderzeniem oficerowie polityczni szczegółowo omawiali jego aspekty w małych grupach złożonych z żołnierzy różnych stopni. Słuchali również ludzi, tego, że martwią się brakiem wieści z domu i coraz bardziej obawiają o przyszłość. Sukces tych rozmów zależał od obu stron, i ludzi, i politruków. Niekiedy całe przedsięwzięcie zmieniało się w kpinę lub stratę czasu, było też mniej spontaniczne niż zagrzewające do boju mowy, jakie weterani wygłaszali żółtodzio-

bom. „Te osobiste rozmowy - twierdził stanowczo Czujkow - miały ogromne znaczenie”⁵⁵. Bardziej namacalne były nagrody w postaci gotówki lub przepustki za wzięcie niemieckich jeńców albo zestrzelenie samolotów. Ich wysokość różniła się, ale niemiecki samolot mógł być wart tygodniowego żołdu, a schwytanie niemieckiego oficera na froncie równało się (teoretycznie) dwutygodniowemu urlopowi⁵⁶. Nawet plotka o nagrodzie mogła się stać bodźcem, wizja dodatkowej gotówki zaś mobilizowała bardziej niż pogawędki z po-litrukami.

Sami Niemcy wydawali się zaskoczeni. Do tej pory wielu żołnierzy Wehrmachtu złożyło broń. Jedna z największych grup obejmowała ocalałych z lipcowego radzieckiego okrążenia Mińska i Bo-brujka. Zginęła prawie połowa - około 40 tysięcy - niemieckich obrońców tego terenu. Ciała leżały na ulicach i w okopach jak spadłe jabłka, popękane i gnijące. Ale pozostało 57 tysięcy ludzi, w tym kilku wyższych oficerów. Sowietom od czasu Stalingradu nauczyli się, jak utrzymać jeńców przy życiu, jednak nie mogli oni liczyć na żadne udogodnienia. Większość schwytanych trafiła do obozów filtracyjnych - bardzo dobrze sprawdzały się te opuszczone przez Niemców - a następnie została wykorzystana w ośrodkach pracy przymusowej, które rozmnożyły się w Związku Radzieckim⁵⁷. Żołnierzy niemieckich z Mińska potraktowano inaczej. Zapędzono ich, jak zwykle, do pociągów — wagony NKWD kursowały bez przerwy tego lata - i zawieziono prosto do Moskwy. Tam zorganizowano jedyną w swoim rodzaju demonstrację.

Stalin pragnął, aby świat dowiedział się, że na froncie wschodnim wciąż istnieją prawdziwi wrogowie, że D-Day nie złagodził presji na jego ludzi. 50 tysięcy żołnierzy wziętych do niewoli podczas jednej bitwy sprowadzono, żeby to udowodnić. Więźniowie, niczym jeńcy podczas triumfów w starożytnym Rzymie, przeszli przez plac Czerwony. Maszerowali szybko i po dwudziestu

w szeregu, ale i tak trwało to trzy godziny. „Niektórzy się uśmiechali” - poinformował czytelników korespondent „Prawdy”. Cieszyli się, że żyją, i być może, jak turyści, z zadowoleniem podziwiali historyczne serce Rosji—w każdym razie tak utrzymywali patrioci. Jednak świadkowie musieli zauważyć, że Niemcy zostały złamane, a Rosja jest zwycięską

potęgą⁵⁸. Zachęceni przez oficerów politycznych, których wykłady zawierały obecnie informacje o niemieckich brakach osobowych oraz mobilizowaniu nastolatków i chorych, żołnierze Armii Czerwonej zaczęli dostrzegać, że ich jeńcy nie są już dawnymi napastnikami. Wielu było na wpół inwalidami, niedożywionymi i pokrytymi wrzodami. Byli wśród nich też nastolatki, bezbarwni sklepikarze i urzędnicy. „Wyglądali żałośnie - napisał pod koniec czerwca Jermolenko, kiedy sam wziął jeńców. - Są jak urzędnicy z banku. Wielu nosi okulary. Oznacza to bez wątpienia totalną mobilizację w Niemczech”⁵⁹.

Podobnie jak Jermolenko, większość żołnierzy doszła do wniosku, że Niemcy są już na dobre pobici. Chwila triumfu była intensywna, przejmująca i słodko-gorzka. Zagrożenie dla *ojczyzny* minęło. Nawet terytoria, które okupował wróg, stanęły otworem przed Sowieciami. Jak większość Ukraińców, Jermolenko nigdy nie widział białoruskiej wsi. „Większość ludzi mówi po białorusku” - zapisał ze zdziwieniem. Wszędzie widać było ślady zniszczeń dokonanych przez Niemców, od zrujnowanych budynków po świeżo ekshumowane masowe groby. Radość, jaką odczuwali żołnierze ze zwycięstwa, zawsze podszyta była wściekłością, nienawiścią do najeźdźców. Pojawiły się jednak również inne uczucia. Jermolenko był przekonany, że miejscowi witają go ciepło. Czerwone flagi łopotały na zrujnowanych gmachach. „Dziewczęta w wioskach są bardzo ładne - uznał. - Wiele z nich nosi stroje ludowe. Przyjadę tu po wojnie i poślubię jedną z nich”⁶⁰.

Dalej na południe inny żołnierz, oficer wojsk pancernych Slesariow, również poznawał nowy kraj. „Piszę, żeby Cię zawiadomić, że żyję i mam się dobrze - napisał do ojca. - Od jakiegoś czasu do nikogo nie pisałem - wyjaśnił - ponieważ całe wieki byłem w drodze. Jechaliśmy dzień i noc, przez cztery doby w ogóle nie spaliśmy. Tego lata byłem w wielu miejscach”⁶¹. Do jego ulubionych należała zachodnia Ukraina, z jej niskimi wzgórzami i sadami. „Przyroda tam jest cudowna, są śliczne miasta i wsie, wiele ogrodów, mnóstwo słodkich i kwaśnych wiśni”. W przeciwieństwie do ponurego zimowego stepu, ogrody dokoła zrujnowanego Lwowa, pełne łubinu, nagietków i róż, musiały wyglądać jak przebłyński raj.

Problem polegał na tym, że ziemie te nie były radzieckie. Co innego odbić rosyjskie miasto, takie jak Orzeł, czy nawet lojalną prowincjonalną stolicę, jak Charków, ale Armia Czerwona, przesuając się na zachód, wkraczała na terytoria zaanektowane przez Stalina po 1939 roku. Jermolenko pewnie nie widział nic poza pełnymi niepokojem uśmiechami młodych kobiet na ulicach, lecz wielu mieszkańców wsi na zachodniej Białorusi odnosiło się nieufnie do swoich rzekomych wyzwolicieli. Dla nich wszystko, co nastąpiło, było tylko zamianą jednego imperialnego władcy na innego. Co więcej, wiedzieli już, że czerwona flaga zwiastuje strach. Ich obejścia nosiły jeszcze ślady przymusowej kolektywizacji, której towarzyszyły masowe aresztowania. Jeszcze gorzej było na zachodniej Ukrainie. Lwów, stolica ukraińskiego nacjonalizmu, nigdy nie zaakceptował władzy Moskwy. Wydarzenia ostatnich lat zdawały się potwierdzać przedwojenne nacjonalistyczne przekonanie, że ponadnarodowe imperia postanowiły zmiażdżyć szlachetną ukraińską kulturę. Lwów doświadczał gwałtu za gwałtem: Sowietci, Wehrmacht, bandyci, plutony egzekucyjne SS i partyzanci. Największe znaczenie miało teraz dla miejscowych uniknięcie zniewolenia. Wiedzieli, jak Stalin traktuje narody, które przeciwstawiły się jego władzy.

Ta sama historia powtórzyła się później nad Bałtykiem, gdzie Armia Czerwona symbolizowała wszystko, czego nienawidzono w bolszewickiej dominacji. Faszyci, mamrotali pod nosem miejscowi, zaprowadzili przynajmniej porządek, wyrzucili czerwonych. Z tego powodu wielu powitało ich z radością i nawet przyklaskiwało ich rasistowskiej, antynacjonalistycznej, antysłowiańskiej i antyżydowskiej polityce. Nikt nie potrafił zapomnieć o aresztowaniach i deportacjach z 1939 roku, o zatłoczonych więzieniach i o echach strzałów. Ogromna liczba Estończyków, Litwinów i Łotyszów wspomagała Niemców, w tym również plutony egzekucyjne, ponieważ uznali to za sposób na stworzenie przyzwoitego, uporządkowanego europejskiego życia. Teraz musieli z bezradną obawą patrzeć, jak rozwija się wojna. Być może Amerykanie pierwsi dotrą do Bałtyku. Takie było tamtego lata marzenie mieszkańców Tallina i Wilna. To była łyżka dziegiu w radzieckim triumfie, nasienie przyszłego wielkiego rozgoryczenia. W miarę jak przesuwali się na północ i na za-

chód, Sowietów — Rosjanie i żołnierze z Dalekiego Wschodu — stawali w obliczu kolejnych narodów, które były wobec nich wrogiem albo przynajmniej podejrzliwie odnosiły się do całego ich stylu życia.

Wcześniej w 1944 roku Stalin przygotowywał swą armię do nowego zadania. Jego przemówienie z 1 maja 1944 roku potwierdziło, że niemieckie wojska zostały wyparte z trzech czwartych radzieckiego terytorium, które okupowały. „Jednak nasze zadanie nie zostanie skończone, póki wrogi wojska nie znikną z granic naszej ojczyzny - obwieścił. - Niemieckie wojska przypominają dziś zranione zwierzę, które musi się odczołgać w granice swego legowiska, Niemiec, żeby lizać swe rany. Ale zraniona bestia, która odchodzi do swej nory, nie przestaje być niebezpieczna. Jeśli marny ocalić nasz kraj i kraje naszych sojuszników od groźby zniewolenia, musimy ścigać ranioną niemiecką bestię i zadać jej ostateczny cios w jej mateczniku”⁶². Rosyjskie słowo oznaczające legowisko zwierza to *bierlog* i od tego czasu tak właśnie radzieckie wojska nazywały Berlin. Hasło „Na Bierlog!” wypisywano czerwoną farbą na burtach wielu *T-34*. Niemiecki wywiad donosił, że komsomolcy i oficerowie szczególnie palą się do nowego wyzwania⁶³.

Frontowa prasa z całych sił starała się przekonać żołnierzy, że marsz na zachód będzie przygodą. Przedstawiano go też jako usprawiedliwiony odwet. Gdy tylko pierwsze oddziały przekroczyły granicę, gazety zaczęły zamieszczać zdjęcia czołgistów i piechurów zatykających czerwone flagi na obcej ziemi⁶⁴. Jednak cała ta propaganda miała określony cel. Należało zwalczyć prawdziwy opór. Po prawdzie bowiem nie wszyscy rosyjscy żołnierze - i jeszcze mniej tych z innych terenów radzieckich — mieli ochotę na przekraczanie granicy⁶⁵. Młody człowiek pokroju Slesariowa mógł rozkoszować się turystycznym aspektem swego zadania, ponieważ był wolny, ale starsi, ojcowie i mężowie, a także ci zmęczeni, okaleczeni na ciele i duszy, wierzyli, że ich zadanie skończy się, gdy ostatni faszysta zostanie wygnany z radzieckiej ziemi. Nie mieli ochoty walczyć nigdzie dalej. To reszta świata, która na tak długo zostawiła Rosję samą sobie, powinna się zająć Europą. Pod tym poglądem krył się strach, i to nie tylko strach

przed śmiercią. Nikt z masy radzieckich żołnierzy nie wiedział, czym jest kapitalizm, gdyż nikt go nie widział. Przez trzydzieści lat wmawiano im, że jest niebezpiecznym potworem (rysownicy „Prawdy” byli pomysłowi) gotowym zniszczyć szczęście robotników. Przekroczenie granicy równało się niemal spacerowi po Księżycu.

Pogląd taki był powszechny wśród żołnierzy chłopskiego pochodzenia z Rosji i ziem na wschodzie, ale największą niechęć wyrażała grupa nowicjuszy w armii i, jak na ironię, również ci, którzy dobrze znali świat kapitalistyczny. Byli to rekruci ze świeżo wyzwolonych terytoriów: z zachodniej Ukrainy i zachodnich okręgów Białorusi. Ludzie ci — którzy przeżyli najmroczniejsze czasy — wcieleni zostali do Armii Czerwonej i zmuszeni do złożenia przysięgi lojalnościowej. Mnóstwo nowych żołnierzy zostało wychowanych w zgodzie z tradycjami nacjonalistycznymi, niechętnymi radzieckiej, inter-nacjonalistycznej sprawie⁶⁶. Niewielu czuło jakiegokolwiek związku z Moskwą. Sporo wcielono siłą, nawet pod groźbą karabinów⁶⁷, podczas gdy innych do szeregów zagoniło NKWD, grożąc represjami wobec rodzin⁶⁸. Poborowi wiedzieli, że wielu ich rosyjskich towarzyszy postrzega fakt, iż przetrwali pod rządami faszystów, jako dowód winy, plamę, którą należało zmyć własną krwią⁶⁹. Teraz czekała ich nieokreślonej długości służba w - faktycznie - obcej armii. „Nazywa się ich *zapadnikami* [ludźmi z Zachodu] i traktuje jak jeńców, z nieufnością”⁷⁰.

Pierwsze radzieckie wojska wkroczyły do kapitalistycznego świata wiosną 1944 roku. Ich marsz na Rumunię zaczął się w południowo--zachodniej części Ukrainy. Oddziały straży przedniej składały się z doświadczonych weteranów, jednak rezerwy, które za nimi nadciągnęły, wyglądały niczym kolumny uchodźców. Niewielu żołnierzy otrzymało stosowne dokumenty, nie wspominając o szkoleniu, politycznym czy wojskowym. Nie wmaszerowali do Rumunii; część weszła wolnym krokiem, część wkuśtykała. W niektórych oddziałach nawet 90 procent żołnierzy nie miało jakichkolwiek butów, nie mówiąc już o regulaminowym obuwiu. W jednej z grup piętnastu mężczyzn maszerowało w koszulach i bieliźnie. W chwili przybycia ich dyscyplina była kiepska. W rzeczywistości wielu z nich nigdy tam nie dotarło, ponieważ tak łatwo było się odłączyć⁷¹. Ci, którzy

pozostali, niechętnie odnosili się do wystawienia na niebezpieczeństwo, do faktu, że wysłano ich na front „tuż przed końcem wojny”⁷², ale przynajmniej mogli mieć nadzieję na jakąś rekompensatę. Nagrodą za trudy, pokusą, której niewielu potrafiło się oprzeć, były łupy⁷³. Ledwie tygodnie minęły od przejścia ich krajów przez moskiewskie wojska, a teraz oni sami obozowali w innym państwie. Różnica polegała na tym, że teraz to oni byli okupantami.

Rumunia to nie Prusy. Owo pierwsze wtargnięcie na obcą ziemię nie zmieniło się w orgię odwetu. Szok dla obu stron osłabiał też fakt, że większość sił Armii Czerwonej stacjonowała na słabo zaludnionych terenach. Bukareszt, ze wszystkimi swymi pokusami, był jeszcze odległy o kilka miesięcy wojowania. Tymczasem wśród żołnierzy utrzymywała się luźna, niemal zblazowana postawa wobec ideologii. Oficerowie polityczni prawie zrezygnowali z kształtowania ich radzieckiej świadomości⁷⁴. Sowinformbiuro upierało się, że należy ujawnić rumuńskie okrucieństwa, by podsyć nienawiść, ale nikt nie wydawał się do tego skłonny. W rzeczywistości część oddziałów od miesięcy nie wysłuchała wykładu na tematy ideologiczne. Żołnierze albo walczyli — a wróg, wspierany początkowo przez niemieckich oficerów, mógł być okrutny - albo obozowali na tyłach, gdzie niebezpieczeństwa wojny wydawały się niemal snem. W niektórych miejscach rumuńscy żołnierze rzucali broń i błagali Sowietów, żeby nie strzelali⁷⁵. Jedyne ofiary w 251. Pułku Piechoty w maju były skutkiem nieostrożności i dzikich orgii w obozie⁷⁶. W tym kontekście część dawnych ofiar niemieckich rządów na Ukrainie miała sprawdzić umiejętności, jakich nauczyła się od aryjskich nadludzi.

Swą rolę odegrało tu mołdawskie wino. Grupa radzieckich inżynierów szybko się zadomowiła podczas misji polegającej na odbudowie dróg i mostów w regionie. Pewien oficer był pijany przez dziesięć dni. Alkohol usunął wszelkie seksualne zahamowania, jakie jeszcze mieli żołnierze. Obserwując oficerów prowadzących na muszce ich sąsiadów, miejscowe kobiety szybko nauczyły

się ukrywać. Dwaj sierżanci, którzy wpadli do wioski niedaleko swego obozu w poszukiwaniu kobiet, odkryli, że wszystkie upragnione prostytutki uciekły. W odwecie zastrzelili jedną z mieszkanek i jej córkę oraz

próbowali zgwałcić ich sąsiadkę. Szczególnie wyrachowany człowiek udawał oficera wywiadu i żądał, by kobiety z jego okręgu stawiły się na inspekcję. Ta, którą wybrał i zgwałcił, została później znaleziona zakopana w okopie z radziecką kulą w czaszce. Pewnej majowej nocy w mieście Botoszany przeprowadzono kontrolę. Setkę żołnierzy, głównie oficerów, znaleziono w łóżkach z miejscowymi kobietami⁷⁷. Na porządku dziennym były kradzieże i wymuszenia, ale dokonywano też bardziej systematycznej grabieży. Pewna przedsiębiorcza grupa rozkazała wieśniakom z okolic swej jednostki przyprowadzić 200 owiec. Kiedy zostały dostarczone, zażądała kolejnych dwustu na następny ranek⁷⁸. Bez wątplenia, podobnie jak każdy oficer w ich sytuacji, żołnierze mieli już zapewniony transport i zbyt na mięso.

Historie tego rodzaju zaalarmowały komisarzy politycznych. Tego czerwca w Moskwie została wydana specjalna rezolucja o stanie edukacji politycznej żołnierzy przebywających w Rumunii. Politrukom nakazano wyciągnąć podręczniki⁷⁹. Przykład 2. Frontu Ukraińskiego w Rumunii wykorzystano jako ostrzeżenie dla innych. Daleko na północy, koło Kowna, Jermolenko wysłuchał wykładu na temat sierpniowych rumuńskich „ekscesów”. „Armia Czerwona jest prawą armią - napisał potem. - Nie jesteśmy bandytami ani maruderami. Oczywiście, jeśli natykamy się na zbrojny opór, przełamujemy go. Ale nie dopuszczamy się grabieży i morderstw”. Problem w tym, że zaledwie kilka dni wcześniej on i jego „chłopcy” sami „poszli po łupy”⁸⁰. Ład wokół nich uległ zakłóceniu. Świat tych ludzi został wywrócony do góry nogami, zniszczony. Każdy stracił wszystko, co cenił. Niekiedy ludzie otrzymywali rozkaz odejścia z własnej ziemi. Prawo własności, które obywatele radzieccy zawsze uważali za kłopotliwe, nie miało większego znaczenia na zrujnowanym, niemal opuszczonym terytorium. A potem pojawiło się pragnienie zemsty, by nie wspomnieć o prostych, oczywistych potrzebach materialnych żołnierzy. Politrucy mogli wygłaszać kazania, ale nawet oni nie przestrzegali zasad. Codziennie zaś ciężarówki odjeżdżały ze skrzyniami łupów dla oficerów sztabowych.

Ogólnie rzecz ujmując, koniec lata 1944 roku był okresem dezorientacji i niepokoju. Wyzwolicielska armia, straż przednia walcząca za wolność swych matek i żon, zmieniała się w motłoch. Nowi

ludzie zajmowali miejsce zabitych, ale nie była to jedyna zmiana. Nawet weterani, bohaterowie spod Kurska i Orła, stali w obliczu niewyobrażalnych wyzwania, pokus, którym nie potrafili się oprzeć. Wyczerpani ludzie, świeżo pogrążeni w smutku przez bitwę, postrzegali granicę przez pryzmat splątanych emocji. Było to objawienie; odwrotu nie było. Dużo lepiej, jak zrozumiał Lew Kopie-liow, było przymknąć oko na pewne nieporządki i korzystać z życia. „Nasiąknę francuskim koniakiem - wspominał - a mój chlebak wypełniały hawańskie cygara. (...) Najpierw kręci ci się od nich w głowie, potem przywykasz. Ciągłe upojenie koniakiem, sznappsem i likierami oraz gorzki dym tych mocnych cygar wydawały się uspokajać nas w obliczu złośliwości tego, co się działo dookoła”⁸¹.

Chociaż każdy dotarł do granicy w innym czasie, nikt nie zapomniał, co czuł. Każdy weteran ma swoją opowieść. „Takie ładne domki, małe i wszystkie pomalowane na biało”. Dawny chłop, Iwan Wasiliewicz, teraz mieszkaniec okolic Moskwy, pamięta, jak lubił zajmować się bydłem. Gospodarstwo, w którym został zakwaterowany tego lata, było opuszczone. Właściciele uciekli, jak tysiące innych,

kiedy usłyszeli pierwsze radzieckie działa. Zboże rosło samo, ale od wielu dni nikt nie zajmował się krowami. Iwan Wasiliewicz podziwiał je, dotykał, czuł mocne mięśnie. Niezwłocznie przystąpił do dojenia. Ich muczenie to dźwięk, który najwyraźniej zapamiętał z tamtych pierwszych dni.

Iwan Wasiliewicz miał wydoić i nakarmić jeszcze wiele krów przed zwycięstwem. „Zwierzęta były głodne — wspominał. — Obok stał stóg. Od razu je nakarmiłem. Musiały jeść. A potem pomyślałem o otwarciu obory. Mogłyby się paść same po naszym odejściu”. Prywatne gospodarstwa fascynowały to dziecko kołchozu, przywykłe do komunistycznego zaniedbania. „Porównanie było interesujące — pamiętał. - To znaczy dlatego, że wychowałem się w takim samym otoczeniu, na wsi”. Zawahał się, jakby chciał coś przemilczeć. Podobnie jak tysiące innych, odkrył prawdę, która wzbudzała wątpliwości dotyczące całej wojny, rewolucji i radzieckiego marzenia⁸². Na razie świtające zrozumienie nadal jeszcze było mgliste, niepewne. Nie dawało się jednak o nim zapomnieć. „Właściwe słowo to bogaty — powiedział. — Kapitalistyczne gospodarstwa były bogatsze”⁸³.

Żołnierze na różne sposoby próbowali uporać się z prawdziwym obliczem kapitalizmu. Część czuła zazdrość, część zaciekawienie. Później, po wkroczeniu do Niemiec, ich główną reakcją stała się wściekłość. Nikt nie potrafił pojąć, dlaczego bogaci Niemcy zapragnęli zaatakować swych wschodnich sąsiadów, dlaczego ktoś, kto miał to wszystko, mógł pragnąć jeszcze więcej. „Chciałbym po prostu zmiażdżyć pięścią te wszystkie puszki i butelki” - stwierdził jeden z żołnierzy⁸⁴. Dokądkolwiek w Europie trafili, czerwonoarmistów zarówno odpychali, jak i fascynowali burżuje, z ich uporządkowanym życiem i dziwnymi poglądami na zagadnienie własności. Jednak tamtego lata burżuje, których spotykały armie na południu, byli Rumunami - dawnymi wrogami, ale ani szturmowcami, ani milionerami. Widok lepszego życia tych burżujów doprowadził w szeregach Armii Czerwonej do wzrostu niechęci, a nawet antyradzieckich rozmów. Skoro komunizm jest taki dobry, mówili żołnierze, to czemu tym chłopom żyje się dużo lepiej?⁸⁵ Zamiast podpalać rumuńskie gospodarstwa, czerwonoarmiści zadowalali się ich plądrowaniem.

Ten sam szok z powodu relatywnego bogactwa pojawił się w Polsce, tyle że na tamtejszej spustoszonej wsi mniej pozostało do zagarnięcia. Gdy jednak radzieckie wojska przedzierały się przez piaszczyste równiny i sosnowe lasy, stanęły w obliczu nowej, równie bolesnej kwestii, świeżej zdrady umiłowanego dogmatu. Po wybuchu wojny z retoryki Stalina zniknął internacjonalizm, ale mit, że Armia Czerwona prowadzi wyzwolicielską, braterską misję, odżył, kiedy przekroczyły granicę. Teoretycznie Polacy winni postrzegać siebie jako dłużników radzieckiej potęgi. Jako ofiary faszystowskiej agresji naród polski oczekiwał wyzwolenia. Taka przecież była pierwotna przyczyna wypowiedzenia wojny przez aliantów we wrześniu 1939 roku. Wtedy wszakże Związek Radziecki był sojusznikiem Hitlera, a Polska od razu została podzielona przez obie dyktatury. Teraz Armia Czerwona walczyła u boku demokratycznych krajów Europy i Stanów Zjednoczonych, a jej przybycie do Polski miało się stać powodem do świętowania. W końcu okupacja faszystowska była koszmarem. Tymczasem Polacy mieli powody zastanawiać się, czego mogą się spodziewać po cynicznym uścisku Stalina. Do dziś zresztą opowiadają dowcip, który zaczyna się od tego, jak mały ptaszek

wpada w krowi placek. Przechodzący kot ratuje go, ale potem, rzecz jasna, zjada. „Morał z tego taki - wyjaśnił mi polski przyjaciel - że nie każdy, kto wyciągnie cię z gówna, jest twoim przyjacielem”.

Na krótką metę część Polaków gotowa była walczyć u boku Armii Czerwonej. Polska 1. Armia w ZSRR powstała w kwietniu 1943 roku. Polacy utworzyli 8. Armii Gwardyjskiej Czujkowa drogę na Lublin i bili się aż do upadku Berlina dziesięć miesięcy później⁸⁶. Jednak Stalin nigdy nie żywił

sympatii do Polaków i większość polskich żołnierzy o tym wiedziała. Skarżyli się, że ich mundury i wyposażenie nie spełniają wymogów, że na zimę nie dostają ciepłej odzieży, za to przydziela im się najniebezpieczniejsze zadania⁸⁷. Ich morale spadło jeszcze bardziej, kiedy usłyszeli o losie swych rodaków w Warszawie.

W sierpniu 1944 roku, zachęcona perspektywą szybkiego wyzwolenia, warszawska Armia Krajowa rozpoczęła powstanie. Jego celem było zniszczenie niemieckiego garnizonu. Ponieważ wojska Rokos-sowskiego stały nad Wisłą, szansę na wspólną akcję wydawały się ogromne. Jednak powstanie warszawskie upadło. Mieszkańcy polskiej stolicy zapłacili wysoką cenę krwi. Gdy tysiące warszawiaków zostało wymordowanych, Hitler rozkazał, by całe miasto zrównano z ziemią. Ale polskie wojsko najbardziej rozwścieczyło to, że Sowieci nie podjęli żadnej próby interwencji. Ludzie Rokossowskiego prawdopodobnie nie byli w stanie pomóc Warszawie w sierpniu 1944 roku, a Stalin nie dałby rady zdobyć nowych rezerw⁸⁸. Cały rozmach operacji „Bagration” został wykorzystany do wielkiego uderzenia na Mińsk. Zniszczenie polskich patriotów w Warszawie odpowiadało wszakże dalekosiężnym celom Stalina. Tragedia, podobnie jak masakra w Katyniu w 1940 roku, zatrzała rosyjsko-polskie stosunki na długie dziesięciolecia.

W odpowiedzi - czy też przynajmniej w próbie usprawiedliwienia się — Sowieci oświadczyli, że walczą za sprawę, która wykracza poza ich interesy narodowe. Internacjonalizm był bagatelizowany od początku wojny - rosyjskie wojsko samo się z niego wyleczyło, kiedy w 1941 roku stanęło przeciwko swym domniemanym niemieckim braciom - jednak nigdy nie zarzucono idei, że Związek Radziecki jest jedynym w swoim rodzaju pionierem, państwem ponadnaro-

dowym. Byli żołnierze Armii Czerwonej i partyzanci wciąż mówią o sobie jako o „Sowietach”, co na froncie pozwalało zlikwidować niewygodne podziały między rdzennymi Rosjanami a całą resztą. Polacy, podobnie jak *zapatniki*, mogli po prostu przyłączyć się do bractwa. W ten sposób zagwarantowaliby sobie przyszłość w systemie radzieckim przeciwstawiającym się faszystowskiej tyranii.

Ten zręczny argument nigdy nie pasował do faktów. Przede wszystkim sam Stalin przystąpił do czystki etnicznej. Latem 1944 roku gułagi i obozy pracy w Azji Środkowej zapełniły się nadwołzańskimi Niemcami, Czeczenami, Tatarami, Kałmukami i innymi grupami „ukaranych”. W ostatnim roku wojny zaczęli do nich napływać również Polacy i Ukraińcy. Pretekstem masowych aresztowań stało się więc pochodzenie, nie status ekonomiczny lub klasowy⁸⁹. Retoryka radziecka nie przemawiała do tych ludzi. Rosjanie mogli twierdzić, że nie ma różnicy między grupami etnicznymi w mundurach, ale w żadnym momencie oni sami nie byli w mniejszości. „Wszyscy jesteśmy tacy sami” to imperialistyczna myśl lekceważąca pragnienia i perspektywy podporządkowanych ludów. Ogromna liczba - miliony — Polaków, Ukraińców, Gruzinów, Żydów, Kazachów i innych walczyła u boku Rosjan, część z nich otwarcie za władzę radziecką, ale grupy mniejszościowe nie były ani identyczne, ani nie widzialne w ramach armii. Istniało nawet gwarowe, uwłaczające słowo na ich określenie. *Nacmien*, niezgrabny termin utworzony z rosyjskich słów oznaczających mniejszość etniczną, zniewolone, zasymilowane i puszczane wolno jednostki, które zamieszkiwać mogły wszędzie, od Odessy i Tallina do Ułan Bator.

Jak na ironię to Żydzi wydawali się najbardziej gotowi do rezygnacji z internacjonalizmu. Państwo radzieckie oficjalnie ubolewało nad antysemityzmem i karało go. Oznaczało to więc

postęp w porównaniu z czasami caratu i silnie kontrastowało z Trzecią Rzeszą. Internacjonalistyczna retoryka, tak jak nawiązania do nauki i wyższości wartości miejskich, również przyciągały Żydów, lud, który historia związała głównie z miastami. W 1941 roku tysiące Żydów opowiadało się za sprawą radziecką. Studenci z Moskwy odkładali książki, młodzi komunistyczni urzędnicy prosili o przydział na front. Żydzi znaleźli się wśród najgorliwszych ochotników do każ-

dego rodzaju służby. Nie wszyscy ci ochotnicy urodzili się pod władzą radziecką. Uchodźcy napływali na wschód wiosną 1941 roku z Polski i z zachodniej Ukrainy, a latem szukali sposobów na dostanie się do Armii Czerwonej. Jak pokazała przyszłość, gdy ich rodziny ginęły na ojczystych ziemiach, lojalność tych ludzi wobec stalinowskiej sprawy była usprawiedliwiona.

Armia Czerwona chlubiła się zbiorem przepisów wymierzonych w antysemityzm, włącznie z zastrzeżeniem, że obraźliwe słowo „żyd” nie będzie używane w odniesieniu do Żydów*. Żołnierze pozwalający sobie na antysemickie wzmianki lub używający obelżywego, rasistowskiego języka mieli podlegać karze. Idealistyczni komuniści (w tym wielu Żydów) wierzyli, że Sowieci naprawdę przezwyciężyli nienawiść z carskich czasów, ale jedynie w wybuchu żarliwego idealizmu Żyd mógł postrzegać Armię Czerwoną jako przyjazne środowisko. Oficjalna retoryka była sterylna, lecz między sobą żołnierze - a nawet oficerowie - swobodnie dawali upust rasistowskim uprzedzeniom. Odpowiedź zwierzchników była niezdecydowana. NKWD miało rejestr spraw, o których wiedziało, wraz z nałożonymi karami. Trzydziestjedolatek dostał pięć dni aresztu za to, że powiedział żydowskiemu koledze: „Mój ojciec nienawidził Żydów, ja ich nienawidzę i moje dzieci też będą ich nienawidzić”⁹⁰. Innego żołnierza wydano z komsomołu za rzucenie piechurowi: „O co ci chodzi, żydowska gębo?” Było to lepsze niż faszyzm, ale wciąż wiele pozostawało do zrobienia.

Żarty - humor, który NKWD tak ściśle kontrolowało - były gorsze. Według wulgarniej opowieści Żydzi w armii wykonali swą zwykłą sztuczkę. Innymi słowy, zdołali uchylić się od służby na froncie i zajęli bezpieczniejsze stanowiska na tyłach. Kiedy dziesiątki tysięcy uciekły z domów w pierwszych miesiącach wojny, ochrzczono ich „taszkenckimi partyzantami”, od miasta, w którym tak wielu znalazło schronienie. „Uformowali ze swoich batalion — mówił żołnierski dowcip - i zdobyli Taszkent i Ałma-Atę”⁹¹. „Dusza Żyda jest zawsze na froncie — brzmiał inny — ale jego ciało pozostaje za Uralem”.

Kontekst był współczesny, lecz zasadnicze stereotypy pierwotne. Powiadano nawet, że Żydzi wolą karabiny z krzywymi lufami⁹².

Inne pogłoski opierały się na starożytnym motywie ofiary krwi paschalnej i magii kabalistycznej. Żydowskich lekarzy oskarżano o uznawanie rannych Rosjan za zdolnych do służby, zanim ci jeszcze mogli się utrzymać na nogach⁹³. Anegdota z 1944 roku czerpała z teorii międzynarodowego spisku syjonistycznego. Strzelec Abram Abramowicz wraca z bitwy z łupami: niemieckim karabinem, niemieckimi mapami, a nawet sztandarem niemieckiego pułku. Kiedy dostaje odznaczenie za swe czyny, ktoś pyta, jak zdołał tyle osiągnąć. „Ach - odpowiada żołnierz - mam przyjaciela po niemieckiej stronie, Marka Markowicza. On przyniósł mi rzeczy niemieckie, a ja dałem mu rosyjskie”⁹⁴. Opowieść mogła śmieszyć część czer-wonoarmistów, ale gdyby pomyśleli chwilę o swych przeciwnikach, musieliby zauważyć, że nie zostali wśród nich już żadni Markowie Markowicze.

Prześladowanie Żydów było jedynym niemieckim okrucieństwem, którego przedstawiania unikały rosyjskie środki masowego przekazu. Istotę problemu, od 1944 roku, stanowiła wyimaginowana

hierarchia cierpienia. W tej wojnie Rosja postrzegała siebie jako najważniejszą ofiarę. Została najechana, a jej ziemia pogwałcona. Opierała się samotnie, podczas gdy reszta Europy spała; jej naród wykrwawiał się w obronie Stalingradu. To Związek Radziecki toczył tę wojnę, lecz w armii służyło więcej Rosjan niż przedstawiciele innych narodowości i żołnierze często - i w swej opinii wspaniałomyślnie — pomijali różnice między swymi towarzyszami, określając ich wszystkich mianem „Rosjan”⁹⁵. Rosyjscy żołnierze byli największą grupą wśród wielu, które głodowały i umierały w niemieckiej niewoli, a rosyjscy cywile cierpieli niewyobrażalnie w latach wojny⁹⁶. W żadnym razie nie może być porównania między ceną, jaką zapłaciły Rosja i inne narody radzieckie, a stratami aliantów. Jednak poczucie krzywdy, zarówno w kraju, jak i na arenie dyplomatycznej, stanowiło rodzaj kapitału. W stosunkach międzynarodowych pozwalało stronie poszkodowanej domagać się poważnych reparacji, by nie wspomnieć o możliwości wywierania moralnych nacisków. W kraju z kolei wywołało to patriotyczną burzę, radziecką z nazwy,

ale rosyjską z natury. Jej centrum (mimo gruzińskiego pochodzenia) stanowił Stalin. Kiedy ludzie cierpieli, Stalin pracował i krwawił wraz z nimi. Identyfikowano go z każdą chwilą ich bólu.

Szczegóły były naprawdę przerażające. Ponad trzy miliony radzieckich (głównie rosyjskich) jeńców zginęło w niemieckich obozach, wielu w wyniku bezpośrednich aktów brutalnej - i bezprawnej - przemocy. Nawet niemiecki świadek, żołnierz piszący o sukcesach Wehrmachtu w 1942 roku, zaskoczony był efektem działań swych władz. Jeńcy, mający prawo do jedzenia i schronienia (a nawet, być może, paczek Czerwonego Krzyża), przez strach i głód zostali doprowadzeni do takiego stanu, że - jak napisał - „wyli i czołgali się przed nami. Byli ludźmi, w których nie pozostał ślad czegokolwiek ludzkiego”. Być może ten właśnie osąd pomógł strażnikom torturować jeńców. Niemieccy wartownicy bawili się, wrzucając padłe-go psa do zagrody dla jeńców. „Wrzeszcząc jak szaleni — opisywał świadek - Rosjanie rzucali się na zwierzę i rozdzierali je na strzępy gołymi rękami. (...) Jelita wpychali do kieszeni jako rodzaj żelaznej racji”. Nieliczni, którzy przeżyli te obozy, pamiętają terror, upokorzenia i mroczne historie o ludożerstwie⁹⁷. Żadna armia nie cierpiała na taką skalę, nawet w Azji.

Cywile również znosili wszelkiego rodzaju przemoc. Od pierwszych dni inwazji w 1941 roku Wehrmacht wypowiedział wojnę partyzantom. W rzeczywistości na równi z partyzantami rozstrzeliwano i wieszano przypadkowe osoby. Potem rozpoczęły się rekwizycje żywności i innych dóbr. Wynikły z tego głód był w niektórych regionach tak dotkliwy, że miejscowi przychodzili do niemieckich obozów i „prosilili o pomoc albo błagali o zastrzelenie”⁹⁸. Trudności doprowadziły do epidemii wśród cywilów w strefie okupowanej; najpoważniejszą, z 1943 roku, była epidemia tyfusu. Niemal 7,5 miliona radzieckich obywateli zginęło pod okupacją niemiecką, najwięcej na Ukrainie (3,2 miliona), w Rosji (1,8 miliona) i na Białorusi (1,5 miliona)⁹⁹. Jednak wiele ofiar nawet nie zostało w domach, gdyż innym przejawem hitlerowskich rządów było zmuszanie cywilów do niewolniczej pracy. Co najmniej 3 miliony radzieckich mężczyzn i kobiet (pewne słynne radzieckie źródło podaje 5 milionów) wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy. Wielu z nich —

prawdopodobnie ponad dwa miliony — pracowało tak ciężko, że dołączyli do europejskich Żydów w obozach śmierci, odesłani przez Rzeszę niczym spracowane szkapy do rzeźni¹⁰⁰.

Długotrwała męka Rosji była więc realna i, jak większość przypadków prześladowania, wytworzyła u cierpiących oburzenie, poczucie odrębności i solidarności. Nikt nie znosił brzemienia wojny cierpliwiej, nikt nie walczył ani nie przeżył więcej. Tak to wyglądało

i tak brzmiał polityczny refren. Wszakże rosyjskie prawo do oburzenia - i wysoka pozycja Stalina w jego ramach - nie mogłoby się ostać, gdyby uwzględniono dwie specyficzne prawdy. Po pierwsze, grupą, która w największym stopniu doznała niemieckiej przemocy, okrucieństwa nieporównywalnego z niczym nawet podczas tej najokrutniejszej z wojen, byli nie Rosjanie, ale Żydzi. Po drugie, obywatele radzieccy w strefach okupowanych, łącznie z tysiącami Ukraińców i Bałtów, sprzyjali ludobójstwu i wspierali je.

To armia poczyniła te wszystkie odkrycia, żołnierze, którzy wiedzieli najwięcej o prawdziwym losie Żydów. Pierwszy dowód masowych egzekucji odkopano koło Kerczu w 1941 roku, kiedy radzieckie wojska rozpoczęły katastrofalną próbę odzyskania Krymu¹⁰¹, ale dopiero w czasie wielkiego marszu na zachód, od 1943 roku, wyłaniać się zaczął pełny obraz. Wstrząsająca opowieść pochodziła z Krasnodaru, gdzie siedem tysięcy Żydów zagazowano podczas eksperymentu z użyciem specjalnych szczelnych wagonów (NKWD udoskonaliło tę technikę już w 1937 roku, ale szokiem było odkrycie, że inni też ją wykorzystują). Gdy odnaleziono masowy grób, część ciał uroczyście ekshumowano, owinięto w całuny (jak przystoi zwłokom Rosjan) i z pełnymi honorami pochowano w obecności płaczących tłumów¹⁰².

Sekret wąwozu koło Kijowa, Babiego Jaru, gdzie pod koniec 1943 roku spoczywały ciała co najmniej 100 tysięcy Żydów, został ujawniony w radzieckiej prasie w tonie usprawiedliwionego oburzenia. Sprawa jednak stała się prawdziwym wyzwaniem dla Sowinformbiu-ra. Zwłoki Żydów, nasiąknięte benzyną i obsypane popiołem, przywoływały widma, którym Moskwa nie chciała stawiać czoła. Holokaust, jak ujmuje to pewien opis, był „niestrawną bryłą w brzuchu radzieckiego triumfu”¹⁰³. Moskwa nigdy nie zaaprobowała masowego zabijania Żydów, ale nie zamierzała też przyznawać im szczególnego miejsca w wojennym micie. Gdyby tak uczyniła, Rosja musiałaby się dzielić swym męczeństwem, a tym samym jej komunistyczni przywódcy musieliby zaaprobować ideę szczególnej bliskości między Żydami a bolszewikami. Tymczasem Stalin ze wszystkich sił starał się od lat wykorzystać taki pogląd (nie tylko aresztując żydowskich towarzyszy). Te ciała, tak jak zwłoki polskich oficerów w lasach

koło Smoleńska, groziły zanieczyszczeniem kruchego ekosystemu radzieckiej prawos'ci i rosyjskiej pewności.

Równie niebezpieczny był fakt, że część ukraińskich nacjonalistów życzliwie powitała ludobójstwo. Pęd ku etnicznemu oczyszczeniu Europy Środkowej w latach trzydziestych i czterdziestych, podobnie jak nienawiść do bolszewików, nie ograniczał się do Niemiec. Podczas okupacji niemieckiej szef wojennego rządu ukraińskiego oznajmił w 1941 roku, że „Żydzi pomagają Moskwie wzmocnić panowanie nad Ukrainą. Tym samym uważam, że Żydzi powinni zostać eksterminowani, i [widzę] potrzebę wprowadzenia na Ukrainie niemieckich metod pozbycia się Żydów”¹⁰⁴. Solidnych, związanych z ziemią Ukraińców zachęcano, by nienawidzili wszystkich „ży-dowsko-moskiewskich proletariuszy”. W odpowiedzi część z nich wstąpiła do jednostek egzekucyjnych¹⁰⁵. Jednak powtórzenie tego w tym momencie oznaczałoby strzaskanie kruchych ram radzieckiego braterstwa. Z pewnością też naraziłoby na szwank stosunki Moskwy z większością Ukraińców, włącznie z tymi, którzy walczyli właśnie na froncie zachodnim.

Redagowano zatem każdy raport z miejsc kaźni. Opowieści o ludobójstwie prezentowano jako części większej, bardziej bulwersującej całości. Szczególnie troszczono się o to, by podkreślać brzemień noszone przez Rosjan. Gdy śledczy przygotowywali pierwszy raport o obozie śmierci, jaki odkryła armia, czytelnicy „Prawdy” dowiadywali się o miejscu na Ukrainie, w którym jeńcy radzieccy głodowali, a nawet o obozie, w którym Rosjan celowo zarażano tyfusem i pozostawiano, by umarli¹⁰⁶. Cenzurę wspomagał fakt, że prawda, jaka się z tego wszystkiego wyłaniała, była tak

prerażająca, iż przytłaczała wyobraźnię. Kiedy Alexander Werth przesłał do BBC swoją pierwszą relację poświęconą hitlerowskiemu obozowi koncentracyjnemu, *Fabryka śmierci*, stacja jej nie nadała. Opowieść jest tak straszna, argumentowali dyrektorzy, że może być wyłącznie kolejnym radzieckim chwytem propagandowym¹⁰⁷.

Prawda zaczęła wypływać na powierzchnię latem 1944 roku. Lublin leżał niedaleko granicy polsko-radzieckiej. Kiedy w lipcu wyzwoliła go Armia Czerwona, miasto było zniszczone przez okupację i bombardowania. Jednak mimo zniszczeń pozostało wiele pięknych

kościółów i białych domów, które stały tu od wieków. Tajemnica Lublina, niczym zimny cień, znajdowała się trzy kilometry dalej. Majdanek był pierwszym obozem koncentracyjnym, jaki odkryła aliancka armia - rozległą, doskonale zorganizowaną fabryką, zespołem obozów, komór gazowych i kominów pokrywających dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych. Zamordowano tam półtora miliona ludzi. Zapach trupów i palonego mięsa zmuszał lublinian do zamykania okien. Mimo to nie mogli oddychać ani spać. Skala zbrodni zaszokowała wówczas wszystkich świadków.

Zanim odkryto Auschwitz i Bergen-Belsen, Majdanek stanowił zapowiedź ludobójstwa. Była tam opuszczona wąska droga, ogrodzenie z drutu kolczastego i wieże strażnicze. Brama wejściowa wznosiła się łukiem nad drogą, a we mgle za nią majaczyły baraki i złowieszco wyglądające kominy. Na każdym dziedzińcu wyrastały potężne, kwadratowe szubienice. Stały tam też betonowe bloki z tabliczkami „Kąpiel i dezynfekcja”. To do nich wpędzano tysiące przerażonych, nagich ludzi ledwo przeczuwających swój los. Gdy Werth je zwiedzał, złapał się na myśli o tych ostatnich chwilach, na wyobrażaniu sobie, jak niebieskie kryształki cyklonu spadają przez kratkę w suficie i łagodnie parują. Stał tam, gdzie stał strażnik z SS, obserwując pomieszczenie, podczas gdy gaz robił swoje. Odwróciwszy na chwilę wzrok, Werth zerknął na betonowy dziedziniec. Pod jego stopami znajdował się niebieski znak, gryzmoł układający się w słowo *vergast*. Obok wyrysowano czaszkę i skrzyżowane piszczele. „Nigdy wcześniej nie widziałem tego słowa - napisał - ale najwyraźniej oznaczało ono »zagazowanych«. I to nie po prostu »zagazowanych«, ale dzięki małemu, eleganckiemu przedrostkowi *ver-* »zagazowanych nieodwracalnie«. To zadanie się skończyło, teraz kolej na następną grupę”¹⁰⁸.

Werth twierdzi, że „Prawda” przedstawiła wszystko, jednak nie do końca ma rację. Reportaż był żywy i musiał wywołać znaczny oddźwięk, ale Żydów nie ukazano w nim jako główne ofiary. Wygodne, zapewne, okazało się to, że Majdanek był obozem dla różnych narodowości, a wśród jego ofiar na równi z Żydami znalazło się wielu Europejczyków, Rosjan i Polaków. Ta wszechstronność ułatwiła opisanie go w prasie. Natomiast istnienie obozu w Auschwitz

(Oświęcimiu) ujawniono radzieckiej publiczności dopiero 7 maja, zaledwie godziny przed zwycięstwem, chociaż Armia Czerwona zdobyła go (i przeliczyła zgromadzone ubrania, ponad milion) już w styczniu 1945 roku.

Otwartą kwestią pozostaje, co myśleli o tym żołnierze. Na Majdanku nakazano im zwiedzić cały obóz. W Auschwitz również widzieli makabrę na własne oczy. Obrazy okrucieństwa pomagały wzmocnić ich nienawiść do Hitlera, uczynić ich bezlitosnymi i odważnymi. Podobną rolę odegrał widok Klooga pod Tallinem, gdzie zamordowanych Żydów poukładano w wielkie stopy na przemian z kłodami, polano benzyną i podpalono niczym rozpałkę¹⁰⁹. Na zdjęciach przedstawiających zwęglone szczątki widać też czer-wonoarmistów, jak stoją w śniegu nieopodal i

obserwują upiorne kształty, podczas gdy urzędnicy w cywilnych ubraniach katalogują je dla potomności. Jednak to, co żołnierze potem czytali, nie w pełni odpowiadało temu, co widzieli. „Prawda” pomagała ukształtować alternatywny zestaw wspomnień, by przesłonić obrazy tak straszliwe, że nie dało się o nich ani myśleć, ani ich zapomnieć. Zamiast

przeróżającej rzeczywistości „ostatecznego rozwiązania” gazeta oferowała czytelnikom prostszą lekcję: radziecka wściekłość jest uzasadniona, radziecka zemsta jest sprawiedliwa.

Lekcje te pozwoliły wyjaśnić przemoc, jaka nastąpiła potem. Rzeczy, które robili Niemcy, w umysłach żołnierzy dawno już zostały oddzielone od tego, co oni sami — „my” — mogli kiedykolwiek zrobić. Radziecka propaganda zdeprecjonowała wroga do tego stopnia, że nie zostało w nim niemal nic ludzkiego. Nie było porównania z „nami”. Tymczasem status ofiary, jaki przyjął naród radziecki, wzywał do zemsty i odszkodowań. W ciągu kilku miesięcy okrucieństwa w Prusach Wschodnich — mordy, gwałty i kradzieże — popełniane były przez Sowietów pod osłoną podwójnych standardów. Ta sama niekonsekwencja dotyczyła traktowania „naszych” Żydów. Kiedy Rosjanin mamrotał, że Żydzi są lepsi martwi, nie było to to samo, co gdyby mówił to Niemiec. W 1944 roku NKWD słyszało ludzi mówiących, że „Hitler zrobił dobrą robotę, bijąc Żydów”¹¹⁰.

Armia, czy raczej część jej kalekich weteranów, wróciła do domów z uprzedzeniami i zaraziła nimi cywilów. Opowieści były łatwe do przewidzenia. Żydzi nie walczyli, mówiono, ale siedzieli w ciepłych biurach lub w innych miejscach, gdzie miało się do czynienia z pieniędzmi. Potem pojawiły się żarty, osady, niechęć. Wczesnym latem 1943 roku członkowie redakcji armijnej gazety „Krasnaja Zwiezda” dyskutowali nawet o konieczności znalezienia i opublikowania jakichś historii o Żydach - bohaterach Związku Radzieckiego albo frontowych generałach. Należało coś zrobić, żeby uniknąć przemocy na tle rasowym. „Istnieje prawdziwa agitacja na rzecz pogromów” — napisał w maju jeden z dziennikarzy¹¹¹. Przepowiedane lincze nastąpiły miesiąc później. Pogrom w Kijowie w 1945 roku zaczął się od bójki między dwoma pijanymi Ukraińcami a żydowskim oficerem NKWD. Enkawudzista zastrzelił napastników, których pogrzeb stał się początkiem antyżydowskich zamieszek¹¹². Ale powojenna Rosja bardzo szybko skierowała wszystkie siły państwa przeciwko Żydom. Od 1948 roku byli aresztowani, denuncjowani i publicznie upokarzani. Tracili pracę, szacunek, ich dzieciom zaś odmawiano edukacji, do której miały prawo. Wreszcie Żydzi stali się celem ostatniej wielkiej czystki za życia Stalina¹¹³.

Kiedy zbierałam relacje do tej książki, odkryłam sporą przewagę Żydów wśród weteranów, którzy chcieli mówić. Nie był to przypadek ani efekt mojego uprzedzenia. Jednym z powodów jest wiara weteranów, że wciąż muszą dochowywać radzieckich sekretów. Państwo, którego zasad przysięgali przestrzegać, dawno zniknęło, ale wielu z nich trwa przy tym, ponieważ to jedyny stabilny punkt ich politycznej wyobraźni. Żydom, których mnóstwo zepchnięto na margines w latach powojennych, łatwiej jest niż rdzennym Rosjanom dostrzec absurdalność tych starych zasad. Poza tym jest jeszcze kwestia lojalności, gdyż Żydzi cierpieli, kiedy upadł komunizm, a niewielu ma powody cieszyć się z nastania nowego, szowinistycznego państwa rosyjskiego. Tak więc łatwiej im mówić. Opowieści, które słyszałam, były żywe, straszne, humorystyczne, a często smutne, ale nigdy nie były opowieściami kancelistów. Żydzi znajdowali się wśród najbardziej zdeterminowanych weteranów na wszystkich frontach. Mieli co mścić. Poza tym członkowie tego szczególnego pokolenia bywali lojalni wobec sprawy internacjonalizmu, utopijnego marzenia komunizmu, wojny sprawiedliwej, rewolucji i nowych form braterstwa. Niemanow walczył pod

Stalingradem i pod Kur-skiem; Kiril przetrwał oblężenie Leningradu i poprowadził swych ludzi przez Prusy. Obaj brali udział w najniebezpieczniejszych operacjach podczas wojny.

Pamiętam ranek spędzony z innym żydowskim weteranem. Boris Grigoriewicz urodził się w Kijowie. Jego rodzice byli Żydami, ale on sam uznawał się za Sowietę. „Czy był rasizm? - powtórzył moje pytanie, uśmiechając się. — Oczywiście, że nie. Wszyscy byliśmy obywatelami radzieckimi, takimi samymi”. Jego najlepszym przyjacielem, wyjaśnił, był Megrelczyk z Kaukazu. „Byliśmy jak bracia” -powiedział mi. Przyjaciel zginął, ale „nadal jestem częścią jego rodziny, traktują mnie jak syna”. Na tym wszakże temat się nie skończył. Zapytałam go, czego się bał podczas długich nocy przed bitwą. „Bałem się, że wyjdę na tchórza - odparł. - Wiedziałem, że jestem Żydem, więc musiałem udowodnić, że się nie boję”. Miną lata, za-lim ustali, że jego ojciec został zabity w Babim Jarze.

Trupy ograbi i znieważy

1 onad trzy i pół roku od tej pierwszej czerwcowej nocy 1941 roku zajęło Armii Czerwonej uporanie się z zagrożeniem i przeniesienie wojny na terytorium niemieckie. Pod koniec 1944 roku Stalin upierał się przy marszu na Berlin, ale operacja „Bagration” tak naprawdę straciła impet w październiku. Uczestniczący w niej żołnierze spędzili ostatnie miesiące tej jesieni w polskich wsiach lub w obozach założonych u stóp Karpat. Kiedy witali nowy, 1945 rok, armie składające się na 1. Front Białoruski Żukowa czekało jeszcze zajęcie Warszawy lub przynajmniej tego, co z niej zostało. 2. i 3. Front Białoruski z kolei, dowodzone odpowiednio przez Konstantego Rokossowskiego, charyzmatycznego dowódcę spod Kurska, i błyskotliwego trzydziestoosmioletniego Iwana Czerniachowskiego, nadal musiały zamknąć pierścień wokół nadbałtyckiej cytadeli -Królewca. Jednak wśród ich żołnierzy narastała niecierpliwość. Godzina zemsty była tuż-tuż.

Jaków Zinowiewicz Aronow został zagarnięty przez armię z rodzinnego Witebska na Białorusi w maju 1944 roku. Zginął zaledwie dziewięć miesięcy później pod Królewcem. Było mało czasu na jego przeszkolenie. Jego służba zaczęła się tak, jak się skończyła, pod niemieckim ostrzałem. W czerwcu, gdy bitwa o Witebsk zmierzała ku końcowi, otrzymał przydział do artylerii 3. Frontu Białoruskiego. Jej droga prowadziła na zachód, przez pełne komarów lasy i obok nizinnych gospodarstw. Posuwali się tak szybko, że dotarli do Wilna na początku lipca. Była to trudna i nie zawsze wdzięczna podróż. Na Litwie częściej natykali się na zacięty opór niż goździki i czer-

wone flagi. Drogi do Prus znaczyły spalone czołgi, niczym „klęczące wielbłądy”¹. Zimą spod s'niegu zaczęły się wyłaniać inne kształty, bezładne zarysy ciał, litościwie na wpół zamarznętych. „Musimy walczyć o każdy metr radzieckiej [miał na myśli litewską] ziemi” -napisał Aronow do siostry. W jego listach nie ma wszakże śladu strachu. „Nie można pokonać ludzi, których wiezie partia komunistyczna — oświadczył. — Powiesz, że znowu cię agituję. Ale nie, to nie agitacja. Piszę, co myślę. Gdybyś wiedziała, ile widziałem tego niemieckiego »Nowego Ładu«, zacisnęłabyś zęby ze złości, a łzy napłynęłyby ci do oczu. Ale dasz radę. Zaciskamy pięści i ruszamy bezzwłocznie na zachód”².

Marsz Aronowa na zachód ustał na kilka tygodni między październikiem a Nowym Rokiem. Stratedzy potrzebowali więcej czasu na przygotowanie skoordynowanej operacji berlińskiej, szeregu uderzeń, które obejmą front od Zatoki Fińskiej do południowej Ukrainy. Na innych teatrach jednak Armia Czerwona parła do przodu jak burza. W styczniu zneutralizowała

Rumunię, zdobywszy 30 sierpnia Bukareszt, a 20 października połączone siły radzieckie i jugosłowiańskie odbiły Belgrad. Trwało oblężenie Budapesztu, stolicy Węgier, jedyne go kraju, który pozostał sojusznikiem Rzeszy. Miliony żołnierzy Armii Czerwonej rozlało się po Europie. Onieśmielająca bariera granicy była stopniowo przełamywana, a egzotyczny świat kapitalizmu przestał już być tajemnicą dla frontowców. Ale Niemcy to zupełnie inna sprawa. Perspektywa wzięcia odwetu na prawdziwej niemieckiej ziemi stanowiła dostateczną nagrodę, żeby osłodzić żołnierzom najcięższą zimę. 12 stycznia Armia Czerwona rozpoczęła kampanię, która poprowadziła ją przez Polskę do Prus i dalej, na berlińskie przedmieścia.

Złość dodawała żołnierzom energii. O wszystko - od śmierci ukochanych przyjaciół do spalonych miast, od głodujących w *ojczyźnie dzieci* do strachu przed kolejnym gradem pocisków, nawet o bogactwo burżuazyjnych domów - obwiniali Niemców. Świadomie czy nie, żołnierze Armii Czerwonej wkrótce mieli wyładować też swój gniew, który narastał przez dziesięciolecie ucisku państwa i powszechnej przemocy. Odkąd wreszcie wkroczyli na terytorium wroga, w drugiej połowie stycznia 1945 roku, ich gniew uderzał w każ-

dy możliwy obiekt. Znaleźli się dopiero w Prusach Wschodnich, enklawie nad Morzem Bałtyckim, ale były to już Niemcy, kraj, który dręczył Rosję, i każdy szczegół dostrzeżony przez żołnierzy brany był za oznakę chciwości, korupcji i arogancji. „Dumni jesteśmy z tego, że dotarliśmy do legowiska [hitlerowskiej] bestii — napisał żołnierz Biezugłow do swych kolegów z kołchozu. - Zemścimy się, zemścimy za wszystkie nasze cierpienia. (...) Ze wszystkiego, co widzimy, jasno wynika, że Hitler ograbił całą Europę, żeby zadowolić swych krwawych fryców. Zabrali bydło z najlepszych gospodarstw Europy. Ich owce to najlepsze rosyjskie merynosy, a sklepy wypełniają towary ze wszystkich sklepów i fabryk Europy. W niedalekiej przyszłości te dobra pojawią się w rosyjskich sklepach jako nasze łupy”³.

Żołnierze wiedzieli, że ich zachowanie zaczyna się stawać brutalne. „Muszę powiedzieć, że wojna bardzo mnie zmieniła — napisał Aronow. - Wojna nie czyni ludzi łagodniejszymi. Przeciwnie, czyni ich powściągliwymi, raczej szorstkimi i bardzo okrutnymi. To fakt”⁴. Ale tak naprawdę nie przeproszał, a jego towarzysze również nie odczuwali zawstydzenia. „Nasi żołnierze nie obchodzą się z Prusami Wschodnimi gorzej niż Niemcy ze Smoleńskiem — napisał rosyjski kombatant do rodziny z miasta w granicach Prus. -Nienawidzimy głęboko Niemiec i Niemców. W jednym domu, na przykład, nasi chłopcy znaleźli zamordowaną kobietę i dwójkę jej dzieci. Często widuje się też martwych cywilów na ulicach. Jednak Niemcy zasługują na okrutne traktowanie, które sami rozpętały. Wystarczy pomyśleć o Majdanku. (...) Z pewnością okrucieństwem było zabić te dzieci, ale to, czego Niemcy z zimną krwią dokonali na Majdanku, było tysiąc razy gorsze”⁵.

Organy odpowiedzialne za edukację polityczną w Armii Czerwonej wspierały ten typ myślenia. Dopóki wiosną 1945 roku nie okiełznał go szef propagandy Stalina, G. E Aleksandrów, to Eren-burg, propagujący nieprzejednaną nienawiść do Niemców jako narodu, kształtował myślenie żołnierzy o zemście. Na tym etapie wojny jego utwory były tak czone, że papieru, na którym je wydrukowano, żołnierze nigdy nie używali do robienia skrętów⁶. Jad sączący się z jego pióra pasował do wojennego nastroju czerwonoarmistów

i nie osłabł, gdy Armia Czerwona wkroczyła do Prus⁷. „Nie tylko dywizje i armie kierują się na Berlin — napisał. — Wszystkie okopy, groby i wawozy z ciałami niewinnych kierują się na Berlin. (...) Gdy przechodzimy przez Pomorze, przed oczami mamy zniszczoną, skrwawioną wieś' białoruską. (...) Niemcy, możecie wirować dokoła i wyć w śmiertelnej agonii. Godzina

zemsty wybiła!"⁸ Zemsta była usprawiedliwiona, zemsta była niemal święta. Wystarczyło, że zginął najlepszy przyjaciel żołnierza, jego siostra została uprowadzona, wieś splądrowana i spalona. Wystarczyło też *znaleźć* niemiecką kuchnię pełną błyszczących rondli, kredens wypchany porcelaną. Jeśli brakowało Niemców, których można by zabić, seria z karabinu maszynowego roztrzaskiwała ich antyczne szkła albo ogień podłożony przez czerwonoarmistów pochłaniał ich schludne domki, stodoły, a nawet zapasy żywności⁹.

Gniew wyczerpanych ludzi, ludzi przestraszonych, zaniepokojonych i nazbyt czujnych, żyjących w wojennym napięciu i wśród nieustannych zgryzot, łatwo było sprowokować, ale w pierwszych miesiącach działań na niemieckiej ziemi czerwonoarmiści mieli też jasne rozkazy. Ich nowym zadaniem, wyjaśniali politycy, było wzięcie odwetu w imieniu narodu, stanie się narzędziami naturalnej sprawiedliwości. „Gniew żołnierza w bitwie musi być straszliwy - głosiło ówczesne hasło. — On nie tylko walczy; musi być także ucieleśnieniem ludowej sprawiedliwości”¹⁰. Ta ostatnia fraza pojawia się w setkach listów z tamtego czasu, co dowodzi, że znalazła oddźwięk wśród żołnierzy. „Spotkaliśmy naszą pierwszą gromadę *Frauen* — napisał w lutym 1945 roku żołnierz z Włodzimierza. - Co to za żalosna i tchórzliwa banda, kiedy dla odmiany czują ciosy na własnej skórze. Wszędzie można wyczuć miazdzącą potęgę Armii Czerwonej. Sąd się zebrał i teraz obraduje tutaj. Osądzimy ich wszystkich na miejscu, a nasze oskarżenie jest wszędzie takie samo - zemścimy się”¹¹. „Pisałem Ci już, że jestem w Niemczech - opowiadał Slesariow ojcu tamtej zimy. — Powiedziałeś, że powinniśmy robić w Niemczech to samo, co Niemcy robili nam. Sąd już się zaczął; będą pamiętać ten marsz naszej armii przez niemieckie terytorium bardzo, bardzo długo”¹².

Slesariow był komunistą, podobnie jak Aronow w chwili śmierci i dziesiątki tysięcy innych Sowieców w oliwkowych mundurach, któ-

rzy wlewali się do Prus Wschodnich w styczniu 1945 roku. Partia, do której należeli, deklarowała ścisłą moralność, cnotę obywatela podążającego u boku historii i poświęcającego swe życie tworzeniu lepszego świata. Postęp ludzkości przedstawiała jako walkę dobra ze złem, chociaż epopėja, jaką odbierali żołnierze, miała więcej wspólnego z rosyjskimi baśniami lub Biblią niż z Marksem. Proste przekazy moralne wplatały się w nudną osnowę ideologii niczym szkarłatne nici. Dobrzy komuniści spędzali całe życie na walce o własny rozwój, o edukację i czystość oraz o doskonalenie społeczeństwa. Żołnierz mył szyję, żeby splukać wszy, tymczasem komunista ruszał na misję oczyszczającą, która miała się skończyć wraz z całym światem. Członkowie partii w armii mieli być „prawdziwymi przywódcami mas, świadomymi swej odpowiedzialności za utrzymywanie żelaznej dyscypliny i wysokiej kondycji polityczno-moralnej wojsk, tak by mogły one odnieść sukces na polu bitwy i bronić honoru oraz bitewnej sławy swej jednostki lub części armii”¹³.

„Ideologiczne szkolenie członków partii jest bardziej konieczne niż kiedykolwiek” - potwierdzała we wrześniu 1944 roku żołnierska „Krasnaja Zvezda”. Nikt nie mógł zapomnieć zagubienia armii w Rumunii. Wojska, które stanęły nad granicą, znajdowały się w wielkim niebezpieczeństwie. „By odnaleźć się w tych nowych warunkach, komunista potrzebuje porządniejszego wyposażenia ideologicznego niż kiedykolwiek”¹⁴. W odpowiedzi partia próbowała bardziej rygorystycznej rekrutacji. Wprowadziła także nowe kursy dla politruków. Jednak żołnierze byli na tym etapie wojny zbyt zajęci myśleniem o sobie. *Frontowiki* pozostali sobą, gardząc wydelikacjami propagandzistów z tyłów. Kiedy chodziło o braterstwo i cele moralne, żadne kazanie nie mogło zmienić frontowego doświadczenia. Dla Aronowa wojna, chłopaki i partia — wszyscy — związani byli z jedną świętą ideą. „Pochodzimy z różnych stron Związku Radzieckiego -

stwierdził w listopadzie, opisując swych towarzyszy z ziemianki. - Ale wszyscy mamy jeden cel: jak najszybciej pokonać wroga i wrócić do domu, do ojczyzny. Razem szliśmy od Witebska do Prus Wschodnich. Pamiętamy wszystkie nasze bitwy, ale próbujemy rozmawiać o tym, co dobre. O naszym życiu i marzeniach, o dobrej, jasnej przeszłości"¹⁵.

Ironia była więc wtedy, i nadal pozostaje, dojmująca. Tamtej zimy wielu z tych bohaterów, miłośników jasnej przyszłości, miało się oddać orgii zbrodni wojennych. Historycy nazwali ich bestialskimi i nieokrzesanymi, jak gdyby działali pod wpływem jakiegoś instynktu, niczym zwierzęta. Jednak ich przygotowanie do tego wszystkiego, wynik starannej pracy partii, obejmowało sporą dawkę rozmów i perswazji, rozmyślnego i wyszukanego wpływania na umysły. Jak gdyby też w reakcji na to żołnierze pustoszący Prusy dawali ujście frustracjom, które narastały przez lata cierpień - nie tylko podczas wojny, ale i przez dziesięciolecia upokorzeń, pozbawienia wpływów i strachu. Partia, która ich nauczała i która ganiła ich najbardziej ludzkie słabości, teraz dała im zezwolenie, a oni je przyjęli. Ta sama partia zaoferowała im też bezkarność. Żadna mowa czy raport, żaden tekst dziennikarski zamieszczony na łamach „Prawdy” nie miał nawet wspomnieć o radzieckich okrucieństwach. One po prostu nie istniały w języku życia oficjalnego. Zgodnie z tym nie przeniknęły też do tego, co pisali żołnierze. Brutalne obrazy mogły być doskonale utrwalone w świadomości tysięcy frontowców, ale chociaż wielu z nich widziało mordy i gwałty, w listach do domu dalej pisali o pogodzie.

Lew Kopieliov, radziecki oficer i gorliwy członek partii, stanowił wyjątek. Znalazł słowa, aby opisać grozę, jaką oglądał, i miał dość odwagi, by przemyśleć to sobie, by uciec od moralnego kontekstu czasów. Nie winił żołnierzy. Nie winił nawet wroga, chociaż to wojna dała początek przemocy. Gniew rezerwował dla własnej partii, a przynajmniej dla ludzi, którzy nią kierowali. Bez względu na przerażające czyny Niemców, to komunistyczne przywództwo doprowadziło jego zdaniem do tego specyficznego kryzysu, humanitarnej katastrofy, która właśnie trwała. „Wojna uczyniła brutalnymi i zniszczyła miliony ludzi - napisał - podobnie jak nasza propaganda: wojownicza, szowinistyczna i fałszywa. Uważałem, że taka propaganda jest niezbędna w przeddzień wojny i tak samo podczas jej trwania. Nadal w to wierzę, ale zrozumiałem także, że z takiego nasienia wyrósł zatruty owoc"¹⁶. Gorzkie żniwa zaczęły się na długo przed przekroczeniem przez wojska własnej granicy, ale to w Prusach plon był największy. Poglądy, które pomogły wygrać wojnę, teraz zdawały

się usprawiedliwiać okrucieństwa. „Ci młodzi ludzie - dodał Kopieliov, gdy obserwował swych towarzyszy - którzy przybyli na front prosto ze szkoły... jacy będą (...), nie nauczywszy się niczego poza strzelaniem, kopaniem okopów, czołganiem przez druty kolczaste, gonieniem wroga i rzucaniem granatów? Przywykli do śmierci, krwi i okrucieństwa, a każdy nowy dzień przynosi im dowody, że wojna, o której czytali w swych gazetach, o której słuchali w radiu i na zebraniach, nie jest wojną, której sami doświadczyli"¹⁷.

Pierwsze pogłoski o okrucieństwach Armii Czerwonej nadeszły z Węgier. Po upadku Budapesztu radzieckie wojsko siało zniszczenie w mieście. Jak wspominał pewien obserwator: „Nie da się spędzić w Budapeszcie dnia, ani nawet godziny, żeby nie usłyszeć o brutalnych uczynkach popełnionych przez [radzieckich] żołnierzy"¹⁸. W radzieckich kwaterach wojskowych w Budzie zamykano i gwałcono Węgierki; domy i piwnice zostały ograbione z żywności i wina, co stanowiło preludium do zbiorowego gwałtu na ich mieszkankach. Krążyły nawet opowieści, że

żołnierze Armii Czerwonej włamali się do szpitala psychiatrycznego w Nagykaló, gdzie zgwałcili i zabili wszystkie pacjentki w wieku od 16 do 60 lat¹⁹.

Nie przypominało to w niczym zachowania maruderów z Rumunii. Okrucieństwa w Budapeszcie były czymś nowym. W ich tle toczyła się długa walka o miasto, ostatnie etapy, które przywodziły na myśl najczarniejsze dni Stalingradu²⁰. 80 tysięcy radzieckich żołnierzy zginęło. Była to frustrująca, powolna i śmiertelna kampania. Kiedy cywile ze zrujnowanego miasta wylonili się ze swoich domów, niektórzy z chlebem w rękach, inni z boczkiem, jajkami i butelkami miejscowego wina, spotkali najeźdźców, których te dary nie zaspokoili²¹. Nie pomagał też fakt, że na Węgrzech, podobnie jak w Niemczech, obie strony mówiły innymi językami. Od pierwszych dni węgierskiej kampanii niezrozumienie wywoływało u Sowietów gniew, który sprowadzał nieszczęście na kobiety. Zeznania tych, którzy przeżyli, składają się na drastyczną historię. „Malasz Maria, mężatka, matka czwórki dzieci, została zgwałcona przez trzech radzieckich żołnierzy, jednego po drugim, w obecności męża. (...) W dodatku ukradziono im 1700 pengó. (...) Berta Jolan, urodzona w 1923 roku, Berta Idą, urodzona w 1925 roku, i Berta Ilona,

urodzona w 1926 roku. Te trzy siostry przeżyły próbę gwałtu przez trzech radzieckich żołnierzy, którzy zamknęli ich rodziców. Żołnierzy powstrzymało to, że krzyki dziewcząt sprowadziły innych cywilów (...)"²². Takich zeznań było mnóstwo.

W Prusach Wschodnich sytuacja była jeszcze bardziej ponura. Tutaj przede wszystkim trzy lata nienawiści (i propagandy nienawis'ci) skupiły się w jednym akcie oczyszczającym. Przekroczywszy granicę, żołnierze znaleźli się w legowisku bestii. Sam ten czyn — naruszenie granicy bez zaproszenia - emanował przemocą. Lew Kopieliow zawsze podziwiał niemiecką kulturę i dobrze mówił po niemiecku, ale nawet on nakazał swoim ludziom, żeby wysiedli z ciężarówek i sikali na znienawidzoną ziemię. „To już Niemcy — powiedział. — Wszyscy wysiadać i załatwiać się"²³. Inna grupa podkraǳła się do granicy koło Gołdapi, na południe od Królewca. Ich politrucy kręcili się między szeregami i kazali strzelcom patrzeć przed siebie. „Tam - szeptali. — Tam, za okopami, za drutami kolczastymi, są już Niemcy". Przypominali, że nie jest to zwykły najazd. Armia Czerwona wciąż uważała się za wyzwolicielkę, tym razem dziesiątek tysięcy Sowietów pracujących przymusowo w niemieckich obozach. „Tam — syczeli oficerowie polityczni - tam, w Niemczech, nasze siostry cierpią zniewolone. (...) Naprzód, zniszczmy wroga w jego legowisku"²⁴.

Na samej granicy radzieccy żołnierze zatykali małe czerwone flagi. Często zbierali się na krótkie zebrania polityczne. Ponownie słuchali o zbrodniach, które muszą pomścić, o porywaniu i maltretowaniu radzieckich kobiet, o łzach pograżonych w żałobie matek. W Gołdapi siedemnastu ludzi wykorzystało ten moment na ubieganie się o członkostwo w partii komunistycznej²⁵. Należeli do pułku, który miał otoczyć i zająć zamek Góringa, ale podobnie jak wiele innych, nie była to zwarta, doświadczona jednostka. Tysiące żołnierzy uczestniczących w kampanii pruskiej, w tym Aronow, zostało siłą wcielonych do wojska na okupowanych terenach Białorusi i Ukrainy. Niektórzy nie przeszli żadnego przeszkolenia, dla innych zabrakło broni, a tylko niewielu miało jakiegokolwiek doświadczenie wojskowe. W Gołdapi, co było do przewidzenia, rekruci spanikowali. Trzeba było siłą stłumić ich bunt. Oczywiście pociągnęło to za sobą duże straty oraz gniew, który wybuchł po zakończeniu walk.

Ludzie ci byli przerażeni ponad siły, zmuszeni do okazywania własnej słabości, a większość przeżyła szok. Jednak partia zapewniała ich, że całą winę za to ponoszą Niemcy. Natarczywie zachęcała ich do

zemsty. „Im bliżej jesteśmy zwycięstwa — powiedział Stalin w lutym 1945 roku - tym czujniejsi musimy być, a nasze postępowanie wobec wroga brutalniejsze”²⁶.

Musiał to być nierealny, surrealistyczny antrakt. Najpierw granica i wykłady o czujności oraz usprawiedliwionym odwecie. Żołnierze zostali ostrzeżeni, że niemieccy agenci mogą zatrzymywać żywność i wino, że kobiety mogą ukrywać granaty, że każda spotkana osoba może być szpiegiem. Potem były porzucone osady, miasta-widma pełne pozostawionych bez opieki dóbr. Goebbels ostrzegł swój naród, że Sowieci są jak azjatyckie hordy, barbarzyński motłoch dzikusów nastawionych na niszczenie i prymitywną zemstę. Wskutek tego setki tysięcy pruskich cywilów spakowało się i uciekło, stawiając czoło ciężkiej zimie i groźbie bombardowania, a przy tym tworząc największą falę uchodźców w Europie podczas całej wojny. „W miasteczku nie został żaden cywil - zanotował Jermolenko 23 stycznia, kiedy przybył do Insterburga. — I po co. Przecież byśmy ich nie zjedli”.

Ten człowiek był mistrzem oszukiwania samego siebie. Jego armia udowodniła, że jest zdolna do każdego rodzaju zbrodni. Jednak gotowa była wycierpieć jeszcze więcej przemocy i napięć. Nastął czas skrajności, kontrastów i ciągłego prawdopodobieństwa odniesienia rany lub śmierci. Insterburg wkrótce zostanie przemianowany na Czerniachowsk, na pamiątkę młodego generała, który zginął w bitwie pod Królewcem. W styczniu tego roku miasto stanęło w płomieniach. Jego zamek i eleganckie, strzeliste kościoły wylaniały się spod pokładów pyłu i gryzącego dymu niczym złowieszcze kości. Ciała, zwłoki ludzi i koni, leżały na ulicach przy porzuconych ciężarówkach i spalonych meblach. Nad wrakami unosił się dym. Ale sklepy dopiero miały zostać zniszczone. „Mają masło, miód, dżem, wino i kilka rodzajów koniaku - zanotował radośnie Jermolenko. -Cywile zostawili swoje domy w porządku. Nasz zespół radiotelegrafistów zajął pokój na pierwszym piętrze. W rogu stało pianino, oprócz tego dwie sofy, piękne krzesła i fotele, kredens, kwiaty.

W niemieckiej kuchni, na niemieckiej zastawie zjedliśmy fantastyczny obiad”²⁷.

Aronow również pojawił się w styczniu w Insterburgu. Swe ostatnie słowa do siostry napisał na niemieckiej pocztówce przedstawiającej katedrę na wspaniałym placu. Wkrótce NKWD uniemożliwiło żołnierzom wykorzystywanie tego rodzaju burżuazyjnych obrazów, ale Aronow się tym nie przejmował. „Witaj, kochana siostrze — napisał. — Pozdrowienia z Insterburga. Żyję i mam się dobrze, ślę Ci najlepsze życzenia. Ucałowania”²⁸. Jakiś czas potem, gdyż w tamtym okresie poczta polowa jeździła pociągami razem ze skrzyniami niemieckich łupów, jego siostra dostała kolejny list. „Osoba, która pisze do Ciebie, jest nieznanym żołnierzem” — przeczytała. Mężczyzna pisał ze szpitala. Dwa dni wcześniej został ciężko raniony, ale postarał się o papier i ołówek, gdy tylko zdołał usiąść. „Być może ktoś przekazał Ci już smutne wieści — kontynuował — ale jako najlepszy przyjaciel Jaszy nie mogę ukrywać przed sobą ani przed Tobą wiadomości o jego śmierci. Twój brat i ja byliśmy razem od 10 maja

1944 roku aż do końca jego służby w armii. Ile smutków i trudów znieśliśmy razem! A teraz, na przedmieściach Królewca, zostaliśmy rozdzieleni. Nie mogę więcej pisać”²⁹.

Bliskie związki między ludźmi (żołnierz, który napisał ten list do siostry Aronowa, wkrótce miał

ją poślubić, jakby nie chciał zerwać więzów z najlepszym przyjacielem) po części wyjaśniają to, co się stało potem - fakt, że Armia Czerwona brała odwet grupowo. Tu znaczenie miały nie więzi między czerwonarmistami i ich niemieckimi ofiarami, ale między żołnierzami i ich towarzyszami, a nawet między żołnierzami i ich wspólnymi wspomnieniami chwil grozy. W umysłach tych mężczyzn ofiary rzadko miały ludzkie cechy. „Nie mówią ani słowa po rosyjsku - napisał żołnierz do przyjaciela w lutym 1945 roku — ale to ułatwia sprawę. Nie musisz ich przekonywać. Po prostu celujesz z *nagana* i każesz im się położyć. Potem robisz swoje i odchodzisz”³⁰. Wojna przyzwyczaiła takich ludzi do przemocy, ale to, co się działo, wykraczało poza danie upustu gniewowi. Wydarzenia w Prusach angażowały nadzieje i namiętności żołnierzy, jak również ich nienawiść. Namiętnością była tu przede wszystkim ich wzajemna miłość, a także ich żal - którego nie dało się utopić w oceanie wina i sznapsa — po ludziach i szansach, które stracili³¹. Obiektami nienawiści, których ciała niedługo pokryją drogi na zachód, stały się niemieckie kobiety i dziewczęta.

Wśród radzieckich żołnierzy, którzy zaskoczyli kolumny pruskich uchodźców, gdy wylewały się z Insterburga i Gołdapi, znajdował się młody oficer Leonid Rabczew. Dziesiątki lat później znalazł dość sił, by opisać okrucieństwa, których był świadkiem. „Kobiety, matki i ich córki, leżą z lewej i z prawej wzdłuż drogi, a przed każdą z nich stoi hałaśliwa gromada mężczyzn ze spuszczoneymi spodniami”. Mógł dodać, że w tym tłumie byli też nastoletni chłopcy, dla których ów makabryczny rytuał stał się pierwszym doświadczeniem seksualnym w życiu. „Kobiety, które krwawiły albo traciły przytomność, odciągano na bok - ciągnął Rabczew - a żołnierze strzelali do tych, które próbowały ratować swe dzieci”. Tymczasem grupa „szcherzących się” oficerów stała nieopodal, jeden z nich zaś „kiero-

wał - nie, regulował - tym wszystkim. Miał dbać, żeby każdy bez wyjątku żołnierz wziął w tym udział”³².

Owej nocy Rabczew i jego ludzie poszli spać w opuszczonym niemieckim schronie. W każdym pomieszczeniu leżały ciała: zwłoki dzieci, starców i kobiet, bezsprzecznie zbiorowo zgwałconych przed śmiercią. „Byliśmy tak zmęczeni - napisał oficer - że położyliśmy się na ziemi między nimi i usnęliśmy”³³. Trupy nie szokowały już nikogo. Kiedy weszli do innego budynku i znaleźli ciała kobiet, zgwałconych, a potem okaleczonych, każda z pustą butelką od wina w pochwie, podwładni Rabczewa okazali się mniej opanowani³⁴. Problem polegał na tym, że sympatię do kobiet przeciwnika czynnie tępieno; wywierano też presję, żeby mężczyźni jednoczyli się w zbrodni. Przy innej okazji, gdy Rabczewa zaproszono, by wybrał sobie jedną ze schwytanych niemieckich dziewcząt, z początku obawiał się, że jego ludzie wezmą go za tchórza, jeśli odmówi. Co gorsza, być może uznaliby go za impotentą³⁵.

Pierwszym przejawem okrucieństwa, jaki zobaczył Lew Kopie-liow, było spalenie pruskiego miasteczka. Nie było po temu podstaw militarnych. Ogień pochłonął cenną żywność i inne dobra — koce, odzież, a nawet lekarstwa. To ten rodzaj rozrzutności, marnowania środków, położył wreszcie kres wielkiemu pustoszeniu Prus. Interes wojny, jak ujął to Rokossowski, wymagał większej dyscypliny. Jednak wojskowe myślenie, jak się zdawało, było zawieszona w tych pierwszych godzinach szaleństwa, czy też może raczej powszechna stała się nowa taktyka. Hasło brzmiało, jak zauważył Kopieliow, „niszcz, pal, weź odwet”. Wielu jego kolegów oficerów zaszokowało to, zwłaszcza zaś niepotrzebne marnotrawstwo, ale politruk zbył ich wątpliwości. „Fryce splądrowali cały świat - oznajmił. - Dlatego tyle mają. Spalili wszystko w naszym kraju, a teraz my robimy to samo u nich. Nie musi nam być przykro z ich powodu”³⁶. Obawy Kopieliowa wkrótce nazwano „burżuazyjnym humanitaryzmem”, a w ciągu kilku tygodni od

pierwszej skargi został za to aresztowany.

W tamtych mroźnych dniach w większości radzieckich żołnierzy nie było nic burżuazyjnego ani humanitarnego, „Na części niemieckich terenów okupowanych przez Armię Czerwoną - donosił niemiecki wywiad — zachowanie żołnierzy jest dokładnie takie, jakie

przepowiadano we wcześniejszym okresie wojny: w większości przypadków przerażające. Codziennie dochodzi do brutalnych mordów, gwałcenia kobiet i dziewcząt, jak również bezsensownego niszczenia dóbr". Jeniec powiedział Niemcom, którzy go schwytali, że specjalny rozkaz Stalina nakazał wzięcie odwetu za niemieckie okrucieństwa. „Jeszcze nie udało się uzyskać — zauważył autor raportu — potwierdzenia rozkazu Stalina"³⁷. Nie było na to szans, gdyż nie wydano specjalnego rozkazu, by gwałcić i plądrować. Istotnie, przez te trzy miesiące karą za gwałt i grabież, przynajmniej teoretycznie, było rozstrzelanie na miejscu³⁸, ale z każdego rozkazu żołnierze wy-czytywali zgodę na branie odwetu. „Czerwonoarmisto! - głosił ówczesny plakat. - Jesteś teraz na niemieckiej ziemi. Godzina zemsty wybiła!"³⁹ Pakiet żołnierskich listów przechwycony przez niemiecki wywiad w lutym 1945 roku nie wymagał redagowania, aby ukazać prawdziwy sens. „Raduje się serce, gdy jedzie się przez płonące niemieckie miasto — napisał żołnierz do rodziców. — Bierzemy odwet za wszystko, a nasza zemsta jest sprawiedliwa. Ogień za ogień, krew za krew, śmierć za śmierć"⁴⁰.

„Był wieczór, kiedy dotarliśmy do Nidzicy" — napisał Kopieliov. Było to małe miasto, biedniejsze od Insterburga, i jak pozostałe, niemal wyludnione. Armia Czerwona podpaliła Nidzicę. Wśród dymu oficer natrafił na ciało starej kobiety. „Miała podartą suknię -ujrzał - i słuchawkę telefoniczną między kościstymi udami. Najwyraźniej próbowali wcisnąć ją jej do pochwy". Pretekstem było to, że mogła być szpiegiem. „Dopadli ją przy budce telefonicznej - wyjaśnił jeden z żołnierzy. — Po co się tu kręciła?"⁴¹ Było to pierwsze z kilku morderstw, jakie ujrzał w tym przeklętym miejscu. Potem widział Olsztyn, więcej ognia, więcej śmierci. Koło poczty spotkał kobietę z obandażowaną głową, trzymającą za rękę dziewczynkę z blond warkoczycami. Obie płakały, a nogi dziecka pokrywała krew. „Żołnierze wyrzucili nas z domu — powiedziała kobieta rosyjskiemu oficerowi. — Pobili nas, zgwałcili. Moja córka ma dopiero trzynaście lat. Dwóch jej to zrobiło. A wielu zgwałciło mnie". Chciała, żeby pomógł jej odnaleźć synka. Inna kobieta błagała Kopieliova, by ją zastrzelił⁴².

Nikt nie mógł przeoczyć przemocy na taką skalę, a mimo to zniknęła ona z radzieckiej świadomości. Świadkowie w rodzaju Kopielio-

wa wkrótce zostali wyrzuceni na margines, niemieckie ofiary zaś' darowały sobie lub milczały. Dopiero zagraniczni obserwatorzy, zwłaszcza historycy, odkryli ją na nowo, zebrali relacje i opisali, jak w części miast Prus Wschodnich niemal wszystkie kobiety zostały zgwałcone. „Wołanie torturowanych o pomoc — zapamiętał świadek — rozlegało się dniem i nocą"⁴³. Nie miało znaczenia w tej wielojęzycznej, przejściowej strefie, czy kobiety były Niemkami czy Polkami, a tym samym sojuszniczkami Rosjan. Nie miał też znaczenia wiek kobiet, gdyż to nie kobiety same w sobie stanowiły główny cel⁴⁴. Ofiary zbiorowych gwałtów były po prostu mięsem, ucieleśnieniem Niemiec, uniwersalnymi *Frauen*, tymi, które doświadczały radzieckiej i indywidualnej zemsty. Wielu żołnierzy uważało je za „odrażające"⁴⁵.

Gwałt to nie jedyne przestępstwo, jakie popełniali radzieccy żołnierze w czasie przemarszu przez Prusy. Miasta palono, urzędników mordowano, a kolumny uchodźców ostrzeliwano, gdy uciekały na zachód, w stronę Berlina⁴⁶. Ale wśród brutalnych przestępstw dominował gwałt. Jednym z powodów było to, że kobiety przeważały wśród niemieckich cywilów, a

prawdopodobnie w całej populacji, która przeżyła, gdyż zostało bardzo niewiele żołnierzy. Jednak działały też inne czynniki. Gwałt to powszechne narzędzie wojny, przejmująco typowy akompaniament podboju i wojskowej okupacji⁴⁷. Okrucieństwa w Prusach Wschodnich można porównać do innych, takich jak te w Bośni czy Bangladeszu. Ale to nie była jakaś tam wojna, a faszyzm nie był jakimś tam systemem. Czerwonoarmiści w Prusach czuli, że rozprawiają się z wrogiem, z narodem, który nie powinien zaznać spokoju, dopóki nie zostanie zniszczony jego świat. „Jest całkowicie jasne — kończył się list Biezugłowa do przyjaciela — że jeśli nie wystraszymy ich porządnie teraz, to nie uda się uniknąć wojny w przyszłości”⁴⁸. W swoich wspomnieniach Rabczew spekuluje, że Stalin mógł nieoficjalnie zachęcać Czerniachowskiego, by popchnął swych żołnierzy do tego, co następane pokolenia nazwą czystką etniczną⁴⁹. Poza tym mordy wokół Królewca oczyściły teren pod przyszłe radzieckie osadnictwo, a gwałty zapewniły pokolenie świeżego radzieckiego przychówku.

Z pewnością teraz najwygodniej byłoby zrzucić winę za tę zbrodnię na Stalina i jego rząd. Jakby powtarzając powojenne niemieckie

dyskusje na ten sam temat, rosyjscy spadkobiercy owych okrucieństw któregoś dnia będą się musieli zmierzyć z pytaniem o indywidualną odpowiedzialność w warunkach władzy totalitarnej⁵⁰. Nie ma wątpliwości, że żołnierzy zachęcano do takich czynów z Moskwy, jeśli wręcz ich stamtąd nie aranżowano. Propaganda odgrywała czynną rolę w kształtowaniu sposobu widzenia wroga przez czerwonoarmistów i w usprawiedliwianiu zemsty. Sowinformbiuro podsycało zbiorową wściekłość spreparowanymi obrazami, które tak głęboko zapadały w umysły żołnierzy, że uznawali je za część własnych doświadczeń. Dowodzi tego uniwersalność żołnierskich opowieści. Jak zauważyła Atina Grossman w swych refleksjach na temat gwałtów, raz za razem we wspomnieniach Niemców o tym, co opowiadali im rosyjscy okupanci, mściwa pamięć przywoływała nie równoległy obraz Niemca gwałcącego Rosjankę, ale masakrę innego rodzaju: wyobrażenie niemieckiego żołnierza uderzającego o ścianę niemowlęciem wyrwanym z objęć matki - matka krzyczy, mózg dziecka rozbryzguje się na murze, żołnierz się śmieje”⁵¹.

Tak więc żołnierze mieli własne motywy. Nie byli bierni i, mimo potęgi swego państwa, nie byli bezradni. Jeśli wielu działało niczym we śnie, to po części dlatego, że większość — ze zrozumiałych powodów - wolała używać alkoholu, by znieczulić zmysły. „Niemał nie sposób nie upijać się — napisał pewien żołnierz do domu w lutym. — To, przez co przechodzę, jest nie do opisania. Kiedy jestem pijany, wszystko jest łatwiejsze”⁵². „Pijany Rosjanin to zupełnie inna osoba niż trzeźwy - zanotował w owym czasie jeden z Niemców. - Traci perspektywę, popada w najdziksze nastroje, jest pożądlivy, brutalny i spragniony krwi”⁵³. „Alkohol czyni żołnierzy lubieżnymi — zapisała anonimowa autorka dziennika gwałtów. - Podsyca znacząco ich pożądanie (choć nie ich potencję, jak się miałam dowiedzieć). Jestem przekonana, że gdyby Rosjanie nie znaleźli tu tyle alkoholu, byłoby o połowę mniej gwałtów. Te Iwany to nie Casanovy. By popełnić akt seksualnej agresji, muszą sztucznie się pobudzić, zalać swoje zahamowania”⁵⁴. Niekiedy skutkiem była popijawa, która mogła pociągać za sobą liczne ofiary. Niekiedy zwyciężał alkohol. Gabriel Tiomkin znajdował się wśród żołnierzy, którzy próbowali win w Tokaju na Węgrzech. Słodki napój był doskonały, a w tym

wypadku s'miercionos'ny dla rosyjskiego gustu. „Kiedy wszedłem do wielkiej piwnicy na wina z szeregami wysokich, poczerńiałych dębowych beczek, ujrzałem niewiarygodną scenę — wspominał stary *żołnierz*. — Podłoga była po kolana zalana winem i unosiło się w nim trzech utopionych żołnierzy. Użyli pistoletów maszynowych, żeby zrobić dziury w beczkach, co miało

im »ułatwić« napełnienie manierek, a potem, posmakowawszy, najwyraźniej nie przestali pić, aż upojeni utopili się w winie"⁵⁵.

Ci, którzy nie byli kompletnie pijani, mogli doskonale wytłumaczyć swe czyny w kategoriach skumulowanej żądy. Później z pewnością część rosyjskich żołnierzy traktowała Niemki jako prawowity łup, wybierając co ładniejsze, gdy tylko nadarzyła się okazja do wybierania⁵⁶. Anonimowa autorka berlińskiego dziennika, obserwując wydarzenia ze schronu w piwnicy, zauważyła, że „wołą grube. Takie są bardziej kobiece, bardziej różnią się od męskich ciał”. Gust ten był, jej zdaniem, „prymitywny”, chociaż czerpała nieco przyjemności z myśli, że berlinki, które ukradły lub zgromadziły jedzenie, miały zapłacić za swe społeczne czyny⁵⁷. Jednak bez względu na to, czy żołnierze wybierali swą ofiarę czy nie, czyste pożądanie nie stanowiło głównego motywu w Prusach. W tych pierwszych dzikich tygodniach gwałty były systematyczne i równocześnie niezwykle brutalne.

Oczywiście żądza byłaby dostatecznie uzasadniona. W przeciwieństwie do Niemców (którzy wykorzystywali do tego złapane Rosjanki), Sowieci nie mieli polowych burdeli w pobliżu frontu. Seks, w oficjalnych kategoriach, ledwo istniał. Gabriel Tiomkin wspominał reakcję żołnierzy, kiedy znaleźli skład niemieckich kondomów. „Nadmuchiwali je - napisał - i bawili się nimi jak balonami"⁵⁸. Cała kultura partii i *ojczyzny* oddana była walce i poświęceniu. Kobiety były czyste i czekały w domu, podczas gdy mężczyźni - przynajmniej teoretycznie — myśleli wyłącznie o swych obowiązkach. Jeśli dzielnie walczyli i wypełniali wolne chwile lekturą Lenina i Marksa, to nie mieli czasu na życie erotyczne.

Ta sterylna nijakość nie ograniczała się tylko do armii i rozpoczęła na długo przed wojną. Sam Lenin miał mgliste pojęcie o żądy, preferując ćwiczenia *fizyczne* i długie sesje nad stosami książek.

Kwitnąca swoboda seksualna, która towarzyszyła rewolucji, srebrny wiek erotyzmu, padła pod butami i młotami stalinowskiej kolektywizacji. Namiętność była dla burżuazji (i, prywatnie, dla członków bolszewickiej elity). Dobrzy robotnicy wykorzystywali swą energię podczas długich zmian przy warsztacie, a kiedy skończyli już wypruć sobie żyły, szli na zebranie lub czytali „Prawdę”. „Dialog w radzieckiej karykaturze — napisał w swym dzienniku satyryk Ilja Ilf. — Miłość to najstraszniejsza przywara”. Nawet Wenus z Milo uznawano za „pornograficzną”⁵⁹. Swoboda ustąpiła miejsca restrykcyjnym prawom w kwestii rozwodu, aborcji i rodziny. Tymczasem coraz więcej ludzi dzieliło ze sobą przestrzeń mieszkalną. Często mieli wspólny pokój z dziećmi, które spały za zasłonkami lub na piętrowych łózkach, ale niekiedy też mieszkali z innymi dorosłymi, całymi rodzinami. Jeśli dobry robotnik w radzieckiej ikonografii ma surową minę, a jego rzeźbionym rysom brakuje ironii lub poczucia humoru, to może dlatego, że rzadko miał okazję poleniuchować po południu w łóżku⁶⁰.

Jak niemal wszystkie przyjemności w kraju braterstwa, seks zszedł do podziemia. Publiczny nacisk na surową moralność i ciężką pracę zepchnął go w mrok, w szare opary potu, tytoniu i takiej wódki, jaką udało się zdobyć. Przepaść między ideałem a rzeczywistością nigdzie nie była bardziej widoczna niż wśród frontowców. To był męski świat, świat machorki, taniej wódki i rozpadających się butów. Ze swymi kobietami wielu żołnierzy mogło być tylko w listach lub opowieściach, które czasem snuli. „Mój przyjaciel z armii opowiadał nam o swym życiu - napisał pewnego wieczoru Aronow. - Robił to niejeden raz. Obecnie doszedł do chwili, gdy pierwszy raz się zakochał”⁶¹. Jego przedwojenne życie zmieniło się w fantazję i jak wszystkie sny, stało się lepsze od prawdziwego. „Po wojnie - mówił kolegom inny żołnierz — wyjadę gdzieś na południe i będę uczył matematyki i fizyki w żeńskiej szkole z internatem, tam gdzie regulamin nie pozwala dziewczętom wychodzić na ulicę.

Wykorzystam moje wojskowe doświadczenie"⁶². Istniała tęsknota, pragnienie ucieczki i kobiecości, ale całe lata świetlne dzieliły te uczucia od zbiorowych gwałtów i wbijania bagnetów w brzuchy.

Bez względu na to, jaką żądzę odczuwali, bardzo wielu żołnie-

rzy miało silniejsze powody, by żywić niechęć, wręcz nienawiść do przedstawicielek płci żeńskiej. Przez całą wojnę otrzymywali smutne listy z domów. Niektóre zawierały opowieści o głodzie, inne o gwałtach i śmierci, ale sporo z nich było listami pożegnalnymi. Rodziny rozpadały się, nowe życia rozwijały w oddzielnych światach. Rozdzwięk między żołnierzem a rodziną był częścią szerszej przepaści między frontowcami a cywilami. Stanowił również symptom obezwładniającej męskości armijnego życia. Kobiety traktowano podejrzliwie, jako obce w mizoginistycznym świecie. Listy żołnierzy odnosiły się coraz podejrzliwiej do kobiet i w miarę upływu lat coraz surowiej. „Od pierwszych dni walczyliśmy za nasz kraj — napisał czerwonoarmista do Michaiła Kalinina, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej. - Część z nas kilkakrotnie odniosła rany, ale nie żałujemy naszego życia ojczyźnie i rodzinom. Jednak teraz skarżymy się, że część kobiet nas zdradza (...), a nasze dzieci tracą ojców. (...) Musicie podjąć surowe kroki prawne przeciwko tym zdrajczyniom za ich zdradę i obrażę mężów"⁶³. Ten list jest jednym z setek podobnych.

Oficjalna polityka również przechodziła zmiany. W lipcu 1944 roku Związek Radziecki rozpoczął kampanię kreowania wzorcowych matek, przyznając medale kobietom, które urodziły wielu zdrowych, silnych potomków. Idealna kobieta, jeśli wierzyć fotografiom, była surowa i roztropna, twarda jak czołgista, była pielęgniarką i nauczycielką przyszłej armii⁶⁴. Jednocześnie była miła, niewinna i nie martwiły jej trudności, nie wspominając o wojnie. Na frywolność i seks (pomimo kilkorga dzieci) nie było miejsca w jej życiu. Żołnierze zaczęli wychwalać ten wzór, marzyć o wiernej kobiecie z twarzą jak księżyc w pełni i jej gromadce zdrowych, dobrze wychowanych synów. W tym okresie dało się zauważyć łagodny sentymentalizm radzieckich żołnierzy w stosunku do małych dzieci. Przynajmniej do kwietnia kobieta z niemowlęciem, dowiedzieli się miejscowi, była praktycznie chroniona przed gwałtem. Ale nawet sentymentalni żołnierze, mężczyźni z kieszeniami pełnymi słodyczy dla głodnych niemieckich dzieci, martwili się o swoje rodziny pozostawione w ojczyźnie. Od bardzo dawna nie widzieli własnego potomstwa.

Istniały powody do niepokoju. Nawet najtrwalsze małżeństwa przeżywały w owym czasie kryzysy. Klasyczny list otrzymywany przez tysiące mężczyzn zawierał zapowiedź chłodnego powitania w domu: „Nasz płomień nie był dość gorący, by przetrwać"⁶⁵. Każda przerwa w korespondencji budziła podejrzenia Bielowa, że jego małżeństwo zaczyna się rozpadać. „Dostałem wiadomość od żony — napisał w marcu 1944 roku. - Mam wrażenie, że lada moment dojdzie między nami do strasznej kłótni. To nieprzyjemne doznanie, jakby poczucie ogólnej beznadziei"⁶⁶. Być może jego żona, podobnie jak Natalia Taraniczewa, bała się skutków separacji. „Nie poznasz nas, jeśli wojna potrwa dłużej — napisała Natalia w październiku 1944 roku. -To przykre, że musisz przebywać tak daleko od nas"⁶⁷. „Piszę, kiedy tylko mogę - odpowiedział jej mąż tonem przygany. - Nawet podczas marszu. Ale przypominam Ci, że chwilami mam tak podły nastrój z powodu całej tej sytuacji, że mogę się najwyżej zmusić do wysłania pocztówki, nawet jeśli mam czas na pisanie. Długo będę pamiętał o Stalingradzie!"⁶⁸

Mężczyźni, których małżeństwa się rozpadły, byli wciąż wściekli, bez względu na zdrady, jakich sami się dopuścili. Problem leżał po części w wojennej idealizacji radzieckiej żony, oczekującej

narzeczonej, rodziny, za które walczył każdy żołnierz. W ojczyźnie, gdzie przetrwanie zależało od upokorzenia i od wyczerpujących zmagania, życie nie przypominało wyobrażeń, a prawdziwe kobiety nie pasowały do żołnierskich fantazji. Na froncie też przeważała nowa moralność. Kopieliow był ojcem i mężem. Oczekiwał powrotu do dawnego życia po zakończeniu wojny. Na froncie jednak wziął sobie drugą „żonę”, podobnie jak zrobiło wielu oficerów. „Powiedziałem jej, że skoro będziemy razem pracować dzień i noc, nie unikniemy sypania ze sobą, więc po co to odwlekać?” Sens tego był taki: „Być może zginiemy od jednego pocisku”⁶⁹. Pozostawione w domu kobiety nie miały wszakże korzystać z przywilejów, jakie przyznawali sobie mężczyźni na froncie. W pozwach rozwodowych z ostatnich kilku miesięcy wojny znajdowały się apele żołnierzy o ustanowienie nowego prawa, oddającego im opiekę nad dziećmi, dopuszczającego zaoczne rozwody oraz wprowadzającego kary dla kobiet, które przyniosły im wstyd i zdradziły⁷⁰.

Jednak walczący mężczyźni nie byli w stanie zmienić czegokolwiek w ojczyźnie. Jedyne świat, na który mieli wpływ, znajdował się tutaj, w Niemczech, gdzie kobiety, przyczyna ich upadku, zepsute *Frauen*, wciąż oblekały się w jedwabie i futra, przynajmniej w wyobraźni żołnierzy, podczas gdy radzieckie dzieci cierpiały głód. Radzieckie kobiety nosiły swoje wiejskie bluzy i haftowane sarafany (w każdym razie w teorii i jako część ludowego stroju), Niemki zaś ubierały się w prowokującym zachodnim stylu, malowały i chodziły na wysokich obcasach⁷¹. Cała kultura, w której się wychowały, wydawała się chora, obrzydliwa... i niegodziwie uwodzicielska. Niektóre Niemki oskarżano o świadomą rozwiązłość. „Niemieckie damy (...) gotowe są wypłacać »reparacje« od ręki — zauważył zde gustowany radziecki oficer. -To im się nie uda!”⁷² „Europa to otchłań nieprzywoito-ści - napisał tej zimy do domu żołnierz z Prus. - Wpadły mi w ręce niemieckie czasopisma, są obrzydliwe. (...) Nawet ich muzyka jest gorsząca! To ma być ta Europa? Wszystko oddam za Syberię!”⁷³ Inny odkrył zbiór pornograficznych fotografii (tym razem nie przedstawiały Wenus z Milo) na porzuconym niemieckim stanowisku koło Królewca. „Czy może być coś ohydniejszego? — pytał. — Nasza kultura na pewno stoi wyżej niż niemiecka, ponieważ u naszych żołnierzy nikt nigdy nie znalazłby takich zdjęć”⁷⁴.

Gwałt zatem łączył w sobie pragnienie zemsty z chęcią zniszczenia, starcia na proch niemieckiego luksusu i zmarnotrawienia faszystowskiego bogactwa. Miał ukarać kobiety i podbudować męskość jego sprawców. Podkreślał również emocjonalne więzi w grupach mężczyzn, ponieważ to w grupach, nie pojedynczo, zwykle działali, czerpiąc z nich energię i poczucie anonimowości. To z pewnością wspólny triumf tych ludzi sprawiał, że celebrowali gwałt. I chociaż to kobiety były najbardziej pokrzywdzone, w pewnym sensie ofiarami byli też niemieccy mężczyźni. Nieprzypadkowo wielu gwałtów dokonywano w obecności mężów i ojców. Uwypuklało to fakt, że są oni teraz istotami pozbawionymi władzy, które mogą jedynie patrzeć i cierpieć najintymniejszą degradację⁷⁵. Pewna kobieta wspominała historię prawnika, który stał u boku swej żydowskiej żony przez wszystkie lata hitlerowskich rządów, nie chcąc - mimo niebezpieczeństwa - rozwieść się z nią. Kiedy przyszli Rosjanie, znów

ją chronił, dopóki kula z rosyjskiego automatu nie trafiła go w biodro. Leżał, wykrwawiając się na śmierć, i obserwował, jak jego żonę gwałci trzech żołnierzy⁷⁶.

Anegdoty wypełniają całe tomy, tymczasem nieznanne pozostają dokładne statystyki. Przemoc najbardziej nasiloną była w Prusach Wschodnich, ale gwałty stanowiły problem wszędzie, gdzie Armia Czerwona stykała się z wrogiem. Dziesiątki tysięcy niemieckich kobiet i dziewcząt bez wątpienia padły ofiarami gwałtów; w istocie jest niemal pewne, że ich liczba sięgała setek tysięcy⁷⁷.

Jednak liczby to niebezpieczne narzędzia, tworzące na papierze pewniki, które nie mają nic wspólnego z prawdziwym życiem. To był świat propagandy, świat do ostatka kolorowany piórem Goebbelsa. Liczby mogą sprawić, że Rosjanie będą jeszcze straszniejsi, zmienić Niemców w ofiary, być może zetrzeć jakieś haniebne plamy z hitlerowskiej przeszłości. Niewątpliwie pomogły one wzmocnić obraz Armii Czerwonej jako azjatyckiej hordy⁷⁸. Choć liczbą aborcji i zakażeń chorobami wenerycznymi po 1945 roku stanowi niejaki dowód⁷⁹, inne liczby są mniej pewne. Kiedy berlińska gazeta napisała, że siedem-dziesięciodwuletnia kobieta została zgwałcona dwadzieścia cztery razy, anonimowa autorka dziennika zapytała: „Kto to liczył?”⁸⁰

Równie problematyczne jest oszacowanie liczby przestępców. Sami weterani z pewnością nie wpiszą się dobrowolnie na listę. Część oficerów, których poznałam, wspominała wypadki, kiedy przywracali dyscyplinę, jak to uczynił Kiril w Prusach Wschodnich, grożąc dwóm przestępcom („nie z mojego oddziału, rzecz jasna”) pistoletem, ale szeregowcy, którzy musieli przynajmniej być świadkami okrucieństw, nabierali wody w usta. „Mówią, że były gwałty — powiedział mi jeden z nich. — Nigdy żadnego nie widziałem. Sęk w tym, że tak naprawdę nie widzieliśmy żadnych Niemców. Zawsze uciekali, gdy wchodziliśmy do miasta”. To milczenie może sugerować rodzaj wybiórczej amnezji, bez wątplenia wynik wstydu. Ale wpływ na to miały również inne naciski. *Żadna*, armia nie rozgłasza swych zbrodni, lecz oficjalna radziecka cisza na temat gwałtów była paralizująca. Wystarczy zajrzeć do akt wojsk NKWD. Oficerowie odpowiedzialni za dyscyplinę i za utrzymywanie porządku wśród cywilów w strefach przyfrontowych mogli zgłaszać przypadki

gwałtu. Ich raporty oznaczano jako „s'ciśle tajne”. Nawet wszakże te wewnętrzne dokumenty niemal nie wspominają o zbiorowych gwałtach i notują bardzo nieliczne przypadki gwałtów indywidualnych. Wygląda to tak, jakby oficerowie spiskowali, żeby usunąć je z dokumentów, wypełniając miejsce przypadkami pijaństwa albo samowolnych oddaleń.

Wojska NKWD 1. Frontu Białoruskiego znajdowały się w centrum działań Armii Czerwonej, ale ich raporty utrzymane są w spokojnym tonie. „W pewnym domu znaleźliśmy os'mioro Niemców — informował oficer — starca, pięć kobiet i dwoje młodocianych w wieku 12—13 lat”. Jak wielu innych — setki — powiesili się. Według oficerów, którzy opisywali tę scenę, miejscowi świadkowie sugerowali, iż „mimo że większość kobiet w domu miała już swoje lata”, ofiary bały się, ponieważ „rosyjscy żołnierze gwałcą Niemki”⁸¹. Zarzut ten jest podany ze sceptycyzmem zarezerwowanym zwykle dla objawień Matki Boskiej, ale to był styczeń 1945 roku. Już od sześciu miesięcy ta sama armia niepokoiła się liczbą przypadków chorób wenerycznych wśród swych żołnierzy w Polsce, w krajach bałtyckich i w Rumunii. Nakazano comiesięczne kontrole żołnierzy obojga płci⁸². Jednak kiedy dochodziło do raportów o sprawach dyscypliny, więcej miejsca - znacznie częściej - poświęcano wahaniom ideologicznym niż gwałtom. Dopiero w kwietniu i maju 1945 roku, gdy interweniował sam Stalin, w raportach dyscyplinarnych zaczęły się pojawiać „stosunki z niemieckimi cywilami”⁸³.

Za gwałt rzadko karano, zwłaszcza początkowo. W pierwszych miesiącach, do wiosny 1945 roku, żołnierze wciąż działali na mocy rozkazu o braniu odwetu. Potem, kiedy nawet radzieccy przywódcy zaczęli pojmować cenę przemocy na cywilach — dla dyscypliny i dla zdolności bojowej armii — część oficerów wzmogła kontrolę, a nawet pojawiły się egzekucje za gwałt. W kwietniu 1945 roku, kiedy jego oddział dołączył do sił Koniewa na Śląsku, Rabczew wspominał, że czterdziestu żołnierzy i oficerów zostało rozstrzelanych przed frontem oddziałów, by zniechęcić czerwonoarmistów do dalszych okrucieństw⁸⁴. „Ci dowódcy! — burzyli się żołnierze. — Zastrzelą własnych ludzi za jakąś niemiecką dziwkę”⁸⁵. Zwykle wszakże sprawcy, którym przestępstwa nie uszły płazem, mogli liczyć na

stosunkowo lekką karę. -Standardowy wyrok wynosił pięć lat, ale po apelacji zmniejszono go do dwóch lub mniej lat, zwłaszcza żołnierzom wyróżniającym się podczas służby⁸⁶. W każdym razie ludzie ci niezbędni byli na froncie. Ich wyroki niemal zawsze zawieszano do końca walk, a wielu, zgodnie z najlepszymi tradycjami Armii Czerwonej, do tej pory „odkupiło swą zbrodnię własną krwią” - zginęło lub zostało kalekami. Innymi słowy, gwałt traktowano pobłaźliwiej niż dezercję, kradzież czy — jak w wypadku Kopieliowa — jednostronną próbę chronienia niemieckich cywilów. Kilka spraw wybrano (zwykle kiedy łączyły się z innymi naruszeniami dyscypliny), ale większość po prostu zniknęła z radzieckich akt.

Nieprawdopodobne jest, że każdy z mnóstwa weteranów, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać, był bez winy w tej makabrycznej historii, ale teraz nie mieli oni ochoty rozmawiać na ten temat. Wtedy zaś mieli wojnę do wygrania. Walczyli, cierpieli, a wielu skończyło jako ofiary, kaleki. Po sześćdziesięciu latach pamiętali nie moment wściekłości, ale długie dni w szpitalu albo kumpli, nocne marsze, pieśni. Kobiety — po rosyjsku *baby*, co znaczeniowo mieści się między dziwkami a starymi torbami - niewarte były myśli w porównaniu z pułkiem, ze zwycięstwem. Baby niewiele były warte w Rosji. Czemu miałyby być takie szczególne w tym innym świecie? Czemu miałyby się liczyć w porównaniu ze zbrodniami Majdanka, ze łzami rosyjskich dzieci? „Chcesz usłyszeć o wojnie -mówili starcy. -Więc porozmawiajmy. Tylko dziennikarze chcą słuchać o tych skandalach”.

Żołnierze wynieśli z Prus nie tylko wspomnienia. Była to ciężka kampania, z dziesiątkami tysięcy ofiar, ale także okres dziwnej obfitości. Niemcy były bogate. Węgry także, a nawet Bukareszt wypełniały dobra do zagarnięcia. Na papierze ostatnia faza wojny oznaczała ostateczny triumf komunizmu. W rzeczywistości przypominała pierwszy dzień wielkiego jarmarku. Jak w wypadku wszystkich przestępstw, łącznie z gwałtem, Sowietom nie byli jedynymi winnymi. Ich sojusznicy również plądrowali piwnice i bogate domy, podobnie jak tysiące byłych jeńców i dipisów, którzy znaleźli się teraz na wól-

ności na terenie Niemiec⁸⁷. Jednak Armia Czerwona robiła wszystko na gigantyczną skalę. Cierpiała i straciła więcej niż ktokolwiek, a teraz żądała rekompensaty. Stalin twierdził, że Rzesza winna jest jego narodowi reparacje w wysokości przynajmniej 10 miliardów dolarów⁸⁸. Armia, mniej lub bardziej z przyzwoleniem rządu, przystąpiła do zabezpieczania należytą częśći majątku zaraz po postawieniu stopy na niemieckiej ziemi.

Do 1944 roku przygotowano zestaw zasad regulujących przejmowanie i wysyłkę „trofeów”. Lista była pełna. Wszystkie dobra zdobyte w walce lub porzucone przez wroga, łącznie z bronią, zapasami amunicji, paliwa, żywności, butami, bydłem, taborem kolejowym, szynami, samochodami, bursztynem i skrzyniami markowego szampana, uznawano za własność Armii Czerwonej i państwa radzieckiego. W późniejszym okresie wojny demontowano całe fabryki. Sowietom wywieźli z Berlina osiemdziesiąt procent maszyn przemysłowych, zanim ich sojusznicy weszli do miasta w 1945 roku. „Zdemontowali chłodnię w rzeźni - zauważył amerykański oficer - wyrwali piece i rury z restauracyjnych kuchni, wydarli maszyny z młynów i fabryk i kończyli właśnie okradać fabrykę maszyn do szycia Singera”⁸⁹. Pretekstem było kompletne zniszczenie zachodnich regionów ich imperium, ale nawet w takim wypadku dewastacje były często bezsensowne, przynajmniej w pojęciu obserwatorów z Zachodu. Tymczasem w Związku Radzieckim pracę niemieckich jeńców, byłych żołnierzy, również traktowano jako zdobycz

wojenną. Jeśli ktoś mógł złożyć rozebraną niemiecką fabrykę, to właśnie ci ludzie.

Było nieuchronne, że żołnierze w obliczu chaosu w strefie walk zagarną wszystko, co znajdą. W rzeczywistości jednak część plądrowania miała kluczowe znaczenie dla wysiłku wojennego. Linie zaopatrzeniowe postępujących armii Żukowa rozciągnięte były do ostatnich granic. Kiedy Aronow czy Jermolenko zasiadali do niemieckich posiłków w Insterburgu, mieli najlepsze porcje, jakie widzieli od tygodni, odpowiadające największemu obżartuchowi. Pewien oficer opisał rodzinie posiłek, jaki zjadł ze swymi wyczerpanymi i głodnymi podwładnymi tuż po upadku Królewca. Oddział wysłano z przepustkami do miejscowego magazynu wojskowego,

składnicy wszelkiej zdobycznej żywności i innych dóbr. Dotarli na miejsce o jedenastej, a wyszli o piątej, napiwszy się piwa, wina i wódki, najadłszy kiełbasy i napchawszy się ozorkami, biszkoptami, czekoladkami, truflami, rodzynkami i daktylami⁹⁰.

Kiedy żołnierze napełnili własne żołądki, zaczęli myśleć o rodzinach w kraju. Wiedzieli, że w Rosji nie można nic kupić. Ich dowódcy już wypakowywali skrzynie piękną porcelaną, pościelą i niemieckimi futrami. Wyżsi oficerowie, by wysłać paczki do domu, rekwirowali samochody, a nawet, w późniejszym okresie wojny, specjalne pociągi⁹¹. 26 grudnia 1944 roku, akurat na rosyjski Nowy Rok, radziecki Ludowy Komisariat Obrony potwierdził decyzję umożliwiającą wszystkim wojskowym wysyłanie do domu paczek z frontu⁹². W praktyce oznaczało to zezwolenie na plądrowanie. I rzeczywiście, oficer, który usłyszał, że jego ludzie nie wysyłają za wiele do domów, mógł odtąd kazać im „spisywać się lepiej w grabieniu”⁹³.

Jak zwykle proces rabunku różnicowały pozycja i stopień. Tylko żołnierzom o dobrej opinii pozwalano wysłać paczki na wschód, a nawet wtedy nie więcej niż jedną miesięcznie. Dopuszczalna waga wahała się od pięciu kilogramów dla żołnierzy do 16 kilogramów (w praktyce górny limit) dla generałów⁹⁴. Kopieliow buszował wśród cennych książek. Jego towarzysze broni woleli stare obrazy, broń myśliwską, a nawet fortepian⁹⁵. Frontowcy natrafiali na łupy pierwsi i często niszczyli wszystko, czego nie mogli zabrać⁹⁶. Pechem okazywał się nagle przydział do drugiego rzutu wojsk. „Jestem naprawdę nieszczęśliwy - napisał Taraniczew do swej Natalii. - Powiedzieli, że możemy wysłać 10 kilogramów rzeczy miesięcznie [to była norma dla oficerów], ale jestem w miejscu, gdzie nic nie ma, wszystko zostało zagrabione, a ceny są absolutnie obłąkane”⁹⁷. Wkrótce zwalczył rozczarowanie, gdyż nawet najmniej wojowniczy oficerowie i „szczury” z tyłów mogli wypełnić swe przydziały, kiedy nauczyli się szukać. Ulubioną zdobyczą, jak łatwo przewidzieć, była żywność. „Jedźcie na zdrowie - napisał do żony i córki oficer, dołączając puszki z mięsem, cukier i czekoladę - nie miejcie wyrzutów sumienia i niczego nie oddawajcie”⁹⁸. Inni wysyłali paczki gwoździ, a nawet szyby, jak również atrakcyjniejsze prezenty w rodzaju porcelany, na-

rzędzi oraz stert butów i ubrań”. Wielki jarmark nie wywoływał poczucia winy. Nawet dziś weterani mówią o tym bez zakłopotania, jakby wspominali szczególnie owocną wyprzedaż. Zdobycie najlepszych rzeczy było oznaką sprytu, troski o rodzinę, umiejętności radzenia sobie z nową bestią, kapitalizmem.

Żołnierskie wybory niekiedy były dziwne albo przynajmniej wzruszające. Czerwonoarmiści zabierali maszyny do pisania, których nie mogli używać, gdyż cyrylica wymagała zupełnie innych czcionek. Taraniczew zdobył radio („wyprodukowane przez znakomitą niemiecką firmę”), ale zanotował ze smutkiem, że „do tego, rzecz jasna,

potrzebować będziemy prądu. Gdziekolwiek postanowimy osiąść po wojnie, nie może to być miejsce bez elektryczności"¹⁰⁰. Nie powiedział tego, ale radio naprawdę stanowiło rzadkość w jego ojczyźnie. Sowinformbiuro przejęło większość aparatów w 1941 roku. Inne rzeczy też były rzadkością, łącznie z tymi bezpośredniego użytku. Inżynier wysłał do domu paczki z żywnością, płaszczem, puchową narzutą w jedwabnej poszwie, kilkoma prześcieradłami i watowanymi spodniami na przyszłe polowania. Dorzucił kupon czarnego jedwabiu dla żony oraz nieco złotej skóry na buty¹⁰¹. Podobnie jak inne radzieckie żony na prowincji, Natalia miała reprezentować na stepach powojennego Turkiestanu modę środkowoeuropejską lat czterdziestych, nie zawsze mając stosowne dodatki.

Bardziej praktycznie Taraniczew wysłał buty dla wszystkich swoich dzieci, wybierając rozmiary, które miały pasować za mniej więcej rok. Zadbął też o wełniany materiał na zimowe płaszczyki dla nich, białą flanelę na bieliznę i skórę na dodatkowe obuwie¹⁰². Paczki przygotowywał z dumą. Podobnie postąpił Kirił. Przez ostatnią wojenną zimę młody oficer stacjonował w Polsce. Pamięta, że jego zadaniem było coś w rodzaju utrzymywania pokoju; połączenie silnej administracji, lekkich prac inżynierskich i zapobiegania przestępczości. Przyzwoici cywile, według niego, powinni być mu wdzięczni. Kiedy nadszedł czas wysłania paczki, złożył jeden czy dwa koce i spakował maszynę do pisania, ale rozgłosił też, że potrzebuje wózka dla córki. Następnego ranka dwa tuziny modeli stały pod jego kwaterą. „Wybrałem najlepszy” — uśmiechnął się. Szczodrość miejscowych zdawała się potwierdzać, że był ludzkim żołnierzem, najlepszego gatunku komunistycznym oficerem.

Paczki pomagały podnieść morale, ale punkty pocztowe były zawałone. Przesyłkom żołnierskim nadano status „szczególnego znaczenia politycznego”, co oznaczało, że kradzież, opóźnienie i złe przechowywanie karano jak przestępstwo przeciwko państwu. Jednak prawdziwy szczyt wysyłki paczek nastąpił w styczniu, w środku rosyjskiej zimy. W ciągu kilku tygodni krańcowa stacja linii kolejowej w Kursku - i każda inna, w pobliżu której mieszkały rodziny żołnierzy — wyglądała jak gigantyczny magazyn. W styczniu 1945 roku do Kurska przyszło trzysta paczek. Do początku maja śred-

nią miesięczna podskoczyła do 50 tysięcy, a całkowita liczba paczek w ciągu tych pięciu miesięcy wyniosła 87 tysięcy. 20 tysięcy wagonów zdobycznych dóbr czekało na rozładowanie do połowy maja. Przy stacji wybudowano specjalny namiot, aby uchronić przed deszczem paczki z tkaninami, konserwami i dżemami, maszynami do pisania, rowerami, pościelą, pończochami i porcelanową zastawą. Magazynowanie wszakże stanowiło jedynie początek. Wielu odbiorców mieszkało w odległych wioskach, a nie było samochodów. Zamiast nich rodziny żołnierzy musiały polegać na „niemieckich zdobycznych koniach”, wyeksploatowanych szkapach porzuconych przez Wehrmacht, w tym wielu chorych lub poranionych. Ostatecznie trzeba było zatrudnić więcej pracowników (i dodatkowych koni). Koło kurskiego dworca wybudowano specjalne schronisko, by pomieścić siłę roboczą sprowadzoną specjalnie do sortowania i dostarczania żołnierskich łupów¹⁰³.

W Niemczech żołnierze okradali się wzajemnie. „Boję się w tej chwili wysyłać rzeczy do domu — napisał w maju Agiejew żonie — ponieważ było wiele przypadków kradzieży”¹⁰⁴. Część przedmiotów jednak miała nigdy nie dotrzeć na pocztę. Broń i amunicję, których posiadanie do prywatnego użytku było surowo zabronione, pod koniec lata 1944 roku sprzedawano na polskim czarnym rynku¹⁰⁵. Poza alkoholem i tytoniem do ulubionych zdobyczy należały rowery i zegarki. Część żołnierzy fotografowała się z kilkunastoma zegarkami na obu rękach, co

dowodziło tak ich wojennej dzielności, jak i przyszłego bogactwa. „Niemieckie zawsze się spóźniają - wyjaśnił jeden z ocalałych. — To dlatego potrzebujemy kilku naraz". To samo było z rowerami. Żołnierze kiepsko jeździli, nie mówiąc o naprawach. „Jeden drugiego uczy jeździć - napisała pewna obserwator-ka. — Siedzą sztywno niczym szympana na rowerku w zoo, rozbijają się o drzewa i radośnie chichoczą"¹⁰⁶. Mogłaby jeszcze dorzucić, że rozbite rowery zostawiali tam, gdzie upadły. Pod ręką zawsze były następne. Słynna fotografia z tego okresu przedstawia radzieckiego żołnierza wyrywającego rower z rąk właścicielki. Na innym żołnierze składają je, przygotowując do długiej podróży do ojczyzny¹⁰⁷. Kategoria własności stała się czymś tak niejasnym jak prywatność czy pokój. Pośród zniszczeń wydawało się, że nic nie należy do ni-

kogo — chyba że nowy właściciel był uzbrojony lub nosił urzędową odznakę.

Podczas gdy front przesuwiał się na zachód, w stronę Berlina, żołnierze na tyłach, a nawet enkawudziści, którzy mieli ich pilnować, rozkoszowali się przedsmakiem nadchodzącego zwycięstwa. Odbywały się grabieżcze orgie, alkoholowe libacje i dochodziło do chaotycznych kontaktów z miejscowymi kobietami, w tym „małżeństw" i gwałtów. Cztery lata strachu i napięcia rozładowały się w ciągu kilku tygodni. Teraz niewielu żołnierzy obawiało się międzynarodowych granic. Nadszedł czas odkrywania całego świata, smakowania go, picia, chwytania, triumfowania nad nim. Raporty z końca zimy i wczesnej wiosny opowiadają o chaosie za liniami, o pijanych (oczywiście) żołnierzach, o żołnierzach kradnących odzież i biżuterię, przebranych w cywilne ubrania, pomieszkujących u kobiet i prowadzących z zawrotną prędkością wojskowe auta. Stosunki z cywilami w każdej „wyzwolonej" strefie osiągnęły granicę¹⁰⁸. Sami strażnicy dyscypliny, członkowie oddziałów NKWD, zostali nakryci, gdy krążyli po polskim mieście, śpiewając „niecenzuralne piosenki". Okazało się, że zjawili się nawet pijani na zebraniu partyjnym, ośmieszając armię, dopóki ktoś ich nie wyprowadził i nie otrzeźwił¹⁰⁹.

Wiosną 1945 roku Niemcy wiedzieli, że przegrywają, ale wojna jeszcze się nie skończyła. Hitler odmówił kapitulacji, a niemiecka armia, właściwie zaś jej resztki, walczyła do nieuchronnego końca. Opór ten przypominał zawziętość, z której Sowietci byli tak dumni, kiedy bronili się trzy lata wcześniej; opóźniało to bitwę o Berlin, którą Czuj-kow, stoicki obrońca Stalingradu, miał nadzieję zakończyć w lutym 1945 roku. Dalekie od podziwu, radzieckie wojska uznawały niemiecki upór za kolejny przejaw podłości. Agiejewa wciąż zadziwiał widok Niemców, z którymi walczył. „Wśród fryców, których wzięliśmy do niewoli — napisał do żony — był bezzębny pięćdziesięciodziewięć-latek, ale ten drań walczył jak jakiś nierozumny automat, mimo iż nie przeżułby kawałka suchego chleba, gdyby chciał"¹¹⁰. Wściekłość Agiejewa brała się być może po części z obawy, że chociaż pewne, nadchodzące zwycięstwo nad takim wrogiem zostanie drogo okupione.

Bitwa o Berlin zaczęła się tak naprawdę w połowie kwietnia. Do tego czasu wreszcie upadł Królewiec, podobnie jak Kostrzyn. Te ostatnie kampanie — często nazywane „oczyszczaniem" — były gorzkie i kosztowały Armię Czerwoną tysiące ludzi. Jednak perspektywa samego Berlina wydawała się bardziej onieśmielająca. Czerwonoarmiści nie mogli wiedzieć, jak nieudolne i nieskoordynowane były przygotowania do obrony miasta¹¹¹. Według nich Berlin umocniono wcześniej labiryntem pól minowych, min pułapek i zasieków. Wbijano im do głów myśl o niebezpieczeństwach, jak gdyby mit łatwego zwycięstwa, marzenie z 1938 roku, zmienił się w opowieść

Orozpaczliwych problemach, jakie miały uwieńczyć ostatni rozdział wojny w Europie. Ale choć stanęli w obliczu złamanego, głodnego i zdemoralizowanego przeciwnika, czerwoarmiści wiedzieli, że do tarli do twierdzy samego Hitlera. Bez względu na ich przewagę — a Sowieci przewyższali liczebnie obrońców Berlina co najmniej dwukrotnie¹¹² — nadchodząca bitwa miała być wyzwaniem. Ludzie, którzy pamiętali Stalingrad - łącznie z samym Czujkowem - zaczęli szkolić kolejne pokolenie do walk ulicznych¹¹³.

Ostatni rozdział rozpoczął się 16 kwietnia. „Nie było jeszcze na froncie takiego dnia jak dzisiejszy - napisał tego wieczoru do rodziny inżynier Piotr Siebieliow, który rozpoczął służbę w 1941 roku. — O czwartej rano tysiące *katuszy* i dział otworzyło ogień, a niebo pojaśniało od horyzontu po horyzont. Po niemieckiej stronie wszystko okrywał dym i szerokie fontanny wzbijającej się kolumnami ziemi. Dokoła latały wielkie stada przerażonych ptaków, nieustannie rozlegało się buczenie, grzmoty i eksplozje. Potem nadeszły czołgi. Na przedzie kolumny świeciły reflektory, co miało oślepić Niemców. Z kolei wszędzie ruszyli ludzie, krzycząc: »Na Berlin! Na Berlin!«¹¹⁴ „Flary wleciały w niebo - napisał Czujkow o tej samej scenie - a twarz Lenina, jak żywa, spoglądała z czerwonych sztandarów na żołnierzy wyzwolicieli, jak gdyby wzywała ich do zdecydowania w tej ostatniej walce ze zniechędzonym wrogiem¹¹⁵. Grzmot dział był tak ogłuszający, że nawet doświadczeni artylerzyści czuli respekt. Z trudem pamiętali, by otwierać usta, co miało zrównoważyć ciśnienie w uszach¹¹⁶.

Podniecenie żołnierzy wywoływał dreszcz akcji po długim oczekiwaniu, radość na myśl o tym, że wojna jest niemal wygrana. „Dziś

nikt nie myśli o śmierci - napisał Siebieliow - ale wszyscy myślą tylko o tym, jak szybko wkroczą do Berlina". Sowieci zdawali się wreszcie przygotowani do ataku na faszystów, ale raz jeszcze optymizm żołnierzy Armii Czerwonej okazał się fałszywy. Szturm Żukowa na wzgórze Seelow, ostatnią naturalną przeszkodę na drodze do Berlina, miał się załamać w wyniku błędnych wyliczeń dowódcy. Blask reflektorów, które kazał rozmieścić straży przedniej — nowatorska, jak sobie wyobrażał, metoda oślepienia i zmylenia wroga — raził głównie jego ludzi, odbijając się od ściany dymu, jaką wzniosła radziecka artyleria¹¹⁷. Ostrzał sprawił też, że ziemia przed nimi stała się trudna do przejścia. Co gorsza, okopy, które tak energicznie ostrzeliwali Sowieci, okazały się puste. Schwytny czerwoarmiści ostrzegł Niemców o nadciągającym szturmie, zatem większość z nich wycofała się z wysuniętej linii¹¹⁸. Zamiast triumfalnie wkroczyć do Berlina, oddziały pod dowództwem Żukowa zwoływały, niezdolne do przełamania drugiej linii niemieckiej obrony.

Opóźnienie to było dobrą nowiną dla rywala Żukowa, Iwana Koniewa. Dwaj dowódcy mieli współpracować podczas kampanii berlińskiej, chociaż w teorii zadaniem Koniewa było uderzenie z południa, przez Lipsk i Drezno, i przecięcie niemieckiego frontu na dwie części. Jednak Stalin podsycił rywalizację między marszałkami, zawody o pierwszeństwo w dotarciu do Berlina, i problemy Żukowa na krótko pozwoliły zabłysnąć Koniewowi. Był to przedziwny wyścig i do końca życia obaj dowódcy kontestowali prawdziwy przebieg wydarzeń. Można powiedzieć tyle, że rywalizacja owa zapewniła Sowiecom pierwszeństwo przed aliantami w zdobyciu Berlina, lecz w kontekście strategicznym okazała się katastrofą. Wściekłość Żukowa zmusiła jego niedoświadczonych ludzi - po części dawnych jeńców wojennych i nieprzeszkolonych robotników przymusowych - do walki w śmiertelnym labiryncie zaminowanych ulic, by Berlin mógł wpaść w ich ręce. Maruderom jak zwykle groziły kula lub karny batalion. Nawet doświadczeni żołnierze odczuwali wielkie napięcie, a ich strach wzmagali ostrzeżenia i groźby. Czujkow, który również

odczuł cięty język Żukowa¹¹⁹, powiedział swym ludziom, żeby się pilnowali, i doradził im, by używali przeważających sił. „Wróg kryje się w piwnicach, w budynkach - wyjaś-

nił. - Bitwa o miasto to walka na siłę ognia, walka z leżących blisko pozycji, gdy ostrzał na krótki dystans prowadzi nie tylko broń automatyczna, ale też wielkokalibrowe działa czy czołgi, strzelające na odległość zaledwie paru metrów"¹²⁰. Zajmując się swym zadaniem, czerwonarmiści nie mieli czasu zwracać sobie głowy cywilami, którzy wciąż stali im na drodze.

Berlin tkwił na krawędzi śmierci. Od wielu dni nie było dostaw żywności, większość wodociągów została zniszczona. „Dzieci umierają na lewo i prawo - zapisała berlińska autorka dziennika. - Starcy jedzą trawę jak zwierzęta". Berlińczycy kulili się w piwnicach, tuląc w rozświetlanej świeczkami ciemności, podczas gdy na zewnątrz, na ulicach, panowała kpiąca, niesamowita wiosenna jasność. Diaryst-ka wychyliła się pewnego popołudnia ze swego schronienia. Nawet światło ją zaskoczyło. „Między poczerniałymi od ognia ruinami snują się fale zapachu bzu z bezpiecznych ogrodów - napisała. - Tylko ptaki nie ufają temu kwietniowi. Na rynnie naszego domu nie ma wróbli"¹²¹. Przed szturmem wszystkie myśli poświęcała głodowi, jak ofiara oblężenia. Potem rozpoczęło się bombardowanie, wstrząsy od

uderzających pocisków i ogłuszający hałas, a w ślad za tym żołnierze, „Iwany", idący powoli, od domu do domu i od pokoju do pokoju, rzucający granaty w drzwi i klatki schodowe, najpierw strzelający, a potem zadający pytania. Wkrótce kobieta ta pisała już tylko o tych cudzoziemcach, czerwonarmistach z ich gorzałą i prostackim gustem, obandażowanymi kończynami, pokrytymi bliznami twarzami i niezaspokojonymi, nienasyconymi potrzebami.

Gdy przedmieścia Berlina upadły, oczyszczone przez mężczyzn stąpających ostrożnie przez labirynt pułapek, pojawiło się więcej żołnierzy, by zabezpieczyć zdobyte strefy. W mieście nie pozostało wiele do zagarnięcia, ale zabierali całą żywność i inne dobra, które wciąż ich cieszyły. Niemal od niechcenia i bez wielkiej nienawiści sprzed trzech miesięcy brali też odwet na mieszkankach stolicy. Seks nie służył ani dyscyplinie, ani zdrowiu żołnierzy (choć większość z nich złapała infekcje już wcześniej)¹²². Płądrowanie i pijaństwo katastrofalnie wpłynęły na opinię armii wśród sojuszników i niemieckich cywilów. W kwietniu interweniowali Stalin i Żuków, wydając serię nowych rozkazów dotyczących własności, pogwałcenia miru domowego i tego, co eufemistycznie określano mianem stosunków z cywilnymi kobietami. Co zadziwiające, najstłynniejszy rozkaz ubolewał nad tak zwanym liberalnym zachowaniem wobec Niemców, równocześnie potępiając szczególne okrucieństwo¹²³. Przekaz był jednak jasny. „Rozkaz Stalina", jak nazywali go żołnierze, żądał powściągliwości. Odczytano go na zebraniach, a Niemki nauczyły się powoływać nań niczym na zaklęcie odpędzające Iwanów. W Berlinie wszakże nie robiło to chyba większej różnicy. Kiedy żołnierze go omawiali, mówi autorka dziennika, „ich oczy błyszczały przebiegle"¹²⁴. Jediną rzeczą, która gwarantowała powstrzymanie mężczyzn - poza lufą oficerskiego *nagana* - było absolutne pierwszeństwo walki.

Siły Żukowa wkroczyły do Berlina 21 kwietnia. Następnego dnia żołnierze Koniewa przeprawili się przez kanał Teltow. To również podkomendni Żukowa, łącznie z tymi, którymi bezpośrednio dowodził Czujkow, otoczyli i zaatakowali Tiergarten, dzielnicę długą na osiem kilometrów i szeroką na dwa. Mieściło się tam też miejskie zoo, a obszar ten stał się twierdzą. Bunkry w jej sercu, wyposażone

w sprzężone działka przeciwlotnicze strzelające do celów naziemnych, miały mury dwumetrowej grubości. W jednym z nich mieściło się gestapo, w drugim, na skraju owej strefy, bunkier Hitlera. Na północ od niego, za Bramą Brandenburską, stał gmach Reichstagu, który Sowieci wybrali jako symbol władzy Hitlera. Samo Tiergarten przedzielał kanał Landwehry, uroczą atrakcją turystyczną zamienioną w przeszkodę, a następnie w śmiertelną pułapkę, gdy esesmani wysadzili tunele głęboko pod kanałem. Ale był to ich ostatni, rozpaczliwy cios. 29 kwietnia cały obszar pokrywały leje po bombach, nad gruzami, kurzem i dymem zaś unosiły się złowieszcze czerwone płomienie rozjaśniające niebo. Nikt nie miał wątpliwości, jaki będzie wynik, lecz ostatnie drgawki imperium nie należały do łagodnych.

Trzy dni ciężkich walk kosztowało Armię Czerwoną zdobycie symbolicznego gmachu. Szturm Reichstagu był wiekopomnym momentem. Stalin chciał ogłosić to (i, w idealnym wypadku, kapitulację Berlina) w radzieckie majowe święto. W rzeczywistości słynna fotografia sierżantów Jegorowa i Kantarii (ten drugi, jak Stalin, był Gruzinem) powiewających czerwoną flagą z dachu Reichstagu została zrobiona dzień później, gdy minęło realne niebezpieczeństwo. W owym czasie zaangażowani w akcję żołnierze posuwali się powoli pod ostrzałem karabinów maszynowych, narażeni na ataki granatami i miny-pułapki. Trzystu obrońców, z których ponad dwustu zginęło, powstrzymywało ich przez z górą osiem godzin. To samo powtarzało się w innych miejscach, włącznie z wieżą przeciwlotniczą w Tiergarten. Za każdym razem, gdy zdobywano któryś z punktów oporu, poddawały się dziesiątki, jeśli nie setki niemieckich żołnierzy. Dużo więcej, rannych i umierających, leżało w piwnicach, czekając na śmierć¹²⁵. Sam Hitler już nie żył. On i jego najbliżsi współpracownicy popełnili samobójstwo 30 kwietnia. „Wehrmacht walczył - mówi jeden z opisów - jak kurczak z przeciętym kręgosłupem”¹²⁶. Dopiero jednak o szóstej rano 2 maja dowódca berlińskiego garnizonu generał Weidling poddał się Armii Czerwonej¹²⁷.

Jednym ze świadków tych wydarzeń był Nikołaj Biełow. „Tyle chciałem ci napisać 1 maja - pisał 3 maja do Lidii - ale cały czas walczyliśmy, a co więcej, walki były naprawdę ciężkie i wyczerpują-

ce, z rodzaju tych, że nie masz chwili na rozmowę, nie wspominając o pisaniu”. Cztery jej listy dostarczono 2 maja, lecz Nikołaj właśnie znajdował się w samym środku ostrzału w Tiergarten, a kiedy było po wszystkim, był zbyt zmęczony, żeby otworzyć koperty.

Potem miasto skapitulowało, nastął okres ciszy po huku dział i wreszcie była okazja do wypoczynku. „Od dawna tak nie spałem: jak nieboszczyk — napisał. Jednak wiedział, że wojna ma się ku końcowi. — Nie wiem, czy będą jeszcze takie walki, jakie oglądaliśmy, ale wątpię. W Berlinie wszystko skończone”. Kiedy Weidling podpisał akt kapitulacji, Biełow usnął.

Porucznik nie był świadkiem końca operacji „Bagration”. Został ranny kilka tygodni po ostatnim zapisie w dzienniku, pod koniec lata 1944 roku. Jego nagrodą był pierwszy urlop podczas wojny, drugi miesiąc miodowy z Lidią. To o domu myślał, pisząc 3 maja. Kolega oficer zaprosił go na spóźnione obchody 1 maja w swojej „magnackiej” kwaterze w Berlinie, „gdzie, jak mówią, pewnie bym się zrelaksował”, ale myśl o luksusie odpychała znużonego oficera. „Do diabła z tym wszystkim — stwierdził Biełow. — Wolalbym siedzieć w jakiejś chacie, gdziekolwiek, byle w Rosji, żeby się rozluźnić i zapomnieć cały koszmar tej wojny, włącznie z przeklętą niemiecką rasą”. Luksusy źle na niego działały również dlatego, że nie miał czasu wysłać paczki do domu, chociaż bardzo chciał

pomóc rodzinie. Był wyczerpany i miał dość wojny, ale jego list zawierał też perłę prawdziwej nadziei.

Chodziło o to, że Lidia oczekiwała dziecka poczętego podczas jego urlopu. Nazywał ciężarną „grubaskiem”, czule każąc jej dobrze się odżywiać i dużo wypoczywać. Bardziej już poważnie, zastanawiał się, co jego nienarodzone dzieci będą myślały później, kiedy zapytają, co ich ojciec robił podczas wojny. Nie miał powodu, by robić sobie wyrzuty, i ta myśl napawała go dumą. Nie będą, myślał, „musiały się wstydzić, ponieważ wypełnialiśmy nasz obowiązek do końca”. Ale to wszystko była wciąż przyszłość. W tych pierwszych dniach maja wojna jeszcze nie całkiem się skończyła, podobnie jak napięcie, poczucie nieprzerwanej walki, w jego umyśle. „Bez wątpienia świętujecie - napisał. - Mogę sobie wyobrazić, jak zadowolony musi być cały nasz naród, ale nam, żołnierzom, trudno jest ogar-

nać prawdziwą skalę naszego zwycięstwa, gdyż naszym celem było zdobycie miasta lub wygranie bitwy i przywykliśmy ważyć efekt jednej bitwy, więc zaczniemy myśleć o zwycięstwie, kiedy usłyszymy ostatni strzał”.

Wiedział, że nie będzie musiał długo czekać. „Być może — podsumował - wojna skończy się, zanim dostaniesz ten list”. Pięć dni później Żuków przyjął bezwarunkową kapitulację Niemiec. Ceremonia była tak podniosła i tak ostateczna, jak tylko pozwoliły na to wojenne warunki. Flesze światowej prasy błyskały, gdy Keitel, głowa państwa niemieckiego, zdjął rękawiczkę, by tuż po północy, 9 maja, podpisać akt kapitulacji. Kiedy niemiecka delegacja opuściła salę, delegaci radzieccy i alianccy odetchnęli z ulgą, na pokrytych zielonym sukniem stołach pojawiły się wino i wódka, a sam Żuków zatańczył przy aplauzie swych generałów¹²⁸. Na zewnątrz ludzie powitali swe zwycięstwo salwami z ciężkich dział i karabinów oraz, oczywiście, alkoholem. Jednak Biełow nigdy nie usłyszał ostatniego strzału tej wojny ani też nie ujrzał swej urodzonej miesiąc później córeczki. 4 maja został wysłany na zachód, do Burgu nad Łabą. Zginął tam dzień później, 5 maja¹²⁹.

Ponad 360 tysięcy czerwonoarmistów i ich polskich towarzyszy zginęło w kampaniach berlińskich, być może jedna dziesiąta z nich zaś w bitwach wokół samej stolicy¹³⁰. Ci mężczyźni i kobiety byli duchami na święcie 9 maja. Jednak przez kilka godzin większość żołnierzy pamiętała o *życiu*, nie o śmierci. „O trzeciej w nocy usłyszeliśmy w radiu radosne wieści - napisał Taraniczew do żony. - Ci, którzy już spali, obudzili się i od razu zorganizowaliśmy święto: strzelaliśmy do rana ze wszystkich rodzajów broni, co oznacza, że do świtu miasto było pod takim ostrzałem jak podczas prawdziwej bitwy. Moi kochani, nie możecie sobie wyobrazić radości wśród naszych oficerów i żołnierzy z powodu zakończenia wojny. To prawda, że cierpieliście bardzo w kraju, za frontem, i że wspólnie pokonaliśmy faszystowską bestię, ale równocześnie nam, na froncie, było najtrudniej i musicie zrozumieć nas, frontowców!”¹³¹ Agiejew mówił w imieniu wielu, gdy deklarował, że „nigdy w historii nie było ta-

kiego szczęścia i dumy, jakich doświadczają dziś ludzie radzieccy”¹³². W obozie Samojułowa żołnierze świętowali od upadku Berlina 2 maja. 7 maja usłyszeli pogłoskę, że wojna się wreszcie skończyła, i część / nich zaczęła strzelać w powietrze. Strzelali znów 8 maja, tym razem dlatego, że BBC obwieściło kapitulację Niemiec, ale naprawdę upili się dopiero wtedy, gdy Keitel poddał się samemu Żukowowi¹³³.

W innych miejscach żołnierze nie czekali tak długo. 5 maja żołnierz wojsk NKWD przypadkiem znalazł na dziedzińcu jednej z berlińskich siedzib Smierszu zbiornik ze spirytusem drzewnym. Wlał eksperymentalną porcję do kubka i wypił ją z dwoma strażnikami. Jeden kubek nie wystarczył, więc napełnili trzylitrową bańkę i rozpili ją, a potem — gdy pojawił się kucharz i wprosił na przyjęcie - przynieśli więcej. Tamtej nocy przyłączyło się do nich jeszcze siedmiu mężczyzn - czy raczej obsłużyło się samodzielnie, gdyż „gospodarze” do tej pory stracili już przytomność, szczęśliwie zapominając, że wojna się jeszcze nie skończyła. Nie dożyli zwycięstwa. Pierwsza trójka zmarła następnego dnia. Reszta zmarła, zanim Keitel podpisał kapitulację¹³⁴. Takie wypadki powtarzały się na całym froncie. Winowajcą był najczęściej spirytus drzewny, ale także od-mrażacz, benzyna łąkowa, a nawet zbyt duża dawka zdobycznego sznapsa¹³⁵. Przynajmniej ofiary nie zakosztowały rozczarowań pokoju.

Następnego dnia, 10 maja, Berlin leżał opuszczony, cichy. Na ulicach było pusto, a place, na których Wehrmacht wyciął drzewa, żeby przygotować działobitnie i pola ostrzału, stały martwe, pozbawione nawet ptasich głosów. Większość żołnierzy odsypiała kaca. Ale nie wszyscy pozostali w niemieckiej stolicy, by powitać koniec wojny w Europie. Jermolenko znajdował się wśród tysięcy ludzi już kierujących się na wschód. Jego kompania dowiedziała się o zwycięstwie, gdy pociąg zbliżał się do Uralu¹³⁶. Nie znał jeszcze szczegółów owej misji, ale kierował się do Mandżurii. Wojna europejska się skończyła, lecz Sowietom mieli się obecnie przyłączyć do walki z Japonią.

Była to pierwsza jaskółka, pierwsza wskazówka, że klęska Niemiec nie oznacza końca służby dla czerwonoarmistów. Wypełnili swój obowiązek, jak powiedział Biełow, nie wymigując się aż do

końca, ale teraz nadeszło pierwsze z wielu rozczarowań. Minie już nie kilka tygodni, ale wiele miesięcy, a nawet lat, zanim większość żołnierzy ponownie ujrzy żony i dzieci. Ich nadzieje, marzenia, które hołubili podczas długich wieczorów rozmów i pisania, musiały jeszcze poczekać. Jak zrozumiał Kopieliow, gdy patrzył na płomień wznoszące się nad Nidzią, nie było jasne, do czego ci ludzie są teraz przygotowani. Nie było jasne, jak poradzą sobie z pokojem. Kiedy obserwowali wiosnę rozwijającą się w ruinach Berlina, mogli jedynie liczyć na bezwzględna potęgę państwa, za które tylu z nich zginęło. Ocalili je. Teraz mieli poznać skalę jego wdzięczności.

Do pochwy stary miecz

7 maja był w Moskwie wspaniałym dniem. Tej nocy, tuż po pierwszej, znajomy głos Jurija Lewitana, wojennego spikera Sowinform-biura, potwierdził, że wojna z Niemcami została zakończona. Wieść obiegła miasto w ciągu kilku minut. Ludzie budzili sąsiadów, zapominając o zwykłej ostrożności cechującej kontakty międzyludzkie w stolicy. Na ulice wyszły całe rodziny, ludzie otwierali butelki przechowywane na tę szczególną okazję i rozpoczęła się wielka feta, która trwała do wieczora. Rankiem do centrum ściągnęło jeszcze więcej ludzi i do popołudnia co najmniej 3 miliony kłębiły się na otwartych przestrzeniach wokół Kremla. Taki dzień jak ten z pewnością i tak pozostałby niezapomniany, bez nadchodzącego wieczora, ale potem, dobrze po dziewiątej, gdy wiosenny horyzont zaczął gasnąć, zapalono setki reflektorów. Zalały one falami

fioletu, czerwieni i złota słynny kompleks budynków - fasady hotelowe w stylu art deco, zwieńczone blankami mury i wieże. Nisko nad placem Czerwonym przemknęła eskadra samolotów, odpalając w ciemności kolorowe flary, następnie zapłonęły fajerwerki, najwspanialsze, jakie pamiętali Rosjanie. „Z miejsca - napisał zachwycony Werth - Moskwa straciła całą swoją rezerwę i powściągliwość. Ludzie byli tak szczęśliwi - dodał - że nawet nie musieli się upijać”¹.

Zwycięstwo zdawało się należeć do każdego. W tamtej chwili nie istniały różnice między robotnikami z fabryki a personelem biurowym, między maszynistkami, inżynierami, kolchoźnikami i projektantami czołgów - wszyscy zapłacili cenę, nie tylko olbrzymiego wysiłku, za pokonanie Trzeciej Rzeszy. Jednak nikt nie czuł się bar-

dziej dumny ani nie przypisywał sobie większych zasług niż sami żołnierze. „W tych radosnych, szczęśliwych dniach własną ręką kreśliłem te wersy w Berlinie!” — napisał Orest Kuzniecowa do siostry 10 maja. Pisał na pocztówce z Unter den Linden, zamazując niemiecki podpis wojskowym piórem. „Nie ma takich słów — ciągnął — nie potrafię ich dobrać, żeby opisać przyszłą radość z tego zwycięstwa, kiedy się w nim uczestniczyło i widziało to wszystko na własne oczy, spacerując po centrum »legowiska« jako zwycięzca, jako właściciel. Twarze wszystkich oficerów i żołnierzy jaśniały nieopisaną radością z powodu naszego wspólnego osiągnięcia! Wielka wojna ojczyźniana skończyła się — jest już złotą księgą historii. Wszystkiego najlepszego z okazji tego wielkiego Święta!”²

Niewielu ludzi było tego euforycznego dnia w nastroju, by oszacować cenę, jaką zapłacono, ani też dumać, ile ten pokój będzie kosztował w przyszłości. Kalkulacje tego rodzaju wzbudziłyby pewnie wątpliwości co do samego zwycięstwa. Czy naród mógł uznać je za triumf, kiedy zginęło blisko 27 milionów jego obywateli? Ja-kimż uznaniem miała się cieszyć armia, gdy zginęło dwa razy więcej cywilów niż żołnierzy? Był to dziwny rodzaj zwycięstwa, które pozostawiło 25 milionów ludzi bez dachu nad głową, skazując ich na życie w ziemiankach lub koczowanie w pozbawionych okien korytarzach. Tylko Polska mogła twierdzić, że straciła proporcjonalnie więcej, jako że stała się teraz podporządkowaną, rozbitą półkolonią³. Niemcy z pewnością zapłacili wysoką cenę, a niemal trzy czwarte ich strat wojskowych - ludzkich i materialnych - przypadało na front wschodni. Armia Czerwona naprawdę ukarała i pokonała najeźdźcę, ale liczba ofiar była o wiele większa po jej stronie niż przeciwnika⁴. O skali wojennej rzezi świadczy to, że szacunki strat wojskowych różnią się o całe miliony. Prawie każdy musiał się zgodzić, że podczas wojny zginęło co najmniej 8,6 miliona radzieckich wojskowych, czy to w hitlerowskich obozach, czy na polu bitwy. Jest to „bezpieczna” liczba — dane szacunkowe są o wiele większe — niemniej jednak stanowi prawie trzecią część całkowitej liczby mężczyzn i kobiet zmobilizowanych do radzieckich sił zbrojnych⁵.

Wśród ofiar znalazło się wielu najlepszych, najzdolniejszych i najwydajniej szych radzieckich obywateli. Trzy czwarte poległych męż-

czyn i kobiet służących w armii miało od 19 do 35 lat. Z pokolenia młodych mężczyzn urodzonych w 1921 roku, poborowych zwerbowanych w okresie bitew o Kijów i Charków lub Stalingrad, zginęło niemal 90 procent. Wojna pozbawiła całe miasta młodych mężczyzn i przez najbliższych kilka lat będzie bardzo mało par i dzieci. Innymi słowy, poza smutkiem, brzemieniem, jakie przez kilka dziesięcioleci, nawet do śmierci, będą dźwigać przede wszystkim radzieckie kobiety, będzie długotrwały koszt ekonomiczny. W kategoriach ścisłych zysków i strat wojna kosztowała prawie 3,5 biliona rubli, czyli jedną trzecią majątku narodowego Związku Ra-

dzieckiego⁶. Wyczerpanemu i uszczuplonemu społeczeństwu perspektywa odbudowy musiała się wydawać równie zniechęcająca jak kolejna zima pod ostrzałem.

Niemniej tego maja pesymizmu się nie widziało. W Rosji i w innych regionach radzieckiego imperium cywile przerwali pracę na polach lub wśród zrujnowanych budynków, żeby świętować wyzwolenie. Zwycięstwo zdawało się potwierdzać, że nigdy nie byli zniewoleni. Państwo radzieckie, system radziecki - i ich obecnie otoczony kultem przywódca Stalin - zabezpieczyło sobie również wpływową pozycję na światowej arenie, prawo decydowania o przyszłości, która wykraczała poza przedwojenne granice. Na froncie, w Berlinie, Pradze i całej środkowej Europie, żołnierze — a szczególnie młodzi oficerowie - pozwalali sobie marzyć o nadejściu utopii. Panowało przeświadczenie, że nagrodą dla ludzi będzie lepsze życie. „Kiedy wojna się skończy - zauważył radziecki pisarz w 1944 roku - życie w Rosji stanie się bardzo przyjemne”. Miał nadzieję — podobnie jak miliony innych osób — że nowa przyjaźń z Ameryką i Wielką Brytanią przyniesie trwałe owoce, że prestiż Związku Radzieckiego na świecie pootwiera drzwi, które pozostawały zamknięte od 1917 roku. „Wiele się będzie działo - ciągnął - dzięki ożywionym kontaktom z Zachodem. Każdy będzie mógł czytać, co mu się podoba. Zacznie się wymiana studentów, a podróże zagraniczne staną się dużo łatwiejsze”⁷.

Nadzieje poszczególnych osób odzwierciedlały ich doświadczenia i interesy. Oficerowie w większości preferowali reformy utrzymujące radziecką dyscyplinę i konserwatywną moralność, ale wierzyli

w mające nastąpić zmiany, a wielu uważało, że ma prawo, czy nawet obowiązek, przedstawić rządowi swoje poglądy na temat pokoju. Od roku 1942 wojskowi nauczyli się myśleć. W roku 1945 wykorzystali swoje nowo nabyte umiejętności i poczucie indywidualnej odpowiedzialności, żeby dostosować się do powojennej odbudowy. Zadanie na początku wiązało się z ciężką pracą, ale ludzie do tego przywykli. Prawdziwa zmiana, nie zaś jedynie obietnice szczęśliwej przyszłości, była teraz priorytetem. „Szukanie przyjaciół w przyszłości - fikcyjny nauczyciel mówi weteranowi w opowieści z tego okresu — jest skazaniem się na samotność”⁸. Konstantin Simonow przejął pełen determinacji i nadziei reformistyczny nastrój z marzeń innej fikcyjnej postaci, Sincowa. „Coś było nie tak, nawet jeszcze przed wojną — zauważył weteran. — Nie ja jeden tak sądzę; praktycznie wszyscy. Zarówno ludzie, którzy czasem o tym mówią, jak i ci, którzy nigdy o tym nie mówią. (...) Czasem, to prawda, myślę o czasach przedwojennych jako o spokojnych. (...) Ale potem znowu mi się przypomina, jak wybuchła wojna, i już wiem, że nie chcę, aby po wojnie było tak samo jak kiedyś”⁹.

Problem leżał w tym, jak wprowadzić w życie tę zmianę, a nawet gdzie zacząć. I jeszcze raz oficerowie Armii Czerwonej nie dali o sobie zapomnieć. Wciąż stacjonujący tam, gdzie oglądali zwycięskie saluty — zapomniawszy być może o radzieckim świecie, który czekał na wschodzie — pisali do swego rzecznika w Moskwie, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej Michaiła Kalinina. „Mam szereg przemyśleń do przedstawienia na następnym zebraniu Prezydium Rady Najwyższej” - napisał w lipcu pewien porucznik¹⁰. Jak tysiące innych, miał możliwość obserwowania z zewnątrz, jak wygląda dyktatura, co prawda faszystowska. Był też na Majdanku, a wrażenie, jakie wywiera obóz zagłady, zapadło mu w umysł. Państwo radzieckie miało własne Majdanki. Jeśli było dla nich usprawiedliwienie, poświęcenie obywateli je zniosło. Pogląd ten odbijał się echem w niemal wszystkich obozach wojskowych. Jakikolwiek wykroczenie popełnili ludzie przed wojną przeciwko wielkiej historycznej sprawie leninowskiej, przeciwko własnemu przeznaczeniu, teraz odkupili winę. Należało wyegzorcyzmować zmyły lat trzydziestych.

Krytycyzm porucznika nie ograniczał się do arbitralnych aresztowań i uwięzień. Poruszył on też kwestię spółdzielni produkcyjnych. „Dajcie ziemię ludziom” — sugerował. Słuchał swych podkomendnych i znał ich poglądy na życie chłopów. Wraz z nimi oglądał stan rolnictwa w Rumunii i Polsce. W porównaniu z rumuńskim światem obfitującym w tłuste bydło i wypełnione po dach stodoły wspomnienie radzieckich kolchozów było jak żalony sen. A były jeszcze irytujące drobiazgi, o których kazali mu wspomnieć żołnierze. Chcieli szybciej otrzymywać listy, napisał, i pragnęli, by rodziny poległych otrzymywały paczki tak samo jak ich własni najbliżsi. Chcieli też słusznej racji chleba dla wszystkich. Wreszcie, jak wszyscy żołnierze, chcieli poskarżyć się na przemoc na spustoszonych, pogrążonych w bezprawiu rosyjskich ulicach. „Musimy zwalczyć wszelkie przejawy chuligaństwa”¹¹.

Tamtego lata podobną listę mógłby sporządzić prawie każdy oficer¹². Idea, że poświęcenia podczas wojny zaskarbiły narodowi rosyjskiemu prawo do czegoś więcej niż niewolnictwo, była niemal powszechna, a duchy zmarłych wyostrzały ten pogląd. Z pewnością tak wysokiej ceny nie zapłacono na próżno. Nie do pomyślenia było to, że za tyle krwi kupiono jedynie wojnę, że zapłacono nią za ambicje dyktatorów. Tego lata oficerowie prosili w listach o więcej wolności, lepszą edukację, a nawet bardziej ożywione życie kulturalne. Pewien człowiek domagał się zjednoczonego Ministerstwa Robót Publicznych, żeby nadzorowało budowę nowych domów, zaopatrzenie w żywność i wyposażenie szpitali. Inny, bojąc się zaniedbań w edukacji na skutek wojny, prosił o Ministerstwo Kultury z kompetencjami do nadzorowania całości życia kulturalnego, od zaopatrzenia bibliotek publicznych do wydawania gazet¹³. Jednak nikt, nawet reformatorzy, nie żądał demokracji, nie mówiąc już o głowie Stalina. Względna skromność ich żądań pod adresem radzieckiego państwa - zważywszy na wszystkie poświęcenia — czyni odpowiedź przywódcy jeszcze bardziej bezduszną. Nie było bowiem szansy na nic. Żadna prośba z tych zapomnianych list nie miała zostać spełniona.

Można twierdzić, że marzyciele zawsze chcieli więcej, niż mógł zapewnić zniszczony kraj. Nawet osobista wolność, kiedy było tyle pracy do wykonania, stanowiła luksus. Według Stalina jedynie prą-

ca przymusowa i obowiązkowa bezpłatna praca „ochotnicza” mogły gwarantować narodowe odrodzenie. Do 1950 roku radziecka gospodarka zanotowała ponoć dwukrotny wzrost w porównaniu z rokiem 1945¹⁴. Nie osiągnięto tego poprzez podsycanie pozazawodowych zainteresowań ludzi. Także inne powojenne rządy Europy, włącznie z brytyjskim, musiały wzywać do ograniczeń. Wojna zubożyła Europę na parę lat, jednak represyjność, brak zaufania i czysta przemoc późnego stalinizmu wykraczały poza jakiegokolwiek problemy związane z gospodarką czy bezpieczeństwem. Ciemność, jaka zapadła, musiała mieć inną przyczynę.

Weterani w nastroju kontemplacyjnym skłonni byli winić siebie. Za późno zdali sobie sprawę, że zużyli energię na froncie. Wielu odniosło rany, nawet trwały uszczerbek na zdrowiu, a nieliczni uniknęli napięcia czy szoku. Nawiedzało ich także paraliżujące poczucie winy. Chmura zbiorowej depresji opadła, a potem zablokowała wszelką chęć domagania się zmian. „Martwi na mnie patrzą” — stwierdził żołnierz w wierszu z 1948 roku, a uczucie to znali wszyscy. Jak wspominał później Michaił Hefter, także weteran, myśl, która „torturowała pamięć”, brzmiała: „Mogłem ich uratować, ale tego nie zrobiłem”¹⁵. Dla niektórych najbardziej absorbującym planem na czas pokoju było poszukiwanie grobów towarzyszy.

Wszystkim trudno przyszło zaadaptowanie się do warunków pokojowych. Na wojnie oficer wydawał rozkazy, a oni je wykonywali, życie było zorganizowane wokół jasnych celów, istniały też drobne potajemne przyjemności - zdobyczy koniak czy ładna frontowa żona — by

złagodzić wojskowe rygory. Piechurzy też mieli małe codzienne zajęcia, a zanim nastał pokój, rutyna i bliskie *przyjaźnie* wydawały się dziwnie pewne. Po zakończeniu wojny zaś nie istniały żadne priorytety, reguły. Część żołnierzy uznała, że nigdy się nie zmieni. Do dziś wielu kombatantów wstaje o piątej trzydzieści -zwyczaju tego nie przełamały ani emerytura, ani bezwład ubóstwa -ale w owym czasie prawdziwi twardziele nie mogli znieść nawet samej myśli o pokoju. Nasłuchiwali łąpczywie plotek o kolejnej wojnie, tym razem z Wielką Brytanią i Ameryką¹⁶. Część nawet twierdziła, że widziała pierwszych rannych w Symferopolu¹⁷. Kusząca była myśl o powrocie do dawnego strachu i znajomego stresu. Wojna

usprawiedliwiała jedyny styl życia, jaki wyobrażała sobie większość tych ludzi, podczas gdy pokój oznaczał, że będą musieli stanąć w obliczu skomplikowanego świata, który opuścili, a nawet rozważać to, co stracili.

Inne powojenne rządy z całych sił starały się pomóc weteranom w adaptacji¹⁸. Część robiła to mimo trudności i kosztów wojny. Wszędzie napotymano problemy, ale żaden inny walczący naród nie miał tak zimnej dyktatury jak ta stworzona przez Stalina. Sama wojna nie była temu winna, ani nawet weterani czy wspomnienia śmierci. To sam Stalin, przywódca, który zagarnął zasługę zwycięstwa, gdy podpis Żukowa jeszcze nie wysechł na akcie kapitulacji, ustalił powojenne stosunki między narodem a państwem. Stalin i - trzeba dodać — chmara akolitów i biurokratów, którzy prosperowali w systemie, jaki stworzył jego rząd. Gdy spontaniczna radość z początków maja zaczęła słabnąć, przywódcy reżimu zaplanowali własną paradę zwycięstwa. Ludowy karnawał miała wyprzeć ceremonia zgodna z oficjalną linią, która każdego ustawi na właściwym miejscu.

Doszlifowanie planu zajęło kilka tygodni. Wtedy część ludzi zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę chce wystawności. Niektórzy sarkali na koszty, inni wyrażali osobisty żal. „Nie pójdę na paradę -stwierdziła pewna moskwianka. — Zabili mojego syna. Wybiorę mszę żałobną”¹⁹. Inni podzielający ten pogląd zaczęli nawoływać do dnia żałoby, albo nawet jej dorocznego tygodnia; żaden gest nie mógł wypełnić luki, jaka powstała w ludzkich życiach. Przez następne pięćdziesiąt lat prawdziwe wspomnienia nasycą doroczne świętowanie zwycięstwa na początku maja nastrojem powagi, którego brakować będzie innym socjalistycznym świętom, włącznie z rocznicą zamachu Lenina i świętem Armii Czerwonej. Wojenna żałoba była cieniem, który nigdy się nie rozproszył. Dla niektórych oznaczała koniec rodzinnego szczęścia. „Mam dwoje dzieci i znikąd pomocy - szeptała pewna kobieta. - Dlatego nie mam zamiaru świętować

i nie mam z czego się cieszyć .

Gdy zbliżała się zima, niepokój, samotność i strach przed nędzą coraz bardziej kłopotowały wdowy i sieroty. Jednak w tamtym czerwcu powszechnie pochwalano państwowe obchody, coś, co ucieleśni i obejmie chaos dumy, zwycięstwa, szoku i obaw przed przyszłość-

cią. Jak zwykle oznaczało to zainscenizowaną ceremonię i starannie wyselekcjonowanych uczestników. Koszty musiały być zawrotne. Wybranych żołnierzy, marynarzy i lotników przywieziono do kraju z Niemiec i krajów nadbałtyckich. Kawaleria musiała wypolerować buty, pułkowe orkiestry nastroić instrumenty, starannie pomalowano czołgi, działa i *katusze*. Całe kompanie kadetów z moskiewskich akademii, przyszłych artylerzystów i oficerów, pobierały lekcje zaawansowanej musztry²¹. Wyreżyserowano każdy gest i każdy krok, włącznie z zachowaniem Żukowa i generałów. Jediną rzeczą, której nie dało się kontrolować - poza siwym koniem Żukowa słynącym ze złośliwego charakteru — była moskiewska pogoda. Wielka parada,

kulminacyjna chwila czterech lat wojny, odbyła się 24 czerwca w rześnym deszczu.

Zmiana nastroju od 9 maja chyba nie mogła być bardziej oczywista, chociaż tysiące moskwan, wciąż zaszokowanych i uradowanych końcem wojny, mogło przeoczyć tę zmianę. Zamiast szczęśliwego chaosu był to dzień geometrycznej precyzji. Plac Czerwony wypełniały kształty, nie indywidualni ludzie. Każdy czworobok na paradzie składał się z wielu mężczyzn w mundurach. Zgodnie z najlepszą tradycją państw autorytarnych (ze względu na masową skalę uroczystość mogła być równie dobrze hitlerowskimi zawodami sportowymi), wszyscy poruszali się z wytrenowaną rutyną, nikt nawet nie patrzył w kierunku, którego z góry nie uzgodniono i nie przewidziano. Na paradzie złote galony aż oślepiały. To była armia z wyraźną hierarchią i silnymi dowódcami, a nie pospolite ruszenie czy nawet miecz światowego proletariatu. Sam Żuków dokonał przeglądu wojsk, siedząc na popędlwym siwku i moknąc w deszczu. Tematami dnia były triumf i władza. Zwycięstwo, to stało się jasne, polegało na pokonaniu Niemiec, a nie na oswobodzeniu Rosji. W wielkim geście podboju niemieckie sztandary, każdy zwieńczony srebrnym orłem, zrzucano na stos przed Mauzoleum Lenina. Mogły błyszczeć w czerwcowym słońcu. Zamiast tego stały się przemokniętą stertą czerwieni i czerni w szarej wilgoci.

Stalin obserwował paradę z bezpiecznego podium. Według wszystkich opisów był wyczerpany i widocznie się postarzał. Ale nie stracił nic ze swej podszytej niepokojem zazdrości. Tamtej nocy, na bankie-

cię dla 2,5 tysiąca oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej, przywódca zaproponował toast za naród radziecki. To miał być największy moment chwały i wdzięczności. Zamiast tego słowa, których użył, równie dobrze mogły wprawić cały naród w dygot. Chociaż Stalin przyznał, że była to prawdziwa wojna ludowa, nie miał zamiaru wychwalać swych rywali. Minął czas prażnej dumy. Chociaż witano ich jak bohaterów, ludzie, którzy walczyli, miliony, których wysiłki zapewniały żołnierzom jedzenie i pociski do karabinów, stały się „małymi śrubkami i trybikami” w wielkiej maszynie jego państwa²². W następnym dziesięcioleciu zaś mieli się stać zaledwie łatwo wymienialnymi częściami maszyny. Pokój na takich warunkach byłby rozczarowaniem dla wielu cywilów, ale dla frontowców, pełnych nadziei i nowo odnalezionych sił, miał okazać się czymś w rodzaju śmierci, zatrącając siebie. Pod wieloma względami był także zdradą.

„Żyjemy w warunkach pokojowych już około tygodnia - napisał Taraniczew do Natalii 15 maja. - Nie słychać dział i karabinów maszynowych, samoloty nie latają; nie trzeba pamiętać o zaciemnieniu - pracujemy nocą przy otwartych oknach i wdychamy świeże powietrze. Ale... wciąż jest wiele do zrobienia. Zostaniemy tu pewnie przynajmniej kilka miesięcy”. Nie jest to bardzo ciężka praca, wyjaśnił dalej. Wraz z kolegą kwaterował przy rodzinie, niedaleko ich bazy w Czechosłowacji. Gospodarze byli pełni szacunku, hojni. „Dbali o wszelkie nasze wygody: wykopaliśmy się zaraz po przybyciu i dostaliśmy własny pokój z cudownymi łózkami i śnieżnobiałą pościelą”²³. W pokoju znajdowało się nawet radio - niemieckie, doskonałej jakości — które Taraniczew (pomimo miłego przyjęcia przez gospodarzy) planował zabrać do domu. Większa część tego listu dotyczyła paczek będących już w drodze do Aszhabadu. Innym trapiącym go problemem pozostawała przyszłość. Podobnie jak jego towarzysze, pragnął poznać datę powrotu do domu.

Większość frontowych oddziałów stacjonowała w środkowej i wschodniej Europie. Ich demobilizacja była pożądana nie tylko ze względów ludzkich, państwa radzieckiego nie było też stać na utrzymywanie kilkumilionowej armii. Jednak to, o czym marzyli starsi żołnierze —

szybkie, radosne połączenie z rodzinami — jeszcze długo nie miało być możliwe. Nie da się po prostu zdemobilizować armii z dnia na dzień. I kiedy państwo radzieckie sfinalizowało plany i odebrało raporty oraz przetransportowało ponad milion ludzi, ochoczo zaczęło wykorzystywać żołnierzy jako tanią siłę roboczą na trudniejszych odcinkach przy budowie i transporcie. Taraniczew wyliczył, że przydzielano im zadania od odbudowy dróg do zabezpieczania ruin w Berlinie i zajmowania się kolumnami byłych więźniów i uchodźców. Jeśli żołnierze w europejskim teatrze działań byli znudzeni, to tylko dlatego, że po zawierusze wojennej pokój zawsze wydaje się monotony. Jednak część żołnierzy Armii Czerwonej musiała jeszcze walczyć.

Wojna nie skończyła się tam tego celebrowanego majowego wieczoru. W sierpniu 1945 roku 90 dywizji Armii Czerwonej znalazło się w Mandżurii. Niektóre ściągnięto z Dalekiego Wschodu, z radzieckiej Mongolii; ale inne, w tym grupę, z którą podróżował Jer-molenko, po prostu skierowano na wschód z placówek nad Bałtykiem i z Europy Środkowej. Jermolenko służył już od 1942 roku. Ostatnią akcją, w jakiej uczestniczył w Europie, była bitwa o Królewiec, jedna z największych w 1945 roku. Po zaskakującym rozkazie wyjazdu pociągiem na wschód pod koniec kwietnia doszło do awantury z dowódcą. Sześć tygodni później, podczas gdy jego byli towarzysze rozpijali kolejną skrzynkę wódki w Berlinie, on montował stację radiową w cieniu gór Wielki Chingan. „Słuchaliśmy z zainteresowaniem o rozkazie demobilizacji żołnierzy powyżej trzydziestego roku życia - napisał w swoim dzienniku 28 czerwca. - To mnie nie dotyczy. Nikt stąd teraz nie wyjedzie”²⁴.

Walki w Mandżurii były krótkie, ale gwałtowne. Na pozór Armia Czerwona została wysłana na wschód, żeby dotrzymać zobowiązań wobec sojuszników. Gdyby za ludzką krew dało się kupić dobrą reputację, Sowieci zapłaciliby tę cenę. W ciągu jedenastu dni walk zginęło 12 031 radzieckich żołnierzy, ofiar wojny, która miała niewielkie znaczenie dla kraju²⁵. Stalin tak naprawdę próbował tylko zabezpieczyć radziecki Daleki Wschód oraz wesprzeć swoje roszczenia do cennych terytoriów, takich jak Wyspy Kurylskie i Sachalin. Szybka akcja nabrała znaczenia po 6 sierpnia, kiedy Stany Zjedno-

zione rzuciły bombę atomową na Hiroszimę, co zapowiadało koniec wojny i sprawiło, że pomoc radziecka stała się zbędna. W dniu, gdy Sowieci rozpoczęli działania wojenne przeciwko Japonii, druga bomba zniszczyła Nagasaki. Straszliwa demonstracja potęgi Waszyngtonu była ostrzeżeniem, które Stalin wziął pod uwagę. Armia Czerwona przeszła do ofensywy i przypuściła atak na dalekie i słabo zamieszkane rejony Azji. Stalin marzył o okupacji części wyspy Hok-kaido. Jeszcze kilka tygodni walk pozwoliłoby zrealizować to pragnienie. Jermolenko był więc świadkiem, poza doświadczeniem głodu, strachu i osobistego zakłopotania, pierwszych strzałów w zimnej wojnie.

Cień tego nowego konfliktu padał też na Armię Czerwoną w Niemczech. Pozornie alianci - Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja i Związek Radziecki - nadal działali w harmonii, wspomagając się dostawami, współpracując przy odbudowie łączności i tak istotnej kwestii repatriacji wysiedlonych. Jednak pod powierzchnią kryły się napięcia. O bombie, która ustaliła relacje między obiema stronami, żołnierze ledwie wspominali w swoich listach z sierpnia. Wydawało się to tak przerażające, że informację dało się przyswoić dopiero po komunikacie Mołotowa, który ogłosił światu, iż Związek Radziecki potrafi zbudować własną broń jądrową. Ale strach przed Ameryką nie był głównym problemem weteranów Armii Czerwonej w Europie. Z punktu widzenia Moskwy największe zagrożenie w szeregach stanowili żołnierze po części zazdrośni, po części naiwnie podziwiający możliwych kapitalistycznego świata.

Od dziesięcioleci supermocarstwa traktowano jako wrogów, ale przez chwilę wydawało się, że ich żołnierze się zaprzyjaźnią. Wzajemna sympatia opierała się na szacunku, wdzięczności i dopełniających się cechach społecznych. Amerykańscy żołnierze podziwiali spontaniczność Rosjan, ich talent do organizowania popijaw i muzyki²⁶. Czerwonoarmiści z kolei byli im wdzięczni za maszynki do golenia, papierosy, kolorowe paczuski gumy do żucia. Również dla radzieckich utopistów Chicago było swego rodzaju prototypem, a zdrowi mężczyźni o kwadratowych szczękach wzorami dla ich przyszłych dzieci. Ameryka stała się niebezpiecznie olśniewająca. Diabeł, mawiano, zawsze gra najlepiej, więc politruków bardzo martwiło,

że blues i jitterbug zaczynają wypierać pieśni Armii Czerwonej. Im dłużej bohaterzy wojenni zostaną w Niemczech, tym bardziej staną się niepewni — z punktu widzenia ideologii i dyscypliny.

Minął jakiś czas, zanim w zwycięskim wojsku radzieckim rozluźniła się wojenna dyscyplina i osłabł strach przed batalionami karnymi. Nowe nastroje znalazły wyraz w serii dewastacji. Same kampanie Armii Czerwonej zniszczyły Niemcy, ale teraz jej żołnierze — podobnie jak ich byli wrogowie - musieli wieść życie pośród pyłu i gruzów, które były ich dziełem. W pobliżu Berlina leży na przykład Poczdam. W lipcu 1945 roku na jego niegdyś eleganckich przedmieściach odbyło się spotkanie Stalina, Churchilla i nowego amerykańskiego prezydenta Harry'ego Trumana. Nie był to już jednak luksusowy kurort. Niewiele budynków pozostało nietkniętych. 14 kwietnia bombowce aliantów zniszczyły główne zakłady przemysłowe miasta, jak również elektrownie, stacje kolejowe, magazyny żywności, zakłady wodolecznicze i zajezdnie tramwajowe. Kiedy 27 kwietnia wkroczyła tam Armia Czerwona, w mieście brakowało leków, czystej wody, elektryczności i gazu. Od dwóch tygodni cywile nie otrzymywali dostaw żywności. Bez czystej wody i działającej kanalizacji musieli mieszkać w brudzie i zmagać się z szerzącymi się chorobami, w tym tyfusem i dyzenterią. Ich ofiarami padały głównie dzieci, ale cała ludność znajdowała się na skraju moralnego i fizycznego upadku. Co gorsza, miasto stało się punktem etapowym dla podróżujących uchodźców. Poza tym pod koniec kwietnia rozegrała się tam walna bitwa, a haubice i miny dopełniły zniszczenia²⁷.

Odbudowa tego rumowiska - i wielu innych - byłaby niewdzięcznym zadaniem w każdych czasach. Brakowało środków, nie istniały zapasy żywności i rezerwy paliwa. Nie było również doświadczonych specjalistów. Co typowe, Armia Czerwona po przesunięciu linii frontu skierowała do odbudowy najmniej zdolnych oficerów. W Poczdamie przy odbudowie mostów i sprzątaniu ulic pomagały grupy ludzi, którzy nie nadawali się do walki na froncie, byli jeńcy wojenni i ochotnicy ściągnięci spośród tysięcy emigrantów, których Sowietci znaleźli na wyzwolonej ziemi niemieckiej. „Większość (...) jest zupełnie niezdiscyplinowana — lamentowały władze wojskowe. - Zajmują się piciem i grabieżą". Konieczne było skłonienie do

pomocy miejscowych, ale większość cywilów bała się pracować. Kobiety zatrudnione przy wózkach wywozujących gruz wiedziały, że ciągle grozi im napaść i gwałt. Pewnego razu sześć młodych kobiet z jednej brygady zostało zgwałconych pod koniec dnia roboczego. Ciała innych leżały w stosach jak drewno pośród gruzów zaścieniających ulice²⁸.

Po zawarciu pokoju gwałty zdarzały się sporadycznie, pod wpływem impulsu albo po przybyciu świeżych oddziałów wojska. Niektórzy niemieccy urzędnicy wierzyli, że Sowietci milcząco na nie przyzwalałi, szczególnie podczas świąt państwowych, niebezpiecznych okresów dla kobiet przebywających w okolicy żołnierskich baz²⁹. Frontowcy twierdzili teraz, że przestępcami w takich

przypadkach są szczury z tyłów i cywile, jednak istnieją dowody przeciwko całym grupom. Rzeczywiście, atmosfera sprzyjająca naruszeniom dyscypliny była często silniejsza pośród byłych żołnierzy z linii frontu. W kraju oficerowie sztabowi i politycy wymuszali honorowanie rang, ale w oddziałach liniowych między oficerami a podwładnymi panowały rodzinne stosunki. Jak na ironię, wysiłek włożony w pokonanie faszyzmu stał się katalizatorem przełamania strachu i wzajemnej podejrzliwości, starannie wypracowanych przez reżim stalinowski. Było to wbrew zasadom, ale wielu oficerów na przykład zwyczajowo używało przyjaznej i nieoficjalnej formy „ty”, zamiast bardziej oficjalnego „wy”. Najgorszymi przestępcami byli sierżanci, a szczególnie starsi żołnierze, ale nawet porucznicy lekceważyli zasady, zwłaszcza dotyczące poprawnego noszenia munduru³⁰. Życie żołnierzy obserwowane z zewnątrz — kiedy się urządzali, rozdzielali prace i bielili ściany w nowych koszarach — zaczęło przypominać domową sielankę³¹.

Podczas wojny dobrzy oficerowie nauczyli się, jak poznawać swoich ludzi, budując zaufanie i jednocześnie pokazując, kto jest szefem. Teraz zbyt często — tak przynajmniej wyglądało to w oczach obserwatorów z NKWD - ci sami oficerowie za dobrze się czuli w towarzystwie własnych podkomendnych i godzili na przestępstwa, jeśli służyły wszystkim. Poza ich bazą cały kraj pozostawał w ruinie, ale wewnątrz życie upływało niemal przyjemnie. W czerwcu w Poczdamie wokół żołnierskich kwater wyrosła wojskowa wioska. Żoł-

nierze wybudowali ją sami, tworząc kopie burżuazyjnych domów z drewna, szyb, a czasem nawet okiennic wydobytych z ruin. Potem główne zajęcie czerwonoarmistów można by nazwać prowadzeniem domu. Krzątali się wokół domowych spraw, pościeli, jajek i opału, a raport z tego okresu nazwał ich zajęcia „samoobsługą”³². Pojawiły się nawet gramofony - kolejne łupy - na których odtwarzano amerykański jazz i jitterbuga. Samoobsługa nie ustawała na granicy koszar. W całych Niemczech żołnierze zabierali żywność z gospodarstw, żądając regularnych dostaw jaj i mięsa. Pewnego kapitana złapano z trzema końmi i wózkiem zaprzężonym w kucyka, 30 kilogramami masła 121 żywymi gęsiami. Inny zażądał od okolicznych mieszkańców codziennej dostawy 100 jajek i 25 litrów mleka³³.

Sporą część zarekwirowanej żywności sprzedawano po paskarskich cenach. Czarny rynek kwitł. Prawie nie spotykało się rzeczy bezwartościowej. Mimo iż druty były pozrywane, nawet aparat telefoniczny mógł się przydać gdzieś w Europie. Sztuka polegała tylko na znalezieniu nabywcy. W pewnym miasteczku w ciągu kilku tygodni pokoju czerwonoarmiści zgromadzili łącznie 1500 rowerów. W cenie było też paliwo, szczególnie odkąd sami żołnierze polubili rajdy po wąskich uliczkach w ciężarówkach z Lend-Lease Act i na motocyklach. Koneserzy mieli możliwość zebrania dzieł sztuki. Wiele niemieckich skarbów, włącznie z cennymi obrazami i innymi przedmiotami zrabowanymi w Europie, zostało zagarniętych przez Sowietów w 1945 roku na poczet reparacji, ale magazyny, gdzie je składowano przed transportem, nie były bezpieczniejsze niż inne wojskowe bazy. Na czarnym rynku sztuki działali żołnierze wszystkich rang, szczególnie wojskowi żandarmi³⁴. Później zajęli się oni jeszcze niebezpieczniejszymi interesami. W 1946 roku najwyższe ceny uzyskiwano za waluty, bilety i cenne przepustki podrózne na Zachód³⁵.

Jak zwykle radzieckie władze monitorowały wszystko, co mówili miejscowi. „To jasne — stwierdza jeden z raportów — że poza nielicznymi szczerymi antyfaszystami ludność nie jest zadowolona z obecności Armii Czerwonej na ziemi niemieckiej i ma nadzieję na przybycie Amerykanów lub Anglików, i modli się o to”³⁶. Niemcy wyrażali swe poglądy na różne sposoby. Przed nielicznymi działa-

jącymi kawiarniami czy barami pojawiły się dwujęzyczne szyldy: rosyjski tekst zapraszał gości, podczas gdy niemieckie „tłumaczenie” zawierało jakąś pogardliwą obelgę³⁷. Gorsze było to, że żołnierze chodzący nocą sami, lub nawet w małych grupach, mogli zostać znaleźieni o świcie z poderżniętymi gardłami albo kulą w głowie³⁸. Gdyby okupacja miała potrwać, a przede wszystkim gdyby radziecka strefa nie stanowiła ściegu dla stalinowskich kadr, należałoby pomyśleć o jakimś wzajemnym porozumieniu między Armią Czerwoną a jej niechętnymi gospodarzami. To nie była tylko kwestia poskromienia frontowców. Nad zawodowymi żołnierzami i oficerami liczebnie dominowali poborowi, ekswięźniowie i wysiedleni radzieccy cywile. Wszyscy byli w szoku, niepewni, czy wojna naprawdę się skończyła. W czerwcu 1945 roku administracja polityczna przystąpiła do organizowania pokojowego współistnienia.

Pierwszym krokiem było powstrzymanie nienawiści. 11 czerwca rozkaz zarządu politycznego Armii Czerwonej usunął słowa „Śmierć niemieckim najeźdźcom!” z nagłówek wszystkich gazet i czasopism dla żołnierzy. Zamiast niego pojawiło się nijakie hasło: „Za naszą radziecką ojczyznę!”³⁹ Żołnierze wysłuchali też wykładów o błędach swego dawnego idola, Ilii Erenburga. Pomysł polegał na odciągnięciu ich myśli od zabijania Niemców. Przemoc jednakże weszła im w krew. Trzeba było czegoś więcej niż hasła, żeby wypłenić nienawiść, która od lat zżerała weteranów. Żuków, świeżo po swym triumfie na placu Czerwonym, zastosował groźby. „Wciąż napływa wiele skarg na rabunki, gwałty i indywidualne przypadki bandytyzmu popełniane przez jednostki noszące mundur Armii Czerwonej” - stwierdził w rozkazie z 30 czerwca. Dał swej armii tylko pięć dni na zaprzestanie antyniemieckich działań. Odtąd, rozkazał, wszyscy żołnierze mają przebywać w koszarach, chyba że mają do załatwienia oficjalne sprawy i są ściśle nadzorowani. W odpowiedzi na nasilający się problem oficerów i żołnierzy, którzy wzięli nieoficjalne niemieckie „żony”, rozkaz stwierdzał, że każdy przyłapany na wchodzeniu do prywatnego domu lub wychodzący z niego będzie aresztowany i ukarany. Wiedząc, że oficerowie wraz z podkomendnymi popełniają wszelkiego rodzaju przestępstwa, marszałek dodał, iż każdy oficer niezdolny do utrzymania ścisłej dyscypliny zostanie odwołany⁴⁰.

Rozkaz odniósł pewien skutek w następnych tygodniach. Wszystkie bazy wojskowe doniosły o spadku zanotowanych przestępstw. Później dochodzenia wskazywały na to, że oficerowie nadal współdziałali ze swymi ludźmi, ukrywając szczegóły wykroczeń, by trzymać z dala NKWD. Jednak liczby sugerują prawdziwą zmianę nastrojów⁴¹. Pewną rolę mogły w tym odegrać prestiż Żukowa i głęboki szacunek, jakim darzyli go żołnierze, podobnie jak stopniowe efekty pokoju. Gwałty na przykład stały się rzadsze od końca czerwca, ale przyczyną tego było zawarcie trwalszych znajomości przez żołnierzy z miejscowymi kobietami. Część założyła nawet swego rodzaju ogniska domowe w nadziei, że zostaną i ustabilizują się tam, gdzie rzucił ich los. Praktyka ta była tak powszechna, że karano jedynie najbardziej bezwstydne przypadki, jak oficera, który pozostawił sześć ciężarnych „żon” od Polski do Berlina⁴². Według burmistrza Królewca jedynymi Niemcami w jego mieście, którzy się odpowiednio odżywiali tamtej zimy, były kobiety spodziewające się dzieci radzieckich żołnierzy⁴³. Od końca lata do najczęstszych wykroczeń żołnierzy należały pijaństwo, niedbałe noszenie munduru i brak szacunku dla wyższych stopniem⁴⁴. Pragnienie zemsty osłabło.

Innym problemem w strefie okupacyjnej było przekonanie żołnierzy, że praca pokojowa jest ważna. Frontowcy, włącznie z dawnymi członkami karnych batalionów, kpili z dyscypliny i regularnych godzin pracy. „Widziałem to wszystko - wspominał pewien weteran. — Nie zatrzymają mnie tutaj”⁴⁵. Ludzie, którzy szkolili się w zabijaniu, musieli uznawać obowiązki wartownicze za nudne, a wielu z niechęcią odnosiło się do odgruzowywania niemieckich ulic.

Powszechnie sądzono, że niebezpieczne zadanie rozminowywania powinno zostać przydzielone niemieckim cywilom, a w wielu miastach oddziały ochotników robiły to pod wojskowym nadzorem w zamian za dodatkowe racje żywnościowe⁴⁶. Za prawdziwą pracę uznawano jednak rozbrajanie i demilitaryzację strefy radzieckiej. Demontaż i wysyłka wielkich fabryk w ramach reparacji musiały być dziwnym zadaniem. Gdziekolwiek widzieli dowody niemieckiego bogactwa, żołnierze zastanawiali się, dlaczego wojna w ogóle się zaczęła, czego taki zamożny naród szukał na radzieckiej ziemi. Ale mimo wszystko, bez względu na swe zachowanie, czerwoarmiści mieli powody,

żeby sądzić, że są zwycięzcami. Jakiegokolwiek zadanie podjęli, musieli wierzyć, że odtąd życie będzie lepsze. Frontowcy, ze wszystkimi swymi problemami, stanowili elitę w strefie okupowanej.

Inaczej przedstawiała się sprawa z pozostałymi radzieckimi żołnierzami, tymi, dla których wojna skończyła się w niewoli. Tylko ułamek z milionów jeńców schwytanych przez wojska Hitlera w pierwszych latach wojny żył jeszcze w 1945 roku, ale ogólna liczba jeńców była tak wielka, że po podpisaniu pokoju w środkowej Europie nadal tysiące ludzi czekały na ratunek. Jeśli mieli nadzieję na szybkie uwolnienie, nie wspominając o powrocie do domów, to się mylili. 11 maja 1945 roku Stalin podpisał rozkaz, który nakazywał ustanowienie kolejnej sieci obozów w centralnej Europie. Dla 1.12. Frontu Białoruskiego miało ich być 45, każdy przeznaczony dla 10 tysięcy ludzi. W czerwcu na terytorium radzieckim znajdowało się 69 obozów dla jeńców specjalnych i dalsze 74 w Europie⁴⁷. Powstały, by internować w nich eksczerwonoarmistów, którzy trafili do niewoli, z zamiarem ich „odfiltrowania”, co znaczyło wyszukiwanie szpiegów, wyłowienie tchórzy i wyznaczenie kar tak zwanym zdrajcom ojczyzny.

Los jednego z jeńców, P. M. Gawryłowa, który znalazł się wśród nielicznych niedobitków po bitwie o Brześć w 1941 roku, pokazuje jakość radzieckiej sprawiedliwości. Gawryłow był prawdziwym bohaterem. Chociaż został ranny, i to poważnie, walczył do ostatniego pocisku, oszczędzając ostatni granat, by cisnąć go we wroga, gdy tracił przytomność z powodu upływu krwi. Jego odwaga tak zaimponowała żołnierzom Wehrmachtu (którzy rzadko poddawali się takiemu sentymentalizmowi), że przenieśli go, niemal martwego, do punktu opatrunkowego, skąd trafił do obozu jenieckiego. Za ten akt „kapitulacji” został oskarżony w maju 1945 roku, po wyzwoleniu z niemieckiego obozu. Jego nowym domem stał się kolejny obóz, tym razem radziecki. Łącznie około 1,8 miliona jeńców takich jak on skończyło w łapach Smierszu⁴⁸.

Budowa więzień dla takich „specjalnych” weteranów stanowiła wyzwanie, kiedy środki były szczupłe, ale radzieckie organy bezpieczeństwa zawsze służyły ze zdolności adaptacyjnych. „Obóz położony jest nieco za miastem — omawiał lokalizację raport NKWD

z tamtego lata. - Otacza go bezpieczne ogrodzenie, ma budynki odpowiednie, by pomieścić kontyngenty jeńców”. Hitlerowcy doskonale wiedzieli, jak wybudować więzienie. Chodziło o położony niedaleko Oranienburga obóz koncentracyjny w Sachsenhausen. Za rządów Hitlera wymordowano tam 30 tysięcy ludzi. Armia Czerwona wyzwoliła go 22 kwietnia, znajdując kilkuset ocalałych w stanie krytycznym, tak że wielu zmarło, zanim lekarze zdołali im pomóc. Jednak mimo iż komory gazowe były nieużywane, a wieżyczki strażnicze opustoszały, nadal było to dobrze zbudowane i dogodne więzienie. W następnych latach pomieści ono ekspatriantów czekających na badanie przez Smiersz oraz pociąg jadący na wschód⁴⁹.

Najgorszy los czekał tak zwanych własowców, z których większość w pewnym okresie życia przebywała w niewoli. Znaleźli się wśród nich ludzie, którzy załamali się i zgodzili walczyć za

Rzeszę, zamiast umierać z głodu w obozach. Mniejszość stanowili czynni działacze antyradzieccy, zwłaszcza przywódcy legionów narodowych z Kaukazu, krajów nadbałtyckich i Ukrainy. Część z nich zakończyła wojnę w Europie Zachodniej, ponieważ walczyli we Francji i w Belgii. Jak dziesiątki tysięcy innych obywateli radzieckich, zostali „repatriowani” przez sojuszników Stalina w ciągu 18 miesięcy od upadku Berlina. Łącznie do końca 1946 roku odesłano do dawnej ojczyzny około 5,5 miliona radzieckich obywateli. Około jednej piątej stracono na miejscu lub skazano na 25 lat ciężkich robót. Inni odebrali życie sobie, a nawet swym rodzinom, żeby nie zdać się na łaskę Smierszu⁵⁰.

Oddziały strażników, którym kazano eskortować tych ludzi, zapomniały o radzieckim braterstwie. Politrucy opowiadali im, że wła-sowcy to najgorsi zdrajcy, a żołnierze odpowiednio do tego traktowali więźniów. Całe grupy okradano, otwierano im bagaże i wyciągano na sprzedaż mydło, tytoń i żyletki. „Wziąłem jego koszulę, żeby wyczyścić karabin” - powiedział żołnierz żandarmerii. Takie rzeczy zdarzały się nagminnie⁵¹. „Specjalnych” traktowano jak skazanych, chociaż dopiero czekali na filtrację. Zawsze na nich spoczywał ciężar udowodnienia swej niewinności. Procedury trwały miesiącami, nawet latami. Smiersz i jego następczyni nadal „filtrowały” repatriantów w latach pięćdziesiątych⁵². Nieszczęśni więźniowie

musieli znosić obelgi i szykany, a takie samo traktowanie czekało ich po wysłaniu do obozów pracy. Do sierpnia 1945 roku już ponad pół miliona pracowało. Kontyngenty eksjeńców i „zdrajców” przydzielono do kopalń węgla i fabryk, na budowy, do wycinki drzew, stalowni, połowu ryb, zakładów chemicznych — wszędzie, gdzie potrzebowano robotników, a pieniędzy brakowało. Skazańcy mieli być wdzięczni Stalinowi za darowanie im życia.

Warunki stworzone tym pohańbionym, jak zauważył pewien ocalały, dorównywały doświadczeniom hitlerowskich obozów. Ekszół-nierzy wysyłano na Kaukaz do pracy w składach drewna bez wierzchniej odzieży i obuwia. Bez porządných kwater i możliwości kąpieli byli bezbronni wobec plagi wszy⁵³. Chodzili głodni, a większość nie otrzymywała zapłaty. „Nie zapłacę wam ani kopiejki — pewien pracodawca powiedział swej brygadzie. - Przysłali was do nas jako zdrajców ojczyzny, jako pasożytów, i jesteście tu, żeby pracować”. Brygadzysta z syberyjskiej kopalni zapewniał członka swego kontyngentu, że „tona węgla jest nam droższa niż wasze życie”⁵⁴. Jego nienawiść miała gorzkie korzenie. Wielu oprychów, którzy nadzorowali byłych żołnierzy, było dawniej ofiarami. Obozami i kopalniami na Syberii władali dawni kułacy, chłopci, których komunizm wywłaszczył na początku lat trzydziestych. Teraz wyładowywali swą wściekłość na zhańbionych czerwonoarmistach. „Gdy tylko wasi oficerowie odwrócą się plecami — wysyczał jeden z nich — zabijemy was głodem i ciężką pracą. Zasłużyliście na to, bo to wy w 1929 i 1930 nas rozkułaczaliście”⁵⁵.

Władze radzieckie naciskały na repatriację „specjalnych” z kilku powodów. Chciały ukarać dla przykładu część zdrajców, a ponadto obawiały się, jak to ujmuje Richard Overy, że własowcy w Europie Zachodniej staliby się „niepożądanymi przeciwnikami komunizmu”⁵⁶. Jednak w drodze do domu jeńcy okazywali się równie niepożądanymi rzecznikami kapitalizmu. Zawsze istniał pewien kontakt między więźniami a eskortą. Na tysiącach frontowców zrobiły wrażenie kapitalistyczne gospodarstwa i prywatne firmy, jakie widzieli, a teraz dyskutowali na ten temat z nowymi więźniami. „Przez całe życie nie najadłem się do syta - stwierdził młody żołnierz. - Więc jak oni mogą żyć w Polsce w tak kulturalny i porządný sposób, kiedy my

nic nie mamy?”⁵⁷ Dawni własowcy mogli śmiać się z takiej naiwności. Polska, wyjaśniali, była

zacošana, zniszczona przez wojnę, to kiepski obiekt zazdrości. Część z nich widziała Francję, Holandię czy Belgię. Cały kontyngent gruzińskich żołnierzy stacjonował na mglistej wyspie Texel; Ukraińców wysłano, żeby walczyli we Francji. „Belgia to kraj wysokiej kultury - opowiadał pewien weteran swej publiczności. — Ma wspaniale rozwiniętą gospodarkę. Można tam dobrze żyć”. Kiedy jakiś przemądrzały komsomołce odpalił, że Belgia ma wysokie bezrobocie - powszechny radziecki argument wobec blasku kapitalizmu — weteran miał gotową odpowiedź. „O tak - zgodził się. - Kobiety nie mają nic do roboty, więc mogą żyć wyłącznie dla miłości”⁵⁸.

Partia odpowiedziała zwykłą mieszanką wykładów i zimnych grózb. Żołnierzom i jeńcom na równi wygłaszano pogadanki w rodzaju: „Poglądy towarzysza Stalina na cele Armii Czerwonej i narodu radzieckiego oraz na stosunki z mieszkańcami Niemiec”, „Zasadnicze cele ekonomiczne ZSRR” i „Musimy być ostrożniejsi na obcej ziemi”⁵⁹. Tymczasem Smiersz nasłuchiwał zdradzieckich rozmów. „Filtracja” miała stać się udziałem każdego dawnego jeńca lub deportowanego, a wielu ugięło się pod ciężarem podejrzeń. Ale nawet dobrych frontowców obserwowano pod kątem oznak słabości. Jedyłą karą, jaką na masową skalę mógł stosować reżim stalinowski, był obóz *pracy*. Podczas wojny liczba więźniów gułagu zdecydowanie spadła, głównie z powodu trudnych warunków i zgonów. Do 1946 roku obozy znów się zapełniły.

Czerwonoarmiejsi już nie triumfowali, więc mogli prowadzić więzienie. Jednak im dłużej radzieckie wojska pozostawały w Niemczech, tym mniej dbały o kazania i groźby Moskwy. Wśród weteranów rozwinęła się nowa kultura, której głównymi składnikami były alkohol, kobiety, sekrety i twarda waluta. Osiemnaście miesięcy po nastaniu pokoju urzędnicy Stalina zrozumieli, że żadnemu weteranowi nie wolno zostać za granicą. Ich wpływ był zbyt liberalny, zbyt niszczący dla reżimu dyscypliny i ideologicznej sztywności. Ci, którzy mieli do czynienia z byłymi jeńcami i własowcami, zostali uznani za najgorszych. Do wiosny 1947 roku radzieckie władze wojskowe w Niemczech doszły do wniosku, że wszyscy żołnierze służą-

cy od dwóch lub więcej lat na terenie Niemiec (co oznaczało wszystkich kombatantów) i wszyscy, którzy blisko stykali się z kandydatami do repatriacji, powinni zostać bez zwłoki odesłani do domu⁶⁰. Należało ich zastąpić bardziej odpowiednimi, młodszymi, mniej kapryśnymi osobnikami. Frontowcy nadawali się do wygrywania wojen, ale autorytarne władze wojskowe żądały ludzi o duszach biurokratów.

Pierwsi zdemobilizowani żołnierze usłyszeli dobre wieści pod koniec czerwca. Władze wojskowe zaczęły od wybranych kategorii mężczyzn trzydziestoletnich lub starszych (uznawano ich za „starsze grupy wiekowe”), a także kobiet bez istotnych specjalności. Uznano, że starsi mężczyźni najchętniej wrócą do domów, a poza tym mają obowiązki rodzinne. „Powinniście zorganizować komitet i zdemobilizować wszystkich trzydziestoletnich i starszych żołnierzy — żądał pewien weteran w liście do Kalinina z 20 czerwca. - Wszyscy jesteśmy co do tego zgodni (...). Co poczniemy z żoną, skoro mam ponad trzydziestkę i ani jednego syna? Za pięć-dziesięć lat mężczyzna straci szansę u kobiet. Czas na to trwa do trzydziestu pięciu—czterdziestu lat i wszyscy o tym wiedzą”. Rozkaz demobilizacji pojawił się trzy dni później, chociaż nie obejmował wszystkich, nawet starszych mężczyzn. „Co zrobilibyście — kontynuował ten sam niecierpliwý weteran - gdyby każdy żołnierz zażądał zwolnienia tego samego dnia? Nasi strażnicy i oficerowie nie mogliby nic zrobić, ponieważ oni też chcą wrócić do domu. To siła ludu”⁶¹.

W rzeczywistości żołnierze tkwili w pułapce, przynajmniej przez krótki czas. Przede wszystkim przeciążony, zniszczony przez bombardowania transport między Berlinem a Brześciem nie mógł zabrać wszystkich naraz do kraju. Z punktu widzenia radzieckich władz prawdziwe problemy tkwiły jednak w umysłach żołnierzy. Wysłanie ich do domu bez starannego przygotowania było zbyt ryzykowne pod względem ideologicznym. Ponure, krwawe zwycięstwo wymagało swego wianuszka bohaterów, co oznaczało przygotowanie gruntu pod ich przyjęcie, a na to potrzeba było czasu i planu. Poza tym istniało niebezpieczeństwo, że weterani zaczną opowiadać o ka-

pitalizmie albo życiu bez kołchozów. Mogli rozmawiać o okrucieństwach, egzekucjach na linii frontu, Smierszu albo nawet grozie śmierci na polu bitwy. Swobodna myśl, która zaczęła kielkować na froncie, musiała zostać stłamszona, zanim zdołałaby zarazić cywilny świat.

Demobilizację zaczęto więc przedstawiać jako rodzaj przywileju, a nie obowiązek wdzięcznego państwa wobec ludzi, którzy za nie walczyli. Politrucy zwoływali więcej swych ulubionych zebrań w małych grupach i wyjaśniali to, czego żądała od nich „góra”. Obowiązkiem wszystkich, mówiono żołnierzom, jest „ściśle przestrzeganie tajemnicy wojskowej i państwowej tak w kraju, jak i na froncie. Niech osoba zdemobilizowana zachowa ciepłe wspomnienia o jednostce i wojennych przyjaciołach”. Niech jednak nie mówi dużo więcej. „Musieliśmy coś podpisać” - przyznają weterani. W rzeczywistości zostali ostrzeżeni, że demobilizacja i pomoc finansowa, która za tym idzie, zależą od ich zgody na zachowanie dla siebie wojennych doświadczeń — liczby poległych i okrucieństwa, braków w wyżywieniu i odzieży⁶². Obecna dyskrekcja weteranów, ocierająca się często o jawne kłamstwo, jest powiązana z podpisaniem owego dokumentu.

A podpisali go, gdyż tylko wtedy mógł się zacząć powrót do prawdziwego życia. Fakt, część żołnierzy wołała zostać i robić karierę wojskową - co wybrał Kirił - ale większości spieszo było do domów. Wybrańcom wydawano cywilne ubrania i parę butów. Dostawali przepustki podróżne i dokumenty, dzięki którym mogli bezpiecznie wrócić. Wręczano im też paczki żywnościowe i inne drobne podarunki od wdzięcznego państwa. Ich bagaż wkrótce zajął półki i przedziały pociągów pasażerskich, wylewając się na korytarze i dołączając do woni tytoniu, czosnku, wilgotnych koców i dieslow-skich spalin. Żołnierze zdemobilizowani w Erfurcie w 1946 roku mogli liczyć na „sportowe ubranie, sweter, bieliznę, skórę i pantofle”, a oficerowie ponadto na „parę damskich butów”. Otrzymali też po 5 kilogramów cukru, 10 kilogramów mąki, czajnik, łyżki, torbę podróżną, ręcznik i trochę herbatników na drogę do domu⁶³. Większość dostała też pieniądze, sumę zależną od stopnia i długości służby⁶⁴. Ta szczodrość wiązała się z dalszym nadzorem. Żołnie-

rzy ostrzeżono, żeby nie zabierali do kraju broni. Przed opuszczeniem obozu przeszukiwano ich bagaże⁶⁵. Rytuał był daremny, gdyż każdy mógł zaopatrzyć się w broń i materiały wybuchowe, kopiąc na zrytych lejami polach w ojczyźnie.

Wreszcie — nieuchronnością spełnianego marzenia — nadchodził moment przekroczenia granicy, opuszczenia wojskowego życia na dobre. Większość weteranów wspomina to jako bolesną stratę. Jakkolwiek bardzo tęsknili za domem, rozstanie z kolegami było dotkliwe. Ostatnie godziny w obozie ludzie spędzali na przemówieniach i śpiewie. „Śpiewaliśmy nasze surowe pieśni marszowe” — napisał Puskariow. Były to pieśni zwycięstwa. Prawdziwe emocje wiązały się jednak z pieśniami o kłęsce, pieśniami o stracie i tęsknocie za domem od 1942 roku — *Czekaj na mnie, Ziemiańska, Ech, długa droga, Ciemna noc* — melodiami, które podtrzymywały to znikające pokolenie w walce z

rozpaczą⁶⁶. Pieśni nie brzmiały już tak samo ani nie miały takiego znaczenia. Wielu żołnierzy płakało przed odjazdem pociągów. Gdy żegnali się z towarzyszami, którzy wiedzieli, co to wojna, jedynymi, którzy mogli zrozumieć ich opowieści, tracili prawdziwą duchową rodzinę. Mieli za nimi tęsknić — a większość pozostawała w kontakcie z kolegami - do końca życia.

Podróż do domu musiała być dziwna. Niewygodna i ciężka torba, druga - mniejsza, kapciuch z tytoniem i przepustka. W bagażu znajdowało się wojenne mienie, materialny dowód tego, co widział i przeżył żołnierz. Niemal w każdym przypadku były tam ordery — za zwycięstwo, za służbę, za odwagę, a nawet wielka czerwona gwiazda czy czerwony sztandar. Potem fotografie. Podczas wojny fotografowie prasowi zarabiali drobne sumy za robienie zdjęć żołnierzom, portretów do wysłania żonie i zdjęć grupowych, które miały przypominać o kolegach. Gdy pociąg toczył się w stronę Brześcia i Smoleńska, weterani przeglądali fotografie, popadając w zadumę nad kształtami broni, słońcem przeświecającym przez drzewa, uśmiechami na twarzach dawno nieżyjących kolegów. Jakkolwiek długo by żyli, nigdy nie starczyłoby czasu, by to wszystko wyjaśnić. A prezenty, buty i zegarki wydawały się teraz mieć inne znaczenie. Na froncie były łatwymi łupami, elementami tłustego zwycięstwa. Teraz, gdy świat triumfu i braterstwa zaczął się oddalać, stały się amu-

letami, cennymi, rzadkimi, a zarazem zbrukanyymi skrytym poczuciem winy, że jest się żywym, a nie martwym.

Pociągi znów przecinały granice, tym razem kierując się na wschód, do domu. Mijały znajome białoruskie, a potem rosyjskie miasta, których nazwy wykrzykiwano w euforycznym triumfie, gdy Armia Czerwona parła na zachód. Teraz jednak żołnierze mieli czas, by się rozejrzeć, a część zauważyła, ile kosztowała wojna. Białoruś była pustkowiem, Kijów stał poczerniały i zniszczony. Całe połacie pól wyglądały na zaniedbane, gdyż mieszkało tam mniej ludzi niż pięć lat wcześniej i brakowało mężczyzn, a także koni do wykonywania najcięższych prac. Pejzaż był martwy, usiany niewypałami pocisków

i min. Mosty i tory naprawiono, ale żołnierze, którzy ostatnie kilometry chcieli pokonać ciężarówkami, zastali zniszczone drogi: dziurawe, błotniste i wciąż naznaczone szkieletami czołgów. Podczas wojny wystarczyło przelotne spojrzenie, by wiedzieć, że trzeba walczyć. Kolejne spojrzenie na żalosne ruiny Leningradu, Pskowa czy Stalingradu kazało myśleć o tym, że wszystko to trzeba oczyścić, zabezpieczyć i odbudować. Berlin wyglądał nieco lepiej, ale za niego żołnierze nie byli odpowiedzialni, to miasto nie było ich przyszłością. Przed powrotem do cywilnej rzeczywistości odyseja żołnierzy obejmowała jeszcze jeden akt. Jak zwykle, dominował nad nim wizerunek Stalina. Jego portret umieszczano na wagonach, nazwisko wypisywano na transparentach rozwieszonych nad siedzibami lokalnych komitetów partii. Jednak ceremonie powitania wracających żołnierzy rzeczywiście chwytaly za serce. To nie tylko partia, ale setki rodzin płaciły za kwiaty, którymi obsypywano pociągi wjeżdżające do Charkowa, Kurska czy Stalingradu. Na każdym postoju po drodze rozwijano czerwone dywany, a żołnierzom wręczano prezenty i żywność. Rozbrzmiewała muzyka — pieśni Armii Czerwonej — a gdzieś tam prawdziwa orkiestra grała wśród portretów wodza i czerwonych flag. Każdy peron stawał się morzem czerwonego płót-

na, kwiatów i wiwatujących tłumów. Pierwsze podróże powrotne przypominały długotrwałe

przyjęcie.

Być może ten świąteczny nastrój pomógł żołnierzom przetrwać szok powrotu, ale nie ma wątpliwości, że był to pełen napięcia, a nawet straszny czas. Mogli za nim tęsknić i o niczym innym nie myśleć, ale ponowne spotkanie z rodzicami, dziećmi, żonami i przyjaciółmi kosztowało wiele emocji. Gdy pociąg docierał do stacji końcowej, żołnierze widzieli masę napierających ludzi, podnieconych obcych, mnóstwo kobiet. Rozglądali się w tłumie, dostrzegali barwne letnie sukienki, dzieci z fotografiami młodszych mężczyzn, których już nie było. A kiedy dostrzegali najbliższych, musieli po raz drugi zdać sobie sprawę, co znaczyła wojna. Utrwaleni w świetle fleszy w lipcu tamtego roku weterani wyglądają jak przedstawiciele nowego gatunku. Zakurzeni i opaleni, mrużący oczy przed dawno zapomnianym światłem, wydawali się nie czuć żadnego związku z cywilami, którzy tłoczyli się wokół nich. Na pewno wyglądali starzej, a ich skóra, gdy dzieci ją całowały, sprawiała wrażenie twardej i suchej. A mimo to, jak pokazują zdjęcia, chwila ta skrzyła się prawdziwą radością.

Lokalne komitety partyjne zaplanowały uroczystości powitalne w najdrobniejszych szczegółach. Zaspokojenie potrzeb wracających żołnierzy miało być nie tylko wyrazem wdzięczności — chociaż to również. Wyreżyserowane powitania miały też wpłynąć na umysły. Na froncie politycy zajmowali się kształtowaniem sposobu myślenia żołnierzy, a teraz lokalni działacze partyjni starali się zapewnić im edukację i właściwe rozrywki. Weteranów zasypywano gazetami i propagandowymi broszurami. Ich pokoje zaopatrywano w bezalkoholowe napoje, słodczyce i tytoń. Żonaty, którym rodziny wyjechały na spotkanie, zatrzymywano niekiedy w hotelach, dopóki nie przybył konny wóz, by zabrać ich do domu. Kawalerowie, a szczególnie bezdomni, których czekała długa podróż, dostawali paczki żywnościowe jako uzupełnienie zwykłych przydziałów kartkowych. Wysłuchiwali też wykładów. W Kursku, który przyjął wielu przejezdnych ekszołnierzy, program tamtego lata przewidywał pogadanki o sytuacji międzynarodowej, bohaterskiej przeszłości narodu rosyjskiego, życiu i czasach Maksima Gorkiego oraz „tematy medyczne”, zapewne wszawicę, alkoholizm i choroby weneryczne.

Uczestniczyło w nich ponad 2 tysiące ludzi. Chodzili też na darniowe seanse filmowe i koncerty urządzone przez władze miejskie. Weteranom nie pozwalano włóczyć się samopas⁶⁷.

Jeśli chodzi o poważniejsze sprawy, ktoś musiał zająć się zakwaterowaniem weteranów, ich życiem rodzinnym i pracą. Część „hotelii”, w których przebywali żołnierze, była po prostu namiotami. Tam, gdzie przeszli Niemcy, a potem Armia Czerwona, ostało się niewiele budynków z solidnymi ścianami. Czasami mężczyźni wracali do „domu”, gdzie znajdowali żony i dzieci w jednopokojowym mieszkaniu, bez kuchni, wody i z przeciekającym dachem. Mogli też znaleźć rodzinę w ziemiance, gorszej od tych zapamiętanych ze Stalingradu czy Krymu*. W 1945 roku miejscowe władze miały się, żeby znaleźć domy dla wracających bohaterów. W Smoleńsku, który na równi z innymi miastami ucierpiał podczas okupacji, w styczniu 1946 roku około jednej czwartej weteranów pozostawało bezdomnych⁶⁸. Mimo wszystko ekszołnierze i tak stanowili elitę. W Kursku w gruzach leżały nawet warsztaty, gdzie mogliby naprawić buty czy znoszone przedwojenne ubrania⁶⁹.

Pierwsi wracający żołnierze spotkali się z entuzjastycznym przyjęciem. Później, w 1946 roku, nowe grupy weteranów przyjmowano w milczeniu albo w najlepszym razie witano przemówieniami i kolejką po chleb. Jednak wszyscy, nawet ci pierwsi, mieli problemy z odnalezieniem się. Większość, za zgodą władz, wzięła kilka dni wolnego. Część wykorzystała ten czas na poznanie rodzin. Tyle było do omówienia, czy też do pomilczenia, tyle wątpliwości. Potem pojawiała się kwestia pracy. Na szczycie listy najważniejszych specjalistów do zdemobilizowania

znajdowali się nauczyciele, szczególnie przedmiotów technicznych, gdyż państwo bardziej niż kiedykolwiek potrzebowało fachowców. Następnie studenci, którym wojna przerwała naukę. Jak wszyscy weterani, na początku roku akademickiego mieli pierwszeństwo w otrzymaniu indeksu⁷⁰. Dla tych, którzy zdołali z tego skorzystać, służba wojskowa stała się początkiem lepszego życia.

Pierwsze grupy zdemobilizowanych obejmowały też weteranów z siedmioletnim lub dłuższym stażem służby, starych (w kategoriach armijnych) i tych, którzy doznali trzech lub więcej poważnych ran.

Zazwyczaj tacy niewykwalifikowani ludzie kierowani byli do kolchozów. Ponad połowa żołnierzy wróciła na obszary wiejskie, do wiosek, które opuścili wiele lat wcześniej. Do stycznia 1946 roku do samego obwodu smoleńskiego przybyły 44 tysiące zdemobilizowanych. 32 tysiące znalazły zatrudnienie w rolnictwie. Nieliczni zostali przewodniczącymi kolchozów albo brygadzystami. Weteran cieszył się posłuchem, jeśli tylko nie miał widocznych okaleczeń. Jednak większość, trzy czwarte, z frontu znów trafiła w błoto i między karaluchy⁷¹. W 1946 roku żniwa się nie udały. Na Ukrainie i w południowej Rosji ludzie głodowali, ich ciała puchły; zaczęły krążyć opowieści o dziwnych mordach, a nawet kanibalizmie. Część weteranów mogła się zastanawiać, za co walczyli i cierpieli.

Z pewnością walczyli o obiecane lepsze życie. Ich chwila w świetle reflektorów okazała się jednak krótka. Prawdopodobnie powojenne społeczeństwa nigdy nie zadowolą weteranów, zwłaszcza gdy w domach zamkną się luki, jakie spowodował ich wyjazd. Państwo radzieckie i wiele rodzin szczerze próbowały powitać weteranów, których honorowano w latach 1945 i 1946. Rzecz jasna, ci skazani na niełaskę i izolację, szybko zniknęli z horyzontu. Wkrótce jednak nawet najbardziej triumfalne powroty żołnierzy stały się przebrzmiałymi nowinami w społeczeństwie usilnie starającym się zapomnieć. Stalin przybrał nowy oficjalny ton. Z dumą zagarnął całą zasługę zwycięstwa i niechętnie się nią dzielił. Wiedział też, że jego błędy tylko czekają na ujawnienie, zwłaszcza te dotyczące klęski i rzezi z 1941 roku. Jak zwykle sprawę rozwiązał bardzo prosto. Od wiosny 1946 roku rywale o laur zwycięzcy, włącznie z Żukowem, byli degradowani, popadali w niełaskę lub trafiali do więzień. W 1948 roku, po trzech latach pokoju, zakazano wszelkich publicznych wspomnień o wojnie⁷². Wciąż próbowano uczcić zabitych, działały komisje porządkujące wojskowe groby, ale weterani o bardziej refleksyjnej naturze mogli się zastanawiać, czy państwo nie przedkłada zmarłych bohaterów nad żywych⁷³.

Początkowo wracającym kombatantom najłatwiej było zaoferować pomoc materialną. Na każdym spotkaniu Rady Najwyższej pro-

ponowano nową rentę lub zapomogę dla chorych, osieroconych, owdowiałych i zdemobilizowanych. Znajdujące się w potrzebie rodziny weteranów miały dostawać opał na zimę, drewno lub torf, worki mąki i ziemniaków. Należało umieszczać je na szczycie list przydziałów wyremontowanych lub nadających się do zamieszkania lokali, dzieci zwolniono ze szkolnych opłat, zaopatrzone w kupony odzieżowe i obiecano im więcej mleka. Sami weterani otrzymali rentę, zależną od długości służby, stopnia i ewentualnych odniesionych ran. Jednak nad tymi wszystkimi zapomogami i paczkami czuwali przepracowani urzędnicy państwowi. Zasobami w każdym mieście lub wsi zarządzały miejscowe komitety, biurokraci, którzy spędzili wojnę na pracy na tyłach. Dla weteranów te gryziپیórki były odrębną rasą, „szczurami”, których priorytety nigdy nie zbiegały

się z ich własnymi. Napięcia między tymi, którzy walczyli, a tymi, którzy siedzieli w domach, znalazły ujście w kłótniach o mieszkania i opał, jedzenie i buty dla dzieci.

Jeszcze gorsza była sytuacja inwalidów. W pierwszych miesiącach pokoju brakowało możliwości oficjalnego policzenia takich ludzi, a wielu ciężko chorych zmarło przed końcem 1945 roku. Jednak do wiosny 1946 roku obliczono, że żyje niemal 2,75 miliona inwalidów wojennych⁷⁴. Jak zwykle w państwie radzieckim, podzielono ich na szereg kategorii zależnych od stopnia niepełnosprawności i potrzeby opieki szpitalnej. Wszyscy otrzymali renty jako rodzaj rekompensaty niezdolności do pracy, a wielu upoważniono do pobierania paczek z „delikatесami” w rodzaju kaszy, suszonych ryb i jajek. Mieli też otrzymywać najlepszą możliwą opiekę medyczną i tu sytuacja się komplikowała. Wiele szpitali mieściło się w szopach lub dawnych szkołach, tak niewiele zostało porządných budynków⁷⁵. Poza tym brakowało lekarzy, pielęgniarek, leków i protez. Młodzi ludzie, którzy stracili nogi, musieli się toczyć na własnej roboty wózkach i okaleczeni żebracy stali się powszechnym widokiem w rosyjskich miastach.

Kalecy byli upośledzeni na kilka okrutnych sposobów. To prawda, że Związek Radziecki był rozpaczliwie biedny, z braku funduszy, niezdolny zaspokoić podstawowych potrzeb obywateli, ale niewidomi, głusi lub kulawi mogli to znieść, przynajmniej przez jakiś czas.

Bolała jednak postawa społeczna. Był to naród ciężko doświadczony, ale też próbujący zapomnieć. Jazz i modne ubrania, które cieszyły się popularnością wśród młodych w 1946 roku, były sposobem szukania ulgi, wyjścia z cienia wojennej biedy. Inwalidzi zaś byli utrapieniem, przynosili wstyd. Ponieważ większość stanowili szeregowi piechurzy, zwykle brakowało im wykształcenia, wpływów i pieniędzy⁷⁶. Zamiast wdzięczności natykali się na pełne urazy milczeniem. Im więcej mówili o wojnie, im bardziej walczyli o swoje prawa, tym bardziej niepożądani się stawali, bardziej nieistotni. Ostatni cios zadano im w 1947 roku, kiedy Stalin nakazał *oczyszczenie* rosyjskich ulic z żebraków, w tym wielu po amputacjach. Okaleczonych weteranów, którzy wybrali życie w miastach, spędzono do pociągów, tym razem kierujących się na północ, a szczególnie na wyspę na najdalszym krańcu jeziora Ładoga, Walaam. Niechciani trędowaci Stalina często umierali na wygnaniu⁷⁷.

Dla tych, którzy mieszkali w odległych wioskach, dla byłych strzelców chłopskiego pochodzenia, każda niepełnosprawność stała się rodzajem pułapki. Człowiek z jedną ręką lub nogą nie mógł dosiąść konia⁷⁸, a od najbliższej stacji kolejowej dzieliło go wiele kilometrów. Chłopska chata stawała się więzieniem. Inwalida przez lata mógł być pozbawiony opieki medycznej, towarzystwa i pracy. Państwo niekiedy proponowało nowe projekty edukacyjne, ale ich szczegóły obrażały weteranów. Na przykład niewidomi żołnierze mieli się uczyć gry na instrumentach. Chciano w ten sposób wydobyć ich z depresji, pomóc w zarobieniu na utrzymanie, ale wielu nie miało zdolności muzycznych ani chęci do nauki, nie wspominając Ograniu, niczym żebracy, na ulicach⁷⁹. Prawdziwe talenty miały się marnować w oczekiwaniu na bardziej realną pomoc. Ze swej strony inwalidzi zaczęli unikać lekarzy. W obliczu uwięzienia w szpitalnych murach, tyranii sanitariuszy, lepszym pomysłem wydawało się pozostanie w domu, hołubienie wspomnień i łagodzenie bólu samogonem⁸⁰.

Picie było lekarstwem z wyboru na ból wszelkiego rodzaju, szok i traumę, jakie nastąpiły po wojnie. Oficjalnie nie uznawano skutków psychologicznych i niemal nic nie wiedzano o schorzeniu na zwanym obecnie zespołem stresu pourazowego. Przede wszystkim

ludzie mieli koszmary. Cały naród cierpiał, nawet dzieci. By jeszcze bardziej skomplikować sprawę, przemoc, chociaż dotąd niespotykana w takiej skali i nasileniu, nie była niczym niezwykłym w kraju, który przeżył wojnę domową i represje kilku dziesięcioleci. Niejasna pozostawała różnica między szokiem, depresją i wyczerpaniem, które odczuwali wszyscy, a prawdziwym zaburzeniem psychicznym. Lekarze ograniczali się do notowania przypadków urazów, reagowali też na najpilniejsze problemy, a na ich biurkach piętrzyły się stosy diagnoz w rodzaju nerwicy, schizofrenii i manii. Jednak weteranów nie leczono z szoku bitewnego. Dostawali witaminy, a w skrajnych przypadkach ich zamykano, ale większości nakazywano myślenie o obowiązku i korzystanie z życia⁸¹. Szaleństwo nosło ze sobą prawdziwe piętno, a uzależnienie każdego rodzaju traktowano jako słabość.

Sumienni lekarze prowadzili obserwacje i notowali zmiany, które trudno było wytłumaczyć za pomocą oficjalnych wersji. W ciągu kilku miesięcy po zakończeniu wojny nastąpił wzrost problemów z nadciśnieniem, układem trawiennym, a nawet chorób serca⁸², ale te dolegliwości łatwo dawały się złożyć na karb warunków wojennego życia. Co więcej, powojenne szpitale, do których kierowano cierpiących, były tak nieprzyjazne, a leczenie tak niepewne, że po 1946 roku liczba chorych gotowych do opisywania swoich objawów gwałtownie spadła⁸³. Kiedy weterani opowiadali o starych, dobrych czasach, wielkiej powszechnej walce, nigdy nie wspominali o bezsenności i długotrwałym niedożywieniu, które dotykały nie małą część. Zapomnieli również o nieleczonych zębach, chronicznej wszawicy, bieguncie i wrzodach. Żołnierze, którzy przeżyli i opowiedzieli swoje historie na potrzeby tej książki, stanowili nie liczną elitę w czysto fizycznych kategoriach. Wojenne rany, uboga dieta i stres w niedługim czasie pozbawiły życia miliony osób.

Nie istniała jednak silniejsza fantazja na temat „dobrej” wojny niż idea, że ludzie działają razem. Oczywiście kusilo wyszukiwanie ukrytych korzyści, żeby zrównoważyć widoczne wojenne koszty, żywienie nadziei, że całe to cierpienie przyniosło coś dobrego. I prawdą jest, że wytrwałe dążenie do celu dawało niektórym ludziom poczucie nadzwyczajnej wewnętrznej siły. Jednak idea ser-

decznego, zjednoczonego społeczeństwa była albo propagandą, albo pobożnym życzeniem. Dla tych, których państwo ukarało, powojenne życie było okrutne. Dla całej reszty zaś nastąpił czas, kiedy uczucie ulgi zabarwił niepokój. Każdy mógł się również zorientować, że radzieckie społeczeństwo stało się w widoczny sposób surowsze, brutalniejsze i bardziej ozięble.

Polityka i styl panującej klikki Stalina przybrały gorzki ton. Mściwe traktowanie uwolnionych jeńców wojennych, wzywianie do stałej czujności przed szpiegami, kolejne serie aresztowań i procesów sprzyjały narastaniu podejrzliwości, a nie budowaniu wspólnoty. Weteranów nie obwinia się o ludobójcze projekty Stalina, ale wielu przymykało na nie oczy, stając się ochoczymi spadkobiercami tyranii. Dla tych zaś, którzy nie mogli przespać spokojnie nocy, wciąż pozostawały regiony, gdzie wojna jeszcze się nie skończyła. Na Ukrainie i obszarach nadbałtyckich do końca lat czterdziestych walczyły nacjonalistyczne grupy partyzanckie. Przeciwko nim wysyłano oddziały specjalne, następców OMSBON-u Michaiła Iwanowicza, wspierane przez jednostki bezpieczeństwa. Szacuje się, że do 1950 roku na zachodniej Ukrainie aresztowano i deportowano 300 tysięcy osób. W jej pięknych sadach i na polach łąbin wciąż odkrywano masowe groby⁸⁴. Weterani Armii Czerwonej, którzy spełnili swoje wojenne marzenie o zamieszkaniu na Ukrainie, osiedlili się na skradzionej ziemi, w pustych domach pełnych

duchów. Podobnie jak tysiące innych, którzy przenieśli się na Krym, ulubione miejsce żołnierzy w stanie spoczynku. Zbrodnie przeciwko Tatarom były oficjalnie ignorowane. Dla weteranów wioski nad brzegiem Morza Czarnego stanowiły wystarczającą atrakcję, by wyprzeć wszelkie wątpliwości. Byli przecież zdobywcami, a ta ziemia należała do Związku Radzieckiego.

Wojna rozbiła również radzieckie rodziny i więzi społeczne oraz zdeprecjonowała wartość litości, współpracy czy nawet zwykłych dobrych manier. Społeczeństwo było podzielone i każdy patrzył na innych z niepokojem. Więźniowie, byli żołnierze i cywile tworzyli coś w rodzaju niepowiązanych ze sobą plemion. Weteranami, jak Wasilijem Grossmanem, wstrząsnęła bezduszość w powojennych miastach. To było, napisał, jakby „zwykli ludzie się zmówili, by oba-

lic poglądy, że każdy na pewno znajdzie życzliwość w sercach bliźnich o spracowanych rękach”⁸⁵. W świecie pokoju rozpadło się jednak również frontowe braterstwo. Przestępstwa, takie jak kradzieże i przemoc po spożyciu alkoholu, nadal się zdarzały w czasach pokoju. Ułatwiały je wielkie migracje ludzi, uchodźców i osadników, nie wspominając o łatwym dostępie do broni⁸⁶.

Rodzina powinna stać się cichą przystanią dla ludzi zniszczonych przez wojnę. W taki sposób starały się to zaprezentować stalinowska propaganda i powojenna literatura⁸⁷. Ale gdy weterani dotarli do domów w ukwieconych pociągach, tylko nieliczni potrafili przewidzieć, jakie piętno wojna odcisnęła na ich życiu rodzinnym. Tak zwany front domowy był bardzo ciężki dla kobiet. Część, harując niczym woły, na dobre zrezygnowała z kobiecości⁸⁸. Niczemu ona nie służyła, nie przynosiła radości. Na obszarach wiejskich niemal nie było też mężczyzn. „Zostałam z trzema synami - opowiedziała Swietłanie Aleksijewicz pewna wdowa. - Byli za mali, żeby się o siebie troszczyć. Nosiłam na plecach snopy zboża, drewno z lasu, ziemniaki i siano. (...) Sama ciągnęłam pług i brony. W każdej chacie była wdowa albo żona żołnierza. Zostałyśmy bez mężczyzn. Bez koni, bo je też zabrali dla armii”⁸⁹. Kobiety zahartowały się, stwardniały. Część nawet hołubiła niechęć do armii, która na tyle miesięcy porzuciła je na pastwę Niemców. Gdy ich okaleczeni mężowie wrócili do domów, schronienie, jakie im dały, nie zawsze było ciepłe. Część kobiet rozmyślnie poślubiła inwalidów, żeby korzystać z przywilejów — rent, żywności, opału i pomocy medycznej - jakie zapewniały dokumenty mężów⁹⁰. Sztuka polegała na tym, żeby wiedzieć, gdzie je sprzedać.

„W co się bawiliśmy? - zastanawiał się przez chwilę człowiek, który dorastał w tym ponurym dziesięcioleciu. — Wcale się nie bawiliśmy. Musieliśmy szybko dorosnąć”. To prawda. Dzieci uczono, że życie nie polega na zabawie. Wiele z nich przez lata nie chodziło do szkoły, włącznie z siostrą Slesariowa Maszą i tysiącami „synów pułku”, którzy teraz wracali do kraju. Jak wspominali, żadne dodatkowe lekcje nie pozwoliły im nadrobić szkolnych lat, nic nie mogło zatrzeć obrazów wojny. Masza Slesariowa już jako czternastolatka pracowała w polu jak dorosła kobieta i była typowym z milionów dzieci, które zaczęły pracować, gdy tylko mogły podnieść łopatę peł-

na ziemi. Jednak chociaż wojenne dzieci nie zaznały wiele radości, pewne zabawy okazały się niezapomniane. „Tak jest — wspominał pewien człowiek. - Bawiliśmy się w »wąwóz grozy«. Rzucaliśmy granaty do parowu pod miastem i sprawdzaliśmy, który wybuchnie”. Ta zabawa kosztowała jego najlepszego przyjaciela obie ręce⁹¹. Tak więc dom nie stał się dla żołnierzy bezpieczną przystanią,

O której marzyli, pisząc listy do żon. Nawet pary, które zdołały od budować wspólne życie, miały świadomość przepaści, pustego miejsca, którego nie zapełnią żadne rozmowy. To była okrutna zapłata za oczekiwanie na listy. Witalij Taraniczew i Natalia Kuzniecowa prze-

szli przez to, ale droga do spotkania po latach była trudna. Latem 1945 roku w listach Witalija pobrzmiwała coraz większa niecierpliwość. W sierpniu nawet jego armijna dieta zubożała, szczególnie gdy został ulokowany na zachodniej Ukrainie. We wrześniu mignęła nadzieja, że zostanie zdemobilizowany, jednak zamiast tego przeniesiono go na południowy wschód, do kolejnego znękanego regionu, Czeczenii, gdzie miał odbudowywać linie kolejowe koło Groźnego. Zarekwirowane kwatery znajdowały się w pobliżu Aszchabadu. „Nasze mieszkanie ma dwa pokoje i zabudowaną werandę - Witalij napisał do domu. - Drugi pokój nie jest przechodni i wziąłem go. Jeśli przyjedziesz, będzie nam naprawdę miło i wygodnie; będziemy mogli nawet gotować i jeść razem”⁹².

Witalij nie mógł wyjechać, więc podróży i stresy spadły na Natalię. W październiku 1945 roku wzięła urlop w pracy, wystąpiła w kolejce

i kupiła bilety, zostawiła dzieci i wyruszyła na nieplanowaną przygodę. Wsiadła do pociągu jadącego na zachód przez półpustynię nad Morze Kaspijskie, parowcem przepłynęła wewnętrzne morze, a potem wywalczyła sobie miejsce w kolejnym pociągu kierującym się do podnóża Kaukazu. Podróż do Czeczenii i z powrotem trwała dłużej niż krótki okres, jaki spędziła z mężem. Witalijowi, nawykłemu do podróży, cena wydawała się niewysoka, ale Natalię to wszystko niepokoiło. „Twoje milczenie bardzo mnie martwi — pisała do męża po powrocie do domu. - Nie napisałeś do mnie ani słowa, odkąd wyjechałam. Nie chcesz nic pisać. (...) Może jesteś mną rozczarowany i przestałeś już myśleć o mnie tak, jak myślałeś przed naszym spotkaniem w Groźnym?” Trwało listopadowe święto,

a Witalij właśnie pisał. „Moja gospodyni i ja ciągle mówimy o Tobie — zaczął. — Tak się przyzwyczaiłem do Twojej obecności, że gdy wracam, oczekuję, iż Cię zastanę”. Nie potrafił sobie wyobrazić jej niepewności w obliczu umundurowanego, zaabsorbowanego obcego, jakim się stał. „Czy to możliwe, Witia — napisała — że nie jesteś taki sam jak kiedyś, a ja nie jestem Ci już tak droga? Ciężko mi tak myśleć. Czekam na Ciebie niecierpliwie w domu — kończyła. — Muszę się dowiedzieć, spojrzawszy Ci w oczy, kim dokładnie jesteś”⁹³. Dziesięć miesięcy później nadal czekała.

Historia Witalija i Nataszy skończyła się tak, jak powinien się kończyć powrót do domu. Inna opowieść, o Walentynie i jej mężu, była zapewne bardziej typowa dla młodych ludzi. Jak wyjaśniła Walentyna, pobrali się tuż przed wojną i nie spędzili wiele czasu ze sobą, zanim jej mąż został powołany. Wciąż byli sobie niemal obcy, a wojna pogłębiła tę przepaść. Pisał do domu regularnie, ale korespondencja napływała z przerwami, hurtem, poznaczona piórem cenzora. Musiała także odnaleźć Walę w fabryce amunicji, do której jako chemik została ewakuowana. Pracowała tam przez całą wojnę, nadzorując huczącą bez przerwy linię produkcyjną. Zmiany trwały dziesięć albo dwanaście godzin, a przez cały ten czas enkawudzista obserwował każdy jej ruch. Gdy wspominała wojnę, w jej głosie wciąż wyczuwało się napięcie, chociaż lekka ulga nadeszła z zupełnie nieoczekiwanej strony. „Niemieccy jeńcy byli mili - powiedziała, odnosząc się do jeńców, którzy pracowali w pobliżu jej stanowiska. — Tacy czyści. Odkurzali nawet półki, na których trzymali kartofle”. Zapytałam ją, czy kiedykolwiek z którymś rozmawiała. „Rozmawiała? — zdziwiła się. - Tańczyliśmy z nimi. Byli jedynymi mężczyznami w promieniu wielu kilometrów i na dodatek

dobrymi tancerzami".

Jej mąż miał własne doświadczenia z Niemcami. Teczka Wali z papierami z czasów wojny zawiera fotografie żołnierza, czasem w mundurze, czasem półnagiego, rozpartego w łódce. Berlin był dobrą kwaterą dla młodego człowieka. Nastąpił rok 1946, zanim mąż Wali wrócił do domu. Znowu powrót okazał się szczęśliwy, a raczej po prostu nie skończył się rozwodem. Mąż żył z Walą do swej śmierci w 2001 roku. Mieli nawet syna, chociaż chłopak zmarł, jak wielu innych, przed swym ojcem jako ofiara plagi chorób serca.

Rodzina żyła w dostatku, otoczona szacunkiem i przywilejami, we własnym trzypokojowym mieszkaniu w centrum Moskwy.

Wala pozwoliła mi przeczytać wojenne listy od męża. Mogłam nawet nagrać część z nich na dyktafon, a ona zajęła się parzeniem herbaty. Zauważyłam, że płakała, gdy wspomnienia okazały się zbyt bolesne. Początkowo myślałam, że to moja wina. Odłożyłam magnetofon i poszłam ją uspokajać, z poczuciem winy, że odnowiłam stary smutek. „Och, nie - zaprzeczyła, kiedy usiadłyśmy przy herbacie i ciastkach. -Nie chodzi o te stare listy. Ale tyle w nich kłamstw. Całe to gadanie o miłości i tęsknocie. Cały czas był z nią, z tą Niemką. Mieli nawet dziecko. Porzucił ją dzień po jego urodzeniu". Wściekłość Wali była zabójcza. Nie chciała powrotu męża, ale o mieszkaniu było trudno, a małżeństwa - zwłaszcza rodziny weteranów - miały pierwszeństwo. Pomimo to, kiedy pod koniec 1946 roku zaszła w ciążę, postanowiła nie urodzić dziecka. Aborcja była nielegalna, niebezpieczna, ale Wala znalazła lekarza, który wykonał zabieg, i jakoś z tego wyszła.

Tego rodzaju historie leżą u podłoża wielu powojennych przemilczeń. Poświęcenie, bohaterstwo i nadzieja kończyły się na poszukiwaniu większego pokoju w komunalnym mieszkaniu, wakacjach na świeżo zrusyfikowanym Krymie czy też na kolekcji kiczowatych ozdób wykonanych z czołgowych części (przez krótki czas poszukiwane były zegary wykonane z wizjerów)⁹⁴. Fala altruizmu, jaka ożywiła pierwsze tygodnie pokoju, tak jak moda na jazz, wkrótce opadła. Faworyzowani weterani mieli przywileje, i to właśnie owe niewielkie korzyści oraz świadomość, że sąsiedzi im zazdroszczą, wiązały ich - niczym jakąś powojenną klasę średnią — ze stalinizmem. Drobne przywileje, ale także groza chaosu, aresztowań i zemsty na tych, których powojenni politycy postanowili usunąć. Wojna, na której walczyli bohaterowie, nie toczyła się o wakacje czy kielbasę. Była to zdrada, chociaż niewielka, kiedy żołnierska energia rozproszyła się na małe kłamstwa, wódkę

i domowy dżem. Jednak prawdziwą tragedią, perfidią ostatnich lat stalinizmu, była kradzież, która zmusiła przyzwoitych obywateli do zgody na tyranię z powodu strachu; kradzież niemal wszystkich wspólnych ideałów, o których zachowanie walczyli.

Nie chodziło o sprawy długofalowe: upadek Związku Radzieckiego, ostateczną klęskę komunizmu. Te problemy czekały wetera-

nów na starość. Do pierwszych zdrad doszło od razu. Na czele listy znalazły się kolchozy. Miano je utrzymać i często to sami weterani imali się pracy na roli. Pomagali nawet eksportować ten model do ponownie podbitych państw nadbałtyckich i na zachodnią Ukrainę, jak również obserwowali jego wprowadzanie na kontrolowanych przez Sowieców terytoriach: w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji. Potem pojawiła się kwestia radzieckiego braterstwa, nadziei, że wszyscy razem zbudują społeczeństwo, w którym nie będzie już podziałów klasowych, religijnych i etnicznych.

Zniszczono ją kampaniami nienawiści, deportacjami i rasistowskim językiem, jaki Sowieci przejęli od niemieckich najeźdźców. Wśród ofiar nowego radzieckiego szowinizmu, co okrutne, znaleźli się Żydzi⁹⁵. Gułag się rozrastał, zachłannie przyjmując nowe kontyngenty — włącznie z samymi weteranami - do swego mrocznego świata pracy przymusowej⁹⁶. Nawet sztuka, tak droga żołnierzom na froncie, stała się celem haniebnych i dławiących ataków, podobnie jak wielu poetów i pisarzy, którzy próbowali przedstawiać prawdę o wojnie⁹⁷. Po raz kolejny dyktatura Stalina oparła się na wykluczeniu i strachu, a ludzie, którzy mieli najwięcej do stracenia (choć i tego było żałośnie mało), stali się jej najgorliwszymi zwolennikami.

Bez wątpienia Rosja - i większość Związku Radzieckiego - straszliwie by ucierpiała, gdyby Hitler zdołał zdobyć Moskwę w 1941 roku, gdyby padł Stalingrad albo rozpadł się radziecki rząd. Również cała Europa, a nawet Stany Zjednoczone stanęłyby w obliczu trudnej do wyobrażenia katastrofy. Stalingrad, Kursk i Berlin były prawdziwymi zwycięstwami, nie tylko dla Moskwy, ale również dla jej sojuszników. Koszty ludzkie poniosło stalinowskie społeczeństwo i bez względu na to, czy byli ochotnikami czy nie, wszyscy, poza nieznaczającą mniejszością, wierzyli, że stoją po właściwej stronie w prawdziwej, sprawiedliwej wojnie. Nie istniał jeden rodzaj żołnierza, jeden Iwan, były jednak wspólne aspiracje i bynajmniej nie miały one na celu wzmocnienia tyranii nie mniej represyjnej niż ta, o której zniszczenie walczyli. Na nieszczęście radzieckie społeczeństwo, które przystało, aczkolwiek niechętnie, na stalinizm, ale które również walczyło i cierpiało w jego obronie, pozwoliło ostać się tyranowi. Ojczyzna nigdy nie została podbita, ale sama oddała się w niewolę.

II

My pamiętamy

J.Vlit Iwana narodził się w trakcie wojny. Był wytworem Sowinfbrm-biura, wojennych pieśni i poezji oraz opowieści, które ludzie uwielbiali czytać. Nawet żołnierze czasem wyobrażali sobie samych siebie jako romantycznych ochotników, bohaterów, którzy będą walczyć za ojczyznę. Prawdziwa walka odbiegała od ideału, ale drewniany żołnierz propagandystów był pożyteczną figurą, na którą można się było powoływać przed konkretną operacją i później, kiedy ci, którzy przeżyli, musieli walczyć z wyczerpaniem i szokiem. Prosty bohater i jego kompetentni, bezinteresowni oficerowie stanowili wzory, które dawały żołnierzom poczucie celu, gloryfikowały brutalne zabijanie i zapewniały osłonę dla przestępstw, o których nikt nie powinien wiedzieć. Zważywszy na żołnierską skłonność do ironii, takie mityczne postacie służyły również jako cel okrutnych żartów, gdyż Iwan nie był ani mistrzem w posługiwaniu się bronią, ani panem swego ciała, nie wspominając o kierowaniu się najnowszymi dyrektywami partii. Jednak chociaż żołnierze wyśmiewali sztynne zasady i rzetelność, wojenna propaganda trafiała w podstawowe ludzkie potrzeby. Było to również ważne, gdy ucichły strzały. Kiedy armia z poboru się rozproszyła, a żołnierze wrócili do cywilnego świata, myśl o odważnym i prostym strzelcu przydawała im godności, publicznego szacunku, bez względu na to, jakie historie zachowywali tylko dla siebie.

Hasła, którymi posługiwali się żołnierze, w miarę upływu czasu nabrały niemal świętego wymiaru. Radziecka ojczyzna była nienaruszalną przestrzenią, a jej naród związany lojalnością wobec niej. Jednak powtarzanie utartych frazesów ukrywało prawdziwe zmiany

w ich znaczeniu. Patriotyzm w 1941 roku był radykalnym, wyzwającym, a nawet rewolucyjnym

ideałem. Słowo to faktycznie nabrało waloru moralnego, kiedy z zachodu zaatakowały niemieckie wojska. Wreszcie prawdziwi patrioci mieli najeźdźcę do odparcia, zamiast mglistych zdrajców wywoływanych przez organy bezpieczeństwa. Przyływ wiary w 1941 roku ożywił nawet ducha internacjonalizmu, gdyż aby być patriotą w radzieckim rozumieniu, należało znów być dumnym przywódcą proletariackiej kampanii

O powszechne braterstwo. Miała ona stać w opozycji do faszyzmu, którego okrucieństwo, jak stało się jasne, skłoniło miliony do pokładania nadziei w socjalizmie. Bardziej bezpośrednio patriotyzm był kwestią samoobrony, wspólnej walki całego narodu radzieckiego z agresorem. Ci, którzy się do niej przyłączyli — większość rosyjskich, czy nawet radzieckich obywateli - byli zadufani w sobie. „Nasza sprawa jest słuszna” - zapewniał Mołotow naród radziecki w 1941 roku. Bez względu na to, jak daleko doszła ich armia i jakie okrucieństwa popełniła, większość nie przestała w to wierzyć.

Masowe śmierci i cierpienie uświęciły patriotyczny impuls. Najgorsi wyrzutkowie powojennych lat nazywani byli zdrajcami ojczyzny. Znaczenie patriotycznej dumy, chociaż nie straciło nic ze świętego żaru z 1941 roku, zmieniło się jednak pod koniec wojny. Stało się to sprawą wewnętrzną, skupiano się na państwie Stalina, a także przede wszystkim na Rosji¹. Odtąd zamiast aspirować do wolności, patrioci - chętnie lub nie - mieli uczestniczyć w represjonowaniu mniejszości, aresztowaniach na wielką skalę i przede wszystkim wierzyć w posępny i śmiertcionośny dogmat, który nie miał prawie nic wspólnego z obietnicami swobód, jakie ściągnęły tłumy na plac Pałacowy w miesiącach rewolucji 1917 roku. Nowy radziecki patriotyzm miał zostać w nadchodzących latach wykorzystany do napiętnowania i usunięcia wszelkiego rodzaju dysydentów. Weterani wojenni - wielu wciąż zatrutych pierwotnym idealizmem

1 żyjących starą wiarą — znaleźli się w pułapce. Nie mogli wykazać się brakiem patriotyzmu i nie mogli się przeciwstawić rządowi. Było to państwo (i w pierwszych latach powojennych także przywódca), za które przelano oceany krwi. Proces przekształcania się weteranów w konserwatywne bastiony władzy radzieckiej nie trwał długo.

Nie przebiegał on gładko i zawsze pewne kwestie kazały dawnym żołnierzom gotować się z wściekłości. Wśród nich znalazła się decyzja następcy Stalina, Nikity Chruszczowa, by zmniejszyć armię². Wslawiony zdemaskowaniem Stalina, tajnym referatem z 1956 roku³, który wprowadził w zakłopotanie i rozgniewał wielu kombatanów, teraz wywołał powszechne niezadowolenie zdradą sił zbrojnych. Jednak wkrótce miała nadejść pogodna jesień długotrwałego mariażu weteranów z państwem. Własne wojenne osiągnięcia Leonida Breżniewa nie zasługiwałyby nawet na wzmiankę, gdyby przypadek - włącznie ze śmiercią w czasie wojny większości bardziej utalentowanych potencjalnych rywali — nie wyniósł go do politycznej elity i po 1965 roku nie uczynił z niego radzieckiego przywódcy. Jego oddanie bolszewickiej ideologii było mizerne, pęd do władzy dużo silniejszy. Zamiast próbować ożywić nadwerężoną radziecką jedność przez bezpośrednie odwołania do rewolucyjnych ideałów, postrzegał wojenny mit jako sposób na odbudowanie w narodzie słabnącego poczucia celu. Lata rządów Breżniewa zmieniały się w złoty wiek partyjnego betonu i pustostłowa, czas dofinansowywanych przez państwo wielotomowych historii wojny, uroczystych mów ku czci, rozdawnictwa, nowych medali oraz masowego projektowania i wznoszenia pomników⁴. Przekaz był taki, że naród walczył jako jedność, że młodzież postradała życie i że nowe

pokolenia są winne tym minionym (a także swym obecnym przywódcom) bezgraniczną lojalność i wdzięczność.

Weterani, teraz już w średnim wieku, zostali wezwani, żeby ponownie odegrać patriotyczną rolę. Zawsze zbierali się, by wspominać wojnę, ale teraz zachęcano ich do odwiedzania szkół, opowiadania

O walkach i podsycania romantycznej wyobraźni młodych obywateli⁵. Miało to ściślej związać pokolenie, które nie знаło wojny, z ra dzieckim ideałem. Mityczny żołnierz, radziecki bohater, wrócił i ro ścił sobie prawo do lojalności narodu. Był on surowy, moralny i nie zachwianie odważny. W wielu opowieściach, co bardzo wygodne, był również martwy. Chociaż większość weteranów uważała wspa niałą rocznicę dwudziestolecia zwycięstwa w 1965 roku za szczyt upamiętnienia wojny, historyczny feniks, jaki wzleciał ze Stalingradu 1 Kurska w latach sześćdziesiątych, był symboliczny, dwuwymiaro-

wy⁶. Działy jednak prawdziwe siły, by go utrzymać. Gdy oficjalna historia została oceniona, nie można było publikować żadnych faktów z czasów wojny, których już nie wydrukowano⁷. Same archiwa, owe miasta szarych teczek, zamknięto przed niemal wszystkimi, a z pewnością przed naukowcami. Całe obszary wojennego życia, włącznie z dezercjami, przestępczością, tchórzostwem i gwałtami, wyłączono z jawnych badań, a kilka szczególnych zbrodni, na przykład masakrę katyńską, pogrzebano pod górą zaprzeczeń⁸. Zamiast prawdy, tak złożonej i po ludzku zrozumiałej, państwo wzniosło błyszczącą i jedynie słuszną budowlę mitu.

Niewielu weteranów miało coś do zdobycia poprzez atak na tę konstrukcję. Przede wszystkim mit im pasował. Wielu wykorzystywało wojenne osiągnięcia w swej późniejszej karierze jako dowód siły charakteru. Służba wojskowa, a co najmniej lojalność, zapewniała żołnierzom szczerze renty, podczas gdy oczernianie tego, co zaczęto nazywać „wielkim wyczynem”, zawsze uznawano za obelgę wobec poległych. Mit bohatera był też częściowo prawdziwy, albo na tyle prawdziwy, żeby skłonić do wdzięczności kolejne pokolenia. Grzebanie w tym wszystkim w poszukiwaniu słabości lub przestępstw mogło się skończyć zbiorową tragedią, a nawet sprowokować pytania o wartość całej radzieckiej potęgi. Reżimowi Breżniewa nigdy nie brakowało zagranicznych krytyków, a to dawało jego zwolennikom pretekst, by popierać ścisłą jedność w kraju. „Wojna to wojna” - mawiali weterani. A potem znów nadchodził czas śpiewania pieśni, oglądania zdjęć i wspomniania. Cienie przeszłości pierzchały w blasku zbiorowej chwały, oskarżenia rozplywały się w eufemizmach. W końcu nawet Stalin zabłysnął określeniem gwałtu jako „odrobiny zabawy z kobietą”⁹.

Dekoracje i rekwizyty z czasów Breżniewowskiego przekształcania wojennego eposu wciąż istnieją w całym dawnym imperium. Kiedy przychodziło do stawiania pomników, radzieckie osiągnięcia, nawet w latach stagnacji, były zadziwiające. Ich największe skupiska znajdowały się wokół dawnych pól bitewnych, a miejsca pamięci wciąż są najlepszymi punktami, żeby z nich oglądać niegdysiejsze pobojojiska. Granitowy monument stoi na przykład na wzgórzu Sapun pod Sewastopolem. Składa się z potężnych brył polerowanej

skały, przypomina prowizoryczną katedrę bez dachu, czy nawet olbrzymie krematorium, ponieważ gazowa struga tworzy bezbarwną linię wiecznego płomienia, a nagrana muzyka sący się z ukrytych głośników. Jak większość pomników, ten upamiętnia triumf, odzyskanie Krymu, a nie klęski z 1941 roku. W Kijowie, miejscu największego upokorzenia Armii Czerwonej w

tymże roku, olbrzymia Matka Rosja w tym samym duchu czci zdobycie miasta. Góruje nad brzegami Dniepru, jej wyciągnięty miecz sprawia, że wysokością przerasta inne monumenty, włącznie z kopułami pobliskiej Ławry Peczerskiej. Jej spódnice wirują nad innym przykładem Breżnie-wowskiej masowej produkcji — muzeum wojny. To konkretne jest zwykłą halą, pozbawionym wdzięku zlepkiem sal wyłożonych czerwonym dywanem. Gość, który chciałby zobaczyć wszystko, musiałby chodzić godzinami, głównie w półmroku, przemierzając korytarze łączące sale, gdzie medale, powiększone fotografie i działa tkwią pod zakurzonymi sztandarami.

Ironią w tych przypadkach jest to, że oba pomniki - kijowski i se-wastopolski — stoją na terytorium niepodległej Ukrainy, kraju, który nie stanowi już części Związku Radzieckiego i którego więzi z Rosją mocno osłabły od pomarańczowej rewolucji w styczniu 2005 roku. Patriotyzm, symbolizowany przez pomniki, nie ma już politycznej ojczyzny. Część młodych Ukraińców, a z pewnością potomkowie mieszkańców zachodniej części kraju, wokół Lwowa, nienawidzą monstrualnego pomnika upamiętniającego wojnę, która nie przyniosła im nic oprócz bólu. To samo dotyczy innych dawnych republik radzieckich. Gdyby beton był lżejszy, gdyby było go mniej, narodowe rządy w wielu dawnych republikach mogłyby się pokusić

o usunięcie tych wielkich brył, podobnie jak pozbyły się Leninów

1 Dzierżyńskich z głównych placów. Jednak monumenty są zbyt masywne, za ciężkie, by je rozebrać. Ich usunięcie wytworzyłoby też lukę nie do zapełnienia. Rosja nie była jedynym krajem, który zapłacił wysoką cenę za rozpętaną przez Hitlera wojnę. Wciąż liczy się to, że Ukraińcy stanowili grupę narodowościową, która po stronie radzieckiej poniosła najwyższe straty wśród cywilów. Również na Białorusi część miast straciła nawet jedną czwartą mieszkańców. Cokolwiek obywatele tych republik myślą o władzy radzieckiej, pamięć

O zmarłych pozostaje ważna, gorzka i osobista dla milionów ocalałych. Upamiętnienie poległych nie powinno drażnić, a pomników ku ich czci nie należy się pozbywać.

Dla Rosjan opowieść brzmi nieco inaczej, gdyż była to głównie wojna Rosji i z pewnością pozostaje problemem dla tych, którzy w chaotycznej, postimperialnej teraźniejszości usilnie starają się znaleźć cokolwiek, co można by czcić w ostatnim stuleciu dziejów swego kraju. Muzeum Rewolucji w Moskwie to dobre miejsce, by obserwować, jak kształtują się te napięcia. Muzeum, poprzednio świątynia osiągnięć partii komunistycznej, zostało przekształcone po 1991 roku, kiedy to sama idea komunistycznych osiągnięć stała się oksymoronem. Dzisiejsze muzeum eksponuje gorzkie owoce utopijnego projektu. W jednej sali znajdują się fotografie kolejek, w innej pamiątka z gułagu. Dwie dalsze sale ukazują wybór prezentów, jakie Stalin otrzymał od towarzyszy z całego świata. Gabloty wypełnia kicz: malowana porcelana, tkane dywaniki, ozdobne szkło

1 Inkrustowane noże myśliwskie. Z jakichś powodów wielbiciel z Meksyku wybrali na prezent wypchanego, złożonego pancernika, który stoi na kruchych złotych nóżkach w osobnej gablotce.

Większość eksponatów w muzeum jest nowa, ale dwóch sal nie tknięto. Pierwsza mieści gablotki z orderami, portretami i pułkowymi sztandarami. Druga, gdzie światło jest zawsze przyćmione, obwieszona jest siatką maskującą. Są tu zaplątane w sieć karabiny i hełmy, a odgłos strzałów z taśmy odbija się echem w półmroku. „Ludzie chyba tego potrzebują - wyjaśnił kustosz. - Nigdy nie proszono nas o zmiany w tych dwóch salach”. Prawda może też być zupełnie

inna — wciąż może istnieć zapotrzebowanie. Inna moskiewska atrakcja - Park Zwycięstwa - była w fazie budowy, kiedy upadł komunizm. Wtedy część krytyków nakłaniała planistów, by pozwolili, aby na tym miejscu ponownie wyrósł sosnowy las¹⁰. Jednak prace trwały i park jest gotowy - eklektyczna fantazja ze złotymi listkami i marmurami w stylu Disneylandu. Tamtejsze olbrzymie Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, które rozciąga się wokół placu defilad, to biała potworność, której pseudoklasyczna kolumnada uradowałaby Mussoliniego.

Z upamiętniania wojny wyłonił się cały przemysł. Beneficjenta-

mi tej szczególnej gałęzi gospodarki rzadko są sami weterani, raczej urzędnicy państwowi, przy kości i w średnim wieku. Ich poczucie własnego znaczenia podsycają częste rocznicowe obiady, imprezy na wielką skalę, a nawet arogancja triumfu sprzed sześćdziesięciu lat. „Brytyjka — powiedziała kobieta w mundurze, gdy sprawdzała mój paszport przed wejściem do części administracyjnej za muzeum w Parku Zwycięstwa. — Oni byli po naszej stronie, prawda?” Przytaknęłam potulnie, przełykając komentarz o 1939 roku. To absurd spierać się o decyzje podjęte przez obcych, którzy dawno nie żyją. „Może pani przejść — powiedziała. — Ale to niedobrze, że Churchill-owi tyle czasu zabrało utworzenie drugiego frontu”.

Krytykowanie kultu wojny ojczyźnianej wciąż brzmi jak zrzęczenie. „Jeśli nie podoba się wam wojna taka, jaka była - zwrócił się do młodzieży poeta Borys Słucki - spróbujcie wygrać ją po swojemu”¹¹. Te słowa mogą powtórzyć weterani o rozmaitych poglądach. Odkąd w latach osiemdziesiątych otwarto archiwa, radziecka historiografia stała się polem bitwy, lecz żołnierze twierdzą, że to oni znają prawdę o rzeczywistej wojnie. Państwo rosyjskie porzuciło jednak stare dogmaty przynajmniej w jednej istotnej kwestii. Kiedy następcy Gorbaczowa na Kremlu stanęli wobec wyboru pomiędzy utratą imperium lub odwołaniem się do religii, zdecydowali się na zwrot ku jednemu z pradawnych filarów rosyjskiej tożsamości, Cerkwi prawosławnej. „Nazwałem tych polityków podswiecznikami” — weteran zdradzał wyraźną niechęć. Nawiązywał do słów świeczka *\podśnieznik-*, przebiśnieg. Współcześni rosyjscy przywódcy gorliwie uczestniczą w uroczystościach kościelnych. Władimir Putin nabożnie nosi świeczkę podczas wielkich ceremonii w soborze Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, dokładnej replice świątyni, którą jego bolszewicy poprzednicy wysadzili w 1931 roku. I tak jak duchowni prawosławni błogosławią teraz byłym agentom KGB w nowych rolach mężów stanu, tak też muszą się modlić za zabitych czerwo-noarmistów.

Podczas wojny wśród żołnierzy wiara nie była powszechna. Zdarzali się nieliczni wierzący, ale większość uciekała się do modlitw i rytualnych gestów z zabobonności, czyniąc znak krzyża, niczym zaklęcie, by odegnać śmierć. Po dwóch dziesięcioleciach ateistycz-

nego socjalizmu większość żołnierzy Armii Czerwonej walczyła, nie oglądając się na duchownych, a wielu całkowicie odrzuciło religię. Wydaje się więc nie na miejscu to, że w dzisiejszym Parku Zwycięstwa w Moskwie stoi sobór. Kilkaset kilometrów dalej, pod Pro-chorowką, budowniczo wie kończą kolejną świątynię wyglądającą jak dziewiętnastowieczna cerkiew z rodzaju tych, które tak lubili demolować komsomolcy w latach trzydziestych. Zamiast tradycyjnych fresków ściany dekorują nazwiska radzieckich żołnierzy, którzy zginęli w bitwie na Łuku Kurskim. Sklepienie jest masywne, za wysokie, by ująć je na pojedynczej fotografii. Plan krzyża też stanowi wyzwanie dla aparatu, gdyż cerkiew jest tradycyjna, ośmiokątna w środku i wzniesiona wokół centralnej kopuły. A chociaż nazwiska wypisano małymi literami, na żadnej z ośmiu ścian nie ma skrawka wolnego miejsca. Liczby są niewyobrażalne, a monumentalność budowli sprawia, że zwiedzający będą

przytłoczeni. Ale nazwiska żołnierzy zostały teraz zawłaszczone przez rosyjską cerkiew.

Pretensje Cerkwi prawosławnej mogły wywołać tarcia światopoglądowe, ale niewielu weteranów się skarżyło. Część nawet uznała, że świątynie odpowiadają ich gustowi bardziej niż dzieła socrealizmu faworyzowane w czasach Breżniewa. Kadzidla i popi zdają się pasować do ponurej żałoby, a kryjąca się pod płaszczykiem duszy narodu Cerkiew dużo mniej obraża starców niż pornografia czy materializm nowobogackich. Jednak nowa pobożność wprawiła też w zakłopotanie najstarszych weteranów. Kiedy wspominają wojnę, przypominają sobie, jak prosta zdawała się śmierć, stanowiąca część patriotycznej walki. Towarzysze ich młodości ginęli za sprawę, bez względu na to, co działo się później. Natomiast ich własna śmierć, w miarę jak się zbliża, staje się kłopotliwa. Trudno stwierdzić, co teraz, gdy ideologia przeminęła, może znaczyć życie spędzone w komunizmie. Starcom zaś jeszcze trudniej jest zrozumieć koniec epoki postradzieckiej.

Najlepiej ten dylemat opisał Anatolij Szewieliov. „Moja żona umierała — wyjaśnił. — Miała raka gardła. Zrobili jej dziewięć operacji. Z tego powodu została chrześcijanką. Ja nie miałem na to czasu, jestem całkowitym ateistą. Chodzę czasem do cerkwi, bo lubię muzykę. Ale żona i tak prosiła, żebym się za nią modlił. To był pro-

blem, ponieważ nie znam ani jednej modlitwy i w życiu nie byłem w kościele. Ale kiedy wróciłem z soboru tamtego dnia i powtórzyłem jej, co powiedziałem, objęła mnie. Była tak wdzięczna, że płakała. Wiedziała, że zrobiłem, co mogłem”.

Szewieliov odchrząknął i zaczął przypominać sobie tę modlitwę. „Kochany Boże - zaczął - przebac mi, że byłem ateistą przez całe życie. Nie z wyboru, ale dlatego, że od dzieciństwa nikt nie zabierał mnie do kościoła. Zostałem wychowany w ateistycznym świecie. Podziwiam Cerkiew prawosławną, a teraz zacząłem ją cenić, ponieważ bez niej nie byłoby Moskwy, fundamentu naszego państwa. Tak więc nie mam pretensji do Cerkwi, a na moją obronę, wspomnij, że razem z milionami innych ateistów ocaliłem naszą ojczyznę. W ten sposób, pośrednio, ocaliliśmy też naszą Cerkiew prawosławną. Przyszedłem pomodlić się o zdrowie mojej żony, proszę, Boże. I wybac mi — przerwał. — Jak skończyłem?... Już wiem. Przebac mi, że całe życie należałem do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego”.

Zmieniający się kontekst polityczny wpłynął na sposób upamiętniania, a nawet przedstawiania wojny w dzisiejszej Rosji. To samo dzieje się z żołnierskimi wspomnieniami, z których większość wchłonęła elementy późniejszych powieści, filmów i poezji, a także wątki z dawnej przeszłości. Jedyne świadectwo, które nie uległo zmianie — nie licząc sześćdziesięciu lat niszczenia przez myszy, wilgoć, owady i kurz — pochodzi z dokumentów. Archiwalne źródła pobrzmiwają autentycznymi głosami z przeszłości, mową żołnierzy i rządu zapisaną w trakcie wojny. Pomyłką byłoby jednak uważać te zapisy za obiektywną prawdę. Całe obszary żołnierskiego życia nigdy nie zostały utrwalone, włącznie z większością frontowego humoru, wieloma żałami i szczegółami ekscesów i okrucieństw, jednak zarchiwizowane listy i inne papiery wnoszą pożądane poprawki do afektowanego szacunku, jaki wydaje się cechować w Rosji większość publicznych dyskusji o wojnie. Oferują najlepsze środki zrozumienia charakteru armii i ducha, w którym walczyli żołnierze; jedno i drugie zmieniało się z upływem czasu. Główny problem stanowi nie brak materiału, ale konieczność nadążania za zmianami znaczeń.

Słowa i idee, które wydawały się całkiem jasne w 1945 roku, na początku wojny miały inne

konotacje i mroczniejszy wydźwięk.

Klasycznym przykładem jest koncepcja ojczyzny. Począwszy od Tołstoja, wszyscy pisarze podkreślali miłość rosyjskiego żołnierza do rosyjskiej ziemi. To samo można by powiedzieć o innych -na przykład o Gruzinach — chociaż każda kultura różni się w rozumieniu domu¹². Koncepcja jest teraz dość jasna, przynajmniej dla ludzi, którzy nigdy nie byli Sowietami, ale dla wczesnych radzieckich pokoleń ojczyzna stanowiła kłopotliwą ideę bez jasnego zakresu czy określonego znaczenia. Mogła to być wioska lub region, ale także cały obszar, imperium wielonarodowe pod każdym względem, prócz nazwy, zamieszkiwane przez „Sowietów”. Zróżnicowanie etniczne w kulturze radzieckiej miało wywoływać zamieszanie, a nie dumę. Co do patriotyzmu, to inwazja w 1941 roku rozjaśniła sprawę, przynajmniej na początku. Ojczyzna stała się przestrzenią, którą najeźdźcy starali się „nam” odebrać. Arogancja hitlerowskich Niemiec i przyjęte założenie, że zacofana Rosja ugnie się i upadnie, wywołało prawdziwy gniew wśród radzieckich żołnierzy, a to wielu pomogło przetrwać pierwsze straszliwe tygodnie¹³.

Chociaż silne, pojęcie ojczyzny miało się zmienić. Trwała jako coś, co mógł kochać żołnierz, ale w miarę postępów wojny czerwo-noarmięci poznali nowe sposoby wyobrażania sobie ojczyzny. Chłopi z rolniczych prowincji ujrzeli ruiny Pskowa, góry Krymu, skarpy nad Dnieprem. Rozumienie tego, czego bronią, poszerzało się, w miarę jak maszerowali i walczyli. Naturalnie liczyło się też to, że po 1943 roku szli na zachód, w kierunku Berlina. Wcześniej dom musiał się wydawać mniej świetny, gdy spowijał go gryzący dym. Od początku 1943 roku, gdy armia ruszyła spod Stalingradu, wyobrażenie ojczyzny, abstrakcji, nabrało świeżego, intensywnego związku z geografiami polityczną. Radzieckie granice wkrótce miały przestać być niejasnymi ideami, a stały się szerokimi rzekami i prawdziwymi górami. To wszystko było „nasze”, od winnic nad Morzem Czarnym do wydm Bałtyku. Jednak „nasze” w czasach nasilenia nacjonalistycznego szowinizmu zaczęło stopniowo oznaczać „rosyjskie”. Myśl, że republika wielkiego imperium może wybrać niezależność,

wciąż pozostaje niemal obelżywa dla weteranów zbierających się w klubach i stowarzyszeniach¹⁴.

W owym czasie za mitem kryli się poborowi innego rodzaju, w tym wielu, których należało zmusić do służby. Mitem Iwana i ojczyzny niewiele znaczył dla mieszkańców zachodniej Ukrainy czy choćby dla zbieraniny białoruskich nastolatków wcielonych do armii latem 1944 roku. Nie brano pod uwagę etnicznych więzi innych poza rosyjskimi i zwykłej niechęci do walki. Armia Czerwona używała kuł i gróźb, by ubrać wątpiących w mundury i zatrzymać na polu bitwy. Brutalność, fizyczna i werbalna, stanowiła część frontowej kultury. Przemoc i terror stosowano też po wojnie, by stłumić powstania nad Bałtykiem i na zachodniej Ukrainie. Opowieści o tym wypłynęły po upadku Związku Radzieckiego, są udokumentowane w archiwach, ale większość czeka na zbadanie przez historyków. Sugerują, że częścią zapomnianych żołnierzy powodował niemal wyłącznie strach.

Wreszcie istnieje coś, co każdy może zrozumieć, a w każdym razie tak się wydaje. Strach zdaje się tak naturalny w tym przerażającym świecie, że ktoś, kto nie zna historii regionu, mógłby użyć go jako wyjaśnienia niemal wszystkiego. Błędem byłoby jednak uważać, że Sowietci, którzy żyli w świecie przemocy, reagowaliby jak naród nawykły do pokoju. Nie można powiedzieć, że strach był nieistotny — był wszechobecny — ani nawet że ludzkie życie niewiele znaczyło, ale w tym brutalnym, śmiercionośnym świecie strach był względny. Należało go oszacować, a zwyczaj tego czerwonoarmięci często nabierali już w dzieciństwie. Jak pokazali na przykład dezertery w 1941 roku, same groźby nie wystarczały, gdy Niemcy jawili się jako groźniejsi niż jakikolwiek komisarz i niemal pewna śmierć od kuł wroga. Do 1944 roku sytuacja się zmieniła i

stało się jasne, że Armia Czerwona ma przewagę w regionach, skąd ściągano nowych rekrutów. Była to epoka „partyzanta 1943 roku” i innych, którzy woleli, pomimo zrozumiałego strachu, stanąć po stronie wygranych, zanim będzie za późno.

Wojna stworzyła świat, w którym każdy wybór był potencjalnie zabójczy zarówno dla żołnierzy, jak i dla cywilów. Wstąpienie do armii, jak na ironię, mogło nawet jawić się jako sposób ujarznienia

koszmarów. Dla wielu było mniej niebezpieczne niż ludobójcze rządy hitlerowców. Było bardziej przewidywalne i mniej brutalne niż wojenne obozy pracy. A przede wszystkim służba wojskowa miała znaczenie, wartość. Pokazał to przykład żołnierzy pułków gwardyj-skich i członków partii, ale poczucie zbiorowego celu wykraczało poza tę niewielką elitę. Armia nie zawracała sobie głowy szkoleniem żołnierzy karnych batalionów. Zamiast tego nastawiła się na upokorzenie ich, uświadomienie im, że nie są ludźmi. Mogli być niemal pewni, że zginą w następnej bitwie. Część zdezerterowała, inni spanikowali, a zdecydowana większość zginęła. Świadectwem czasów (i potęgi powojennego mitu bohatera) jest to, że część niedobitków wspomina o dumie, poczuciu celu, a nie tylko o rzezi i strachu¹⁵. Byli ofiarami, wyrzutkami, nędznikami. Ale nienawiść do wroga stanowiła sposób — ich własny, nie armijny — na wykorzystanie swojego strachu i wściekłości.

Jeśli strach nie wystarczał, żeby skłonić ludzi do walki, pozostawała ideologia. Ona również się zmieniała - kolejne słowo, którego znaczenie wymaga starannej rekonstrukcji. Terminy „postęp” i „moralność” miały kluczowe znaczenie dla poczucia tożsamości ludzi radzieckich. Ideologia obejmowała szereg rozmaitych rzeczy, nie stanowiła prostego i uniwersalnego kodu. „Wierzyliśmy” - twierdzą oficerowie, żołnierze i ocalali oficerowie NKWD. Michaił Iwanowicz, młody oficer OMSBON-u, wierzył przez całe życie, co ostatecznie zawiodło go w szeregi KGB. Nawet w chwili śmierci, w 2002 roku, zażądał komunistycznego pogrzebu. Wiara podtrzymywała go, gdy musiał strzelać do rodaków. Wzmacniała fizyczne siły, co umożliwiło ukończenie forsownego marszu przez 250 kilometrów lodowatego bagna za niemieckimi liniami. W tym sensie był typowym przedstawicielem chłopstwa, które dzięki służbie wojskowej znalazło przygodę i awans. Nierozsądne byłoby przypisywanie całej wiejskiej populacji miłości do komunizmu, ale tam, gdzie nowa idea zapuściła korzenie, trwały z fanatyzmem nasuwającym na myśl inkwizycję albo nowy dżihad. Ten rodzaj ideologii był naprawdę wiarą, bezwzględną i osobistą.

Stalinowska ideologia kształtowała ówczesny język, stając się o 1941 roku częścią rzeczywistości. Nawet rekrut półanalfabeta ro;

poznawał polityka i wiedział, jaką rolę odgrywa; nawet chłop uczył się wymawiać niezgrabny przymiotnik „proletariacki”. Jednak bardziej sformalizowane, usystematyzowane sposoby ideologicznego rozumienia epoki przedwojennej dostępne były jedynie wykształconym. W skrajnych przypadkach taka wiara wydaje się teraz absurdem. „Proszę, przyślijcie mi coś do czytania - napisał ranny kadet ze szpitalnego łóżka do domu w 1941 roku. - Coś nie o wojnie. Coś z klasyki, może *Państwo i rewolucję* Lenina”¹⁶. Sama wojna obnażyła naiwność, oderwanie od rzeczywistości książkowego marksizmu-leninizmu. Gdy walki postępowały, pojawiał się nowy typ rozumienia, prostszy zestaw poglądów, które mógł podzielać niemal każdy żołnierz. Jedną rzeczą było zapisać się do partii w porywie patriotyzmu, a inną rozmyślać o bezklasowości i dialektyce, gdy przychodził rozkaz wyprowadzania działań. Żaden żołnierz nie uciekał się do Marksa, gdy powietrze zaczynało wibrować i rozlegały się okrzyki.

Wspomnienia Moskwinia odzwierciedlają drogę, jaką przeszło wielu przedwojennych

komunistów. Początkowo, chociaż był rozsądny i miał nieco żołnierskiego doświadczenia, politruk wyznawał rodzaj fantazji, marzenia z przedwojennych filmów. W pierwszych godzinach wojny wierzył, że „nasi” muszą wygrać. Taki był sąd historii i życie jednostek niewiele się liczyło. Wiara w to stare kłamstwo rozpadła się w ogniu niemieckich dział. Naiwna utopijność 1938 roku także się rozplynęła lub ustąpiła miejsca czemuś innemu. W przypadku Moskwin, i tysiacy mu podobnych, wiara przetrwała, ponieważ nie do pomyślenia było umieranie za nic. Nie było też łatwej alternatywy. Jeśli radziecki komunista miał wierzyć, owa wiara musiała być jakoś kształtowana przez radzieckie paradygmaty, a nawet nie-wyznawcy czerpali z partyjnego słownika. Poza tym jednak wiara czasów wojny była bardziej ponura i bezpośrednia, mniej wyszukana. Lepiej było, w te wszystkie straszne noce w lesie, wiwatować na cześć Żukowa i Stalina, niż nie mieć nic w miejsce osłabłej wiary. Idee były mniej ważne niż poczucie celu, a w walce zwykle przetrwanie nabierało utopijnego charakteru.

Zwycięstwo, a nawet pierwsze oznaki odsunięcia klęski, zmieniły naturę samej wiary. Jak wskazał Stalin w 1943 roku, postępy armii dowodziły, że radziecki komunizm funkcjonuje. Świadczyły o tym

czołgi, stopy pocisków, samoloty i wyszkoleni młodzi ludzie, którzy to wszystko wykorzystywali. Ale frontowcy mieli własne opinie. Ich pojmowanie komunizmu dalekie było od szarego świata teoretycznych podręczników. Żołnierze pokładali wiarę w postępie, w kolektywie i w wartości nabywanych umiejętności. W tym, co nazywali komunizmem, chodziło o zwycięstwo sprawiedliwej sprawy nad ciemnością. Dowodziło to, że przy odpowiedniej woli i wysiłku cały ból z przedwojennych czasów zniknie. Komunizm stanowił też rodzaj karty członkowskiej. Jeśli ktoś był dobrym żołnierzem, dobrym towarzyszem, drobne występki się nie liczyły.

Ponadto pod koniec 1942 roku przedwojenne koncepcje ideologiczne stały się mniej istotne od doświadczenia i wyszkolenia wojskowego, jeśli chodzi o określanie miejsca żołnierza w radzieckiej rzeczywistości. Nawet po zmniejszeniu roli oficerów politycznych na froncie trwały ideologiczne pogadanki, ale teraz naród i przywódca wzywali żołnierzy do poznawania taktyki, nauki właściwego posługiwania się bronią i wartości rozkazów. W aspekcie sukcesu armii zwrot w stronę profesjonalizmu miał kluczowe znaczenie, a partia przez chwilę otwarcie podporządkowała się dowódcom wojskowym. Jednak dla walczących — czy to oficera, czy technika doskonalącego jedną umiejętność - wizerunek „dobrego” żołnierza, osobisty cel, stanowiły kombinację patriotyzmu i męskości (częste słowo w wojennej poezji), lojalności wobec kolektywu i umiejętności zawodowych. Umiejętności dawały żołnierzom wiarę w siebie, kolektyw ciepło, często miłość, która podtrzymywała ich podczas walki. Jeśli dojrzewiali do decyzji o wstąpieniu do partii, był to stosunkowo drobny krok. Jednak to nie ideologię z 1937 roku ani nawet nie nauki politruków purystów mieli w głowach rekruci, gdy składali partyjne ślubowanie.

Po wojnie (a nawet zanim Żuków odebrał kapitulację Niemiec) frontowy kolektyw stał się celem reżimu Stalina. Według zapewnień państwa weterani byli bohaterami, ale było nieprawdopodobne, by dyktator zezwolił im na wykorzystanie ciężko zdobytej wiary w siebie i zainteresowania sprawami publicznymi w rządzeniu krajem. Tragedią weteranów, czy też jej częścią, było to, że ich poświęcenie nie miało żadnego wpływu na kształtowanie powojennej polityki.

To prawda, że ich symboliczna wartość była ogromna, ale wykorzystywano ich, a nie konsultowano się z nimi. Idealny żołnierz zajął miejsce zróżnicowanych, pewnych siebie i znających swoją wartość wojowników, którzy wrócili z frontu. Podczas gdy tego bohatera

chwalono, prawdziwi weterani pozostawali niezrozumiani, idealizowani w sposób, którego nie lubili, i ignorowani lub odrzucani w innych dziedzinach. W czasach Breżniewa władzy odpowiadało przekształcenie starych żołnierzy w oswojone, nawet nudne ikony dojrzałego socjalizmu. Bez wątplenia przyszłe rządy wypracują własne sposoby wykorzystania symboli wojny ojczyźnianej. Kiedy ostatni weteran umrze, zniknie tama dla słów i idei, jakie dziedzice rosyjskiego zwycięstwa będą mogli przypisywać swym bohaterom, ale na razie trwa szach. Póki żołnierze żyją, mogą mówić za siebie.

W Kursku starych żołnierzy można znaleźć w nieprzyjaźnie wyglądającym budynku wciąż nazywanym Klubem Oficerskim. Gmach, obecnie nieco zaniedbany, stoi w cieniu dawnego kina, które w 2003 roku odzyskało swój pierwotny status soboru. Kiedy je odwiedziłam, całe miejsce było labiryntem rusztowań i hałd żwiru, chociaż zbliżała się sześćdziesiąta rocznica bitwy pancерnej. Lokalne stowarzyszenie weteranów miało właśnie zebranie, jak zawsze, w wielkiej sali na tyłach. Wejście tam było jak cofnięcie się w czasie, gdyż Lenin spoglądał ze ścian, a poniżej na błyszczących półkach w równych rzędach stały tomy wspomnień. Sala nie zmieniła się od dwudziestu, może trzydziestu lat. Większość miejsca zajmował wielki stół, ludzi dostrzegało się później. Byli tam jednak, poważni i prości, nasłuchując słów przewodniczącego w hałasie koparek i wiertel. Była dziewiąta i wszyscy przybyli punktualnie, nawykli do dyscypliny.

Przewodniczący zaproponował, że odda mi głos na pięć minut. Miałam powiedzieć swoje, zapisać nazwiska, a potem siedzieć cicho, gdy zebrani zajmą się innymi sprawami. Pomysł był niezręczny, stawiał mnie w pozycji intruza, ale pewnie zdecydowało o tym moje cudzoziemskie pochodzenie. Wyjaśniłam, że szukam ochotników do przeprowadzenia wywiadów. Chcę, żeby ludzie opowiedzieli mi,

co pamiętają, i obiecałam nie drażnić sekretów. Chwila wahania, a potem ktoś zaproponował, bym wracała do Moskwy. Są książki, oznajmił, które takim jak ja pokażą wszystko, co chcemy wiedzieć. Twarze ludzi wokół stołu zamknęły się tak szybko i zdecydowanie jak morskie anemony wokół krewetki. Ale potem, jak zwykle, ktoś mnie przywołał i poprosił o ponowne wyjaśnienie. To był wspaniały Anatolij Szewieliov, a kiedy drugi raz opisałam, czym się zajmuję (i obiecałam koniak zamiast herbaty), zgodził się następnego ranka przyjść do mojego pokoju. Jego wielkoduszność zachęciła innych. Następnego dnia urządziłam bankiet w hotelowym pokoju, pożyczyłam samowar i ułożyłam na stole czyste kasety. W holu na dole czekała kolejka. Pierwsza osoba przybyła na późne śniadanie około dziewiątej. Ostatnia grupa wyszła prawie po czternastu godzinach.

Tamtej nocy śniłam o ostrzale, widziałam ciała, obudziłam się oplatana rosyjskimi słowami. Część mojego umysłu odebrała grozę, jaka zawsze czała się w żołnierskich opowieściach. Ale chociaż wyobraźnia podsuwała mi obrazy krwi i płomieni, weterani podczas naszych rozmów nie rozpamiętywali horroru. Gdy wspominali życie przed wojną, życie między bitwami i swoją adaptację do warunków pokojowych, mogli uchodzić za barwnych gawędziarzy, jednak ich opowieści bitewne były mdłe jak wszystkie oficjalne monografie wojny, pozbawione grozy, bezpieczne. Nawet weterani, którzy mówili godzinami - i rozmawiali między sobą, gdyż czasami wywiady zachodziły na siebie - usuwali takie detale ze swych opisów przemocy. Zamiast uwolnić najbardziej ponure sceny wojny, starali się przejąć język minionego radzieckiego państwa, mówili więc o honorze i dumie, o usprawiedliwionej zemście, o ojczyźnie, Stalinie i absolutnej potrzebie wiary. Kiedy dochodziło do opisów walki, jednostka schodziła na bok, zamykała się, jakbyśmy

patrzyli na historię przez filtr. Były ciała i łzy, ale nie krew, nie gówno, nie nerwowe napięcie.

Na początku badań takie przemilczenia wprawiały mnie w zakłopotanie, ale gdy trafiłam do Kurska, zaczynałam już pojmować. Dystans weteranów nie wynikał z ich podeszłego wieku, pewnych słabości psychicznych, nasilonych i wyleczonych, ani po prostu

z chęci samoobrony. Zamiast tego obrazy, jakie malowali weterani, oraz charakter przemilczeń i dobór eufemizmów wskazywały na sekret ich żywotności. Wówczas, w czasie wojny, łatwo było się załamać, poczuć głębię grozy, ale też zginąć. Sposobem przetrwania była stoicka akceptacja, skupienie się na konkretnym zadaniu. Żołnierze używali słownictwa rzeczowego i optymistycznego, gdyż wszystko inne mogłoby doprowadzić do rozpacz. Sześćdziesiąt lat później łatwo byłoby wzbudzać sympatię czy po prostu przyciągać uwagę opowiadaniem mrożących krew w żyłach historii. Ale dla tych ludzi równałoby się to zdradzie wartości będących ich zbiorową dumą, ich stylem życia.

Wojna niewiele dała weteranom. Pogląd, ulubiony przez pewien rodzaj ambitnych romantycznych konserwatystów, że wojna czyni narody silniejszymi i lepszymi, nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością Stalingradu. Pytałam każdego poznanego weterana, czy służba wojskowa poprawiła jego życie, a większość opowiedziała mi o rzeczach, jakie stracili. Lista obejmowała młodość, lata swobody, zdrowie, a potem rzesze ludzi: towarzyszy, rodziców, rodziny. To prawda, że wielu weteranów przeszło pożyteczne szkolenie, ale większość uważa (słusznie lub nie), że umiejętności tych łatwiej nabyliby w czasie pokoju. Co do łupów, poduszki z pierza i dziecięce buciki stanowiły mizerną rekompensatę za straty materialne i pozbawienie rodzin weteranów wygód w chudych latach po wojnie. Sporo były warte wojenne renty. W trudnych latach dziewięćdziesiątych część kombatantów pomagała dorosłym dzieciom i wnukom w utrzymaniu, dzieląc się swymi regularnymi dochodami, ale wtedy renty zaczęły tracić na wartości podczas inflacji. Jediną korzyścią, jaką uznawała większość starych żołnierzy, było to, że nędza wojny kazała im bardziej cenić ocalenie. Umiłowanie życia jest jedną z najbardziej pociągających cech, jakie są im wspólne.

Weterani z Kurska byli zwycięzcami. Nie byli ani dawnymi więźniami, ani skazańcami z karnych batalionów. Milczenie broniło ich przed wspomnieniami o niesprawiedliwości, chociaż impertynencją byłoby im to uświadamiać. Ale nikt z nich nie wyszedł z wojny bez szwanku. Miarą ich siły i żywotności jest to, że mogą w ogóle mówić o ostrzale, walce wręcz, rozkładających się kończynach i ranach.

Miarę całej generacji stanowi to, że zachowała godność. Być może powściągliwość pomogła żołnierzom zwyciężyć. W końcu morale opiera się przede wszystkim na nadziei. A pamięć dla nich jest święta, żywa. „O czym rozmawiają starzy ludzie, gdy wracają tu, żeby powspominać?” - zapytałam kurator muzeum w Prochorowce. „Nie mówią wiele — odparła. — Chyba tego nie potrzebują. Czasami tylko stoją i płaczą”.

